



— *Spacer Aleją Róż* —

# POWIEW CIEPŁEGO WIATRU



EDYTA ŚWIĘTEK

  
Replika

— *Spacer Aleją Róż* —

# POWIEW CIEPŁEGO WIATRU



— *Spacer Aleją Róż* —

POWIEW  
CIEPŁEGO  
WIATRU



EDYTA ŚWIĘTEK

  
Replika

Copyright © Edyta Świętek

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja  
Monika Orłowska

Projekt okładki  
Mikołaj Piotrowicz

Skład i łamanie  
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2018

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej  
Dariusz Nowacki

ISBN: 978-83-7674-787-3

Wydawnictwo Replika  
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo  
tel./faks 61 868 25 37  
replika@replika.eu  
www.replika.eu



## *Spis treści*

[Drzewo genealogiczne rodzin: Pawłowskich, Szymczaków oraz Kurbieli – rok 1977](#)

[W poprzedniej części](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1 – Wiatr w żagle](#)

[Rozdział 2 – Nowohucki żeglarz](#)

[Rozdział 3 – Ciepłe buty dla Lenina](#)

[Rozdział 4 – Kotlet dla Lenina](#)

[Rozdział 5 – Nakarmić głodnych](#)

[Rozdział 6 – Nowohuckie deszcze](#)

[Rozdział 7 – Umierające nadzieje](#)

[Rozdział 8 – Cierpienie aniołów](#)

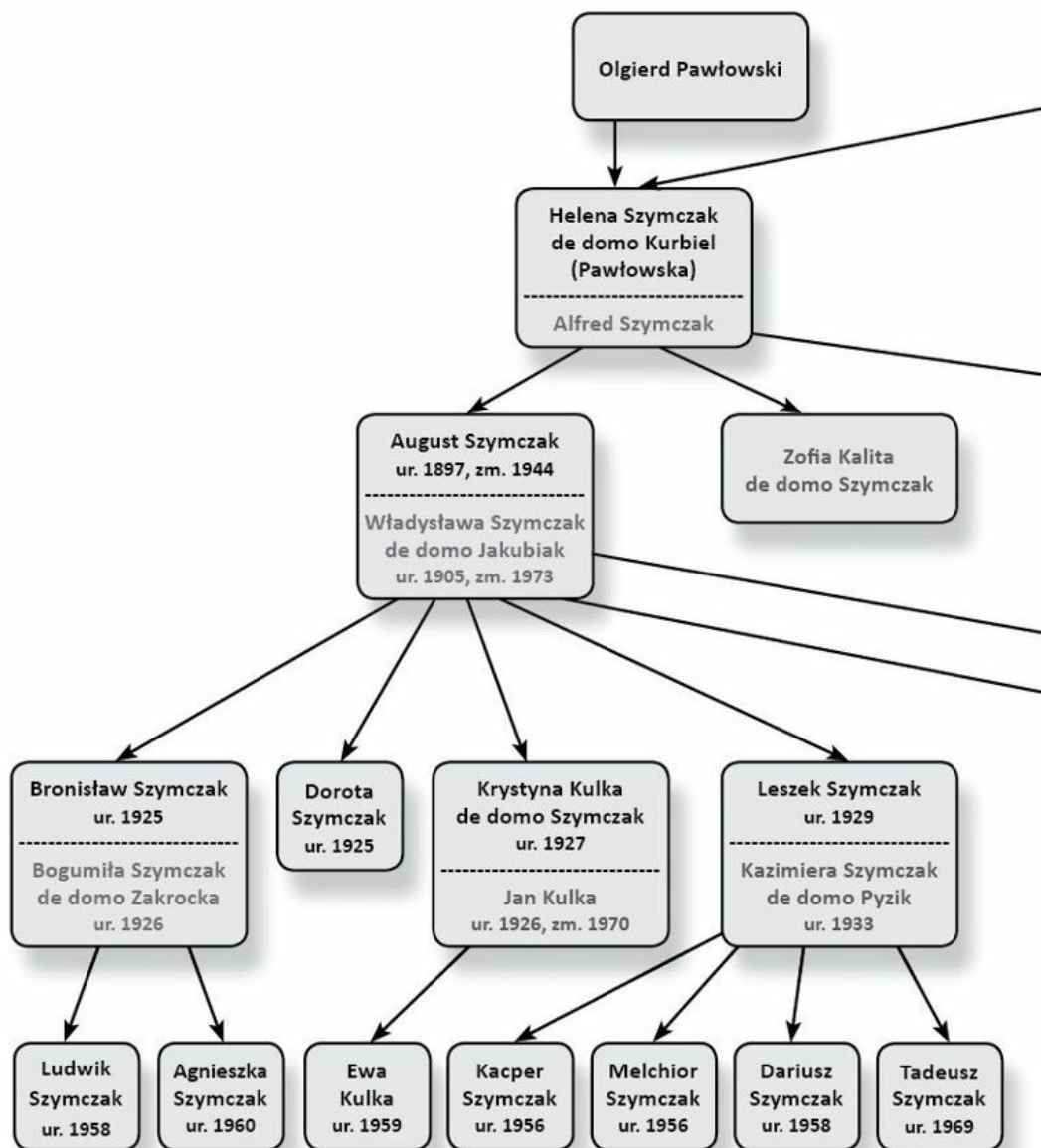
[Rozdział 9 – Zakończony spacer](#)

[Rozdział 10 – Ostatni gasi światło](#)

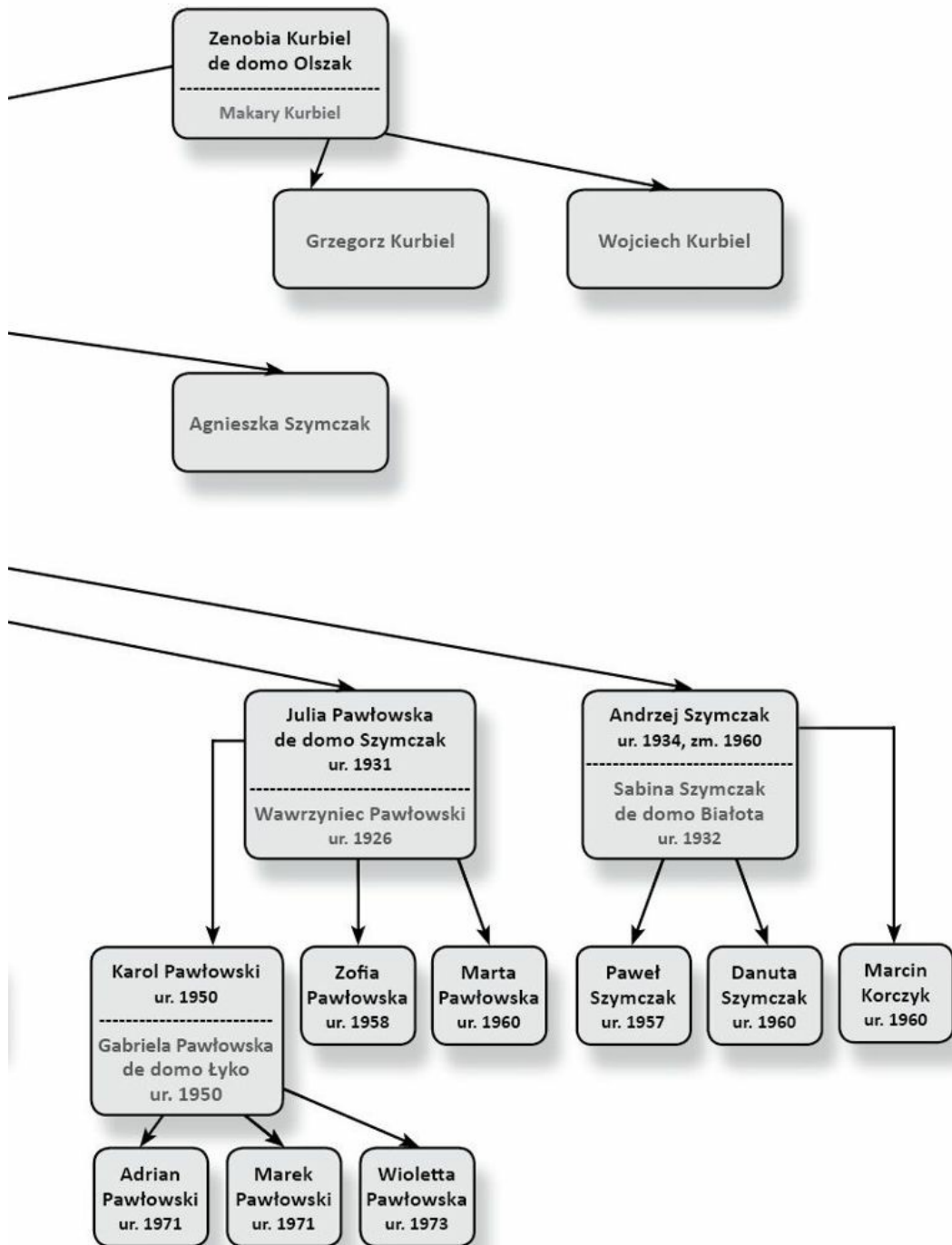
[Epilog](#)

[Od autorki](#)

*Drzewo genealogiczne rodzin: Pawłowskich,  
Szymczaków oraz Kurbieli – rok 1977*













## *W poprzedniej części*

**N**a nowohuckich łąkach dochodzi do bójki pomiędzy Edwardem Marczykiem a Bronkiem. Podczas szarpaniny mężczyźni grzęzną w bagnie. W chwili zagrożenia kłócą się i Szymczak dobitnie oznajmia, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Bartłomieja. Esbek daje temu wiarę i przysięga wrogowi, że pozostawi go w spokoju. Obu ratuje z opresji Janek Kulka.

Leszek odzyskuje przytomność po kilku latach śpiączki. Wraca powoli do zdrowia. Podejmuje pracę w kombinacie metalurgicznym. Synowie przysparzają mu wielu trosk.

Karol i paczka jego przyjaciół kochają się w Bożenie Morek, córce prostytutki. Dziewczyna najpierw romansuje z Wieśkiem Kalitą, a gdy ten z nią zrywa, przenosi zainteresowanie na Jane Beckera. W międzyczasie utrzymuje intymne stosunki z Zygmuntem Grucą, funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Gdy zachodzi w ciążę, esbek domaga się usunięcia płodu, lecz ona ucieka z Beckerem, łamiąc serca pozostałym chłopakom.

Dorota zaprzyjaźnia się z Amelią. Żona Ksawerego zauważa,

że jej mąż i bibliotekarka są w sobie zakochani. Daje im dyskretne przyzwolenie na romans, lecz Dorota i Ksawery z niego nie korzystają.

Podczas wydarzeń marcowych, gdy na ulicach Krakowa demonstrują studenci, przełożony chce zmusić Leszka, by wraz z innymi robotnikami pojechał pacyfikować zbuntowaną młodzież. Mężczyzna odmawia i występuje z partii. Karol oraz jego koledzy biorą udział w zamieszkach.

Po ucieczce Morkówny z Beckerem Karol wyjeżdża na wakacje do Pawlic, gdzie poznaje Weronikę. Razem spędzają miło czas nad wodą, lecz po powrocie do miasta chłopak zapomina o letniej miłostce. Spotykają się znacznie później, w Nowej Hucie, do której dziewczyna przyjechała w ślad za nim. Pomiedzy młodymi nawiązuje się poważna relacja. Kiedy Karol przyprowadza ukochaną do domu, Julia doznaje szoku. Nakazuje synowi zerwanie z Weroniką, lecz wyjawia tylko część powodów uzasadniających jej żądanie. Zbulwersowany postawą matki chłopak ucieka z dziewczyną oraz grupą hippisów nad Jezioro Rożnowskie. Tam, po dwóch miesiącach tułaczki, zostają aresztowani przez milicję za domniemaną kradzież. Po opuszczeniu aresztu Karol dowiadyuje się od rodziców prawdy o swoim pochodzeniu oraz tego, że Weronika jest jego siostrą. Cała rodzina jest przekonana, że to Edek Marczyk nasłał ją, aby narobiła zamieszania w rodzinie Szymczaków i Pawłowskich.

Janek Kulka choruje na nowotwór płuc. Krystyna roztacza nad nim troskliwą opiekę. Niestety, mężczyzna umiera. Zdruzgotana kobieta popada w alkoholizm i zaniedbuje adopcyjną córkę.

Jane Becker przyłapuje Bożenę na zdradzie. Wyrzuca ją z domu.

Podczas zamieszek związanych z wydarzeniami Grudnia '70 Karol poznaje Gabrielę. Młodzi ludzie zakochują się w sobie

i biorą ślub. Z ich związku rodzą się bliźniacy: Marek i Adrian.

Sabina pracuje w barze mlecznym. Nadal samotnie wychowuje dwójkę dzieci. Jest jej bardzo trudno. Tęskni za przeszłością i pracą w teatrze.

Leszek nie daje sobie rady z synami. Melchior trafia do zakładu karnego.

W Pawlicach umiera nagle Władysława. Po jej śmierci Broniek chce zabrać Dorotę do Nowej Huty, by nie została sama na wsi, lecz kobieta kategorycznie protestuje. Ku zaskoczeniu rodziny syn Leszka – Kacper postanawia zamieszkać z ciotką w Pawlicach.

Na nowohuckiej alei Róż zostaje ustawiony pomnik Lenina, który szybko staje się solą w oku mieszkańców dzielnicy.

W dniu Wszystkich Świętych Julia spotyka na cmentarzu koleżankę z pracy Józefę Korczyk i dowiaduje się, że jej syn jest nieślubnym dzieckiem Andrzeja. Sabina jest wściekła na krewnych męża. Podejrzewa, że pomagali mu w ukrywaniu zrad.

Broniek dowiaduje się, że Edward Marczyk zmarł przed laty tuż po ich bijatyce na łąkach. Jest przygnębiony, gdyż przez cały czas żył w strachu przed urojonym wrogiem.

Do pracującej w bibliotece Doroty przybiega Ksawery Olszański, mówiąc, że wydarzyło się nieszczęście.



## *Prolog*

**Z**ygmunta Gruca, wysoko postawiony funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, skończył posiłek. Czekał jeszcze na kolegów. Wypili po kieliszku czystej. Trochę ociągali się z opuszczeniem lokalu, gdyż na zewnątrz panował grudniowy mróz, a w Stylowej było ciepło i przyjemnie. Do ich stolika dobiegał gwar rozmów oraz brzdąkanie pianina.

Cóż, byli jednak w pracy i nawet najpodlejsza aura nie mogła przeszkodzić im w wypełnianiu obowiązków. Zrobili sobie tylko małą przerwę na obiad, a i tak z przyzwyczajenia siedzieli jak na szpilkach, uważnie nasłuchując głosów dobiegających z restauracji.

Od wielu miesięcy w kraju panowała napięta atmosfera. W południe zapadły istotne decyzje polityczne, które miały na celu ochronę interesów rządu. Zapowiadała się długa, żywiołowa noc, ale w tym momencie wiele wskazywało na to, że nim funkcjonariusze bezpieki zaczną zapraszać mieszkańców Nowej Huty na przymusowe wycieczki do ośrodków internowania, czeka ich mały trening.

Mężczyzna siedzący przy stoliku obok kończył spożywać

obiad. Obok niego stało jeszcze jedno nakrycie z nietkniętym daniem. Wcześniej wychylił kilka kieliszków i był już lekko wstawiony. Przywołał kelnera, aby uiścić rachunek.

– A co mam z tym zrobić, panie szanowny? – zapytał kelner, wskazując talerz z posiłkiem.

– Aaa... kotlet? – Lekko podchmielony klient uśmiechnął się szelmowsko. – Niech go pan zanieś temu skurwysynowi, który lezie samym środkiem alei Róż. Pewnie zmarzył *towariszcz* na mrozie, choć ruskie akurat lubią taką aurę.

Zygmunt szturchnął łokciem siedzącego najbliżej mężczyznę.

– Słyszeliście? – zapytał.

Tamci skinęli głowami.

– Wracamy do pracy – stwierdził, wstając.

Zaszurali krzesłami. Jeden z nich złapał kelnera i wcisnął mu w rękę kilka banknotów. Wyjaśnił, że to za ich obiad. Potem wybiegł za kolegami do szatni. Złapał kurtkę i czapkę, okręcił szyję szalikiem.



Na zewnątrz zapadł wczesny, zimowy zmrok. Aleja Róż była zadziwiająco wyludniona. Zwykle przechodziło tędy znacznie więcej osób, jednak mróz skutecznie zatrzymał nowohucian w mieszkaniach. Tylko jeden człowiek kręcił się obok postumentu z figurą wodza rewolucji, ciągnąc na smyczy zaciekle ujadającego jamnika.

– Nieźleś go pan wytresował. Wie, na kogo czekać – zaśmiał się mężczyzna, który przed momentem opuścił Stylową. Przystanął na chwilę i wyciągnął do czworonoga rękę. Ten grzecznie dał mu się pogłaskać. – Porządne psisko. Ujada tylko wtedy, gdy powinien.

Bez pośpiechu ruszył w stronę osiedla Centrum D. Z nieba

leciały drobniutkie krupy zmrożonego śniegu. Zmarznięty przechodzień postawił kołnierz płaszcza. Z przygnębieniem powiódł wzrokiem po fasadach budynków. W niektórych oknach widać było światełka elektryczne na przedwcześnie ubranych choinkach. Tu i ówdzie migotały niebieską poświatą ekrany odbiorników telewizyjnych.

*Ależ beznadzieja* – westchnął, myśląc o minionym popołudniu.

Nie zwrócił uwagi na kroki i skrzypienie śniegu za sobą. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, ktoś zdzielił go pięścią w plecy tak, że padł na oblodzony chodnik, tłukąc boleśnie łokieć i kolano.

– Co jest? – krzyknął, zdenerwowany.

W pierwszej chwili pomyślał, że człowiek idący za nim po prostu stracił równowagę na śliskiej nawierzchni i niechcący go przy tym uderzył. Gramolił się, próbując wstać. Zadarł głowę, aby spojrzeć na nieostrożnego przechodnia, który tak parszywie go załatwił.

W tym samym momencie otrzymał solidnego kopniaka w udo. Zapewne cios skierowany był w krocze, lecz napastnik też się pośliznął.

– Służba Bezpieczeństwa, gnojku. Już my ci pokażemy szczeranie i kotlety dla towarzysza Lenina.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy zawlekli go do pobliskiej bramy. Tam spadły na niego ciosy i kopniaki. Próbował się bronić, zasłaniać lub uciec, lecz napastników było trzech; same wyrośnięte zbiry. Po kilku minutach padł bez czucia, a wtedy dwaj z nich ujęli go pod pachy i zaciągnęli do czarnej wołgi stojącej przy alei Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Trzeci, beczynny, otwarł bagażnik, do którego koledzy bez ceregieli wpakowali bezwładne ciało.

Mężczyzna z ujadającym jamnikiem odchodził pospiesznie w głąb przeciwległego osiedla, oglądając się raz po raz, czy nikt

za nim nie idzie.



**Rok 1977**

## **Rozdział 1**



### *Wiatr w żagle*

– Zośka! No pospiesz się! – jęczała Marta, której pilno było na stok. Od pół godziny czekała na siostrę, lecz ta zamiast po prostu złączyć narty i włożyć kombinezon, musiała oczywiście robić się na bóstwo.

– Już, już! A cóżeś ty taka niecierpliwa? – zachnęła się dziewiętnastolatka, pieczołowicie poprawiając szczoteczką tusz na rzęsach. Jak na złość oporny kosmetyk był już na wyczerpaniu, więc co chwilę robiły się w nim grudki, a to sprawiało, że makijaż daleki był od ideału. Przynajmniej zdaniem zainteresowanej.

– I po co się tak pacykujesz? Myślisz, że ktoś cię tam będzie podziwiał?

Wzruszyła ramionami i poprawiła włóczkową czapkę. Mama wydziergała ją dla niej z moheru nabytego za ciężkie pieniądze w Peweksie. Pod koniec roku tato dostał jakąś gigantyczną premię za zgłaszane w pracy wnioski racjonalizatorskie i postanowił uszczęśliwić swoje trzy kobiety. Do sklepu pojechali w czwórkę, aby panie mogły wspólnie wybrać kolor, który będzie im wszystkim odpowiadał. Ależ to była radość

w czasach, gdy w sklepach straszyły mało atrakcyjne, ponure barwy, a mniej zamożne modnisie musiały się zadowalać własnym rękodziełem sporządzonym ze sprutych starych swetrów lub z taniego anitexu, który szybko się kosmacił i rozciągał. Czapki i szaliki pań Pawłowskich odznaczały się pięknym, żywym kolorem ciemnej czerwieni, który mama określiła jako wiśniowy, a tato jako burgund. Chichotu było wówczas mnóstwo, gdyż ojciec nieszczególnie znał się na odcieniach i dla niego takie niuanse jak przykładowo łośoś, karmazyn czy amarant miały jedno określenie: różowy.

– Głuptasy z was – fuknął wtedy na córki, udając obrażonego.  
– Wy mi tu fiu-bździu o kolorach, a mnie chodzi o to, że ten wasz kudłacz jest w kolorze wyborczego trunku. Ach! Pamiętam, jak mój świętej pamięci ojciec pijał przed okupacją burgunda! – westchnął rozmarzony. – Zawsze nalewał sobie z kryształowej karafki do kieliszka, oglądał pod światło barwę, a potem się delektował. Jeszcze do niedawna przy odrobinie szczęścia można było kupić jakieś lepsze alkohole. A teraz co nam zostało? Kryzys i kartki na cukier. Tak nas Gierek załatwił.

Dzięki głowie rodziny pani i panny Pawłowskie mogły się poszczycić pięknymi szalami oraz czapkami, które przyciągały łąkome spojrzenia. Zośka puszyła się z tego powodu. Martę irytowało, że wyłazi z niej taka próżność. Przecież nie ich zasługą była posada ojca, więc z czym się tutaj obnosić? Czasami, gdy siostra strasznie ją tym drażniła, lubiła jej dogryźć. Przewracała wtedy oczami, przedrzeźniała intonację chwalipięty i, parafrazując zabawną scenę z filmu *Rejs*, mówiła:

– Mój ojciec jest z zawodu dyrektorem.

Tatko też miewał czasami ubaw z tego powodu, bo i jemu raz czy dwa się wyrwało:

– Bardzo mi przykro, inżynier Pawłowski jestem. Magister, żeby nie było! – uzupełniał z przekąsem.

Zocha zwykle obrażała się za docinki, gdyż nie lubiła tego

filmu. *Rejs* uwielbiali za to i ojciec, i Marta. Obejrżeli go kilkakrotnie, za każdym razem dobrze się przy tym bawiąc, choć pierwsze zetknięcie z komedią było dla nastolatki nudne. Oceniała wtedy, że to takie głędzenie o niczym, i dopiero rok lub dwa lata temu odkryła ją na nowo.

W końcu doczekała się na guzdrałę.

Dziewczęta złapały narty i kijki.

– Lecimy, tatku! – Młodsza z córek cmoknęła szorstki od zarostu policzek Wawrzyńca.

– Uważajcie na siebie, sroki! – odparł. – Dołączę do was później z chłopcami.

Tegoroczne ferie zimowe spędzali w krynickim Walcowniku, czyli malowniczo położonym, nowoczesnym ośrodku wypoczynkowym przeznaczonym dla pracowników kombinatu. Na dwutygodniowy turnus przyjechali w aż siedem osób, gdyż rodzice postanowili zabrać ze sobą również Adriana, Marka i Wiołkę, czyli pociechy Karola. Ojciec wytłumaczył swoją decyzję tym, że on i tak niewiele jeździ z uwagi na dokuczliwy ból w lewej ręce, a Gabrysi należy się choć chwila wytchnienia.

Z dziećmiakami było trochę zamieszania, ponieważ mała liczyła niecałe cztery lata i wymagała nieustannego doglądu. Z tej przyczyny na stok wyprawiali się na zmianę, ktoś musiał dyżurować przy dziewczynce. Marta sobie nie krzywdowała, gdy wypadała jej kolej. Zabierała bratanicę na sanki, lepiała dla niej bałwany, razem zrobiły sobie fotkę z ogromnym włochatym niedźwiedziem, choć to ostatnie przeraziło małą.

Kiedy mężczyzna przebrany w kostium wziął Wiołkę na ręce, ta najpierw uderzyła w płacz, a potem, po usilnych zabiegach cioci, która uspokajała ją wszelkimi sposobami, pozwoliła, by ją chwilę potrzymał. Przez ten czas spoglądała jednak podejrzliwie na białego kudłacza, więc można się było spodziewać, że zdjęcie nie będzie najlepsze. Fotograf obiecał, że jak je wywoła, to prześle odbitki na ich nowohucki adres.

W przeciwieństwie do młodszej siostry Zocha nie lubiła wychodzić z bratanicą na deptak.

– Jeszcze kto pomyśli, że to moje dziecko – fuczała z zażenowaniem.

– Ha, ha, ha! Boisz się, że cię kawalerowie odejdą?

– Może tak, może nie! Nie twój interes.

Niby dzieliły je tylko dwa lata, ale jakoś nie mogły się ze sobą porozumieć.

*Ach... Do kitu z takim rodzeństwem. Karol dużo starszy, Zośka ma w głowie tylko chłopaków. Z Ewą łatwiej się dogadać niż z nią. Albo z Danusią – pomyślała o rówieśnicy, którą kochała najmocniej spośród całego kuzynostwa.*

Kiedy kupili moher, uprosiła mamę, aby nie robiła dla niej rękawiczek i nie ozdabiała szalika frędzlami, lecz z zaoszczędzonego w ten sposób skarbu wydziergała choć po opasce na uszy dla kuzynek. A jeśli miałoby zabraknąć włóczki, to lepiej żeby jej szalik był ciut krótszy. Bo ani Dusia, ani Ewcia nie dostaną od swoich mam czegoś równie ładnego.

Marta znała już życie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że sieroty bez ojców mają znacznie trudniej. Ciocia Krysia piła zdecydowanie za dużo alkoholu, przez co w ich domu wciąż brakowało na wszystko pieniędzy. A ciocia Sabinka pracowała w barze mlecznym, gdzie też nie zarabiała kokosów. Z tegoż powodu Paweł, zamiast zdawać maturę, wybrał trzyletnią szkołę zasadniczą i już od paru lat zarabiał – przynajmniej częściowo – na swoje utrzymanie praktykami zawodowymi, odciążając tym samym matkę. Niedawno upomniało się o niego wojsko, wyrywając biedakowi aż dwa lata z życiorysu. Marta spotkała go w Boże Narodzenie, gdy przyjechał na przepustkę, i wydał jej się jakiś taki odmieniony. Zmężniał, dojrzał, wydoroślał.

Kiedy mama usłyszała jej prośbę, pogładziła ją po policzku.

– Moje kochane kociątko. Oczywiście, że zrobię opaski dla

dziewczyn. I wiesz co? Ja też nie muszę mieć rękawiczek z moheru. Mam ładne, skórzane, z barankiem w środku. Te, co kupiłam w ubiegłym roku na Krupówkach. Wystarczą mi na długo. Sobie też zrobię krótszy szalik. Bo przecież i Gabrysia chciałaby pewnie ładnie wyglądać, więc dla niej będzie trzecia opaska, a dla małej Wiolki-Fasolki zrobimy czapkę. Może wystarczy mi włóczki.

Marta ucieszyła się z jej słów. Ale właściwie nie spodziewała się innej odpowiedzi. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest kryzys i każdemu trudniej teraz związać koniec z końcem. Im wiodło się nieźle, co było zasługą tatki. Mama twierdziła, że szczęście podzielone pomiędzy innych robi się jeszcze większe i bardziej cieszy. I trzeba się dzielić, ponieważ dobro zawsze wraca do dobrego, podobnie jak zło wróci do złego.

Wyciąg na Jaworzynie przeżywał prawdziwe oblężenie. Aura sprzyjała miłośnikom zimowych rekreacji, więc dziewczyny z przyjemnością szusowały po stoku, każda z osobna.

Marta szybko straciła z oczu starszą siostrę, którą momentalnie otoczył wianuszek adoratorów. Gibka sylwetka dziewczyny i fryzura w stylu Poli Raksy przyciągały wzrok mężczyzn. Szczęściara miała włosy, które naturalnie wywijają się w pożądaną sposób. Młodsza z sióstr matka natura wyposażyła w gęstą czuprynę, lecz jej pasma były grube i ciężko opadały na ramiona oraz plecy, nie poddając się żadnym próbom kręcenia.

Przed oczami Pawłowskiej kilkakrotnie mignęły w oddali to piękna czapka, to skrawek granatowego kombinezonu. Zawsze obok siostry znajdował się jakiś narciarz, więc uwaga Zochy była skupiona na zachowaniu gracji w ruchach.

Marta przewróciła oczami i solidnie się odepchnęła. Uwielbiała szusowanie. Mogłaby nie schodzić ze stoku. Wiedziała jednak, że mama także przepada za sportem i też pewnie chciałaby skorzystać z zimowych atrakcji. Pomyślała, że

odkąd przyjechali do Krynicy, rodzice mało czasu spędzają razem. Może więc trzeba byłoby im sprawić przyjemność i zabrać bratanków na sanki? A oni niech się choć trochę sobą nacieszą i razem pojeżdżą na nartach. Należałoby im też przypomnieć o organizowanych w bawialni dansingach.



W czasie kolacji Pawłowscy zgodnie stwierdzili, że chętnie wybiorą się na zabawę taneczną. I byłoby im bardzo miło, gdyby córki zechciały w tym czasie doglądać maluchów.

– A ja? – prychnęła Zocha. – Też bym poszła się rozerwać. Martusia, dziecinko – zaakcentowała mocno ostatnie słowo – może ty popilnujesz urwisów? Siostrzyczko kochana – poprosiła przymilnie.

– Nie ma sprawy – odparła zagadnięta.

Nie zależało jej na towarzystwie Zośki, i tak nie miałyby z niej pożytku. Gdyby siostra została, siedziałyby ze skwaszoną miną, czytając książkę lub rozwiązując krzyżówki. Opędzałyby się od bratanków niczym od natrętnych much, a na Wiołkę pewnie nawet by nie popatrzyła. Póki jeszcze Karol z rodziną mieszkał z nimi, Zocha nieustannie miała o coś pretensje: że za ciasno, że za głośno, że zajęta łazienka, że chłopcy gonią po całym mieszkaniu i nie ma ani chwili spokoju. Stroiła fochy nawet o to, że rodzice oddali młodym małżonkom swoją sypialnię, a sami korzystali z „gościnnej” amerykanki w stołowym. No ale jakże by to było, żeby czteroosobowa rodzina gniotła się w ciasnej klitce?

Kiedy byli dziećmi, Karol zajmował nieduży pokój, w którym mieściły się: wąski tapczan, szafa i biurko. Po ślubie zastąpił tapczan wersalką, która po rozłożeniu zajmowała bardzo dużo miejsca, a biurko zastąpił łóżeczkiem, lecz te rozwiązania nie

sprawdziły się na dłuższą metę, gdyż Gabrysia powiła bliźnięta. Gdy chłopcy odrobinę podrośli i okazało się, że pilnie potrzebują drugiego kojca, rodzice zaproponowali zamianę pokoi. No a później wspaniałomyślnie oddali wnukom drugą izbę. Stwierdzili, że i tak zawsze wstają rano jako pierwsi i kładą się na samym końcu, więc dla nikogo nie będzie uciążliwością, jeżeli zajmą wspólne pomieszczenie, w którym domownicy spędzają najwięcej czasu.

W końcu, po latach oczekiwania, rosnąca w siłę rodzina zdobyła upragnione mieszkanie. Akurat na osiedlu XX-lecia PRL zwolniło się dwupokojowe lokum, ponieważ dotychczasowi użytkownicy wyjeżdżali na Śląsk. I tutaj znowu pomogły stare znajomości Bronka w wydziale kwaterunkowym. Nie było łatwo, ale wujek zakręcił się wokół sprawy tak, że choć chętnych było co niemiara, Pawłowscy dostali przydział. Wprawdzie mieszkanie było nieduże: z przechodnim pokojem i ciasną kuchenką, ale nie wybrzydździ. Wzięli, co się nawinęło, bowiem w perspektywie mieli jeszcze dziesięć lat oczekiwania, aż trafi się coś w blokach, które powoli wyrastały na obrzeżach dzielnicy. Zawsze była szansa, że z biegiem czasu wymienią mieszkanie na większe. Wszak wznoszono wciąż nowe osiedla: Bohaterów Września, Piastów i Dywizjonu 303. Problem w tym, że to wszystko trwało nieznośnie długo, a kolejka oczekujących wciąż się wydłużała.

Po ich przeprowadzce rodzice wrócili do swej dawnej sypialni, a Zośka z miejsca zaanektowała pokój Karola, na który już od dawna ostrzyła sobie zęby. Teraz było im wygodniej, umilkły poranne i wieczorne kłótnie o to, kto pierwszy skorzysta z łazienki, kto ma poodkurzać w mieszkaniu, a kto zrobić zakupy.

Kolacja dobiegła końca.

– No, to wracamy do pokojów. Młodsza młodzież idzie się myć, a potem do spania, a starsza młodzież szykuje się na dansing –

zakomenderował Wawrzyniec. – Martula, jesteś pewna, że nie będzie ci przykro, jeśli zostaniesz sama z dzieciakami?

– Absolutnie – zapewniła.

– Ścigamy się do pokoju! – krzyknął Marek i, nie czekając na brata, ruszył pędem w stronę klatki schodowej.

– Hej, hej, panowie! – ryknął za nimi Wawrzyniec, rozmasowując nieprzyjemnie drętwiejącą rękę. – Tylko nie pomylcie pięter i pokoi.

– Czwarte piętro, a pokój z pieczątką niedźwiedzia – rzucił wnuk i tyle go widzieli.

– Jak dobrze, że dają w recepcji te pieczątki – stwierdziła Julka. – Niby stare konie z tych naszych wnuków, a bez niedźwiedzia na drzwiach w życiu nie znaleźliby odpowiednich drzwi.

Walcownik był wyjątkowo dużym ośrodkiem wypoczynkowym. Wszystkie kondygnacje kilkupiętrowego budynku wyglądały podobnie, więc dzieciaki często gubiły się na korytarzach. Jakiś czas temu personel wpadł na pomysł ułatwienia życia rodzicom oraz dziadkom, którzy wypoczywali wraz z maluchami. By dzieci łatwiej mogły odnaleźć pokoje, można było w recepcji wypożyczyć pieczątkę z jakimś obrazkiem, na przykład ze zwierzątkiem lub rośliną, a następnie umieścić opieczętowaną nią kartkę na drzwiach.

– Znowu nadwyrężyłeś rękę, tatku? – zatroszczyła się Marta.

– Do wesela się zagoi – stwierdził.

– Ha! Ha! Ha! Czyjego, bo chyba nie twojego? – parsknęła Zocha.

– Ważne, żeby do twojego puściło – dał córce prztyczka w nos – bo przy tej ilości absztyfikantów, która dzisiaj śmigła za tobą na stoku, spodziewam się, że weselne dzwony szybko zabiją.





Dorota zapaliła znicz i postawiła go na nagrobku.

Mijał rok od dnia, gdy niezwyczajnie poblady Ksawery zjawił się w bibliotece, aby poinformować ją o śmierci swej żony.

*Biedactwo... Tak nagle odeszła na zawal. A miała jeszcze tyle przed sobą, choć nie raz zarzekała się, że nie ma po co żyć. Ale przecież dochowała się trzech córek i kilkorga wnuków. Czyż nie są to wystarczające powody do zadowolenia? A inne, drobne przyjemności dnia codziennego? Nawet ja potrafię doceniać drobiazgi, choć żem samotna.*

Pomyślała o Kacprze, który w minione święta poprosił Dubielów o rękę Elżuni, co spotkało się z wielkim entuzjazmem sąsiadów spod lasu. Młodzi planowali ślub w czerwcu. Do tej pory szczęśliwa narzeczona zda maturę i może najmie się do pracy w biurze PGR-u. Ksawery wspominał coś o takiej możliwości, gdyż brakowało mu pomocy dla księgowego prowadzącego rachunki spółdzielni. Równie dobrze dziewczyna mogłaby zastąpić leciwą kasjerkę w podległym gospodarstwu skupie płodów rolnych. Po weselisku małżonkowie zamieszkają u Szymczaków. Miejsca będą mieli pod dostatkiem. Przez większą część roku niemalże wszystkie pokoje stały puste, zaludniając się jedynie od święta, w czasie ferii albo wakacji.

*A niechby prędko doczekali się dzieciątek – szeptała pobożne życzenia.*

Pochuchała w przemarznięte dłonie. Oczywiście zapomniała rękawiczek!

Zrobiła znak krzyża, a potem wcisnęła pięści w kieszenie kożucha.



Wieczór spędzała samotnie, siedząc w wielkiej izbie na

wyplatany fotelu bujanym, który, podobnie jak niejeden drobiazg w tym domu, pamiętał młodość bądź to Zenobii, bądź to babci Helenki. Kacper poszedł z Elżunią na zabawę karnawałową, a jej pozostało czytanie książki lub oglądanie telewizji. A że ostatnio odbiornik mocno śnieżył i trzeba było solidnie kręcić anteną, by złapać choć trochę lepszy obraz, zamiast denerwować się złym przekazem, wołała zgłębiać świat literackiej fikcji. Ten był nawet bezpieczniejszy i spokojniejszy od prezentowanego w wiadomościach. Jeśli nie miała ochoty słuchać o cudzych nieszczęściach, wojnach i kataklizmach, śmierci Mao Zedonga lub innego notabla znanego tylko z *Dziennika Telewizyjnego*, to po co było zawracać sobie głowę? Jak czytała takiego na przykład *Lesia* lub *Romans wszechczasów* Chmielewskiej, to świat od razu stawał się przyjemniejszy.

Od lektury oderwało ją najpierw agresywne ujadanie Cezara, a potem stukanie do drzwi. Zerknęła na zegar – dochodziła ósma.

*Kogóż może nieść tak późno? Ostatni pekaes dawno przejechał, Julka z rodziną w Krynicy, koledzy Kacpra dobrze wiedzą, gdzie go szukać. Czyżby jakieś nieszczęście? Nie daj Boże!* – rozmyślała gorączkowo, narzucając na ramiona grubą wełnianą chustę i drepcząc w stronę ganku.

– Ksawery? – wyraziła zdumienie, widząc mocno zarumienionego mężczyznę, który na ten ziąb wyprawił się do niej pieszo. Nie zauważyła na podwórku łady, odkupionej trzy lata wcześniej od jakiegoś ważnego urzędnika z Limanowej. – A co ty? Bez samochodu?

– Zrobiłem sobie spacer. – Rozciągnął usta w uśmiechu. – Mogę wejść? – zagadnął, gdyż gospodyni stała niczym posąg.

– Tak, oczywiście. – Przepuściła go do środka.

Zaszeleściły kolorowe paski powieszony nad futryną.

Mężczyzna starannie wytarł obuwie. Czapkę zdjął już przed

drzwiami, więc po prostu ją odłożył. Zsuł kożuch i powiesił na haczyku.

– Przepraszam cię za to najście – powiedział – ale byłem na cmentarzu, bo to przecie rok minął, odkąd pochowałem Amelię. A później postanowiłem się trochę dotlenić.

– Tak, pamiętam, że to rocznica śmierci. Ja też byłem dzisiaj na jej grobie. Chodźże dalej, do gościnnej izby – zaprosiła. – Spocznij, a ja zaparzę ci gorącej herbaty na rozgrzewkę.

Kiedy wróciła do wielkiej izby, niosąc tacę z dwiema filiżankami, cukiernicą i talerzykiem serowca, Ksawery spacerował po pomieszczeniu, oglądając oprawione w ramki zdjęcia, które od kilku pokoleń wieszano na ścianach. Dłużej zatrzymał się przy dagerotypie Zenobii.

– Piękna kobieta – rzekł z uznaniem. – Masz te same oczy co ona. Niech zgadnę! Twoja babcia?

– Prababcia – odparła.

Gdy była młodą panią, jeszcze nieskalaną przez radzieckich obdartusów, wszyscy mawiali, że jest do niej uderzająco podobna. A później... Cóż, urodę zabrały tamte potwory, a wraz z nią odfrunęła i młodość – równie ulotna jak łąbędzy puch unoszony podmuchami wiatru.

Kobieta położyła tacę na stole. Rozstawiła naczynia.

– Zapraszam. – Wskazała dłonią krzesło.

Olszański podszedł bliżej, lecz nie usiadł. Wahał się przez moment. Zatrzymał się dosłownie krok od pani domu. Spojrzał jej w oczy. Nagle atmosfera zgęstniała. Serce Szymczakówny zaczęło bić szybciej, jakby zaraz miało zajść coś niezwykłego. I rzeczywiście przeczucie jej nie zawiodło, bowiem mężczyzna osunął się na klęczki. Złapał jej rękę, delikatnie przycisnął do ust. Czują ciepło jego oddechu. Z rozszerzonymi zdumieniem źrenicami patrzyła, jak tuli policzek do naznaczonego bliznami grzbietu dłoni, a następnie wnętrza. Poruszyła palcami, muskając jego twarz.

– Dorotko – powiedział zduszonym głosem. – Tęsknoto moja nieutulona, marzenie moje. Padam do twoich nóg i proszę, byś uczyniła mi zaszczyt i połączyła się ze mną świętym węzłem małżeńskim.

Spoglądała na niego w osłupieniu.

Kiedy była młodziutką panienką o ślicznej gładkiej buzi, marzyła o chwili, gdy jakiś mężczyzna przyśle do matuli swatów, by prosić o jej rękę. Później pogrzebała te rojenia na wieki. Wiedziała, że małżeństwo nie jest dla niej. Nim w domu pojawił się Kacper, brała pod uwagę nawet wstąpienie do klasztoru, choć absolutnie z nikim o tym nie rozmawiała, bo cóż innego mogłaby zrobić ze swoim życiem, by nie być nikomu ciężarem i zawadą? Nawet gdy zmarła Amelia, nie przeszło jej przez myśl, że miałyby związać się z Ksawerym. Nie byli pierwszej ani nawet drugiej młodości. Latoś miała skończyć pięćdziesiąt dwa lata, a on, zdaje się, był już po sześćdziesiątce. Ludziom w ich wieku nie wypada myśleć o amorach i błahostkach, lecz o śmierci i nadziei na zbawienie.

W minionym roku Olszański zachowywał się nader poprawnie. Unikał sytuacji, gdy mogliby znaleźć się sam na sam. Nie szukał okazji do umizgów. Dorota była głęboko przekonana, że po tylu latach po prostu ochłonał, a jego uczucia wygasły.

Nic bardziej mylnego, gdyż teraz klęczał, spoglądając jej w oczy z wielką miłością. A ponieważ mocno zaskoczona milczała, to on pierwszy przełamał ciszę.

– Dorotko, wiesz, że nigdy nie przestałem cię kochać. Każdy moment mojego życia tutaj, każda chwila, każdy oddech i myśl tak naprawdę należą do ciebie. Wybacz mi, że przywołam teraz smutną przeszłość. Mam świadomość, że zostałam przed laty potwornie skrzywdzona i być może lękasz się teraz samej myśli o zbliżeniu z mężczyzną, więc uprzedzę twoje obawy. Ja nie oczekuję aż tak wiele. Mnie do szczęścia wystarczy, że będziesz

blisko. Pozwolisz mi, bym cię pocałował i przytulił. Że porozmawiamy lub razem pomilczymy. Że opromienisz mój świat samą swoją obecnością. Przysięgam, że nigdy, przenigdy nie dotknę cię bez twojej zgody.

Kobieta wetchnęła cichutko i pogłaskała go po głowie.

– Ksawery... Zaskoczyłeś mnie.

– Przecież mówiłem, że moje uczucie nigdy się nie zmieni. Miniony rok upływał mi w niebywalej męce, ponieważ z jednej strony winny byłem uszanować żałobę mej rodziny oraz pamięć Amelii, a z drugiej strony wciąż musiałem się pilnować, by zachowanie moje nie zdradziło, że nie czuję się wdowcem, ale po prostu wolnym człowiekiem. No jak, Dorotko? Zechcesz mnie uszczęśliwić swoim towarzystwem?

– Och, Ksawery! Takie szaleństwo w naszym wieku? Co ludzie powiedzą? – Załamała ręce, a on, widząc jej brak zdecydowania, roześmiał się tylko.

– Czy to jedyny powód, dla którego się wahasz?

Milczała dość wymownie, więc oznajmił:

– Moja miła, oświadczam ci, że się nie podniosę, póki nie dasz mi słowa, że za mnie wyjdiesz.

– To szaleństwo – powtórzyła, lecz w jej oczach zamigotały radosne iskierki.

– Nie wstanę. Słowo daję!

– Wstańże, Ksawery! Tak nie można. Pomyśl o tym, jak ludzie będą strzępili języki!

– Nie ruszę się. Jakem powiedział, tak będzie. Kochana. – Ucałował jej dłoń. – Nie skruszył twego serca widok człowieka na klęczkach? – Jego ton był lekki, pogodny.

– Wstań, uparciuchu – poprosiła.

Wtem od sieni dobiegł głos Kacpra:

– A dejcież mu słowo, cioteczko, to wstanie. Miejcież litość nad panem naczelnikiem. Toć mu kolana zdrętwieją – zaśmiał się młody. – Panie naczelniku, jakby co, to ja, jako jedyny

mężczyzna w tym domu, daję zgodę.

– No nie! Czy to zmowa? Przecie miałeś iść na tańce z Elżunią!

– Tańce nie zając, nie uciekną. A my postanowiliśmy świętować zaręczyny z ciocią. – Zza pleców chłopaka wyłoniła się Elżbieta.

– Ksawery! – Dorota zwróciła wzrok na klęczącego absztyfikanta i choć ciężko jej było zachować powagę, zapytała: – To był spisek?

– Nie. – Pokręcił głową. – Choć przyznaję, że zamieniłem na ten temat parę słów z Kacprem. Ciekaw byłem, jak zareaguje.

– A ja dodałem dwa do dwóch i z rachunku mi wyszło, że pan się dzisiaj oświadczy – uzupełnił bratanek. – A że cioteczkę znam jak własną kieszeń, spodziewałem się zastać taki widok. – Wskazał klęczącego od dłuższego czasu mężczyznę.

– Ciociu – pisnęła błagalnie Dubielówna, która od dnia zaręczyn nie tytułowała Dorotki inaczej.

Szymczakówna zwróciła się ponownie ku Olszańskiemu.

– Siła złego na jednego. Tak – odparła, udając zrezygnowaną, lecz już ułamek sekundy później jej twarz zajaśniała pełnym szczęścia uśmiechem.

Ksawery chciał się zerwać z kolan, lecz oczywiście zdążył już ścierpnąć.

– A dyć pleban podczas adoracji nie trzyma nas dłużej na klęczkach – sapnął.

Kacper doskoczył i pomógł mu się podnieść. Naczelnik poklepał go po ramieniu.

– Dziękuję, chłopcze.

A potem porwał Dorotę w objęcia i na oczach jej bratanka oraz Elżbiety wycisnął na ustach narzeczonej krótkiego, mocnego całusa. Młodszy narzeczeni ulotnili się dyskretnie, zamykając za sobą drzwi od paradnej izby.

– Dorotko moja jedyna – szeptał uszczęśliwiony Ksawery. – Tyle lat oczekiwania i tęsknot, a teraz Bóg za wszystko mi

wynagrodził. Szczęście ty moje!

Pozwoliła, by ją pocałował – pierwszy raz od wielu lat.

Pierwszy raz bez grzechu.



Koniec lutego przyniósł mieszkańcom Nowej Huty premierę filmu, który chciał zobaczyć niemalże każdy mieszkaniec dzielnicy. Bronek na ochotnika zgłosił się do odstania w długiej kolejce do kasy, a następnie kupił bilety dla całej swojej rodziny, Pawłowskich oraz Ewy. Po projekcji wszyscy udali się do Julki na kawę i ciepłą szarlotkę. Wcześniej jednak spędzili niemalże trzy godziny w kinie Świt, oglądając *Człowieka z marmuru* – film o początkach budowy Nowej Huty.

Rodzina zasiadła przy stole. Młodzież zajęła się ciastem, a Bronek wyszedł na balkon, aby zapalić papierosa. W ślad za nim udała się pani domu, narzucając na ramiona kożuszek, gdyż ziąb ciągle jeszcze trzymał.

– Przyszłaś mnie łajać? – zagadnął brat.

– Nie – odparła Julia. – Ten film tak mną wstrząsnął, że chciałam na chwilę wyrwać się z gwaru. Zresztą widziałam w kinie, że i ciebie to wszystko poruszyło.

– A jakżeby inaczej, Julisiu? Toć to nasza młodość i nasze dojrzewanie. Bo tak naprawdę to tutaj każde z nas dojrzało i tutaj dotarło do nas ostatecznie, jak bardzo zmienił się świat.

– I że to już się nie cofnie – westchnęła.

– Ano nie. Patrzyłem na ekran i wspominałem, jakeśmy stawiali pierwsze domy i wznosili kombinat. – Przypomniał sobie o falujących złocistych łanach zbóż, które bez litości rozdierano ostrzami łopat i szatkowano gąsienicami koparek. – W ogromnym znoju, upale i niebywałym tempie układaliśmy na wyścigi cegły. Nic to, że często szło byle jak i potem musieliśmy

wszystko poprawiać lub rozbierać. Liczyła się ilość, nie jakość. Byle szybciej, byle więcej. Byśmy potem mogli przywdziać na pochod pierwszomajowy szarfę z cyferkami.

– Robota głupiego.

– Ano. Ale za to nasze wizerunki wisiały w alei Przodowników Pracy. A później portrety i tak poszły do lamusa, rekordy zostały zapomniane, stachanowcy przepadli wśród zawirowań historii. Jak Birkut.

– Tak jak ty po bitwie o krzyż.

– Tak jak ja. – Pokiwał siwą głową i drżącą z emocji ręką przytknął papierosa do ust. Trzymał go głęboko pomiędzy palcem wskazującym a środkowym. Zaciągnął się, wypuścił dym, odkaslnął. Wyjątkowo Julia darowała sobie strofowanie brata.

– Jakież to było wtedy wszystko dzikie, wzbudzające grozę. Dalej jest strasznie, choć te strachy nieco się zmieniły. Ale mimo wszystko większość jest taka sama.

– Człowiek człowiekowi wilkiem.

– Ano.

– Janek też by się wzruszył – podjął brat zduszonym głosem. – To był film o ludziach takich jak my. O naszej zakichanej przeszłości. O tym, jak nas system załatwił po zamieszkach. Z dnia na dzień przestały się liczyć osiągnięcia w pracy, nasze zasługi poszły w zapomnienie – kontynuował z goryczą.

Mówił bez pośpiechu, spoglądając na plac Centralny oświetlony blaskiem ulicznych latarni oraz barwnymi neonami Markizy i PKO.

– Cała ta nasza robota, to tyranie ponad siły i zdrowy rozsądek okazały się nieistotne. Nie liczył się człowiek i jego potrzeby, ale system. Myśmy byli z góry spisani na straty. Zauważ ty, Julcia, jak pojedziesz kiedy na cmentarz w Grębałowie, ilu tam jest pochowanych chłopaków w sile wieku. Trzydziesto- i czterdziestoparolatków z płucami



przeżartymi przez żar kombinatu, zniszczonych mozolną robotą najpierw przy budowie tego czorta, a potem przy wytopie stali. Z przegnitymi od alkoholu wątrobami, bo wódki nam nie żalowali nigdy, a po wódce to już człowiekowi było wszystko jedno.

– Jesteśmy ludźmi z marmuru, bo znieśliśmy to wszystko – odparła.

– Nie z marmuru, bo ten nie pasuje do Huty. Nas odlali z żelaza. Ech... Dobry Boże. Nie dożyło się Jankowi tej chwili! – Głos mu się załamał dziwnie.

– Wszystkim nam go brakuje, Broniś.

Julia uścisnęła jego spracowaną rękę. Z rozczuleniem pogłaskała suchą, chłodną skórę. Nie narodził się na murarza ani tym bardziej hutnika. Miał być gospodarzem.

Bronek zgasił kolejnego papierosa. Odwrócił się twarzą do drzwi, lecz jeszcze nie wszedł do pokoju. Patrzył przez szybę na swoje dzieci, dziewczęta Julki i Ewę. Przekomarzali się przy stole. Przez niezbyt szczelne okno dobiegał ich radosny gwar. Na nich film o Birkucie nie zrobił aż tak dużego wrażenia. Oni tego wszystkiego nie znali – wychowani w cieplarnianych warunkach, chronieni przez rodziców przed wszystkimi zagrożeniami otaczającego ich świata, ostrzegani przed smętnymi ludźmi z czarnych wołg. Jeszcze do niedawna opływali we wszystkie dostatki, gdyż pierwsze lata rządów Gierka przyniosły ludziom upragniony dobrobyt. Co z tego, że na kredyt?

Dzisiaj trudno było nauczyć tę młodzież, że kryzys nie jest niczym niezwykłym, podobnie jak drogie mięso, brak czekolady i pomarańczy. Jak im wytłumaczyć, że przed cudami uczynionymi przez Gierka było równie trudno?

Siostra zdawała się myśleć o tym samym, gdyż też w zadumie spoglądała na gromadkę nastolatków i siedzącego pomiędzy nimi Wawrzyńca. Po chwili jednak zaskoczyła brata, bowiem

znowu wspomniała o śmierci Kulki, lecz tym razem w innym kontekście. Nie myślała więc już o filmie i o trudnościach gospodarczych przeciętnej polskiej rodziny.

– Nie uważasz, że należałoby porozmawiać z Ewą? – szepnęła.

– Chodzi ci o jej kawalera? – zagadnął, bowiem od kilku miesięcy siostrzenica spotykała się z mężczyzną.

Robert Kowalik nieszczególnie przypadł Szymczakom do gustu. Niby był grzeczny wobec innych, szanował Ewę, ale jakoś tak niedobrze mu z oczu patrzyło. Jako znacznie starszy od swej dziewczyny, powinien zachować zdrowy rozsądek, lecz on zamiast pilnować, by się uczyła, zdała maturę, a potem poszła na studia, gdyż bestia była nad podziw inteligentna, mącił jej tylko w głowie i zabierał czas. Kryśka w ogóle się tym nie przejmowała. Zobojętniała na to, czy córka ułoży sobie jakoś sensownie życie. Poważnie zaniedbywała wychowanie Ewy, i właściwie od śmierci Janka to Broniek, Bogumiła i Julka zastępowali dziewczynie ojca i, niestety, również matkę. Ale niechby tylko które próbowało zająknąć się na temat adopcji! Oj, skakała im wtedy do oczu!

– Nie. Myślę o poważniejszej sprawie. Nie uważasz, że należy jej się prawda?

– Tak, ale to cholernie trudny temat. Znasz zdanie Krysi.

– Znam. Jużem z nią nie raz o to koty darła. Nie można okłamywać dziecka. Zwłaszcza gdy jest dorosłe. Małom się napłakała nad własną głupotą, gdy przepadł Karol? Zawsze mi to będzie ciążyło na sumieniu. Choć ksiądz odpuścił mi grzechy, mam wrażenie, że nigdy tego nie odpokutuję. Zawsze mam w głowie myśl o moim absurdalnym strachu, że sprawię ból synowi, gdy prawda wyjdzie na jaw. A te wszystkie niedomówienia sprawiły, że cierpiał po dwakroć.

– No tak. Doskonale to rozumiem. Ale nic nie wiemy na temat biologicznych rodziców Ewy. Prawda więc niewiele zmieni.

– A jeżeli ona zechce sprawdzić, czy jeszcze żyją? Albo w ogóle

ich odszukać, poznać, zapytać o to, dlaczego wylądowała w domu dziecka?

– Znasz Kryskę. Będzie to bardzo przeżywać. Bo choć mocno zaniedbywała wychowanie Ewy, to trzeba jej oddać sprawiedliwość: jest do niej bardzo przywiązana. Nie łam jej serca.

– Nie wierzę, że to mówisz – stwierdziła z goryczą Julia.

– Julciu, posłuchaj mnie uważnie. Powiedziałem: nie łam jej serca – powtórzył. – Ona nigdy nie wbiła sobie do tej durnej łepetyny, że nic nie jesteś jej winna. Zawsze była o ciebie zazdrosna. Jeśli nie ze względu na Bartka, to, nie wiedzieć czemu, o Janka.

– Wiedziałeś?

– Ślepy by zauważył.

– Ale ja nigdy... Broniś!

– Wiem – uciał krótko. – To jej coś rzuciło się na głowę. Proszę, zostaw sprawę Ewy w spokoju. Ja to załatwię. Spróbuję po raz ostatni porozmawiać z Krysią – obiecał.



– Dokąd się wybierasz, Agnisiu? – zagadnął Bronek córkę sobotnim popołudniem, widząc, że ta szykuje się do wyjścia.

– Natałka ma dzisiaj urodziny. Postanowiłyśmy, że w prezencie kupimy jej bilet do kina. Idziemy na *Inną* – odparła, zapinając ciepły kożuszek, który dostał jej się niedawno po mamie. – A potem jeszcze postawimy jej jakąś pychotę w koktajlbarze czy Jubilatce.

– A, to złóż jej ode mnie życzenia. Bawcie się dobrze!

Dziewczyna wybiegła przed klatkę schodową. Mróz zelżał, już nie szczypał w policzki tak mocno, jak jeszcze kilka dni wcześniej. Zima wyraźnie ustępowała pola nadchodzącej

wiośnie. Szymczakówna poprawiła jednak czapkę, szczelnie zasłaniając uszy. Potem dziarsko powędrowała w stronę przystanku tramwajowego. Z koleżankami umówiona była w kinie.

Nie zwróciła uwagi na to, że w ślad za nią ruszył mężczyzna, który do tej pory krył się w cieniu bramy.



Zygmunt Gruca od kilku dni obserwował córkę Bronisława Szymczaka, aktywnego działacza opozycji. Nie miał na nią zlecenia i chęć przyjrzenia się poczynaniom smarkuli pojawiła się raczej przez przypadek i z zainteresowania jeszcze inną osobą. Co do ojca tej gówniary – kogoś, kto przez lata znajdował się pod czujną obserwacją bezpieki, nie można było spuszczać z oczu na dłużej. Zwłaszcza gdy chodziło o człowieka o tak burzliwej przeszłości. Rutynowo sprawdził więc jego powiązania, podsłuchał kilka rozmów, trochę za nim położył. Zebrał garść informacji o średniej przydatności. Dla porządku sprawdził też jego rodzinę. Już miał kończyć obserwację, gdy zwrócił uwagę na pannę, która przyjaźniła się z małą Szymczakówną.

Niedawno skończył czterdzieści jeden lat. Od jakiegoś czasu kręciły go takie gówniary jak Agnieszka i jej koleżanki: młode, świeże, niezepsute. Podniecała go pączkująca kobiecość, choć jeszcze do niedawna gustował w doświadczonych paniach, świadomych własnej seksualności. Nie był z żadną w stałym związku, nie zaprzętał sobie uwagi zakładaniem rodziny. Jak miał potrzebę, by spędzić trochę czasu z płcią piękną, podrywał jakąś lalę w kawiarni albo korzystał z usług Bożeny Morek, swojej ulubionej podopiecznej. Takich jak ona miał kilka, rozmieszczonych w różnych punktach miasta. Czasami po

starej znajomości zaglądał również do Celiny, choć podstarzała bajzelmama już dawno przestała go podniecać. Miała jednak różne atrakcyjne znajome, którym pomagała funkcjonować w półświatku. Nie narzekał więc na brak atrakcji. A jednak wdzięki prostytutek zdążyły mu się już przejeść. Potrzebował odmiany – czegoś zupełnie innego – dla równowagi.

Odpowiedzią na tę potrzebę mogła być Natalia Rzeszutko – przyjaciółka Szymczakówny.

Aż go trzepnęło, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Dosłownie. Było to uczucie takie, jakby został porażony prądem. Niebieskooka blondynka o świetlistej urodzie anioła, wąskich biodrach i niedużych piersiach rysujących się nieśmiało pod swetrami robiła powalające wrażenie.

Z tego anioła często się wyśmiewał – wszak był programowo niewierzący. Ale nie znalazł odpowiedniejszego porównania dla jej subtelnej urody.

Mignęła mu w mieście zaledwie dwukrotnie. Wiedział, że ma na imię Natalia. Na razie nie ustalił niczego więcej, gdyż profesjonalizm nakazał mu skupić się na treści zadania, a nie na błahostkach. Skoro jednak zakończył pracę, mógł sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa. Chciał poznać tę małą i skosztować ożywczego smaku młodości. Miał nadzieję, że tym razem nic mu nie przeszkodzi i Agnieszka Szymczak doprowadzi go do swojej przyjaciółki.

W ślad za nią dotarł przed budynek Świtu. Nie zawiódł się – w grupce kilku koleżanek dostrzegł obiekt swojego pożądanego. Dziewczyny wybierały się na popołudniowy seans. W kinie leciał akurat jakiś film psychologiczny dla młodzieży. Nic zdrożnego, co wymagałoby przez pannice kombinowania, jak dostać się do środka. Ustawił się za nimi w ogonku do kasy i bez problemu nabył bilet rząd dalej i kilka miejsc w bok. Na razie zamierzał dobrze ją sobie pooglądać. Potem zdecyduje, jak dobrać jej się do skóry.

Dziewczyny siedziały w przedostatnim rzędzie, jedząc krówki i chichocząc. Ze swojego miejsca dobrze widział profil dziewczyny, zgrabne ucho ozdobione jakąś drobną błyskotką oraz jasne włosy spięte w kucyk. Smarkule chichrały się tak, że syknął ze dwa razy, niby po to, by je uciszyć, lecz w rzeczywistości miał nadzieję, że Natalia zerknie w jego stronę. I rzeczywiście, dopisało mu szczęście. Ośmielona ciemnościami panującymi w kinie, odwróciła się i pokazała mu język.



Natalia zamarła, gdy jej wzrok zetknął się ze spojrzeniem mężczyzny, który próbował uspokoić ich chichoty. Z miejsca zalała ją fala wstydu za niefrasobliwe zachowanie.

W zaciemnionej sali nie widziała zbyt wyraźnie siedzącego w pobliżu człowieka. Mrok ukrył wiele szczegółów, takich jak karnacja, kolor oczu i włosów, choć domyślała się, że te ostatnie są raczej ciemne. Dostrzegła jednak męską zuchwę, modne bokobrody i przenikliwe oczy, w których zatraciła się bez reszty. Jej serce załomotało niespokojnie.

Odwróciła się bardzo powoli, gdyż oderwanie wzroku od nieznajomego kosztowało ją sporo wysiłku. Przestała uczestniczyć w wymianie uwag pomiędzy koleżankami. Próbowwała skupić się na filmie, lecz jej percepcja pozostawała nieczuła względem obrazów wyświetlanych na wielkim ekranie. Przez resztę seansu dziewczyna siedziała jak na szpilkach, czując na policzku spojrzenie nieznajomego. Co jakiś czas zerkała ukradkiem w jego stronę. On chyba też spisał ten seans na straty, ponieważ za każdym razem natrafiała na świdrujące spojrzenie.

Gdy film dobiegł końca, na widowni powstało naturalne zamieszanie związane z przepychaniem się tłumu do wyjścia.

Natalia rozglądała się dyskretnie, lecz w ciżbie nie dostrzegła intrygującego mężczyzny.

A może go nie rozpoznała po włączeniu światła?

Czy przeszedł obok niej zupełnie zignorowany, lecz minął ją na tyle blisko, by zauważyć szkolną tarczę naszytą na rękawie kurtki lub usłyszeć jej imię?

Na moment zmarkotniała, bo tam, w ciemnej sali kinowej, odniosła wrażenie, że wpadła mu w oko. Nie żeby jej na tym jakoś szczególnie zależało! Nigdy w życiu! Ale doszła do wniosku, że jego oczy miały hipnotyzującą moc, którą została spętana.

Choć nie miała wielkich doświadczeń w relacjach damsko-męskich, zrobiło jej się przykro. Miała bowiem nadzieję, że tamten chłopak podejdzie do nich po projekcji i zaprosi ją na randkę.



Kilka dni później Bronek i Bogusia ponownie zajrzeli do Pawłowskich. Brat nie miał dobrych wieści dla Julii.

– Absolutnie nic nie możemy zrobić w sprawie Ewy. Krystyna powiedziała, że jak wygadamy cokolwiek jej córce, to pójdzie i się powiesi, a na nas spadnie ciężar winy za tę śmierć – powiedział grobowym głosem.

Wzburzona pani domu zerwała się z krzesła.

– Co za franca zbolą! Co za małpa! – wybuchła niepodobnym do niej gniewem.

Oczy Wawrzyńca i gości zогromniały. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby Julka tak mocno się zdenerwowała i wyzwała kogokolwiek. Zawsze to ona karciała innych za wzajemny brak szacunku. Tymczasem teraz, wytrącona z równowagi, miotała się po pokoju stołowym.

– Nie można tak kłamać w nieskończoność! Czy ona tego nie rozumie? Co chce w ten sposób osiągnąć?

– Może boi się, że utraci dziecko? – zasugerowała Bogumiła.

– Ewa jest już dorosła. Pewnego dnia wyjdzie za mąż i wyprowadzi się z domu, a Krystyna będzie musiała się z tym pogodzić!

– Niby tak, ale to trochę inna sytuacja. Może Krysi chodzi o to, że póki Ewa uważa się za jej córkę, to wszystko jest dobrze? Bo matce można wybaczyć pijaństwo i brak troski?

– A może właśnie dlatego Ewa tak się dała omotać temu facetowi? Bo ma dość matki pijaczki, która wywiera na wszystkich emocjonalną presję i chciałyby, aby cały świat kręcił się wokół niej, podczas gdy sama nic od siebie nie daje! Jak ona może – kipiała wściekłością – straszyć nas czymś tak makabrycznym!



Przez następnych kilka dni Natalia uczęszczała na lekcje, spotykała się z koleżankami i wypełniała normalne obowiązki domowe. Przestała myśleć o człowieku spotkanym w kinie, choć bywały momenty, gdy przypominała sobie jego przenikliwy wzrok. Przeszła jednak nad sprawą do porządku dziennego.

Nie miała pojęcia, że w tym czasie Zygmunt pracowicie zbierał informacje na temat nie tyle jej, co rodziny. Nim spotkała go po raz kolejny, wiedział, że jej ojciec, szeregowy urzędnik w Budostalu, należy do partii, co nie przeszkadza mu w praktykowaniu religii, a nawet przyjmowaniu księdza po kolędzie. Podobny zasób wiadomości miał na temat jej matki – referentki z kombinatu, która swoje dwie córki wychowywała w katolickiej dyscyplinie.

Gruca zdążył też niepostrzeżenie przyjrzeć się samej Natalii



i choć dzieliła ich znaczna różnica wieku, uznał dziewczynę za godną zainteresowania. Urzekły go jej młodość, brak zepsucia i subtelna uroda.

Za nic w świecie nie przyznałby przed sobą samym, że najbardziej pociągało go w niej pewne podobieństwo do Bożeny, mimo że Natalia była znacznie szczuplejsza. Dla niego stanowiła doskonalszą wersję wieloletniej kochanki. Ucieleśnienie ideału. Kogoś, kim Morkówna nigdy nie była i już nigdy nie będzie.



Krótko po ostatnim dzwonku Agnieszka i Natalia opuściły szkolne mury. Szły na przystanek tramwajowy beztroskie i rozświergotane – jak to dziewczęta. W powietrzu coraz wyraźniej czuło się nadchodzącą wiosnę. W pewnym momencie Rzeszutkówna przystanąła i zamarła.

– Ej, co jest? – zdziwiła się przyjaciółka.

– To chyba ten facet z kina – odparła szeptem. – No wiesz, ten co najpierw nas uciszał, a potem wciąż się gapił.

Agnieszka spojrzała w kierunku wskazanym przez przyjaciółkę. Zauważyła mężczyznę opartego pośladkami o fiata zaparkowanego wzdłuż ulicy. Jego twarz wydała jej się znajoma, ale nie potrafiła ocenić, czy chodzi o przelotne zerknięcie w kinie, czy spotkała go już w innych okolicznościach.

– Słuchaj, ale on jest stary. Ma chyba ze trzydzieści lat. Albo więcej – stwierdziła z niesmakiem.

– Noo... Ale jest interesujący – odparła Natalia, patrząc w stronę szatyna, który ewidentnie ożywił się na jej widok i pomachał ręką, a potem ruszył w jej kierunku. Dziewczyna zrobiła krok do przodu.

*Czyżby na mnie czekał?* – przemknęło jej przez myśl.

– Weź ty się nie wygłupiaj, Natka! Lepiej zwiewajmy – usłyszała szept Agnieszki. – Nie wiadomo, kto to i czego może chcieć – perswadowała koleżanka, lecz było już za późno, gdyż Rzeszutkówna wyszła mu naprzeciw.

– Witaj, Natalio – powiedział.

Była zaskoczona, że zna jej imię. To dowodziło, że nie znalazł się w tym miejscu przypadkowo. W świetle dnia uznała go za niezwykle atrakcyjnego, choć zdecydowanie za starego na to, by mogła sobie nim zaprzętać głowę. Mimo to, gdy zaprosił ją na kawę do Jubilatki, nie odmówiła, choć miała przeczucie, że zostałyaby za to skarcona przez rodziców.



*Jeszcze rok służby i do cywila!* – cieszył się Paweł, gdy wraz z kumplem z jednostki wyrwali się na przepustkę do miasta.

Los rzucił go do Zegrza. Kawał drogi od domu, rodziny i przyjaciół. Armia upomniała się o niego krótko po tym, jak skończył zawodówkę. Ledwo otrzymał etat w kombinacie, a już listonosz przyniósł mu wezwanie na komisję poborową. Nie był zachwycony perspektywą odsłużenia dwóch lat. Wujek Leszek dość się na ten temat naopowiadał. Paweł usłyszał też sporo ciekawostek od ciut starszych kumpli z dzielnicy, swoje trzy grosze dołożyli również koledzy z pracy.

Idąc na komisję, wiedział dobrze, czego może się spodziewać. A że był okazem zdrowia, otrzymał kategorię A i przydział do jednostki.

Kiedy mężczyźni z rodziny usłyszeli o czekającej go służbie, zorganizowali mu imprezę u wujka Bronka. Ciocia Bogusia i Agnieszka spędziły tę noc u Julki. Oni w tym czasie tego popijali. Oczywiście posypały się dobre rady, głównie z ust

jedyne go mężczyzny, który w tej rodzinie zaliczył kontakt z Ludowym Wojskiem Polskim.

Idąc za radą wuja, udał się do fryzjera jeszcze przed wyjazdem.

– W jednostce dorwie cię jakiś rzeźnik i wygoli ci łeb na łapucapu. Nie będzie się przejmował, czy kaleczy cię tępą brzytwą – opowiadał były wojskowy, trzymając w ręce kieliszek gorzałki.

– No to chyba lepiej samemu, nie? Mnie i Janka wypitolili na Montelupich. Kulce to by ucho oberżnęli, jak się stawiać zaczął.

– No, pamiątkę miał po tym nieładną – przyznał Wawrzek. – Ty, Karol, też zaliczyłeś obowiązkową usługę fryzjerską, prawda? – Trącił łokciem pasierba.

– Nie certolili się z nami – potwierdził.

– Matka nieomal dostała zawału serca, gdy zobaczyła twoją łysą głowę.

– Ej no, panowie, ale nie porównujcie rzeźników więziennych z armią! – oburzył się znawca tematu. – No to chlup, poborowy! – Uniósł kieliszek i wlał sobie zawartość do gardła.

– *Przyjedź, mamo, na przysięgę, / Zaproszenie wystął szef. / Syn ci wyrósł na potęgę, / Przyjedź, zobacz, twoja krew*[\[1\]](#) – zaintonował fałszywie Wiesiek, który, podobnie jak większa część rodziny, zdołał uniknąć poboru. Miał wiele szczęścia, gdy został relegowany z uczelni za udział w zadymach, że nie dostał biletu do jednostki. Zapewne zgarnęliby go, gdyby nie podjął dalszej nauki.

Rad nierad, Paweł pozałatwiał wszystkie formalności w zakładzie pracy. Za otrzymaną w kasie „wyprawkę” postawił krewnym wódkę. Tym razem biesiadowali w barze, gdyż po ostatniej libacji niektórzy z nich musieli się solidnie nasłuchać od swoich połowic.

Następnego dnia krewni odprowadzili na dworzec skacowanego i uwędzonego papierosowym dymem chłopaka. Dopilnowali, by wsiadł do odpowiedniego pociągu, i obiecali, że

stawia się u niego na przysiędze. Może nie wszyscy, bo pewnie nie każdy zdoła się wyrwać, ale przynajmniej część z nich pojedzie do Zegrza. Niech więc na siebie uważa i nie da sobą pomiatać przez dziadków. Koty muszą być czujne. Byle do przysięgi, potem będzie już lżej, bo to i przepustka się jakaś trafi, i urlop można sobie wystrzelać, a i stare wojsko nie będzie tak mocno dokuczać. Nawet się nie obejrzy, jak mu stuknie na kalendarzu 150 DDC, a potem to już tylko zostanie odcinanie po kawałeczku centymetra krawieckiego. Ino na panny niech uważa, jak będzie chodził na *stałki*, czyli stałe przepustki, żeby się jakąś francją nie zaraził. Niejeden przywłókł z wojska tego typu atrakcje.

Pokleпали go jeszcze po plecach, zdusili niedźwiedzimi uściskami, a potem zagwizdał parowóz, oznajmiając odjazd.

Na miejscu Paweł szybko się przekonał, że opowieści Leszka nie były zbyt przesadzone. Trafił do domu wariatów, w którym wszyscy posługiwali się rysztołowym językiem. Nawet w kombinacji nie słyszał tak dosadnego słownictwa. Z miejsca zagoniono rekrutów do fryzjera oraz po odbiór ekwipunku. Ponieważ przed wyjazdem dał się ostrzyć na króciutkiego jeża, uniknął maszynki elektrycznej, która miała spustoszenie wśród bitlesowskich fryzur. Nie ominęła go natomiast wątpliwa przyjemność szybkiego prysznicowania w strugach lodowatej wody. Z ręcznikiem owiniętym wokół bioder poleciał razem z grupą kolegów do magazynu, gdzie otrzymał bieliznę i mundur – wszystko wydane w niewłaściwych rozmiarach, więc zaraz zaczął przepytawać kompanów, czyby się z nim któryś czymś nie wymienił. W końcu, gdy cała gromada poborowych prezentowała się jak przystało na żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, padła pierwsza komenda:

– W szeregu zbiórka! Baczość! Wyrównać, pizdy jebane! Takeście postawali, jakby do linii wyszczanej przez pijanego

osła! Padnij!

Młodzi mężczyźni niezgrabnie przystąpili do wykonania rozkazu. Nie obyło się bez szturchańców i kopniaków ze strony starszego rocznika wojskowego.

– Leżeć, kurwa, koty jebane! Nie podnosić łbów!

Ledwo zdołali ułożyć się tak, by uniknąć *motywujących* kopniaków, gdy usłyszeli:

– Powstań!

A potem cały cyrk zaczął się na nowo.

I tak to wyglądało przez następne dni, tygodnie i miesiące.



– No to wypijmy pod ten roczek, co już nam zleciał. – Paweł stuknął kuflem w szkło trzymane przez kumpla. – I pod ten, który jeszcze przed nami.

– Szybko zleci. – Wiktor poklepał go po plecach i pociągnął łyk piwa. – Do tej pory ino się mignęło.

Wiktora Suszkę spotkał na dworcu kolejowym w stolicy. Od słowa do słowa okazało się, że do Warszawy przyjechali tym samym pociągiem, co więcej, w tym samym celu. Zaraz zrobiło im się rażniej. Postanowili, że o ile będzie to możliwe, będą się trzymać razem.

– Taa... Ale cośmy przez ten czas dostali po dupach, tośmy dostali.

– No ba! Przeczolągali nas równo! Kurwa, com ja się nagonił tam i nazad. Do końca życia mi wystarczy. A ten zapierdziel z szorowaniem podłóg trocinami?

– Nic głupszego nie dało się chyba wymyślić. Jak żem jechał do jednostki, to myślałem, że najgorsze mam już za sobą, i nigdy nie zapomnę komisji poborowej. Musiałem opuścić gacie przed kobitką! Taka ładna doktorka nas oglądała, mówię ci,

chłopie, było na co popatrzeć. Tylko jak pokazać obcej babie ptaka? Co innego, gdyby to było w przyjemnościowych celach, ech... – westchnął ciężko Paweł.

– Ja to już czekam na urlop – stwierdził rozmarzony Wiktor, który zostawił w Krakowie stęsknioną dziewczynę. Tak przynajmniej wynikało z treści listów, które słała do niego z dużą częstotliwością.

Na Pawła nie czekał nikt z wyjątkiem matuli. Dance na pewno go nie brakowało. Gdy wyjechał, zyskała odrobinę przestrzeni. Powrót do domu, choć upragniony, na pewno nie będzie łatwy. Bo i nie podje sobie tak do syta jak w wojsku, i znowu trza będzie gnieździć się na kupie. W jednostce spało się wprawdzie po dwunastu chłopa w jednej sali, ale to były zupełnie inne okoliczności.

W gruncie rzeczy teraz nie było tak źle jak na początku, kiedy to wydawało mu się, że trafił do krainy absurdu, i miał ochotę wyć, wypełniając posłusznie kolejne rozkazy, lub gdy go niesłusznie karano za idiotyczne *przewinienia*. W wojsku niewiele trzeba było, aby się komuś głupio narazić.

Przed przysięgą obowiązywała jedna zasada: wszystko wymagało zgody przełożonego. Chciał się odlać? Musiał o to zapytać. Miał ochotę na papierosa? Także. Niefortunnie sformułowana prośba mogła tylko zaszkodzić. Tak jak wtedy, gdy zapytał, czy może zapalić. Owszem, pozwolono mu, lecz ledwo trzasnął zapałką o pudełko i raz zdołał się zaciągnąć, a już kapral rozdarł mordę, że ma natychmiast gasić peta. Bo nie dostał zgody na wypalenie, ale na zapalenie. A to zasadnicza różnica. Jak raz dał się przyłapać na potajemnym kurzeniu, to mu zgasili żar beczką deszczówki, którą musiał potem sam w try miga posprzątać, zanim zobaczyłby to ktoś jeszcze wyższy rangą.

Z biegiem czasu nieźle się ustawił. Teraz często miewał służbę w kuchni, a tam, choć był zapierdziel, to i zjadło się zawsze coś

lepszego. Odpasł się solidnie, bo jak przyszedł do wojska, chudy był, że aż strach. Po upływie roku musiał dobrze poluzować pasek. W domu nigdy tak dobrze nie jadał. Matka karmiła ich przede wszystkim tym, co przyniosła z pracy w barze mlecznym: pierogami, naleśnikami i innymi prostymi potrawami – na ogół bezmięsnymi.



Na obrzeżach nowohuckich osiedli zacumowała potężna łódź. Arka Pana – tak nazwano świątynię wzniesioną mozołem robotników, bowiem jej dach przypomina unoszącą się na falach łódkę. Jej maszt stanowi siedemdziesięciometrowy krzyż ozdobiony złocistą koroną, powstałą dzięki ofiarności parafian, którzy hojną dłonią przekazywali na ten cel swoje zegarki, bransolety, pierścionki oraz inne cenne drobiazgi. Wierny lud nie szczędził trudu własnych rąk oraz pieniędzy, by na przekór kłodom, które władze miasta rzucały pod nogi budowniczych, wznieść upragniony kościół. Podczas każdej zbiórki datków parafianie chętnie sięgali do kieszeni bądź portfeli i sypali na tacę banknotami o największych nominałach, choć dla niejednego z nich sto złotych stanowiło dziesiątą część wynagrodzenia. Nie poddali się nawet wówczas, gdy skonfiskowano im pieniądze złożone na rachunku oszczędnościowym w banku.

Zatwierdzany etapami projekt przewidywał najpierw zwyczajną rozbudowę kapliczki, później poszerzono go o dolną kaplicę, aż wreszcie wierni doczekali się zgody na postawienie samego kościoła. Ponieważ pierwszy projekt nie został zrealizowany, rozpisany został nowy konkurs, w którym zwyciężył Wojciech Pietrzyk. Podczas pracy architekt wzorował się na bryle kaplicy Notre Dame du Haut zlokalizowanej we

francuskiej miejscowości Ronchamp.

Piętnastego maja wśród tłumów zmierzających na poświęcenie obiektu słyhać było wspomnienia z czasu budowy. W pamięci parafian na zawsze miał pozostać wysiłek, jaki włożyli w swe dzieło. Dokonali tego bez użycia maszyn, bo z tych mogły korzystać wyłącznie przedsiębiorstwa państwowe. Pracowali gołymi rękami, uzbrojeni jedynie w to, co znaleźli w domach: łopaty i kilofy, z własnymi taczkami i bloczkami do wciągania materiałów budowlanych na wzrastające mury. Przychodzili licznie, bez przymusu i z entuzjazmem. Z pieśnią na ustach i nadzieją w sercach.

Teraz, zmierzając na nabożeństwo, opowiadali sobie o wzruszającym wsparciu chrześcijan przyjeżdżających z krajów „zgniłego imperializmu” – jak uporczywie tuby propagandowe określały państwa Europy Zachodniej. Ramię w ramię pracowali na budowie Polacy, Anglicy, Francuzi, Holendrzy czy Niemcy. Protestant przy katoliku. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Ponad podziałami i uprzedzeniami, razem dla wspólnej idei.

– Nawet jak żeśmy bili rekordy przy stawianiu pierwszych budynków w dzielnicy, nie mieliśmy tyle zapału, co przy budowie kościoła. Nikt nie musiał trzaskać nam fleszem w oczy. Nie potrzebowaliśmy ryku megafonów i waźniaków od liczenia ułożonych cegieł. Tutaj słowa *podaj kamień* miały większą siłę, niż *podaj cegłę* przy murarce bloków – mówił Bronek do Bogusi, chroniąc się wraz z nią pod jednym parasolem.

Tego dnia padał rześisty deszcz, lecz to nikomu nie przeszkadzało. Nareszcie wierni mogli modlić się pod upragnionym sklepieniem świątyni, osłonięci przed kapryсами aury.

– To znak od Boga – stwierdziła Julia, składając parasol przed wejściem do jednego z największych kościołów, jakie zostały wzniesione w nowej erze. Przemknęło jej przez myśl, że ten deszcz ma symboliczne znaczenie: jakby Bóg chciał uświęcić



robotniczy wysiłek. – Przez tę ulewę mam wrażenie, że wchodzimy na pokład łodzi, która bezpiecznie poniesie nas poprzez spienione groźnie fale otaczającego świata. Trudziliśmy się z budową kościoła jak Noe ze swoją arką. On też miał wszystkich przeciwko sobie, ale ocalał dzięki tamtej łodzi. Może i nas ten kościół ocali przed złem, które zewsząd nadpływa.

– Pięknie to powiedziałaś, Julisiu – skwitował Wawrzyniec, wchodząc w ślad za żoną do świątyni.

*Teraz wszyscy zobaczą naszą dumę i radość – rozmyślał, przepychając się pomiędzy ludźmi. Do tej pory zachodnie stacje telewizyjne pokazywały nas jako nieszczęśników, którzy w czasie nabożeństwa stoją niewzruszeni pod gołym niebem: w deszczu, śniegu czy upale.*

Wiedział od Czeška Wydry, że ekipy, które kręciły się z kamerami po terenie budowy, puszczały reportaże na cały świat. Spoglądali więc ludzie w Europie Zachodniej, jak kardynał Wojtyła odprawiał pasterki pod gołym niebem, na przekór władzy ludowej i kaprysom aury.

Pomiędzy mieszkańcami dzielnicy często rozmawiało się o tym, że w budowie nie można było liczyć na kombinat. Zarząd nie udzielił zgody na sprzedaż choćby jednego pręta, mimo że produkcja osiągnęła poziom blisko siedemdziesięciu pięciu milionów ton stali.

Opowiadano także o darczyńcach, którzy w odpowiedzi na apel proboszcza Gorzelanego hojnie wsparli ich dzieło: papież Paweł VI dziesięcioma tysiącami dolarów, kardynał König z Wiednia chromowaną blachą na krzyż. Dzwony ufundowali katolicy z Holandii i Belgii, Portugalczycy figurę Matki Boskiej Fatimskiej.

Przestronne, wielopoziomowe wnętrze świątyni, które w razie potrzeby mogłoby pomieścić sześć tysięcy wiernych, szybko wypełnił tłum parafian. Nad ich głowami wznosiła się potężna figura Jezusa rozpiętego na krzyżu, z piersią wypiętą do przodu

– jak gdyby był żaglem rozpostartym przez wiatr.

Nawet w symbolu męczeństwa dostrzegali ukrytą nadzieję.

– Daliśmy sobie radę. Odnieśliśmy zwycięstwo – szeptali między sobą.

Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że na konsekrację kościoła przyjechał sam kardynał Wojtyła. Wszak od początku był największym orędownikiem w sprawie budowy. Stali ramię w ramię, zasłuchani w homilię, którą wygłosił dla nich przy tej okazji. Po niejednej twarzy popłynęły łzy wzruszenia, gdy wspominał, jak to władza ludowa chciała ich pozbawić swobody wyznawania wiary.

– To miasto nie jest miastem ludzi nienależących do nikogo. Ludzi, z którymi można zrobić, co się chce, którymi można manipulować wedle praw czy reguł produkcji i konsumpcji. To miasto jest miastem synów Bożych<sup>[2]</sup>.

<sup>[1]</sup> Fragment piosenki *Przyjedź mamó na przysięgę*. Tekst: Edward Fiszer, muzyka: Henryk Klejne, wykonanie oryginalne: Trubadurzy, nagranie: Trubadurzy / Rena Rolska – *Za horyzontem* (SP, 1968).

<sup>[2]</sup> Pobrano ze strony: <http://nowahistoria.interia.pl/historia-na-fotografii/pierwszy-kosciol-w-nowej-hucie-zdjecie,iId,1489391,iAId,118405> w dniu 30-10-2017.

## Rozdział 2



### *Nowohucki żeglarz*

**W**brew życzliwym radom Agnieszki, która przestrzegała ją przed znajomością ze znacznie starszym mężczyzną, Natalia nie poprzestała na jednym wyjściu do Jubilatki. Nie przeszkadzała jej ponaddwudziestoletnia różnica wieku pomiędzy nią a Zygmuntem. Uważała, że nie ma w tym nic złego, ponieważ relacja, która ich łączyła, była dość niezwykła. Zygmunt nie wywierał na nią absolutnie żadnej presji: nie chodziło mu o łóżko, choć na samym początku bez ceregieli zapytał ją, czy spotykała się wcześniej na poważnie z jakimś chłopcem. Wyglądał na wyraźnie usatysfakcjonowanego, kiedy dowiedział się, że w jej życiu nie pojawił się do tej pory nikt ważny.

Chodzili razem do kina, kawiarni i na długie spacerunki. Czasami Gruca zabierał Natalię do swojego mieszkania, gdzie słuchali muzyki. Kiedy zaprosił ją tam po raz pierwszy, zesztywniała i odmówiła, gdyż wyobrażenia podsuwała jej różne możliwości. On jednak z miejsca połapał się, co mogło strzelić dziewczynie do głowy, i uspokoił ją, że nie zamierza czynić nic zdrożnego. Prosił o zaufanie, a ona postanowiła go nim obdarzyć. Przyszło

jej to dość łatwo, gdyż Zygmunt żywo interesował się jej postępami w nauce i dbał, by znajomość z nim nie kolidowała ze szkołą. To było dość dziwne. Traktował ją trochę jak dziecko. Pewnego dnia, gdy się spotkali i usłyszał, że nazajutrz dziewczyna ma klasówkę, do której nie jest zbyt starannie przygotowana, natychmiast odesłał ją do domu.

Odnosiła wrażenie, że Zygmunt ją bada. Obserwuje. Bawi się nią jak lalką.

Nawet zwracał się do niej dość dziwnie: nazywał ją Kitek. Nie kicia, nie kotek, lecz właśnie Kitek. Gdy zagadnęła go, skąd taki pomysł, stwierdził, że to od kitki, w którą często spina włosy. I oczywiście od małego, rozkosznego kociaka. Zażartowała wtedy, że się ostrzyże, aby dodać sobie powagi. Zygmunt spojrział na nią srogo i powiedział, by nawet o tym nie myślała.

– On nie jest normalny – skwitowała Agnieszka zwierzenia przyjaciółki. – I tak serio niczego od ciebie nie chce?

– Przysięgam – odparła Natalia, kładąc dłoń na sercu dla wzmocnienia swoich słów. – Nigdy nie próbował mnie nawet pocałować.

– Nie, no teraz to już sobie żartujesz!

Szymczakówna zadygotała na myśl, że sama miałaby się całować z kimś równie starym – Zygmunt liczył sobie czterdzieści jeden lat. O ile nie skłamał, choć w tym przypadku akurat obydwie mu wierzyły, gdyż mimo wszystko wyglądał na trochę mniej. Aga próbowała porównać go z kimś ze swoich krewnych, i wychodziło jej, że najbliższa wiekiem jest ciocia Kazimiera, ale ona nie mogła się liczyć, gdyż była kobietą i wyglądała, niestety, na dużo starszą od Grucy. Albo Wiesiek Kalita, który jednak, o ile się nie myliła, miał lat trzydzieści, więc był zdecydowanie za młody.

– Ależ daję ci słowo honoru. Jak bum cyk cyk!

– No to po co on się z tobą spotyka? – Jej zdumienie było bezgraniczne.

- Twierdzi, że dobrze się czuje w mojej obecności. I tyle.
- A co na to twoi starzy?

Oczywiście Natalia nie była w stanie utrzymać tej znajomości w tajemnicy przed rodzicami. Pewnego dnia z duszą na ramieniu poinformowała ich, że od jakiegoś czasu spotyka się ze znacznie starszym mężczyzną, choć nie potrafiła określić łączących ich relacji. Rodzice nie byli tym jakoś szczególnie przejęci. Później dowiedziała się, że zanim wspomniała o swoim znajomym, on zdążył już się im przedstawić. Nikt nie chciał zdradzić jej związanych z tym szczegółów, bagatelizując sprawę. Tak czy inaczej wszystko poszło nadspodziewanie gładko. A że jej oceny w szkole nie uległy pogorszeniu, surowi do tej pory rodzice skwapliwie przymykali oczy na to, że umawia się z człowiekiem, który właściwie mógłby być jej ojcem. Matka tylko ją napomniwała, aby zachowywała rozwagę, bo nigdy nic nie wiadomo. Wyglądali na trochę spiętych i zdenerwowanych całą tą sytuacją, ale pozostawiali ją bez komentarzy.

Więcej na ten temat miała do powiedzenia Agnieszka, która nieustannie próbowała przemówić Natalii do rozsądku. Potem machnęła ręką, dowiedziała się bowiem, że również Ewa Kulka spotyka się ze starszym od siebie mężczyzną. Doszła więc do wniosku, że widocznie pojawił się taki trend wśród jej rówieśnic. Sama na razie nie czuła potrzeby umawiania się na randki z kimkolwiek. Wołała lecieć na oazę albo kółko różańcowe – tam czuła się najbezpieczniej i nie była narażona na pokusy.



Lipcowy wieczór przyniósł ukojenie mieszkańcom rozgrzanego miasta. Zygmunt postanowił zabrać Natalię na spacer.

Kosztowała go ta dziewczyna mnóstwo emocji!

Trudno było dojrzałemu mężczyźnie zapanować nad pożądaniem. Na razie gasił pragnienie w ramionach innych kobiet – tych nigdy nie brakowało w jego otoczeniu. Chciał, aby jego mała księżniczka, jak ją często nazywał, pozostała jak najdłużej nieskazitelna.

Nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności zakosztowania jej ust.

Już dawno powinien był to zrobić!

Skorzystał z okazji, że alejki parku Ratuszowego opustoszały. Przystanął, odwrócił się do dziewczyny i spojrzał jej w oczy. Opuszkami powiódł po jej policzku – od kącika lewego oka po idealną w kształcie wargę. A potem nachylił się i w to samo miejsce przytknął usta. Nim zamknął powieki, dostrzegł popłoch na jej twarzy.

Objął ją i mocno przytulił. Tak, by nie mogła wykonać żadnego ruchu. A potem wpił się w jej drżące wargi.

W pierwszej chwili Natalia zastygła. Nigdy wcześniej z nikim się nie całowała. Zygmunt przyprawił ją o niesamowity łomot serca. Poczula na ustach jego wargi oraz język, który szybko utorował sobie drogę dalej. Z wrażenia zakręciło jej się w głowie. Mężczyzna oplatał ją rękami. Silne dłonie wolno przesuwały się w dół, ku pośladkom. Gdy dotarły tuż nad pupę, dziewczyna odzyskała rozsądek i zaczęła go odpychać.

– Puść mnie – zażądała stanowczo.

– Dlaczego? – wyraził zdziwienie. – Nie podobało ci się, gdy cię pocałowałem?

W jego głosie pojawił się zaskakujący chłód.

– To nie tak – powiedziała skołowana.

Policzki paliły ją żywym ogniem.

– A jak? – zapytał.

– Nigdy wcześniej się nie całowałam. I nikt mnie tak nie dotykał – odparła szczerze. Bo choć Zygmunt bardzo jej się podobał, jego zachowanie ją spłoszyło i wpędziło w panikę. Nie

była gotowa na to, by mu ulec.

Zobaczyła ciepłe, miękkie spojrzenie Zygmunta. Dotknął jej policzka, przesunął kciuk na usta i obwiodł nim ich zarys.

– Nie do wiary – westchnął. – Jesteś tak cudownie niewinna. Jak anioł, którego przypominasz z wyglądu. Nieskazitelna Natalia.

Z zaskoczeniem patrzyła na mężczyznę. Zachwyty, który wycierał z jego oczu, mile połechtali jej serce.

– Ożenię się z tobą, Kitku – powiedział Zygmunt bardzo poważnym tonem – jak tylko skończysz osiemnaście lat. I niech się mają na baczności wszyscy smarkacze, którzy chcieliby sprzątnąć mi ciebie sprzed nosa – zachichotał, ujmując nieco powagi swoim słowom.

– Żarty sobie stroisz – oburzyła się dziewczyna, a on złapał jej rękę, przycisnął do ust i obsypał dłoń pocałunkami.

– Jestem poważny, Natalio – odparł. – Ślub weźmiemy w przyszłym roku.

– Oszalałeś? A szkoła?

– Skończysz ją, kto powiedział, że nie? Będziesz żyła przy mnie jak prawdziwa księżniczka. Tylko zachowaj swoją niewinność na zawsze.

Nie prosił o jej rękę, lecz po prostu oznajmiał swoją decyzję i dawał wytyczne odnośnie do tego, jak ma się prowadzić – tak to odczuła.

*Czy to były oświadczenia? Mało romantyczne* – stwierdziła najpierw w myślach, a potem zaryzykowała pytanie.

– Nie, Kitku. Ja nie mam w zwyczaju prosić. Przywyknij do tego. – Puścił do niej oko, a potem uśmiechnął się rozbijając i nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, znowu poczuła na wargach żar jego oddechu.



W Pawlicach i Piotrowicach szumiało od plotek, że aż strach! Za plecami Doroty wszystkie kumochy ze wsi używały sobie na niej ile wlezie. No bo kto to widział, żeby w tym wieku szukać sobie chłopca? I to jeszcze z takim wyglądem? Jedna Dubielowa stanęła w obronie sąsiadki i gdy usłyszała, jak baby pod sklepem strzępią języki, huknęła na nie z mocą, jakiej nikt nie spodziewałby się po osiemdziesięciolatce:

– A pójdziecie wy, plociuchy nienagadane? Wara wam od Doroty, bo to porządna panna!

– Jaka tam panna? – oburzyła się Gienka Goliszówna, której nikt nigdy nie wziął za żonę, ponieważ w młodości się nie szanowała, co zaowocowało gromadką przychówku niewiadomego pochodzenia. – Dyc to moja rówieśnica, a mnie jakoś nikt nie pannuje.

– Na szacunek trza sobie zasłużyć – burknęła akuszerka, która przed laty odbierała wszystkie porody bojcore. – A ta bidula zawsze żyła po bożemu.

– Bo jej to ruscy ułatwili – wtrąciła stara Rutowa. Starucha szczerze nie znosiła całego plemienia Szymczaków, odkąd jej wnuczka wróciła z miasta po tym, jak ją puścił kantem ten pyszałkowaty smarkacz od Julki.

– Boga w sercu nie macie, sąsiadko? Takie bajdy gadać! Albo to wina Dorci, że ją sponiewierali? Dejcież spokój kobiecie, niechta się wydaje za naczelnika. Każdy jeden zasługuje choć na krzywą szczęścia.

– Jee... Co tam za szczęście mieć w domu chłopca? – burknęła Jaśka Czopik, synowa tego Staszka, któremu ktoś przed laty tak sponiewierał córkę, że ta z rozpaczyny powiesiła się na sąsiaku. – Wiecznie drze gębę, że głodny, że dzieciaki dokazują, że krowa nieupilnowana poszła w szkodę. A nie raz i nie dwa przyłoży, jak pochleje wódki.

– A bo jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije! – zachichotał



szczerbaty Macherek, którego wiek mocno przygiął do ziemi.

– Lepiej pilnujcie swego nosa – odpysknęła, urażona.

Pod sklepem wywiązała się ostra wymiana zdań pomiędzy stojącymi w kolejce babami a gromadką nierobów pociągających piwo w cieniu zadaszenia. Potem jazgot trochę przycichł, gdyż zaczęła się rozmowa o spodziewanych latoś plonach, a raczej nieurodzaju, który mocno je uszczuplił. Zaraz ludzie zaczęli biadolić, że ceny pójdą w górę i trzeba będzie mocno zaciskać pasa. Mało kto był w stanie wyżywić się z gospodarki, bo co tam ludziska mieli? Ot tyle, co jakiś spłachetek koło domu. Reszta dawno temu przeszła pod gospodarowanie spółdzielni. A z pegeerowego ciężko wyżyć, bo pensje niewielkie.



– Tutaj lekko wytapirujemy, żeby ci się włosy dobrze układały. Damy trochę lakieru. I koniecznie, ale to koniecznie wepniemy choć różyczkę nad uchem – komentowała swoje poczynania Pawłowska, uwijając się wokół najstarszej siostry.

– Różyczkę? To niepotrzebne, Julisiu! Miejże umiar. Wszak żem za stara na to. Ludzie będą gadali.

– Już i tak gadają, więc co ci szkodzi? Jesteś dzisiaj panną młodą czy nie? – zapytała łagodnie, po czym przymierzyła, w którym miejscu najlepiej będzie wpiąć kwiat pomiędzy srebrne kosmyki oblubienicy.

Nie zdołała przekonać Doroty do ufarbowania włosów na ciemny kolor, aby przykryć siwiznę. Siostra z typowym dla siebie łagodnym uporem odmówiła, twierdząc, że to nie ma sensu, ponieważ zaraz odrosną i będą brzydko wyglądały. A ona nie myśli nieustannie poddawać je zabiegom kolorystycznym, by wyglądać jak człowiek. Na co jej taka próżność? Wszak

Ksawery upodobał ją sobie taką, jaka jest: starą i szpetną. Na te słowa Julia nieomal uderzyła w płacz i zaczęła jej perswadować, że nie jest ani stara, ani szpetna. Bo choć twarz ma poraną bliznami, to wciąż zachowała świeżość, której brak wiejskim spracowanym kobietom. I zębów jej nie brakuje, a wszystkie zdrowe. I figurę też ma taką, że tylko pozazdrościć: smukłą, zgrabną, bez zbędnych kilogramów, obwisłych piersi, pochylonych pleców.

– No dobrze – westchnęła panna niezbyt młoda, widząc, że tym razem nie postawi na swoim.

– Ślicznie – ucieszyła się Julia. – Ach, Dorciu! Cóż za piękna chwila. Matuś byłaby wniebowzięta! Zawsze martwiła się o nas wszystkich. Załamywała ręce, że kiedyś zostawi cię tutaj samą. A tymczasem zaczynasz nowe życie. Moja kochana! – Ze wzruszenia objęła siostrę za szyję i przytuliła ze wszystkich sił. – Nie boisz się? – zapytała szeptem, gdyż głos jej się załamał.

Dorotka spojrzała jej w oczy. Pokręciła głową.

– Obiecał, że mnie nie skrzywdzi. Jest prawym mężczyzną. Ufam jego słowom. Powiedział... Powiedział, że my nie musimy... No wiesz... – urwała.

– Dobry Boże! – Pawłowska pociągnęła nosem. – Wspaniały człowiek.

– Tak. Bardzo go kocham, choć nigdy w życiu nie pomyślałabym, że los nas ze sobą połączy. No już nie płacz, Julisiu. Chyba że to rozpacz po domu, w którym ja zamieszkam, choć należy się tobie – wspomniała o dworze Pawłowskich zaadaptowanym na cele PGR-u, gdzie Ksawery miał służbowy lokal.

– Głuptasie! – roześmiała się siostra, ostrożnie ocierając łzy, by nie spłynął jej makijaż. – Jestem szczęśliwa, że tam zamieszkaś. Wawrzek jest przynajmniej spokojny o to, że nie ulegnie dalszemu zniszczeniu. Kto wie? Może kiedyś go odzyska?

Pomyślała o tym, jak bardzo przekorny bywa los. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie ta okrutna wojna? A nuż okazałoby się, że Ignacy skradnie nie tylko całusa, ale i serce Dorotki, oddając swoje w zamian? A nużby wytrwali w uczuciu, pokonali sprzeciw Mariusza i połączyli się węzłem małżeńskim?

*Widać pisane jej było zamieszkanie w dworze Pawłowskich.*

– Daj Boże, aby do tego doszło – odparła Szymczakówna.

– Musi! Nasza władza to kolos na glinianych nogach. Coraz mocniej się chwieje. Pamiętam, jakie walki stoczyliśmy przed laty w obronie krzyża. Chcieli nas wtedy upokorzyć. Pokazać, że nie mamy nic do gadania. I co? Kościół stanął dzięki naszemu uporowi. Teraz kardynał Wojtyła podzielił naszą parafię na cztery mniejsze. Będziemy budowali kolejne świątynie. Dasz wiarę? W mieście, gdzie Boga miało nie być! A skoro z tym nam się udało, to przyjdzie czas na więcej. Kiedyś to musi dobiec końca: te rządy terroru. Pytanie tylko, ilu jeszcze Pyjasów musi okupić wolność własnym życiem? – wspomniała o młodym działaczu opozycji, który zginął w maju w niewyjaśnionych okolicznościach.

Ciało chłopaka znaleziono na klatce schodowej kamienicy przy Szewskiej. Mawiano, że student Uniwersytetu Jagiellońskiego był niewygodny dla bezpieczeństwa. Karol często o nim wspominał, poznali się przed dwoma laty. Dyskutowali o obaleniu systemu. Mieli zbliżone poglądy, łączyła ich przynależność do opozycji.

– Ach! Dajmy spokój polityce! – wykrzyknęła Julka, by oderwać siebie i siostrę od przykrych przemyśleń. – Tylko patrzeć, jak Ksawery przyjedzie, a ty jeszcze nie jesteś ubrana!

Na drzwiach szafy zaczepiony był wieszak z kreacją, którą na tę okazję uszyła dla Doroty krawcowa z Limanowej. To nie było nic wyszukanego: prosta w fasonie sukienka sięgająca ciut poniżej kolan. Do tego jasny żakiecik i pantofle na niezbyt grubym słupku. Żadnych wzorków, szaleństw i ekstrawagancji.

Stonowane, pastelowe barwy.

## **Rok 1978**

*Dlaczego czas leci tak szybko? Nie zdążyłam się dobrze przygotować* – westchnęła Ewa, poprawiając przed lustrem włosy. Minęły trzy miesiące od studniówki, którą oczywiście przetańczyła z Robertem. Na początku wydawało jej się, że sto dni, które dzieli ją od egzaminów maturalnych, to bardzo dużo czasu i jeszcze zdoła się wszystkiego nauczyć. Zważywszy na przykre okoliczności życiowe, była nie najgorszą uczennicą. Może nie prymuską, ale radziła sobie nieźle. Wychowawczyni twierdziła nawet, że powinna pomyśleć o studiach.

Ewa nie była przekonana, czy ma ochotę zawracać sobie głowę dalszą nauką. Najbardziej na świecie marzyła o tym, aby mieć własne pieniądze i uniezależnić się od matki alkoholiczki. Najprostszym rozwiązaniem byłoby znalezienie pracy, co ze świadectwem maturalnym w kieszeni nie powinno być trudne. Trudności za to spodziewała się w kwaterunku, gdyż miały z mamą dwuizbowy lokal – dość duży jak na dwie osoby. Sęk w tym, że Robert na pewno nie chciałby z nimi tam zamieszkać. Nie lubił jej matki, choć wiedziała, że starał się tego nie okazywać. Niestety mieszkał z rodzicami i młodszym rodzeństwem w niewiele większej klitce. Choć był zapisany w kolejce na mieszkanie, nie zanosił się na to, aby miał je prędko otrzymać. Pocieszał ją, że w razie czego coś sobie wynajmą albo pójdą do hotelu robotniczego. Byle razem i na swoim.

Kochali się i byli ze sobą szczęśliwi. Z dumą chwaliła się nim przed koleżankami, które miały fiu-bździu w głowie, latały tylko po prywatkach, wzdychały do Wodeckiego, Młynarskiego lub Grechuty i nie myślały poważnie o życiu. No ale niby czemu

miałyby podchodzić serio do życia w wieku dziewiętnastu lat, skoro miały kochających rodziców, mieszkały w normalnych rodzinach, a ich największym marzeniem były prawdziwe wycierusy z Pewexu zamiast teksasów, choć do szkoły i tak nie wypadało w nich chodzić. Ona cieszyła się, gdy miała pełny brzuch, bo matka przepijała niemalże wszystko. Gdyby nie ciotki i wujkowie, chodziłaby wiecznie głodna.

*Jak pójde do pracy, będzie mi o wiele łatwiej – myślała, szykując się do wyjścia z domu.*

Matura miała być ostatnim etapem jej edukacji. Robert popierał tę decyzję. Twierdził, że studia to niepotrzebne zawracanie głowy. Nim Ewa się z nimi upora, on będzie dobrze po trzydziestce. To późny wiek na zakładanie rodziny. Wolałyby już teraz, póki obydwójce są młodzi i pełni energii. We dwójkę poradzą sobie ze wszystkim. Jej koleżanki i kuzynki są głupiutkimi naiwnymi gąskami. Niepotrzebnie mieszają Ewuni w głowie i zabierają czas, który można spędzić znacznie przyjemniej. A jemu jest przykro, gdy skarbuś ukochany woli lecieć z dziewczynami na miasto niż pójść z nim na spacer. Ale oczywiście on niczego jej nie zabrania, niech idzie – mówił, robiąc przy tym minę zbitego psa.

Często, gdy widziała jego duże, przepełnione smutkiem oczy, wykręcała się od fajfów z koleżankami i wybierała randkę z ukochanym. I tak brakowało jej pieniędzy na to, aby pójść z dziewczynami do Jubilatki lub choćby koktajlbaru.

No i z tego wszystkiego nie miała wiele czasu na naukę. Bo i z koleżankami wypadało się niekiedy spotkać, i dla Roberta trzeba było znaleźć choć chwilę. A tu jeszcze codzienne obowiązki: pranie, sprząatanie, gotowanie. I taka myśl w głowie, że skoro od lat robi wszystko sama, to przecież najwyższa pora założyć rodzinę i wykonywać te czynności dla kogoś, kto doceni jej trud. Kto nie spojrzy obojętnym, zamglonym z przepicia wzrokiem na stertę wyprasowanej bielizny, na talerz zupy, na

wyfroterowaną podłogę.

Mimo wszystko poczuła, jak żołądek zawiązuje jej się w supeł. Od kilku dni była nerwowa, źle sypiała. Wciąż bolał ją brzuch i nawet miała mdłości. Nie mogła jednak zostać w domu, bo jakże by to było, gdyby nie zdała matury? Krewni, którzy pomagali jej w minionych latach, na pewno byliby zawiedzeni.



Pomiędzy stolikami ustawionymi na sali gimnastycznej były spore odstępy. Uczniowie pochylali głowy nad papierem kancelaryjnym i sążnście rozpisywali się na wybrany przez siebie temat maturalny z języka polskiego. Ewa także zajęta była pisaniem, choć wciąż coś ją rozpraszało. A to słońce zbyt ostro świeciło, rażąc ją w lewe oko i rozpalając policzek, którym zwrócona była w stronę okna. A to brzuch dawał się we znaki nieprzyjemnymi falami mdłości, a to koleżanka z tyłu zbyt mocno skrobała piórem po kartce, wywołując nieprzyjemny zgrzyt. I jak się tutaj skupić?

Po powrocie do domu nadal miała kiepskie samopoczucie. Rozważała nawet, czy nie powinna pójść do lekarza, gdyż to było niemożliwością, aby tak bardzo pożerały ją nerwy związane ze zdawaniem matury. Prawdopodobnie chodziło o jakieś paskudne zatrucie pokarmowe. I choć miała szczerą chęć, aby przećwiczyć wzory geometryczne, zamiast usiąść nad matematyką, położyła się w łóżku. Pomyślała, że krótka drzemka dobrze jej zrobi. Momentalnie zapadła w mocny, głęboki sen. Obudziła się późno. Dolegliwości nadal ją męczyły.

Nazajutrz, ledwo wlokąc za sobą nogi, poszła do szkoły.

Przed wejściem na salę gimnastyczną złapała ją wychowawczyni.

– Ewa, pokaż no się, dziewczyno. A coś ty taka blada? Pewnie

kulaś do rana, he? – Pokręciła głową z dezaprobatą. – A mówiłam, żeby uczyć się systematycznie, bo zarywanie nocy przed egzaminem w niczym nie pomoże. Dobrze się czujesz?

– Tak, proszę pani.

– No dobra, zajmij miejsce. Powodzenia!

– Dziękuję – bąknęła maturzystka.

Usiadła przy ławce. Zmarszczyła brwi, widząc, że słońce znowu świeci wprost na jej miejsce. Wyjęła z torebki przybory geometryczne. Koleżanka siedząca za nią użyła perfum swej matki. Ewę dolatywał zdecydowanie zbyt mocny zapach „Pani Walewskiej”. Poczowała intensywną falę mdłości. Przełknęła ślinę i na moment wstrzymała oddech.

*Boże, pomóż* – westchnęła.

Niemrawo zabrała się do pracy. Walcząc z podchodzącym do gardła żołądkiem, kreśliła figury, rozwiązywała równania i analizowała treść zadania tekstowego. Na moment zdołała zapomnieć o dyskomforcie, lecz w pewnym momencie siedząca za nią nastolatka gwałtownie się poruszyła, rozsiewając wokół mocny aromat. Ewa zasłoniła usta i zerwała się z krzesła. Nie bacząc na nic, ruszyła biegiem do wyjścia.

– Ewa! Ewa Kulka! – zawołała w ślad za nią wychowawczyni, lecz ta parła naprzód, czując, że jeżeli zaraz nie zaczerpnie powietrza, to albo zwymiotuje, albo padnie trupem.

Do łazienki dobiegła w ostatniej chwili. Pochyliła się nad sedesem, a wówczas wstrząsnęły nią torsje. Błyskawicznie zwróciła całą zawartość żołądka, choć na śniadanie zjadła tylko sucharka muśniętego cienutką warstewką margaryny, gdyż o maśle mogła jedynie pomarzyć. Uniosła się i zaczerpnęła haust powietrza, lecz to był błąd, ponieważ fetor szkolnej ubikacji pogorszył sytuację. Jeszcze raz musiała schylić głowę nad muszlą. A potem, wstrzymując oddech, szybko wycofała się z kabiny.

Z wysiłkiem otworzyła okno i odetchnęła.

– Wszystko w porządku, Ewo? – zapytała wychowawczyni. – Błada jesteś jak upiór.

Nie zauważyła wcześniej kobiety stojącej obok rzędu umywalek.

– Ta... Tak – zająknęła się maturzystka.

– I po co te nerwy? Po co się tak stresować? – dociekała łagodnie nauczycielka. – Przecież jesteś dobrą uczennicą. Na pewno poradzisz sobie z zadaniami. No jak? Poczułaś się już lepiej? Wracamy na salę?

Maturzystka pokiwała głową, choć wciąż nie była przekonana, czy to jest dobry pomysł. Bała się, że jak doleci ją zapach perfum, to znowu ją zemdli.

– Pamiętaj: na ostatnią chwilę niczego się nie nauczysz. Jak wrócisz do domu, to odpocznij, poczytaj jakąś powieść albo wyjdź na spacer z koleżankami. Nie kuj, bo to nic nie da – radziła dobrodusznie wychowawczyni. – A przy najbliższej okazji powinnaś pójść do lekarza. Wyglądasz mizernie. Może męczy cię anemia albo, czego ci nie życzę, złapałaś gruźlicę.



Lekarz potwierdził, że faktycznie coś złapała, lecz bynajmniej nie prątki, tylko coś, co odmieni całe jej życie. Jeszcze przed końcem roku zostanie matką. Powinna więc trochę lepiej się odżywiać, gdyż faktycznie ma anemię. Więcej czasu spędzać na świeżym powietrzu i bardziej o siebie dbać.

Oszołomiona diagnozą opuściła ośrodek zdrowia. Słońce znowu ostro świeciło, a ona trzęsła się z zimna, jak na przedwiośniu.

– To niemożliwe – zanegowała wiadomość. – Przecież Robert tak uważał. Mówił, że za każdym razem zdążył się wycofać. I że nie będzie z tego dzieci. Co ja mu teraz powiem? A jeżeli on



pomyśli, że spałam z innymi chłopakami? Bo przecież on był ostrożny...

Ukryła twarz w dłoniach. Jej wątlými ramionami wstrząsnął szloch.

Teraz już na pewno nie pójdzie na studia. Klamka zapadła. O ile wcześniej trochę się wahała, to teraz los zdecydował.



Ku jej zaskoczeniu Robert bardzo dobrze przyjął informację o dziecku. Nic sobie nie robił z tego, że nie mają mieszkania, a ona jest w trakcie ustnych egzaminów maturalnych. Zasugerował nawet, że w tej sytuacji mogłaby je sobie odpuścić, bo po co się męczyć, skoro niebawem zajmie się wychowywaniem dziecka. I nie, nie ma potrzeby, aby podejmowała pracę. Zresztą kto zatrudniłby kobietę w ciąży? On zatroszczy się o wszystko. Pogada z kim trzeba, załatwi pokój w hotelu robotniczym. A że będą mieli dziecko tak szybko? Czy oni pierwsi lub ostatni? Ślub? Owszem, powinni wziąć jak najszybciej. Więc niech już Ewunia nie płacze, bo nie ma o co. O gadanie ciotek i wujków też nie powinna się martwić, bo jak krewni usłyszą, że on bierze na siebie odpowiedzialność i chce się żenić, to na pewno zostawią ich w spokoju. No. Wprawdzie wesela nie wyprawią, bo raz, że nie ma za co, a dwa, na co te ceregiele, ale poza tym wszystko będzie jak należy: ceremonia w urzędzie i u księdza, obrączki i wspólne życie.



– Do czegoś się tak pospieszyła, co? – burknęła matka, słysząc o planach matrymonialnych córki. – Musiałaś przed

nim rozkładać nogi?

Miała trochę lepszy dzień, jeszcze nie zdążyła się bardzo upić, więc Ewa skorzystała z okazji, aby przekazać nowinę. Nie spodziewała się, że matka będzie zachwycona, ale nie oczekiwała także propozycji pomocy. Ku zaskoczeniu ciężarnej, gdy już Krystyna trochę ochłonęła i przestała utyskiwać, z jej ust padły słowa:

– Ach, stało się, nie ma co rozdzierać szat. Może to i lepiej, że młodo urodzisz dziecko. Nie każdej kobiecie jest to dane. To co, Ewunia, zamieszkacie tutaj z Robertem po ślubie? Pomogę wam przy maluszkę, a ty będziesz mogła spokojnie pójść do pracy.

– Mamo... Nie. Nie ma takiej potrzeby. Ustaliliśmy z Robertem, że chcemy zamieszkać sami.

– Ale jak to? Gdzie? Przecież nie u niego, bo tam ciasno. Dokąd pójdziecie? – wyraziła zdziwienie.

– Do hotelu.

– Do hotelu? – powtórzyła z niedowierzaniem.

Odgarnęła za ucho smętnie zwisające, postrzępione siwe kosmyki. Wyglądała żałośnie w poplamionej podomce, pod którą miała jedynie figi oraz źle dopasowany biustonosz. Czasami córka prosiła ją, aby włożyła coś innego, lecz to zwykle spotykało się z protestami. Krystyna twierdziła, że w podomce jest jej najwygodniej. Zresztą dla kogo miałyby się stroić, skoro niemalże nigdzie nie wychodziła? Dla świętej pamięci męża?

– Ależ dziecko! Po co do hotelu? Miejsca nam nie brakuje. Mogę wam oddać większy pokój. Przeniosę się do mniejszego, żebyście mieli wygodniej – zapewniała szybko. – Pomieścimy się, córciu.

Ewa westchnęła ciężko. Powinna była się domyślić, że matka będzie chciała ją przy sobie zatrzymać. Być może zostałyby z nią, gdyby nie Robert, który kategorycznie się temu sprzeciwił. Nie pomagały prośby i płacze. W końcu, gdy zniecierpliwiony zaczął krzyczeć, że ma wybierać między nim

a wiecznie zapijaczoną matką, ustąpiła. On był jej przyszłością, a mama będzie musiała jakoś sobie poradzić.

*Będę ją często odwiedzała, żeby nie odczuła dotkliwie mojej nieobecności. Ale nie mogę tutaj zostać, bo stracę Roberta. On tak bardzo mnie kocha. Jest wspaniałym człowiekiem. Gdyby odszedł, nie przeżyłabym tego.*

– Nie, mamo. Podjęłam już decyzję. Zaraz po ślubie zamieszkam z mężem w hotelu. On już wszystko załatwia – odparła ze spokojem.

– A ja? Pomyślałaś o mnie choć przez chwilę? Zostawisz mnie samą? – załkała Krystyna.

– Ależ oczywiście, że pomyślałam. Nie zostawię cię samej. Przysięgam. Będę tutaj przychodziła, żeby posprzątać i zrobić przepierkę – obiecała.

– Tak tylko gadasz. Może przyjdiesz raz czy dwa razy po ślubie. Ale jak urodzisz, to nie znajdziesz czasu dla starej matki! A ja dla ciebie poświęciłam wszystko! Jak możesz być taką niewdzięcznicą? – Rozszlochała się na dobre.

– Mamusiu, błagam cię... nie płacz. Naprawdę będę przychodziła. Przysięgam! Mamo...

Chciała ją objąć i przytulić, lecz Krystyna odtrąciła wyciągniętą rękę.

– Jesteś podłą egoistką! Myślisz tylko o sobie. Za nic masz moje uczucia. Pewnie, porzuci mnie, tak jak wszyscy! Jak Janek i cała reszta!

Próżno próbowała ją uspokoić. Tłumaczyła, że przecież tato nie chciał jej opuścić, ale ciężko zachorował i umarł. Matka była tak rozszalona, że nie pomagały żadne argumenty. W końcu zrezygnowana Ewa wyszła do swojego pokoju. Wiedziała, że mama zaraz sięgnie po alkohol, lecz nic nie mogła na to poradzić.

*Boże, mój Boże! Dlaczego to życie jest takie skomplikowane? – załkała.*

Nie zamierzała zostawiać po ślubie matki samej sobie.

Wyjęła z szafy stary sweter, który niegdyś nosił tato. Przytuliła policzek do sfilcowanej wełny, lecz ta już od dawna nie pachniała ojcem.

Mama zawsze była zaborcza i zazdrosna. Nie lubiła, gdy Ewa spędzała czas z resztą rodziny. Boczyła się na częste wizyty u Marty lub Agnieszki. Krzywo patrzyła na ciotki i wujków zabierających czasami Ewę do kina lub na lody. Złościła się o niedzielne obiady u cioci Julii, chociaż czasami dawała się przekonać, aby pójść do niej z wizytą. Dziewczyna już dawno dostrzegła, że wtedy matka nie spuszcza jej z oczu nawet na moment, a gdy wychodziła z kuzynkami do ich pokoju, nie zdarzyło się, by przynajmniej raz do nich nie zajrzała.

I jak tu ją teraz przekonać, że ślub i przeprowadzka niewiele zmieniają? Że nadal pozostanie jej jedyną i ukochaną mamusią?

Wiedziała, że to będzie niełatwe. Krystyna była wyjątkowo podatna na zranienia i byle drobiazg wystarczał, aby wpadła w rozpacz.

Ewa domyślała się, z czego to musiało wynikać. Podobno każdy dostaje od losu na ramiona taki ciężar, jaki jest w stanie udźwignąć. W przypadku Krystyny było jednak tego zdecydowanie za dużo: jako młoda dziewczyna przeżyła koszmar wojny. Widziała okaleczenia Doroty, cudem uniknęła podobnego nieszczęścia. Cierpiała, gdy mąż trafił do więzienia, a Andrzej został zabity. Gdy Leszek leżał nieprzytomny, gdy umarła babcia. Owdowiała zbyt wcześnie. Zaczęła z rozpaczki pić i straciła dobrą pracę. Gdyby nie pomoc Bogusi, pozostałaby bez środków do życia.

Na dodatek przez wiele lat musiała zмагаć się z zazdrością o własną siostrę.

Pewnego dnia Ewa znalazła w jednej z kieszeni ojcowskich ubrań starą fotografię. Zdjęcie było mocno podniszczone i nadgryzione zębem czasu, choć owinięte w bibułkę do

papierosów. Zamiast falistych brzegów miało nierówne krawędzie, jakby ktoś wyciął je z większej fotografii. Przedstawiało młodą, długowłosą brunetkę. A że twarz była w znacznym oddaleniu, dziewczyna założyła, że to jakieś zdjęcie mamy z młodości. Rozczuliło ją, że tato nosił tę fotografię na sercu, gdy wkładał swój ślubny garnitur. Zapewne zostałyby pochowane wraz z nią i Ewa o niczym by się nie dowiedziała, lecz ojciec przed śmiercią bardzo wychudł. Rodzina uznała jednogłośnie, że nie można biedaka puszczać w ostatnią podróż w tak lichym przyodziewku, i załatwiła ubranie, które było znacznie odpowiedniejsze. A to zostało w domu.

Po znalezieniu zdjęcia dziewczyna długo zastanawiała się, czy powinna z powrotem umieścić je w kieszeni, gdzie spoczywało przez długie lata. Może lepiej byłoby wkleić fotografię do rodzinnego albumu? Kilkakrotnie przekładała fotkę, bo skoro tato nosił ją przy sobie w najważniejszych życiowych chwilach, to widać powinna tam zostać. A może lepiej чуłby się w zaściatach, gdyby mu ją zaniósła na cmentarz? Albo gdyby ocalała przed ostatecznym zniszczeniem? Bo przecież ubrania mogą pewnego dnia zniknąć z domu. Wszak po śmierci taty wuj Broniek chciał zrobić z nimi porządek, ale wtedy mama na to nie pozwoliła. Jednak po kilku latach mogła zmienić zdanie na ten temat. I co by to było, gdyby tak kiedyś Ewa wróciła ze szkoły i zastała opróżnioną tę część szafy? Serce by jej pękło, gdyby pamiątka poszła na zatracenie.

Po namyśle umieściła zdjęcie w albumie i na kilka lat o nim zapomniała.

Pewnego dnia, gdy poszła odwiedzić Martę, zastała kuzynkę na przeglądaniu wakacyjnych fotek.

– Muszę je wpiąć, ale brakuje mi już miejsca. Poprosiłam mamę, żeby kupiła nowy album, bo te są wypełnione po brzegi. Chcesz zobaczyć?

Chciała. Zawsze intrygowała ją przeszłość i stare fotografie.

W jej domu nie było ich wiele. Mieściły się w zaledwie jednym zbiorze. Mama nie miała przywiązania dla takich drobiazgów. Co innego ciocia Julia! Ta pieczołowicie gromadziła pamiątki. W jej albumach zdjęcia były starannie powklejane za pomocą czarnych przyklepnych narożników. Ułożone w porządku chronologicznym, ale również i tematycznie: osobno Pawłowscy, osobno Kulkowie, osobno trzy nowohuckie rodziny Szymczaków. Wszystko opatrzone podpisami oraz datami. Dziewczęta najpierw obejrzały nowsze albumy, potem Marta przyniosła z pokoju stołowego najstarszy, jaki był w ich domu. Ten zawierał nieliczne wizerunki przodków. Krewnych, którzy zmarli jeszcze przed wojną, w jej trakcie albo krótko potem. Kończył się fotografią stojącej pod jabłonią brunetki. To zdjęcie z miejsca wydało się Ewie znajome. Przyjrzała mu się uważnie i dostrzegła, że jest to ta sama odbitka, którą tato nosił w kieszeni ślubnego garnituru. Twarz uwiecznionej kobiety widoczna była na niej nader wyraźnie. I nie należała bynajmniej do jej mamy. To była Julia, a zdjęcie pochodziło z 1949 roku. Czyli zostało wykonane krótko przed jej ślubem.

*Tato kochał się w cioci Julii! – nasza ją równie przerażająca, co przygnębiająca myśl. To dlatego mama tak się na nią wciąż boczy. Musiała wiedzieć o wszystkim. Żyć ze świadomością, że nie była tą jedną jedyną! Czy... Czy oni mieli romans? – Zadygotała.*

Tak niewiele wiedziała o przeszłości swojej rodziny. Wujowie i ciotki mieli mnóstwo jakichś mrocznych sekretów, o których nie chcieli z nikim rozmawiać. Jeden z nich kilka lat wcześniej został odkryty przez Karola. Ewa nie wiedziała dokładnie, o co chodzi, ale pamiętała, że była wtedy jakaś straszna draka. No i jeszcze ten dziwny chłopak: Marcin Korczyk, który podobno jest bratem Pawła i Danki, choć ma inną matkę i nie nosi nazwiska Szymczak!

*Ile szkieletów wypadnie jeszcze z rodzinnej szafy?*

Przeplakała kilka nocy, tak bardzo żał jej było mamusi. Rozumiała jej cierpienie i gorycz. Musiała być świętą kobietą i kochać męża nad życie, skoro nie opuściła go w ciężkiej chorobie i godzinie śmierci, choć miała świadomość, że jego serce należy do Julii.

Od tamtej pory rzadziej pojawiała się u Pawłowskich. Boczyła się na ciotkę. Winna temu czy nie, zabrała miłość tatusia, która miała prawo należeć wyłącznie do mamy. Przysporzyła cierpienia swej siostrze. Może to właśnie z tego powodu matka piła na umór? Prawdopodobnie chciała zapomnieć o zazdrości trawiącej ją przez całe życie.



– Wszelki duch Pana Boga chwali! – wykrzyknęła radośnie Dorotka, widząc niespodziewanych gości.

Już wcześniej zauważyła z okna dworu, że przed budynek podjeżdża lśniący nowością polonez, lecz siłą rzeczy nie przyszło jej do głowy, iż za jego kierownicą może siedzieć Wawrzek. Wszak widzieli się przed niespełna miesiącem podczas wesela Kacpra i Elżbiety. Pawłowscy zabawili wówczas na wsi nieco dłużej niż zwykle i po raz pierwszy od wielu lat zamiast w domu rodzinnym Julii, gościli w piotrowickim dworze. Dość długo musiała ich z Ksawerym namawiać, aby zatrzymali się na nocleg właśnie u nich. Wykręcali się siłą przyzwyczajenia i chęcią przebywania wśród reszty rodziny, lecz tak naprawdę chodziło o wspomnienia Wawrzyńca sprzed wojny.

Wszak to właśnie tutaj przyszedł na świat i beztriosko spędził swoje dzieciństwo. To tutaj jego ojciec odebrał sobie życie. I do tego miejsca wciąż wrywało się serce oraz tęskne myśli.

Obydwoje z Julią marzyli o powrocie na wieś. W Nowej Hucie żyło się coraz trudniej. Dokuczał im nieustanny strach przed

szpiclami bezpieki. Wawrzek wciąż twierdził, że jest obserwowany. Jego biurko regularnie ktoś przetrząsał, a rozmowy telefoniczne pewnie podsłuchiowano. Jako człowiek na eksponowanym stanowisku musiał podlegać inwigilacji. Zaangażowanie w sprawy związane z budową kościoła też mu nie pomagało w oczach władzy ludowej. Gdyby nie to, że był doskonałym fachowcem, zapewne już dawno zrobiliby z nim porządek. Był zestresowany, ale pozostawał nieugięty. Ostatnio podupadł na zdrowiu, dokuczało mu serce, więc mocno ograniczył palenie. Odzywał się także uraz, którego doznał podczas obrony krzyża. Często bolała go lewa ręka, bywało nawet, że drętwiała. Chodził do lekarzy specjalistów, lecz ci nie potrafili mu pomóc. Robili prześwietlenia, które nie wykazywały niczego, zapisywali środki przeciwbólowe i jakieś maści. Julia próbowała chyba już wszystkich znanych jej domowych metod na złagodzenie bólu. Robiła mężowi okłady z żywokostu, poila go różnymi ziołami. Choć śmiał się z tego, ciągnęła go do zielarzy i innych cudotwórców. Wszystko na darmo. Na szczęście dolegliwości nie dokuczały mu każdego dnia, lecz pojawiały się zwykle na zmianę pogody.

– Starszy człowiek ze mnie, ot co. – Nadrabiał miną. – Dziadkiem jestem, i to potrójnym, więc musi coś człowiekowi doskwierać.

– Starszy człowiek! Też coś! – irytowała się Julia. – Myślałby kto! A idź, dziadu, połów się do trumny!

Nie lubiła, gdy przypominał o upływającym czasie. Pragnęła zachować młodość jak najdłużej. Dorota zwróciła uwagę na pojawiającą się próżność u siostry. Pawłowska nosiła się modnie, niemalże młodzieżowo. Znowu zapuściła włosy, które układała w zgrabne fale o długości do połowy pleców. Farbowała je na ciemny kolor nie tylko po to, by wyglądać nowocześnie, ale również aby ukryć siwe pasma pojawiające się na jej skroniach.



Podczas Kacprowego wesela obydwój z mężem doskonale się bawili. Ponieważ Wawrzek czuł się tego dnia nader dobrze, tańczyli do upadłego, a ich śmiech był wręcz zaraźliwy.

Dorota wyczuwała jednak, że pod zewnętrznymi pozorami szczęścia pojawiły się jakieś rysy, o których Julia woli nie wspominać. Czasami łapała siostrę na tym, że spogląda na Wawrzyńca jakoś tak dziwnie. W jej oczach widniało coś, czego wcześniej tam nie było: strach. Tylko co było jego źródłem?

– Dorciu, moja kochana! – Julia zawisła na siostrzanej szyi. – Ładna pogoda, to i wybraliśmy się na wycieczkę. Wawrzus chciał przegonić nasz nowy nabytek. – Pokraśniała z radości, wskazując samochód, z którego wyskakowali właśnie ich podeksycytowani wnukowie.

– No proszę! – Ksawery, który wyłonił się zza pleców żony, zagwizdał z podziwem. – Piękny wóz, szwagier! Jakim cudem udało ci się go dostać? Wszak klepią je w fabrykach bodajże od maja.

– Ano miałem szczęście – odparł dumny kierowca. – Byłem już dawno zapisany w kolejce na dużego fiata. Zgromadziłem niemal cały wkład na książeczce. Kolega z biura, który oszczędzał równo ze mną, przeniósł wkład na poloneza. A że jest partyjny, to szybko udało mu się dostać papiery na odbiór auta. Tylko że tydzień wcześniej kupił okazji lekko przechodzonego mercedesa sześćsetkę po jakimś znajomym konsulu czy ambasadorze. No to zagadałem, czyby mi nie odstąpił tego. – Kiwnął głową w stronę pojazdu. – Chętnych było kilku, ale to mnie się udało, bo dzięki mnie zgarnął niedawno dużą premię za wniosek racjonalizatorski.

– A co zrobiłeś z syreną? – zainteresował się Olszański.

– Na razie Karol jeździ. On też wpłacał na fiata, ale przed nim jeszcze sporo czekania. A czemu pytasz? Chciałeś odkupić? – wyraził zdziwienie. – Przecież masz swojego żyguli.

– Nie, tak tylko, z ciekawości. No, pokaż to cudo! – Poklepał

szwagra po ramieniu.

Mężczyźni i chłopcy zajęli się samochodem, kobiety weszły do domu. Dorotka od razu wyłączyła odbiornik telewizyjny, choć jeszcze przed paroma minutami oglądała jakiś program, oczekując dość niecierpliwie na pierwszy odcinek serialu *Lalka*, do którego zostało jeszcze sporo czasu. Teraz jednak nie miało to znaczenia, cieszyła się niespodziewaną wizytą.

– Co tam u was słychać? – zagadnęła, gdy Julia wśliznęła się w ślad za nią do kuchni, aby pomóc w przygotowaniu poczęstunku.

– Nic nowego. Karol wiecznie zajęty na uczelni, postanowił robić doktorat. Chłopcy chodzą już do zerówki, a Wiolka zaczęła przedszkole. Troszkę sobie krzywduje z tego powodu. Na razie każdego dnia jest płacz, ale Gabrysia konsekwentnie ją zostawia. Musi chodzić do pracy, bo z jednej pensji nie wyżyliby w piątkę. Już i tak się dręczyła ostatnimi czterema laty przesiedzianymi w domu.

Dorotka w milczeniu kroїła ciasto. Słuchała siostry, lecz właściwie nie dowiedziała się niczego znaczącego. O tym samym rozmawiały podczas jej urlopu w Piotrowicach.

– A co u ciebie? – zagadnęła w końcu, uważnie spoglądając Julii w oczy. Ta umknęła wzrokiem, potem odwróciła się, niby po talerz.

– U mnie? – Wzruszyła ramionami. – Bez zmian.

– Ejże? Aby na pewno?

– A cóż by mogło być? – odparła wykrętnie. – Czas płynie, człowiek robi się coraz starszy. Brak mi czasami tej energii, którą miałam kilka lat wcześniej. Siły nie te i chęci do wszystkiego też nie te.

Jej ton był dziwnie obojętny, jakby to nie ona przemawiała o swoim życiu, lecz ktoś obcy, stojący z boku.

Dorotka odłożyła nóż, wyjęła talerz z rąk siostry, a potem mocno ją przytuliła.

– Juliś... Juliś – wyszeptała jej na ucho. – Przecież wiesz, że mnie możesz zawsze powiedzieć o wszystkim.

Pawłowska odchyliła głowę, by spojrzeć w przenikliwe oczy siostry. Walczyła sama ze sobą, w końcu, czując napływające łzy, powiedziała drżącym głosem:

– Wawrzyniec.

– Co: Wawrzyniec? – dociekała Olszańska.

– Och... Dorciu, Dorciu... On... On chyba kogoś ma – odparła, zagryzając wargę.

Nie zdążyła dodać nic więcej, gdyż od drzwi wejściowych dobiegły je głosy mężczyzn wchodzących do mieszkania.

– Porozmawiamy później. – Zafrasowana Dorota pogładziła ją po ramieniu.

Już wcześniej przypuszczała, że coś jest na rzeczy. Siostra od jakiegoś czasu sprawiała wrażenie innej: odmienionej, trochę zrezygnowanej i jakby przygaszonej. Olszańska stawiała jednak raczej na jakąś chorobę lub inne troski, a nie na zdradę.

*Przekłeta intuicja! Że też zawsze coś musi dźgnąć mnie w oczy. Uwierać widok cudzego nieszczęścia* – westchnęła ciężko, unosząc z kuchennego stołu talerz sernika. A potem przywołała uśmiech na usta i ruszyła w stronę pokoju gościnnego. W ślad za nią dreptała Julia z talerzykami i sztucami.

– Napijcie się kawy? – zaszcebiotała pani domu.

– Z przyjemnością – odparł Wawrzyniec.

– Ja także poproszę – powiedział Ksawery, odprowadzając wzrokiem żonę do drzwi.

Julia wyszła razem z siostrą. Chłopcy zostali na zewnątrz, pouczeni przez dziadka, że podczas zabawy mają uważać na samochód. Mężczyźni zostali więc sami.

– To niepojęte, ile szczęścia może dać człowiekowi sama obecność kobiety. Odpowiedniej kobiety – podkreślił Olszański.

Pawłowski, nie czekając na zachęty ani na obiecaną kawę, nałożył sobie ciasta na talerzyk.

– Tak. Potrafią zawieść człowieka jednocześnie do bram piekła i raju – zachichotał. – Słyszałeś o uprowadzonym samolocie? – zmienił szybko temat, by szwagier czasami nie uczeplił się jego enigmatycznej odpowiedzi.

– A coś mi się obito o uszy. Gadali przez kołchoźniki, ale akurat to był albo koniec sierpnia, albo początek września, a wtedy mieliśmy huk roboty i nikt u nas nie zawracał sobie głowy bzdurami.

– Jakaś para sterroryzowała pilotów i zażądała lądowania w Berlinie Zachodnim.

– Gdyby Gierek troszkę uchylił granic, to jak nas tutaj jest trzydzieści pięć milionów, tak nie ostałby się pewnie ani milion – skomentował Ksawery. – Tak nam dobrze w Polsce, że wiejemy na Zachód.

– Nie do końca. To byli obywatele bratniego narodu.

– Nie gadaj, ruscy?

– Szwaby z NRD. Pewnikiem też już im się opatrzyły mydelniczki i rozklekotane wartburgi, zapragnęli luksusu. Najlepsze jest to, że zastraszyli naszych zabawkowym pistolecikiem.

– Ot, śmiech. A gdyby tak w Emilcinie rzeczywiście wylądowało UFO, to potem miałyby problem z odlotem z Ziemi, bo tylu byłoby pasażerów na gapę.

– Ale wiesz, ludzie faktycznie uwierzyli, że ktoś do nas przyleciał z kosmosu.

– No ba! Skorośmy im wysłali Sojuza z Hermaszewskim, to pewnie chcieli sprawdzić, czemu ludzie spierniczają z Ziemi, by badać obce grunty.

– Sam bym stąd chętnie dał nogę – westchnął Wawrzek. – Coraz ciężej się żyje. Gierek nas załatwił tymi pożyczkami i iluzją dobrobytu.

– Żebyś wiedział. Tutaj w pegeerze bieda aż piszczy.

– Aha, zostawić mężczyzn samych choć na chwilę, to zaraz

zaczyna się gadanie o polityce – stwierdziła Dorota, stawiając przed gośćmi dzbanek pełen aromatycznej kawy, która od jakiegoś czasu znowu stanowiła luksus nad luksusy. O ile jeszcze do niedawna przy odrobinie szczęścia można było nabyć srebrzyste torebki z zieloną filiżanką i napisem *extra – selekt* nawet w pawlickim sklepie Społem, o tyle teraz było to dobro dostępne jedynie odświętnie i dla wybranych.

– A bo to da się zapomnieć o polityce, szwagierko, skoro rząd wpiernicza się we wszystko, nawet w ceny żywności? Kto widział coś takiego przed wojną?

– Tak à propos, podnieśli nam ceny skupu mleka. Dla rolników dobra wiadomość, bo zarobią co nieco i zwiększy się opłacalność hodowli.

– Gorzej z nami: mieszcuchami. Nabiał pójdzie w górę, choć i tak jest już drogi. Dojdzie jeszcze do tego, że zamiast masła będziemy jeść margarynę.

– Fúj, wypluj te słowa, Wawrzuś! Nikogo nie zamierzam karmić sztucznym wytworem – oburzyła się Julka.

Pawłowski wstał i odsunął dla niej krzesło. Usiadła obok męża i sięgnęła po talerzyk do ciasta. Zachowywali się na pozór normalnie, lecz Dorota nie po raz pierwszy wyczuwała jakieś dziwne napięcie pomiędzy nimi.

W kuchni nie usłyszała wiele więcej na ten temat. Julka szepnęła, że to tylko podejrzenia i na razie go obserwuje. Ale że ostatnio zmienił się i jakby nabrał dystansu. Już nie wychodzą razem wieczorami, choć przecież mogliby się śmiało zabawić, ponieważ dzieci mają dorosłe. Kino go nie cieszy, na teatr też trudno go namówić. Właściwie ostatnim razem poszli z wnukami na *Wielką podróż Bolka i Lolka*, a to było, zdaje się, w ubiegłym roku. Gdyby nie wesele Kacpra, do reszty by skapcanieli. A raczej ona, bo on ostatnio dość często zostaje w biurze po godzinach urzędowania.

Przy stole popłynęła rozmowa o tym, jak rozrasta się Nowa

Huta. Julia wyraziła zadowolenie z nowo otwartego sklepu z mrożonkami, a Wawrzyniec komentował zakończenie budowy Elektrociepłowni Łęg, która miała im zapewnić ciepło w mieszkaniach. Obydwoje natomiast wyrazili sceptycyzm co do budowania wieżowców w ścisłym centrum dzielnicy.

– To będzie wyglądało dziwnie. Wszędzie mamy niską, czteropiętrową zabudowę. Na podwórkach jest dość przestrzeni i na suszenie prania, i na to, by dzieciaki miały się gdzie bawić, choć u nas to raczej chodzi o wnuki. A teraz wyobraźcie sobie, że rozgrzebali sam środek osiedla po to, aby wcisnąć dziesięciopiętrowego smoka! Jak Karol zostawia u nas chłopców i Wiolinę, to strach spuścić ich choć na moment z oczu, żeby nie poleźli na teren budowy i nie zrobili sobie jakiejś krzywdy. Znowu wszędzie pełno kurzu i śmieci. A hałas? A te ordynarne przekleństwa, które dobiegają zza okna? Ani chwili spokoju! To już wolę, gdy Marek i Adrian zostają w mieszkaniu i oglądają telewizję. Taką *Sondę* chociażby. Albo *Zwierzyniec*. Trzeba pójść z nimi na spacer gdzieś dalej, jeśli chcę, by złapali choć trochę powietrza. Zewsząd otaczają nas smrody i pył. Ach, marnieją dzieciaki w mieście. Marnieją. Blade toto i chude. Pod oczami mają sińce. Kiepsko odkarmione, zatrute wyziewami z huty – utyskiwała Pawłowska. – Rodzice też nie mają dla nich czasu, wciąż są zabiegani.

Dorota słuchała w milczeniu. Właściwie rozumiała rozgoryczenie siostry, ale nie znała jej od tej strony: niemalże ze wszystkiego niezadowolonej.

Czy to dlatego Wawrzek sprawiał wrażenie nieco znużonego? Może miał dość narzekań?



Falomierz, czyli centymetr krawiecki, z którego Paweł

codziennie odcinał jeden kawałek, szybko się kurczył. Zostało zaledwie pięćdziesiąt dwa dni do opuszczenia koszar. Po obiedzie Szymczak wraz z kolegami głośno wykrzyczał w jadalni tę liczbę w myśl zasady „obiad zjedzony – dzień zaliczony”. Za dwa dni zgodnie z wojskowymi standardami będzie określany słowem „cywil”, choć jego służba jeszcze nie została zakończona. Znowu będzie musiał chodzić starannie umundurowany i samodzielnie ścielić swoje łóżko – jak przystało na kogoś, kto jedną nogą jest poza jednostką. O inne jego potrzeby i tak zadbają koty, odpowiednio wytresowane przez rezerwę. On już stanie ponad tym – nie będzie musiał wydawać durnych poleceń i pastwić się nad szczyłami, które dopiero zaczynają służbę. Dość się najeździł po młodym wojsku w ostatnich kilku miesiącach.

Teraz zajmowało go obmyślanie cywilnej chusty, w której miał opuścić koszary.

Cieszył się na powrót do domu. Miał już dość dyscypliny, woniejącego stęchlizną magazynu, spania w jednej sali z kilkunastoma chłopakami. Niby po blisko dwóch latach szło przywyknąć, ale co wolność, to wolność. Bez durnych rozkazów i czołgania się w błocie.

Jeszcze nie wiedział, co zrobi ze sobą w cywilu. Nie chciało mu się wracać do kombinatu, ale właściwie nie widział innych perspektyw. Skończył zawodówkę, więc mógł liczyć jedynie na pracę fizyczną. Na razie wciąż żył absurdami służby wojskowej. Jako uprzywilejowany „dziadek” miał teraz prawdziwy luz. Tak się potrafił ustawić, że kociarstwo robiło za niego wszystko: od ścielenia łóżka, przez parzenie herbaty, na polerowaniu butów skończywszy. Jak mu coś nie pasowało, wypłacał kotu parola, czyli mocne uderzenie w czoło, lub wymierzał jakąś karę. Nigdy nie pominął okazji, by dokuczyć młodemu wojsku. Nie zdarzyło się, by w jego obecności jakikolwiek smarkacz przeszedł spokojnie. Jak zdybał takiego, to zaraz wrzeszczał:

– Gaz!

W takim przypadku delikwent musiał lecieć po swoją maskę przeciwgazową i biegać w niej po korytarzu.

Nie szczędził młodym pasa, szafy grającej i innych rozrywek.

Takie życie: najpierw on dostał mocno po dupie od dziadków, teraz oddawał to samo innym. Z nawiązką, a jakże!

Szafę grającą urządzili ostatnio z Wiktorem jednemu gnojkwowi, którego przyłapali na samowolnym paleniu papierosów. W pierwszej chwili zamierzali mu zgasić peta za pomocą gara lodowatej wody. Z grubsza polegało to na oblaniu niesubordynowanego, który potem miał posprzątać zrobiony przez nich chlew. Szybko jednak porzucili ten zamysł. Komu by się chciało szarpać z wielkim kotłem? O wiele prościej było zorganizować popisy wokalne. Kazali więc kotu, by wlaź do metalowej szafki. Przez szczeliny w drzwiach dziadkowie wrzucali mu drobne monety i wydawali polecenie zaśpiewania jakiejś piosenki. Robili to przy uciesze niemalże całej kompanii. A gdy śpiew był zbyt cichy, zawsze znalazł się ochotnik, który wyregulował dźwięk, waląc w szafę pięścią lub stołkiem.

Czego to się nie robi dla zabawy?



– Mamo, mamo!

Bogumiła gotowała płatki owsiane na kolację, gdy dobiegło ją wołanie Agnieszki, które ledwo przebijało się przez hałas z telewizora.

– Chodź szybko, Bogusiu! – zawtórował córce Bronek.

Głosy mieli podekscytowane, lecz pełne radości, więc Szymczakowa nawet przez chwilę nie pomyślała, że stało się coś złego. Spokojnie odłożyła łyżkę i zakręciła gaz pod garnkiem. Chwilę wcześniej czynili przygotowania do odsłuchu audycji



Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, ona miała do nich dołączyć, jak tylko skończy z owsianką.

– Już słuchacie? – upewniła się szeptem.

– W radio mówią, że podczas konklawe został wybrany nowy papież. Nie uwierzysz! Bogusia! – gorączkował się Bronek, zwiększając delikatnie moc dźwięku. Po jego twarzy płynęły łzy wzruszenia.

Spomiędzy trzasków dobiegających z odbiornika dało się wyłowić uroczysty głos:

– *Annuntio vobis gaudium magnum – Habemus Papam!*<sup>[3]</sup> – dalsze słowa na moment zagłuszyły owacje, które szybko umilkły, by dało się usłyszeć: – *Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum, Dominum Carolum Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinalem Wojtyła qui sibi nomen imposuit Ioannis Pauli Secundi*<sup>[4]</sup>.

– Święty Boże! Czy ja dobrze go zrozumiałam? On powiedział... Woj... Wojtyła? – zapytała zgromadzonych.

– Tak, Bogusiu. To jest powtórka. Przed chwilą kardynał Pericle Felici powiedział, że nasz ksiądz Karol został papieżem! Pa-pie-żem! – szeptał entuzjastycznie. – Od tej pory będzie nosił imiona Jan Paweł Drugi.

Zasłonił usta dłonią, siłą powstrzymując okrzyk radości.

– To niesamowite! – powiedział syn. – Ależ musieli się zdziwić partyjniacy!

– No! Zrobił im niezłe kuku! – parsknęła śmiechem Agnieszka.

– Ciszej, dzieciaki. – Ojciec ukrócił nieco entuzjazm młodzieży.

– A w wiadomościach mówili coś na ten temat? – zainteresowała się Bogumiła.

Jak na komendę odwrócili się w stronę neptuna, gdyż właśnie nadawano sygnał rozpoczynającego się *Dziennika Telewizyjnego*. Z zapartym tchem spoglądali na spikera cedzącego monotonnym głosem informacje z kraju i ze świata.

– Ani słowa o papieżu! – oburzył się Ludwik, gdy przysłała pora

na komunikat pogodowy.

– Dranie! Boją się tego, co teraz będzie.

Nagle ktoś załomotał do drzwi wejściowych. Spojrzeli po sobie z niepokojem. Czyżby zbyt głośno wyrażali swą radość?

– Zostańcie tutaj. Ludek, schowaj odbiornik!

Bronek odczekał chwilę, choć stukanie nie ustawało. Potem odryglował zamki.

– Henryk? – zdziwił się. Nie zdążył dodać nic więcej, gdyż kolega objął go za kark i zaczął poklepywać po plecach.

– Bronek, słyszałeś nowinę? Na Boga! Słyszałeś o naszym kardynale?

– Tak! Oczywiście! Wchodźże, wchodź, nie stójmy jak te kołki w progu! – Bronek otworzył szerzej drzwi, by wpuścić znajomego.

Jeszcze ich nie zamknął, gdy z parteru doleciały go entuzjastyczne okrzyki sąsiadów. Słysząc było stukanie w drzwi, ludzie krążyli, przekazując sobie wieści. Wylegli więc wszyscy na klatkę, by zjednoczyć się we wspólnym wyrażaniu radości.

– Dobry Boże, co za radość. Polak papieżem!

– Nasz ksiądz Karol. Nasz orędownik i dobroczyńca! – mieszały się podekscytowane głosy.

– A dyć w Krakowie od kilku dni ludzie gadali, że on już do nas nie wróci – rzucił któryś z sąsiadów.

– Żeglarz z naszej łodzi wypłynął na szerokie wody! – podsumował Bronek, ocierając łzy, które wciąż napływały mu do oczu.



Następne dni przyniosły suche, powściągliwe komunikaty państwowych rozgłośni radiowych i telewizyjnych oraz krótkie

wzmianki prasowe. Polacy mieli jednak świeże informacje napływające od dziennikarzy Radia Wolna Europa, którzy nie tylko szeroko komentowali wybór kardynała Wojtyły na papieża, ale również transmitowali mszę pontyfikalną i spotkania z rodakami. Dzięki nim udręczony naród poczuł ożywczą nadzieję, że w świecie podzielonym żelazną kurtyną nastąpi radykalna zmiana.

Ludzie bali się zbyt dobitnie wyrażać entuzjazm. Nie było więc świętowania na ulicach miast i wsi. Świadectwo swej radości dawali, dzieląc się dobrymi nowinami i uczestnicząc w nabożeństwach.

Mieszkańcy Nowej Huty modlili się nad wyraz żarliwie, by człowiek, który jako pierwszy wbił kilof na placu przeznaczonym pod budowę ich kościoła, dokonał jeszcze większych cudów.



- Będzie załatwiał w Watykanie pożyczki dla rządu – skwitował ostatnie wydarzenia Zygmunt Gruca.
- Będzie z tego tylko kłopot – poprawił go Wołodjew. – Zdaje się, towarzyszu, że czeka nas gorący okres, choć wszystko wskazuje na to, że idzie sroga zima.

[3] Za: *Pielgrzym w ojczyźnie. Jan Paweł II* – G. Piotrowicz, J. S. Kowalski, Kraków–Bochnia 2005 r.

[4] Za artykułem: <https://www.tvp.info/34411749/wezwali-go-z-dalekiegokrajudzis-39-rocznica-wyboru-karola-wojtyly-na-papieza> (03-11-2017 godz. 19:54). Zwiastuję wam radość wielką, mamy papieża w osobie najdosłojniejszego i najczcigodniejszego Karola, kardynała Świętego Kościoła Rzymskiego, Wojtyły, który przybrał sobie imię: Jan Paweł II.

1979

### Rozdział 3



## *Ciepłe buty dla Lenina*

**N**a przełomie roku w całym kraju powiało chłodem. Zasadniczo jeszcze kilka dni wcześniej nic nie zapowiadało tego, że już w sylwestrową noc ściśnie mocny mróz, który nie będzie odpuszczał przez wiele dni, a towarzyszyć mu będą wyjątkowo intensywne opady śniegu. Grudzień upłynął mieszkańcom Nowej Huty w ponurej deszczowej aurze.

– Boże Narodzenie po wodzie, Wielkanoc po lodzie – powtarzała Julka wnukom mądrość ludową.

Chłopcy spragnieni byli śniegu i związanych z nim atrakcji: sanek, bałwanów, bitew na śnieżki. Marzyli o feriach u ciotki Doroty lub wuja Kacpra. Na razie jednak mogli tylko taplać się w błocie.

Babcia często robiła, co mogła, by odciążyć zapracowanych rodziców. Chodziło przede wszystkim o zapewnienie Karolowi warunków do studiowania podręczników i gromadzenia materiałów związanych z otwarciem przewodu doktorskiego. Dostarczała chłopcom i małej Wiolince maksimum rozrywek. A ponieważ podwórko osiedla Centrum D od miesięcy było wielkim placem budowy, nie mogła puszczać wnuków samopas.

Zabierała więc całą trójkę na długie spacery z dala od wykrotów, błota lub kurzu. Na przykład na osiedle Górali, gdzie kilka lat temu przed wejściem do Muzeum Czynu Zbrojnego ustawiony został, budzący respekt i podziw dzieciarni, czterdziestosześcotonowy czołg IS-2. To był dopiero raj dla chłopaków! Mogli się wspinać na potężną maszynę, uwieszać na lufie, wędrować po nadkolach osłaniających gąsienice. Rozgrywali bitwy z niewidzialnymi przeciwnikami. Wyobrażali sobie, że oto jadą Rudym 102 na Berlin, by wziąć udział w ostatnich bitwach drugiej wojny światowej. Teraz każdy chłopak z dzielnicy mógł choć przez chwilę poczuć się jak Janek Kos, a dziewczynka jak Marusia lub Lidka.

Grudzień mimo wszystko sprzyjał zabawom na świeżym powietrzu, jednak to styczeń przyniósł dzieciom upragnioną zimę ze śniegiem i wszystkimi atrakcjami. W końcu można było wyjąć sanki z piwnicy i pobiec z nimi na górkę w przedszkolnym ogrodzie. Marek i Adrian z pasją wznosili fortece, zza których obrzucali śnieżkami chłopaków mieszkających w bloku naprzeciwko. Nawet Wiolka nie przeszkadzała w tych bitwach, ponieważ wystarczyło, że ulepili dla niej bałwana. Gdy tylko podpatrzyła, jak się toczy kule, to sama zaczęła nieudolnie naśladować braci, w czym o choczko pomagała to mamusia, to babcia, to starsze dziewczynki.

Zima sprawiała dzieciom mnóstwo radości, choć w mieszkaniach było jakoś chłodniej niż zwykle. Tato co prawda okleił okna uszczelkami z gąbki, a mama dodatkowo poukładała na parapetach koce, ale to i tak na niewiele się zdawało. Czasami, gdy brakowało prądu i nie można było dogrzezać mieszkania farelką, a ziąb doskwierał szczególnie mocno, Gabriela odkręcała w kuchni palniki z gazem i ciepłym ognia próbowała podnieść temperaturę. Markowi i Adrianowi chłód nie przeszkadzał. Oni zasadniczo nie musieli się ciągle kąpać i mogli spać w kalesonach. Frajda ze śniegu

przewyższała drobne niedogodności.

I tylko dorośli chodzili jacyś skwaszeni, narzekali na mróz, zasy i paraliż komunikacyjny kraju.

Nagłówki w prasie krzyczały: „Znowu opady śniegu”, „Zima ponowiła atak”, „A zima nie chce ustąpić”. Miasta i wsie zostały niemal sparaliżowane, zamarł transport publiczny. Z pomocą zasypanym krakowianom ruszyli studenci największych uczelni, którzy porzucili podręczniki na rzecz łopat do odgarniania śniegu. Dziennikarze pięknie rozpisywali się o tym, jak to młodzież odśnieżyła nie tylko miasteczko studenckie, ale również wspomogła swą męzną postawą Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej, Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania oraz Bonarkę. Młodzi ludzie uzbrojeni w łopaty ruszyli na front walki z białym żywiołem. Nie tylko odśnieżali strategiczne zakłady i drogi, ale pomagali również w rozładowywaniu wagonów z węglem, koksem i piaskiem. Propaganda, która ukazywała Polskę jako dziesiątą gospodarkę świata, przedstawiała na łamach gazet bohaterki i solidarny zryw ludzi pracy. Do studentów dołączyła ochotniczo młodzież szkolna oraz robotnicy.

W rzeczywistości, aby zakłady pracy mogły jako tako funkcjonować, ich załogi odgórnie zagoniono do odśnieżania.



Paweł z miną skazańca odgarniał śnieg zalegający na gigantycznym terenie kombinatu. Miał za sobą dniówkę w walcowni drobnej, ale na fajrant przyszedł do niego majster i zlecił mu dwie godziny czynu społecznego.

– My, partyjni, musimy świecić przykładem – oświadczył, gdy Szymczak zaczął protestować. – Łopaty stoją przy wejściu na wydział.

Z nieba uporczywie sypały wielkie, ciężkie płatki. Choć ciężarówki wywoziły śnieg poza teren zakładu, to i tak odśnieżanie było poważnym problemem. Zwały odgarniętego puchu rosły w oczach. Brakowało na nie miejsca. Intensywność opadów sprawiała, że praktycznie natychmiast po odśnieżeniu kawałka chodnika trzeba było ponownie wykonywać tę samą pracę.

– Robota głupiego – mamrotał Paweł, machając łopata. – A mogłem już siedzieć w domu i popijać gorącą herbatę z miodem.

W brzuchu burczało mu z głodu, a wysiłek sprawił, że mimo lekkiego mrozu pot ciurkiem lał mu się po grzbiecie. Ogarnęła go taka wściekłość, że pracował szybko i zapamiętałe.

I pomyśleć, że zapisał się do partii po to, aby ułatwić sobie życie!

Przez lata dość się napatrzył na tych, którzy stają okoniem. Zawsze mieli pod górkę. Wiedział, jaką cenę zapłacił jego ojciec za bunt przeciwko władzy. Słyszał o wujach, którzy odsiedzieli swoje w mamrze. Dziwił im się, że narażają tyłki.

*Po co to komu? Jakby się stary nie wychylał, to pewnie byłby z nami do dziś, a nam byłoby lżej. Matka dalej pracowałaby jako aktorka i żyłaby se jak pani, a nie jak stara przekupka. Przez niego od szczeniaka muszę sobie urabiać ręce po łokcie, żeby choć trochę jej pomóc. Żadnych, kurwa, perspektyw! Nie dość, że zginął tak głupio, to jeszcze zostawił po sobie jakiegoś nieślubnego bachora.*

Przez lata rodzina kładła mu do głowy, jak szlachetnym człowiekiem był jego tragicznie zmarły tato. Andrzej Szymczak obrósł w legendy i jawił się synowi jak jakiś niesamowity bohater. Paweł nie zachował wielu wspomnień o ojcu. Był zaledwie trzyletnim brzdącem, gdy matka owdowiała. Zapamiętał tyle, że rzadko go widywał i prawie nigdy się z nim nie bawił. Kiedy przychodził do taty z autkiem, ten zazwyczaj

stanowczo odsuwał go na bok i mówił:

– Nie teraz. Nie przeszkadzaj.

Gdy tato był w dobrym humorze, podśpiewywał jakieś piosenki.

I to wszystko. Nic więcej nie przetrwało w myślach syna.

Ciotka Julka zabierała go czasami na cmentarz. Kazała mu się modlić za duszę zmarłego. Snuła opowieści o przedwojennym życiu na wsi, zabawach z najmłodszym bratem. O tym, jak później musieli się ukrywać, gdy na niebie pojawiały się buczące messerschmitty.

Dla Pawła wojna była abstrakcją. Legendą, o której uczył się z podręczników. Baśnią opowiadaną przez ulubione seriale telewizyjne. Nie potrafił sobie uzmysłwić, że faktycznie jego krewni na własnej skórze odczuli okupacyjne trudy. Unikał ciotki Doroty, gdyż przerażała go jej pochlastana bliznami twarz. Zresztą w ogóle nie lubił jeździć do Pawlic i za każdym razem, gdy ktoś z rodziny proponował, że go tam zabierze, szukał wymówek, aby nie jechać. Matka też nie pochwalała tych wyjazdów i, zdaje się, nie przepadała za rodziną zmarłego męża.

Minęły dwie godziny obowiązkowego czynu społecznego. Paweł obejrzał odśnieżany przez siebie chodnik, potem ze złością rzucił łopatę tam, skąd ją wziął.

– Na diabła cały mój wysiłek – skwitował, widząc świeżą warstwę białego puchu.

– Nie na diabła, Szymczak. O tyle mniej tego tałatajstwa leży pod nogami – zauważył brygadzysta rozdzielający robotę pomiędzy *ochotników* takich jak on.

Paweł spojrzał na niego spode łba. Wcisnął mocniej czapkę na uszy. Powędrował na przystanek i poszczęściło mu się, bo dość szybko złapał autobus, który jechał, a raczej wolno toczył się w stronę bramy głównej.

Po opuszczeniu terenu huty stwierdził, że najpierw musi coś



zjeść, a potem pojedzie do domu. Zakładał, że w lodówce i tak nie znajdzie nic treściwego, a na pierogi ruskie czy naleśniki przynieszone przez matkę z baru zwyczajnie nie mógł już patrzeć. Potrzebował kalorycznego posiłku. Pracował fizycznie i nie był w stanie funkcjonować na samych daniach bezmięsnych. Gdy był nastolatkiem, dostawał niemalże fioła na tym punkcie. W domu nigdy się nie przelewało, więc jadali zazwyczaj proste i tanie dania barowe. On był spragniony kotletów, rosołu i kiełbasy. Marzył o ociekających gęstym sosem sznyclach, befsztykach, roladach. Obsesyjnie pragnął pachnącej, soczystej szynki, która w rodzinnym domu była dostępna wyłącznie od święta.

Wykombinował sobie, że czym szybciej skończy szkołę i pójdzie do pracy, tym szybciej zaspokoi głód, który wykręcał jego wnętrzności, odkąd tylko sięgał pamięcią. Nakupi sobie kotletów i naje się nimi do syta. Szczęściem gierkowski dobrobyt sprzyjał realizacji tego marzenia – gdy Paweł zaczynał pracę zawodową, sklepy były nieźle zaopatrzone. Pierwsze zarobione przez siebie pieniądze wydał na jedzenie. Zaczął obiadem w restauracji, skończył zakupami w delikatesach.

Nigdy nie udało mu się w pełni zaspokoić głodu. Wciąż odczuwał ten cholerny, niepokojący niedosyt. I zdawał sobie sprawę, że za pensję hutnika nie zdoła się nasycić. Mięso było drogie, szynka stanowiła rarytas. A on chciał mieć te delicje codziennie na swoim talerzu. Bez ograniczeń.

Pamiętał, jak mu krewni opowiadali, że jego ojciec był zaradnym i przedsiębiorczym człowiekiem. W mieście nie musiał ciężko pracować, aby żyć godnie. Ponoć zawsze palił dobre papierosy i miał w domu wyborne trunki. Na nic nie brakowało mu forsy i kupował żonie kosztowne prezenty. A i tak wciąż było mu mało, więc grywał namiętnie w toto-lotka, marząc o głównej wygranej.

Paweł także lubił skreślać liczby, lecz szczęście jakoś nie

chciało mu dopisać. Ostatnio coraz częściej rozmyślał o tym, że tak naprawdę dość ma tyrania w pocie czoła. Niewolnicy na plantacjach bawełny też ciężko pracowali. Podobnie jak górnicy w kopalniach złota czy diamentów albo więźniowie w niemieckich obozach koncentracyjnych lub radzieckich gułagach. Czy któryś z nich dorobił się fortuny? Czy jadał kawior, pijał szampana i spożywał najdelikatniejsze szynki? Czy sypiali w atłasie i puchu, wozili się drogimi samochodami, dostawali najpiękniejsze kobiety?

– Dzień dobry. Pani Andziu, pączusiu słodki, co dobrego mógłbym dzisiaj zjeść? – zagadnął bufetową w jadłodajni należącej do kombinatu.

Anna Skowron, pieszczotliwie zwana Andzią przez robotników, była miłą dla oka dwudziestotrzylatką. Miała lekko rudawe włosy obcięte na modnego pazia, którego na ogół musiała przykrywać nylonowym czepkiem gastronomicznym. Patrzyła na świat rezolutnie, choć ciężko było spojrzeć wprost w szare tęczówki, gdyż jej oczy wyraźnie zezowały. Ale jakby w nagrodę za ten defekt, natura obdarzyła ją przyjemną powierzchownością: niedużym, lekko zadartym nosem, który hojnie zdobiły jasnobrązowe piegi, ładnie wykrojonymi ustami i dołeczkami w policzkach, przyciągającymi męskie spojrzenia. Jeżeli do tego dodać ponętne kobiece kształty, to całość sprawiała naprawdę apetyczne wrażenie.

*Do schrupania* – myśleli o niej panowie stołujący się w tym miejscu.

*Schrupałbym ją na deser* – pomyślał również i Paweł, słuchając o smakołykach, jakie tego dnia były dostępne w ofercie jadłodajni.

– Dobra, to ja poproszę flaczki raz i śliczny uśmiech przynajmniej ze dwa razy.

– Żartowniś z pana – zachichotała dziewczę, inkasując należność.

O tej porze w bufecie nie było dużego ruchu, więc Paweł skracał sobie czas oczekiwania na posiłek konwersacją z Andzię. Nim zanurzył łyżkę w gorącym daniu, był już umówiony na kawę w Jubilatce, choć dziewczyna zaśmiewała się, że do kawiarni to chyba przyjedzie na sankach. On to z miejsca podłapał i oświadczył, że jakby co, to chętnie wejdzie w rolę ogiera i te sanki pociągnie.

Tani tekst, ale jak się okazało – skuteczny.

Zadowolony z siebie Szymczak opuścił jadłodajnię. Zły humor minął. Pełen żołądek i perspektywa randki z atrakcyjną dziewczyną okazały się idealnym antidotum.

*Dobrze mieć zaprzyjaźnioną bufetową, bo to zawsze człowiek zje coś lepszego – stwierdził. – Takie flaczki chociażby. Jak się kobiecie szepnie miłe słowo, to zanurzy chochlę w kotle głębiej i nabierze gęstszej stawy z dna.*

Dzięki podobnej postawie łatwiej radził sobie w wojsku, choć tam czarować nie było kogo. Ale jak już wyrywali się z innymi wojakami na przepustki, to w okolicznych barach znał wszystkie kelnerki i bufetowe.

Choć ani pora dnia, ani aura temu nie sprzyjały, zajrzał jeszcze do rachitycznego zagajnika obok przystanku tramwajowego. Ku swemu zaskoczeniu w Lasku Bulońskim – jak powszechnie nazywano to miejsce – spotkał kilku kumpli ze zmiany, którzy podobnie jak on zostali na czyn społeczny. Stali teraz zwartą gromadą i rozgrzewali się wódeczką nabytą w pobliskim sklepiku. Prócz alkoholu mieli także pepsi-colę oraz ogórki konserwowe, w związku z czym impreza trwała w najlepsze. No i oczywiście wszystko odbywało się z pełną kulturą – elegancja-Francja, jakiej człek nie uświadczy w pijalniach piwa lub tanich spelunach. Nawet pogawędki, jakie tutaj się odbywały, były na znacznie wyższym poziomie niż w pierwszej lepszej nowohuckiej mordowni. Wprawdzie wieść gminna głosiła, że lasek stanowił miejsce porachunków

zwaśnionych wydziałów kombinatu, lecz w rzeczywistości jeśli przypadkowy przechodzień zbłądził w tę stronę, to mógł się co najwyżej natknąć na powalonego snem lub alkoholem robotnika, a nie na ofiarę bójki.

– Ha! Jest nasz Alain Delon! – przywitały Pawła okrzyki kolegów. – Strzelisz banie?

Nazwisko niezwykle popularnego aktora przyłgnęło doń w postaci ksywy krótko po tym, jak dostał ponowne zatrudnienie po powrocie z wojska. Przyczyniła się do tego jego ciemna czupryna, męsko zarysowana żuchwa i spojrzenie, które rozmiękczało kolana kobiet.

– Nie pogardzę – odparł zagadnięty, choć wiedział, że konsekwencją jednego kieliszka będzie kolejny, a potem trza będzie postawić kumplom flaszkę. A do stawiania to on nigdy pierwszy nie był, bo po co się szarpać na cudze przyjemności? Lepiej przecież wydać ciężko zarobione pieniądze na własne potrzeby, a tych zawsze miał sporo.

Pogwarzył chwilę z kolegami, lecz aura absolutnie im nie sprzyjała. Dygotali, popijając lodowaty alkohol i nie mniej zimną pepsi, zagryzając równie chłodnym ogórkiem. Aż go telepało, gdy czuł, jak przez jego układ pokarmowy przepływają wyziębające organizm strugi. Mróz tężał, a mimo to śnieg nadal sypał obficie. Na ramionach i głowach mężczyzn osiadały wielkie białe płaty. Ktoś nawet zaśmiał się, że zgromadzeni robotnicy wyglądają jak zgraja bałwanów.

- Ech, czas do domu – stwierdził w końcu któryś.
- No to strzemiennego!
- Strzemiennego. Na prawą nóżkę!
- Chlup! Na lewą nóżkę!
- Chlup! I na nóżkę Andzi. Chlup!
- Ech... Tę nóżkę to bym ugryzł – stwierdził jakiś rozmarzony.
- Takie to ma jędrne łydeczki!
- Ty se lepiej zapomnij o gryzieniu. Czubkiem palca nie

dotkniesz, a co dopiero paszczą. Panna Andzia jest niedostępna. Nie dla psa kiełbasa!

Paweł uśmiechnął się w duchu na te słowa. Bo to dobrze świadczyło i o Andzi, że nie lata za każdym, co ją próbuje zbajerować, i o nim, że ją sobie zjednał. Tej by nie żałował złościszy na przyjemności. Pewnie i większy miałby z tego pożytek niż z kupna flaszki ochlaptusom.

– Szanuje się dziewczyna, a co? Pewnikiem upatrzyła se jakiegoś urzędnika z Zetki. Co se tam będzie zaprzętać głowę prostymi hutnikami? – skwitował na ostatek Edmund Byra, babiarz jakich mało. A skoro on tak mówił, to dla wszystkich było oczywiste, że gada do rzeczy. Inaczej pochwaliby się podbojem.

*I w to mi graj* – odetchnął Szymczak, bo jemu nie w smak byłoby randkowanie z panną o wątpliwej reputacji.



Zima stulecia trzymała kraj w mocnym, skostniałym uścisku. Zmarznięci ludzie przedzierali się przez zaspy, pomstując na opady, które zdawały się nie mieć końca. Szwankował transport miejski, co pociągało za sobą problemy z zaopatrywaniem sklepów. Władze apelowały do ludzi o wzajemną pomoc i o cierpliwość. Kaprysy aury doprowadziły do tego, że przebywający na zimowisku Adrian i Marek, podobnie jak mnóstwo innych dzieciaków, musieli dłużej pozostać w ośrodku wypoczynkowym. Rodzice z niepokojem oczekiwali na informacje o powrocie swych pociec do domów, a młodzież z radością korzystała z uroków zimy oraz przedłużonych ferii.

Wawrzyniec solidarnie ze wszystkimi dygotał z chłodu w niedogrzanym biurze lub mieszkaniu i denerwował się, gdy pojazdy komunikacji miejskiej kursowały z opóźnieniem, a on

musiał marznąć na przystankach. O wyjazdach do pracy samochodem nie było w ogóle mowy: żał byłoby narażać nowiutkie cacuszko na kolizję lub utknięcie w zaspie. Zresztą wciąż apelowano do mieszkańców, aby nie wyjeżdżali na zasypane drogi, o ile nie stanowi to absolutnej konieczności. Polonez stał więc pod plandeką i czekał na lepsze czasy, a Wawrzek i Julka dreptali porankami na przystanku, utyskując na aurę. Popołudniami zazwyczaj wracali do domu oddzielnie. Rzadko się bowiem zdarzało, aby Pawłowski opuszczał biuro w tym samym czasie co żona. Zwykle sprawy służbowe zatrzymywały go znacznie dłużej.

To była wersja oficjalna.

W rzeczywistości wcale mu się nie spieszyło, ponieważ już od dawna nie potrafił się zrelaksować i wypocząć we własnym mieszkaniu. Odkąd sięgał pamięcią, Julia wciąż niańczyła jakieś dzieci: a to swoje, a to krewniaków, a to wreszcie wnuki. W mieszkaniu ciągle panował gwar, a ona pochłonięta była wszystkimi możliwymi pracami domowymi i jeszcze opieką nad brzdącami. Gdy już zapadała cisza, to dla wytchnienia żona odgradzała się od świata jakąś książką lub najnowszym numerem „Kobiety i Życia” bądź „Przyjaciółki”. Albo leciała na miasto z wizytami do licznych członków rodziny czy koleżanek. Odkąd Krystyna przebywała na rencie, wystawała także w długiach sklepowych kolejkach. Na wszystko znajdowała czas, tylko nie na to, aby pobyć choć trochę sam na sam z mężem.

I pomyśleć, że tak się cieszył na myśl o dojrzewaniu swoich córek! Oczekiwał z niecierpliwością, aż dorosną, zaczną żyć własnym życiem i staną się mniej absorbujące. Liczył, że gdy nastanie ten etap, to on i Julia będą mieli dla siebie więcej czasu. Skończy się bieganie za dziećmi, a zaczną wyjazdy na wczasy tylko we dwoje, wyjścia na dansingi, do teatru i do kina. Już od tak dawna nigdzie nie bywali razem! Wciąż chodzili albo

z córkami, albo z Karolem, albo z Bronkiem i jego rodziną. A jak wyjeżdżali na wieś, to też zawsze brali kogoś na doczepkę: Ewę, Danusię lub wnuki.

Ostatnio zauważył, że nawet rozmawiać nie mają za bardzo o czym.

Po ślubie potrafili przegadać całą noc. Był czas i na rozmowę, i na pieszczoty. Nie nudzili się sobą. Teraz wymieniali komunikaty związane z życiem rodziny. Julii nie interesowały jego sprawy biurowe, gdyż często mijali się na korytarzach Pałacu Dożów i zasadniczo była ze wszystkim mniej więcej na bieżąco. Nie miał też wielu spraw rodzinnych, którymi mogliby żyć, ponieważ jego rodzeństwo rozpiezchło się po Polsce, a kontakt listowy i telefoniczny uległ znacznemu osłabieniu. Odwiedzali się raz na ruski rok. Dla Julki priorytetem byli Szymczakowie, których miała na miejscu.

Tylko kiedy to wszystko tak się jakoś rozluźniło i popsuło pomiędzy nimi?

Niby nie warczeli na siebie. We wzajemnych relacjach panowała pełna kultura. Ale był też dystans.

No i jeszcze ten chłód, którym zaczęło wiać z ich małżeńskiego łoża! Coraz rzadziej ze sobą sypiali. Czasami, gdy próbował zakraść się dłonią pod koszulę żony, ta oganiała się od niego, mówiąc, że jest zmęczona, chce jej się spać albo, co gorsza, że łeb mu posiwiął, a jemu wciąż w głowie głupoty. I to ostatnie najbardziej bolało. Może i miał pięćdziesiąt trzy lata. Może i nie był już smukłym młodzieniaszkiem. To prawda, że trochę się zaniedbał: dopuścił, by urósł mu brzuch, choć usprawiedliwiał to w myślach stwierdzeniem, że jego koledzy wyglądają dużo gorzej. Ale wciąż jeszcze był jurny i potrzebował choćby odrobiny przyjemności. A żona, choć dobiegała pięćdziesiątki, niezłe się prezentowała i nadal pobudzała jego zmysły.

Ostatnio chyba coś go opętało, bo podobały mu się niemalże wszystkie kobiety, z którymi miał do czynienia. Atrakcyjne

stażystki, ponętne sekretarki, urocze panie z księgowości lub działu personalnego. Dla niego zawsze miłe i uśmiechnięte. Rozszczebiotane. Kuszące minispódniczkami lub sweterkami opiętymi na jędrnych wypukłościach. Albo ponętne kelnerki z kawiarni, w której bywał z kolegami, bo z Julią nie było kiedy. Ach! Te to dopiero potrafiły wzburzyć człowiekowi krew w żyłach. Nachylała się taka nad stolikiem, by przyjąć zamówienie, a jego wzrok już szukał szczęścia pomiędzy połami bluzeczki o nieskromnie rozpiętych górnych guzikach.

Potem Wawrzek wracał do domu i zastawał żonę piastującą wnuki, które miała przemocować z piątku na sobotę. I co gorsza, zwykle maluchy nocowały z nimi – w ich małżeńskim łóżku. Czy to chłopcy, czy Wiolka – maluchy rozpychały się, wierzgały i robiły mnóstwo zamieszania. Rad nierad brał więc swoją poduszkę i wędrował do pokoju stołowego, gdzie kulił się pod kocem na złożonej amerykance, przypominając sobie samotne życie rozwodnika krótko przed poznaniem Julii.

*Gdzie ja znowu popełniłem błąd?* – rozmyślał nad swoim życiem. Elżbieta odeszła, Julia zobojętniała. A on czuł się rozpaczliwie samotny, choć wciąż otaczali go ludzie.



Zima miała się dobrze i nie zamierzała odpuszczać. W połowie lutego wciąż ścisnął mróz i znowu intensywnie sypało. Sytuacja meteorologiczna dominowała w dyskusjach politycznych oraz w rozmowach szarych obywateli. Ludzie z tęsknotą wyglądali wiosny i powiewów cieplejszego wiatru.

Tuż przed końcem dniówki w Pałacu Dożów rozeszła się wiadomość o jakiejś katastrofie w stolicy. A że było już pod fajrant, ludzie oderwali się od żmudnej pracy – wszak jutro też będzie dzień. Sensacja wymagała gruntownego omówienia.



– Zawsze mówiłam, że gaz to zło – stwierdziła Kasia Elsner, sekretarka.

– Ale to pewne, że chodzi o wybuch gazu? – dociekał Czesiek Wydra.

– Ależ oczywiście, szanowny panie. Na własne uszy słyszałam, jak mówili o tym w radiu. W Rotundzie doszło do wybuchu. Mnóstwo osób zostało zabitych bądź ciężko rannych. Wciąż pracują tam ratownicy i nikt nie może się doliczyć, ile jest ofiar.

– A co to takiego ta Rotunda, że tylu ludzi tam zginęło? – zagadnęła sprzątaczką, która tylko dla niepoznaki poruszała leniwie miotłą, by nikt jej nie zarzucił, że zamiast pracować strzępi język po próżnicy.

– Spiker mówił, że tam jest... eee... była siedziba PKO.

– Ale to u nas w Hucie?

– Nie, pani Mieciu. W stolicy – odparł inżynier Wydra, nieświadomie prowokując ostatnim słowem parsknięcia śmiechu, które w tej sytuacji szybko zostały stłumione, gdyż czuło się ich niestosowność.

– A to chwała Bogu, że nie u nas. Szkoda tylko, że to w banku, a nie, dajmy na to, na Wiejskiej. Byłyby mniejsze straty. – Sprzątaczką pokiwała wymownie głową.

– Dobra, dobra. Koniec gadaniny. Pani Kasiu, będzie pani uprzejma dostarczyć ten skoroszyt Pawłowskiemu? Z góry dziękuję, moja złota, ja lecę do Drożdża[5]. Musimy obgadać tegoroczne plany produkcyjne. Pani zapamięta: siedem milionów ton rocznie to nadal nasz główny cel.

Dziewczyna wzięła z ręki kierownika tekturową teczkę.

– Z przyjemnością – oznajmiła nader dwuznacznie, gdyż od jakiegoś czasu tajemnicą poliszynela było, że młódka ostrzy sobie pazury na dyrektora. I nie zrażało jej bynajmniej, że w tym samym budynku pracuje małżonka Wawrzyńca, a plotki na ten temat mogły już dotrzeć do jej uszu.

Katarzyna Elsner przeszła schodami na wyższą kondygnację.

Nie omieszkała przy tym zatrzymać się w połowie drogi i wychylić przez niewysoką dekoracyjną poręcz, aby spojrzeć w górę ku przeszklonemu sklepieniu, które zazwyczaj wpuszczało słoneczne światło, a teraz pokryte było warstwą zeskorupiałego śniegu. Przypomniła sobie o warszawskiej Rotundzie, która ponoć uległa zniszczeniu dlatego, że zalegająca na jej dachu gruba warstwa białego puchu uniemożliwiła wydostanie się gazu ziemnego na powierzchnię, a to doprowadziło do eksplozji.

*A co by się stało, gdyby i u nas doszło do takiej katastrofy? –* Zdębiała na myśl o tym, że mogłyby ją pogrzebać tony gruzu, szkła i zniszczonych mebli. Pognała więc czym prędzej do gabinetu, w którym urzędował Pawłowski. W obecności takiego mężczyzny każda kobieta musiała czuć się bezpiecznie. On na pewno osłoniłby ją w razie czego własną pierś. Wszak to dżentelmen w każdym calu i na dodatek taki przystojny, że ach i och! Co prawda powinien trochę ograniczyć posiłki, gdyż zaczął mu rosnąć brzuch, ale kto by tam zwracał na to uwagę? Wszak odrobina odpowiedniej aktywności szybko zlikwidowałaby ten defekt. *Widać żonusia zbyt dobrze mu gotuje. Albo problem nie leży w kuchni, tylko w sypialni –* dywagowała w myślach.

Przeszła kilkanaście metrów przestronnym korytarzem i zastukała do drzwi.

– Proszę – usłyszała głos, który od dłuższego czasu wywoływał u niej przyspieszone bicie serca.

Drżącą z emocji dłonią poprawiła włosy i rozpięła górne guziki bluzeczki. Niestraszny był jej ziąb, gdy czuła bijące wewnątrz ciepło.



Wawrzek ze smętną miną siedział w biurze. Tego dnia wyjątkowo mocno rwała go lewa ręka. Pochylony nad dokumentacją techniczną, bezwiednie wkładał dłoń pod marynarkę i masował newralgiczne miejsce.

Zastanawiał się właśnie, czy jest sens wracać do domu zaraz po pracy, czy może lepiej robi, jak wyskoczy z Cześkiem na kieliszek koniaku. A może do kina na komedię *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?* Wyświetlali ją od dwóch miesięcy. Słyszał, że jest interesująca, więc rad by ją obejrzał. Musiał coś ze sobą zrobić, zanim zamęczy go nuda. Przez moment w jego głowie pojawiła się myśl, aby wyciągnąć z domu żonę i pójść dokądś razem. Jak za starych, dobrych czasów. Szybko jednak zrezygnował z tej koncepcji, zakładając, że trudno byłoby mu ją oderwać od garów, pralki albo odkurzacza. Ewentualnie od Wiolki, której obecność w ich mieszkaniu była nader prawdopodobna.

*Czy Julka nie widzi tego, że młodzi ewidentnie wykorzystują jej dobre serce i przywiązanie do maluchów? Czy oni w ogóle poświęcają własnym dzieciom choć trochę czasu? Bo z tego, co zauważyłem, to chłopcy i mała siedzą wciąż a to w przedszkolu, a to u nas. Ja rozumiem, że Gabryśka jest zapracowana, a Karol spędza całe dnie na uczelni, ale żeby aż do tego stopnia? O nie, nie! Najwyższa pora z tym skończyć!* – westchnął buntowniczo, gdy z zadumy wytrąciło go najpierw pukanie do drzwi, a następnie piśnięcie dawno nieoliwionych zawiasów.

– Dzień dobry, panie dyrektorze.

– Dzień dobry, pani Kasiu. Co panią sprowadza? – zagadnął, spoglądając łakomie pomiędzy rozchylające się poły jej bluzeczki.

Poczuł, jak go coś ściska we wnętrzu. Kiedyś podobny ucisk wywoływała w nim Julia. Właściwie odczuwał to jeszcze stosunkowo niedawno, aż nagle pewnego dnia uświadomił sobie, że ma w domu obcą kobietę, która obdarza go jedynie

przelotną uwagą.

– Teczuszka od pana Wydry – oznajmiła Elnierówna, pokazując skoroszyt. Zamiast jednak oddać go Wawrzyńcowi, podeszła bliżej i oparła się pośladkami o krawędź jego biurka. – Dobrze się pan czuje? – zapytała. – Boli pana ramię?

Wawrzyniec zmieszał się i wysunął dłoń spod marynarki. Spoglądał z wahaniem na stojącą krok od niego dziewczynę. Była tak blisko, że czuł zapach jej ciała.

*Odważna bestia – pomyślał. Próbuje mnie sprowokować?*

Nie pierwszy raz zaglądała do niego z jakąś sprawą. Początkowo przystawała przed biurkiem, lecz stopniowo podchodziła coraz bliżej. Jakby próbowała oswoić go ze swoją obecnością.

– Czasami odzywa się stary uraz. To nic wielkiego – zbagatelizował odczuwany dyskomfort.

Nie chciał narzekać na ból, aby nie wyjść w jej oczach na steranego życiem. Wolałby także, aby nie próbowała o to wypytywać.

– A może trzeba rozmasować panu bolące miejsce? – drażyła temat. – Pozwoli pan? – rzuciła od niechcienia, prostując się i przechodząc za jego plecy. Tak naprawdę wcale nie pytała o jego zdanie. Nie zdążył nawet pisnąć, gdy poczuł jej dłonie na ramieniu.



W mieszkaniu panowała nieznośna cisza. Marta poleciała na zajęcia kółka tanecznego, Zocha wyszła do kina z Adamem – chłopakiem, którego rok wcześniej poznała podczas wyjazdu na narty do Krynicy. Wtedy między młodymi coś delikatnie zaiskrzyło – bardziej z jego strony niż jej. Czapliński miał nielichą cierpliwość, gdyż stopniowo zyskiwał uwagę kapryśnej

panny. Istniało spore prawdopodobieństwo, że wyniknie z tego coś więcej. Na razie jednak siedzieli w kinie Światowid i oglądali *Bilet powrotny*. Wawrzka jeszcze nie było. Nie wyszedł z biura razem z Julią, więc kobieta domyśliła się, że coś go zatrzymało. Gdy już dojechała do domu, zadzwonił do niej i napomknął, że musi zostać dłużej, ponieważ ma naradę u naczelnego. Kiedy ona zatelefonowała do niego dosłownie chwilę później, aby dopytać, na którą zagrzać mu obiad, nie podniósł słuchawki. Widać zdążył już opuścić gabinet.

Problem w tym, że nie do końca była przekonana, czy chodzi o naradę.

Oczywiście mogłaby to bez trudu sprawdzić nazajutrz, wpytując sekretarkę Drożdża, czy rzeczywiście takowa się odbyła. Nie wyobrażała sobie jednak, aby mogła zniżać się do szpiegowania własnego męża. To uwłaczałoby jej godności.

Julia snuła się bez celu po pustych kątach. Nie wiedziała, co zrobić z wolnym czasem. Nie cieszyło jej słuchanie radia ani oglądanie telewizji. Zaczęła czytać, lecz lektura szybko ją znużyła. Miała ochotę na wyjście do kina albo chociaż na kawę do Stylowej. Dokądkolwiek, byle wyrwać się na moment z mieszkania. Uciec od codziennego kołowrotu obowiązków. No i cóż: akurat wtedy, gdy nadarzyła się szansa, bo nie miała pod opieką Wiolki i bliźniaków, Wawrzek musiał zostać w biurze. No, chyba że przecucia jej nie myliły i mąż rzeczywiście miał kogoś na boku. To tłumaczyłoby jego późne powroty, zamyślenie i marazm, który wkradł się w ich związek.

*Poniekąd sama przyłożyłam do tego rękę – westchnęła ciężko. Ostatnio mało poświęcałam mu uwagi, bo wciąż mam coś na głowie: a to trzeba pomóc dzieciakom, a to Krysia sprawia kłopoty, a to Ewa. Dopust boży z tą ostatnią, zamiast się uczyć, niańczy Michałka. A przecież mogła pójść na studia albo do pracy. Trochę by odżyła, gdyby miała swoje pieniądze. A tak to z jednej biedy wpakowała się w drugą, bo u matki było jej źle,*

*ale z Robertem chyba nie lepiej. Gniotą się biedaczyska w hotelu robotniczym. Robert jakiś taki nieprzyjemny, odsuwa ją od reszty rodziny.*

Przycupnęła na fotelu. Podkuliła pod siebie nogi. W mieszkaniu panował chłód, więc otuliła się kraciatym pledem. Dziwnie było tak beczynnienie siedzieć i nie robić absolutnie nic. Chyba nigdy wcześniej jej się to nie przydarzyło, więc zaraz zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia, bo przecież mogłaby napisać list do Dorci. Albo zrobić przepierkę. Poukładać rzeczy w szafie. Wypolerować sztukce. Dokończyć zaczęte rękawiczki.

A potem pomyślała, że świat się nie zawali, jeśli zafunduje sobie chwilę błędnego lenistwa. Przecież i tak chciała ten wieczór spędzić na rozrywce.



Wawrzek wrócił przed dwudziestą. W mieszkaniu zastał wyłącznie Julię, która zapadła w dość mocną drzemkę, ponieważ nie obudził jej hałas, jakiego narobił. Pochylił się nad śpiącą żoną i spojrzał na nią z uwagą. To było do niej niepodobne.

Czyżby zachorowała?

Julia musiała wyczuć jego obecność, gdyż nagle drgnęła i otworzyła oczy.

– Wawrzek. Jesteś – zauważyła.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską w głosie.

– Tak. Wszystko w porządku – odparła.

Odrzuciła koc. Rozprostowała nogi i uniosła ręce, by się przeciągnąć. Potem spojrzała na męża. Omiotła wzrokiem całą jego sylwetkę, lecz jej uwagę przyciągnął tylko jeden drobiazg – niewielka plamka na kołnierzyku koszuli, którą wczoraj

wieczorem osobiście mu wyprasowała. Wtedy materiał był nieskazitelnie czysty. Wyciągnęła dłoń i dotknęła czerwonego śladu pozostawionego zapewne przez szminkę. Jednocześnie poczuła delikatny zapach kobiecych perfum, który przebijał przez korzenną nutę jego wody toaletowej. Te dwie sprawy z miejsca ją otrzeźwiły, wytrącając z resztek snu.

Wawrzyniec jeszcze nie wiedział, że ona już wszystko odgadła. Silił się na spokój, jakby nic się nie wydarzyło. Julia dostrzegała jednak znacznie więcej niż jeszcze wczoraj czy przedwczoraj. Unikał jej wzroku. Jego dłonie nieznacznie drżały, gdy odpinał guziki marynarki. Głos także miał dziwnie zduszony. I plótł jakieś androny o naradzie, która się przedłużyła.

Nie mogła go słuchać. To było takie upokarzające!

– Masz szminkę na kołnierzu – powiedziała z zadziwiającą obojętnością.

Później wstała, minęła osłupiałego męża i poszła do łazienki. Zamknęła starannie drzwi. Klapnęła na krawędź wanny. Ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zadrgały w bezgłośnym szlochu.



Ewa coraz częściej żałowała, że nie da się cofnąć czasu w magiczny sposób. Gdyby tak było, zmieniłaby w swoim życiu bardzo dużo. Na pewno posłuchałaby życzliwych rad ciotki Julki albo Marty. Niejeden raz paliła się ze wstydu na myśl o burzliwych rozmowach, które prowadziła z kuzynką, odkąd zaczęła randkować z Robertem.

– Nie bądź głupia! – To były słowa najczęściej padające z jej ust.

A później sypały się dobre rady. Dzisiaj żałowała, że puszczała

je wtedy mimo uszu.

– Czy nie widzisz, do czego prowadzi ten związek? Robek uzależnia cię od siebie. Kawalek po kawalku ogranicza twoją swobodę. Coraz rzadziej wychodzisz sama. Wszędzie, gdzie się pojawiaasz, jesteś z nim. A on, niczym cholerny Cerber, strzyże uszami i pilnuje cię na każdym kroku. Nie masz czasu nawet na to, żeby spotkać się z rodziną. Ze mną – zaakcentowała. – Już nie pamiętasz, ile czasu spędzałyśmy dawniej razem?

– Mówisz tak, bo go nie lubisz – oburzyła się wtedy.

– Nie mam nic do niego. Po prostu nie mogę znieść myśli, że pakujesz się w łapy tak zaborczego człowieka.

– Głupstwa gadasz. On nie ogranicza mnie w żaden sposób. Dobrze się przy nim czuję. Robert zawsze słucha tego, co mam do powiedzenia.

– Och, nie wątpię! Ja wiem, że on potrafi być bardzo miłym chłopakiem. Czuły, troskliwy, do rany przyłóż! Sęk w tym, że jest też cholernie zazdrosny i egoistyczny. Nie widzisz tego?

– Nie.

– Nie?

Faktycznie, wtedy tego nie zauważała. A może nie chciała zauważać?

Ale jak miała wybrać się na babski wieczór z kuzynkami lub koleżankami, gdy ukochany miał oczy jak zbity pies i spoglądał na nią z takim smutkiem? Przecież on zostałby sam i na pewno byłoby mu przykro. Dziewczyny rozumieją. Zawsze spotykały się w liczonym gronie, więc nie zauważają, że tym razem Ewa do nich nie dołączy. Nie powinny też zmartwić się, że nie pójdzie z nimi do kina ani nie wyskoczy do Krakowa. Przynajmniej Robertowi nie będzie przykro. Może umówi się z koleżankami wtedy, gdy on pójdzie na mecz albo piwo z kumplami. Albo gdy będzie miał drugą zmianę w pracy.

Nie umówiła się przy żadnej z tych okazji. Bo na mecz zabrał ją ze sobą, a potem złościł się, że nie wie, czym jest korner



i o co chodzi z polem karnym. Próbował jej coś tam wyjaśniać, ale ona i tak wynudziła się jak mops. Zdecydowanie przyjemniej byłoby z koleżankami. Na piwo jej nie zabrał, bo jak na złość zachorowała wtedy na grypę i musiała zostać w łóżku. Zresztą głupio by jej było leżeć do knajpy, w której przeważali zapijaczeni mężczyźni. To nie było odpowiednie miejsce dla porządnej dziewczyny. Innym razem on poszedł na prywatkę, a ona zajmowała się pielęgowaniem chorej matki. To znów sytuacja była odmienna: Ewa chciała wyjść z koleżankami, lecz pech chciał, że należało pojechać na pogrzeb kuzynki jego szwagra. To znów zaskoczył ją biletami do kina albo niespodziewanie przypomniał sobie o rocznicy ich pierwszej randki (wcale nie była przekonana, czy to był właśnie ten dzień).

I tak, jeden za drugim, pojawiały się preteksty, dla których nie mogła wyjść z Martą, Agnieszką i Danką albo z koleżankami licealnymi. A w miarę upływu czasu coraz trudniej było znaleźć powód, dla którego miałyby się z nimi dokądś wybrać.

– Te idiotki mącą ci w głowie. Po spotkaniach z nimi chodzisz rozdrażniona i stroisz dąsy – mawiał Kowalik.

– Czy naprawdę musisz zdawać im sprawozdanie ze wszystkiego, co razem robimy?

– Nie możesz umówić się kiedy indziej?

– Czy one są dla ciebie ważniejsze ode mnie?

– No dobrze, skoro musisz, idź. Baw się dobrze. Ja w tym czasie będę się nudził. Sam.

Więzi łączące ją z kuzynkami i przyjaciółkami uległy całkowitemu rozluźnieniu. Gdy spotykała którąś na ulicy – zawsze przez przypadek – rozmawiały o wszystkim i o niczym, z naciskiem na „o niczym”.

Tak było przed ślubem. Później działało się jeszcze gorzej. Odkąd urodziła Michałka, mąż nie pozwalał jej na nic. O wszystko musiała pytać, wszędzie z nią chodził. No, chyba że trzeba było pójść z dzieckiem do lekarza albo po sprawunki –

wtedy utyskiwał, że jest niedorajdą i nigdzie nie potrafi ruszyć się bez niego. Jej egzystencja sprowadzała się do niańczenia niemowlęcia oraz zaspokajania wszystkich zachcianek Robka, wokół którego trzeba było chodzić na palcach, co w jednej izbie hotelu robotniczego było trudne.

Nie zaczęła studiów, choć w głębi duszy przyznawała rację cioci Julii, że powinna uczyć się dalej. Nie miała pracy.

Miała za to tyrana i egoistę, który na każdym kroku krytykował jej poczynania.

Przyjaciółki i kuzynki ją opuściły, a matce nie potrafiła się wyzalić, gdy było jej źle. Zresztą tej ostatniej nie obchodziły problemy córki – jej świat przysłała butelka taniego wina i paczka papierosów.

Ewę palił wstyd za własną słabość i zahukanie.

– Posprzątałabyś trochę ten chlew – utyskiwał właśnie Robert, chodząc po mikroskopijnym mieszkanku.

Przed momentem położyła synka spać. Korzystając z chwili spokoju, gotowała grysik. Później zamierzała pozbierać rozrzucone pieluszki oraz ubranka i zrobić pranie. Nie liczyła na pomoc męża – już dawno przekonała się, że ze wszystkim musi sobie sama radzić. Kiedy zaczynała prosić o pomoc, Robert wpadał w zły humor. Wyrzekał wtedy, że jest jedynym żywicielem rodziny, ciężko pracuje i potrzebuje chwili wytchnienia. A ona? Cóż ma do roboty? Dopilnować dziecka i zająć się domem. Co to za wysiłek? Nie musi pracować na swoje utrzymanie, żyje sobie jak u Pana Boga za piecem. Tysiące kobiet marzy o takim komforcie, goniąc pomiędzy żłobkami, zakładami pracy a sklepami. Jak świat światem baby zawsze były od tego, by dbać o rodzinę. Widać w dupach im się poprzewracało z dobrobytu, skoro zaczęły domagać się równouprawnienia. Powinna więc docenić jego dobre serce. On nie zmusza jej, aby oddała Miśka do żłobka i harowała na etacie.

Doceniała.

Z obłądem w oczach goniła więc po domu, porządkując bałagan. Prała, gotowała, bawiła dziecko, sprzątała – wszystko to niemalże jednocześnie. Z maluchem w wózku stała w długasných kolejkach, modląc się o to, by tuż przed nią nie zabrakło krakowskiej albo wołowego z kością na niedzielny rosół. Bo gdy już wszystko udało jej się zrobić jak należy i w niczym nie uchybić mężowi, dostawała w nagrodę miłe słowo, ciepłe spojrzenie, czułą chwilę. A czasami, gdy był w wyjątkowo dobrym humorze, prosił, aby podrzuciła Miśka komuś z rodziny, i zabierał ją na tańce albo do kina. Była wtedy szczęśliwa i beztroska, jak mało kiedy.

Czuła miłość męża każdą komórką swego ciała, nawet wtedy, gdy bywał o nią zazdrosny i okazywał zaborczość. Przecież kochał ją najbardziej na świecie. Wziął z nią ślub niemalże natychmiast po tym, jak, wśród płaczu i pociągnięć nosem, powiedziała mu, że spodziewa się dziecka. Bała się jego reakcji, a tymczasem Robert był wprost uszczęśliwiony. Później z dumą chwalił się swoim pierworodnym synem. Z niej także był dumny. Dobrze o tym wiedziała. To ona zachowywała się jak ostatnia łajza, nie radząc sobie z opieką nad maleństwem i wykonywaniem obowiązków domowych. Ale była jeszcze bardzo młoda, miała przed sobą całe życie i pewność, że z biegiem czasu nauczy się panować nad wszystkim.



– Julio! Otwórz! – Wawrzyniec od kilku minut stukał energicznie do drzwi łazienki. Prosił o chwilę rozmowy, lecz nie przez dzielący ich paździerz, ale twarzą w twarz.

– Zostaw mnie w spokoju, zdrajco! – krzyknęła. – Nie chcę cię widzieć na oczy!

– Julio, błagam, otwórz! Porozmawiajmy jak ludzie – mówił zdruzgotany.

*Kiedys będzie musiała wyjść z łazienki* – pomyślał. Usiadł na podłodze obok drzwi i oparł się plecami o ścianę. Zanurzył palce w siwych włosach i mocno je zacisnął. Z rozpaczy miał ochotę rwać czuprynę. *Co ja najlepszego zrobiłem? Co mi strzeliło do durnego łba?*

Wyprostował łopatki i uderzył tyłem głowy o deski boazerii. Ból był zdecydowanie zbyt mały, by przyćmić to, co się działo w jego umyśle.

*Sama jest sobie winna! Traktowała mnie, jakbym nic dla niej nie znaczył. Jak kolejny domowy sprzęt* – próbował szukać usprawiedliwień, lecz już po chwili znowu walił potylicą o ścianę, urągając własnej głupocie.

– Julio, proszę, otwórz. Porozmawiajmy, nim wrócą dziewczyny. Wysłuchaj mnie przynajmniej. Proszę – powtarzał.

Szczęknał zamek w drzwiach wejściowych. To Marta wróciła z zajęć w kółku tanecznym.

– A co ty tutaj robisz, tatku? – wyraziła zdziwienie, widząc go w niecodziennej sytuacji. – Dobrze się czujesz? Słabo ci? – wypytywała.

Pokręcił głową.

– A mama?

– Jest w łazience.

– Co się stało? Jest chora?

– Nie, dziecko. Mamy po prostu nieporozumienie i musimy je wyjaśnić – odparł, siłąc się na spokój. – Ale, jak widzisz, na razie jestem w sytuacji patowej – zniżył głos do szeptu.

Spojrzał w oczy córce i pokręcił głową, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że trochę narozrabiał i nie wie, jak wybrnąć.

Marta nie musiała się nad tym długo namyślać. Zakładała, że chodzi o jakąś bzdurę. Być może ojciec zagalopował się nieco w żartach – to mu się czasami zdarzało. Jak mama wyjdzie

z łazienki, to ją przeprosi i wszystko wróci do normy. Tylko trzeba ją stamtąd wywabić, aby dać szansę tacie.

– Mamo? Możesz otworzyć? Muszę skorzystać z toalety. Nie moglibyście przenieść się z waszymi nieporozumieniami do stołowego albo do kuchni?

Julia spojrzała w lustro. Z taką twarzą nie mogła pokazać się córce. Nie wyobrażała sobie, aby Marta czy Zocha miały uczestniczyć w tym koszmarze, który nagle się urzeczywistnił i wyszedł ze sfery domysłów.

– Daj mi chwilę – odparła głosem zduszonym emocjami.

Pochyliła się nad umywalką i opłukała twarz chłodną wodą. Sięgnęła na swoją półkę po niezawodny krem Nivea i wklepała odrobinę w policzki. Niewiele to pomogło: nadal miała zaczerwienione oczy. Nie mogła jednak tkwić w nieskończoność w łazience. Otworzyła drzwi i przemknęła korytarzem, unikając kontaktu wzrokowego z córką. Ta jednak zdążyła przyjrzeć się matce. Zmarszczyła brwi i spojrzała z wyrzutem na Wawrzyńca.

– Oho! Tatko chyba posunął się za daleko! – warknęła oburzona.

– Martusia, proszę, nie teraz – odparł niepodobnym do niego, słabym głosem, a potem odwrócił się i w ślad za żoną poszedł do sypialni.

Zbulwersowana dziewczyna została w przedpokoju. Stała, spoglądając bezradnie na drzwi, za którymi zniknęli rodzice. Na razie nie dobiegał zza nich żaden odgłos, ale czuła, że w powietrzu wisi jakaś większa awantura.

Jeszcze nigdy nie widziała, aby tato doprowadził mamę do łez. A musiała to być ewidentnie jego wina, skoro zastała go z miną zbitego psa i siedzącego na podłodze.



– Wawrzek, zostaw mnie w spokoju – szeptała zdenerwowana Julia. – Nie zmuszaj mnie, bym narobiła ci wstydu przed córkami. Natychmiast stąd wyjdź.

– Nie. Julio, musisz mnie posłuchać – nalegał.

– Nie chcę. Albo natychmiast stąd wyjdiesz, albo ja to zrobię – zagroziła. – Ale wiedz, że w tym wypadku więcej tu nie wrócę – powiedziała stanowczo.

– Oto cała ty! – zdenerwował się mężczyzna. – Nigdy ze mną nie rozmawiasz, na nic nie masz czasu lub ochoty! Zachowujesz się jak stetryczała stara ciotka! A właściwie to nie ciotka. Jak babcia! Świata poza wnukami nie widzisz! Całą resztę masz gdzieś! – Już się nie przejmował, że Marta go usłyszy. Powiedział to, co od dawna doprowadzało go do irytacji, a potem opuścił sypialnię.

To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Od dawna nie był jej do niczego potrzebny.

A może w ogóle nigdy go nie potrzebowała? Zdrętwiał na samą myśl o tym.

Poszedł do pokoju stołowego i usiadł na amerykańce. Pochylił się, wsparł łokcie o kolana i zanurzył dłonie we włosy.

*To niemożliwe. Kiedyś byliśmy tacy szczęśliwi. Co się z nami stało? I kiedy?*



Po długiej i wyjątkowo śnieżnej zimie mieszkańcy Nowej Huty z ulgą witali cieplejsze, słoneczne dni. Na chodnikach wciąż jeszcze zalegała błotnista ciapa, lecz w bardziej nasłonecznionych miejscach już zieleniły się nieśmiało młode źdźbła. Zakochani rozkoszowali się spacerami aleją Róż, zasiadali na parkowych ławkach, wystawiając ku niebu wybladłe twarze.

Z dnia na dzień życie codzienne szarych obywateli stawało się coraz trudniejsze. Znacząca słabość władzy została obnażona w czasie zimy. Ludzie wciąż rozmawiali o nieudolności rządu, który nie radził sobie z efektami kapryśnej aury. Gdyby nie czyn społeczny obywateli, kraj pograżyłby się w całkowitym marazmie i chaosie. To robotnicy i uczniowie odśnieżali drogi dojazdowe do strategicznych zakładów. Ich codzienny mózół pozwolił na dowożenie żywności do sklepów, koksu do elektrociepłowni, surowców do fabryk.

Po krótkotrwałym okresie prosperity gospodarka popadała w stagnację. Sklepowe półki świeciły pustkami. Znowu trudno było o kawałek mięsa, cukier i inne dobra pierwszej potrzeby.

Sabina załamywała ręce, odbierając wynagrodzenie za pracę. Jej wypłacie daleko było do kwoty czterech tysięcy sześciuset osiemdziesięciu złotych, czyli ubiegłorocznej średniej krajowej wyliczonej przez jakichś mądrali z Głównego Urzędu Statystycznego. Gdyby nie to, że mogła wyżywić rodzinę przyniesionymi z baru mlecznego potrawami, bieda piszczałaby w ich mieszkaniu, że aż strach. Nawet teraz, gdy Paweł wrócił z wojska i podjął pracę w kombinacie, wciąż z trudem przychodziło im wiązanie końca z końcem. Chłopak miał jedną z najniższych kategorii zaszeregowania. Wprawdzie dokładał się do rachunków domowych, lecz potrzebował także pieniędzy na własne wydatki. Bo i ubrać się musiał jak człowiek, a nie jak strach na wróble. I papierosa zakurzyć. I z kolegami czasami potrzebował dokądś wyjść. A ostatnio spotykał się z panną.

*Może to i lepiej? – myślała Sabina, cerując skarpetkę naciągniętą na grzybka. Przynajmniej nie łajdaczy się i nie przepija wszystkiego jak Melchior. Widać ma porządną tę dziewczuszkę, bo i do domu wraca o przyzwoitej porze, i gorzały od niego przy tym nie czuć. Po kim on taki spokojny? Andrzej to był przecież huncwot jakich mało! Nie usiadł w mieszkaniu ani chwili. Ciągle gonił światem, a ja musiałam męczyć się*

*z dziećmi. Ech, losie! Jeszcze z za grobu dostał mi się od niego upominek w postaci Marcina. Diabli nadali tę parszywą dziwkę, z którą się szlaja!*

Nie potrafiła zapomnieć zmarłemu zdrady. Wykorzystała nawet ten fakt, by jeszcze bardziej rozluźnić kontakty z rodziną Szymczaków. I być może miałyby od nich święty spokój, gdyby nie to, że się Julcyna Marta zawzięła jakoś na Dankę i Ewkę. Przez lata szcziotki trzymały się razem, ale odkąd Ewa wyszła za mąż, cała atencja Pawłowskiej zwróciła się ku Danusi.

– Mamuś, a wiesz, że Zośka będzie brała ślub?

Sabina drgnęła nerwowo, kiedy usłyszała słowa córki. Przed momentem była tak bardzo zamyślona, że mechanicznie wykonywała wszystkie czynności. Gdy nagle Danka ją zagadnęła, to wbiła sobie igłę. Syknęła z bólu i włożyła palec w usta. I nie żeby ją ta informacja jakoś szczególnie zainteresowała, o nie! Tak właściwie poczynania klanu Szymczaków były jej całkowicie obojętne. Ale domyśliła się, że znowu ją czeka obligatoryjne spotkanie, od którego nie będzie mogła się wykręcić, ponieważ dla dobra dzieci powinna od czasu do czasu widywać rodzinę zmarłego męża. Nawet jeśli miała do nich żal, że kryli tego zdrajcę Andrzeja i jego przygody.

Nie wierzyła, że nie wiedzieli. Musieli wiedzieć i pomagać mu w łgarstwach. Dawać alibi, gdy szlajał się z kochanicami. Bo jakoś trudno jej było uwierzyć, że ta cała Józka to jednorazowy wyskok.

*Ależ byłam wtedy naiwna i zaślepiona – westchnęła.*

Gdyby nie śmierć tego bawidamka, to kto wie, jak ułożyłoby się jej życie? Pewnie nadal pracowałaby jako aktorka. Może nawet wystąpiłaby w filmie. Nie żyłaby na pograniczu nędzy. A skarpetki kupowałaby nowe, zamiast cerować podarte. Cóż jej teraz pozostawało? Życie przeszłością? Rozpamiętywanie najszcześniejszych lat? Tęsknota za spokojnymi czasami panięskimi?



- Skąd wiesz? – zagadnęła córkę, udając zainteresowanie.
- Marta mi powiedziała. Zocha chce mieć huczne wesele w restauracji. A do ślubu ma jej towarzyszyć kilka drухen. Pewnie i mnie poprosi – opowiadała podekscytowana.
- Znowu będą wydatki. – Sabina załamała ręce na myśl o kupnie prezentu, kwiatów, a pewnie i jakichś ubrań, bo na weselu trzeba jako tako wyglądać.
- Nie martw się, mamuś. Nie muszę mieć nowej sukienki – szczebiotała córka. – Mam po Marcie taką ładną w groszki i kwiatki. Co prawda przydałyby mi się nowe buty, bo wszystkie mam już znoszone, ale może Pawełek mi dołoży?
- Marzycielka – zachnęła się matka. – Wiesz, jaki z niego dusigrosz. Dobrze, że dokłada się choć do życia, bo przynajmniej o tyle mi lżej. A pieniądze ma przecież na kogo wydawać. Spotyka się z tą Andzią z bufetu przy kombinacie – przypomniwała.

A potem pomyślała z przekąsem, że mógł sobie poszukać czegoś lepszego zamiast kuchty. Mało się napatrzył na biedę we własnym domu?

*No proszę! Będzie ze mnie teściowa jak się patrzy. Jeszcze jej nie znam, bo wiem tylko tyle, co Paweł powiedział półgębkiem, a już mnie franca wkurza.*



Tymczasem Paweł i Anka, nieświadomi emocji, jakie dziewczyna wywołuje w potencjalnej teściowej, gruchali sobie w najlepsze przy kawiarnianym stoliku. W tle słychać było wielki szlagier Maryli Rodowicz.

– *Już zapisani byliśmy w urzędzie, białe koszule na sznurze schły*<sup>[6]</sup> – zanuciła z rozmarzeniem dziewczyna, zezując w oczy Szymczaka.

– Lubisz Rodowiczkę?

– No ba! To moja ulubiona wokalistka. Mam wszystkie płyty z jej nagraniami – oznajmiła. – Ona tak ładnie śpiewa! Tak radośnie! Tak z życia! – rozpływała się w zachwycie.

Z nie mniejszym entuzjazmem spoglądała na towarzyszącego jej mężczyznę. Ach! Dla takiego przystojniaka niejedna mogła stracić głowę. Przede wszystkim przyciągał spojrzenia jego wysoki wzrost. Już cieszyła się na lato, gdy włoży ulubione pstrokate drewniaki, które za ciężkie pieniądze kupiła na ciuchach. Przy takim chłopaku mogła nosić najwyższe koturny bez obaw, że będzie nad nim górowała. Piękną miał posturę. Widać było w nim krzepę. A ta twarz pociągła o mocno zarysowanej żuchwie ocienionej zarostem! Ach! I ta fryzura na pazia! I wąsy okalające kąciki ust! Ubrać też się potrafił, choć nie miał wielu rzeczy. Widać jednak było, że starannie dokonuje zakupów. Zapewne musiał żyć dość oszczędnie, by kupić koszulę non-iron z modnym kołnierzykiem „z dójkami” i eleganckie półelastyczne dzwony ze stebnowanymi kieszeniami, w których wydawał się jeszcze wyższy i smuklejszy. Z apetytem spoglądała na jego wąskie biodra, podkreślone szerokim paskiem.

Miała szczęście, że właśnie ją sobie upatrzył! Przecież taki przystojniak mógłby przebierać w pannach jak w ulęgałkach. Ale właściwie i ona nie miała się czego wstydzić. Mało to się nasłuchiwała komplementów? Mało jej robotnicy prawili, że ma apetyczne kształty i piękne włosy? Nawet oczy komplementowali, że takie wyraziste, i jakoś zdawali się nie dostrzegać, że jest zezowata.

*Ach, ładna będzie z nas para* – myślała rozmarzona. I choć był tylko prostym robotnikiem, miała przeczucie, że stać go na znacznie więcej. *Już ja cię powiodę do ołtarza. Ani się obejrzysz!*

W tym samym czasie Paweł myślał o tym, jak dobrze mieć taką dziewczynę, co siedzi blisko kuchni. Oj, odżył w minionych

dwóch miesiącach! Odkarmiła go Andzia, aż miło. I o ile ona podśpiewywała sobie pod nosem piosenkę o szczęściu ślubnym, to jemu w duszy zabrzmiała inna piosenka Maryli Rodowicz. Niemalże siłą powstrzymał się, by nie zanucić frywolnie: *ole, ole, ole, ola, oli... / dopóki są pieniądze... / ole ole, ole, ola, oli... / niech żyją młode żądze...*<sup>[7]</sup> – wybitnie mu to pasowało w obecności ukochanej. Cóż było bowiem w życiu przyjemniejszego nad miłość młodej dziewczyny i szelest banknotów?



Nowohucki pomnik Lenina od dawna był solą w oku robotników. Nie dość, że uszczęśliwiono ich tym kolosem na siłę, to jeszcze za to *szczęście* musieli zapłacić swoją pracą. Wyżywali się więc na figurze tak, jak potrafili: cynicznymi uwagami, kpinami, a nawet złośliwym podrzucaniem prezentów.

Nader często zdarzało się, że jakiś dowcipniś polewał wodza rewolucji walerianą, by przyciągnąć okoliczne koty, które urządziły sobie tam serenady. Nie tylko koty darzyły Lenina atencją, na swój sposób oddawał mu hołd również pewien dobrze wytresowany jamnik, który zaciekle nań ujadał za każdym razem, gdy przechodził obok postumentu.

– Kotlecika schabowego z kapustką i ziemniaczkami poproszę  
– składali zamówienia goście pobliskiej restauracji.

A kiedy kelner przynosił danie, to po uregulowaniu rachunku słyszał od dowcipnisiów prośbę, by posiłkiem uraczyć Lenina. Czasami był to kotlet, czasami kaczka w buraczkach. Nie żałowano rewolucjoniście tradycyjnej polskiej gościnności. Jej przejawem był również inny hojny dar, który złożono mu u stóp wraz z kartką wyrażającą pobożne życzenia obywateli „Masz tu

rower, stare buty i spierdalaj z Nowej Huty”.

– Trzeba pozbyć się stąd tego gnyba – twierdzili zgodnie opozycjoniści.

– Tylko jak? – zachodził w głowę Wiesiek Kalita. – Gliny wciąż go pilnują.

– Ee, tam. Uśpi się czujność. Albo zadziałyśmy pod osłoną nocy – stwierdził Andrzej Szewczuwianiec, który już od dawna kombinował, jak by tego dokonać.

– A pewnie. Przecież nie kręcą się tam non stop. Szłoby zwariować! – poparł go Karol. – Noc będzie najlepsza.

– Ale jak się go pozbędziemy, panowie? Nie przyjedziemy dźwigiem, by go zwlec z cokołu.

– A wiesz, że to byłby niezły pomysł? Wujek Bronek robił kiedyś na budowie, pewnie ma tam jeszcze jakieś chody.

– Zdurniałeś? Dźwig w alei Róż? Toć taki pojazd zaraz przyciągnąłby uwagę. Jak tym manewrować po mieście? I jak w razie czego spierdalać?

– Żartowałem przecież! – parsknął Pawłowski.

Siedzieli u niego w mieszkaniu, popijając wódkę i ćmiąc papierosy. Dzieciaki były u babci, Gabryśka oglądała w telewizji kolejny odcinek *Rodziny Połanieckich* i nie mieszała się w ich rozmowę.

– Chłopaki, ale serio: trzeba znaleźć jakiś sposób – gorączkował się robotnik z kombinatu. Nie mógł darować władzy ludowej, że za udział w wydarzeniach grudniowych przed kilku laty został wydalony z Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Los rzucił go wówczas do Nowej Huty. Jego obecne życie było dalekie od marzeń sprzed lat. Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż to sobie wymarzył. Zamiast leczyć ludzi, tyrał w walcowni zgniataczu. Ale nie żałował, że uczestniczył w demonstracjach. Czasami nawet stroił sobie z tego żarty.

– Wiecie co? Ja was zaraz natchnę i coś wam opowiem. To nie

na mój temat, bom nie doczekał egzaminów, ale słuchajcie: na uczelni medycznej student zdaje egzamin końcowy. Egzaminator pokazuje mu jakieś gnaty i pyta: „Czyj to szkielet?”. Student się zastanawia: *pies czy wilk?* „To szkielet psa”, odpowiada. „Dobrze, a ten?” Student myśli: *krowa albo żubr. Eee, skąd by mieli szkielet żubra?* „To szkielet krowy”, strzela. „Dobrze, ostatni szkielet”. *Choroba, człowiek albo małpa*, myśli student. *Chyba człowiek, ale pewien nie jestem.* „No... słucham...”, ponagła egzaminator. *Kurczę, jak powiem człowiek, a to będzie małpa, to się zbłąźnię*, kombinuje. Zdenerwowany zwłoką egzaminator podpowiada: „No, o czym uczyliście się przez pięć lat?”. Zdumiony student: „Niemożliwe! Lenin?”.

Salwa gromkiego śmiechu została stłumiona przez nerwowe syknięcie Gabrysi.

– A załóżcież mu ładunki wybuchowe i problem z głowy – wtrąciła znienacka kobieta, której uwaga na pozór skupiona była na perypetiach Maryni i Stanisława, a w rzeczywistości funkcjonowała podzielnie.

– A sumie to dlaczego by nie? Dalibyśmy chyba radę jakoś to przeprowadzić. Moglibyśmy się zakraść późną nocą. Jakbym tylko miał co, to wetknąłbym mu pod trepa. Bo tak chyba byłoby najprościej – rozważał na głos Andrzej.

– To jest myśl! – ucieszył się Wiesiek.

– No, masz głowę Nszo-czi – pochwalił Gabryskę małżonek. – Ładunki mogą wykombinować – obiecał. – Znam kogoś, kto ma taką możliwość. Załatwi się to dyskretnie – zniżył głos do szeptu.

– No, to jesteśmy w domu – odetchnął Andrzej. – Polej, kolego. Na pohybel łysemu!

Brzdęknięło szkło. Mężczyźni wzniesli toast. Gabrysia pogardziła trunkiem, nie przepadała za wódką. Ćmiąc

papierosy, naradzali się nad dalszymi krokami.

– Jedno jest pewne: trzeba się z tym uwinąć. Najlepiej byłoby, żeby pomnik zniknął, zanim papież przyleci z wizytą do Polski. Bo gdyby jakimś cudem nasz poczciwy ksiądz Karol zabłądził na spacer aleją Róż, to pewnie byłoby mu przykro, gdyby zobaczył, że wciąż łązi po niej ten drań.

Od miesiąca Polacy żyli ekscytującą wieścią o planowanej pielgrzymce Jana Pawła II do ojczyzny. Szeroko komentowało się tę nowinę. Niektórzy sceptycy uważali, że do wizyty nie dojdzie, ponieważ władze państwa w ostatniej chwili wynajdą jakiś pretekst, aby nie wpuścić duchownego do kraju. Większość jednak wyrażała się na ten temat z wielkim entuzjazmem i optymizmem. Już w samym pontyfikacie Wojtyły dopatrywali się dotyku ręki Opatrzności i uważali, że to miłowy krok, który rozpoczął drogę Polaków ku wyzwoleniu z jarzma sowieckiej niewoli.

– A wiecie, ostatnio coraz częściej słyszę głosy, że opozycja winna się konkretnie zorganizować. Przydałby nam się przywódca i jakieś hierarchie, które będą to wszystko trzymały w kupie. Żeby walczyć skutecznie z tak potężnym wrogiem jak nasza niekochana władza, trzeba planu działania – oznajmił Karol.

– Ja to nawet znam kogoś, kto dobrze spisałby się w takiej roli.

– Chyba wiem, kogo masz na myśli – stwierdził pan domu. – Mnie chodzą po głowie dwa nazwiska: Macedoński i Franczyk<sup>[8]</sup>.



Od pamiętnego wieczoru, gdy atmosferę w mieszkaniu Pawłowskich ścisnął srogi mróz, minęło kilka tygodni, podczas

których małżonkowie niemalże ze sobą nie rozmawiali. Zachowywali się poprawnie, z pełną rezerwy i dystansu kurtuazją, lecz z ich słów wiało przeraźliwym chłodem.

Nazajutrz po tym, jak Julia odkryła ślady szminki na kołnierzyku męża, zrobiła mu gigantyczną awanturę, podczas której, nie przebierając w słowach, zwymyślała go od dziwkarzy, zdrajców i podstępnych gnid. Oświadczyła dobitnie, że nie chce mieć z nim absolutnie nic wspólnego i po tym, co jej zrobił, żąda rozwodu, a następnie zamiany czteropokojowego mieszkania na dwa mniejsze. Nie wyobraża sobie dalszego życia z nim pod jednym dachem. Nie myślała jednak wyprowadzać się do rodziny, przyjaciół lub hotelu robotniczego, bo to nie ona poszła w tango, lecz on, i powinien czuć się całkowicie winien rozpadu małżeństwa.

Na to wszystko Wawrzyniec, który próbował ją początkowo przeprosić, wpadł we wściekłość i zaczął wykrzykiwać, że ich małżeństwo rozpadło się dawno temu na skutek jej obojętności. Że on już miał dość takiego traktowania, jakby był piątym kołem u wozu. Że jego rola w jej życiu miała się sprowadzać do czegoś więcej niżli tylko udziału w domowym budżecie, trzepania dywanów, jeżdżenia jak na sraczkę do Pawlic i niańczenia kolejno wszystkich członków jej awanturniczej rodziny.

Sprzeczali się tak aż do chwili, gdy w mieszkaniu znowu pojawiły się córki. Potem zamilkli i ta cisza była o wiele gorsza od krzyków.

Zaafierowane dziewczyny imały się wszelkich sposobów, by pogodzić zwaśnione strony, próbowały także dociec przyczyny tego niezwykłego konfliktu. Matka i ojciec uporczywie milczeli, wychodząc z założenia, że to wyłącznie ich sprawy.

Wawrzek nie rozmawiał na ten temat, gdyż wstyd mu było przed Zosią i Martą. Poniekąd odczuwał wdzięczność wobec żony, że nie próbowała przeciągać córek na swoją stronę. I choć

wiedział, że nawiązała kontakt z jakimś adwokatem specjalizującym się w prawie rodzinnym, wciąż żywił nadzieję, że skończy się na gadaniu albo na rozprawie, podczas której dojdzie do pojednania. Ale z drugiej strony martwiła go zawziętość Julii i determinacja, z jaką dążyła do zakończenia małżeństwa. To potwierdzało jego przemyślenia, że nie jest jej do niczego potrzebny.

Julia nie spieszyła się do tego, aby opowiadać o swoich bolączkach komukolwiek poza Dorotką, ponieważ palił ją wstyd, że mąż okazał się zwykłym bawidamkiem. *Głowa siwieje, a dupa szaleje* – myślała przygnębiona. I jeszcze, jakby tego było mało, śmiał jej zarzucać, że nie poświęcała mu czasu! A przecież to on nie proponował wspólnych wyjść. Wciąż siedział z nosem w papierach, studiował te swoje zakichane tabelki i wykresy. Przestał ją adorować i zwracać na nią uwagę. Starzała się, niestety, więc nic dziwnego, że zaczął ganiać za innymi.

Już od jakiegoś czasu z bólem serca spoglądała na drobne zmarszczki, które coraz liczniej pojawiały się wokół jej oczu oraz na dłoniach i szyi. Przybywało też siwych kosmyków, choć te mogła z łatwością zamaskować farbą koloryzującą. Jeszcze nadażała za modą, choć w jej wieku nie wypadało już nosić wielu interesujących fasonów.

W końcu zdenerwowana Zośka nie wytrzymała i podczas jednej z przygnębiających kolacji, które wciąż jadali wspólnie, lecz w ciężkiej atmosferze i milczeniu, walnęła łyżką w blat stołu i zaczęła krzyczeć:

– Jesteście straszni! Beznadziejni! Jak możecie nam to robić? Mamo, tato! Tak dalej się nie da! Jak mamy zorganizować wesele z Adamem, skoro zachowujecie się jak dzieci w piaskownicy? No jak? Przecież wypadałoby w końcu zaprosić tutaj państwa Czaplinski. Mamy tyle spraw do omówienia! Kurczę! Przestańcie się w końcu na siebie boczyć, bo psujecie



mi przez to plany matrymonialne!

Wawrzyniec podniósł udręczony wzrok na córkę. Normalnie w takiej sytuacji huknęłoby na nią i skarciłby jej zuchwałość. Tymczasem był tak strapiony, że Marta z miejsca go pożałowała. Bo choć ponosił winę za to, co się działo – nie była naiwnym dzieciakiem, aby tego nie rozumieć – widać było, jak mu jest ciężko.

Spoglądał na żonę, która opuściła głowę i zagryzła wargę. Widział ból malujący się na jej twarzy. Była w tej chwili tak krucha, że aż wywoływało to w nim ból serca.

Ale cóż mógł zaradzić? Imał się już chyba wszystkiego: były kwiaty, czekoladki i złoty naszyjnik z granatem na zgodę. Może trochę się pospieszył, gdyż próbował tego nazajutrz po tym, jak zdradził ją pierwszy i jedyny raz, i z miejsca dał się na tym głupio przyłapać.

– Julio, pozwól, proszę – powiedział, wstając.

Ku jego zaskoczeniu posłuchała.

Zaprowadził ją do sypialni. Usiadła przy toalecie, lecz nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem. Wbiła wzrok w dłonie splecione na podołku.

– Julio, Zocha ma rację. Nie możemy dezorganizować życia naszym dzieciom.

– Sam je zdezorganizowałeś – odparła łamiącym się głosem.

Podszedł bliżej i przykucnął przed żoną. Ujął jej rękę. Była chłodna w dotyku i jakaś bezwładna.

– Poblądziłem, Julio. Błagam cię, wybacz mi. Bez ciebie moje życie nie ma najmniejszego sensu. Postąpiłem nad wyraz podle i nie próbuję się usprawiedliwiać. Szybko zrozumiałem, że *tamto* było głupie. Kocham tylko ciebie. Jesteś światłem mojego życia – powtórzył słowa, które kiedyś dawno temu ona powiedziała do niego. Był wtedy ranny po postrzale, jaki otrzymał w czasie zamieszek. W nocy obudziły go ból i gorączka. Mimo wszystko zapamiętał, co powiedziała,

i wierzył, że nie był to majak pogrążonego w malignie człowieka.

Podniosła wzrok. Po jej twarzy płynęły łzy. Wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej policzka. Nie cofnęła się, lecz nie powiedziała nic, by ułatwić mu sprawę.

– Julio... Proszę, nie gaś dla mnie tego światła.



Nowa Huta pogrążona była we śnie, gdy wzdłuż zabudowań skupionych wokół najszerzej i najbardziej reprezentacyjnej części alei Róż przemykała chyłkiem trójka mężczyzn. Porozumiewali się ze sobą na migi, ponieważ już wcześniej ustalili przebieg operacji. Dwaj mieli stać na czatach na przeciwległych końcach placu i ewentualnie odwracać uwagę funkcjonariuszy MO, a trzeci w tym czasie złożyć ładunki u stóp wodza rewolucji – w hołdzie od wdzięcznych mieszkańców Nowej Huty.

– Pamiętajcie: w razie wypadki żaden nie sypie kolegów, lecz próbuje się wykręcać lub w całości brać winę na siebie – zaszemrał Andrzej Szewczuwianiec do towarzyszących mu mężczyzn. To on miał ponieść największe ryzyko, gdyż zamierzał przygotować pomnik do wysadzenia w powietrze. – Zaraz po tym, jak podłożył dynamit i podpalił lont, każdy biegnie w swoją stronę, nie oglądając się za siebie ani na innych.

– Tchórzliwe – stwierdził Karol.

– Racjonalne – zaprotestował mózg operacji. – Im mniej nas w razie czego wpadnie, tym lepiej.

– Pieprzysz – stwierdził Kalita.

– Masz dzieci i kobitę? – zapytał Szewczuwianiec.

– No mam.

– To zrób wszystko, żeby do nich wrócić.

Rozstawili się w uzgodniony wcześniej sposób. Andrzej

spojrzał czujnie na boki. Aleja Róż świeciła pustkami. Okna mieszkań tonęły w ciemnościach. Było parę minut po godzinie drugiej. Mężczyzna podbiegł do potężnego cokołu. Serce łomotało mu jak szalone, gdy przycupnął u stóp monumentu. Upewnił się, że nie ma świadków, a następnie wlaź na górną część platformy, którą kroczył Lenin.

Kilka dni wcześniej uradził z kolegami, gdzie założyć ładunki wybuchowe, aby uzyskać zamierzony efekt. Wiedzieli, że nie mogą rozłupać całego pomnika, to byłoby zbyt niebezpieczne w centrum miasta. Uznali, że będzie dobrze, jeśli zwałą kolosa z postumentu i choć trochę pokiereszują. Na tyle mocno, by nie opłacało się go naprawiać.

Wyciągnął zza pazuchy dynamit. Drżącą z zimna i emocji dłonią położył go pod monstrualnym butem. Zamocował lont, a następnie pstryknął zapałką. Nikły ogień wystarczył, by sznur się zajął. Szewczuwianiec dał znaki kolegom, że zrealizował zadanie. Zadowolony z siebie zeskoczył zwinnie z postumentu. Rozejrzał się i już miał czmychnąć w stronę najbliższej bramy, gdy ku swojemu zdziwieniu i zgrozie zobaczył jakąś starowinkę o lasce kuśtykającą w stronę pomnika.

– O ja pierdołę! – zaklął pod nosem i zamiast biec między bloki, rzucił się w jej kierunku.

Przecież nie mógł pozwolić, by na skutek wybuchu zginęła bezbronna osoba.

– Niech pani ucieka! – krzyknął, nie bacząc na to, że ktoś może go usłyszeć. – Zaraz wszystko wybuchnie.

Zobaczył jej przerażoną twarz. Ujął ją za łokieć i próbował pociągnąć za sobą, lecz zniedołężniała kobieta nie była w stanie przyspieszyć kroku.

*Boże! Skoro tak mi jest pisane, zginę jak bohater* – przemknęło mu przez myśl, gdy zasłaniał kobietę. Stuknęła upuszczona na chodnik laska. Ułamek sekundy później uśpioną dzielnicą wstrząsnęła potężna eksplozja.



Zgodnie z ustaleniami, gdy tylko Andrzej podpalił lont, Karol i Wiesiek mieli wycofać się z alei Róż i ciemnymi zaułkami nowohuckich podwórek uciekać jak najdalej od centrum. Uzgodnili, że będą omijali dobrze oświetlone szerokie arterie dzielnicy, gdyż wybuch na pewno przyciągnie uwagę Milicji Obywatelskiej.

Karol postanowił, że mimo wszystko odczeka jeszcze moment, aby sprawdzić, czy Szewczuwianiec zdołał bezpiecznie umknąć. Stał ukryty w bramie wjazdowej do osiedla Centrum C, gdy nagle dostrzegł staruszkę idącą wolnym krokiem w stronę pomnika. Chwilę później dopadł do niej Andrzej. Pawłowski zauważył, jak kolega własnym ciałem zasłania kobietę. Nie zdążyli odejść dalej niż parę kroków, gdy rozległ się huk detonacji. Ziemia zadrżała pod stopami Karola. Przez moment miał wrażenie, że popękały mu bębenki w uszach. Widok na aleję Róż oraz pomnik przesłoniły kłęby dymu.

– Rany Boskie, wojna! – krzyknął ktoś z przerażeniem.

W wielu mieszkaniach rozbłysły światła. Ludzie ze strachem wyglądali przez okna pozbawione szyb.

– Znowu chcą nas zniewolić! Wojna! – dało się słyszeć kolejne nerwowe okrzyki.

Karol bez namysłu rzucił się biegiem w stronę Andrzeja i kobiety. Nie mógł zostawić kolegi na pastwę losu.

*Pieprzyć uzgodnienia!*

Zapewne potrzebowali pomocy. Być może raniły ich odłamki cokołu lub pomnika. Na razie niewiele mógł zobaczyć. Liczył jednak na łut szczęścia. Jeżeli staruszce nic się nie stało, była szansa na ucieczkę.

Przeciął sprintem aleję Róż, nie zważając na szkło

chrzęszczące pod butami. Serce łomotało mu jak szalone. W każdej chwili mógł zostać aresztowany. Ku swej radości dostrzegł z daleka biegnącego ulicą Wieśka. Widać podobnie jak on odczekał dłużej i nie uciekł tak, jak to wcześniej uzgodnili. Kalita wziął na siebie ciężar odwrócenia uwagi milicjanta, który jak na zawołanie pojawił się w miejscu detonacji.

Kurz opadł, dym zaczął się rozwiewać. Nad jego kłębami znowu triumfalnie unosił głowę znienawidzony przywódca bratniego narodu. Karol zgrzytnął zębami z wściekłości.

*Za mało dynamitu – pomyślał.*

Na razie sprawa pomnika zeszła na boczny tor, ważniejsze było zdrowie i życie ludzkie.

– Andrzej, ja pierdolę! Co z tobą? – Pochylił się nad leżącymi na chodniku.

Byli oszołomieni, lecz żyli.

Staruszka zniosła detonację zaskakująco dobrze. Być może była przygłucha. Gorzej z Szewczuwiańcem – ten wyglądał na mocno rozkojarzonego.

– Nic wam nie jest? – zapytał Karol kobietę, pomagając jej wstać.

Obejrzała się i splunęła w stronę pomnika.

– A bodaj diabli wzięli tego ancykrysa. Nawet bomba mu nie poradzi – powiedziała zaciekle.

Mężczyzna podał jej laskę i pomógł wytrzepać szkło z odzieży.

– Poradzi sobie pani? – zapytał, lecz ta tylko machnęła ręką i ruszyła w dalszą drogę.

– Uciekajcie, synkowie, nim was milicjanty dopadno! – rzuciła przez ramię. – Mnie starej nic nie zrobio. Przeca ja bym nie wlaźła na cokół, żeby podsunąć bombę ancykryswi.

Karol bezzwłocznie pomógł się pozbierać koledze i razem pognali w stronę bramy. Stracili mnóstwo cennego czasu. To była ostatnia chwila na ucieczkę, bowiem z oddali słysząc było wycie radiowozów. Razem przebiegli kilkaset metrów.

A ponieważ Andrzej dość szybko doszedł do siebie, uzgodnili, że czas się rozdzielić.

– Stój! Zatrzymaj się! – usłyszał nagle Karol wołanie funkcjonariuszy, którzy już rzucili się w pościg.

Serce Pawłowskiego łomotało jak oszalałe, gdy biegł na oślep, uciekając ile sił w nogach. Dały się odczuć lata spędzone za biurkiem na uczelni. Sapał jak miech kowalski, choć przebiegł zaledwie kilkaset metrów. Wiedział, że go gonią. Słyszał okrzyki i tupot ciężkich butów.

– Stój, bo strzelam! – padł rozkaz.

Nie zamierzał wydawać się na łatwy cel strzelniczy, ale nie chciał też się poddawać. Dostrzegł bramę wiodącą na podwórko – wciąż kluczył po osiedlu Centrum C, lecz nie miał jak wybiec na otwartą ulicę, gdyż słyszał wycie syren. Był w pułapce. W ostatniej chwili skręcił do bramy. Nagle ktoś złapał go za rękę.

– Cicho – usłyszał damski głos. – Udawaj napalonego na mnie pijaka. Pomogę ci.

W mroku zobaczył, jak kobieta wkłada rękę za pazuchę i coś wyciąga. Światło księżyca odbiło się w piersiówce. Odkręciła korek, po czym, niewiele myśląc, chlusnęła zawartością na Karola. A potem złapała go za kołnierz ciemnej kurtki i przycisnęła usta do jego warg. Usłyszeli kroki nadbiegających funkcjonariuszy. Milicjanci przystanęli i zaczęli się naradzać.

– Przysuń się, jakbyś faktycznie był napalony – rozkazała szeptem nieznajoma.

Tamci postanowili się rozdzielić. Jeden z nich zbliżał się do pary skrytej w cieniu bramy.

– Ej wy tam! – krzyknął. – Ręce do góry!

– Udawaj pijanego – usłyszał Karol ostatni szept kobiety. – Aszsz panie włazzo. O sso chozzi? – zapytała wiarygodnie pijackim głosem, choć Pawłowski dałby głowę, że przed momentem była równie trzeźwiutka co on.

Unosząc ręce, wymierzyła mu solidnego kuksańca, więc, by nie narobić sobie problemów, i on podniósł dłonie, udając, że się zatacza. Serce łomotało mu jak szalone.

– Panie włazzo, to juszsz się napić nie wolno? – zapytał.

– Nie widzieliście uciekającego mężczyzny? – Milicjant błysnął im latarką w oczy.

– A tam ktoś pobiegł. Oo! – odparła, wskazując kierunek.

– Franek, co jest? Masz go? – U boku milicjanta pojawił się jego kolega.

– Nie, jakieś pijane kochasie.

– Ejże! – Przybysz nie dowierzał, więc poświecił parze po oczach. – Gęby faktycznie pijackie, a cuchnie od nich jak z gorzelni – stwierdził po krótkiej lustracji.

– Oni mówią, że nasz bombowy chłopak poleciał w stronę alei Przyjaźni.

– Dobra, idziemy. Nic tu po nas. Całe osiedle jest szczelnie obstawione, nawet mysz się nie przemknie, więc nie ma zmartwienia. A wy dwoje – zwrócił się do Karola i kobiety – won do domu, bo jak nie, to będzie wylot na wytrzeźwiałkę!

Nie dali sobie tego dwa razy powtarzać. Kobieta kurczowo złapała ramię Pawłowskiego i pociągnęła go za sobą. Gdy odeszli znaczny kawałek, obejrzel się za siebie. Tamtych funkcjonariuszy nie było. Niestety, w każdej bramie wjazdowej do osiedla stał zaparkowany samochód milicyjny, z którego wysiadali stróże prawa.

– Idziemy do mnie. Mieszkam tutaj – oznajmiła kobieta.

– Nie powinienem. Ściągnę na panią kłopoty.

– Daj spokój, człowieku. Wiem, że to ty jesteś zamieszany w wybuch na alei Róż. Wszystko widziałam. Wracałam tamtędy z pracy – szeptała gorączkowo. – Wiedziałam, że mogę się na coś przydać. Mam nadzieję, że twoi wspólnicy zdołali uciec, nim okrążono osiedle.

– Bardzo pani dziękuję – odparł. – Jest pani pewna?

– Jasne. Ale musisz coś wiedzieć. Dam ci doskonałe alibi. Takie, że nikt cię nie ruszy. Moje mieszkanie jest na podsłuchu bezpieczeństwa – oznajmiła.

Mężczyzna stanął jak wryty.

– Nie idę – powiedział z determinacją.

– Nie wygłupiaj się! Pod latarnią najciemniej. Oni nagrywają wszystkie głosy, ale nie są w stanie sprawdzić godziny. Dobrze o tym wiem, bo od paru lat mają moje mieszkanie na celowniku.

– Czym im się pani tak przysłużyła?

– Długo by opowiadać. Ale wiedz jedno: nigdy nie wydałabym człowieka, który podejmuje z nimi nierówną walkę. Co innego jakiś zapijaczony kierownik zakładu albo lekarz wykonujący podejrzone zabiegi. A ciebie znam nie od dzisiaj – dodała.

– Jak to? – Jego zdumienie było bezgraniczne.

– Nie poznałeś mnie, Karolu? W sumie to się nie dziwię. Nie widzieliśmy się ładnych parę lat. Byłam wtedy znacznie szczuplejsza i miałam jasne włosy.

Pawłowski stanął i spojrzał na nią badawczo. Nagle jego serce załomotało wyjątkowo niespokojnie. Tak, jak może zabić tylko wtedy, gdy mężczyzna spotyka swoją pierwszą młodzieńczą miłość.

– Niesamowite! To naprawdę ty?

– Chodźmy stąd. Zaczyna się robić niebezpiecznie – odparła i pociągnęła go za rękę w stronę najbliższej klatki schodowej. – Pamiętaj! Jak wejdziemy do mnie, zachowuj się jak pijany, napalony klient, który odwiedza prostytutkę.

– To jakieś szaleństwo! Bożena...

– Ratuję ci właśnie dupę. Nie bądź głupi. Dobrze wiesz, że nie masz szans na ucieczkę. A nawet gdyby za kilka dni milicjanci wywęszyli twój ślad, esbecja puści cię wolno. Zaufaj mi – powiedziała, ściskając mocno jego rękę. – Pod latarnią jest zawsze najciemniej – powtórzyła.



Weszli do elegancko urządzonego mieszkania. Lokal składał się z co najmniej czterech pomieszczeń, gdyż tyle drzwi Karol dostrzegł w przedpokoju. Widać było, że Bożenie dobrze się powodzi. Ściany wyłożone zostały boazerią. Zamiast plastikowych pasków w drzwiach wisiały drewniane korale. Przeszli dalej, do pokoju dziennego. Ten urządzony był tak, jakby żywcem wyjęto go ze stron zagranicznego katalogu: elegancka tapeta, starannie zmarszczone firany o bogatym wzorze, na podłodze gruby wełniany dywan, do tego meblościanka na wysoki połysk, a za jej szybami kryształ. Zamiast zagracającego wnętrza stołu pani domu posiadała ławę, a przy niej fotele przykryte narzutami. Kryształowa misa na blacie wypełniona była z górką czekoladowymi łakociami. We wnęce znajdowała się rozłożona wersalka z kolorową pościelą i mnóstwem poduszek, a przed nią barania skóra. Na stoliku w kącie obok okna królował wspaniały odbiornik marki Rubin – marzenie niejednego amatora telewizji. Półkę pod nim wypełniały zagraniczne czasopisma ułożone w schludny stosik. Ściany udekorowane zostały orientalnymi rycinami. Przyjrząwszy się im uważniej, Karol stwierdził, że prezentują one dość wyuzdane pozycje miłosne. Z całą pewnością nie pochodziły z Cepelii zlokalizowanej na placu Centralnym. Westchnął nieznacznie, widząc te wszystkie oznaki luksusu.

– Fajna chata – skomentował. – Dobrze ci się powodzi.

– Nie narzekam – odparła pani domu. – Napijesz się czegoś jeszcze?

Bezgłośnie poruszyła ustami:

– Jesteś pijany.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Chyba nie powinienem juszsz pić. Czuję, że mam dossyc – wszedł w odpowiednią intonację.

– Daj spokój, kochaniutki. Wieszszór jeszsz młody – odparła, otwierając barek w meblościance. Pokiwała dłonią, by Karol

podszedł bliżej. – Na sso maszsz ochotę?

Zerknął z ciekawością i zamarł z zachwytem. Takiego wyboru nie znalazłby pewnie nawet w Peweksie. Nagle poczuł, że po tej całej zwariowanej nocy ma ochotę na coś mocniejszego. Migawki ostatnich wydarzeń docierały do niego niczym rozkołysane morskie fale. Znowu stał na czatach w alei Róż, oczekując na efekty eksplozji. Biegł w stronę Andrzeja. Uciekał przed milicją. Odczuwał ten przeraźliwy łomot serca, gdy funkcjonariusz błysnął mu latarką w oczy.

No i jeszcze niesamowite spotkanie z Bożeną!

*Jednak to prawda, że stara miłość nie rdzewieje* – stwierdził zaskoczony.

Alkohol, który parował z jego odzieży, potrzebny mu był w krwiobiegu. By choć na chwilę przytępić zmysły i złagodzić bodźce.

– Z pszszyjemnością golnę jeszsz balantaisssa – oznajmił.

Rzadko pijał whisky. A ten trunek, owiany niemalże legendą, był marzeniem chyba każdego smakosza. Karola ciekawiło, czy Bożena otworzy dla niego kosztowną butelkę – wszak był tylko kolegą sprzed lat, dla niej zapewne nikim ważnym – jednym z wielu.

Wiedział, czym się trudni. Od czasu do czasu spotykał się z Jane lub innymi kumplami, którzy przekazywali mu wieści na temat wspólnych znajomych. Profesja Bożeny dla nikogo nie była tajemnicą, ale powiązania ze Służbą Bezpieczeństwa wzbudzały w nim ogromny niepokój. Nie było jak wyjaśnić tej kwestii. Chwilowo nie miał wyjścia, musiał zdać się na Morkównę.

Czy zdradziłaby go dla dodatkowych korzyści?

Aż strach o tym pomyśleć. Co by się stało, gdyby jego bliscy usłyszeli, że wpadł w mieszkaniu luksusowej prostytutki będącej na usługach bezpieki?

– Dla ciebie wszszyszsko – wysyczała kobieta, puszczając doń

oko. – Chlupniemy sobie po kielichu. A potem Charlie pójdzie z Bożenką do łóżka i razem utulimy się do snu.

Najpierw przełączyła górne światło na kinkiety. Z wprawą odkorkowała butelkę i nalała alkohol do odpowiednich szklanek. Przyniosła z kuchni lód. Potem podała szklankę swemu gościowi. Karol zanurzył usta w bursztynowym trunku. Po jego podniebieniu rozszedł się niepowtarzalny smak.

– Dossskonąła – pochwalił.

Usiadł na jednym z foteli. Bożena bez ceregieli umościła się na jego kolanach i wycisnęła mu na policzku siarczystego całusa. Mężczyzna zeszywniał. Nie spodziewał się tak śmiałych czynów. Ona najwyraźniej wczuła się w jego nastrój, gdyż nie próbowała go uwodzić.

– Za nasze spotkanie – wzniosła toast.

Po kolejnym łyku ześliznęła się na dywan.

– Aszsz jesssem pijana – oznajmiła, puszczając oko do Pawłowskiego.

Na czworakach podeszła do stolika telewizyjnego. Pogmerała pomiędzy gazetami, wybrała jedną z nich, po czym wróciła do swego gościa.

– Czytujesz „Playboya”? – zagadnęła.

Wiedział, czym jest „Playboy”. Czasami jakiś obrotniejszy kolega przynosił na uczelnię cudem zdobyty numer zagranicznego czasopisma. Rozkładówki wewnątrz magazynu wzbudzały ogromne emocje.

– Czasami – odparł, siląc się na obojętność, by nie zdradzić niezdrowego zainteresowania.

Czy wypadało, aby doktorant z Akademii Górniczo-Hutniczej ślinił się na widok nagiej modelki? Mimo wszystko wyciągnął dłoń po pisemko. Z nonszalancką miną przerzucił kilka kartek. Widział, jak Bożena go obserwuje, gdy dotarł do stron poświęconych jakiejś jasnowłosej piękności.

– Podoba ci sssię? – zagadnęła.

– Trochę podobna do ciebie sssprzed paru lat – odpowiedział z uśmiechem. – Teszsz miałaś kiedyś takie włossy – wyjaśnił. – Bardzo mi sssię podobałaś – chlapnął ze szczerością, która zaskoczyła nawet jego.

– A teraz ci sssię nie podobam? – zapytała, ważąc w dłoni obcięte na pazia pasma w ciemnym kolorze.

Spojrzał na nią z uwagą. Mimo bardzo późnej pory miała nienaganny makijaż. Czerwona szminka przyciągała wzrok soczystością, a ciemne włosy mocno kontrastowały z jasną karnacją. Modna fryzurka dodawała Bożenie uroku. Podobnie czesała się Gabriela, która, odkąd się poznali, nie dokonała żadnych zmian w swoim wyglądzie. Szybko odsunął na bok niewygodne wspomnienie żony. Jeszcze przyjdzie czas na rozmyślanie o tym, czy przychodząc do Bożeny, sprzeniewierzył się swojej ślubnej. Na razie skupiony był na pani domu. Nie znał wielu kobiet, które wyglądałyby tak dobrze zarówno z jasnymi, jak i z ciemnymi włosami. Jakby tego było mało, Morkówna zachowała nader ponętą figurę, podkreśloną obcisłym sweterkiem i jeansami – zapewne kupionymi na ciuchach lub w Peweksie.

– Jesteś piękna – stwierdził, na śmierć zapominając o tym, że miał udawać wstawionego.

Bożena uśmiechnęła się zalotnie.

– Mogłabym sss nią konkurować? – Wskazała obnażone ciało modelki.

– Tak. Chyba tak – odparł z konsternacją.

– Poczekaj chwilę – czknęła, ponownie zsuwając się z kolan Karola.

Napełniła jego szklanekę alkoholem. Potem musnęła dłonią policzek z modnymi baczkami.

– Zarasss wrócę – oznajmiła. – Julie Malone doszszyma ci towaszszystwa.

Opuściła pokój, kołysząc zgrabnie biodrami. Został sam, więc

z zainteresowaniem zaczął przeglądać gazetę. Czuł niebywałą ekscytację, oglądając kolejne strony. Wzbierało w nim pożądanie. Sący alkohol, wyobrażając sobie, że jest sam na sam z boginką z fotografii, kiedy do pokoju wróciła Bożena. Nieomal się zachłysnął, gdy cichutko chrząknęła, by przyciągnąć jego uwagę.

Znowu miała blond włosy. Widać poprzednia fryzura była tylko peruką. Z rozpuszczonymi jasnymi pasmami kobieta jawiła mu się jak anioł. Miała na sobie kusą bieliznę nocną z prześwitującej tkaniny. Przez cieniutki materiał i koronkę przebijały ciemne plamy sutków oraz łono.

Odłożył gazetę i na oślep sięgnął po szklankę. W gardle zaschło mu z wrażenia. Pociągnął spory łyk, nie spuszczać wzroku z Bożeny. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, czuł, że lada moment może eksplodować.

*Dlaczego moja żona nigdy nie wygląda tak ponętnie?* – przemknęło mu przez myśl.

Gabrysia nosiła bawełniane koszule nocne zapinane pod brodę. Odkąd wzięli ślub, ich pożycie straciło tę magię, która towarzyszyła im w czasach narzeczeńskich. Już nie pamiętał kształtów ciała żony. Rzadko się ze sobą kochali, na dodatek zawsze po ciemku. Gabrysia nawet nie pozwalała zdjąć z siebie tego okropnego, szorstkiego w dotyku giezła. Tak jakby cała radość z intymności wygasła na łąkach, gdzie obecnie budowano osiedle II Pułku Lotniczego. Wtedy łączył ich niczym nieskrępowany żar ciał. Teraz była rutyna, wieczne migreny i barchanowy wór pokutny.

Niejeden raz myślał, że wiele by dał, aby cofnąć czas do tamtej pamiętnej wiosny, gdy pod błękitnym niebem uczyli się na pamięć swych ciał, ryzykując, że ktoś nakryje ich wśród wysokiej trawy i budowlanych wertepów. Aktualnie mieli swój pokój – dzieciaki tłoczyły się w drugim, nieco mniejszym – własne łóżko i dach nad głową. Mieli obrączki na serdecznych

palcach prawych dłoni. Łączyło ich nazwisko, rodzina i milion wspólnych spraw. Nie dzielili ze sobą łoża – a przynajmniej nie tak intensywnie, jak on by tego pragnął.

A przecież kochał swoją Nszo-czi. Była matką jego dzieci. Była jego światem.

Skąd więc teraz to napięcie w lędźwiach i przyspieszone tętno na widok pierwszej i, jak mu się jeszcze przed godziną wydawało – wygasłej miłości? Dlaczego miał ochotę porwać Bożenę w ramiona i rozgnieść jej usta namiętными pocałunkami? Dostać się pod półprzeźroczysty peniuar i ulżyć wzbierającemu pragnieniu...

Kobieta podeszła bliżej. Ponownie napełniła jego szklankę.

– I co teraz powiesz, Charlie? Czy ona może ze mną konkurować? – zapytała zmysłowym półgłosem, siadając mu na kolanach.

– Julie nie ma najmniejszych szans – stwierdził.

Pociągnął ballantine'ę. Odłożył naczynie na ławę. Powiodł palcem wskazującym wzdłuż ramiączka bielizny.

– Bożenka, Bożenka, Bożenka... Marzenie każdego chłopaka. Marzyłem o tobie, wiesz? Byłaś moją pierwszą miłością – wyznał, ośmielony wypitym alkoholem.

– Ty też mi się podobałeś – odparła. – Nadal mi się podobasz.

Pochyliła się i musnęła ustami jego wargi. Tym razem Karol nie zdrętwiał, gdy go dotykała. Widać pocziwa whisky rozluźniła go wystarczająco, by wieczór mógł mieć ciąg dalszy.

Karol przesuwiał opuszki niżej. Jego palce trafiły na jędrną pierś, od której dzielił go jedynie cieniutki, jedwabisty materiał. Zatoczył okrąg wokół szybko tężejącego sutka. Przypomniawszy sobie, jak przed laty zdołał się zakraść dłonią pod sweterek Bożeny. Cóż to było wtedy za doznanie! O ileż intensywniej pragnął jej teraz, gdy był dojrzałym mężczyzną, świadomym swej seksualności i potrzeb!

Pochylił się i przez tkaninę wchłonął w usta okrągłą, twardą

brodawkę. Przez chwilę ssał ją, nie zważając na dzielącą go od niej materię. Potem zdecydowanym ruchem odchylił obrzeżony koronką rąbek koszuli. Spojrzał w oczy kobiety, która kiedyś była ucieleśnieniem jego marzeń. Teraz miał ją na wyciągnięcie ręki. Chętną i gotową na wszystko. Nie zamierzał zaprzepaścić tej okazji. Bez względu na konsekwencje, o których na razie nie chciał myśleć.

Polizał sterczący sutek. Czuł dłonie Bożeny w swoich włosach. Niczego nie przyspieszała, nie ponaglała go, by zaprzestał pieszczot i ulżył swoim pragnieniom. Zdawała się czerpać z tej chwili taką samą satysfakcję, jaką on odczuwał.

Gabrysia nie lubiła, gdy ich intymne sam na sam trwało zbyt długo. Wolała ograniczać grę wstępną do minimum. Ciągnęła go za włosy, by wchodził w nią jak najszybciej. Kilka głębszych oddechów, parę westchnień i już było po wszystkim.

Tym razem miało być inaczej. Choć paliło go pożądanie, chciał poczuć Bożenę każdą komórką swego ciała. Głęboko, mocno, intensywnie. Ale wcześniej zmysłowo aż do bólu.

Odślonił drugą pierś. W świetle kinkietu sycił wzrok widokiem jędrnych krągłości. Wodził po nich językiem. Niespiesznie, wręcz leniwie. Co jakiś czas spoglądał w oczy kochanki. Podniecała go uległość, która z nich biła.

Nszo-czi daleko było do uległości. Nawet w łóżku była typem wojowniczką – walczyła z nim o to, by akt spełnienia był jak najkrótszy.

*Do diabła!* – pomyślał buntowniczo, rozochocony wysokoprocentowym trunkiem. *Co za szalona noc!*

Poczuł się jak żołnierz, który stoczył ciężką bitwę. Wszak niemalże wysadzili obmierzły pomnik w powietrze. Więc teraz, niczym mitycznemu herosowi, należała mu się nagroda. A cóż mogłoby bardziej usatysfakcjonować mężczyznę, jeśli nie ponętne ciało, które mogło zaspokoić jego nieokiełznane fantazje?

Nie musiał zdejmować z niej koszuli. W prześwitującym fatałaszkę podniecała go jeszcze bardziej, niż gdyby była naga. Wsunął dłoń pomiędzy jej uda – do bram raję, u których wiły się rudawe pukle włosów łonowych. Zanurzył palce w kobiecość i z zadowoleniem stwierdził, że czuje przyjemną wilgoć.

Gabrysia już od dawna tak na niego nie reagowała.

*Stop! Koniec myślenia o żonie!*

Był wojownikiem!

Odsunął Bożenę na wyciągnięcie ramion. Wzrokiem wskazał swoje krocze. Zrozumiała go bez słów. Opadła na kolana i rozpięła zamek w jego spodniach. Uporała się ze slipami. Był gotów.

– Ależ jesteś wspaniała – westchnęła zmysłowo, biorąc jego przyrodzenie w uszmińkowane na czerwono usta.

Jęknął, gdy zacisnęła wargi.

– Pomału! – rozkazał, więc rozluźniła uścisk.

Spoglądał, jak wodzi językiem po nabrzmiałej męskość, to znowuż samym koniuszkiem omiata najczulszy punkt. Dłonie Bożeny też nie pozostawały bezczynne. Pieściła go z niebywałą wprawą.

– Weź go głębiej – rozkazał, a ona posłusznie wchłonęła męskość tak daleko, jak tylko zdołała.

Z piersi Karola wydarł się jęk rozkoszy. Nie był w stanie dłużej panować nad swoim ciałem. Nim nastąpiła eksplozja i w jego głowie rozbłyły gwiazdy, wstrząsnęło nim kilka spazmów.

Przez chwilę uspokajał oddech, spoglądając w oczy Bożenie. Z kącika jej ust spływało kilka kropel nasienia. Otarł je kciukiem, a ona złapała go za dłoń i otoczyła palec ustami. Ssała go nie mniej zapamiętale niż przed momentem członek Karola.

Ależ go podniecił widok klęczącej na dywanie kobiety! Jej pełne piersi unosiły się z niespokojnym oddechem. Czerwone wargi to chciwie przesuwwały się po palcu, to znowuż



zastępowała je końcem języka.

– Pięknie potrafisz się kochać – powiedział.

– Potrafię o wiele więcej – odparła, a następnie przewróciła się na plecy.

Miękki dywan zamortyzował zderzenie z podłogą. Bożena uniosła w górę rąbek koszuli. Rozłożyła uda i bez skrępowania dotknęła palcami swej kobiecości. Delikatnie rozchyliła nabrzmiałe płatki.

– Chodź – powiedziała. – Weź mnie.

Wstał. Spoglądał z góry na leżącą u jego stóp kobietę. Zdjął przez głowę sweter oraz podkoszulek. Zsunął do końca spodnie i bieliznę.

– Nie tak – powiedział. – Chcę cię od tyłu.

Potulnie odwróciła się na kolana i wsparła na łokciach. Zamiast w nią wejść, bawił się przez moment jej piersiami. Ścisnął je i pocierał, aż zaczęła szybciej oddychać. Wierzył, że nie jest to wystudiowana latami doświadczenia umiejętność, lecz że podnieciła się naprawdę. Naparł na nią z całych sił. Mocno, głęboko, intensywnie. Nie kochał się z nią, lecz pieprzył ją tak, jak na to zasługiwała.

Była dziwką.

Odrzuciła pierwsze porywy młodzieńczego serca.

Zdradziła jego najlepszego kumpla.



Obudziła go nieprzyjemna suchość w gardle i łomotanie w skroniach. Uniósł powieki i przez moment usiłował sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Nie potrzebował wiele czasu, by wróciła mu pamięć i świadomość. Zerwał się z wersalki i w pośpiechu naciągnął ubranie, które rozrzucił kilka godzin wcześniej po całym pokoju.

– Charlie, nie śpisz już? – usłyszał kobiecy głos.

Spojrzał na panią domu, która wciąż leżała w pościeli.

– Muszę zmiatać. Bożenka... Ja... – Nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie mów nic. I nie przepraszaaj, bo nie masz za co. Od tego są prostytutki – powiedziała rozbijając szczerze. – Daj mi dwie minuty – poprosiła, ku jego zaskoczeniu.

Skinął głową i w milczeniu spoglądał, jak wstaje. Nago podeszła do meblościanki. Wyjęła z szuflady długopis i czystą kartkę. Zanotowała na niej kilka słów. Złożyła arkusik w czworo. Przykładając palec do ust, podała mu liścik.

– Odprowadzę cię do drzwi – oznajmiła.

W przedpokoju pożegnała go namiętnym pocałunkiem.

Zesztywniał. Obudziły się w nim wyrzuty sumienia.

Zdradził Nszo-czi, swoją ukochaną żonę. Sprzeniewierzył małżeńską przysięgę dla jakiejś wiarołomnej dziwki. Złamał zasady i sprofanował wartości, w które wierzył.

Ze spuszczoną głową opuścił mieszkanie Morkówny.

Ścisnął w dłoni kartkę, którą mu wręczyła. Była maleńka – pół strony wyrwanej z zeszytu i zapisanej drobnym maczkiem. Nie miał ochoty czytać tego, co tam napisała, lecz w końcu ciekawość wzięła górę i rozwinął arkusz.

*Bez względu na to, co o mnie myślisz, wiedz, że działałam dla Twojego dobra. Wiem, co zrobiliście, i całym sercem jestem po waszej stronie. Mam wpływowego mocodawcę, więc mogę śmiało stwierdzić, że jesteś bezpieczny. A jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego przyszłam Ci z pomocą, to wyjaśnienie jest krótkie. Gdy zostałam zmuszona do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa, mój „opiekun” zabrał mnie ze sobą na przesłuchanie. Zostałam zmuszona do patrzenia, jak władza ludowa traktuje niepokorne kobiety. Nigdy w życiu nie chciałam doświadczyć tego na własnej skórze, więc zgodziłam się na ich warunki. Ale to nie oznacza, że sprzedałam*

*duszę czerwonemu diabłu. Czekam na rewolucję, która rozwali ten niesprawiedliwy system.*

*Pomódl się za mnie, proszę. Mnie się nie godzi.*

Żadnych imion, żadnych szczegółów. Wystarczająco wiarygodnie, by uwierzył w jej szczerłość.

Przedarł arkusz na pół. Gardło paliło go nieprawdopodobnym pragnieniem, więc gdy połykał liścik, miał odczucie, jakby tarł po podrażnionej śluzówce papierem ściernym.



Następnego dnia po dzielnicy lotem ptaka rozniosła się plotka o zamachu na pomnik Lenina. A ponieważ od wczesnych godzin porannych kolosa osłaniał szczelny kordon milicji i nie dało się podejść bliżej, nikt nie wiedział, co tak naprawdę się wydarzyło i czy wędrowiec doznał jakiegoś uszczerbku. Z ust do ust przekazywano sobie wieści o oberwanej nodze, to znowuż o głowie oderwanej na skutek wybuchu. Jakiś sprytny fotograf, nie mogąc wykonać zdjęć z chodnika, zastukał do drzwi kolegi mieszkającego na czwartym piętrze w kamienicy, której okna wychodziły na aleję Róż. Stamtąd udało mu się pstryknąć kilka niezłych ujęć, na których widać było wyraźnie, że w detonacji ucierpiały trochę nogi wodza. Ładunek wybuchowy skruszył kawał cokołu i urwał prawą piętę Lenina. To wydarzenie momentalnie zaowocowało zagadką, która od razu zaczęła krążyć po całym Krakowie. Nawet dzieciaki bawiące się bez troski na trzepakach i huśtawkach przepytywały się wzajemnie:

– Co to jest: stoi w Hucie na jednym bucie?

Od tej pory Stylowa zyskała nową, nieoficjalną nazwę: Bar pod Kuternogą.

Wybuch, prócz niewielkich szkód wyrządzonych pomnikowi,

sprawił, że z większości okien wyleciały szyby. Na pogotowie zgłosiło się pięć osób poranionych odłamkami szkła.

Dwa dni później prasa szeroko rozpisywała się na temat dokonanego aktu wandalizmu.

„Zbrodniczy wybuch w Nowej Hucie”, „Dla sprawców – oburzenie i potępienie” – krzyczały nagłówki w gazetach.

– *Wiadomość o groźnym wybuchu w centrum Nowej Huty wywołała w Krakowie zdumienie i oburzenie – czytał na głos Pawłowski, podczas gdy Julia dziergała na drutach jakiś sweterek. – Czyżby, pytali w telefonach do redakcji czytelnicy, w naszym kraju poczęli działać terroryści? – modulował cynicznie głos. – Jaka myśl świtowała w umysłach ludzi, którzy zdecydowali się na ten krok? Co chcieli przez to osiągnąć: wywołać panikę, zastraszyć ludzi? (...) Jedno jest pewne, że ten, kto podjął się takiego nieobliczalnego w skutkach przedsięwzięcia, zawiódł się w oczekiwaniach<sup>[9]</sup>.*

– To prawda, rezultat jest rozczarowujący – westchnęła Pawłowska, wywijając szybko drutami. – Szkoda, że nie zmiotło tego drania z powierzchni ziemi. Ale i tak jakiś bohater pokazał światu, jak mieszkańcy Huty poważają to straszdyło.

– Cóż z tego, skoro już go naprawili. Jeśli wierzyć plotkom, ucierpiała mu tylko pięta – odparł mąż. – Przyjechał jakiś znawca tematu i od razu załatał wyrwę.

– Wiem. A słyszałeś o tym, że dzisiaj musiał poprawiać reperację? Ludzie gadają, że jeszcze dobrze nie odjechał, jak ktoś wyskrobał w świeżym betonie cokołu słowo *buc*. I to aż trzykrotnie!

– Co ty mówisz? – zdziwił się mężczyzna, gdyż do niego te plotki nie dotarły. – Ale jakże to, skoro dzień i noc stoją tam milicjanci? Przecież z miejsca aresztowaliby każdego, kto ważyłby się tam zbliżyć.

– Może to sprawka któregoś z nich? Chyba widzą, że ich służba mija się z tym, co w rzeczywistości powinno do nich

należać: łapaniem złodziei i morderców.

– Wszystko możliwe – stwierdził Wawrzyniec, a potem złożył gazetę, zaniósł ją do kuchni i wyrzucił do kubła na odpadki. – Szkoda czasu na te brednie – skomentował po powrocie do pokoju stołowego. – Lepiej posłuchać muzyki.

W radiu leciało właśnie *Dni, których nie znamy*. Pawłowski lubił Grechutę za jego artyzm i piękne piosenki z mądrymi tekstami. Julia podzielała jego upodobanie. Gdy już się pogodzili, żona podarowała mu płytę z piosenką, której właśnie teraz słuchał.

– *Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy, / Ważnych jest kilka tych chwil, tych na które czekamy*<sup>[10]</sup> – powiedziała wtedy, wręczając mu upominek. – Ale nie myśl, że przeszłość została raz na zawsze zapomniana – dodała, raniąc słusznie serce męża.

Wiedział, że mimo upływu czasu wciąż pozostawała nieufna. Zawiódł ją na całej linii i wciąż nad tym ubolewał. Dokładała starań, by nie okazywać zazdrości. Nie wracała w rozmowach do tamtego tematu. Nigdy nie pozwoliła mu na to, aby wytłumaczył motywy swojego postępowania. Nie chciała znać imienia rywalki, która na chwilę pojawiła się w jej życiu. Podziwiał za to Julię. W jego odczuciu zachowała się jak kobieta z klasą, która staje ponad sprawy błahe. Ich miłość miała większą siłę niż jednorazowy skok w bok.

W rzeczywistości Julia nie wypytywała, gdyż doskonale wiedziała, na kogo połasił się Wawrzyniec. A ponieważ pozostawała w dobrych relacjach z dyrektorem personalnym, dopilnowała, by smarkulę przeniesiono do innego działu – z Pałacu Dożów za bramę huty, pomiędzy brygady robotników, gdzie znalazł się dla niej etat sekretarki jakiegoś pomniejszego kierownika. Ot, taka drobna kobieca zemsta na młodszej i atrakcyjniejszej pannicy.

Nawiasem mówiąc, na to posunięcie namówiła ją Dorotka.

– Ona powinna zniknąć sprzed oczu Wawrzka – argumentowała – żeby nie wodziła go na pokuszenie. A poza tym, jakże by to było, gdybyście się mijały na korytarzu? Miałyby ci spoglądać triumfalnie w twarz? Swoją obecnością przypominać o bólu sprawionym przez męża?



Przez następne tygodnie nowohuccy funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa dotkliwie odczuwali nawał pracy. Bo nie dość, że musieli znaleźć winnych kwietniowego aktu wandalizmu, to jeszcze mieli na głowie wizytę papieża i związane z nią perturbacje. A tu jak na złość ludzie znowu zaczęli podnosić łby, czego efektem było utworzenie z końcem kwietnia Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy, czyli pierwszej tak poważnej organizacji opozycyjnej na terenie dzielnicy. Buntownicy zaczęli swą działalność z przytupem, gdyż od razu rozpoczęli wydawanie własnej gazety zatytułowanej „Krzyż Nowohucki”.

Władze komunistyczne nie pozwoliły na spotkanie w Nowej Hucie, lecz organizatorom pielgrzymki udało się uzyskać zgodę na głoszenie przez Ojca Świętego homilii w ogrodach klasztornych opactwa Cystersów. Dziewiątego czerwca, podczas przelotu helikopterem nad Arką Pana, Jan Paweł II zrzucił bukiet kwiatów. Tego samego dnia, wśród gromkich owacji i śpiewów, przemówił do wiernych zgromadzonych w Mogile. Tam koronował także figurę Maryi Królowej Polski, przyniesioną do klasztoru właśnie z nowohuckiego kościoła.

Dla *zabezpieczenia* wizyty papieża w Krakowie zaangażowano aż czterystu osiemdziesięciu tajniaków. Wielu z nich rekrutowało się ze środowisk kapłańskich. Ich zadaniem było przede wszystkim ograniczanie liczby osób, które miałyby się

spotykać z papieżem. Nagminnie niszczone karty, na podstawie których wierni mogli wchodzić na uroczystości z jego udziałem.

Mimo wzmożonych działań bezpieki Polacy licznie uczestniczyli we wszystkich nabożeństwach i przybywali wszędzie tam, gdzie spodziewano się ujrzeć czcigodnego gościa. Ze łzami w oczach słuchali jego słów:

*– Wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja: Jan Paweł Drugi Papież, wołam z całej głębi tego tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!*[\[11\]](#)

W sercach udręczonego narodu ponownie zapłonął ogień nadziei.



– Podburzał ciemny motłoch przeciw nam – ocenił Wołodjew wystąpienie Wojtyły na warszawskim placu Zwycięstwa.

– Ano podburzał – przyznał Zygmunt. – Ale na szczęście poleciał już, skąd go przyniosło. Minie kilka dni i wszystko wróci do normy. A my na powrót skupimy się na śledztwie w sprawie wybuchu.

– Najwyższa pora – skomentował towarzysz – bo moje czujne uszy znowu złowiły niewybredne żarty z chuligańskich ekscesów.

– A coście ciekawego na ten temat usłyszeli? – zainteresował się kolega.

Wołodjew wetknął papierosa w usta, by uwolnić ręce, i zaczął przetrząsać tekturowe teczki, którymi miał zasłane biurko. W końcu z jednej z nich wyciągnął jakąś notatkę służbową i wcisnął ją w ręce Grucy.

– A masz, sam przeczytaj. Beknie się za to dowcipnisiowi.

Gruca przejrzał pobieżnie protokół. Dłużej zatrzymał wzrok na powodzie, dla którego został spisany.

– „Po rozprawie prokurator, zataczając się ze śmiechu, wpada do pokoju, w którym siedzą jego koledzy po fachu. *Co cię tak rozbawiło?*, pytają – zaczął odczytywać Zygmunt monotonnym głosem. – *Genialny kawał o Leninie*, odparł. *Opowiedz*, poprosili, lecz on zaczął się wykręcać. *Nie mogę. Przed chwilą właśnie za ten dowcip zażądałem pięć lat*”. I... Nieśmieszne – stwierdził lekceważąco. – Nie ma się czym motłoch podniecać.

– Może tak, może nie. To ilu mamy w tym momencie podejrzanych o zamach na pomnik Lenina?

– Ano mamy listę, na której figuruje nieco ponad pięćset nazwisk. Inwigilujemy, towarzyszu.

– Dużo macie ludzi na podorędziu?

– Jest nas stu dziewiętnastu. Damy radę. Obserwujemy czujnie opozycję.

– *Prawilno*. A ktoś wysuwa się na pierwszy plan?

– Mam tutaj zanotowane dwa nazwiska – odparł Zenek, przeglądając akta. – Wątpliwości budzi niejaki Andrzej Szewczuwianiec, niezły ancymon. Lubi, skurwysyn jebany, stawać władzy okoniem. Relegowany z jakiejś szczecińskiej uczelni w siedemdziesiątym. Zwłókł się do Nowej Huty i rżnie tutaj bohatera.

– Macie na niego jakieś konkrety?

– Na razie zbieram materiały. Ma powiązania ze środowiskami uniwersyteckimi, więc pod lupę wzięliśmy również jego kolesiów: niejakiego Kalitę i Pawłowskiego. Kalita też został wydalony za chuligańskie wybryki w marcu. A Pawłowskiego dopiero prześwietlam. Jak były zamieszki studenckie, to był jeszcze szczyłem. Ale jego nazwisko też już mam odnotowane: tuż przed zamieszkami szwendał się nocą po mieście. Niby nic znaczącego, ale kto go tam wie. Zna Szewczuwiańca, a to już jest podejrzane.



- No dobra. A ten drugi z listy?
- Tadeusz Winczewski. Nad tym też jeszcze pracujemy.

[5] Mowa o Czesławie Drożdżu – dyrektorze naczelnym Huty im. Lenina, który urzędował w latach 1973–79.

[6] Fragment utworu *Małgośka*. Autor tekstu: Agnieszka Osiecka, kompozytor: Katarzyna Gaertner, rok powstania: 1973, wykonanie oryginalne: Maryla Rodowicz, płyta: *Małgośka* (SP, 1973).

[7] Fragment tekstu piosenki *Gaj* z repertuaru Maryli Rodowicz i Marka Grechuty. Słowa: Agnieszka Osiecka, muzyka: Marek Grechuta, płyta *Wsiąść do pociągu* (LP, 1978).

[8] Jan L. Franczyk, Adam Macedoński – współzałożyciele Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy – pierwszej organizacji opozycyjnej działającej na terenie Nowej Huty od 28 kwietnia 1979 roku.

[9] Za artykułem z „Dziennika Polskiego” z dnia 20 kwietnia 1979 r.

[10] Fragment piosenki *Dni, których nie znamy* z repertuaru Marka Grechuty. Słowa: Jan Kanty Pawluśkiewicz, muzyka: Marek Grechuta, płyta: *Korowód* 1971 r.

[11] Za: *Pielgrzym w Ojczyźnie. Jan Paweł II*, G. Piotrowicz, J. S. Kowalski, Bochnia–Kraków 2005 r., str. 32.

1981

## Rozdział 4



### *Kotlet dla Lenina*

**N**owa dekada przyniosła znużonemu narodowi nowe zmartwienia. Nieudolność władzy pchnęła gospodarkę nad krawędź przepaści. Cóż z tego, że propagandowe tuby wciąż głośiły optymistyczne komunikaty, że Polska jest prawdziwą potęgą, którą prześcigają jedynie nieliczne państwa? Wszyscy dobrze wiedzieli, że tak naprawdę rządy w kraju sprawują marionetki sterowane przez radzieckich polityków.

Cały świat dawał wyraz pogardzie dla sowietów, którzy miażdżyli żelaznym butem niemalże pół Europy i porwali się na interwencję zbrojną w ogarniętym chaosem Afganistanie. Ubiegłoroczne igrzyska olimpijskie w Moskwie zostały zbojkotowane przez wiele krajów, między innymi Stany Zjednoczone, Kanadę czy Republikę Federalną Niemiec – zgniłych zachodnich imperialistów, jak głośiła proradziecka propaganda.

Wśród Polaków – zmęczonych codzienną walką o przetrwanie i stanem w kolejkach, zaszczutych przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa rozbijających się po miastach osławionymi czarnymi wołgami – szemrano złowrogo pod

adresem kacyków partyjnych. Czarny humor, który ogarniał mieszkania, zakłady pracy i ogonki przed sklepami, przepełniony był goryczą wymierzoną w nieudolność rządzących oraz ich pokorę wobec bratniego narodu. Z lubością kpiono sobie wszędzie i ze wszystkiego, ponieważ śmiech, nawet ten przez łzy wściekłości, miał kojącą moc.

Żartowali więc szwagrowie przy wódce zagryzanej ogórkiem kiszonym, gdyż na więcej trudno było sobie pozwolić. Tego roku imieniny Bogusi wypadły nader skromnie. Pani domu podejmowała swych gości, rumieniąc się wstydliwie. Zamiast szynki i ciast postawiła przed gośćmi salaterki z domowymi przetworami, półmisek cudem zdobytej krakowskiej i szarlotkę upieczoną przez Julię.

Przy biesiadnym stole zabrakło Sabiny. Odkąd ożeniła syna, niemalże nie zaglądała na rodzinne uroczystości. Wprawdzie zastąpił ją Paweł i przyprowadził ze sobą Andzię, lecz Szymczakowie odczuli nieobecność bratowej, która ponoć zgłosiła się na ochotnika do bawienia półrocznej Małgosi – swojej pierwszej wnuczki, wysyłając na przyjęcie młodych małżonków. Wspominali z rozrzewnieniem stare, dobre czasy, gdy imieniny przyciągały całą rodzinę, włącznie ze świętej pamięci Andrzejem.

– Jakiś ty podobny do ojca – wzdychała Julka, przyglądając się bratankowi.

– Aha. Skóra zdarta z Jędrka. I ten sam spryt, co u tamtego przechery – uśmiechał się Bronek.

Paweł rzeczywiście radził sobie nieźle. Przed rokiem rzucił mozolną pracę w kombinacie. Choć miał diabelne przeprawy z urzędami, zdołał uzyskać zgodę na otwarcie w Bieńczycach prywatnego butików z ciuchami. Prowadzili go we dwójkę z żoną. Brali w komis i sprzedawali ze znacznym zarobkiem rzeczy, które przyjeżdżały w zagranicznych paczkach. Ponadto można było nabyć u nich pokątnie inne szmuglowane dobra: alkohole,

tytoń, kawę i zachodnie „świerszczyki”. Miał też układ z konikami i cinkciarzami. Kombinował, jak tylko mógł, poniekąd naśladowując swymi poczynaniami ojca, którego znał wyłącznie z kwiecistych opowieści krewniaków oraz nader skąpych wypowiedzi Sabiny.

Wiedział, że matka ma ogromny żal do nieboszczyka. Przez długie lata żyła w głębokiej nieświadomości, myśląc, że poślubiła mężczyznę niemalże idealnego. Tymczasem on okazał się zwyczajnym zdrajcą i w dodatku spłodził nieślubnego bachora. Paweł dostąpił wątpliwej przyjemności poznania swego przyrodniego brata. W przeciwieństwie do Danki, która miała z nim jakieś wspólne sprawy i wciąż próbowała go bronić w rozmowach zarówno przed nim, jak i przed matką, on nie znosił Korczyka z całego serca i w duchu zawsze nazywał go szczyłem. Odżegnywał się od tej znajomości, choć wiedział, że martwi tym samym Julkę. Ale cóż, nie zamierzał sprawiać przyjemności starej ciotce i kumać się z gnojkiem, który uzurpował sobie prawa do jego ojca.

*To przez niego matka wciąż cierpi* – myślał z nienawiścią, choć w rzeczywistości matczyne troski nie zajmowały go aż tak bardzo.

Żył sobie spokojnie z żoną. Odkąd opuścił gniazdo rodzinne, nie narzekał na brak kasy, choć początkowo martwił się, z czego pokryje wynajem mieszkania od szczęśliwca, który zdołał wyjechać do RFN-u. On nie miał perspektyw emigracyjnych, ale i tak nie narzekał.

*Lepsze kilo handlu niż gram roboty* – przerabiał po swojemu znaną dewizę. Bo przecież więcej zyskiwał, poświęcając choćby i cały dzień na obrót towarów, niż gdyby musiał tańczyć na etacie tak, jak mu zagra pracodawca.

Siedział za skromnie zastawionym stołem i z wyższością spoglądał na krewnych. Byli zwykłymi robotnikami lub urzędnikami. Nikim. Wciąż płynęli pod prąd, narażali się,

a zamiast korzyści mieli z tego jedynie szykany. Brakowało im sprytu i przebojowości.

Czasy są, jakie są – ani dobre, ani złe. Radzić trzeba sobie w każdej sytuacji. Szukać okazji do zarobku, wietrzyć interes, nie wahać się, nie ulegać skrupułom. Co tam kryzys gospodarczy i rozdęci politycy? Dzisiaj wiatr wieje ze wschodu, kto wie, z jakiego kierunku nadciągnie jutro, pojutrze, za tydzień? Trzeba być jak kameleon – wciąż się dostosowywać. Partia ma coś do zaoferowania? To należy do niej przystąpić, ale się nie wychylać przed innych. Zapisać się na przydział mieszkania, opłacić jakąś składkę, pójść na pochód. Do kościoła też można zajrzeć, czemu nie? Nigdy nie wiadomo, kiedy ksiądz może się okazać przydatny. Interesy można robić ze wszystkimi. Niezależnie od poglądów czy przekonań religijnych. Cygan z naprzeciwka? Też człowiek, choć miewa lepkie ręce. Ale czasami podrzuci coś ciekawego na handel. Wieści przyniesie, bo wszędzie go pełno.

Trzeba zmieniać światopogląd w zależności od wymogu chwili. Tylko krowie zawsze najlepiej smakuje cudza trawa i z uporem lezie na łąkę sąsiadów. A jemu familia Szymczaków tak się właśnie jawiła: jak uparta rogowizna.

Na imieniny do ciotki Boguśki przyszedł, bo w gruncie rzeczy ją lubił, choć niezmiennie przypominała mu szarą mysz. Jej posiwiałe włosy wyglądały smętnie, twarz porały zmarszczki. Wprawdzie w ciemnoniebieskich oczach wciąż migotały wesole, ciepłe iskierki, lecz czas wyrzeźbił głębokie bruzdy wokół ust, nadając kobiecie wyraz smutku. Mówiła zawsze cichym głosem i w ogóle sprawiała wrażenie, jakby bała się własnego cienia. Co wuj Broniek w niej widział? Tego Paweł nie mógł pojąć i wciąż zadziwiał go to, z jakim uczuciem najstarszy z rodu spogląda na swą niepozorną połowicę.

A może chodziło o jej dobre serce? O szczery uśmiech? O to, że nigdy nie wtrącała się w cudze sprawy, a zawsze była

życzliwa i skora do pomocy?

Cokolwiek by to było, Paweł miał do niej sentyment. Przyniósł jej nawet piękny prezent na imieniny: zagraniczną torebkę uszytą z kolorowych łątek, która zapewne byłaby bardziej odpowiednia dla Agnieszki.

Tego roku do Bogusi nie dotarła Krysia, choć mieszkała prawie po sąsiedzku, bo zaledwie dwa bloki dalej. Nikt się temu nie dziwił – pewnie zapomniała o imieninach, gdyż od bardzo dawna niemalże nie trzeźwiała. Cud, że jeszcze nie zapiła się na śmierć, bowiem odkąd została wdową, nie wylewała za kołnierz. A Janek odszedł do aniołów jedenaście lat temu. Miała więc mocną wątrobę, skoro była w stanie to wszystko przetrzymać.

Na wizytę Ewy też nie było co liczyć. Jej cały świat zamykał się w ciasnej klitce hotelu robotniczego. Od kilku miesięcy piastowała drugiego synka. Na wszystko brakowało jej czasu i już nawet nie próbowała tłumaczyć, dlaczego tak rzadko odwiedza krewnych.

Na imieninach zabrakło także Leszka, ponieważ ten pracował na drugiej zmianie. A skoro on nie przyszedł, to i Kazia też się nie pofatygowała, co nikogo szczególnie nie zmartwiło. Bo choć czas zweryfikował nieco jej poglądy i stępił ostry język, wciąż ślepo ufała partii i nie widziała innej przyszłości dla kraju niżli sojusz ze Związkiem Radzieckim. Szymczakowie mogli więc pod jej nieobecność do woli urągać na sytuację gospodarczą i polityczną.

– Ach, nie było to jak wtedy, gdy jeszcze Krysia pracowała w sklepie mięsnym – westchnęła gospodyni, załamując ręce. – Wszystkim żyło się jakoś lżej. A teraz człowiek wciąż gryzie własne ucho.

– Nie frasujże się, kochana. Nic na to nie poradzimy – odparła Julia i, by nie sprawiać przykrości pani domu, nałożyła sobie na talerzyk korniszony, sałatkę jarzynową i konserwową paprykę. Wędliny nie tknęła, bo w dołku ją ścisnęła na myśl

o biedzie, jaką ostatnimi czasy klepała rodzina najstarszego brata.

Ktoś w bezpiece musiał pamiętać Bronkowi jego burzliwą przeszłość, bo nie udało mu się przenieść do pracy na budowie. Choć lata mijały, a on oddawał zdrowie kombinatowi – wciąż tkwił tam w jednej z najniższych kategorii zaszeregowania. Gdy w ubiegłym roku utworzono Komitet Robotniczy Hutników NSZZ Solidarność, z miejsca do niego przystąpił, podobnie jak miażdżąca większość załogi liczącej grubo ponad trzydzieści osiem tysięcy osób. Nie poprawiał więc sobie sytuacji życiową postawą ani tym, że strajkował wraz z kolegami z wydziału. Brał również udział w sześciodniowej głodówce, która odbywała się w Arce Pana dla poparcia protestów robotniczych z Wybrzeża. Po tych wszystkich zamieszaniach został odnotowany jako wichrzyciel. Cud, że jeszcze nie wyleciał z pracy.

A przecież nie chciał znowu aż tak wiele: pragnął przede wszystkim godziwej płacy za mózół oraz możliwości zrzeszania się w wolnych związkach, by ludzie tacy jak on – zgnębieni frustraci – mogli pomagać sobie wzajemnie w nierównej walce o swoje prawa.

Zdaniem Wawrzka Bronek zarabiał niewspółmiernie do stażu pracy i stanowiska, lecz nawet on i Julia nie byli w stanie mu pomóc. Pewnego dnia Pawłowska znalazła na biurku napisaną maszynowo kartkę. „Pilnuj swojego nosa, bo jak nie, to ci go przytniemy, tak jak twoim braciom” – brzmiał złowrogi tekst, którego autor pozostawał anonimowy.

Czasami Bronek pomstował na swą niedolę i wyklinał podły los.

– Zawsze wiatr wieje mi w oczy. – W jego słowach była bolesna rezygnacja. – Chyba już nigdy nie doczekam lepszych czasów.

Już nie marzył o powrocie sanacyjnych porządków. Teraz bolączką było kupno mięsa i innych artykułów pierwszej

potrzeby. Gdzie się podział gierkowski dobrobyt? Zagraniczne papierosy, alkohole i łakocie dla dzieciaków...

– Tylko patrzeć, jak znowu wprowadzą nam kartki na mięso – westchnęła Julia. – Ponoć wszystko, co się u nas wyhoduje, wysyłane jest do ruskich.

– Taa... Dzięki uległości PZPR-u ufundowaliśmy igrzyska w Moskwie. Co tam mięsa poszło? Co drzewa i stali na budowę nowych obiektów sportowych? Co innego dobra? – utyskiwał Wawrzek. – Nikt by tego nie zliczył.

– À propos olimpiady – nawiązał Bronek. – Ceremonia otwarcia. Na trybunę włązi Leonid Breżniew. Wyciąga tekst przemówienia i zaczyna: „O, o, o, o, o”. Szybkim krokiem podchodzi do niego jeden z organizatorów i mówi: „Towarzyszu sekretarzu, generalny tekst przemówienia zaczyna się w następnym wersie, a to, co teraz czytacie, to kółka olimpijskie!”.

– Dobrze! – Szwagier poklepał go po plecach. – Idealnie obnaża poziom intelektualny naszej władzy. A wiecie, dlaczego Polskę podzielono na czterdzieści dziewięć województw?

– Bo tyle jest liczb w Totolotku i teraz co tydzień się losuje, które województwo otrzyma przydział mięsa – wtrącił Paweł, który mimo posiadania czerwonej książeczki nie stronił od naśmiewania się z sytuacji w kraju.

Wszak ślubu z partią nie brał i nigdy nie traktował członkostwa w niej na serio. W przeciwieństwie do Kazi, która gotowa była bronić swych poglądów niczym lwica, on nie krył się z tym, że przystąpił do PZPR wyłącznie dla korzyści.

– Ja to bym chętnie opuścił ten nasz Totolotek – dodał. – Wyjechałbym do Stanów albo RFN-u. Tam to mają życie, ech!

– Myślisz, że na Zachodzie lepiej? – zapytał sceptycznie Ludwik, ku wielkiemu zaskoczeniu rodziny. – Guzik prawda! Tam też mają za swoje. Płacą gigantyczne podatki, a jak ktoś zachoruje, to traci fortunę na lekarzy. Kto to widział, żeby



samemu płacić za wizytę u doktora?

– Pitolisz głupoty! – zachnął się Paweł. – Toć i u nas się płaci, ino pod biurkiem. Jak zachorujesz, to musisz wsunąć doktorowi kopertę do kieszeni. Albo podsunąć koniaczek.

– Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

– A coś ty taki sceptyk? – zapytał zaskoczony Wawrzyniec. – Nie zdziwiłbym się, gdybym usłyszał o tym od Darka albo Melka, bo oni nasiąknęli poglądami matki. Ale że ty to mówisz?

Ludwik przejechał dłonią po gęstej, bujnej czuprynie.

– Spójrzmy prawdzie w oczy: u nas krecią robotę odwała partia i durny system, ale w kapitalizmie też niewiele lepiej. Kumpel był pół roku w RFN-ie. Jak wrócił, to ledwo zipał. Mówił, że straszny tam zapierdol. Przepraszam, miłe panie – zerknął na ciotkę, matkę i kuzynki – ale inaczej nie da się tego określić. Mówił, że wycisk straszny. Na nasze może i zarobił trochę grosza, ale jak chciał żonie i dziecku przywieźć jakieś prezenty, to aż go cofnęło, gdy zobaczył ceny w sklepach. Strasznie tam drogo! No i mówił też, że niebezpiecznie jak fiks na ulicach. Prawie nigdzie nie uświadczysz milicjanta. Ponoć łupią tam, gwałcą i mordują na potęgę. Jak włączył jakieś wiadomości w ichniej telewizji, to choć ledwo duka po niemiecku, włosy mu się zjeżyły na głowie. Czego tam nie pokazywali! Katastrofy drogowe, zbrodnie, pościgi!

– U nas też jest to wszystko, ino się o tym nie gada w telewizji, żeby paniki nie wzbudzać – zgasił go zaraz ojciec.

– Ależ tato! No przecież wiem, że i u nas nie brakuje bandziorów, bo nie raz żem słyszał, że dla milicjantów ważniejsze jest śledzenie obywateli podejrzanych o działalność opozycyjną niż łapanie prawdziwych przestępców. Ale mimo wszystko i tak uważam, że jest bezpieczniej. Choćby dlatego, że nikt nie trzyma w domu broni palnej. Zresztą czy u nas ktoś by się ważył, żeby ukatrupić Krawczyka albo Wodeckiego? Nie! Bo my kochamy nasze gwiazdy. A w Stanach znalazł się jakiś

szaleniec, który zastrzelił Lennona. Co mu był winien muzyk? – zapytał z goryczą.

– Jak świat światem ludzie zawsze kradli, mordowali i gwałcili. I niekoniecznie potrzebowali do tego pistoletów czy karabinów.

– Ano. Za sanacji nie było inaczej niż teraz – poparł Bronka szwagier. – Wszak sam Piłsudski podsumował nas krótko: „Naród wspaniały, tylko ludzie kurwy”.

– Też sobie znaleźliście temat – obruszyła się Julka. – Ja już nie wiem, czy u nas w rodzinie nie da się pomówić o czymś przyjemniejszym?

– A widzisz, to ja mam lepszą nowinę w zanadrzu. Będziemy mieli w Nowej Hucie hospicjum – wmieszała się w to wszystko Bogusia.

– Hospicjum? – Pawłowska uniosła brwi ze zdumienia. – A o co chodzi?

– To placówka, która zajmuje się opieką nad ciężko chorymi. Miejsce, gdzie ludzie tacy jak Janek będą otoczeni troskliwą opieką. Pamiętajcie, ile się Krysia umęczyła, gdy zachorował? Biedactwo, ledwo zipała ze zmęczenia.

– A to rzeczywiście bardzo potrzebne. Kombinat tak mocno truje, że coraz więcej ludzi podupada na zdrowiu – stwierdził Wawrzek. – Dużo się mówi o dbałości o środowisko, ale u nas to nieopłacalne. Lepiej truć i płacić kary, bo taniej, niż założyć odpowiednie filtry na kominy.

– Przemysłem Polska stoi – zauważył Karol, sięgając po salaterkę z korniszonami – więc nie tylko nasz kombinat kopci, ale cały Śląsk i Huta Warszawa, i wiele, wiele innych zakładów. Jak się jedzie przez Katowice, to tam jest czarno od pyłu.

– Nasze dzieciaki wciąż kaszlą – dodała Gabryśka. – Złożyliśmy wniosek o pobyt chłopaków w sanatorium. Może uda mi się wysłać ich latem do Rabki.

– Wakacje to mogą na wsi przesiedzieć. Elżunia zawsze rada

gościom.

– Głupio by mi było spychać jej na głowę dodatkowy kłopot. Mało ma utrapienia z własnymi dzieciakami? A Kacper też ciągle zajęty, bo to latem najwięcej roboty w pegeerze. Nie to, co tutaj, w Hucie. Dla nas niedziela to niedziela. No, chyba że ktoś robi w czterobrygadówce. A odkąd wprowadzili nam wolne soboty, to człowiek wie, że żyje.

– Ano. Zawsze można wyskoczyć z dzieciakami do zoo albo za miasto.

– Szkoda tylko, że nie dali wszystkich sobót wolnych. Ta jedna w miesiącu teraz wydaje się bardzo krzywdząca, ech!

– Nie martw się, kiedyś i to zostanie zniesione – pocieszył teść Gabryśkę. – Solidarność wciąż wysuwa postulaty do władz.

– Solidarność myśli przede wszystkim o robotnikach – westchnęła kobieta. – Cóż im po przywilejach dla nauczycielki, która ma pracę przy biurku i bez większego wysiłku – dodała kąśliwie.

– Mietek Gil<sup>[12]</sup> to swój człowiek – wtrącił się Bronek. – On patrzy dobra każdego obywatela, a nie tylko hutników. Wierzmy w niego, bo mądrze gada. Jak każe strajkować, to idziemy za nim. Zobaczycie, że jeszcze będzie o nim głośno!



Głośno o Mieczysławie Gilu zrobiło się wśród nowohuckich robotników kilka tygodni później w okolicznościach, których absolutnie nikt nie przewidział.

Trzynastego maja o godzinie dwudziestej echo poniosło w najdalsze zakątki Krakowa bicie dzwonu Zygmunt obwieszczającego dramatyczne wydarzenie, o którym już wcześniej ludzie sobie opowiadali: jakiś potwór próbował się targnąć na życie Jana Pawła II.

Nocą napłynęły informacje z Watykanu. Papież przeżył i odzyskał przytomność. Z ogromną ulgą i łzami wzruszenia zostały przyjęte pokrzepiające wieści, lecz wierni wciąż pogrążeni byli w ogromnym smutku. Spekulowano o przyczynach zamachu i rzeczywistych mocodawcach zbrodniarza. W ciągu następnych dni ludzie solidarnie brali udział nie tylko w modlitwie, lecz również w innych inicjatywach.

W tych smutnych okolicznościach krakowscy studenci odwołali swoje tradycyjne święto – juwenalia. Zamiast zabawy odbył się biały marsz, którego współorganizatorem był Mieczysław Gil – działacz nowohucki. On też apelował do robotników z kombinatu, aby podjęli się honorowej akcji pod hasłem „Dar krwi dla Jana Pawła II”. Mieszkańcy Nowej Huty ochoczo wystawili ręce na ukłucia igieł, a Bogusia jeszcze długo wspominała, jak bardzo pracowity był tamten czas.

Utoczyła wówczas krwi całej rodzinie. Na jej ochotniczy dyżur przyszedli wszyscy Szymczakowie i Pawłowscy – bez wyjątku. Nawet Kazimiera, tknięta jakimś niebywałym przebłyskiem, podwinęła rękaw bluzki i zacisnęła dłoń w pięść.

– W dobrym celu daję się kłuć. Może uratuję czyjeś zdrowie. – Czowała się zobowiązana, by wytłumaczyć swoje postępowanie. – Przecie wiadomo, że na Watykan nikt mojej posoki nie wyśle.

– Oczywiście, Kaziu. To bardzo szlachetne z twojej strony, że przyszedłaś, bo krwi zawsze mamy zbyt mało w szpitalu.

– Szkoda, że ten nicpoń Melek znowu jest w ciupie, bo z niego też mogłabyś coś upuścić. A może przy okazji wyszłoby z niego to złe, co go tak wodzi, że nie siądzie ni chwili spokojnie. Nie wiem, po kim to takie dożarte. Ojciec spokojny, Kacper spokojny, ja też do awanturnic nie należę. A ten huncwot wciąż ma jakieś problemy z prawem – westchnęła.

Bogusia przetarła żyłę w zagięciu łokcia szwagierki.

– Teraz będzie lekkie dziabnięcie, a potem już tylko poleje się

krę. Nie będzie bolało – zapewniła. – Ale popracuj trochę dłońią, kochana. Zaciskaj i rozluźniaj. O tak! – pochwaliła.



– Karol! Kopę lat!

Pawłowski obrócił się, słysząc, jak ktoś woła go po imieniu. Wracał z uczelni. Było przyjemne, czerwcowe popołudnie. Upał nieco zelżał po przelotnym deszczu, który godzinę wcześniej schłodził rozgrzane miasto.

– Jane? Chłopie, a gdzieżeś ty się podziewał! – wykrzyknął na widok kolegi, z którym nie miał kontaktu już od bardzo dawna.

– Tu i ówdzie – odparł wykrętnie Becker, ponieważ nie miał do powiedzenia nic szczególnie interesującego. Życie płynęło mu z dnia na dzień, bez wstrząsów i większych zmian. – To raczej ciebie powinienem zapytać, czemu się nie pokazujesz na starych śmieciach. Nie chce ci się już kopać piłki? – zakpił.

– A bo jest na to czas? Człowiek ciągle w biegu. Kurczę! Ale się cieszę, że cię widzę. Ostatnio byłeś u nas chyba na parapetówce – przypomniał Karol. – A przecież umawialiśmy się, że będziesz do mnie zachodził.

– No i zachodziłem – oznajmił kolega – ale coś nie miałem szczęścia, żeby cię zastać. Dwa razy pocałowałem klamkę, parę razy w mieszkaniu były tylko dzieciaki. Nie powtórzyły ci, żem był?

– No, mówili. A ja wybierałem się do ciebie jak sójka za morze – przyznał stropiony Karol. – Wiesz co, stary? Chodźmy na jakieś małe piwko, siądziemy, pogwarzamy.



Wrócił do domu późnym wieczorem.

– A gdzieś ty się podziewał? – wykrzyknęła żona na jego widok. – Piłeś!

– Tylko dwa piwa. Spotkałem Jane. Nie widzieliśmy się kawał czasu – wyjaśnił.

– I akurat musiałeś leżeć na piwo. Jak jakiś ochlaptus! Wstydu nie masz? I ty chcesz być profesorem – komentowała kąśliwie. – Prowadzisz się jak jakiś prostak. I cuchniesz! – dodała z odrazą.

– Gabryniu! W czym problem? To jednorazowe wyjście na piwo z przyjacielem z dzieciństwa!

– Od tego się zwykle zaczyna – burknęła.

A potem odwróciła się i poszła do pokoju. Chwilę później zgasło tam światło, widocznie żona ułożyła się do snu.

Karol zdjął w przedpokoju buty i wcisnął je na przepełnioną półkę. Aktówkę zostawił na szafce. Podreptał do kuchni. Piwo zaostrzyło mu apetyt, więc pomyślał, że coś przekąsi, choć raczej nie lubił jadać o tak późnej porze. Otworzył lodówkę, wyjął z niej kostkę masła, krakowską i słoik musztardy. Odkroił dwie kromki z bochenka. Masło było jeszcze twarde. Usiadł więc na stołku, aby poczekać, aż choć trochę zmięknie.

Oparł łokcie o kolana, zanurzył dłonie we włosach. Krawat go dławiał, więc jedną dłonią go poluzował i odpiął kołnierzyk koszuli.

*Beznadzieja* – westchnął. *Moje życie to jakaś koszmarna beznadzieja.*

Przypomniawszy sobie rozmowę z przyjacielem. Przywoływali stare, dobre czasy: zabawę w czterech pancernych albo w kowboi. Gonitwy, piłkę nożną, podchody. Noc, gdy rozklejali w dzielnicy plakaty zwołujące ludzi na wiec. Zadymy w Krakowie. Gaz łzawiący, twarde gumowe pałki. Opowiadali o tym, co porabiali w minionych latach. Wspominali wspólnych znajomych. Jane miał kontakt z wieloma osobami, których Karol nie widywał po przeprowadzce. Mówił mu więc o Mirdze, który dorobił się sześciorga dzieci, zarabiał na życie pracami

dorywczymi i bywał częstym *gościem* w areszcie. Sasza jakoś się urządził: żonaty, dzieciaty, usatysfakcjonowany z życia na tyle, na ile człowiek może być zadowolony wśród codziennej szarpaniny o przetrwanie. Skończył z trawką i zapomniał o hippisowskiej wolności.

Karol nie bardzo miał mu się czym zrewanżować. Prócz Bożeny nie spotkał od dawna nikogo, o kim mógłby cokolwiek opowiedzieć. Mało brakowało, a chlapanąłby o Morkównie, lecz w porę ugryzł się w język i przypomniał sobie, że Jane był z nią kiedyś mocno związany. I chyba ten sentyment nigdy nie wywietrzał mu z głowy lub mocno zraził go do płci pięknej, gdyż do tej pory nie był żonaty, o czym poinformował Karola dopiero pod koniec drugiego kufla. Na szczęście temat Morkówny nie wypłynął w czasie pogawędki.

Bo niby co miałby powiedzieć przyjacielowi?

Że miłość jego życia sprzedaje się bogaczom za pieniądze, a na domiar złego jest na usługach bezpieczeństwa? Że przespał się z nią, gdy uratowała go przed pościgiem? I zrobił to nie tylko dlatego, że alkohol pozbawił go zahamowań, lecz przede wszystkim dla zaspokojenia swych chłopięcych marzeń?

Często wspominał tamtą noc. Pamięć o niej była niczym rak toczący organizm. Nie potrafił się od tego odciąć i zapomnieć. Czasami, choć starał się nie ulegać mrzonkom, fantazjował, że znowu u niej jest i bierze w posiadanie jej ciało.

Wypełniała jego myśli i pragnienia.

Krótko po tym, jak zdradził z nią Gabryškę, spotkali się ponownie. Dałby głowę, że nie przypadkiem. Zaczepiła go na przystanku tramwajowym i odciągnęła na bok.

– Mój opiekun się tobą interesuje – powiedziała szeptem, rozglądając się czujnie.

– Skąd wiesz?

– Dał mi na ciebie zlecenie. Mam próbować ponownie ściągnąć cię do mojego mieszkania, upić, otumanić seksem

i pociągnąć za język. Nie, nie podejrzewają cię o zamach na pomnik – z miejsca go uspokoiła – choć byłeś na ich liście. Na szczęście moje zeznanie i taśma wystarczyły Zygmuntowi, żeby cię z niej skreślił. Ale wiedzą, że należysz do opozycji, podobnie jak twój ojciec, wujowie i część kuzynostwa. Uważajcie na siebie.

– Skoro nie podejrzewają mnie o udział w zamachu, to czemu się mną interesują?

– Mówi ci coś nazwisko Szewczuwianiec? Nie, nie odpowiadaj. Ja nie chcę tego wiedzieć. Mimo wszystko bądź czujny, bo ja nie mogę się z tobą więcej spotykać. Dla twojego bezpieczeństwa. Nałgam mojemu mocodawcy, żeś mi się oparł. Wiedzą, że jesteś świętoszkowaty, więc uwierzą, gdy powiem, że wyrzuty sumienia odebrały ci chęć na swawole.

Poszeptali jeszcze chwilę, potem ona odeszła, zostawiając za sobą smugę ciężkich, piżmowych perfum. Patrzył, jak idzie, kołysząc zmysłowo biodrami. Powietrze wokół niej zdawało się wibrować. Swą uświadomioną seksualnością przyciągała pełne zachwyty spojrzeń męskie oraz zawistny wzrok pań.

Bożena wciąż wzbudzała w Karolu ogromne emocje. Marzył o jej ponętnych krągłościach i lekko rudawych kosmykach porastających przedsionek do bram raju. Trapił się tym, że nie odczuwa wyrzutów sumienia. Zgrzeszył po wielokroć: zdradził Gabrielę, uprawiał miłość pozamałżeńską, robił to w sposób nader wyuzdany i, zamiast żałować – pragnął to powtórzyć.

Nie żałował ani sekundy. Choć wywoływało to w nim głęboką irytację.

A może źródło jego pragnień i tego wstrętnego braku skrupułów brało początek z obojętności, jaką okazywała mu żona? Ich małżeństwo popadło w nudną rutynę spowodowaną nieustannym brakiem czasu.





Wioletta Pawłowska z ogromną ekscytacją oczekiwała pierwszego września. Tego dnia miała zasilić szeregi pierwszoklasistów. Nareszcie! Już nie będzie przedszkolaczkiem, który musi leżakować podczas poobiedniej ciszy, lecz poważną uczennicą.

Na tę okazję mama sprawiła córce nowiutką, solidną teczkę. Wprawdzie dziewczynka marzyła o trochę innym wzorze, lecz gdy pewnego dnia Gabrysia wróciła do domu z pakunkiem dla niej, dziewczynka nie posiadała się z radości. Tornister był sztywny, uszyty z grubego skaju i miał solidne sprzączki oraz szkła odblaskowe po bokach, na szelkach i zapinanej klapie. Na granatowym tle namalowano księżyc, gwiazdkę i raketę kosmiczną. Pretendentka do pierwszej klasy wolałaby motylki lub kwiatki albo w ogóle coś bardziej dziewczęcego, lecz starała się nie okazywać rozczarowania. Mama chyba jednak coś zauważyła, bo powiedziała surowym tonem:

– Nie marudź. Pół dnia stałam w kolejce, cud, że udało mi się go dostać. Wzięłam, co było. Jak pójdziesz do czwartej klasy, sprawię ci torbę z brezentu w kratkę – obiecała.

– Dziękuję, mamusiu. A czy mogłabyś mi kupić pachnące gumki do mazania? I chińską strugaczkę z porcelany?

– A skądże ja ci, dziecko, wytrzasnę takie skarby? – zmartwiła się Gabriela, która w gruncie rzeczy bardzo chciała sprawić córce choć odrobinę przyjemności. – W papierniczym na rogu chyba ich nie widziałam.

– No... Nie. Bo Monika mi mówiła, że jej mama poszła z nią na osiedle Zielone. I tam jest taki mały sklepik obok sklepu zoologicznego, a w nim różne ładne rzeczy dla uczniów. Kolorowe i fajne. Mamuś, pójdziemy tam? Proszę. – Zamrugła oczami z przejęcia.

– No dobrze, pójdziemy. Ale na razie nie obiecuj sobie zbyt wiele, bo ja nie wiem, ile to wszystko będzie kosztowało. Może się okazać, że nie wystarczy mi pieniędzy.

– Ale nie martw się, mamó, bo babcia Julia dała mi w niedzielę całe sto złotych i powiedziała, że to na rozpoczęcie roku szkolnego.

– A czemu ja o niczym nie wiem, moja panno, he? – Matka wysiliła się na zrobienie srogiej miny. – Ukochałaś choć babcię za to?

– No pewnie! I wiesz, babcia dała mi jeszcze paczkę donaldów. Ale już nie mam, bo oddałam trochę chłopakom, żeby im nie było przykro. Chociaż mogli iść z nami do babci, zamiast grać w głupią piłkę – stwierdziła.

Na osiedle Zielone wybrały się dwa dni później. Gabrysia szybko pożałowała, że zgodziła się na tę wyprawę, gdyż w niewielkim sklepiku rzeczywiście można było nabyć różne cuda, niedostępne w papierniczym, który miały najbliżej domu. Biedna Wiolka! Chodziła wzdłuż lady, podziwiając wyłożone za szybą cuda. Nie mogła podjąć decyzji, na co przeznaczy otrzymane od babci pieniądze. Najchętniej wykupiłaby wszystko! I pachnące gumki do mazania, i długopisy z kolorowymi wkładami, i chińską strugaczkę z porcelanowym kotkiem, i notesiki, i pamiętnik, i piórnik z postaciami z bajki. A pełnia szczęścia byłaby wtedy, gdyby po dokonaniu zakupów zostały jej jeszcze drobne na żelowe miśki, które uwielbiała. Albo na paczkę rozpuszczalnych gum Maoam. Albo gum balonowych Donald, w których były takie fajne historyjki obrazkowe. Te małe, śliskie karteczki ślicznie pachniały i trzeba je było pieczołowicie przechowywać. Zbierali je wszyscy. Można było się nimi wymieniać, jak ktoś miał podwójne. No i oczywiście przedstawiały zabawne scenki z bajek o Mysze Miki lub Kaczorze Donaldzie.

W końcu zdołała dokonać wyboru: najbardziej spodobała jej

się strugaczka z kotkiem, o której marzyła od bardzo dawna. Prócz niej nabyła śliczną różową gumkę do mazania o przyjemnym zapachu landrynek. Wiolka dobrze wiedziała, że nigdy przenigdy nie zmaże tą gumką absolutnie nic – to będzie jej skarb, którym będzie cieszyła oczy, bo szkoda zużywać na głupstwa coś równie fajnego.

W podskokach wyszła wraz z mamą na ulicę.

– A pójdziemy jeszcze popatrzeć na zwierzątko? – zapytała. – Mamusiu, tak cię proszę!

– No dobrze. Ale tylko popatrzymy. Nawet nie myśl o tym, że coś ci kupię. Mieliśmy już rybki, pamiętasz?

Przed rokiem, po długich prośbach ze strony dzieci, które bardzo, ale to bardzo pragnęły mieć w domu jakieś zwierzątko, najlepiej psa – szczyt chłopięcych marzeń – lub upragnionego przez córkę kotka, Gabrysia zmiękła i zgodziła się na coś, co jej zdaniem było najmniej uciążliwe: nie wymagało wyprowadzania na spacer, uczenia czystości, nie brudziło. Pewnego dnia przyniosła do domu niezbyt duże, ale za to ciężkie akwarium wykonane z szyb osadzonych na kicie w metalowych ramach, ceramiczny zamek, trochę piasku, garść muszelek i rybki pływające w woreczku.

Choć nie było to *prawdziwe zwierzątko*, dzieciaki były wniebowzięte. Niestety matka bardzo szybko przekonała się, że przysporzyła sobie samych kłopotów. Rybki bywały to głodne, to znowu przekarmiane. Na domiar złego zaczęły zdychać jedna po drugiej, co za każdym razem pociągało za sobą historię Wiolki. Kiedy ostatnia z nich zaczęła unosić się do góry brzuchem na powierzchni wody, Gabrysia zlikwidowała hodowlę. Z ulgą wyczyściła akwarium i wcisnęła je w najgłębszy zakamarek pawlacza, obiecując sobie, że nigdy więcej nie zgodzi się na żadne zwierzątko w domu. Bo skoro przy głupich rybkach miała takie urwanie głowy, to co by było, gdyby zgodziła się na psa albo kota?

Mimo wszystko, gdy ostatniego sierpniowego popołudnia opuściła z córką sklep papierniczy, zgodziła się także na to, aby weszły na chwilę do zoologicznego. Dziewczynka bez większego zainteresowania obejrzała akwaria z rybkami i terrarium z żółwiem. Klatki z papużkami falistymi oraz kanarkami wzbudziły w niej o wiele większą ciekawość, lecz gdy dotarła do myszek i innych gryzoni, wprost zamarła w zachwycie. Najbardziej spodobał jej się beżowo umaszczony chomik śmigający szybko w specjalnej karuzeli. Wprost nie mogła od niego oderwać oczu.

– O nie, nie, moja panno! Nawet o tym nie myśl! – oświadczyła Gabriela i szybko wyprowadziła pociechę ze sklepu.



Kiedy Ksawery przechodził na zasłużoną emeryturę, okazało się, że Kacper jest jedynym mężczyzną w Pawlicach, który ukończył studia. Nie było więc najmniejszego problemu z jego nominacją na dyrektora okolicznego PGR-u. Władze nie miały na to stanowisko lepszego kandydata. A ten i pochodzenie miał dobre, bo robotnicze, i wykształcenie odpowiednie, i horyzonty myślowe jak się patrzy. No i był fenomenem na skalę wojewódzką, jeśli nie krajową, gdyż obrał odmienny kierunek migracji niż jego rówieśnicy. Rzadko się bowiem zdarzało, by mieszczuch zechciał osiąść na wsi i czynił to z takim zapałem. Przymknięto więc oko na fakt, że jego dziadek i stryj byli kułakami, uznano to za mało szkodliwy epizod w życiorysie. Grunt, że ożenił się z robotnicą z PGR-u i swoją przyszłość całkowicie wiązał z rolnictwem. Wszak nie na darmo ukończył krakowską Akademię Rolniczą. Zrobił to zaocznie, pracując i jednocześnie zajmując się rosnącą rodziną, gdyż dość szybko doczekał się przychówku w postaci córki Jolanty, a w bieżącym

roku również synka Mirosława.

Elżunia była pogodnym i sympatycznym stworzeniem. Robota zawsze paliła jej się w rękach. A gdy przychodził czas odpoczynku, potrafiła się dobrze zabawić. *Ot, do tańca i do rózańca* – cieszyła się ciotka, która nie raz i nie dwa piastowała jej dziatwę, gdy młodzi małżonkowie mieli ochotę pójść na potańcówkę do remizy.

*Babcią nigdy nie będę – wzdychała czasami, ale te maluchy są dla mnie niczym ukochane wnuczeta.*

Często rozmyślała o tym, jak to życie zadziwiająco się plecie. Kilka dni wcześniej w Pawlicach gościł Leszek z żoną. Ciężar trosk mocno dał mu się we znaki. Brat całkiem posiwiiał, jego twarz przeorały głębokie bruzdy. Pomny tego, jak skończył szwagier, dawno temu rzucił palenie, lecz i tak wciąż narzekał na koszmarne bóle głowy. Czasami z goryczą rozprawiał o swoich synach, przypisując im powód owej dolegliwości. A było na co utyskiwać, oj było!

Melchior odsiadywał wyrok za napaść oraz pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Ponieważ miał już za sobą wcześniejszą odsiadkę za kradzież, wiadomo było, że nie ma co liczyć na złagodzenie kary. Prokurator zrobił z niego zatwardziałego recydywistę. Sędzia uwierzył i uznał, że nie ma co się patyczkować z kimś, kto nie rokuje na przyszłość.

Darek – niewiele lepszy – tego popijał, ale to było chyba najmniejsze jego przewinienie. Włóczył się bowiem z jakąś podejrzaną zgrają, która gustowała w kompocie z makowin i innych paskudztwach.

Leszek załamywał ręce nad tymi huncwotami, lecz nie potrafił synom przemówić do rozsądku.

– Cała moja nadzieja w Tadziku – powtarzał. – Może on nie pójdzie na zatracenie.

– Mówisz tak, jakby i Kacper ci się zmarnował – skarcił go kiedyś Bronek za te banialuki, a Dorota z miejsca go poparła.

– Toć z niego gospodarz jak się patrzy. Niby miastowy, a zna się na wszystkim jak mało który – pochwaliła ulubieńca. – Widać w nim prawdziwą krew Szymczaków. Gospodaruje w pegeerze niczym pan na włościach!

– Ja się cieszę z tego powodu, siostrucho – poczochnął dłonią kompletnie siwą czuprynę – ale stare lata tylko Tadek może mi umilić, bo on zostanie z nami. Taką mam przynajmniej nadzieję – dokończył.

Nie od dziś Dorota uważała, że na wsi życie płynie wolniej i spokojniej niż w mieście. Z Nowej Huty wciąż płynęły zatrważające wieści. Niby w rodzinie wszystko jakoś szło powoli do przodu. Młode pokolenie zakładało własne rodziny, przybywało dziatwy, lecz czasy nie były nic lepsze od tych powojennych, w których Szymczakowie puciekali do miasta.

U Pawłowskich w mieszkaniu zrobiło się ciasno, bo choć najstarszy syn z żoną i potomstwem wyprowadzili się już dawno do niewielkiego mieszkania na obrzeżach dzielnicy, to wciąż mieszkała tam Marta – szykująca się pomału do zamążpójścia za Krzysztofa Ogrodzińskiego – swojego partnera z zespołu ludowego, oraz Zocha z mężem Adamem i synkiem Jarosławem.

Bronkowe pociechy jeszcze nie pozakładały rodzin. Ludwik poszedł w ślady najstarszego kuzyna i podjął studia na Akademii Górniczo-Hutniczej. Uczył się zaocznie, prócz tego pracował w hucie, jako brygadzysta. Agnieszka najęła się tymczasowo do biura, ale wciąż powtarzała, że nie odpowiada jej praca referentki. Wyrosła na skromną i cichą panienkę, choć bardzo upartą w dążeniu do upragnionych celów i zacieklą, gdy trzeba było bronić kogoś słabszego, jak mu się działo krzywda. Bogusia przebąkiwała czasami, że córka chyba szykuje się do klasztoru, ponieważ nie interesują jej ani chłopcy, ani prywatki, ani modne stroje. Spędza za to sporo czasu na modlitwach. A odkąd Ewa wyszła niefortunnie za mąż, nie chce słyszeć o zakładaniu rodziny. Cóż... dość się napatrzyła na niedolę

kuzynki, gnębionej przez męża tyrana.

Dorotka nieustannie dziwiła się wyborowi siostrzenicy, gdyż Kowalikowi jakoś tak źle z oczu patrzyło. Dziewczyna nie posłuchała życzliwych rad rodziny i nie poszła na studia. Wybrała miłość, lecz ta decyzja okazała się chybiona. O tym, że jest to trudne uczucie, nie wiedział chyba nikt poza samą zainteresowaną i Dorotą, która wymieniała z nią regularną korespondencję. Z półsłówek i aluzji wynikało, że w tym małżeństwie coś zgrzyta. Młoda mężatka nie żaliła się wprost, a i ciotka daleka była od wtykania nosa w cudze sprawy. Wciąż jednak działała jej niezawodna intuicja.

*Cóż, nie każdemu dane jest pełne szczęście – rozmyślała. Jednym towarzyszy przez całe życie. Inni, jak Julcia czy Broniś, musieli na nie trochę poczekać. Są tacy, co dostają je tylko na chwilę. A Bóg niech ma w swojej pieczy tych, którzy otrzymują jedynie namiastkę lub iluzję.*

Czasami przypuszczała, że nieprzemyślana decyzja Ewy związana była z chęcią wyrwania się z rodzinnego domu. Ileż mogła bidula znieść pijackich wyskoków matki? Wprawdzie Krystyna nie awanturowała się i nie krzywdziła dziecka, lecz mocno zaniedbywała dorastającą córkę i wciąż przysparzała jej wstydu. Kto to widział, by kobieta chodziła wiecznie zapijaczona? By żłopała tanie wina lub denaturat przepuszczony przez kromkę chleba? By zataczała się na ulicy, bełkotała bez ładu i składu...

Oj, nie miała Ewa łatwego dzieciństwa, choć z drugiej strony widać było, że matka bardzo jest do niej przywiązana. Kryśka nigdy nie zgodziła się na to, by ktokolwiek zdradził córcę, że w rzeczywistości wcale nie jest krwią z jej krwi i kością z kości, choć wciąż perswadowali kobiecie, że nie powinna zatajać przed dziewczyną prawdy. Ona jednak odgrażała się, że jak zabiorą jej dziecko i zwrócą je przeciwko niej, to odbierze sobie życie, bo jakież by ono miało wówczas sens. Nikt nie odważył się

dyskutować z tym argumentem. Kto żyw pomagał sierotce, aby nie chodziła głodna i zmarznięta, by ukończyła szkołę i nie poszła na zmarnowanie.

A zatracić się w tym twardym świecie było łatwo – z rozpaczy, że czasy takie ciężkie, z braku nadziei na pozytywną odmianę, z bezsilności i strachu.

– Ksawery – zagadnęła Dorota męża, który spoczywał na fotelu przed telewizorem. – Śpisz?

Ostatnio często zapadał w drzemki. Tym razem jednak nie spał. Oglądał *Dziennik Telewizyjny*.

– Co tam, duszko? – zapytał.

– Co byś powiedział, gdybym zaprosiła Ewunię? Niechby bidula przyjechała choć na parę dni z dziećmi. Ja bym miała pociechę, bo wiesz, jak kocham maluchy, a ona wytchnęłaby chwilę od tego huncwota, co ją wciąż po kątach rozstawia. Ledwo toto urodziło, a już Robek się krzywi, że to niezrobione, tamto niezrobione. Gnyb jeden sam w niczym jej nie wyręczy, a jeszcze stawia wymagania, jak jakieś panisko: obiadek mu podstaw pod nos, gazetkę podaj, kawy zaparz. Z trocin chyba – zachnęła się na to ostatnie, gdyż kryzys wszystkim doskwierał, a gdzież kobieta obarczona trzylatkiem i niemowlęciem ma czas i głowę, by latać po sklepach i szukać rarytasów dla chłopca. – A niech tylko coś nie będzie na czas, to burczy jak ten diabeł rogaty!

– Zaproś ją, Dorciu – odparł skwapliwie małżonek. – Ja też tego typu nie lubię, choć mało miałem z nim do czynienia. Bóg raczy wiedzieć, jak ta dziewczyna wytrzymuje z nim na co dzień.



Początek roku szkolnego okazał się dla Wioletty bardzo



rozczarowujący. W całej klasie liczącej prawie trzydzieścioro dzieci była najmniejsza. Niektóre koleżanki przewyższały ją o głowę. Na dodatek z braku czasu na wyplatanie warkoczy mama zawsze prosiła fryzjerkę, aby ta obcinała jej włosy na półmęsko. Z tego powodu kilka dziewczynek zaczęło jej dokuczać, nazywając ją małym chłopczykiem. Albo przedszkolaczkiem, który pomylił budynki. W dokuczaniu jej przodowała przede wszystkim Joanna Grzyb – rosła dziewczyna o pucułowatej buzi z rumianymi policzkami. Była bardzo krzepka. Kiedy dzieci ustawiały się w dwuszeręgu, by wejść do klasy, zawsze łapała Wiołkę za górną rączkę tornistra i odciągała na koniec rzędu.

Pawłowska czuła się z tego powodu bardzo nieszczęśliwa i trochę odtrącona. Jej najlepsza koleżanka z przedszkola, Monika, wylądowała w klasie B, a ona trafiła do A. Wiola siedziała w pierwszej ławce z Renatką, za którą nieszczęśliwie przepadała. Wredna Aśka zajmowała miejsce w tym samym rzędzie, lecz na samym końcu. Ilekroć przechodziła obok niej, zawsze *niechcący* zawadzała o jej ławkę i strącała leżące na niej rzeczy. Pewnego dnia posunęła się jeszcze dalej – idąc obok Wiołki, udała, że się potyka, po czym walnęła ją dłonią w głowę. O tym, że na tej dłoni miała plastelinę, dziewczynka dowiedziała się dopiero po powrocie do domu. Mama pochyliła się nad nią, aby sprawdzić, jak córka radzi sobie z odrabianiem lekcji, i zauważyła, co się stało.

Tak więc Wiola nie miała zbyt wielu powodów, aby polubić szkołę. Wychowawczyni w jej klasie też była niesprawiedliwa i faworyzowała swoich pupilków. Pawłowska nie należała do tego elitarnego grona.

Na szczęście po lekcjach mogła wyjść z koleżankami na podwórko, aby pograć w gumę lub klasy, ale i tutaj opuściło ją szczęście, bowiem Moniczka szybko zaprzyjaźniła się z dziewczynką, z którą siedziała w ławce, i stały się prawie

nierozłączne. W towarzystwie Madzi Sysik Wiola czuła się jak piąte koło u wozu.

Pilnie potrzebowała nowego przyjaciela. Takiego, który jej nie zdradzi, lecz będzie ją kochał i rozumiał. A przynajmniej kochał. I wtedy przypomniła sobie o chomiku wypatrzonym w sklepie zoologicznym. Poprosiła nawet mamę o zakup, lecz ta kategorycznie odmówiła, twierdząc, że to zbyt duży kłopot. Bo chomika trzeba będzie codziennie karmić i zmieniać mu trociny w klatce. Na dodatek w ciasnym mieszkaniu nie ma miejsca, by trzymać zwierzątko, nawet jeśli jest takie malutkie. Poza tym szkoda wyrzucać pieniądze na coś, co pewnie zaraz zdechnie – tak jak rybki.

Na szczęście nie było mowy o tym, że to obrzydliwy gryzoń.

Wiolka szybko sobie wykombinowała, że chomik mógłby zamieszkać w akwarium po rybkach, które postawiłaby na parapecie w mniejszym pokoju dzielonym przez nią wraz z braćmi. Nie przypuszczała, by chłopcom to przeszkadzało. Sama karmiłaby swojego pupilka. Oczyma wyobraźni już widziała, jak mała kulka sierści biega w karuzeli albo napycha policzki jedzonkiem. Tak naprawdę potrzebowała tylko pieniędzy na to, aby dokonać zakupu. Oczywiście mogłaby poprosić babcię lub dziadka – zapewne by jej nie odmówili. Ale chciała pokazać mamie, jaka jest zaradna i samodzielna. I że potrafi sama udać się do sklepu i przeprowadzić transakcję – za własne oszczędności.

Przeliczyła wszystkie drobniaki, jakie miała w śwince skarbonce, lecz brakowało jej jeszcze paru złotych. Przez następne dni odkładała więc skrzętnie każdy grosik. Oszczędzała przede wszystkim na kupowaniu lizaków, drożdżówek i innych przekąsek lub drobiazgów. Jak pojechała z całą klasą na wycieczkę do Krakowa, to nie wydała absolutnie nic na przyjemności. Inne dziewczynki kupowały jakieś pamiątki w Sukiennicach, precle lub wodę z saturatora. Ona

zadowolili się kanapką zrobioną rano przez mamę i cytrynadą w woreczku, którą zabrała z kuchni.



Podmuchy ciepłego wiatru strącały liście z przydrożnych drzew. Dorotka jechała niespiesznie rowerem do sklepu. Rozkoszowała się pięknem dnia. Nad polami unosiły się nitki babiego lata.

– Szanowanie, pani Olszańskiej. – Marek Kosiba uchylił czapki i ukłonił się bibliotekarce.

Zakupy nie były pilne. Kobieta zeskoczyła z siodełka, przystanąła na chwilę z gospodarzem – jednym z nielicznych, co nie oddał gruntu pod zarząd spółdzielni. Widać było, że dobrze mu się wiedzie na posiadanym areale. Co roku zbierał dorodne plony. Bydło wypasające się na łąkach wyglądało na dobrze odkarmione. On i jego rodzina na pewno więcej się narobili, bo zadbać musieli o wszystko. Robotnicy PGR-u mieli określone specjalizacje i zajmowali się wyłącznie swoim wycinkiem roboty. Nie musieli aż tak ciężko pracować jak Kosibowie, mieli znacznie więcej czasu, ale i żyli o wiele nędzniej. Wielu z nich przepijało liche wypłaty, kupując wódkę i piwo w sklepie Społem. W domach piszczała bieda. Nie robili jednak nic, aby poprawić swoją sytuację życiową. Gnuśnieli w spółdzielni, odrabiając obowiązki na łapu-capu. W wielu przypadkach udawało im się jakoś funkcjonować dzięki krewniakom, którzy w latach pięćdziesiątych puciekali do miast i zatrudnili się czy to w śląskich kopalniach, czy to w kombinacie metalurgicznym postawionym obok Krakowa.

– Szczęść wam Boże, gospodarzu.

– Daj Boże. Jakże zdrowie szanownej pani? – zagadnął, robiąc sobie przerwę w ścinaniu kapusty.

– A, podziękować, nieźgorzej. Zbiory, jak widzę, ładne –

pochwalała. – Głowy jak się patrzy.

– Nie narzekam. Wyrosły nad podziw. – Złapał jedną z wozu i poklepał dłonią. – Twarde niczym kamień. Będzie co kisić. Jużem beczki i szatkownicę wyrychtował. Zima idzie sroga, trza się dobrze sposobić. A i do skupu trochę oddam, bo sami tyle nie przejemy. A w pegeerze zbiory udane? – zagadnął, choć wiedział, że Olszański już od dłuższego czasu przebywa na emeryturze.

– Z tego, co słyszałam, raczej kiepskie. Nawozów brakło – powtórzyła to, co usłyszała od Kacpra, który psioczył na czym świat stoi, gdy odkrył, że ktoś ukradł z magazynu kilka worków polifoski przeznaczonej do uprawy spółdzielczych pól.

– Ta... Brakło – odparł z przekąsem chłop. Pomiął milczeniem ofertę, jaką mu złożył Józek Marzec, syn Antka, który zapił się latoś na śmierć. Niedaleko padło jabłko od jabłoni, bowiem młody, idąc w ślady ojca, też przepijał wszystko, co zarobił lub ukradł. A że za cudze smakowało mu nawet lepiej niż za zarobione przez siebie, zagadnął kilkakrotnie Marka, czy nie potrzebuje nawozu. Tanio.

– Dzień dobry!

Rozmowę o plonach przerwał listonosz, który jechał właśnie od strony Pawlic.

Odwrócili się jak na komendę. Dorotka z miejsca zapytała, czy nie ma dla niej jakiegoś listu, czekała na odpowiedź od Ewy. Liczyła też na wieści od Bronka lub Julki, ci najczęściej do niej pisywali. Krystyna nie odzywała się nigdy, a Leszek robił to sporadycznie, przesyłając kartki z życzeniami świątecznymi. Sabina w ogóle z nią nie korespondowała, więc gdyby nie sporadyczne listy od Danusi lub wieści przekazane przez innych, to już w ogóle nie wiedziałyby, co u niej słyhać.

Ku radości Olszańskiej Mateusz wygrzebał z przepastnej torby niebieską kopertę.

– A jest dla was jeden zwykły, pani Dorotko – odparł. Podał jej

korespondencję, potem uchylił służbowej czapki i ruszył w dalszą drogę.

Kobieta spojrzała na kopertę i od razu rozpoznała staranny charakter pisma Ewy. Paliła ją ciekawość, czy siostrzenica przyjedzie do niej z dziećmiakami, próbowała więc grzecznie pożegnać swojego rozmówcę. Chciała jechać dalej, by w spokoju przeczytać list, lecz Kosiba nie odpoczął chyba wystarczająco, gdyż zagadnął jeszcze o zdrowie Ksawerego. Odparła więc, zgodnie z prawdą, że mąż ostatnio nie narzeka na żadne dolegliwości, po czym odjechała. Kiedy tylko uznała, że znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, zatrzymała rower. Sięgnęła do kieszeni po kopertę i rozdarła ją niecierpliwie. Miała nadzieję, że siostrzenica poda termin przyjazdu. Lubiła podejmować gości. Cieszyło ją, gdy mieszkanie wypełniał radosny gwar. Szczególnie ceniła sobie obecność dzieci, które lgnęły do niej, nie bacząc na szpetne blizny. Zawsze miała im do opowiedzenia jakąś ciekawą historię – chyba żadna ciotka czy babcia nie znała tylu bajek.

Niestety z listu wynikało, że Ewa nie przyjedzie do Piotrowic. Trudno jej wybrać się w podróż z maluszkami. Dorota zmarkotniała na te słowa, ponieważ wyraźnie napisała do bratanicy, że w razie potrzeby przyśle po nich Ksawerego. Poza tym Ewa nie chce zostawiać Roberta, bo on jest mocno przywiązany do chłopców – na pewno bardzo by za nimi tęsknił, a chłopcy za tatą. Zresztą gdy wspomniała mężowi o zaproszeniu, to wyraził dezaprobatę. Więc sama ciocia rozumie, że w tej sytuacji nie może się wyrwać.

Dorota westchnęła ciężko i poskładała list.

*Szkoda. Dobrze by jej zrobiło, gdyby choć na chwilę zniknęła sprzed oczu tego draba.*



Gabrysia szybko zauważyła, że Wiolka niechętnie chodzi do szkoły. O ile była uszczęśliwiona, gdy przyszedł czas zapisów, a następnie kupowania wyprawki szkolnej, to później cały jej zapał osłabł. Z rozpoczęcia roku szkolnego wróciła z markotną miną. Odwiązała z szyi czerwoną kokardę i odpięła kołnierzyk białej bluzki. A potem z buntowniczą miną klapnęła ciężko na wersalkę w dużym pokoju. Matka z trudem powstrzymała parsknięcie śmiechem – Karol zachowywał się dokładnie tak samo, gdy wracał zmęczony z uczelni, bo na przykład został zrugany przez swego promotora lub poirytował go jakiś student.

Przez następne dni dziewczynka chodziła na zajęcia z ociąganiem i niechęcią. Zagadnięta o powód odparła, że Moniczka trafiła do innej klasy, a ją posadzono w jednej ławce z Renatą, która jest straszną skarżypytą. I ona chyba umrze z żalu, bo nie ma już przyjaciółki.

*Biedactwo* – pomyślała wtedy Gabrysia. A potem stwierdziła, że trzeba temu jakoś zaradzić. Kilka dni później zapisała córkę na zajęcia gimnastyki artystycznej, które miały się odbywać na osiedlu Zgody. Godziny były w sam raz, by jeździć tam razem z córką, bo oczywiście na Karola nie mogła liczyć w tej kwestii. Podobnie zresztą jak w wielu innych.

Czasami dochodziła do wniosku, że po dziesięciu latach małżeństwa żyje z obcym człowiekiem u boku. Mąż w ogóle nie interesował się jej sprawami. Wciąż chodził z głową w chmurach, zajęty problemami związanymi z uczelnią lub opozycją. Czasami wręcz się złościł, że ona utraciła swoją wcześniejszą wojowniczość. Ale jak można być wojownikiem, gdy ma się trójkę absorbujących dzieci i czwarte w drodze? Gdy największym zmartwieniem jest ciasnota dwupokojowego mieszkanka, w którym trzeba wygospodarować dodatkową przestrzeń na łóżeczko? Gdy problemem staje się wykarmienie pięcioosobowej rodziny, tkwienie w kilometrowych kolejkach

przed sklepami i zaspokojenie choć najpilniejszych potrzeb?

Gimnastyka artystyczna wzbudziła spore zainteresowanie córki. Oczywiście wyobraźni Wiolka już widziała samą siebie, jak tańczy jakiś skomplikowany układ z falującą wstążką albo z hula-hoop, albo z kulą. Jak ubrana w obsypany brokatem i cekinami trykot występuje podczas igrzysk olimpijskich i zdobywa złoty medal. A wszystko to oczywiście jest pokazywane w telewizji.

Ach! Dziewczynkom z jej klasy oczy wyszłyby na wierzch! A okropna Grzybica, czyli pucułowata Aśka, na pewno nadełbą się wtedy jak ropucha. I kto wie? Może przy odrobinie szczęścia pękłaby z zazdrości!

Podeksytowana kandydatka na gimnastyczkę wyruszyła z matką na pierwsze zajęcia. Wsiadły do tramwaju linii szesnaście i przejechały dwa przystanki. Zamiast kolorowego trykotu Wiolka miała na sobie zwyczajny jednoczęściowy strój do ćwiczeń w kolorze granatowym z czerwonymi lamówkami. Dzianinowy koszmar z długim rękawem wkładało się, wchodząc do niego przez dekolt. Wiolka strasznie, ale to strasznie go nie lubiła, choć konkretnego powodu ku temu nie miała. Może chodziło po prostu o to, że był granatowy. A ona nienawidziła tego koloru, mimo że to była ulubiona barwa mamy.

Na miejscu okazało się, że najpierw musi przejść niewielki test sprawnościowy polegający na wykonaniu pozornie łatwych figur akrobatycznych. Nie dała sobie rady ani z gwiazdą, ani ze szpagatem. A kiedy usiadła po turecku, jak jej polecono, podeszła jakaś okropna pani i zaczęła dociskać jej kolana do podłogi tak, że Wiola omal nie popłakała się z bólu.

– Za mało gibka – stwierdziła chuda wiedźma, odwracając się do matki. – Ale nie szkodzi, popracujemy nad tym.

Na sali ćwiczyło mnóstwo dziewcząt w różnym wieku. Były tam zarówno nastolatki z rysującymi się pod trykotami załączkami piersi, jak i małe dziewczynki – mniejsze nawet od

Wiolki. Kandydatka na gimnastyczkę śledziła ich poczynania z zapartym tchem, ale wiedziała już jedno: łatwo na pewno nie będzie.



*Czas to nieubłagany tyran* – westchnęła Dorota, stojąc nad świeżo usypanym kopcem ziemi z wetkniętym weń prostym drewnianym krzyżem.

Zapaliła przyniesiony znicz. By go postawić, musiała odsunąć choć trochę stertę wieńców, które trzymały się wyjątkowo dobrze. Zapewne przyczyniła się do tego chłodna jesienna pogoda. Zmówiła „wieczne odpoczywanie” oraz kilka innych modlitw. Potem popadła w zadumę.

Trzy dni temu wspólnie z gromadą okolicznych mieszkańców odprowadziła na miejsce wiecznego spoczynku emerytowanego naczelnika PGR-u. Ksawery odszedł po niezbyt długiej, lecz gwałtownej chorobie, która wyniszczyła jego organizm w przeciągu miesiąca. Być może niedomagał znacznie wcześniej, lecz nie dawał tego po sobie poznać i do ostatnich chwil wyszukiwał sobie różne zajęcia lub pomagał Kacprowi.

Tuż obok Doroty zaszeleściły liście. Poczuli na ramieniu dotyk czyjejs ręki. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, kto przyszedł. To Julka, która wybrała się na cmentarz razem z nią, by zapalić światełko nie tylko na grobie matki, ale również i szwagra.

– Chodź, kochanie. Czas wracać do domu. – Młodsza siostra pogładziła Dorotę po policzku. Pieszczotliwym gestem odgarnęła z twarzy pukiel siwych włosów falujących w niewielkich podmuchach wiatru.

– Tak, Julisiu, już idę – odparła wdowa, ocierając łzę, która zabłąkała się w jej oku.



Wizyta na grobie męża nie przyniosła ukojenia. Olszańska wciąż nie mogła uwierzyć, że pod kopcem ziemi złożono trumnę z jego ciałem. Tak ciężko było oswoić się z tą myślą! Momentami odnosiła wrażenie, że Ksawery stanie nagle w drzwiach, wyciągnie do niej dłoń, a potem mocno ją do siebie przytuli.

Krótko cieszyła się małżeńskim szczęściem. Los dał im zaledwie cztery lata.

Oczywiście Broniek i Julka na wieść o śmierci Ksawerego zaproponowali jej przeprowadzkę do Nowej Huty, lecz ona odmówiła. Postanowiła wrócić do rodzinnego domu. Na cóż jej w życiu takie zmiany, skoro teraz miała pod bokiem młode małżeństwo z dwójką pociech? Na pewno nie będzie jej doskwierała samotność. Elżbieta potrzebowała pomocy przy dzieciaczkach. Zresztą jakże pchać się w miejsce, gdzie ludziom było tak ciężko? Pod dymiące kominy kombinatu. W miejski zgiełk i smród. Pod czujne oczy bezpieki. Pomiedzy niezadowolonych robotników.

Nie dalej jak rok temu w Hucie imienia Lenina wybuchł strajk. Sierpień osiemdziesiątego roku był wyjątkowo niespokojny. Ludzie mieli dość niesprawiedliwości społecznej, drożyzny, kolejek przed sklepami i mizernych zarobków. Nowa Huta stanowiła arenę przepychanek robotników z władzą. Robotnicy dobitnie dawali wyraz swemu oburzeniu, wysuwając postulaty zmian. Prócz żądań typowo socjalnych domagali się między innymi zwolnienia uwięzionych członków KOR-u, obniżenia wieku emerytalnego i zniesienia rażących dysproporcji pomiędzy świadczeniami, jakie otrzymywali milicjanci i funkcjonariusze bezpieki za swoje obowiązki, a oni za wyjątkowo znojną pracę. Cmentarz w Grębałowie rozrastał się i w zastraszającym tempie przybywało na nim nagrobków. Spoczywali w nich mężczyźni w sile wieku – wykończeni harówką w szaleńczym tempie przy wznoszeniu kombinatu,

a następnie ciężkimi warunkami pracy w tym molochu oraz w koksowni.

Ludzie musieli jakoś funkcjonować w atmosferze ciągłego zagrożenia i niepewności o jutro. Bo nigdy nie było wiadomo, kto podsłucha ich słowa i zrobi z nich wrogi użytek. Każdy dzień zdawał się walką o przetrwanie: stanąć w kolejce i wytrzymać w niej długie godziny, kupić cokolwiek, choćby to było zbędne, bowiem nieprzydatny towar można było wymienić na coś innego. Zdobyć mięso, cukier i inne artykuły pierwszej potrzeby sprzedawane wyłącznie na kartki. Oderwać dziecko od witryny Pewexu i wytłumaczyć mu, że matki czy ojca nie stać na to, aby kupić tam choćby paczkę żelowych misiów. Bo do Pewexu można było co najwyżej pójść po koniak dla doktora, który leczy u maluchów przewlekły kaszel, anemię, skoliozę i inne przypadłości, a potem wypisze skierowanie do sanatorium w Rabce, choć lepiej byłoby posłać niebożę na inhalacje do Ciechocinka. Ale tam jeździły tylko dzieciaki mundurowych lub zasłużonych działaczy partyjnych. Podobnie jak na wczasy do Arłamowa albo do Juraty.

Bardzo szybko skończył się gierkowski dobrobyt. W sklepach zabrakło pepsi-coli i papierosów Marlboro. Małe fiaty, które z założenia miały być samochodami dla ludu, były równie niedostępne co inne dobra luksusowe. Po odwilży został jedynie ślad w postaci błota. Naród ponownie zaczął cienko śpiewać we wspólnej zbiorowej niedoli.

Co pozostawało?

Modlitwy o lepsze jutro. Kurczowe trzymanie się wiary, wlewanej nieustannie w serca robotników przez Jana Pawła II. Pierwszego papieża, który pochylił się nad nowohuckim ludem. Pierwszego, który lud ten odwiedził podczas wizyty w Polsce. Pierwszego papieża Polaka. Pierwszego papieża pielgrzyma.

*I do czego się pchać? Ech! Szkoda zdrowia. W Pawlicach mimo wszystko żyje się jakoś spokojniej i przyjaźniej – westchnęła*

wdowa po Olszańskim. *Miałabym zabierać miejsce w ciasnych, przeludnionych mieszkankach? Toć tam wszystkim teraz tłoczno i niewygodnie. Lepiej mi tutaj, na resztkach ojcowizny. Na ziemi, którą od dziecka znam i kocham.*



Dwadzieścia pięć lat działalności Teatru Ludowego nie mogło przejść bez echa. Na tę piękną okoliczność reaktywowana została scena Nurt, która zawiesiła działalność w pięćdziesiątym czwartym roku, gdy zaczęto wznosić gmach nowego przybytku kultury.

*Mogłam i ja dzisiaj świętować* – myślała z goryczą Sabina, usługując klientom baru mlecznego.

– Ruskie raz! – zawołała przez okienko w kierunku sali jadalnej.

Zostawiła talerz i odwróciła się w stronę potężnych kotłów, by nakładać kolejne porcje. Naleśniki, racuchy, kopytka, kasza gryczana z sosem koperkowym... Zupa pomidorowa, jarzynowa, żur. I tak każdego dnia, aż do znudzenia.

– Naleśniki z serem! – Następny talerz wylądował w okienku.

Pracowała automatycznie, usiłując nie roztrząsać tego, jak bardzo nienawidzi swojej pracy.

– Bliny z jabłkami! – wrzasnęła, lecz okazało się, że parapet jest zapełniony. – Ruskie! Kto prosił ruskie? – krzyknęła znacznie głośniej.

Jakiś dowcipny staruszek rzucił:

– Nikt, same przylazły!

Wywołał tym samym rehot rozbawienia wśród klientów spożywających tanie posiłki.

Ach! Kiedyś było niewyobrażalne, aby Sabina choć przekroczyła próg takiego miejsca! Jak już wychodzili dokądś

z Jędrkiem lub przyjaciółmi, to na pewno nie do baru mlecznego, lecz do eleganckich lokali, gdzie do nakrywania stołów używane były prawdziwe obrusy, do posiłków podawano ładne sztucce, a nie tanie odlewy z cyny lub aluminium. Gdzie kubki i talerze nie miały sinoniebieskiego napisu *Spotem* i wyszczerbionych krawędzi. Gdzie jadało się pieczone lub kotlety i obowiązkowo należało używać noża. Bywalcy mlecznego brali zazwyczaj tylko widelce. Widelcami kroili naleśniki i pierogi. Niektórzy posługiwali się sztuczkami jeszcze słabiej i cały dwudaniowy posiłek jadali łyżką.

*Ech, ludzie na świecie!* – westchnęła. *Na com zeszła? Na psy!*

Czasy panów minęły raz na zawsze. Rządził gmin. Kiedyś prestiżem cieszyła się praca profesora, doktora, prawnika. Dzisiaj w cenie były znajomości w sklepie spożywczym. Sabinę ogarniał czasami pusty śmiech, gdy myślała o tym, jak zdziałała i ona, i rodzina jej męża. Taki Karol chociażby: szczycił się doktoratem, był pracownikiem naukowym Akademii Górniczo-Hutniczej. Czy miał w życiu cokolwiek lepiej niż inni? Nie! Gniótł się z trójką dzieciaków w dwóch maleńkich pokoikach. Tylko patrzeć, jak zacznie udawać kogoś, kim nie jest. Jak w tym kawale, który niedawno opowiedział jeden klient: W autobusie dochodzi do kłótni. Jeden z mężczyzn krzyczy: „Pan chyba nie wie, kim ja jestem! Jestem kierownikiem sklepu mięsnego!”. Stojąca obok kobieta zwraca się do koleżanki: „Znam go, to profesor uniwersytetu, ale widzę, że ostatnio cierpi na manię wielkości”.

I ona także nisko upadła, choć miała w młodości szansę, aby rozwinąć skrzydła i osiągnąć znacznie więcej niż kuchta w barze mlecznym. Debiutowała występami na scenie Nurt. Była w tym teatrze niemalże od pierwszych chwil jego działalności. Potem załapała się do Ludowego. To były piękne dni!

Jaką szczęściarą była Anielka, która wciąż pracowała

w teatrze! Spotkały się kiedyś na mieście i Sabina z przykrością stwierdziła, że ta małpa wcale nie wygląda na swoje pięćdziesiąt lat. Elegancka, pachnąca, zadbana. Jak zwykle sypała teatralnymi anegdotami. Wprawdzie teraz zamiast młodych heroin odgrywała dojrzałe kobiety, ale nie narzekała na zmianę emploi. Dopytywała Sabinę o dzieciaki. O Jędrka na szczęście nie próbowała zagadywać. A może po prostu wiedziała o jego śmierci, choć słowem nie zajaknęła się na ten temat?

Sabina zazdrościła jej tego barwnego życia.

*To już nie wróci* – westchnęła z rezygnacją. A potem schyliła się i podniosła z podłogi racucha, który zjechał z kolejnego talerza do wydania. Strzepnęła z niego jakiś paproch, potem dorzuciła go do reszty.

– Bliny raz! – wrzasnęła.



Na wyprawę po zakup chomika Wiolka zamierzała starannie się przygotować. Po pierwsze, musiała najpierw sprawdzić, czy akwarium wepchnięte do pawlacza nie uległo uszkodzeniu. Nie mogła poprosić rodziców o jego wyjęcie. Gdyby usłyszeli, po co jej ono, na pewno zaczęliby protestować. A przynajmniej robiłaby to mama, bo tato i tak całymi dniami siedział na uczelni. Zamierzała postawić ich przed faktem dokonanym. Jak już przyniesie do domu chomika i pokaże, że potrafi się zatroszczyć o jego potrzeby, to zmiękną.

Do próby wyjęcia akwarium przystąpiła samodzielnie, wykorzystując fakt, że we wtorki mama wracała do domu znacznie później niż w pozostałe dni. Adrian i Marek polecili z piłką na boisko. Ojciec oczywiście był jeszcze w pracy. Dziewczynka upewniła się, że drzwi do mieszkania są dokładnie zamknięte, a potem z wysiłkiem przepchnęła do przedpokoju

mały stolik kuchenny. Wspięła się na niego i sprawdziła, czy sięgnie do pawlacza. Z trudem zdołała otworzyć wysoko zamontowaną szafkę, lecz nie było mowy o tym, aby wygrzebała z niej pożądany przedmiot.

Zeskoczyła na podłogę i przyniosła krzesło z pokoju rodziców. Niemało wysiłku włożyła w to, by postawić je na stole, ale jakoś sobie poradziła. Teraz było jej znacznie łatwiej. Rozgarnęła poupychane w szafce rzeczy i przysunęła akwarium bliżej krawędzi. Było bardzo ciężkie. Panicznie bała się, że je upuści. Na szczęście było całe – nie uległo żadnemu uszkodzeniu, choć kit podtrzymujący szyby zaczął się trochę kruszyć. Zanim zdjęła pojemnik z półki, poszła do łazienki i przyniosła stamtąd malutki stołeczek, na którym do niedawna siadywała podczas oglądania bajek. Odkąd zaczęła naukę w szkole, przestała z niego korzystać, ponieważ uważała, że to niegodne poważnej uczennicy.

Stołeczek ustawiła na stole obok krzesła, aby łatwiej było jej wchodzić i schodzić. Potem z wysiłkiem wysunęła częściowo akwarium z szafki. Ledwo mogła je utrzymać, nie spodziewała się, że jest aż tak ciężkie.

– To przez te okucia – sapnęła, ostrożnie macając stopą w poszukiwaniu stołka. Nie zdołała dobrze oprzeć na nim stopy, gdyż mały mebelek zachybotał na krawędzi stołu, a potem z okropnym hukiem spadł na podłogę.

Dziewczynka krzyknęła z przerażenia.



Natalia Gruca zdążyła się już przekonać, że okazywanie zazdrości mężowi nie ma najmniejszego sensu. Zygmunt wciąż otoczony był pięknymi kobietami. Wiedziała na przykład, że w działaniach operacyjnych często posługuje się tajnymi

współpracownicami, które zbierają dla niego różne wiadomości. I nie mogła mieć mu tego za złe, gdyż dzięki pracy tych bezimiennych istot mogła wieść spokojne, beztroskie życie.

Wracał do niej przesiąknięty zapachem damskich perfum. Z kołnierzykiem koszuli, na którym odbiła się cudza szminka. Ze śladami pazurów na klatce piersiowej. A ona przyjmowała go do swojego łóżka. Pozwalała, by brał ją w posiadanie.

– Kiedy jestem z tobą, znika cały brud, który mnie otacza. Kocham cię, Natalio. Tylko ciebie – podkreślał za każdym razem. – Nie płacz, Kitku, nie warto lać łez.

Nie płakała. Skutecznie ją tego oduczyl. Bo choć ją zdradzał i nawet nie próbował się z tym kryć, traktował ją jak księżniczkę. Idealną, nieskazitelną – ucieleśnienie niewinności. Nigdy nie podnosił na nią głosu – nie musiał. Tym bardziej nie dochodziło do rękoczynów, którymi straszili ją chyba wszyscy na wieść, że w wieku osiemnastu lat zamierza wyjść za człowieka mogącego być jej ojcem.

Absolutne posłuszeństwo zagwarantował sobie nazajutrz po ślubie, gdy zabrał ją na chwilę do swojego biura. Miał niby jakieś dokumenty do wzięcia, potem wyjeżdżali na wczasy do Juraty.

Zostawił ją na chwilę na korytarzu. Usiadła na niezbyt wygodnym krześle. Założyła nogę na nogę i z nudów zaczęła się rozglądać. Naprzeciwko niej znajdowały się drzwi do pokoju przesłuchań – tak głosiła przykręcona obok nich tabliczka. Były uchylone, ale nie na tyle, by mogła dostrzec, co się za nimi dzieje. Widziała jednak posadzkę z lastryka, a na niej kałużę wody o różowym zabarwieniu. Słyszała też gwar męskich głosów, odgłosy jakiejś samotniany, a potem rozległ się przeraźliwy krzyk.

Zdenerwowana Natalia wstała i podeszła bliżej. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt jej nie obserwuje, lecz była sama. Zerknęła w szczelinę i bardzo szybko pożałowała swej

ciekawości. Zobaczyła na wpół obnażoną kobietę przywiązaną pasami do krzesła. Stojący naprzeciw niej mężczyzna zadawał pytania, na które albo nie знаła, albo nie chciała udzielać odpowiedzi. Prócz niego było jeszcze dwóch. Mieli zakasane rękawy.

To, co robili, by wydusić ze swej ofiary oczekiwane wyjaśnienia, jeszcze długo potem nawiedzało ją w nocnych koszmarach.

Na chwiejnych nogach wróciła na krzesło. Usiadła i drżącą dłonią złapała krawędź siedziska, by nie upaść na podłogę. Tkwiła tak przez chwilę, dygocząc, a każdy krzyk dobiegający z pomieszczenia wwiercał się w jej głowę nieznośnym bólem. Marzyła o tym, aby ktoś zamknął te cholerne drzwi – sama nie miała dość odwagi, aby to uczynić. Pragnęła stamtąd uciec. Nic nie słyszeć, nic nie widzieć, nie wiedzieć! Wymazać wszystko z pamięci. Kiwała się na krześle w tył i przód, błagając w duchu, aby mąż jak najszybciej po nią przyszedł.

Kiedy wrócił ślubny, wyglądała zapewne jak upiór. Bez słowa wyprowadził ją na zewnątrz i skierował się w stronę samochodu. Nie wytrzymała, musiała go o coś zapytać.

– Zygmunt?

Odwrócił się w jej stronę.

– Tak, Kitku?

– To twoja praca?

– No tak. Mówiłem ci przecież, że jestem urzędnikiem państwowym.

– Tak, wiem. Ale mnie chodzi o tamto. Tam... Za drzwiami... W pokoju przesłuchań... – mówiła chaotycznie, drżącym z przerażenia głosem.

– Ach, chodzi ci o tę dziwkę, z którą rozmawiali moi koledzy – odgadł. – Co z nią?

– To ja pytam: co z nią? Czy ty... Ty... Zygmunt? – Z jej gardła wydobyło się łkanie.



Stała, zalewając się łzami. Dygotała ze strachu. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy, ponieważ z tego wszystkiego pociekło jej nawet z nosa.

Mężczyzna ze stoickim spokojem wyjął z kieszeni chustkę i wytarł twarz Natalii.

– Tak, Kitku. To jest moja praca. Ale ty nie masz się przecież czego bać. Jesteś grzeczną dziewczynką. Doskonałą – powiedział, a potem objął ją i mocno do siebie przytulił. – W tobie jest moje oczyszczenie z całego brudu, który mnie otacza – powiedział, całując ją w czubek głowy. – Przysięgnij, Natalio, że nigdy mnie nie zawiedziesz. Że zawsze pozostaniesz taka nieskazitelna.

Odchylił się, zgiętym palcem wskazującym wsuniętym pod brodę uniósł jej twarz i spojrzał w zapłakane oczy.

– Przysięgnij mi, Kitku – nalegał – że nigdy nie staniesz się tamtą kobietą.

Skinęła głową. On pogładził ją po policzku i delikatnie ucałował w usta.

– Chodźmy, czas ruszać w drogę.

Zajęli miejsca w fiacie. Zygmunt skupił się na prowadzeniu pojazdu. Przez chwilę bawił ją jakąś banalną pogawędką. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Jakby nie zostawił jej w tym okropnym miejscu, ryzykując, że ona to wszystko zobaczy i usłyszy. Że niemalże fizycznie poczuje papierosa gaszonego na skórze, wszystkie ciosy wymierzone przesłuchiwaną, dotyk dłoni na jej ciele. Spoglądała na niego z niedowierzaniem i próbowała zestawić sprzeczne obrazy: czułego męża, z którym kilka godzin wcześniej spędziła noc poślubną, i ponurego, okrutnego oprawcę, wymuszającego siłą zeznania.

To tak bardzo się ze sobą kłóciło!

Był niezwykle delikatny, gdy robił to z nią po raz pierwszy. Uważał, by nie sprawić jej bólu. Szeptał czułe słówka, całował,

pieścił. Zapewniał, że nigdy nie kochał żadnej kobiety równie mocno. Mówił o tym, jaki jest szczęśliwy, że wychowywała się w praworządnej katolickiej rodzinie. Przecież zgodził się nawet na to, aby składała mu przysięgę małżeńską w kościele! Przed ołtarzem! Przed obliczem Boga! Sam nie przysięgał, powiedział, że jest ateistą, a ponadto charakter jego pracy całkowicie to wyklucza. Ale szanuje jej uczucia religijne i nie ma nic przeciw temu, by praktykowała. Bo to czyni ją jeszcze doskonalszą.

Wszelkimi sposobami chciał ocalić jej subtelną niewinność. Nie uznawał makijażu, farbowania włosów, krzykliwych ubrań. Wolno jej było pociągnąć rzęsy odrobiną tuszu, a usta szminką w delikatnym odcieniu. Miała wyglądać jak dama, a nie jak dziwka.

Od tamtej pory minęły trzy lata. W ich małżeństwie nie zmieniło się absolutnie nic ponad to, że musiała zaakceptować jego wyskoki. Nigdy nie spróbowała mu się sprzeciwić, ale też nie miała ku temu powodów. Był czuły, troskliwy, delikatny. Kochał się z nią zawsze w tej samej pozycji: ona leżała grzecznie na plecach, on brał ją w posiadanie. Wcześniej obsypywał jej ciało subtelnymi pieszczotami. Żadnego wyuzdania czy przemocy.

Bez frywolnej bielizny.

Nie nosiła koronek, lecz praktyczną bawełnę. Włosy wciąż wiązała w koński ogon. Miała całą szafę pięknych ubrań, które kupował dla niej w Peweksie, lecz pośród nich nie uświadczyło się mini czy czegoś z głębszym dekoltem.

Uosobienie niewinności – tym miała na zawsze pozostać.



Kiedy stołek upadł, Wiola stała na krześle, trzymając akwarium, które jedną krawędzią wciąż tkwiło w pawlaczu.

Choć huk bardzo ją wystraszył, udało jej się zachować równowagę i nie spadła. Ostrożnie pchnęła szklany zbiornik w głąb szafki. Był zbyt ciężki, aby mogła wydobyć go bez niczyjej pomocy.

– Nie dam sobie rady – westchnęła.

Ostrożnie zsunęła się na stół, a następnie na podłogę. Spojrzała na zegar z kukułką wiszący w pokoju rodziców. Do powrotu mamy zostało jeszcze sporo czasu, co do taty sprawa nie była tak oczywista, ale on raczej zjawi się jeszcze później. Niebawem powinni przyjść bracia, lecz Wiolka nie bardzo chciała korzystać z ich pomocy, bo gdyby coś nie poszło po jej myśli, to mogliby wszystko wygadać mamie, a wtedy miałyby się z pyszna. Przez moment zastanawiała się, co dalej zrobić, ale skoro już podjęła decyzję o kupnie chomika, nie zamierzała się poddawać.

Wyszła na klatkę schodową i zastukała do sąsiednich drzwi. Miała nadzieję, że zastanie tego sympatycznego pana, który niekiedy częstował ją irysami. Rzeczywiście miała wiele szczęścia, gdyż sąsiad był akurat u siebie. Wyjaśniła mu, że potrzebuje pilnie pomocy.

– Bo ja koniecznie muszę wyjąć z pawlacza cymbałki, które mama tam włożyła przed wakacjami, bo ciągle na nich grałam, a ja bolała głowa. Ale ja potrzebuję je na jutro do szkoły. I muszę jeszcze nauczyć się grać jedną piosenkę. A mamusia i tatuś wrócą zbyt późno, żebym zdążyła się przygotować – skłamała gładko.

Mężczyzna ochoczo obiecał pomoc.

Weszli do mieszkania. Wspiął się na stół i bez pomocy krzesła zajrzał do szafki.

– Akwarium wszystko zasłania – stwierdził, na co Wiolka zatarła ręce z radości i powiedziała:

– Niech mi je pan poda. Cymbałki powinny być z tyłu. Wie pan – łągała nader przekonująco – mama musiała je dobrze

ukryć, żebym się do nich nie dorwała.

– Dobrze, podam ci akwarium – powiedział i wyjął szklany przedmiot. – Dasz radę je utrzymać? Bo wygląda mi na ciężkie – przestrzegł.

– Oczywiście – powiedziała uszczęśliwiona dziewczynka.

– A jesteś całkowicie pewna, że musisz mieć już te cymbałki? – upewnił się. – Czy twoja mama nie będzie się denerwować, jak ci je wyciągnę?

– Ależ nie. Na pewno nie będzie się denerwować. Zwłaszcza że zdążę przećwiczyć piosenkę, zanim wróci z pracy – powiedziała rezolutnie. A potem odebrała od sąsiada akwarium i zaniósła je na parapet w swoim pokoju. Gdy wróciła, mężczyzna z bezradną miną gmerał w czeluściach pawlacza.

– Żabko, ale tutaj nie ma cymbałków – powiedział strapiony.

– Ojej – udała zmartwioną. – To pewnie mamusia włożyła je w inne miejsce.

– Możliwe – odparł, zamykając szafkę.

Wyglądał na zafrasowanego tym, że nie udało mu się pomóc. Na śmierć zapomniał o akwarium. Pomógł Wioli odnieść stół do kuchni, a potem pożegnał się i wyszedł, napominając ją, aby starannie zamknęła drzwi i nie wpuszczała do mieszkania nikogo obcego.

Wniebowzięta dziewczynka złapała przygotowany wcześniej worek, w którym nosiła do szkoły pantofle. Miała w nim duży słoik z plastikową zakrętką, który dzień wcześniej zwędziła matce. Rozgrzanym nad kuchenką gazową drutem do robótek ręcznych zrobiła kilka dziurek gwarantujących zwierzątku dopływ powietrza podczas transportu. Bo kiedyś usłyszała, że jak ktoś nie może oddychać, to umiera. No i uznała, że nie może ryzykować chomiczego życia, gdyż zbyt wiele wyrzeczeń ją kosztowało. Aby zwierzak nie zmarł – listopadowe dni były niemożliwie zimne – wzięła także ręcznik, którym miała okręcić słoik. Liczyła, że wciśnie do worka również opakowanie trocin,

które musiała nabyć dla gryzonia.

A potem szybko pobiegła na przystanek tramwajowy, by podjechać chociaż kawałek, ponieważ na Zielone niestety nie doprowadzono torowiska. Zależało jej na tym, by wrócić do mieszkania przed rodzicami. Za nic w świecie nie mogła dopuścić, by zostało odkryte akwarium stojące na parapecie dziecinnego pokoju. Na szczęście często bywała z mamą albo w przylegającym do zoologicznego sklepie papierniczym, albo tekstylnym. Wiedziała więc, w jaki tramwaj powinna wsiąść i na którym przystanku opuścić wagon. Znała też drogę wiodącą przez osiedle.

Ależ była z siebie dumna, gdy wracała do domu, niosąc naczynie z bezcenną zawartością!



– Aaa! Chomik? – wykrzyknęła matka na widok jasnobrązowo umaszczonego zwierzątko, który siedział sobie spokojnie w nowym lokum, zjadając marchewkę. Właściwie to chyba jej nie jadł, lecz pakował na później, gdyż jego policzki coraz bardziej się nadymały, aż zaczął komicznie wyglądać. A potem podreptał do norki wygrzebanej w trocinach i tyle go widzieli.

– Ma na imię Tuptuś – oznajmiła dziewczynka, wywołując salwy śmiechu u braci.

– Tuptuś-Sruptuś – przedrzeźnił ją zaraz Adrian, więc pokazała mu język i postanowiła sobie, że nigdy, przenigdy nie pozwoli mu wziąć stworzonka do ręki.

– Przecież powiedziałam jasno: żadnych zwierząt w domu! – zdenerwowała się Gabriela. – Miałam dość utrapienia z rybkami! A teraz masz ci los: gryzoń!

– Mamusiu, ale ja sama o niego będę dbała, zobaczysz. A właściwie to nie zobaczysz, bo Tuptuś w ogóle nie będzie ci

przeszkadzał. Słowo daję.

Kobieta pokręciła głową z dezaprobatą, a potem zaczęła wypytywać córkę o to, w jaki sposób akwarium znalazło się na parapecie okna, choć wcześniej zamknęła je w najdalszym zakamarku pawlacza, aby nie przeszkadzało.

Skruszona dziewczynka odparła, że przyciągnęła z kuchni stół, by dosięgnąć szafki. I że bardzo przeprasza za to, że jedna z nóg trochę porysowała linoleum. Ale przecież to nie było specjalnie, tylko przez przypadek.

– Zaraz, zaraz! Chcesz mi powiedzieć, że ze stołu dostałaś się do akwarium? – Gabrysia z miejsca uznała, że nie jest to możliwe przy drobniutkiej posturze córki.

– Ee... No nie. Wzięłam jeszcze krzesło – pisnęła dziewczynka, robiąc niewinną minę. Uznała, że lepiej będzie nie wspominać o wpuszczeniu sąsiada pod nieobecność rodziców.

– Krzesło? – Matka zamarła na samą myśl o tym, co też mogłoby się córce stać, gdyby noga od krzesła ześliznęła się z blatu. – Matko Przenajświętsza! Dziecko! Czyś ty zwariowała? Przecież mogłaś spaść i się zabić! Wiolka!

– Przepraszam, mamusiu – odparła skruszona winowajczyni, opuszczając głowę. – Byłam bardzo ostrożna – zapewniła, choć to i tak niczego nie zmieniało.

– Za karę przez cały tydzień nie wyjdiesz na pole! I nie będziesz oglądać bajki! – Gabriela odzyskała rezon, gdyż faktycznie nic złego się nie wydarzyło. Ale musiała dać małej nauczkę. – I nawet nie próbuj pisać listu do świętego Mikołaja, bo jedyne, co ci może przynieść w tej sytuacji, to różga. A ja nie zawaham się jej użyć! – Skierowała w stronę córki palec wskazujący.

W tym czasie bliźniacy siedzieli cicho niczym myszy pod miotłą i bali się pisnąć choć słówko, z obawy, że mama odkryje jeszcze jedno domowe przestępstwo polegające na otwarciu konserwowej szynki. Cudem zdobyta puszka, przeznaczona na

święta Bożego Narodzenia, stała w szafce pod kuchennym oknem, gdzie przebita była wentylacja na zewnątrz, dzięki której panowała tam zimą bardzo niska temperatura. Szkoda byłoby wielką puszką zabierać miejsce w niedużej lodówce. Wprawdzie nie zjedli wszystkiego – uszczknęli zaledwie odrobinę z wierzchu, ale wiedząc, jaka jest cenna, spodziewali się, że w konsekwencji również na nich mama nałoży dotkliwą karę. No bo jakże tu przeżyć cały tydzień, nudząc się w domu jak mops? No jak?

– Ale mogę zostawić Tuptusia? – Wiolka podniosła na matkę spojrzenie pełne łez.

Gabriela czuła, jak jej serce mięknie. Jeszcze próbowała być surowa, przewróciła oczami, a następnie powiedziała łaskawie:

– Dobrze, ale wybij sobie z głowy, że będę sprzątała jego kupki. Nie chcę słyszeć marudzenia, że się brzydzisz. Sama musisz zmieniać mu trociny w akwarium. Regularnie!

– Hura! – ucieszyła się sprawczyni zamieszania i zawisła na matczynej szyi. – Przepraszam, mamusiu – wyszeptała jej do ucha – ale ja naprawdę musiałam.

– No już dobrze – odparła kobieta, mocno ją do siebie przytulając. – Moja zosia samosia.



Chociaż mama jej to stanowczo odradziła, Wiolka mimo wszystko postanowiła, że napisze list do świętego Mikołaja. Jak dostanie różgę, to trudno, jakoś się z tym pogodzi. A w liście poprosiła o prezent nie dla siebie, lecz dla Tuptusia. Chodziło o karuzelę, w której mógłby sobie biegać. Bo biedny chomiczek musiał się nudzić w akwarium, gdy ona była w szkole. Na pewno stał przy szklanej ścianie i unosił łapki w stronę zbyt wysokiej dla niego krawędzi. Często tak robił, gdy nie był zajęty

spaniem lub jedzeniem, a ona nie mogła się z nim pobawić, ponieważ akurat odrabiała zadania.

Po powrocie do domu Wiolka zawsze go wyjmowała i puszczała na podłogę pomiędzy tor przeszkód ustawiony z książek i zabezpieczony tak, by gryzoń nie uciekł pod wersalkę albo za meblościankę. Mama nieustannie uczulała ją na to, aby pilnowała swojego podopiecznego. Był przecież maleńki. Spuszczony z oczu mógłby sobie zrobić krzywdę albo wleźć komuś pod stopy. Dziewczynka lubiła też wkładać Tuptusia do luźnej kieszonki w bluzce, a on z niej wyłaził i wędrował w górę na jej ramię aż do policzka. Nigdy nie próbował uciec. Zawsze obchodziła się z nim ostrożnie, pamiętając o niezwykle długich zębach, z którymi wołała nie zawierać bliższej znajomości. Czasami przynosiła z pola świeżo odłamane gałązki i dawała mu do gryzienia. Fajnie się bawili, gdy trzymała go w dłoniach, a nad nim umieszczała patyczek, który on przegryzał.

Pewnego dnia mama przyniosła ze swojej szkolnej biblioteki troszkę podniszczony egzemplarz książeczki *Chomik i Osia* Jadwigi Wernerowej. Opowieść została wycofana z księgozbioru, gdyż jakieś dziecko zalało ją herbatą i po wysuszeniu miała ciemne plamy na kartkach. Wioli to nie przeszkadzało. Ponieważ od dawna bardzo płynnie czytała, od razu zagłębiła się w pasjonującej lekturze. No i przepadła na długi czas, gdyż do książki wracała jeszcze wiele razy. Dzięki niej trochę lepiej poznała obyczaje i potrzeby swojego pieszczoła.

Jakaż była radość dziewczynki, gdy szóstego grudnia rano znalazła obok poduszki prezent od świętego Mikołaja! Oczywiście nie obyło się bez różgi z notatką, że za wiadome ciężkie przewinienie zasłużyła na kilka razów w pupę. Na szczęście nikt nie zamierzał wymierzać jej kary. Zresztą czym? Kilkoma niedużymi, ozdobnymi witkami pomalowanymi złotą farbą? Najważniejsze jednak, że prócz słodczy oraz kilku



bajeczek znalazła to, o co poprosiła, czyli karuzelę dla swojego małego pieszczocha.

Jak dobrze, że akurat była niedziela! Wiolka niczym pocisk wyskoczyła spod kołdry i od razu ustawiła zabawkę w akwarium. Tuptuś, obudzony ruchem, wygrzebał się z kłębowiska trocin i wybałuszył czarne jak paciorki ślepka. Wysunął pyszczek i zaczął niuchać. Spojrzał na boki, a następnie podreptał w stronę obiektu, który pojawił się w akwarium. Najpierw go obwąchał, potem zlokalizował otwór, przez który mógł wleźć do wnętrza. No i się zaczęło! Ruszył po metalowych szczebelkach tak, jakby robił to od zawsze. Biegł i biegł, a Wiolka stała z nosem przyklejonym do szyby i z radością spoglądała na zabawę pupilka.

– Mamo! Mamo! Zobacz! – zawołała, gdy Gabrysia weszła do pokoju, aby obudzić pociechy na śniadanie, co było oczywiście zbędne, gdyż dzieciaki od dawna były na nogach i przeglądały upominki od świętego Mikołaja. – Tuptuś dostał prezent!

Gabrysia nachyliła się nad dziewczynką i cmoknęła ją w głowę.

– Ale zasuwa!

– No, jak messerschmitt – zauważył Adrian, który nagle pojawił się za ich plecami.



Następnego dnia rano Wiola włożyła Tuptusiowi do akwarium kawałek marchewki. Pogłaskała palcem łebek zwierzątka.

– Idę do szkoły – oznajmiła. – Teraz na pewno nie będziesz się nudził pod moją nieobecność.

Włożyła ciepłą kurtkę, złapała tornister. Sprawdziła, czy ma sznurek z kluczami, a następnie opuściła mieszkanie.

Przed blokiem spotkała Piotrka, kolegę z klasy. Przez całą

drogę chłopiec z ożywieniem chwalił się prezentami, jakie otrzymał od świętego Mikołaja. Cóż ją obchodziły całe paczki gum Donald i żołnierzyki? Myślała tylko o tym, że chciałaby jak najszybciej wrócić do domu, aby zobaczyć, czy Tuptusowi nie znudziła się karuzela.

Tego dnia lekcje dłużyły się w nieskończoność, choć w szkole też czekała na uczniów przyjemna niespodzianka, pojawił się bowiem bardzo miły gość. Ubrany był w brokatową szatę. Podpierał się długą lagą i przemawiał tubalnym głosem. Większość dzieciaków stwierdziła, że to nie jest żaden Dziadek Mróz, jak próbowali im wmówić nauczyciele, ale najprawdziwszy Święty Mikołaj. Razem z nim przysły Śnieżynki, które miały wielki kosz, a w nim słodkie podarunki przysłane ze Związku Radzieckiego.

– Ale śliczne opakowania! – zachwycali się uczniowie.

Wiola otworzyła swoją paczkę i przejrzała kolorową zawartość. Skosztowała kawałek czekolady, lecz ta nie wzbudziła jej zachwyty. O wiele smaczniejsza była „Twardowska”, choć mamusia twierdziła, że to nie jest prawdziwa czekolada, tylko wyrób czekoladopodobny. Dziewczynka zdecydowanie wolała dobrze znane Jacki, Pawełki i Danusie nadziewane pysznymi masami, piernikowe Mikołaje, które były tak twarde, że nie dało się ich ugryźć, oraz irysy w wielu różnych smakach. Nie zmartwiła się więc jakoś szczególnie, gdy podczas przerwy między lekcjami ktoś zabrał z jej worka część słodyczy. Pomyślała nawet, że to pewnie przebrzydła Aśka Grzyb dokonała niecnej grabieży, gdyż przez cały dzień opychała się łąkociami, a gdy wychodziła do domu, wciąż jeszcze miała większość z zawartości paczki.



Tuptuś uciekł z akwarium. Wiola miała absolutną pewność, gdyż trociny, w których zwykle sypiał, zostały rozgrzebane. W mieszkaniu nie było nikogo. Mama i tato wychodzili do pracy jako pierwsi. Bracia zaczynali lekcje znacznie wcześniej niż ona. Niemożliwe więc, aby ktoś z nich wyjął rano chomika i zapomniał go odłożyć. Bo choć zwierzak należał do niej, wszyscy lubili brać go na ręce, pogłaskać lub podsunąć mu garstkę jakichś ziaren, które pakował łakomie do worków. Mimo że mieszkał u Pawłowskich zaledwie parę tygodni, zawojował serca całej rodziny. Na pewno nikt by go nie skrzywdził.

Wiola spoglądała ze smutkiem na akwarium. Zauważyła, że karuzela stoi dość blisko krawędzi, a trociny leżące pod nią spiętrzone są w spory kopczyk. Być może gramoląc się w swoim lokum, Tuptuś sam je tak niefortunnie rozgarnął, że zablokowały zabawkę, a on wspiał się na nią i wykorzystał sposobność, aby pójść na wycieczkę. Tylko dokąd?

– Tuptusiu! Gdzie jesteś! – zawołała bezradnie Wiolka.

Omiotła wzrokiem podłogę i zdębiała, widząc, ile zakamarków i kryjówek miał do dyspozycji mały uciekinier. Mógł być dosłownie wszędzie: w pokojach, kuchni, na korytarzu. Potrafił nie najgorzej się wspinać – nie raz widziała, jak to robił – oczywiście pod kontrolą.

Jak znaleźć zbiega?

Ostrożnie zaczęła szukać chomika w pokoju, ale oczywiście nigdzie go nie zauważyła.

Gdy wrócili do domu bracia, ruszyli z pomocą, choć zazwyczaj nie angażowali się w jej sprawy – żyli we własnym męskim świecie. Chłopców szybko znudziło poszukiwanie gryzonia. Zabrali się za odrabianie lekcji, gdyż byli umówieni z kolegami na podwórku.

Wiolka z nosem na kwintę chodziła z kąta w kąt, zaglądając w różne zakamarki. Przy okazji znalazła kilka rzeczy, które

dawno temu uznała za zagubione na wieki: gumki do mazania, szklane kulki, pionki do chińczyka, kostkę do gry. Nie było mowy, by mogła skupić się na czymkolwiek – rysowanie szlaczków w zeszytach mogło zejść na dalszy plan. A Tuptus nie, bo pewnie siedział gdzieś głodny i wystraszony.

Niedługo później wróciła do domu Gabriela. A mamy tak już mają, że doskonale wiedzą, gdzie co jest w mieszkaniu, i potrafią odszukać nawet szpilkę pod tapczanem. Kobieta wysłuchiwała zapłakanej córki, a potem w niemożliwie zagraconym pomieszczeniu przeprowadziła dochodzenie.

– Z akwariium wyskoczył na parapet, z parapetu na biurko. Ale nie widzę tutaj śladów jego działalności. – Zerknęła na regał i pociągnęła nosem obok półki z książkami, która przylegała do krawędzi blatu. Potem pokazała córce chemiczne bobki. – Widzisz? Na pewno był tutaj. Dobrał się do *Akademii Pana Kleksa*. – Wskazała książkę w grubej okładce naznaczonej przez Tuptusia nie tylko zębami, ale również moczem.

– A gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie uciekł daleko. Być może pojadł sobie papieru i poszedł spać.

– A jeżeli boli go brzuszek?

– Jakoś będzie musiał to wytrzymać.

Uwagę Gabrieli przykuła szafka z nieodkniętymi drzwiami. Wystawał z niej kawałeczek wełnianego swetra. Kobieta zajrzała do środka i ostrożnie zaczęła wyjmować zawartość.

– O nie! Mój szalik! – wykrzyknął nagle Adrian, widząc postrzępiony kłęb wełny, który nie przetrwał spotkania z gryzoniem.

W samym środku zniszczonego rękodzieła spał w najlepsze Tuptus. Czując ruch, otwarł zaspane oczy i ziewnął przeciągle, ukazując w pełnej okazałości monstrialne siekacze.

– No i znalazła się zguba – oznajmiła matka. – Zdaje się, moja panno, że musisz go bardziej pilnować.

- A jak znowu ucieknie? - zmartwiła się dziewczynka.
- Karuzelę trzeba przestawić na środek akwarium, a najlepiej wyjmować ją na noc i wtedy, gdy nikogo nie ma w domu.
- Przecież nie mogę go pozbawić przyjemności. Jemu na pewno jest smutno, kiedy zostaje sam.
- No to może pójdziemy do szklarza i zamówimy szybkę, którą będziemy przykrywać akwarium. Pod nią ustawi się karuzelę, a szczelinę zapewniającą dopływ powietrza zostawimy z drugiej strony, tam, gdzie Tuptuś nie dosięgnie.

Jeszcze tego samego dnia pojemnik został zabezpieczony. A jak już emocje związane z ucieczką chomika opadły, Gabryś dała córce burę za to, że szkodnik zniszczył książkę i szalik Adriana.

- Gdybyś go nie przyniosła do domu, nie byłoby strat! - oświadczyła. - Mam nadzieję, że następnym razem zastanowisz się kilkakrotnie, zanim znowu zrobisz coś równie niemądrego! Módl się, żeby ten gryzoń nigdy więcej nie uciekł i nie narobił szkód! Bo za każdą następną rzecz będziesz musiała zapłacić ze swoich pieniędzy!

Wiolka słuchała jej z opuszczoną głową, ale w głębi duszy wiedziała, że mama nie jest aż taka zła. Ostatnio dosyć często źle się czuła, narzekała na senność, zmęczenie i niechęć do jedzenia, więc może dlatego na nią nakrzyczała. Do tej pory nie zdarzało się, aby wpadała w złość. Jeżeli czasami gniewała się na kogoś, to raczej na tatę. Parę razy dziewczynka słyszała dobiegające z pokoju rodziców podniesione głosy. Mama zarzucała mu, że wszystko zwała na jej głowę, jest podłym egoistą i wciąż zaniedbuje rodzinę. A ona nie ma siły, by użerać się z tym samotnie, zwłaszcza że wiosną przybędzie jej obowiązków. A potem mówiła jeszcze o zbyt ciasnym mieszkaniu i trudnych warunkach życia, które jeszcze się pogorszą. I pytała tatę, jak on to sobie dalej wyobraża. Skruszony mężczyzna próbował ją pocieszać, ale chyba niezbyt

skutecznie, gdyż przez następne dni obydwójce chodzili ze skwaszonymi minami.



Julia z niepokojem spoglądała na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Karol i Gabrysia już dawno powinni zjawić się po dzieci. Zapowiedzieli, że będą koło osiemnastej. Dzieciaki nauczone były wczesnego chodzenia spać, ponieważ musiały się zrywać zaraz z rana. Wprawdzie była sobota i nazajutrz mogli poleżeć dłużej, lecz siła przyzwyczajenia robiła swoje.

Zmęczona Wiola przysypiała nad układanką. Bliźniakom także zaczynały się kleić oczy.

Pawłowska już dawno dała wszystkim wnukom kolację. W swoim pokoju Marta ułożyła Filipka do snu. Wiola, Adrian i Marek też pewnie poszliby spać, gdyż całą trójką przeciągle ziewali.

– Babuniu, gdzie jest mama? – zagadnęła dziewczynka.

– Nie wiem, kochanie – odparła zafrasowana Julia. – Na pewno zaraz wróci.

– Bo Tuptuś został sam i na pewno jest już głodny – wyraziła troskę.

– Nie martw się o niego. Ma dość jedzenia w swojej chomiczej spiżarni.

Odłożyła druty, na których dziergała szalik dla małej. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. W świetle latarni skrzył się świeży śnieg. Nieliczni przechodnie stąpali ostrożnie po oblodzonym chodniku. Pawłowska nie zauważyła ani syna, ani synowej.

*Coś musiało się wydarzyć. To niemożliwe, aby tak długo siedzieli w restauracji. Przecież poszli tylko na obiad.*

Tego dnia Karol miał przed południem wykłady dla studentów zaocznych. Potem umówiony był z Gabrysią w Stylowej. Jak co roku chcieli uczcić rocznicę zawarcia znajomości. Nie obchodzili jubileuszów ślubu, lecz pierwszego spotkania. To była ich utrwalona tradycja, choć do tej pory świętowali całą rodziną, zabierając dzieci do koktajlbaru na jakieś pyszności. W tym roku zdecydowali się postąpić trochę inaczej i zafundować sobie randkę sam na sam. Stwierdzili bowiem, że należy im się chwila wytchnienia i małe wagary, zwłaszcza że niebawem oczekiwali czwartego potomka. Z tego, co mówił Karol, mieli zarezerwowany stolik na trzecią.

Julia nie chciała przenosić swoich obaw na wnuki. Usiłowała nie dopuszczać do głosu złowrogich podszeptów rozumu tworzącego czarne scenariusze.

– Tak się zasiedzieć! – utyskiwała do Wawrzyńca, który pomagał wnuczce złożyć układankę. – Ja rozumiem, że są młodzi i świętują, ale przecież dzieciaki czekają!

– Spokojnie, Julisiu. Na pewno zaraz przyjdą – próbował ją uspokoić. – No, Fasolko – zwrócił się do Wiołki – chowamy zabawkę do pudełka. Późno już, a tobie opadają powieki. Zaraz mi tu uśniesz i zostawisz mnie z Reksiem.

– Dziadku, a Tuptuś? Został sam w domu, pewnie się boi. Bo ja bym się bała, gdybym musiała siedzieć sama po ciemku.

– Nie martw się, na pewno nic mu nie jest. Chomiki nie boją się ciemności. Nie pamiętasz, o czym mi czytałaś z tej swojej ulubionej książeczki, he?

– Noo... Że chomiki to zwierzątka, które lubią buszować w nocy.

– A widzisz! Czyli teraz Tuptuś się obudził i pewnie goni w kołowrotku.

– Ale na pewno jest głodny – marudziła dalej dziewczynka.

Wawrzek pogłaskał ją po krótko ostrzyżonej głowie.

– Myślę, że nie. Jak znam tego twojego mysiora, to ukrył

w swojej spiżarni dość ziarenek i smakołyków, by mu wystarczyło na bardzo długo. Chomiki są przezorne, nigdy nie zjadają wszystkiego naraz – pocieszył wnuczkę.

Tymczasem zafrasowana pani domu chodziła z miejsca na miejsce, co rusz wyglądając przez okno.

– No masz ci los! – jęknęła, spoglądając na zegar ścienny. – Dziewiąta! Gabrysia jest przecież w ciąży! Może zasłała albo co? – zdenerwowała się nie na żarty.

– Kochanie, nie zakładaj od razu najgorszego. Na pewno zaraz przyjdą i będą przepraszali za spóźnienie. Młodość ma swoje prawa. Nie pamiętasz, jak sami balowaliśmy, gdy tylko udało się podrzucić komuś nasze pociechy? Gabryśka nie ma chwili wytchnienia, bo ciągle w biegu. To w pracy, to z dziećmi. Daj się dziewczynie rozerwać, póki jeszcze może.

Julia znowu podeszła do okna. Ruch na chodnikach wyraźnie wzrósł. Pracownicy popołudniowej zmiany jeszcze nie opuścili kombinatu, lecz ci z nocnej już spieszyli w stronę huty. Nie dostrzegła małżonków pomiędzy przechodniami. Wyjrzała na klatkę schodową, gdy usłyszała dobiegający stamtąd hałas, ale to nie byli oni. Wskazówki zegara nieubłaganie parły naprzód.

– Coś na pewno się stało! – Załamała ręce, gdy zegar wybił dwudziestą pierwszą trzydzieści.

Teraz i Wawrzyniec nie krył zdenerwowania.

– Wiesz co? Lepiej połóż dzieciaki spać. Nawet gdyby teraz Karol i Gabrysia wrócili, nie ma sensu, by tułali się nocą po mieście. Niechże prześpią się u nas. Miejsca nie zabraknie. Polecę do Baru pod Kuternogą i zobaczę, czy jeszcze tam siedzą.

Włożył płaszcz i buty. Wcisnął kapelusz na głowę. Już miał wychodzić, gdy jego wzrok spoczął na ślubnej fotografii młodych.

– Wezmę to zdjęcie na wypadek, gdyby ich tam nie było. Zapytam kelnera, czy w ogóle dotarli do restauracji.



Wyszedł na zewnątrz. Zimne powietrze uszczypnęło go nieprzyjemnie w policzki. Skierował się do przejścia dla pieszych. Przepuścił nadjeżdżający tramwaj. Szedł mocno oblodzoną aleją Róż. Byłby runął jak długi, schodząc ze stopni za arkadami. Przez chwilę mełł rękami powietrze. Zdołał utrzymać równowagę.

– Że też dozorca nie sypnął tutaj piachu! – burknął ni to do siebie, ni to do innych przechodniów.

Zmierzał spieszenie w stronę połyskujących jasnym światłem witryn Stylowej. Chwilę później nacisnął klamkę i wszedł do środka. Rozejrzał się po luksusowo urządzonej wnętrzu. Tylko nieliczne stoliki zajmowali goście, widać w adwencie nie było zbyt wielu chętnych do biesiadowania. A może sprawił to ziąb, który zatrzymał ludzi w domach?

Dla pewności Wawrzyniec przeszedł przez całą restaurację. Zagadnął pracujących kelnerów, czy nie widzieli jego syna lub synowej. Pokazał im zdjęcie Karola i Gabrysi.

– A wiesz pan co, szefie? Ten człowiek siedział tu młodym popołudniem. Nie mam pojęcia, która to mogła być godzina. Na zewnątrz było jeszcze jasno i trochę ludzi się wtedy kręciło.

– Sam przyszedł?

– Ano sam. Czekał chyba na kogoś, i to dosyć długo, ponieważ zamówił dwa obiady. Zjadł jeden, drugi kazał wynieść Leninowi i poszedł. Zdaje mi się, że był zły.

– Dawno to było?

– Już zmierzchało, ale ładnych parę godzin temu.

– A nie wie pan, dokąd mógł iść? Mówił coś?

– Nie, panie kochany. Nie mam pojęcia. Mieliśmy wtedy spory ruch w lokalu.

Skonsternowany Wawrzyniec opuścił restaurację. Rozejrzał się w prawo i lewo, ominął wzrokiem zastygłego w pół kroku wodza rewolucji, który sprawiał wrażenie, jakby szedł na spacer aleją Róż. Pawłowski zatrzymał spojrzenie na budce milicyjnej.

Po chwili wahania postanowił zapytać stróżującego tam funkcjonariusza, czy przypadkiem nie widział Karola. Może przechodził obok?

Nie widział. Poradził zafrasowanemu ojcu, by udał się na posterunek.

Wawrzyniec postanowił, że nim to zrobi, zajrzy do domu i naradzi się z Julią. Gdy dotarł do mieszkania, żona była śmiertelnie blada. Po jej policzkach płynęły wielkie łzy.

– Julia! Na litość boską! Co się stało?

– Ktoś do mnie dzwo... dzwo... – załkała. – Ktoś dzwonił. Nie... Niesz... Niesz...czę...ście!

## ***Parę godzin wcześniej***

Kwadrans przed umówionym spotkaniem Karol dreptał przed wejściem do Stylowej. Trochę martwił się o ściskane w dłoni kwiaty, ponieważ mróz dość mocno szczypał go w policzki. Pomyślał, że może to mało elegancko z jego strony, ale poczeka na żonę wewnątrz, choćby przy wejściu. Szkoda byłoby goździków. Odwrócił się i pchnął drzwi do restauracji.

Kilka minut później do Pawłowskiego podszedł portier i po krótkiej wymianie zdań przekonał go, aby usiadł przy stoliku. Obiecał mu, że będzie zerkał, czy przed wejściem nie stoi samotnie wysoka, szczupła kobieta w ciąży, i jeśli tylko taką zauważy, to przyprowadzi ją do niego.

Karol zajął miejsce. Poprosił kelnera, aby przyniósł flakon na goździki, które kupił dla Gabrieli. Na razie nie wkładał ich do wody, ponieważ nie chciał wręczać mokrych kwiatów. Wprawdzie żona należała do spóźnialskich, ale liczył na to, że zaraz nadejdzie. Akurat wypadła jej robocza sobota. O ile dobrze zapamiętał, a bywał ostatnio wyjątkowo roztargniony, żona wspominała, że skończy pracę o czternastej trzydzieści.

Ten obiad – sam na sam, bez towarzystwa dzieci – był im bardzo potrzebny. Ostatnio w ogóle nie mieli dla siebie czasu, w ich małżeństwo wkradła się rutyna, zniecierpliwienie i sprzeczki. Karol podejrzewał nawet, że żona ma romans z jakimś kolegą z pracy. Z tego powodu doszło pomiędzy nimi do bardzo ostrej kłótni. A potem kochali się na zgodę. Wtedy zrobili to po raz ostatni. Na tyle skutecznie jednak, że w kwietniu ich rodzina miała się powiększyć. To też stanowiło problem, ponieważ mężczyzna nie był do końca przekonany, czy rzeczywiście jest ojcem tego dziecka. Żona wciąż była niezadowolona i zamknięta w swoim świecie. Narzekała na ciasne mieszkanie i problemy związane z ponownym macierzyństwem. Tak bardzo zmieniły ją minione lata wspólnego życia, że w niczym nie przypominała zadziornej Nszo-czi, z którą wykrzykiwał buntownicze hasła podczas zamieszek, a następnie uciekał przed pałami zomowców.

Gabriela brała pod uwagę możliwość przerwania ciąży i o to także się starli. Nazwała go wtedy zacofanym ciemniakiem, bo choć miał wątpliwości co do ojcostwa, kategorycznie zakazał jej pójścia na zabieg, mówiąc, że to grzech.

– Głupiś! Niby taki jesteś wykształcony inteligent! Docent! A wierzysz w zabobony! – prychnęła. – Grzech! Też coś! Pójdę później do spowiedzi i już. Wszystkie kobiety tak robią.

– Ale ty nie musisz robić tak jak wszystkie. Poza tym ja też mam chyba coś do powiedzenia w tej kwestii. Skoro dziecko jest moje, to chcę, żeby przyszło na świat – oznajmił stanowczo, dziękując Bogu za to, że przed laty jego matce nie chodziły po głowie podobne myśli. Wszak miała znacznie więcej powodów, aby to zrobić.

– Ależ Karolu! Skoro nie ma jak skutecznie zabezpieczać się przed ciążą, to choć tak trzeba zapanować nad liczebnością potomstwa.

– Nigdy więcej nie wracaj do tego tematu. A jeżeli usuniesz

dziecko, będzie to oznaczało, że mnie zdradziłaś – powiedział dobitnie.

Pomyślał wtedy, że warto byłoby przejrzeć anonsy w prasie. Ludzie ogłaszali czasami, że szukają czegoś mniejszego lub większego. A nuż zdoła zamienić swoje dwa pokoje na trzy lub więcej? Wszak rodzice mieli ładny, przestronny lokal, więc może i jemu dopisze szczęście?

Siedział w restauracji i rozmyślał o niesnaskach z ciężarną połowicą.

Kiedy to wszystko się popsuło? Przecież byli zgodnym małżeństwem. Kochali się, mieli wspaniałe dzieciaki. Żyli w miarę spokojnie i bez wstrząsów – rodzina jakich wiele.

Może gdy spędzą trochę czasu sami i szczerze ze sobą porozmawiają, to zniknie mur, który ich od siebie odgradzał?

Kwiaty zaczynały więdnąć, więc włożył je do flakonu. Zerknął na zegarek. Żona spóźniała się już pół godziny. Mimo wszystko wierzył, że zaraz przyjdzie. Przecież nie zostawiłaby go ot tak w rocznicę pierwszego spotkania. To był doskonały moment, aby znaleźć nic porozumienia i zacząć wszystko układać tak, jak należy. Zanim przyjdzie na świat nowe życie.

Był jeszcze drugi, równie ważny powód, dla którego zależało mu na wyjaśnieniu animozji z Gabrysią. Należał do opozycji i już od dawna wiedział, że szykuje się coś niedobrego.

Kilka dni wcześniej dostał instrukcję postępowania na wypadek, gdyby przyszli do niego milicjanci z nakazem aresztowania. W mieszkaniu czekała na niego spakowana podręczna torba z najważniejszymi rzeczami, które na pewno przydałyby się, gdyby został uwięziony. Istniało spore prawdopodobieństwo, że może go to spotkać. Mieszkańcy Nowej Huty szykowali się do protestów, którym bezpieczeństwa na pewno zechce zapobiec.

To mogła być ostatnia szansa, aby powiedział Gabrieli, jak bardzo ją kocha. I że nie potrafiłby bez niej żyć. I że powinni

spróbować jeszcze raz. Że jest mu przykro, bo faktycznie ją zaniedbał: pochłonięty pracą naukową – zdobywaniem kolejnego tytułu.

*Pojutrze może wybuchnąć ogólnokrajowy strajk – pomyślał. Jesteśmy gotowi na to, aby kolejny raz wystąpić przeciwko władzy.*

– Zechce pan złożyć zamówienie?

Kelner podał mu kartę.

– Właściwie czemu nie? Żona na pewno zaraz przyjdzie. Poza tym dobrze wiem, na co miałaby ochotę.

Uznał, że pewnie uciekł jej tramwaj. Być może stoi bidula na przystanku: głodna i przemarznięta do szpiku kości. Marzy o tym, aby się rozgrzać. Na pewno się ucieszy, jeżeli nie będzie musiała długo czekać na posiłek.

Zamówił dwa zestawy obiadowe z kotлетem schabowym.

Zatonął w rozmyślaniach, nieszczególnie zwracając uwagę na to, że czas płynie, a on wciąż siedzi przy stoliku sam.

Z zadumy ponownie wyrwał go kelner, tym razem stawiając przed nim nakrycia. Karol podziękował i zerknął na zegarek.

*Gdzież, u diabła, jest Gabriela?* – zdenerwował się nie na żarty. To prawda, że często zdarzało jej się spóźniać, ale żeby aż tak?

Podszedł do portiera i zagadnął go, czy nie zauważył przed lokalem samotnej kobiety, lecz ten odparł, że z uwagi na niewielki ruch, większość czasu przestał obok drzwi, więc na pewno by jej nie przeoczył. Niepocieszony Pawłowski wrócił do swojego stolika.

*Nie przyjechała. To znak, że ma mnie gdzieś.*

Nawiązał kontakt wzrokowy z kelnerem. Zamówił kieliszek czystej. Ledwo otrzymał alkohol, wlał sobie w gardło zawartość kieliszka.

– Jeszcze jedną – poprosił. – Albo niech pan od razu poda trzy setki.

Więcej nie chciał pić, aby nie przeholować. Cokolwiek wykombinowała Gabryśka, pamiętał o tym, że u rodziców czekają dzieciaki, które trzeba będzie od nich odebrać.

A potem porozmawia sobie z żoną! Bo nie pozwoli, żeby nadal robiła z niego głupka!

Ujął sztućce i, nie czekając dalej na połowicę, zabrał się do jedzenia. Bez pośpiechu skonsumował obiad, popił wódką, a następnie poprosił o rachunek.

– A co mam z tym zrobić, panie szanowny? – zapytał kelner, wskazując nietknięty posiłek, który został zamówiony dla Gabrieli.

– Aaa... kotlet? – Lekko podchmielony Karol uśmiechnął się szelmowsko. – Niech go pan zanieś temu skurwysynowi, który lezie samym środkiem alei Róż. Pewnie zmarzył *towariszcz* na mrozie, choć ruskie akurat lubią taką aurę.

Kelner stłumił parsknięcie. Nie pierwszy raz miał do czynienia z klientem, który zamówił obiad dla Lenina.

Pawłowski skierował się do wyjścia. Pobrał od portiera płaszcz i kapelusz. Niedbale owinął szyję szalikiem, a następnie wyszedł na mroźne, grudniowe powietrze.

[12] Mieczysław Gil, ur. 1944 r. – działacz związkowy, aktywny opozycjonista w PRL, od 1981 r. przewodniczący KRH NSZZ Solidarność.

## Rozdział 5



### *Nakarmić głodnych*

Późną nocą śpiących spokojnie mieszkańców bloku na Osiedlu XX-lecia PRL obudziło gwałtowne łomotanie dobiegające z klatki schodowej. Jakiś ciekawski sąsiad otworzył drzwi z zamiarem ostrego zrugania chuligana. Widząc funkcjonariuszy MO uzbrojonych w wielkie łomy, szybko schronił się we własnym mieszkaniu. Dygotał ze strachu, nasłuchując złowrogich odgłosów. Raz po raz czynił znak krzyża, modląc się, by i do niego nie próbowali wejść podobnymi sposobami.

W lokalu obok zakwaterowane było małżeństwo z trójką dzieci. Pawłowski wykładał na Akademii Górniczo-Hutniczej, jego żona uczyła w szkole. Czym tak bardzo narazili się władzy, że szturmowano ich mieszkanie w środku nocy? Nie wyglądali na złodziei ani morderców, więc musiało chodzić o sprawy polityczne. Czy słuchali Radia Wolna Europa? Kolportowali jakieś ulotki? A może powielali je w miejscach pracy?

– Nikogo nie ma! Ktoś go uprzedził! – dało się słyszeć z korytarza. – Umknął, cholerny cwaniak!

Wiśniewski podskoczył nerwowo, gdy nagle ktoś załomotał do

niego.

– Otwierajcie, obywatelu, bo jak nie, to i wasze drzwi polecą w drzazgi.

Przerażony mężczyzna odryglował zamek.

– Ta... Tak? O co chodzi?

– O tego tutaj! – Funkcjonariusz wskazał na lokal sąsiadów. – Nie wiecie, gdzie się zapodział?

– Nie. Nie mam pojęcia. Pawłowscy musieli wyjść wczesnym rano, bo przez cały dzień nie widziałem ani ich, ani dzieci.



Nastał smutny poranek po wyjątkowo ciężkiej nocy. Julia wstała i włożyła podomkę. Wawrzyniec także był już na nogach. Kilka minut wcześniej ubrał się, wziął paczkę carmenów i wyszedł na balkon. Nie miała sił, aby dyskutować z nim na ten temat, choć od lat wciąż mu powtarzała, że powinien ostatecznie rzucić palenie. Wyjątkowo uznała, że jeśli może mu to pomóc choć trochę w ukojeniu skołatanych nerwów, niech sobie ulży. Czekał ich przygnębiający dzień, a pod opieką mieli trójkę wnuków, które na pewno zaraz zaczną dopytywać o rodziców.

Pani domu bezzwłocznie podeszła do aparatu telefonicznego i sięgnęła po słuchawkę. Wydzwaniali za Karolem kilkakrotnie. Najpierw, ponieważ chcieli mu powiedzieć, że zostawiają dzieciaki pod opieką Marty. Później ze szpitala, gdy dowiedzieli się, że syna tam nie ma i nie było. Po powrocie do domu znowu próbowali, lecz bez efektu.

Tym razem Julia nie usłyszała nawet sygnału.

– Chyba jakieś uszkodzenie na linii – oznajmiła Wawrzukowi, wskazując urządzenie.

– Pewnie przez ten mróz zerwało kable telekomunikacyjne.



Później się tym zajmiemy. Najpierw zjedźmy śniadanie i porozmawiajmy z dzieciakami.

*Co ja mam im powiedzieć?* – wzdychała Pawłowska, wykonując poranną toaletę. Ubrana i uczesana podreptała do kuchni, lecz stamtąd wyrwał ją płacz Wiołki, która obudziła się w międzyczasie.

– Gdzie jest moja mamusia? – Dziewczynka zaczęła dzień marudzeniem. – Ja chcę do domu! Tuptuś pewnie umiera z głodu.

– Nie płacz, żabko. Zaraz ci zrobię kanapki. Na razie wstań, umyj się i uczesz. Jak skończysz, możesz włączyć telewizor. Niedługo będzie *Teleranek*. Potem pojedziemy do Tuptusia.

Musiała zrobić posiłek dla męża i wnuków. Wszystko leciało jej z rąk, a kiedy skaleczyła się podczas krojenia chleba, klapnęła ciężko na zydę, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Słone łzy mieszały się z krwią płynącą obficie ze zranionej ręki i kapały na jej podomkę.

– Julisiu! Co się stało? – wykrzyknął pan domu, przerażony widokiem, jaki zastał w pomieszczeniu.

Kobieta spojrzała na niego, potem na dłoń.

– Ach, to nic. Dziabnęłam się lekko. Wawrzuś, co my im powiemy?

Pokręcił głową, podszedł bliżej. Ujął żonę za rękę i lekko pociągnął. Wstała, podeszła wraz z nim do zlewozmywaka. Nie czuła lodowatego zimna wody, pod którą włożył jej zraniony palec. Bez mrugnięcia powieką pozwoliła mu, aby zalał ranę jodyną, a następnie opatrzył skaleczenie.

– Musimy im powiedzieć prawdę, choć sami niewiele wiemy. Trzeba będzie pojechać na Dwudziestolecia i wziąć dla nich trochę rzeczy z mieszkania. Póki nie znajdzie się Karol, dzieciaki muszą zostać z nami.

– Nie chcę myśleć o tym, co by było, gdyby Gabrysia nie przyprowadziła ich wczoraj do nas. Zostaliby bez opieki na całą

noc.

– Może nie? Może zadzwoniliby, że jest późno, a rodziców nie ma?

– Na szczęście są tutaj, więc jeden kłopot mniej.

– Jaki kłopot, dziadku? – zagadnął Adrian, który właśnie wszedł do kuchni. – I gdzie są mama i tato?

Julia i Wawrzyniec spojrzeli po sobie. Kobieta pokręciła głową i bezgłośnie powiedziała do męża: *później*.

– Idź do stołowego. Możesz włączyć telewizor. Zaraz będzie *Teleranek*.

– Jasne! – ucieszył się chłopiec, lecz nim to zrobił, jak spod ziemi wyrósł przy nim jego bliźniak.

– Dziadku! Dziadku! Ulicą jedzie czołg! I wozy bojowe! I pełno jest zomowców i milicji, i chyba nawet wojska!

– Co ty opowiadasz? – zdziwił się Wawrzyniec, choć od jakiegoś czasu widok kolumn ZOMO na ulicach Nowej Huty nie był niczym niezwykłym.

Całą zgrają rzucili się do pokoju stołowego.

Na dywanie przed telewizorem siedziała Wiola. Czekwała, aż rozgrzeją się lampy w odbiorniku. Minęli ją, podeszli do okien.

– Babciu, gdzie jest moja mamusia? – Dziewczynka zerwała się i złapała Julię za rękę.

– Poczekaj chwilę, kochanie – odparła Pawłowska, która marzyła o tym, by jak najbardziej odwlec rozmowę z wnukami. Cały czas liczyła na jakiś cud i nasłuchiwała, czy Karol nie zastuka do drzwi.

Za oknami faktycznie przejeżdżały samochody bojowe.

Nagle z wysłużonego opala dobiegły trzaski. Wszyscy zwrócili głowy w jego stronę, lecz zamiast spodziewanego programu dla najmłodszych widzów zobaczyli łysą czaszkę generała Jaruzelskiego. Przywódca trzymał w dłoniach kartki, na które zerkał, przemawiając do narodu.

– *Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu*

*pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom ulega ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy. Warunki życia przytłaczają ludzi coraz większym ciężarem. Przez każdy zakład pracy, przez wiele polskich domów, przebiegają linie bolesnych podziałów. Atmosfera niekończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści – sieje spustoszenie psychiczne, kaleczy tradycje tolerancji*[\[13\]](#).

– Babciu! Dlaczego nie ma Teleranka? – zapytała płacząco zdezorientowana Wiola.

Zawtórowali jej chłopcy.

– Ciszej, dzieciaki! – Wawrzyniec skarcił wnuki i wzmocnił dźwięk. – Dajcie posłuchać. To ważne.

– *Obywatelki i obywatele!* – kontynuował Jaruzelski dramatycznie poważnym i spokojnym tonem. – *Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność – chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało najlepsze lata swego życia. Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego. Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju.*

– Stan wojenny? – jęknęła Julia.

Mąż spojrzał na nią z powagą. Nie musiał niczego mówić, widziała w jego oczach odpowiedź. Podeszedł do aparatu telefonicznego. Podniósł i przytknął do ucha słuchawkę.

– To nie usterka, Julio – powiedział. – Wyłączyli telefony.

– Ale co się dzieje? – dopytywał Adrian, więc Wawrzyniec w kilku słowach wytłumaczył, że w kraju trwa wojna, w której Polak występuje przeciwko Polakowi.

– A gdzie są mama i tato?

Julia pokręciła głową i zaniósła się płaczem. Nie była w stanie nic wykrztusić. To dziadek wziął na siebie ciężar poinformowania wnuków.

– Wasza mama miała wypadek i leży w szpitalu. Nie mamy pojęcia, co się stało z tatą. Być może jego zniknięcie ma jakiś związek z wprowadzeniem stanu wojennego.

Bał się wyrazić na głos przerażającą myśl, która nie dawała mu spokoju, odkąd wrócili ze szpitala. Zastanawiał się bowiem, czy w wypadku, któremu uległa Gabrysia, nie ucierpiał również jego syn. Być może zginął i leży teraz w kostnicy jako niezidentyfikowane ciało. Może nie miał przy sobie dokumentów? Może ktoś narobił zamieszania, bałaganu w papierach, i przez to nie zostali powiadomieni?



Dzień nie przyniósł żadnych pozytywnych informacji. Wyprawa na osiedle XX-lecia PRL jeszcze mocniej przytłoczyła Pawłowskich. Drzwi mieszkania zostały wyłamane, funkcjonariusze bezpieki splądrowali wnętrze. Przestraszony sąsiad opowiedział, jak przyszli nocą i narobili rumoru.

– Szukali Karola. I na pewno nie była to wizyta towarzyska – zakończył.

Julia przygotowała trochę rzeczy dla dzieci. Przy okazji znalazła spakowaną przez syna torbę.

– Spodziewał się aresztowania – powiedziała z przygnębieniem.

– Na to wygląda – odparł mąż.

Nagle w jego sercu pojawiła się iskierka nadziei.

– Słuchaj, a jeśli on zdążył uciec? Może ktoś go ostrzegł, że w nocy po niego przyjdą, a teraz nie może dać nam znaku życia, bo mamy odłączony telefon i kto wie, czy bezpieka nie

obserwuje również naszego mieszkania?

– Dobry Boże! Obyś się nie mylił! – Julia desperacko uczepiła się słów wypowiedzianych przez Wawrzyńca. – Los wystawił nas na paskudną próbę: Karol zaginął, a Gabrysia w ciężkim stanie leży w szpitalu. I co teraz będzie?

– Na razie wnuki zostaną u nas, nie ma innego wyjścia. Nie możemy ich tutaj zostawić. Nie odeślemy ich też do Łańcuta. To w ogóle nie wchodzi w grę. Trzeba jakoś naprawić drzwi. Zostawimy Karolowi informację o tym, co się stało, choć wątpię, czy on tu przyjdzie w najbliższym czasie.

– Na pewno nie wie o wypadku. Myśli, że dzieci są pod opieką Gabrysi.

– O tym też trzeba napisać.

– Babuniu, a Tuptuś? – zapytała zmartwiona wnuczka.

– Rodzice przepadli, a ty się martwisz o gryzonia? – Marek wymierzył jej kuksańca w bok.

Dziewczynka zaczęła chlipać.

– Marku, tak nie wolno! Przepróż siostrzyczkę – zdenerwowała się babcia. – A ty już nie płacz, kochanie. Zabierzemy i Tuptusia – obiecała, choć racjonalniej byłoby zostawić zwierzaka w domu. Dzieci i tak musiały dojeżdżać do szkoły, więc zaglądałyby do mieszkania, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, a przy okazji nakarmić chomika.

Desperacko starała się wierzyć, że to przejściowa sytuacja i potrwa najwyżej kilka dni. Żywiła nadzieję, że synowa szybko wróci do zdrowia.

Na razie rokowania lekarzy odnośnie do stanu zdrowia Gabrieli były bardzo powściągliwe. Kobieta straciła dziecko, potrzebna była transfuzja. Miała liczne obrażenia wewnętrzne i znajdowała się w śpiączce.

Julia nie przestawała się zamartwiać. Myślami wciąż była w szpitalu, to znowuż głowiła się nad miejscem pobytu Karola. Co gorsza nawet nie mogła powiadomić Łyków o wypadku córki

– oni na pewno chcieliby teraz przy niej czuwać. Niestety telefony nie działały. Pozostawała jedynie poczta, lecz nadanie telegramu musiało poczekać do następnego dnia – o ile urzędy zostaną normalnie otwarte. Julia miała wątpliwości nawet co do tego, gdyż zasadniczo nie wiedziała, czego się spodziewać teraz, gdy wprowadzono stan wojenny.

### ***Tego samego dnia, nieco wcześniej***

Bronek wyłączył odbiornik telewizyjny. Bogumiła usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach. Obok niej siedziała córka – nie mniej poruszona od matki.

– Czy to wojna? – zapytała tatę zdławionym emocjami głosem.

Mężczyzna pokręcił głową. Sam nie do końca rozumiał, co oznaczają słowa generała. Wyglądało to źle: wojsko przejęło władzę w kraju.

– Stan wojenny, córciu – odpowiedział. – To chyba jeszcze nie jest wojna, ale pewnie wiąże się ze znacznymi ograniczeniami swobód obywatelskich.

– Jakimi? – oburzyła się młoda kobieta. – Przecież mamy już cenzurę, utrudniona jest możliwość opuszczania kraju. Prawie nierealne jest prowadzenie własnego sklepu lub punktu usługowego. Mało miał korowodów Paweł, żeby otworzyć swój butik? Czego jeszcze można nam zabronić?

– Można odłączyć telefony, odciąć ludziom dostęp do prasy i informacji. Można ograniczyć możliwość swobodnego podróżowania nie tylko za granicę, ale również na miejscu.

– Wprowadzić godzinę milicyjną? – podsunęła córka.

– Otóż to.

– Przecież tak się nie da żyć! – wyraziła oburzenie. – Chcą nas do reszty zniewolić?

– Niestety. Inaczej nie wprowadzaliby stanu wojennego.

– Wojny – poprawiła matka. – To jest wojna domowa. Wojna, Agnisiu... – powtórzyła. – O dobry Boże! Czyż mało nas Niemcy wytłukli? Mało zamęczyli Ruscy? Mało rzezi dokonali Ukraińcy? Matko Boska Częstochowska! Czy teraz będą do nas strzelać Polacy? – szlochała.

Mąż położył rękę na jej ramieniu i delikatnie je uściśnął. Dla niego komunikat Jaruzelskiego nie było jakimś szczególnym zaskoczeniem. Od wielu miesięcy wśród działaczy opozycyjnych mówiło się o tym, że może dojść do kryzysu. Zarząd Regionu Małopolska przygotował nawet instrukcję na wypadek wprowadzenia stanu wojennego, przewidującą odzew robotników w postaci strajku okupacyjnego w hucie. Początek grudnia przyniósł niepokojące wieści o brutalnym pobiciu przez ZOMO współpracowników ZRM. Działacze opozycji żądali nagłośnienia tej sprawy w mediach, a gdyby do tego nie doszło, grozili strajkiem ostrzegawczym. We wczorajszym wydaniu „Głosu Nowej Huty” został opublikowany artykuł pod mocnym i jednoznacznym tytułem: „Czy 14 XII będziemy strajkować w Małopolsce”. Tak więc nawet data była dla ludzi sprawą oczywistą.

Bronek miał świadomość, że strajk jest nieunikniony, i zamierzał do niego przystąpić. Bez względu na ryzyko, jakie podejmował, choć żywił obawy, że może być o wiele gorzej niż podczas ubiegłorocznych protestów. Pocieszał się myślą, że jego dzieci już dorosły. Na pewno rozumieją, że nie może postąpić inaczej. Zresztą Ludwik też powinien wziąć czynny udział w walce z władzą – mimo malkontenctwa, jakie kiedyś przez niego przemówiło.

– Bogusiu, przecież widziałaś, co się święci. Od kilku dni wypisywaliście ze szpitala wszystkich pacjentów, których życie nie było zagrożone. Pamiętasz? Mówiłaś mi, że tak pustych sal już od dawna żeście nie mieli.

– No tak – przyznała. – Kazali nam zrobić miejsce dla tych,

którzy niebawem u nas wylądują – stwierdziła z goryczą. – Boję się, Broniś.

– Szybko zapełnimy te sale – powiedział grobowym głosem. – Huta już pewnie strajkuje.

Bogusława podniosła wzrok na męża. Zobaczył w jej oczach przerażenie. Dobrze wiedziała, że on zaraz pójdzie, by dołączyć do robotników.

– Rany boskie, a Ludwik? Przecież on poszedł na dniówkę!

– Nie martw się, będę miał na niego oko.

– A jak zaczną do was strzelać? Jak na Wybrzeżu w siedemdziesiątym?

– Bogusiu, aniele mój! Wiesz, że musimy podjąć nierówną walkę. Nawet jeśli władza wyśle przeciwko nam wojsko. Przysięgam, będziemy ostrożni. Zaraz lecę na kombinat. Znajdę Ludka i napomnę go, by uważał. Ale baby z niego nie zrobię i nie każę mu wracać do domu! – odparł z determinacją.

– Nawet o tym nie myśl – wyszeptała, choć serce ścisnęła jej strach i o męża, i o syna.

To oczywiste, że wolałaby, aby obydwaj przebywali teraz w domu, lecz nie zamierzała powstrzymać ukochanego. Jeżeli w kraju miało dojść do zmian, ludzie musieli je wywalczyć.

– Nie bój się, aniele. Jakoś przetrwamy. Daliśmy radę w trzydziestym dziewiątym, poradzimy sobie i teraz.

Spojrzała na niego, w jej oczach migotały łzy.

– Ja już nie mam sił na to wszystko – westchnęła ciężko. – Całe życie upływa nam na strasznej szamotaninie. Ani chwili spokoju.

– Ano. Jakby mało było człowiekowi zwyczajnych życiowych problemów, to jeszcze Jaruzelski zafundował nam stan wojenny... A miało być tak pięknie! – Mąż nie potrafił znaleźć dla niej słów pociechy. Tak właściwie sam nie wiedział, co przyniosą najbliższe godziny.



Bogusia z bólem serca wspominała niedawne chwile, gdy roniąc łzy szczęścia, brała udział w poświęceniu wywalczonego i wzniesionego przez robotników kościoła. Później, gdy wybrano Wojtyłę papieżem i gdy odwiedził kraj. Ludzie byli wówczas pełni wiary i nadziei na lepsze jutro. Z przejęciem słuchali, jak Jan Paweł II wołał do nich z ambony: „Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. Wtedy wydawało im się, że wszystko zmierza ku dobremu, lecz to była kolejna iluzja.

*Znowu lejemy łzy smutku nad naszą niedolą.*

– Wiedziałem, że źle się dzieje. To już od dawna było widać – stwierdził Bronek po chwili milczenia.

– A ja znowu dałam się zwieść, gdy władza przymknęła oczy na święcenie krzyży podczas nabożeństw w Mogile i Arce. Nie bronili, byśmy wieszali je w szkołach, urzędach i zakładach pracy – stwierdziła z przygnębieniem żona. – Tylko patrzeć, jak znowu każą nam je usuwać.

Jej rozgoryczenie pogłębiała myśl o zgodzie, jaką władze wydały na budowę kościoła na osiedlu Szklane Domy. Jeszcze do niedawna była przekonana, że skoro dopuszczono, by mieszkańcy Nowej Huty mogli swobodnie wyznawać wiarę, to uczyniony został kolejny krok do przodu.

– Można było ulec iluzji choćby wtedy, gdy Gorzelany odprawił mszę świętą w hali Wydziału Mechanicznego – przyznał mąż.

– Wprowadził Boga na teren kombinatu pod nos komuchów. – Uśmiechnęła się blado.

– Nie, Bogusiu, tutaj się mylisz. Komuchów w hucie jest zaledwie garstka. O ile wiem, miążdżąca większość z nas należy i do Wspólnoty<sup>[14]</sup>, i do Solidarności. Ech... Trza się zbierać – westchnął ciężko Bronek. – Byliśmy przygotowani na to, że wydarzy się coś złego, więc pewnie zamiast pracować, dołączę do strajkujących. Dam głowę, że Mietek Gil już tam wszystkim trzęsie – stwierdził.

*Czy teraz ziszczą się czarne scenariusze? – przemknęło mu*

przez głowę. Żona zdawała się czytać w jego myślach, gdyż po prostu wzięła w dłoń różaniec i skinęła na córkę.

– Niech Bóg cię strzeże, Bronku – powiedziała, przytulając się na moment do męża.

Włożył ciepłe okrycie, omotał szyję szalikiem wydzierganym przez żonę. Gotowy do wyjścia wycisnął na jej ustach pożegnalnego całusa. Z policzka córki odgarnął niesfornie opadające pasmo ciemnych włosów.

*A kiedy przyjdzie także po mnie / Zegarmistrz światła purpurowy / By mi zabełtać błękit w głowie / To będę jasny i gotowy*<sup>[15]</sup> – przemknęły mu przez myśl słowa piosenki, którą szczególnie sobie ostatnio upodobał.

Bezsilnie spojrzął na kobiety klękające przed obrazem Matki Boskiej do wspólnej modlitwy za niego i innych robotników.



Po powrocie do mieszkania Pawłowscy zostawili dzieciaki pod opieką Marty. Ponownie wybrali się do szpitala. Mieli nadzieję, że stan zdrowia Gabrysi uległ choć nieznacznej poprawie. Na razie jeszcze nie wiedzieli, co powiedzieć wnukom, które wciąż o nią dopytywały. Dość oględnie wspomnieli im o wypadku. Szczególnie mocno przeżywała to Wiolka, która teraz, gdy nie martwiła się już o to, czy jej pupilek nie jest głodny, całą uwagę skoncentrowała na nieobecnej mamusi.

– Bo wiesz, babciu – mówiła – że ona ze mną chodzi na zajęcia gimnastyki artystycznej. Wprawdzie mogłabym jeździć tramwajem sama, tak jak wtedy, gdy kupiłam Tuptusia, ale mama nie chce mi pozwolić. Traktuje mnie jak jakiegoś dzieciaka – zirytowała się i z całej siły zacisnęła usta, usiłując zapanować nad drżącym podbródkiem.

Lada moment mogła uderzyć w płacz. Julia wiedziała, że

dziecku dobrze by zrobiło, gdyby dało upust łzom, lecz wychodzili już z Wawrzkiem z domu i nie miała czasu, aby w obecnej chwili tulić małą kupkę nieszczęścia.

– Wszystko się ułoży – odparła łagodnym tonem i z niemałą prośbą w oczach spojrzała na Martę.

– Chodź, Fasolko. Zobaczymy, czy Tuptuś zaaklimatyzował się w nowym mieszkaniu – zaproponowała ciocia, wyciągając dłoń do dziewczynki. – A może pokażesz Filipkowi swoje małe bobo?

Pawłowscy w pośpiechu opuścili mieszkanie. Wsiedli do poloneza i ruszyli w stronę szpitala.

– Oby nie zabrakło mi benzyny. Mam już ostatnią kartkę. Na domiar złego stacja paliw nieczynna, tramwaje kursują jakoś rzadziej niż zwykle, a ziąb jak diabli i każdej chwili szkoda.



– Bardzo mi przykro, proszę państwa. – Lekarz rozłożył dłonie w geście bezradności. – Nie byliśmy w stanie powiadomić nikogo z rodziny, ponieważ telefony nie działają. Pacjentka zmarła o czwartej nad ranem na skutek licznych obrażeń wewnętrznych. Naprawdę robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

Julia odwróciła się gwałtownie i uderzyła głową w klatkę piersiową męża.

– Nie! – załkała. – Nie mogę w to uwierzyć! Była taka młoda! Jeszcze wczoraj była pełna życia. Spodziewała się dziecka! Boże! Boże! Boże... – szlochała rozpaczliwie.

Wawrzyniec bezradnie głąskał żonę.

– Na pewno chodzi o Gabrielę Pawłowską? – próbował się upewnić.

– Nie ma mowy o pomyłce. Przecież widzieli ją państwo w nocy.

– Boże! Co ja powiem wnukom? – lamentowała Julia. – Moje biedne sierotki...

Zdruzgotany mąż posadził ją na krześle stojącym na korytarzu. Musieli załatwić parę kwestii formalnych, ale najpierw potrzebowali choć chwili na ochłonięcie i oswojenie się z przerażającą informacją.



Nim Bronek dotarł do kombinatu, zgodnie z jego przewidywaniami unieruchomiono już niemalże wszystkie wydziały. Tysiące osób połączyło się w proteście przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Na ich czele stanął Mieczysław Gil, który minionej nocy szczęśliwie uniknął aresztowania. Jako przewodniczący komitetu strajkowego napisał oficjalny list do rodzin strajkujących robotników, traktujący o tym, że generał Jaruzelski nie miał podstaw do wprowadzenia stanu wojennego i powoływania do życia Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Wyjaśniał także przyczyny ogłoszenia strajku i wzywał ludzi do jednoczenia się w trudnych chwilach oraz niesienia sobie wzajemnej pomocy.

Kościół katolicki poparł działania Solidarności oraz protest. Jeszcze tego samego dnia do kombinatu przybyli księża Jan Bielański oraz Józef Bielański, by w walcowni blach karoseryjnych odprawić mszę świętą.

*W Warszawie mają Popietuszkę, wielkiego obrońcę skrzywdzonych. My mamy Gorzelanego i Bielańskich. Oni nas prowadzą jedyną słuszną drogą* – myślał Bronek, przystępując do sakramentu komunii.

Nazajutrz Komitet Strajkowy wystosował uchwałę z zapytaniem o to, przeciwko komu ma być prowadzona wojna, którą ogłosił Jaruzelski. Zdaniem Mieczysława Gila oraz

protestujących robotników nie można było znaleźć dla niej żadnego uzasadnienia. Nie chodziło bynajmniej o podejmowanie rozmów z władzą – na te zrobiło się już zdecydowanie zbyt późno, lecz o walkę z milicjantami, a nawet głodówkę, której celem było uwolnienie wszystkich internowanych osób.

Ponieważ przepływ informacji niemalże nie istniał, a strajkującym zależało na powiadomieniu międzynarodowej opinii publicznej o sytuacji w kombinacie, studenci Politechniki Krakowskiej uruchomili na terenie huty Radio Wolna Polska, które nadawało komunikaty z ostatniego skrawka wolnej ojczyzny, jak określano teren zakładu. Rozgłośnia miała zasięg raptem pięciu kilometrów, lecz to wystarczało, aby część mieszkańców zbuntowanej dzielnicy zyskała rozeznanie w sytuacji panującej za bramami. Ci, którzy słuchali audycji, dokładali starań, aby informacje zostały rozpowszechnione pomiędzy obywatelami całego kraju, a jeśli było to możliwe, również i poza granicami Polski.

Bogusia z zapartym tchem czuwała przy odbiorniku, nasłuchując wieści z kombinatu. Wiedziała, że robotnicy z lękiem oczekują na kolejne posunięcia władzy.



Ludzie byli zdeterminowani do walki i gotowi nawet na śmierć, choć wielu z nich paraliżował strach. W każdej chwili oczekiwano szturm na hutę. Nocą piętnastego grudnia niejedyn raz podnoszono alarm. Gdy o pierwszej po północy zawyły syreny, robotnicy stojący w kręgu drżeli z zimna i niepokoju, lecz nie zamierzali się ugiąć. Mężczyźni własnymi piersiami zasłaniali kobiety, które znalazły się wewnątrz gromady. Doskwierał im przejmujący chłód, ogarniało ich zmęczenie, lecz nikt nie zamierzał odchodzić. Broniek zaciskał

pięści. W jego żyłach buzowała nagromadzona przez lata adrenalina. Wraz z innymi śpiewał pieśni patriotyczne i religijne.

O drugiej w nocy dziesięć czołgów T-54 staranowało mur wokół kombinatu. Za nimi na teren wkroczyło ponad dwa tysiące żołnierzy i mniej więcej tyle samo funkcjonariuszy ZOMO.

Z robotniczych gardeł wydobył się śpiew:

*Boże! Coś Polskę przez tak liczne wieki  
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,  
I tarczą Twojej wszechmocnej opieki  
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały.  
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:  
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!*[\[16\]](#)

– Jada na nas! Czołgi jada, ludzie! – krzyczał robotnik nadbiegający od strony bramy.

*Będą do nas strzelać* – pomyślał Szymczak, czyniąc znak krzyża na piersi.



Bardzo szybko pomiędzy mieszkańcami Nowej Huty zaczęły krążyć wieści o licznych aresztowaniach, które miały miejsce nocą w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego. Nadal nie było nic wiadomo na temat Karola, więc Wawrzyniec postanowił zaryzykować i popytać, czy jego syna nie ma wśród zatrzymanych. Nie musiał w tym celu odwiedzać komendy, miał bowiem różnych znajomych, którzy niekoniecznie reprezentowali te same poglądy polityczne co on. I choć przepływ informacji wciąż był bardzo utrudniony, Pawłowski

przyniósł żonie przykrą wiadomość.

– Wszystko wskazuje na to, że trafił do obozu internowania w Jaworzu.

– Uwięzili go? – zapytała szeptem, ponieważ nie chciała, aby ich rozmowę usłyszały dzieciaki. Już i tak trudno im było zrozumieć, że nigdy więcej nie przytulą się do swojej mamy.

– Tak. Nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że w całym kraju aresztowano kilka tysięcy osób. Przede wszystkim są to działacze opozycji. Władza chce zniszczyć Solidarność. Musimy jakoś się z nim skontaktować – dodał zatroskany. – Trzeba dać mu znać o tym, co się stało, choć jest mało prawdopodobne, że zdążymy przed pogrzebem. Daremnie próbowałem się tam dodzwonić.

– Nie mogę sobie tego wyobrazić – westchnęła Julia. – Jakby mało było tego, że wpadł w nieliczne tarapaty, to jeszcze musimy go dobić informacją o śmierci żony. Tak się o niego boję, Wawrzku. Bo nie dość, że siedzi, to jeszcze czeka go prawdziwy grom z jasnego nieba.

– Nic na to nie zaradzimy. Nie możemy tego przed nim ukrywać.

– Wiem. Już raz go okłamaliśmy. Być może gdyby o niczym nie miał pojęcia, tęsknota za żoną podtrzymałaby go jakoś na duchu w trudnych chwilach, ale potem mógłby nam tego nie wybaczyc.

– Ma jeszcze dzieci, które bardzo go potrzebują – zauważył mąż. – Nie wolno mu o tym zapomnieć, jakkolwiek by mu tam było.

Słowa Wawrzyńca wywołały u Julii kolejną falę trosk.

– Zastanawiam się, jak on znosi tę sytuację. Jak go traktują? Bieda aż piszczy w całym kraju. Wątpię, czy ludzie tacy jak on dostają przyzwoite posiłki. Bronek dość się naopowiadał o tym, jak są traktowani więźniowie polityczni. Tak bardzo się boję! Na samą myśl o tych przeklętych ścieżkach zdrowia cierpnie mi

skóra.

Ukryła twarz w dłoniach. Jej ramionami wstrząsnął szloch.

– Może nie jest aż tak dramatycznie? – powiedział Pawłowski bez większego przekonania.

Najgorsza była bezsilność. Serce mu się krajało, gdy widział łzy płynące z oczu żony. W ostatnich dniach wylała ich zdecydowanie za dużo. To wszystko przerastało Julię.

– Co teraz będzie?

– Musimy potwierdzić wiadomość o tym, czy faktycznie jest w Jaworzu. A potem trzeba wysłać do niego list i paczkę z żywnością. Nie wiadomo, skąd go zgarnęli, być może z ulicy, więc na pewno przyda mu się bielizna na zmianę i jakieś przybory toaletowe. Może mu doręczą. Będziemy się ubiegali o widzenie – planował racjonalnie.

– A co będzie z dziećmi? Jego może nie być całe lata – wyraziła dręczące ją obawy, choć w głębi duszy wiedziała, że rozwiązanie jest tylko jedno: spoczywał na nich obowiązek zatroszczenia się o gromadkę. Dla niej było to oczywiste i bezdyskusyjne. Nie wyobrażała sobie, aby miały wyjechać do Łańcuta. Dla wnuków gotowa była rzucić na szalę małżeństwo z Wawrzyńcem. Nigdy nie zapomniała powodów jego zdrady. Wierzyła jednak, że mąż postąpi tak, jak należy. Był szlachetnym człowiekiem, nawet jeśli zdarzyło się, że pobłądził.

– Bądźmy dobrej myśli, Julisiu. A co do dzieci, to chyba nie ulega wątpliwości, że muszą zamieszkać z nami na stałe aż do powrotu Karola. – Zauważył ogromną ulgę, jaka odmalowała się w tym momencie na jej twarzy. Domyślił się, że do tej pory żona bała się o tym wspomnieć, gdyż zapewne wciąż pamiętała o jego zdradzie sprzed paru lat i idiotycznym uzasadnieniu, że czuł się dla niej nikim, a jej uwagę pochłaniali wszyscy wokół, tylko nie on. – Obawiam się, że w jednym masz rację: to może trwać latami. Musimy więc zastąpić im rodziców i nadać życiu przynajmniej pozory normalności. Wiesz... Zastanawiam się,



czy nie byłoby dobrym posunięciem przepisanie ich do szkoły na naszym osiedlu.

– Nie – odparła żywo. – To pogorszyłoby sytuację. Nie dość, że zostały zabrane z domu rodzinnego, to jeszcze oderwalibyśmy ich od przyjaciół. Nie można im fundować dodatkowych przykrości. Niech przynajmniej szkoła pozostanie ta sama. Zresztą przepisanie ich oznaczałoby, że liczymy się z tym, że Karol... Że on... – Dalsze słowa nie chciały przejść przez jej gardło. – Że bardzo długo go z nami nie będzie – skończyła z wysiłkiem.

– Nadałaś telegram do Łyków?

– Tak. Próbowalam też zadzwonić, ale na poczcie mi powiedzieli, że nie można. Nawet w sprawie pogrzebu. Dla pewności wysłałam również list, w którym wyjaśniłam im sytuację. To na wypadek, gdyby nie dostali depechy. Dobry Boże! Cóż za straszne czasy!

W jej oczach ponownie zakręciły się łzy. Wyjęła chusteczkę. Wawrzyniec wstał. Na moment położył dłoń na jej ramieniu i lekko je uścisnął.

– Miejmy nadzieję, że przynajmniej rodzice Gabrysi dotrą na pogrzeb – stwierdził z głębokim smutkiem.



Pacyfikacja Huty imienia Lenina przebiegła bez większych ofiar. Kilku robotników zostało wprawdzie dotkliwie pobitych, lecz na szczęście obyło się bez strzelania do ludzi. W przeciwieństwie do podobnych działań podjętych w kopalni Wujek, nie doszło do rozlewu krwi. Wśród tutejszych hutników, którzy w trakcie strajku sprzeczekali się o to, czy należy walczyć do ostatniej kropli krwi czy stawić bierny opór, przeważał rozsądek. Aresztowania, stan wojenny i inne represje nie oznaczały ani końca świata,

ani tym bardziej końca Solidarności, nawet jeżeli organizacja została tymczasowo osłabiona.

Chwilowo pokonani opuścili teren kombinatu, a życie siłą rozpędu potoczyło się dalej.



Mszę świętą ku czci ofiar z grudnia siedemdziesiątego roku zaplanowano na siedemnasty dzień grudnia w kościele Mariackim. Jak tylko Bronek o tym usłyszał, z miejsca wyraził chęć wzięcia udziału – o ile w ogóle będzie miał taką możliwość. Niestety gdy wrócił do domu po rozgromieniu akcji protestacyjnej, czekały na niego smutne nowiny. Zamiast na nabożeństwo do Krakowa musiał udać się na cmentarz w Grębałowie, by wraz z najbliższymi pożegnać Gabrielę. Trochę był poobijany, gdyż jak zwykle w takich sytuacjach znalazł się w nieodpowiednim miejscu, ale zacisnął zęby, włożył jesionkę i pojechał.

Cóż to była za przygnębiająca chwila, gdy stanęli nad świeżo wykopanym grobem!

– Tak młode osoby nie powinny umierać – westchnął, zezując na zanoszącą się płaczem matkę Gabrysi. Ostatnio widział ją w kościele podczas komunii świętej bliźniaków. Wtedy wyglądała krzepko, tryskała witalnością i zdawała się niezłomna. Teraz miał przed oczami zdruzgotaną staruszkę zakutaną w kozuch i omotaną burą chuścina.

Dzieciaki chyba nie do końca uświadamiały sobie ostateczność matczynej śmierci. Zniecierpliwieni chłopcy kręcili się, przestępując z nogi na nogę. Wiolka przywarła do boku Julii i wielkimi ciemnymi oczyskami spoglądała dookoła.

Chwilami dziewczynka popłakiwała, ponieważ przerażał ją tłum żałobnych postaci i smutna muzyka. Nie chciała

przychodzić na pogrzeb, wolałaby zostać w mieszkaniu dziadków i przytulić Tuptusia. Choć przy babci czuła się bezpiecznie, tęskniła za mamą, której nie widziała od czterech dni. Nie mogło jej się w głowie pomieścić to, co powiedział dziadek: że ona już nigdy nie wróci, ponieważ poszła do aniołków. Babcia też potwierdziła jego słowa i dodała jeszcze, że mama będzie nad nią czuwać z nieba. I że na pewno wolałaby zostać z dziećmi, ale tak zdecydował los, a z losem nie ma dyskusji.



Na nabożeństwo do Krakowa w imieniu rodziny pojechał Ludwik. Nie dość, że wrócił stamtąd rozdygotany z zimna i mokry, to jeszcze był cały poobijany. Wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Pokrzyczeliśmy sobie trochę pod kościołem o tym, że WRON-a skona, a Jaruzelski to zdrajca – oznajmił rodzicom, gdy już siedział przebrany w suche rzeczy, zawinięty w ciepły koc, i popijał gorącą herbatę, wciąż jeszcze szczękając zębami. – No to przysłali nam na spotkanie paru mundurowych ze sprzętem do mycia jezdni. Nie przypuszczaliśmy, że armatki wodne zadziałają na tym mrozie, ale zrobiły nam kuku. Rozpędzili nas w cztery strony świata – powiedział z przygnębieniem. – A że stałem zdecydowanie za blisko, to zafundowali mi kąpiel i trzepanie odzieży pałami.

– Znowu przemoc! – zdenerwował się Broniek. – Jak nie czołgi, to armatki wodne! Czy oni poszaleli? Czy władza nigdy nie nauczy się rozmawiać z nami po ludzku?

– Tłukli nas bez opamiętania. Dla nich jedynym językiem przekazu są pały, gaz i zimna woda.

– Obyś tylko nie złapał zapalenia płuc – zmartwiła się

Bogusia.

Z miejsca zaaplikowała synowi witaminę C i dwie polopiryny, a na stłuczenia przyłożyła mu kompresy z kwaśną wodą.

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia zwolniono z pracy około dwóch tysięcy robotników. Wśród nich miał się znaleźć również Ludwik, który podczas zgromadzeń zdecydowanie zbyt głośno nawoływał do walki z władzą. Pomogła jednak interwencja ciotki, która poszła do dyrektora personalnego i uprosiła go, by skreślono chłopaka z listy. Przełożony długo nie chciał wyrazić zgody, lecz Julia dotąd nalegała, aż zmiękł. Na jego decyzję wpłynęła również prośba ze strony Pawłowskiego, który osobiście potwierdził, że z Szymczaka jest bardzo dobry fachowiec i żał byłoby go zwolnić. Tym razem mu się upiekło, lecz wszyscy zakładali, że nie na długo. Zresztą nikt w rodzinie, nawet Wawrzyniec, który za niego poręczył, nie oczekiwał, że młody buntownik spuści z tonu.



Po kilku dniach Wawrzyńcowi udało się potwierdzić miejsce pobytu Karola. Rzeczywiście znajdował się w ośrodku dla internowanych w Jaworzu.

– Zaraz pójde na pocztę i wyślę paczkę – ucieszyła się Julka.

Od kilku dni miała przygotowany pakiet zawierający przybory toaletowe, bieliznę i trochę rzeczy osobistych syna. Pozostało dołożyć jeszcze coś do jedzenia. Tylko co? Konserwy były ciężkie i nie wystarczyłoby mu ich na długo. Ale zbliżały się święta i choć wątpliwe było, czy przesyłka dotrze do niego na czas, matka postanowiła, że włoży do pudełka choć dwie puszki, by przynajmniej w Boże Narodzenie syn zjadł trochę lepszy posiłek. Znajomi poradzili jej, aby prócz tego posłała mu także smalec i cebulę, bo takie rzeczy wysyłało się ludziom do

więzienia. Kiedy o tym usłyszała, zaczęła rozpaczliwie zawodzić.

– Przecież on nie jest kryminalistą! Aresztowano go za działalność w opozycji.

Znała jednak świat już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że politycznych traktuje się o wiele gorzej niż największych zbrodniarzy.



Dzięki determinacji działaczy opozycyjnych cały świat dowiedział się o wydarzeniach w Polsce. Jan Paweł II wystosował list do Wojciecha Jaruzelskiego, w którym zaapelował o zaprzestanie działań niosących za sobą rozlew polskiej krwi. Dzień przed wigilią Bożego Narodzenia Ronald Reagan ogłosił sankcje gospodarcze wobec Polski, a w ślad za nim zrobili to przedstawiciele krajów Europy Zachodniej.

Stanowisko, jakie przyjął generał, pozostawało jednak niezmiennie: stan wojenny został utrzymany, nie zwolniono internowanych osób. W całym państwie obowiązywała godzina milicyjna, nie działały telefony, wstrzymano publikację prasy z wyjątkiem sztandarowych tytułów propagandowych: „Trybuny Ludu” oraz „Żołnierza Wolności”. Zamknięto dworce i lotniska, uszczelniono granice. Bez przepustki nie można było opuszczać miejsca zamieszkania.

Obywatele radzili sobie z tym po swojemu. W kioskach RUCH-u zalegały sterty niewykupionych gazet, powodzeniem cieszyły się natomiast wszelkiego rodzaju ulotki i prasa wydawane przez zdziesiątkowaną internowaniami opozycję. Na czas emisji *Dziennika Telewizyjnego* wyłączano telewizory. Mimo narzuconej godziny milicyjnej niemalże każdej nocy na murach pojawiały się hasła wywrotowe: „WRON-a orła nie pokona”, „Jaruzelski zdrajca”, „Solidarność”.

Co z tego, że w wigilię Bożego Narodzenia zniesiono na jedną noc godzinę milicyjną, aby ludzie mogli wziąć udział w tradycyjnych pasterkach? Co z tego, że *przywilej* ten otrzymali również z okazji sylwestra? Komu było do śmiechu, gdy tylu ludzi aresztowano, a w domach działaczy opozycyjnych pozostały znękanne kobiety z dziećmi?

## **Rok 1982**

Niedługo po Nowym Roku Julia zdecydowała, że nadeszła odpowiednia pora, aby wnuki wróciły do wszystkich swoich zajęć. W szkołach przywrócono lekcje zawieszane z powodu stanu wojennego, należało więc nadać życiu przynajmniej pozory normalności i odbudować świat, który legł w gruzach po śmierci Gabrieli. I choć Wioletta bardzo się ociągała, babcia zdołała przekonać dziewczynkę, by poszły na gimnastykę artystyczną. Jakież było ich zdziwienie, gdy na miejscu okazało się, że treningi zostały odwołane z uwagi na ograniczenia związane z wprowadzeniem stanu wojennego.

– No bez przesady! – oburzyła się, drżąc z zimna. – A cóż ma piernik do wiatraka?

– Sama pani wiesz: takie zajęcia tuż obok Dzielnicowej Rady?  
– Woźny wzruszył ramionami. – Nikt niepożądany nie ma prawa się tutaj teraz plątać. Przeca tu się roi od mundurowych. A poza tym obowiązuje zasada: żadnych zgromadzeń.

– Dobrze sobie! Jakież to zgromadzenia? Dzieciaki też podejrzewane są o działalność opozycyjną?

Niezadowolona kobieta ujęła drobną dłoń dziewczynki.

– Przykro mi, Faszko. Wracamy do domu.

– Mnie tam nie jest przykro – oznajmiła mała. – I tak nie lubiłam tych wszystkich wygibasów. To tylko w telewizji ładnie wygląda, a tak naprawdę trzeba się strasznie namęczyć, a i tak

panie ciągle na mnie krzyczały, że nie dość się przykładam do ćwiczeń i jestem za mało rozciągnięta. Jak mi kazały zrobić szpagat, to mnie bolało.

– Dobrze, dobrze – odparła nieco uspokojona Julia. Przed momentem martwiła się, że z powodu odwołanych zajęć dziewczynce będzie przykro. – Wymyślimy coś innego.

– Nie trzeba, babciu! Mnie wystarczą bajki i Tuptuś. Dużo bajek – oznajmiła.

– No dobrze. W takim razie w drodze powrotnej wstąpimy do Domu Książki i tam będziesz mogła sobie coś wybrać.

Jak obiecała, tak się stało. Gdy wysiadły z tramwaju na placu Centralnym, zamiast do mieszkania skręciły do największej nowohuckiej księgarni. Choć Wiolka już nieraz bywała w niej z mamą lub babcią, po raz kolejny z zachwytem spojrzała ku wysokiemu sklepieniu, z którego zwisały wspaniałe, wieloramienne żyrandole. Przez wysokie, łukowato zakończone okna wpadało mnóstwo światła. Promienie słońca opierały się o grzbiety setek woluminów rozłożonych na stołach oraz ustawionych na sięgających hen wysoko półkach. Trzeba było dobrze zadzierać głowę, aby ogarnąć wszystko spojrzeniem.

Ach! A ten zapach papieru, farby drukarskiej i jeszcze czegoś bliżej nieokreślonego, lecz tajemniczego i bardzo pociągającego!

Wiola mogłaby w nieskończoność przechadzać się wzdłuż stołu, na którym ułożono tomy w wielobarwnych okładkach. Ileż tytułów kusiło, aby po nie sięgnąć! Babcia i wnuczka powoli przesuwały się wzdłuż lady, oglądając, kartkując, wybierając. Za każdym razem, gdy jakaś bajeczka wzbudziła w dziewczynce większe zainteresowanie, zerknęła na Julię, aby się upewnić, czy może włożyć książkę do koszyka. Opiekunka przyzwalająco kiwała głową i od czasu do czasu sama coś jej doradzała.

Nareszcie dotarły do kasy. W koszyku było osiem egzemplarzy dla dziewczynki oraz dwie powieści dla babci.

– A tam też pójdziemy? – zapytała szeptem Wiolka, wskazując

palcem wejście na tajemniczą wyższą kondygnację.

– Jak będziesz trochę starsza. Tam są podręczniki i książki dla dorosłych – oznajmiła Julia. Potem odwróciła się do kasjerki, by uiścić należność.



Warunki panujące w Jaworzu były nadspodziewanie dobre. Po nieprzyjemnych doświadczeniach z aresztu, gdzie było brudno, zimno, a jedzenie przypominało zlewki dla świń, Karol spodziewał się, że w obozie dla internowanych trafi z deszczu pod rynnę. Tymczasem wylądował w eleganckim domu wczasowym, gdzie z nim i towarzyszami jego niedoli obchodzono się nader przyzwoicie. Otrzymywali doskonale i smaczne posiłki, o jakich wielu z nich na wolności mogło tylko pomarzyć. Do dyspozycji mieli także alkohole – i to nie byle jakie, lecz najlepszej jakości.

Niektórzy z internowanych odkładali część prowiantu z myślą o wysłaniu go do rodzin głodujących w domach.

– Takie racje żywnościowe przysługują oficerom w czasie wojny – wyjaśnił ktoś bardziej obeznany z tematem.

– Dziwne, że tak się z nami pieszczą – zauważył Pawłowski.

– A ja uważam, że to celowe. Spójrz, chłopie, kogo tu trzymają z nami – zauważył jego współlokator. – Sami profesorowie i inteligencja.

– Wymowa tego jest przejrzysta: zróżnicować i podzielić; oderwać intelektualistów od robotników, uprzywilejować jednych, aby drugich można było łatwiej im przeciwstawić<sup>[17]</sup> – stwierdził Tadeusz Mazowiecki przysłuchujący się tej wymianie zdań.

Ich pokoi nie zamykano, więc mogli swobodnie poruszać się między nimi. Ograniczone było jedynie wychodzenie na



zewnątrz. Karol spotykał więc na korytarzach ludzi, o których do tej pory czytał w materiałach opozycyjnych bądź usłyszał gdzieś pokątnie. Dużo dyskutował z nimi o sytuacji w państwie, choć musieli zachowywać przy tym rozwagę i ostrożność – wszak ściany miały uszy.

Tuż po Nowym Roku Pawłowski otrzymał paczkę i list. Zdziwiony był, że przesyłka nie pochodzi z jego domu, lecz od matki. Nim zdążył rozpakować karton, z przygnębieniem przypomniał sobie o tym, jak żona wystawiła go do wiatru w Styłowej. Często wracał myślami do tamtego feralnego popołudnia i zastanawiał się, czemu nie przysłała.

Czyżby chciała mu w ten sposób pokazać, że jednak wybiera tamtego mężczyznę? Może dziecko, którego oczekiwała, rzeczywiście spłodził kochanek?

*A co będzie z naszymi dziećmi? Kto się nimi teraz zajmuje? Obcy chłop?* – zżymał się ze złości, rozsypując sznurki od niestarannie spakowanego kartonu. Domyślał się, że ta niedbałość nie była winą matki, lecz kontrolerów sprawdzających zawartość przesyłek nadsyłanych internowanym.

W paczce znalazł trochę rzeczy osobistych, książeczkę do modlitw i różaniec oraz jedzenie: dwie konserwy mięsne, kilka kostek smalcu zawiniętych starannie w celofan oraz parę dorodnych cebul, pochodzących zapewne z Pawlic. Był też list w sinoniebieskiej kopercie opatrzonej pieczętą „ocenzurowano”.

Przypomniał sobie dzisiejszy suty obiad z kotлетem schabowym na drugie danie i zrobiło mu się przykro na myśl, że być może jego rodzina cierpi głód, choć wierzył w głębi duszy, że nawet jeśli Gabriela postanowiła go opuścić, to mama w dobroci swego serca nie pozwoli, aby jej wnuki chodziły zaniedbane.

Wzruszył się na myśl o rodzicielce.

*Jedyna kobieta, która kocha mnie bezgranicznie.*

Z rezygnacją wyjął z koperty kilka arkuszy, na których cenzorzy nie narobili większych szkód. Powiódł wzrokiem po liście i zamarł w głębokim niedowierzaniu.

– O mój Boże. To nie może być prawda! – jęknął.

[13] Źródło: [http://www.oocities.org/wojciech\\_jaruzelski/proklamacja.html](http://www.oocities.org/wojciech_jaruzelski/proklamacja.html)

[14] Chodzi o organizację Chrześcijańska Wspólnota Ludzi Pracy.

[15] Fragment tekstu piosenki Tadeusza Woźniaka *Zegarmistrz światła purpurowy*.

Tekst: Bogdan Chorażuk, muzyka: Tadeusz Woźniak, płyta: *Tadeusz Woźniak*, LP 1972 r.

[16] Hymn *Boże, coś Polskę* – słowa: Alojzy Feliński, muzyka: Jan Nepomucen Piotr Kaszewski, powstała 1812 r.

[17] Pobrano ze strony: <http://natemat.pl/127085,internowanie-w-staniewojennym-co-kto-gdzie-i-jak> w dniu 22-11-2017 godz. 16:10.

## Rozdział 6



### *Nowohuckie deszcze*

**W**styczniu aresztowano przywódców strajku w hucie. Mieczysław Gil został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Nawet jeśli na chwilę osłabiło to morale robotników, bardzo szybko podnieśli zwieszone głowy – życie trwało nadal, trzeba było jakoś funkcjonować w trudnych okolicznościach.

Zakład Usług Socjalno-Bytowych zaopatrywał pracowników kombinatu w różne deficytowe towary. Tą drogą udawało się pozyskać koszule, buty, pończochy, pościel i inne dobra, których nabycie w sklepach graniczyło z cudem.

Czego nie udało się dostać poprzez Zakład, należało wystać w gigantycznych kolejkach. Nawet posiadanie kartek żywnościowych czy talonów na paliwo nie gwarantowało, że uda się je zrealizować. Monotonie oczekiwania na dostawy towaru urozmaicały awantury o miejsce w kolejce albo czarny humor, którym okraszano pogawędki. Czasami przed witrynami i drzwiami wejściowymi bywało tak tłoczno, że nawet pracownicy nie mogli dopchać się do środka.



Julia z niepokojem nasłuchiwała wieści z miasta. Powinna była już kilka dni wcześniej przewidzieć, że wybuchną jakieś zamieszki. Wszak właśnie wypadła rocznica uchwalenia konstytucji – święto, tak znamienne dla polskiej historii – nieuznawane przez władzę ludową. Sytuacja w kraju była wyjątkowo napięta. Wystarczała mała iskra, by wzniecić pożar.

W ostatnich miesiącach w Nowej Hucie obywało się bez większych wstrząsów – to raczej Kraków stanowił ognisko zapalne. Tym razem jednak sytuacja się zmieniła i walka ze służbami mundurowymi rozgrywała się w najmłodszej dzielnicy miasta. Pomiedzy pracownikami Centrum Administracyjnego HiL szeptano, że w bijatykach z ZOMO biorą udział nie tylko okoliczni mieszkańcy, ale również młodzi mężczyźni, którzy przyjechali tramwajami i autobusami z innych dzielnic.

Teraz kobieta zamartwiała się tym, że posłała wnuki do szkoły. Mogła je zatrzymać, choćby nawet okazało się później, że ta przezorność była nieuzasadniona. Bez trudu usprawiedliwiłaby ich nieobecność w szkole. Kiedy Julia znalazła potwierdzenie swoich przeczuć, zabrała torebkę i narzuciła na ramiona sweterek. Nim opuściła biuro, wykręciła domowy numer telefonu, lecz w mieszkaniu nikt nie podniósł słuchawki. Bez względu na to, co działo się na ulicach, musiała dotrzeć do wnuków, które zapewne przebywały jeszcze w szkole.

Poprosiła przełożonego o zgodę na wcześniejsze opuszczenie miejsca pracy. Na szczęście gdy usłyszał, o co chodzi, nie robił problemów. Już po chwili gnała co tchu na przystanek, pomstując na coraz słabszą kondycję. Zziajana wsiadła do tramwaju, który o tej porze nie był przepełniony, gdyż w kombinacie wciąż trwała pierwsza zmiana.

Julia z niepokojem wyglądała przez okno. Minęli plac

Centralny. Widziała ludzi biegnących wzdłuż ulicy. Uciekali przed wozami bojowymi ZOMO, które polewały wodą buntowników. Wśród tego tłumu przeważali młodzi mężczyźni, choć nie brakowało i kobiet. Domyślała się, że pomiędzy nimi mogą być Ludwik oraz Wiesiek. Zapewne nie zabrakłoby tam i jej syna, który słał do niej listy pełne rozpacz, bólu i gniewu. Przez niezbyt szczelne okna wdzierał się do pojazdu gaz łzawiący, wywołując nieprzyjemne podrażnienie oczu. Dostawał się do środka również wtedy, gdy motorniczy otwierał na przystankach drzwi.

*Przyszło mi żyć w strasznych czasach – westchnęła.*

Pomimo ogromnego niepokoju o gromadkę podopiecznych zadumała się na moment nad historią Polski, która od wieków obfitowała w trudne wydarzenia.

*Chyba żadne czasy nie byłyby lepsze – doszła do wniosku Pawłowska.*

Tramwaj dojechał do przystanku na osiedlu XX-lecia, gdzie było jakby spokojniej. Owszem, widziała milicjantów, lecz ci tylko stali obok pomalowanego na niebiesko stara z okratowanymi szybami i obserwowali uważnie teren.

*Dobry Boże, spraw, aby dzieciakom nic nie było. Tutaj chyba nie doszło do większych przepychanek.*

Dziarskim krokiem ruszyła w głąb wyludnionego osiedla. Jej oczy łzawiły, gdyż i w tej okolicy powietrze przesycone było gazem. Rozglądała się z niepokojem. Zwykle pomiędzy blokami roilo się od ludzi i zewsząd dobiegał gwar dziecięcych zabaw. Tego dnia pomimo pięknej pogody alejki świeciły pustkami. Zza szczelnie pozamykanych okien nie dobiegały żadne dźwięki: ani gwar rozmów, ani pokrzykiwania dzieci, ani nawet jazgot odbiorników radiowych bądź telewizyjnych. Wymarłe miasto.

Julia minęła patrol milicyjny, który w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Zapewne dla nich nie wyglądała na kogoś, kto bierze udział w ulicznych burdach: miała na sobie kraciastą

rozkloszowaną sukienkę sięgającą poniżej kolan i pantofle na niewielkim obcasie. Wystarczająco niskim, by można było spędzić w nich całą dniówkę w biurze, nie narzekając na ból stóp, i wystarczająco wysokim, by wyglądać sztywnie, a jednocześnie by nie móc biegać. Choć wciąż farbowała włosy, jej twarz zdradzała przybliżony wiek. Być może właśnie dlatego mundurowi zostawili ją w spokoju.

Za zakrętem wpadł na nią jakiś mężczyzna. Zderzyli się boleśnie czołami. Musiał przed kimś uciekać, gdyż ledwo łapał oddech.

– Prze-pra-szam – wysapał. – Mi-li-cja? – Nie był w stanie zapytać o nic więcej.

– Tam. – Jedną dłonią Pawłowska wskazała kierunek, z którego przyszła, drugą rozcierała obolałą głowę.

Podniósł dłoń w geście podziękowania i ruszył dalej, gubiąc przy tym ulotki. Z dachu pobliskiego budynku również poleciał papierowy deszcz. Schyliła się, by podnieść jeden arkusz, gdy zmroził ją rozkaz.

– Zostawcie ten śmieć, obywatelko!

Podniosła wzrok i zobaczyła nadchodzącego zomowca. Ogarnął ją paniczny strach. Teraz bała się nie tylko o wnuki, ale również o to, czy dane jej będzie do nich dotrzeć.

Funkcjonariusz spoglądał na nią złowrogo zza pleksiglasowej osłony. Miarowym ruchem uderzał twardą gumową pałką we własną dłoń. Podeszedł bliżej. Dzieliło ich zaledwie parę kroków. Julia stała jak sparaliżowana. Rozum podpowiadał jej, że powinna przynajmniej spróbować ucieczki, lecz nogi odmawiały posłuszeństwa. I tak nie miałaby najmniejszej szansy.



Krystyna podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Z oddali

dobiegał ją rwetes, ale nie widziała sprawców zamieszania. W powietrzu unosił się dziwny zapach, coś gryzło jej spojówki.

*Gaz łzawiący!* – Pacnęła się dłonią w czoło. Jak mogła zapomnieć tę woń? Przecież służby mundurowe z wielkim upodobaniem poddawały mieszkańców Nowej Huty inhalacjom przy byle okazji.

*Cóż to mamy za święto? Trzeci maja...*

Przyćmione alkoholem szare komórki nie nadały z myśleniem.

Nie wypila znowu aż tak dużo, ale nie była też trzeźwa. Ten stan, gdy umysł był jasny i czysty od oparów, sprawiał jej nieprawdopodobny ból. Wolała go przytępić winem, które spowszedniało. Odświeżenie wódką. A gdy kończyły się pieniądze i oczekiwała na listonosza z rentą, dobry był nawet denaturat przepuszczony przez kromkę chleba. Bo wtedy nie myślała, nie miała żadnych skrupułów, nie prześladował jej cień wspomnień sprzed lat.

Ewa zbyt rzadko do niej zaglądała. Niewiele mówiła o swoim życiu. Stała się jakaś taka wyobcowana. Niewdzięcznica! Poleciała za Robertem, nie bacząc na to, jak bardzo rani serce matki. Krysia kochała ją jak nikogo na świecie. Tylko ona jedna jej pozostała, choć coraz bardziej skąpiła matce swej obecności. Ale przynajmniej nie odwróciła się jak inni, nie krytykowała, nie wymądrzała się, nie mówiła jej, jak ma żyć.

– Aha, znowu włączają mi się przemyślenia – burknęła pod nosem.

Starannie zamknęła okno, nie miała ochoty na inhalację oparami gazu łzawiącego. Zresztą coś świtało jej w głowie, że gdy trwają zamieszki, lepiej mieć zamknięte okna i nawet zasunięte zasłony. Nie można świecić lampą wieczorem, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Niejeden mieszkaniec Nowej Huty został już obdarowany przez zomowców petardą. Powinna więc mieć pod ręką miskę z wodą i ręcznik na wypadek, gdyby

otrzymała dostarczoną przez okno niespodziankę.

– Trza coś przygotować – stwierdziła. – Nim podpalą mi chałupę.

Często mówiła sama do siebie. Nie lubiła ciszy czterech ścian. Doskwierała jej samotność. Od dawna nikt jej nie odwiedzał. Prawie nikt, ponieważ Ewa jednak zaglądała. Niezbyt często, ale lepsze to niż nic. Julka też wściubiała swój ciekawski nos. I Broniek. I Boguśka. Ale ci ostatni mieszkali blisko, przychodzili z poczucia obowiązku, więc się nie liczyli. A siostra dlatego, że zawsze lubiła mieszać się w cudze sprawy.

Nim dotarła do łazienki, ktoś załomotał w drzwi jej mieszkania. Nerwowo, jakby całą dłonią. Jakby mu się paliło. Jakby już musiał wejść. Była akurat w przedpokoju, więc nie bacząc na zasady bezpieczeństwa, zamiast wyjrzeć przez judasz, po prostu odryglowała zamek. Ledwo zdążyła się cofnąć, gdy do mieszkania wpadł Ludwik. Szybko zatrzaskał drzwi, starannie zamknął zamki. Przyłożył palec do ust, nakazując jej milczenie.

– Przepraszam za to najście, ciociu. Tutaj miałem najbliżej – oznajmił szeptem.

Widać było po nim, że przebiegł spory dystans. Ledwo zipał z wyczerpania. Nie pytając jej o zgodę, ruszył do kuchni, odkręcił kurek i pochylił się nad zlewozmywakiem. Pił prosto z kranu, łapiąc pomiędzy łykami wody wielkie hausty powietrza.

Krystyna przydreptała za nim. Patrzyła na młodego mężczyznę, który rozpanoszył się w jej mieszkaniu.

– Masz zapałki? – zapytał, rozglądając się po zabałaganionym pomieszczeniu.

Odruchowo włożyła dłoń do kieszeni w brudnej, poplamionej podomce. Znalazła pudełeczko i podała je bratankowi. Ludwik wyjął plik ulotek spod koszuli. Spojrzał dookoła, lecz najwyraźniej nie znalazł tego, czego tym razem szukał. Poszedł



do łazienki. Włożył ulotki do umywalki. Trzasnął zapałką o draskę, a potem przyłożył wąty płomień do papieru. A gdy ten został strawiony przez ogień, mężczyzna wybrał resztki, wrzucił je do ustępu i nacisnął spłuczkę. Starannie usunął ślady popiołu z ceramiki.

– Przepraszam, ciociu. Musiałem to zrobić. Gonili mnie zomowcy. Gdyby znaleźli je przy mnie...

– Wiem, chłopcze – przerwała. – To była konieczność.

– Rozrzucałem je po mieście. Zostało mi dosłownie kilka i nie miałem jak się ich pozbyć. Do domu już bym nie doleciał, bo zabrakło mi sił. Zresztą widziałem z daleka patrol akurat pod moim blokiem. Jeszcze raz cię przepraszam. Nie miałem dokąd pójść.

– Nie szkodzi – stwierdziła. – Napijesz się czegoś?

Rada była, że w jej mieszkaniu w końcu ktoś się pojawił. Choć na chwilę, na parę minut, które trzeba stracić, aby wypić szklankę herbaty. Spojrzała z desperacją na młodego mężczyznę i natrafiła na jego wzrok.

Ludwik patrzył na stojącą obok ciotkę – obraz nędzy i rozpaczy. Pamiętał ją z dawnych, lepszych czasów. Kiedyś była całkiem ładną kobietą. Bardzo o siebie dbała. A po śmierci wujka zamieniła się w strzęp człowieka o rozczochranych włosach, ziemistej cerze i z brzydkimi obrzękami na twarzy.

*Dobry Boże, co też alkohol z nią zrobił!*

Zrobiło mu się żal tej biduli, której nikt nie był w stanie przemówić do rozsądku. Pewnie potrzebowała czyjejś obecności. Choć w pierwszym odruchu chciał podziękować i wyjść, zmienił zamiar.

– Tak, ciociu. Z przyjemnością.

Poszedł za nią do kuchni. Usiadł przy stoliku nakrytym poplamioną ceratą. Udawał, że nie widzi brudu, który wyzierał z każdego zakamarka.

Krystyna kręciła się radośnie, przetrząsając szafki

w poszukiwaniu kawy, herbaty lub czegokolwiek, co mogłaby zaproponować niespodziewanemu gościowi.

– Może być granulowana? – zapytała, potrząsając torebką z resztkami madrasu.

– Tak, proszę.

Opłukała pod kranem szklanki i przetała je niezbyt czystą ścierką. Nasypała herbatę. Przegląd zawartości szafek zaowocował torebką pokruszonych herbatników, które dawno temu musiała dostać od córki. Sama nigdy nie kupowała łakoci, żal jej było pieniędzy.

– Co u ciebie słysząc, Ludwiś? – zagadnęła.

– Aa... Dobrze. Jakoś tam leci – bąknął. Nie bardzo wiedział, o czym z nią rozmawiać. *Ludek, otrząśnij się, człowieku, skarciał w myślach samego siebie. Gadaj coś, gamoniu. Wtarabanieś się ciotce w mieszkanie, ryzykując, że przyciągniesz za sobą i glinę, i to gówno, co się do niej przylepiło,* pomyślał o zomowcach, więc okazał teraz choć trochę ludzkich odruchów. – A jak twoje zdrowie, ciotciu? – Uchwycił się najbezpieczniejszego tematu rozmowy. Wiedział bowiem, że trudno znaleźć z nią wspólny język.

Spodziewał się narzekań, lecz zamiast tego usłyszał, że wszystko dobrze.

Na moment zapadła cisza. Młody mężczyzna poczuł się niezręcznie. Łyknął lurowatego naparu. Zmarszczył czoło.

A potem ni z tego, ni z owego zaczął mówić.

Opowiadał ciotce o swojej pracy, o planach i marzeniach. O tym, że niedawno spotkał dziewczynę, która skradła jego serce. Że lubi mieszkać w Nowej Hucie, choć czasami przeraża go dzikie oblicze dzielnicy. Że latem chciałby pojechać nad morze, posłuchać szumu fal, zanurzyć się w Bałtyku i poszukać na plaży muszelek. Że cieszą go studia zaoczne, choć niełatwo pogodzić naukę z innymi zobowiązaniami. I że zbiera wszystkie widokówki, jakie on i jego rodzina dostają. Bo choć na razie nie

ma wiele czasu, to marzy o podróżach po całej Polsce. A najlepiej w ogóle po całej kuli ziemskiej. Do Afryki, do Azji, do Australii...

– Ha, ha, ha, ciociu – śmiał się, a ona razem z nim. – Dasz wiarę, że wszystkie ciekawe miejsca w świecie, które chciałbym zobaczyć, zaczynają się na literę A? Taki Atlantyk chociażby. Albo Półwysep Arabski. Angola. Antarktyda. Ameryka! – wyliczył.

– A Augustów jaśnie panu nie wystarczy? Albo Andrychów? – zakpiła, lecz nie złośliwie, tylko z rozbawieniem.

– Ależ oczywiście. – Puścił do niej oko. – I mógłby być jeszcze Aleksandrów Kujawski. I Annopol. I... i.... – zająknął się, gdyż brakło mu koncepcji.

– I Alwernia – podsunęła usłużnie.

Śmiali się, rozmawiali, a czas płynął. Nim się Ludwik obejrzał, zegar wybił pół do dziesiątej.

– Muszę już iść, ciociu – powiedział z ogromnym żalem. – Zaraz będzie godzina policyjna.

Sięgnął po kurtkę leżącą na taborecie obok. Krystyna spojrzała na niego z wielką nadzieją w oczach.

– Ale przyjdiesz jeszcze, prawda? – zagadnęła. – I opowiesz mi o Albanii...

– Oczywiście, ciociu – odparł, choć nagle głos uwiązł mu w gardle.

Uścisnął przedwcześnie postarzałą kobietę, nie zważając na nieświeży zapach, który unosił się z jej uszarganej podomki.

– Przyniosę dobrą kawę – obiecał. – Arabikę. – Mrugnął porozumiewawczo.

– To ja kupię lepsze ciasteczka. Andruty – podchwyciła. – Przyjdź. Będę czekała.

– Przyjdę.

Wyszedł.

Nagle w mieszkaniu zrobiło się przerażająco cicho i pusto.

Krystyna z przyzwyczajenia wyjęła z szafki butelkę wina. Już miała ją odkręcić, gdy przypomniała sobie barwne opowiadki bratanka o miejscach, których nie znał, lecz przeczytał o nich w magazynie „Dookoła Świata”.

– Ot, marzyciel – parsknęła śmiechem.

Usiadła na wytartej wersalce i zamknęła oczy.

– Boże, jak mi dobrze teraz – westchnęła, zapominając o alkoholu.

### ***Kilka godzin wcześniej***

Zomowiec okazał się niegroźny. Napędził Julii strachu. Zaczął ją wypytywać, czemu szwenda się po mieście opanowanym przez bandy łobuzów. Na szczęście uwierzył, gdy wytłumaczyła, że idzie po wnuki, które zostały bez opieki. Pozwolił jej odejść.

Budynek szkolny świecił pustkami, podobnie jak cała okolica.

– Dzieciaki poszły do domu. Dyrektor skrócił lekcje – oznajmiła tęga woźna, podpierając się kijem od miotły. Drażek musiał być niezwykle twardy, skoro utrzymał taki ciężar.

– Dziękuję – odparła Julia.

Miała nadzieję, że wnuki ruszyły prosto do mieszkania rodziców. To byłoby rozsądniejsze niż samotny przyjazd do Centrum w czasie trwania zamieszek, choć równie dobrze mogła się rozminąć z dzieciakami, gdy jechała tramwajem. Skierowała kroki w stronę bloku, gdzie mieszkali Pawłowscy. Pod jej stopami zaplątała się ulotka przyniesiona przez wiatr. Julia już schylała się, aby po nią sięgnąć, gdy przypomniała sobie zomowca spotkanego przed momentem. I choć paliła ją ciekawość, by rzucić okiem na arkusik, zostawiła świstek tam, gdzie leżał.

Dotarła do odpowiedniego bloku. Zmartwiła się, gdy odkryła, że nie ma tam nikogo. Drętwiała na myśl, że rodzeństwo

samotnie wracało do Centrum. Miała nadzieję, że przynajmniej trzymali się razem.

*Powinnam była ustalić z nimi jakieś sposoby postępowania w awaryjnych sytuacjach* – myślała zmartwiona swą niefrasobliwością. Gdyby coś złego przydarzyło się tej trójce, albo choćby jednemu z nich, syn byłby zdruzgotany.

W listach, które słał do domu, było tyle bólu i tęsknoty!

Z sercem na ramieniu szła na przystanek. Po drodze zatrzymał ją patrol milicji. Zajrzeli jej do torebki, przeszukali kieszenie swetra.

Nienawidziła przeszukań, prześlizgujących się po jej ciele cudzych rąk. Nienawidziła tłoku w pojazdach komunikacji miejskiej. Dotyku obcych ludzi. Oddechów wionących zbyt blisko. W takich sytuacjach gdzieś w głębi duszy odczuwała strach. Odzywały się traumatyczne wspomnienia z przeszłości.

Twarz Bartka nachylona nad jej twarzą. Jego posapywanie. Ból, jaki zadał jej podczas gwałtu. Każdy cios, który wówczas otrzymała.

Nigdy nie wyrwała tego z pamięci. To zawsze czaiło się gdzieś z boku, jakby czekało na uchylenie furtki, przez którą można wedrzeć się w myśli, wypełnić je i posiać w nich lęk.

– Nie ma nic. Spierdalaj do domu, głupia babo! – warknął milicjant, oddając jej torebkę. – Życie ci niemiłe?

Podziękowała w myślach głosowi rozsądku, który kilka minut wcześniej powstrzymał ją przed sięgnięciem po leżącą na chodniku ulotkę.

Do przystanku tramwajowego dotarła bez dalszych przygód.

*Dobry Boże, spraw, bym zastała dzieciaki w domu* – modliła się w duchu.

Gdy doszła do przejścia dla pieszych, niemalże zamarła z niedowierzania. Na przystanku była cała trójka. Razem z dziećmi stało dwóch funkcjonariuszy. Mundurowi wyglądali tak, jakby ich pilnowali.

Julia niecierpliwie odczekała, aż światło zmieni się na zielone, choć ulicą nie przejechał ani jeden samochód. Przed wybiegnięciem wcześniej na zebrał powstrzymała ją obecność milicjantów, którzy kręcili się przy starze.

– Wiolka, Marek, Adrian! – wykrzyknęła, podchodząc do wnuków. – Gdzieżeście się zapodziali? Chodzę po całym Dwudziestolecia i was szukam!

– To wasze dzieci, obywatelko? – zapytał jeden z milicjantów, mierząc ją zimnym spojrzeniem.

– Nie. To moje wnuczeta – odparła z poczuciem ulgi. – Zabieram je do domu.

– Tak będzie najlepiej. Kto to widział, żeby smarkacze włóczyli się samopas, gdy po mieście grasują bandy chuliganów i fanatyków religijnych! – skarcił ją funkcjonariusz.

– Nie wiedziałam, że wybuchną zamieszki – odpowiedziała hardo. – Zwolniłam się z pracy, aby po nich przyjechać. – Wskazała gromadkę.

W tym momencie na przystanek podjechała dwudziestka, która zgodnie z rozkładem jazdy przejeżdża przez plac Centralny. Rodzina Pawłowskich bezzwłocznie wsiadła do wagonu.

– Skąd wzięliście się na przystanku? – zapytała Julia. – Byłam tutaj może kwadrans temu.

– Jak nas puścili ze szkoły, to najpierw poszliśmy do mieszkania, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. A potem stwierdziliśmy, że trzeba jechać do ciebie, babciu.

– Ach, to dlatego musieliśmy się rozminąć. Bo ja prosto z tramwaju ruszyłam pod szkołę. – Pokiwała głową. – Napędziliście mi strachu, jak zobaczyłam, że nie ma was w domu. Umówmy się, że następnym razem, gdyby wydarzyła się taka sytuacja, będziecie czekali na mnie u siebie, dobrze? A ja będę dzwonić, że już po was wyjeżdżam. Sami macie się nigdzie nie ruszać.

– Dobrze, babciu – odparli zgodnym trójgłosem.

Gdy dotarli do domu, Julia zapędziła dzieci do mycia rąk, a następnie zleciła im odrabianie lekcji. Sama zakrzętała się przy obiedzie.

– Niestety, dzisiaj nie będzie wyjścia na pole – oświadczyła, gdy zamiast siadać do zadań przyszli za nią do kuchni. – Nasze oczy wystarczająco ucierpiały od gazu łzawiącego. Oby żadne z was nie dostało zapalenia spojówek, boście się ciągle tarli – utyskiwała. – Co też wam strzeliło do łbów, aby się włóczyć po mieście?

– Oj tam, babciu. Było fajowo – odparł Adrian. – Kryliśmy się przed zomowcami i milicją.

– No! Ale jeden taki nas wypatrzył – uzupełnił Marek. – Zaczął się na nas wydzierać, że mamy wracać do domu. Tylko on powiedział to znacznie brzydziej. Użył takiego słowa na es. No tośmy mu powiedzieli, że właśnie wracamy. Bo mieszkamy w Centrum, ale do szkoły chodzimy na Dwudziestolecia.

– I on odprowadził nas na przystanek i powiedział, że razem poczekamy na tramwaj – dodała Wiola. – Chociaż mówił coś o tym, że powinien nas odwieźć do domu dziecka czy jakoś tak.

– Święty Jacku z pierogami! – Julka załamała ręce. – Dopiero by się narobiło zamieszania! Ech!

– Babciu, a dlaczego są rozróby? – zapytała dziewczynka. – Bo to takie okropne... Bardzo się bałam – dodała cichym głosem, ledwo panując nad łzami.

– Moja maleńka. – Julia odłożyła nóż i ziemniaki. Wytarła dłonie w fartuch, a następnie bardzo mocno przytuliła wnuczkę. – To takie skomplikowane. Musicie wiedzieć, że ci ludzie, którzy biją się dzisiaj z jednostkami ZOMO, walczą w obronie słusznej sprawy. To nie są łobuzy ani fanatycy religijni. To ludzie, którzy pragną wolności. Ale nie można o tym wspominać na głos. – Powiodła wzrokiem po całej gromadce. – Pamiętajcie. Dla własnego dobra nic na ten temat nie mówcie.

Właśnie z tego powodu wasz tato musiał nagle wyjechać. Ale on wróci. Musi wrócić. Kiedyś ten koszmar dobiegnie końca. – Zdała sobie sprawę, że powiedziała zbyt dużo w obecności dzieci.

– A ja coś mam, babciu – pochwalił się Adrian, sięgając do kieszeni w spodniach. Wyjął z niej całą garść zmiętych ulotek. Położył je na stole kuchennym.

Oczy Julii zogromniały z wrażenia.

– Nie mów mi, że miałeś je przy sobie, gdy staliśmy na przystanku – zagadnęła zupełnie niedorzecznie, gdyż dobrze wiedziała, że wnuk nie mógł ich znaleźć po opuszczeniu tramwaju. Kiedy szli do mieszkania, miała na oku całą trójkę. Z duszą na ramieniu prowadziła dzieci przed szpalerem zomowców ustawionych wzdłuż chodnika.

– On je zbierał po drodze ze szkoły – wypaplała Wiola – choć pan dyrektor nam zakazał. Jak wychodziliśmy, to powiedział, żebyśmy szli najkrótszą drogą do domów i nie podnosili papierów leżących na chodnikach. A jakby coś fruwało w powietrzu, to nie wolno tego łapać. I ja byłam grzeczna, bo nic nie podniosłam. A Marek i Adek napakowali całe kieszenie.

– Skarżypyta – oburzył się starszy brat i pokazał siostrze język.



Trzy godziny później do mieszkania wrócił Wawrzyniec, a potem zadzwoniła Marta, że zostanie do jutra u teściowej, bo nie chcą całą rodziną kręcić się po dzielnicy. Szkoda dziecka. Nie ma sensu narażać maleństwa na to, by gaz łzawiący wdarł się w jego oczka. Albo żeby, uchwaj Boże, znaleźli się pomiędzy demonstrantami. Gdyby Krzysztof był sam, to co innego. On może biegać po mieście, rwać bruk, rzucać nim w oddziały



ZOMO i wykrzykiwać buntownicze hasła. Ale nie wtedy, gdy jest przy nim synek!

Niepokoje w mieście trwały do późnych godzin. Wieczór dłużył się w nieskończoność. Siedzieli w zaciemnionym mieszkaniu, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Nie włączyli telewizora. Wawrzek przez chwilę słuchał, co mówią w radiu.

– Nic. Cisza. Jak znam życie, to jutro będzie zdawkowa wzmianka o chuligaństwie – powiedział rozgoryczony, wyłączając odbiornik.

– Nie spodziewam się niczego innego – skwitowała Julia.



Kilka dni później wśród mieszkańców Nowej Huty zaczęła krążyć informacja o tym, że jakiś młody chłopak wracał do domu nocą i nie miał przy sobie przepustki. Niefortunnie natknął się na patrol i dostał takie lanie, że nie wiedząc o bożym świecie, trafił do szpitala. Ludzie mocno ubolewali nad jego losem – był niewinną ofiarą stanu wojennego. Tego dnia, gdy został pobity, nie doszło do żadnych zamieszek i nie działo się nic, co tłumaczyłoby choć po części agresję milicjantów.



Ludwik wyszedł z pracy. Czekają go wolne, leniwe popołudnie, gdyż nie miał żadnych planów na resztę dnia. Wprawdzie od kilku tygodni spotykał się z Justyną, sympatyczną pracownicą biura mleczarni, lecz tego dnia nie byli umówieni. Z nieba siąpił majowy deszcz – zbyt drobny, by zawracać sobie głowę parasolem, zbyt uporczywy, by dało się go zupełnie zignorować. Młody mężczyzna wędrował z kapturem wiatrówki naciągniętym na głowę i rękami wbitymi w kieszenie. Zwolnił koło sklepu.

Jego uwagę przykuło dwóch pijaczków, którzy mimo mżawki siedzieli na ławce, sącząc tanie wino. To przypomniało mu o obietnicy złożonej ciotce.

*Może bym do niej zajrzał? I tak nie mam nic lepszego do roboty.*

Wstąpił do samu, gdzie nabył puszkę herbaty wiórkowej i paczkę herbatników. Potem w kiosku kupił ostatni numer czasopisma „Dookoła Świata”, które miało mu w razie czego pomóc w rozmowie z Krystyną.

Gazeta okazała się niepotrzebna. Ciotka chyba go od kilku dni oczekiwała, gdyż miała i ciastka, i świeżą herbatę, i nawet cukier, którego ostatnim razem nie podała na stół. Uprzątnęła też trochę mieszkanie i wywietrzyła je z nieprzyjemnego zaduchu, jaki panował w nim przed dwoma tygodniami. Nawet stół nakryła czystym, choć postrzępionym obrusem, który z całą pewnością pamiętał lepsze czasy.

Ucieszyła się widokiem bratanka. Posadziła go w pokoju gościnnym i poszła zaparzyć herbatę. Wróciła kilka minut później z naparem oraz andrutami.

– Bałam się, że nie przyjdiesz – oznajmiła. – Kto by tam chciał odwiedzać starą ciotkę?

– Ależ ciociu, przecież obiecałem. A poza tym nie jesteś stara.

– Jestem, jestem. – Pokiwała głową. – Lustro nie kłamie.

– No... Tu masz rację. Nie kłamie. Ale podpowiada, że można byłoby coś zmienić. Na przykład pójść do fryzjera – puścić do niej oko – albo pomalować paznokcie. Bo na innych upiększeniach to ja już się nie znam. Prędzej by Agniecha coś doradziła. Ale pamiętam, że jak dawniej cioteczka przychodziła do nas w gości, to potem mama wzdychała i mówiła do ojca, że też chciałaby zrobić sobie tak szykowną fryzurę albo uszyć podobną sukienkę, albo kupić podobne buty.

– Stare dzieje. – Pani domu machnęła ręką.

– Nie takie znowu stare. Ciocia była bardzo elegancką kobitką.

Czemu by do tego nie wrócić, he?

– Bałamut – parsknęła śmiechem. – A kto to będzie widział?

– A ja, chociażby. Wpadnę znowu za kilka dni. Przyniosę jakieś czasopismo o podróżach. Albo kupię cioci „Kobietę i Życie”, mama bardzo je lubi. Napijemy się razem herbaty, opowiem, co u mnie słysząc. No, jak? Pójdzie cioteczka do fryzjerki? – zagadnął. – Umowa stoi?

– Stoi – odparła, poprawiając zbyt długą siwą grzywkę, która wmykała się wsuwce i leciała jej do oczu.



W pierwszej dekadzie czerwca Nową Hutę lotem błyskawicy obiegła wiadomość o tym, że po kilku tygodniach od brutalnego pobicia zmarł w szpitalu Andrzej Szewczyk – młody pracownik Huty imienia Lenina, pasjonat artystyczny, który występował w Zespole Pieśni i Tańca „Słowianki”.

– Tak go skatowali pałami, że strach było patrzeć – opowiadała w domu Bogumiła. W jej ciemnoniebieskich oczach migotały łzy. A przecież była pielęgniarzką oswojoną z różnymi urazami. Nie powinna tak mocno reagować na widok zmasakrowanego ciała. Już dawno powinna była uodpornić się na widok krwi, bólu i cierpienia. – Nie miał szansy nawet na to, by się pożegnać z matulą. Umarł, biedaczek, nie wiedząc o bożym świecie.

– No to mamy tutaj pierwszą śmiertelną ofiarę stanu wojennego – powiedział z goryczą syn. – Tego bezpieczeństwa nie utrzyma w tajemnicy.

– Za dużo ludzi już wie. Marta od ciotki Julki znała tego chłopaka z zespołu. Skurwysyny – warknął Ludwik. – Kto to widział, żeby rzucać się z pałami na bezbronnego człowieka? Czym im się tak naraził? No... czym? Tym, że szedł ulicą po

godzinie milicyjnej?

– No widzisz, synku, jak to trzeba zachowywać ostrożność? Tyle razy cię napominam, byś pilnował godziny powrotu – przestrzegła go Bogusia.

– Wiem, mamó, wiem. Ale czasami się nie da. Ale wiesz, że zawsze jestem czujny.

– Tamten też pewnie był. I co? Wystarczył moment. Tak was proszę, dzieciaki: uważajcie na siebie.

– Szkoda chłopaka. – Bronek pokręcił głową. – Całe życie było przed nim!

– Andrzej miał dopiero dwadzieścia dwa lata. Mógłby być naszym dzieckiem. Toż Ludwik niewiele od niego starszy.

– Andrzej – szepnęła Agnieszka. – Jakież to wymowne, zauważyliście? Przynajmniej tej ofiary nikt nie próbuje zatajać. I nikt nie sfalszuje daty śmierci na jego nagrobku.

– Nasz Jędrzek też miał całe życie przed sobą – westchnął ojciec.

– Co za podły świat! O ludzie! Dokąd to wszystko zmierza? – jęknęła Bogusia.

– Pomścimy Szewczyka – zaperzył się chłopak.

Matka spojrzała na niego. W jej oczach zamigotał ból. Nieustannie drżała z lęku o swoje dzieci, zwłaszcza o syna. Odkąd wprowadzono stan wojenny, nie zaznała ani chwili spokoju. Spędzała długie bezsenne noce, modląc się, by nic złego nie spotkało jej bliskich. Każdy trzynasty dzień miesiąca, każda data ważna dla Polaka – oznaczały niewyobrażalny strach. Czy Agnieszka wróci szczęśliwie z pracy lub kościoła? Czy Ludwiś umknie przed pałami zomowców?

Nie mogła zabronić synowi nadstawiania karku. Czasy pokory minęły bezpowrotnie w dniu, gdy nowohuccy robotnicy po raz pierwszy starli się z siłami mundurowymi – w obronie krzyża. Teraz wykorzystywano każdą sposobność do demonstrowania poglądów. By wykrzyczeć wściekłość i bunt.

Zbliżał się trzynasty czerwca. Bogumiła dobrze wiedziała, co to znaczy: najpierw nabożeństwo fatimskie w Arce Pana, potem wymarsz z bezpiecznych murów kościoła. Naprzeciw szpalerom ZOMO, ich wozom bojowym, armatom wodnym. Powietrze znowu będzie szczypało gazem. Posypią się kamienie. Z płyt chodnikowych i ławek powstaną barykady. Młodzi mężczyźni będą rwać bruk z ulic, zaciskać dłonie w pięści, zdzierać gardła w krzyku.

Za wiarę.

Za Solidarność.

Za wolną Polskę.



Rzeczywiście przeczucia nie myliły Bogusi. Tuż po zakończeniu comiesięcznego nabożeństwa fatimskiego w Arce Pana wierni uformowali się w pochód i tłumnie ruszyli w stronę placu Centralnego. Ze śpiewem na ustach i okrzykami. Spragnieni wolności i spokojnego, godnego życia. Ledwo opuścili teren przykościelny, drogę zastąpiły im brygady uzbrojonych zomowców. Nic nie mogło powstrzymać mieszkańców Nowej Huty. Znowu w ruch poszły kamienie, butelki z benzyną, a na okolicznych ulicach powstały barykady. Nad dzielnicą unosiły się opary gazu łzawiącego, a z dachów spadał deszcz ulotek.

W ciągu najbliższych tygodni w dzielnicy wciąż dochodziło do regularnych bitew zbuntowanych obywateli z oddziałami ZOMO. Nic nie mogło powstrzymać tego żywiołu.

W takich dniach pustoszały osiedla. Dzieci zostawały w mieszkaniach. Zamykano szczelnie okna, ryglowano drzwi. Na ulicach można było spotkać jedynie służby mundurowe i ludzi walczących o swoje prawa – wyrażających sprzeciw wobec stanu wojennego i związanych z nim ograniczeń.



W przeddzień narodowego Święta Odrodzenia Polski część internowanych uzyskała zgodę na powrót do domów. W gronie tych szczęściarzy znalazł się również Karol. Z ciężkim sercem wysiadł na Dworcu Głównym w Krakowie. Uderzył go żar lipcowego popołudnia. Znużony kilkugodzinną podróżą mężczyzna powlókł się na przystanek tramwajowy w nadziei jak najszybszego złapania czwórki.

Pierwsze kroki zamierzał skierować do rodziców, bowiem tam przebywały jego dzieci. Tęsknił za nimi, gdy gościł w Jaworzu. Nieustannie myślał o swojej rodzinie i o tym, co utracił. Żałował każdego momentu, którego nie spędził z bliskimi, gdyż pochłaniały go inne sprawy. Przecież nie musiał przesiadywać całych dni w bibliotece i na uczelni. Mógł inaczej gospodarować czasem, bywać więcej w domu – ze swoją Nszo-czi, córką i chłopcami. Oddalił się od żony na długo, nim zaszła w ostatnią ciążę. Z pociechami chyba nigdy nie nawiązał bliskich relacji, pozostając na uboczu, nie żyjąc sprawami domowymi. Coś mu świtało, że tuż przed jego aresztowaniem Wiolka skarżyła się na nauczycielkę gimnastyki artystycznej – nie lubiła tych zajęć, lecz uczęszczała do szkółki, gdyż tego życzyła sobie Gabrysia. O chłopcach wiedział jeszcze mniej. Nie znał ich zainteresowań. Jadąc w stronę Nowej Huty, ze wstydem uświadomił sobie, że może mieć problem z rozróżnieniem bliźniaków.

*Ojciec doskonały* – urągał sobie w duchu.

Minione pół roku jawiło mu się jako jeden wielki koszmar, choć nie cierpiał głodu ani upokorzenia, nikt go nie bił. Szczęśliwie ominęło go wszystko to, o czym opowiadali wujkowie i czego sam doświadczył, gdy przed laty zgarnięto go

razem z grupą hippisów.

Ból sprawiały mu wyrzuty sumienia oraz nieznośna myśl, że już nigdy nie zobaczy Gabrysi. Nie było mu dane pożegnać się z żoną. Nie pamiętał ostatnich słów, jakie do niego skierowała. Czy uśmiechnęła się wtedy? Czy niecierpliwym gestem odgarnęła włosy za ucho? Jak była ubrana? Nie potrafił sobie przypomnieć tych wszystkich detali. Naszła go refleksja, że nawet gdy na nią patrzył, to tak naprawdę wcale jej nie widział – jakby był przezroczysta.

Jak ułożyć sobie życie na nowo? Czy zdoła posklejać w całość niepełną rodzinę? Jak ma funkcjonować w domu bez żony?

To Gabrysia dbała o dzieci, mieszkanie i wszystkie sprawy doczesne. Nie pomagał jej ani w robieniu zakupów, ani w odprowadzaniu brzdąców do szkoły czy przedszkola, nie chodził z nimi do lekarzy. Nie sprzątał, nie wiedział, co to znaczy wyprać coś samemu lub pozmywać. Ugrzązł w pracy naukowej tak bardzo, że zapomniał o bożym świecie.

Tramwaj wjechał na przystanek przy placu Centralnym.

Karol złapał torbę i wyskoczył z pojazdu. Mimo irytującej obecności licznych patroli milicyjnych wzruszył go widok ukochanych miejsc.

*To wygląda jak obleżone miasto.*

Znowu odezwał się w nim duch wojownika. Przypomniał sobie poglądy rodziców, wuja Bronka i Janka, którymi nasiąkał od dziecka. Przez ostatnie pół roku jego emocje były uśpione – skupiał się na opłakiwaniu tragicznie zmarłej żony. Niby przebywał w odosobnieniu, lecz pominąwszy drobne niedogodności, miał jak u Pana Boga za piecem. Nawet karmili go tam lepiej niż w rodzinnym domu. A teraz, po raz pierwszy od wielu miesięcy, znowu zawrzała w nim krew i poczuł bunt.

Dlaczego jego dzieci mają dorastać w poczuciu zagrożenia, drżąc ze strachu przed władzą, która zamiast troszczyć się o obywateli, usiłuje zniewolić ich na wszelkie możliwe sposoby?

Smutne było powitanie z rodziną. Polały się łzy wzruszenia. Dzieciaki przyłgnęły do niego – stęsknione, ufne, że życie znowu wróci do normy. Wciąż nieoswojona śmierć matki wydała im się nagle mniej traumatyczna.

– Synku, syneczku. – Julia tuliła go ze wszystkich sił, nie kryjąc łez, obficie płynących po jej dziwnie poszarzałej twarzy, na której nieubłagany czas zaczynał powoli ryć swoje piętno.

– Mamo. – Nic więcej nie był w stanie powiedzieć. W tym jednym słowie była cała jego radość i ulga. Cała rozpacz i lęk przed przyszłością.

Przez chwilę trwał w bezpiecznych objęciach kobiety kochającej go bezwarunkowo, całym sercem – takiego, jakim był. Nagle jednak poczuł, jak pomiędzy nimi rozpycha się łokciami jeszcze jedna mała kobietka. I to taka, która także darzyła go miłością pełną, wielką i nieskończoną.

– Zabierzesz nas do domu, tatku? – zapytała Wiola. Dobrze mieszkało się z babcią, która potrafiła opowiadać przepiękne baśnie, kochała ich i dbała o nich najlepiej, jak tylko można to było sobie wyobrazić. Dziewczynka tęskniła jednak za miejscem, w którym się wychowywała. Za swoim podwórkiem i koleżankami, za dogodną bliskością szkoły, a nawet za ciasnotą pokoiku dzielonego z braćmi.

U babci Julii było fajnie, ale jeszcze ciaśniej niż u nich w domu. Bo u siebie mieli piętrowe łóżko dla chłopców i wąski półkotapczan dla Wioli. A u babci musieli spać w trójkę na jednym pościu, które w normalnych okolicznościach było sypialnią Julii i Wawrzyńca. Nie mieli biurka i wielu swoich ulubionych rzeczy, które musiały pozostać na osiedlu XX-lecia. I tak dobrze, że dziadkowie zgodzili się na zabranie akwarium z Tuptusiem, choć przez chwilę była mowa o tym, aby gryzoń został sam, a dzieciaki zaglądały do niego po wyjściu ze szkoły. Wiolka jednak skutecznie broniła swojego ulubieńca, mówiąc że bardzo go kocha i nie może zostawić chomiczka bez opieki.



A poza tym on zupełnie by zdziczał, gdyby nie miał się z kim pobawić.

– Zaraz tam pojedziemy – obiecał tato.

– Najpierw obiad – zarządziła Julia, wiedząc, że na XX-lecie została pusta lodówka, którą osobiście opróżniła, wyłączyła z prądu, a następnie umyła octem.



Przez następnych kilka dni Karol załatwiał dziesiątki spraw związanych z powrotem do rzeczywistości. Pojechał na uczelnię, aby dowiedzieć się, co dalej z jego pracą. Tutaj na szczęście nie spotkał się z trudnościami. Z pomocą matki usiłował rozeznaczyć się w domowych rachunkach i odkrył, że jest jej dłużny sporo pieniędzy, gdyż przez cały ten czas wszystko opłacała. Również z jej pomocą napełnił lodówkę oraz szafkę na zapasy. Uczył się obcowania z dziećmi, zaspokajania ich codziennych potrzeb. Jego dni były całkowicie wypełnione mnóstwem drobiazgów, o które wcześniej nie musiał się troszczyć. W tych trudnych chwilach dziękował Bogu za to, że ma wspaniałych rodziców, którzy na każdym kroku okazują mu życzliwość, wspierają dobrymi radami oraz pracą swoich rąk. Nie pozwolili na to, by ugiął się pod przytłaczającym go ciężarem, lecz wciąż wskazywali drogę, którą powinien podążać.

A on czuł się czasami taki bezradny!

Gdyby nie mama i tato, zapewne w którymś momencie usiadłby i gorzko zapłakał. Ale oni nie pozostawiali mu na to czasu, przypominając, że jest ktoś, kto bardzo go potrzebuje.

Nagle odkrył, że jego dzieci to prawdziwe skarby: samodzielne, myślące, odpowiedzialne. Pierwszy raz w życiu Karol przyjrzał się uważnie całej trójce i stwierdził, że to, co dla niego stanowiło do tej pory zwartą masę określaną krótko jako „dzieci”, było

w rzeczywistości trzema organizmami o zupełnie różnych charakterach i zainteresowaniach. Ponieważ wrócił do domu w czasie wakacji, nareszcie miał okazję, aby naprawdę poznać swoje pociechy.

Wioletta – mała dorosła o mądrym spojrzeniu – z dziecięcym optymizmem rwała się do pomocy w codziennych pracach domowych. Nie wiedział, czy to była zasługa Gabrysi czy babci, lecz ośmiolatka potrafiła zrobić naprawdę dużo: począwszy od sprzątnięcia, poprzez pranie, w którym trochę trzeba było jej pomóc na przykład poprzez rozwieszenie wszystkiego w suszarni na półpiętrze, a skończywszy na gotowaniu prostych potraw takich jak zupa pomidorowa, rosół czy łazanki. Trochę gorzej szło jej lepienie pierogów. Zmiana bielizny pościelowej stanowiła dla dziewczynki spory wysiłek, gdyż trudno się strzepywało kołdry, lecz reszta wychodziła jej nad podziw dobrze. Dziewczynka była słodką iskierką kochającą wszystkie zwierzątka świata włącznie z muchami, które czasami wlatywały przez otwarte okno. Podobnie jak babcia Julia uwielbiała czytać książki. Do koleżanek podchodziła sceptycznie i z dużym dystansem. Wolała towarzystwo chłopaków. Starsi bracia wzbudzali w niej respekt, a oni czuli to, i choć nieraz zdarzało się, że jej dokuczali, bardzo się o nią troszczyli. Każdy z nich gotów byłby stoczyć bitwę w obronie siostry, gdyby zaszła taka potrzeba.

Adrian – niepoprawny wesołek, dbał o to, by im się nie nudziło. To przede wszystkim. Zawsze potrafił rozbawić rodzinę jakąś nieszkodliwą psotą lub żartem. Pod wieloma względami przypominał Karolowi zmarłego przed laty Janka Kulkę, który choć był tylko wżeniony w rodzinę, doskonale się w nią wpasował. Poza tym chłopak zawsze pamiętał o wynoszeniu śmieci, odkurzeniu podłóg i odniesieniu butelek do skupu. Lubił słuchać wesołej, skocznej muzyki. Podobnie jak młodsza siostra tryskał pogodną energią i zawsze z optymizmem

spoglądał na otaczającą go rzeczywistość. Uczył się średnio, jego świadectwo szkolne nie należało do wybitnych, nie było też najgorsze. We wrześniu, po pierwszej wywiadówce w szkole, Karol dowiedział się, że syn jest prawdziwą duszą towarzystwa. Lubiany, koleżeński, skory do pomocy. Zdolny, ale leń. Stać go było na znacznie więcej, niż osiągał.

Marek – prawdziwe przeciwieństwo swego bliźniaka, gdyż był zawsze nad wiek poważny, wręcz ponury – myślał o zakupach. Pamiętał o wystawianiu umytych przez siebie butelek z mleka na klatkę schodową. Nie krzywdował sobie również mycia okien i podlewania kwiatków. Całym sercem kochał swoje rodzeństwo i wskoczyłby w ogień za każdym z nich. Lubił słuchać polskiej muzyki rockowej. Zgromadził sporą kolekcję kaset magnetofonowych i winyli swoich ulubionych wykonawców – wydawał na nie wszystkie swoje pieniądze. Dużo czytał, lecz lubował się w dość poważnej literaturze, i w wieku jedenastu lat zaskakiwał ojca cytatami z takich pereł literatury jak *Mistrz i Małgorzata*, *Chłopi* lub *Kariera Nikodema Dyzmy*. Karol spoglądał nań ze zdumieniem i zastanawiał się, skąd mu się wzięło takie dziecko – nad wiek dojrzałe i przenikliwe.

Wszystkie złe doświadczenia zweryfikowały dotychczasowe przyjaźnie i znajomości Karola. Naraz okazało się, że mężczyzna niemalże nie posiada wolnego czasu. Pochłonięty codzienną szarpaniną egzystencjalną przestał zwracać uwagę na osoby, które nagle zniknęły z jego horyzontu – powierzchowne znajomości uczelniane, mało istotne koleżeństwa, dalszych krewnych. Znowu wyjątkowo bliski jego sercu stał się Wiesiek, ojciec dwójki dzieci, i jego żona Łucja – kobieta ciepła, rodzinna, kochająca. To właśnie oni zaczęli w subtelny sposób wypełniać olbrzymi krater, jaki powstał w mikrokosmosie Pawłowskiego po śmierci żony.



*Dlaczego nie pomyślałam o tym, że znowu mogą wybuchnąć zamieszki?* – denerwowała się Ewa po opuszczeniu kościoła.

W Warszawie ludzie mieli księdza Jerzego Popiełuszkę, który regularnie odprawiał msze za ojczyznę. Nowa Huta miała kapłanów z Arki Pana i nabożeństwa fatimskie odprawiane każdego trzynastego dnia miesiąca począwszy od maja aż do października. Przyciągały one rzesze wiernych modlących się o pokój. Potem ludzie tłumnie maszerowali w stronę placu Centralnego. To nie oni atakowali zomowców, lecz Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej prowokowały bitwy, które staczano pałami i wyszarpanymi skądś kołkami, gazem łzawiącym i kamieniami, armatkami wodnymi i płytami chodnikowymi.

Kowalikowa stała, spoglądając na tłum formujący się w pochód. Widziała też wozy bojowe, armatki i chmary zomowców przygotowanych do działania.

– Po-ko-jowa de-mon-stracja! Po-ko-jowa de-mon-stracja! Po-ko-jowa de-mon-stracja! – skandował tłum. – So-li-darność! So-li-darność!

Kobieta postanowiła przeczekać do momentu, gdy ludzie opuszczą teren przykościelny. Zastanawiała się, jak dotrzeć z dziećmi do domu. Właściwie była nawet trochę niezadowolona z tego, że już na placu dochodzi do jakichś ekscesów.

A potem skarciła się w myślach za niepotrzebne nerwy z powodu tych wszystkich osób, które po wieczornym nabożeństwie tłumnie wyszły na ulicę. Wszak oni walczyli o to, czego pragnął jej ukochany tatko: o wolność.

Janek Kulka coraz bardziej zacierał się we wspomnieniach córki.

Jakże mało pozostaje po umarłych, gdy ich rzeczy doczesne

znikają z mieszkania. Zachowuje się kilka zdjęć w albumie, garść historyjek, których w następnym pokoleniu już nikt nie będzie opowiadał, czasami jakiś list, który oparł się porządkom, czasami inny drobiazg. Szczoteczka do zębów, ubrania, zapachy – to odchodzi najszybciej. Potem zaciera się przed oczami widok ukochanej twarzy. Uszy zapominają tembr głosu.

A jednak w środowe popołudnie trzynastego października pamięć o ojcu wróciła – wzmożona strachem. Bo z pamięcią jest jak z falami na rozkołysanym sztormem Bałtyku: czasami coś oddala się, pozostawiając za sobą opustoszałe miejsce. Myśli jak woda – cofają się daleko, hen po horyzont. A potem wracają z nieprawdopodobną prędkością. Uderzają o klif, podmywając go, zagarniając chciwie fragment lądu. Tak właśnie wspomnienia działały na duszę Ewy: bywały dni, gdy w ogóle nie poświęcała ojcu uwagi. Oddychała, jadła, funkcjonowała. Zajmowała się domem i dziećmi. Niańczyła Roberta. Nagle uderzało w nią wspomnienie tego, jak tato przysiadł na taborecie w kuchni i pił mocną, gorzką herbatę, nie wyjmując łyżeczki ze szklanki, co było zupełnie pozbawione sensu. Bo gdyby choć mieszał tą łyżeczką cukier, to jej tkwienie w szklance miałoby jakieś wytłumaczenie. A tak, po co tam była, skoro wiórki można było odmierzyć na oko, przesypując je z puszki? Albo można było też zrobić napar z esencji, która, wcześniej przygotowana, stała w miniaturowym porcelanowym czajniczku. Wtedy także ta łyżeczka była pełnym absurdem. Ale tato zawsze miał ją w szklance.

Drugą rzeczą, której Ewa nie potrafiła wyrwać z pamięci, była szczelina pomiędzy jego siekaczami. Czasami córka pytała, czemu ją ma, a on opowiadał, że gdy był malutkim dzidziusiem, to wciąż doił smoczka i zęby mu krzywo wyrosły. Albo że Bozia zostawiła mu szczerbę na to, by mógł przez nią wypuszczać dym z papierosa.

*Gdzież ja miałam rozum, by pchać się tak bardzo w głąb*

kościół? – urągała samej sobie. Gdyby zatrzymała się przy wejściu albo nawet na placu przylegającym do świątyni, to opuściłaby teren Arki Pana, nim zrobią to inni wierni – ci, którzy postanowili zakończyć dzień bitwą z milicjantami i zomowcami.

Trzynasty – jakież to był symboliczny dzień dla każdego mieszkańca Nowej Huty.

Każdego trzynastego w Arce Pana odprawiano nabożeństwa fatimskie przyciągające rzesze wiernych.

Trzynastego maja Ali Ağca podniósł zbrodniczą dłoń na papieża.

Trzynastego grudnia wprowadzono stan wojenny.

Wychodząc z domu kilka godzin wcześniej, Ewa nie miała najmniejszych wątpliwości, że postępuje słusznie: nie mogła zrezygnować z mszy, którą tego dnia odprawiano w intencji Solidarności, zawieszanej już w grudniu, a zdelegalizowanej przez rząd przed paroma dniami.

*Tak mnie, tato, wychowałeś, że nie mogę potępiać ludzi, którzy walczą o przyszłość moją i moich dzieci* – myślała, spoglądając z wyżyn stopni kościoła na chodnik, wzdłuż którego stał kordon zomowców: tarcza przy tarczy, w zwartym murze – nie do pokonania przez cherlawą kobiecinę z jednym dzieciakiem w wózku, a drugim prowadzonym za rękę.

Odczekała jeszcze parę minut, a potem ruszyła w stronę przystanku tramwajowego.

Rozszerzonymi z przerażenia oczami spoglądała na służby mundurowe. Bała się armatek wodnych, które mogły uderzać z taką siłą, że bez trudu zmiotłyby ze swej drogi rosnącego mężczyznę, a cóż dopiero ją: wątłą chudzinę.

– Mamo, zobacz jaki samochód. – Michał pociągnął ją za rękaw, by spojrzeć na potężny wóz bojowy na olbrzymich kołach.

– Tak, tak – odparła. – Chodź, synku, nie gap się w tamtą

stronę.

Jak wytłumaczyć czterolatki, że w tym widoku nie ma nic fajnego? Że powinien się bać?

A może on też odczuwał lęk, widząc, jak tłum szarpie się z zomowcami?

Może zaskoczył go widok człowieka w cywilnym ubraniu, powalonego na ziemię i kopanego przez gromadę mężczyzn, ponieważ ktoś rozpoznał w nim esbeka?

Może też wystraszył się, widząc, jak potężny strumień wody chlusta w stronę uciekających ludzi?

– Oczka mnie szczypią, mamusiu – narzekał, pocierając je piąstką.

– Nie trzyj, smyku, bo będą bardziej szczypały – odparła. – Wytrzymaj jeszcze trochę. Zaraz dotrzemy na przystanek tramwajowy i pojedziemy do domu.

– A oni nas nie pobiją? – zapytał, wskazując zomowców.

– Nie pokazuj palcem – zdenerwowała się matka.

Jeszcze tylko tego jej było trzeba, aby pod bzdurnym pretekstem rzucili się na nią i na dzieci. Wszak nie na darmo krążyły słuchy, że gdy ci młodzi ludzie jadą na akcję, to dostają jakieś psychotropy, po których stają się agresywni i tracą zdolność do współczucia innym. Wokół ich bestialstwa urosły już niezliczone legendy.

Buntownicy byli zdecydowanie szybsi od niej. Parli przed siebie niczym żywy taran, przewracając po drodze samochody milicyjne. Zmierzali w stronę placu Centralnego. Za nimi pozostawał pas wydeptanych zieleńców, kałuże wody pochodzącej z armatek, zerwane chodniki, barykady i inne zniszczenia.

Ewa szła w znacznym oddaleniu, dużo wolniej, by choć przez przypadek nie wmieszać się w tłum. Raz po raz przystawała, rozglądając się dookoła. I cały czas mijała zomowców, którzy stali zwartym szeregiem, zasłaniając przejście w głąb osiedli.

Zauważyła więc chłopca zbierającego kamienie. Podbiegł do niego mężczyzna, który wcześniej stał w niewielkiej odległości, obserwując zajścia pod kościołem. Dzieciak narobił wrzasku i wyrwał się temu człowiekowi – prawdopodobnie funkcjonariuszowi Służby Bezpieczeństwa.

– Ubek! Ubek! – krzyczał smarkacz, uciekając co tchu w płucach.

W obawie przed zdemaskowaniem, agresor zaczął uciekać wzdłuż bloku.

Ewa obserwowała tę scenę z pewnego dystansu, lecz mimo szarówki wczesnego, jesiennego popołudnia zobaczyła, że z drugiej strony zbliża się jakiś młody mężczyzna. Spanikowany esbek przewrócił się, przeskakując przez żywopłot. Niewiele myśląc, zerwał się, wyjął broń i bez ostrzeżenia strzelił z niewielkiej odległości do nadchodzącego. Ranny upadł, a jego oprawca dopadł do fiata 125p i po prostu odjechał, nie zaprzatając sobie uwagi tym, co zrobił.

– Matko jedyna! – pisnęła Ewa. – Pomocy! Ludzie! Pomocy! Tam jest ranny chłopak – zaczęła krzyczeć, lecz świadków zdarzenia było kilku i zaraz ktoś rzucił się na ratunek.

Postrzelony mężczyzna żył, ruszał się, coś mówił do ludzi, którzy przybiegli na miejsce. Ewa odetchnęła z ulgą, a potem pchnęła wózek ze śpiącym synkiem i bez dalszej zwłoki odeszła w stronę przystanku.

*Co to za władza, która strzela do ludzi?* – myślała zdruzgotana, spoglądając ukradkiem na zomowców pilnujących porządku. Odczuwała coraz silniejszy strach. Wszak tamten chłopak znalazł się na drodze esbeka przez czysty przypadek. Po prostu szedł chodnikiem. Może zmierzał do domu? Może do dziewczyny?

Nie wyglądał na kogoś, kto idzie się bić. W jego sytuacji mógłby się znaleźć każdy, włącznie z jej kuzynami, mężem czy nielicznymi kolegami ze szkoły, z którymi nie podtrzymywała



znajomości.

*Boże, miej go w swojej opiece.*



Było już bardzo późno, gdy dotarła do mieszkania.

– A gdzieżeś ty łąziła, głupia babo? – warknął mąż na jej widok.

Wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Krążył po ciasnym pokoju.

– Szukałem cię po osiedlu! Mów, gdzieś łąziła!

– Byłam z dziećmi w kościele – odparła.

Kiedy wychodziła z domu, Roberta nie było. Wyszedł dokądś, nie tłumacząc się z niczego. Nigdy nie mówił o tym, co robi i gdzie chodzi, a ona bała się zapytać, bo jak raz go zagadnęła, zaczął na nią wrzeszczeć, że to nie jej sprawa, bo jest dorosłym mężczyzną, ciężko pracuje na utrzymanie całej rodziny i ma prawo czasami się zabawić. A ona jest od tego, żeby zajmować się domem i dziećmi. Nie ma nic lepszego do roboty, więc niech myśli o tym, co do niej należy.

Próbowała tłumaczyć, że naprawdę musiała pójść do kościoła, lecz on krzyczał i krzyczał, wyzywając ją od niewdzięcznic i próżniaków. Utyskiwał, że swoją niefrasobliwością naraziła dzieci na ogromne niebezpieczeństwo i co strzeliło jej do durnego łba, aby leżąc z nimi przed zomowców i między wichrzycieli? Na co jej to było? Z kim chce toczyć wojnę? On też uważa, że socjalizm to porażka, ale nie idzie nadstawiać karku w bezsensowny sposób. Bo jest odpowiedzialny. Troszczy się o rodzinę.

Zmęczeni i wystraszeni chłopcy uderzyli w płacz.

## **Trochę wcześniej**

– Po-ko-jowa de-mon-stracja! Po-ko-jowa de-mon-stracja! Po-ko-jowa de-mon-stracja! – skandował Ludwik wraz z tłumem. – So-li-darność! So-li-darność!

Nie wyobrażał sobie, aby mogło go zabraknąć wśród ludzi maszerujących spod Arki Pana w stronę placu Centralnego. Gdy było to konieczne, wraz z innymi robił uniki przed ostrym strumieniem wody wypuszczanym przez armatki. Krył się za kioskami, samochodami, grubymi pniami drzew. Miał wilgotną odzież, ponieważ parę razy liznął go zimny strumień, lecz nie czuł chłodu. Na szczękanie zębami przyjdzie czas, gdy wróci do siebie. Najpierw jednak trzeba wyrazić swoje zdanie w najprostszy sposób.

Ktoś rozpoznał wśród tłumu człowieka, o którym było wiadomo, że partię kocha bardziej niż swoją ślubną. Spuścili mu niezbyt mocne lanie i przegnali szpicla.

Ktoś inny wyłuskał w ludzkim mrowiu funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Jego przynależność zawodowa nie budziła wątpliwości – sąsiad dobrze znał profesję sąsiada. Z tym rozprawili się znacznie brutalniej. Nawet wtedy, gdy padł, jeszcze go kopali i lżyli. W odwecie za wszystkie kopniaki, ciosy i inne nieprzyjemności, których im nie szczędzono.



Grupka maruderów, która opuściła teren kościelny później niż cała reszta, usłyszała strzały na osiedlu przylegającym do świątyni. Rzucili się na pomoc rannemu, próbując też pochwycić agresora. Ten jednak był szybszy. Trzasnął drzwiami dużego fiata i tyle go widzieli.

– Ludzie, ratujcie! – jęknął chłopak postrzelony w brzuch.

Wciąż był przytomny, lecz pobladł od upływu krwi, gdyż mocno się z niego lało. W oczekiwaniu na karetkę pogotowia ktoś próbował uciskać ranę, ale kula musiała trafić w jakieś newralgiczne miejsce.

– Wytrzymaj, chłopaku, jeszcze trochę. Słyszysz wycie syreny? To na pewno sanitarka – zapewniał Wiesiek Kalita, który zaplątał się w tej gromadce wraz z innymi.

Wcale nie był przekonany, czy rzeczywiście nadciąga pomoc. Równie dobrze mogły to być posiłki militarne, gdyż zomowcy napierali na pochód i dochodziło do coraz ostrzejszych starć. W powietrzu unosił się gaz, szczypiąc nieznośnie w oczy.

– Ja pitolę, znowu nas inhalują! – wrzasnął Ireneusz Kaczmarczyk, chudy piegus, który urodził się w Nowej Hucie. Był wychowankiem miejscowego domu dziecka, gdyż jego matka zmarła podczas porodu. Nazwiska ojca nigdy nie ustalono. Znał wszystkie mroczne sekrety dzielnicy. Wiedział, gdzie lepiej nie kręcić się po zapadnięciu zmierzchu, by nie dostać kosą pomiędzy żebra. Śliski był jak węgorz i nieźle sobie radził.

– Komuniści mnie zabili – biadolił poszkodowany, gdy pakowali go do karetki.

– Nie gadajże głupot. Przecież żyjesz! – burknął sanitariusz.

– Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz? Kogo powiadomić, żeś ranny? – dociekał jeden spośród tych, co mu przyszli z pomocą.

– Bog-dan Wło-sik – powiedział z wysiłkiem.

Trzasnęły drzwi, samochód odjechał z piskiem opon.

– Ruszamy! Trza dogonić naszych! – krzyknął Kalita. – Po-ko-jowa de-mon-stracja!

Ledwo odbiegli parę kroków, gdy drogę zastąpili im zomowcy. Widząc, że mają nad nimi liczebną przewagę, mundurowi zrobili użytek z pał. Na plecy demonstrantów posypały się bolesne ciosy. Jak mogli, próbowali osłaniać głowy przed razami, bo to mogłoby się skończyć dramatycznie. Lepiej

nadstawić grzbiet, tyłek czy ręce – tam uderzenia bolą mniej i mniejsze czynią szkody. Wiesiek stracił równowagę i upadł. Kątem oka zarejestrował, że i jego koledzy zostali powaleni. Jakby mało było kuksańców i pałek spadających na ich grzbiety, teraz zaliczali jeszcze kopniaki. Coraz trudniej było osłaniać twarz, głowę i krocze. Zwinięty w kłębek jęczał z bólu, próbował uciekać. Byliby ich pewnie stłukli do nieprzytomności, lecz nagły dźwięk gwizdka powstrzymał agresorów. Padła komenda, by biec w stronę centrum, więc zomowcy porzucili swe ofiary i ruszyli dalej.

– Matuchno Przenajświętsza – jęknął Wiesiek, gramoląc się z ziemi na klęczki, potem na równe nogi. Zachwiał się i zatoczył niczym pijany.

Z rozciętego łuku brwiowego płynęła krew, czerwoną mgłą przesłaniając mu widoczność. Doszczętnie podarta kurtka krępowała jego ruchy, więc zdjął z siebie nieprzydatne strzępy. Potem Kalita podszedł do leżącego najbliżej kolegi i, posapując z wysiłku, pomógł mu wstać. Cała gromadka wyglądała dramatycznie. Mieli uszarganą i splamioną krwią odzież, rozcięte wargi, krwawe pręgi na twarzach i na dłoniach. Ślady masywnych buciorów odbite na ubraniach.

Wiesiek odczuwał makabryczny ból głowy. Zaliczył w nią parę kopniaków. Zatoczył się i byłby może upadł, lecz w ostatniej chwili uchwycił pień rosnącej na skwerze lipy. Pochylił się i z wymiotował. Dopiero gdy wyrzucił z siebie całą treść żołądka, stanął prosto i spojrzał na kolegów. Myny mieli nietęgę.

– Nic tu po nas, panowie. Trza się zwijać do domów – stwierdził jeden z nich. – Ja już nie dam rady pójść do Centrum.

– Ja też odpadam – westchnął chudy piegus. – Pójdę przytulić poduchę. Jutro też jest dzień. Wyłizemy rany i jeszcze pokażemy, na co nas stać!

– Ja też już nie mogę – powiedział inny mężczyzna. – Dali mi

radę, skurwysyny.

Wiesiek ponownie zgiał się wpół i zwymiotował. Tym razem poleciała żółć zmieszana z odrobiną krwi. Gdy się wyprostował, był blady jak śmierć. Telepało nim zimno.

– Dychasz jeszcze? – Kaczmarczyk poklepał kolegę po plecach.

– Tyle o ile. Zimno mi, jakby mnie kostucha ścisnęła – powiedział Wiesiek. – Mendy jebane, kurtkę mi podarli.

Usta miał sine, naznaczone cętkami krwi. Irek obrzucił krótkim spojrzeniem jego podszytą wiatrem, wilgotną koszulę. Potem zdjął swoją katanę z jeansu. Miał więcej szczęścia, najpierw gdy wycelowano na nich strumień z armatki, bowiem zdążył uskoczyć za żuka, a potem gdy go tłukli zomowcy, że nie potargali mu odzieży. Podał okrycie koledze.

– Masz, wkładaj. Ja mam bliżej do domu – oznajmił.

Mieszkał przy Kaczeńcowej tuż obok bajora utworzonego przez Młynówkę, a Wiesiek niedawno przeprowadził się na nowo wybudowane osiedle Dywizjonu 303, gdzieś na jego obrzeżach. *Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc* – żartował.

Kalita spojrzał z wdzięcznością i przyjął pomoc. Szczękając zębami z zimna, wciągnął przyciasne okrycie.

– Jutro oddam – zapewnił. – Wpadnę po robocie i ci podrzucę.

– Nie ma sprawy. Trzymaj się, brachu. Walnij w domu ze dwie setki i idź spać. Nic lepiej cię nie wyleczy.

Wszyscy jak jeden mąż uznali, że nic tu po nich. I powlekli się, noga za nogą, każdy w swoją stronę. Przemykali chyłkiem osiedlami, prosząc Opatrzność, by nie nadziali się na jakiś patrol, bo żaden nie byłby w stanie się obronić.

Wiesiek uznał, że najlepiej zrobi, jak pójdzie do Karola. Spod Arki znacznie bliżej niż do siebie miał na XX-lecia. Zatrzyma się u kuzyna, chwilę wytchnie, a później poleci dalej – może zdąży przed godziną milicyjną. A jeśli nawet nie, to i tak się nie przejmował – stróże prawa byli zbyt zajęci w centrum, by zwracać sobie głowę peryferiami. Tylko najpierw znowu musi

zwymiotować i choć chwilę odpocząć, gdyż jest wyczerpany i kręci mu się w głowie.



Pomiędzy demonstrantami błyskawicznie rozniosły się wieści o tym, że pod kościołem został ranny jakiś młody mężczyzna. Z ust do ust podawano sobie jego nazwisko. Szybko znaleźli się tacy, którzy pracowali z nim w hucie, oraz koledzy ze szkoły. Już było wiadomo, że uczył się w trzeciej klasie technikum i miał dwadzieścia lat. Byli także świadkowie zajścia, twierdzący, że chłopak został postrzelony niewinnie – po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.



Karol miotał się rozpaczliwie po mieszkaniu. Serce ciągnęło go pomiędzy demonstrantów. Nie mógł jednak iść w tłum – to byłoby niemalże samobójstwo. Gdyby dołączył do protestów, niechybnie zostałby aresztowany. Bez przerwy deptali mu po piętach smętni osobnicy, którzy kontrolowali jego poczynania. Nie mógł ryzykować, ale nie ze względu na strach przed ponownym zatrzymaniem i ośrodkiem dla internowanych, ale z uwagi na dzieci, które ciągle jeszcze z tęsknotą wspominały matkę i pamiętały, że taty nie było przez pół roku. Był im potrzebny, nie mógł ich zawieść. Jedyne, na co sobie pozwolił, to wpinanie opornika w kurtkę, marynarkę czy koszulę – cichy sprzeciw przeciwko władzy.

Było mu niewyobrażalnie ciężko.

Nazajutrz po zastrzeleniu Włosika przyszła do niego Łucja. Miała bladą twarz i głębokie cienie pod oczami.

– Nie widziałeś Wieśka? – zapytała już w progu, nie bawiąc się

w ceregiele.

Pokręcił głową.

– Nie wrócił do domu na noc. Wiem, że ludzie cały czas biją się z zomowcami, ale przecież jego nie ma już ponad dobę. To niemożliwe, by wytrzymał tyle bez jedzenia i snu. Myślałam, że może wpadł do ciebie, żeby złapać oddech.

– Przykro mi, nie było go tutaj. Może nie chciał ściągać mi na głowę kłopotów – powiedział domyślnie. – Może nocuje u kogoś innego? Pytałaś u Jane? Albo u Saszy?

Łucja odetchnęła.

– Ach! Widzisz, o tym nie pomyślałam. Polecę do Beckera.

Wróciła dwa dni później. Jeszcze bledsza, jeszcze smutniejsza, wyraźnie wycieńczona.

– Odwiozłam dzieciaki na wieś – oznajmiła. – Właściwie to nie na wieś, tylko na dworzec. Wsadziłam je do pekaesu. Mama odebrała je z przystanku. Nie chciałam, żeby plątały się po mieście, gdy wokół trwają zamieszki.

– A Wiesiek? – zapytał Karol, sadzając ją na wersalce w większym pokoju. Patrząc na nią, domyślał się odpowiedzi. – Nie wrócił?

Pokręciła głową.

– Właśnie dlatego wysłałam dziewczynki do babci. Nie chcę, by widziały, jak się szarpię. Latam wszędzie: po kolegach, krewnych, po komisariatach i szpitalach. Pytam o niego, lecz nikt nic nie wie. Zaginął.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Pawłowski wyciągnął rękę i położył na jej ramieniu.

– Łucja. Łucja, trzeba wierzyć, że wróci. Jesteś pewna, że nie został aresztowany? Przecież po obronie krzyża wiele osób zniknęło, a potem zaczęły napływać o nich wieści.

– Pytałam wszędzie. Nie ma go. Nie ma! Karol! On nawet nie miał przy sobie papierów. Zostawił w domu portfel z dokumentami. A co, jeśli załatwili go tak, jak Włosika? Ino po

cichu? Bez świadków?

– Wypluj te słowa! Nie wierzę! Przecież nie był sam, lecz z kolegami. Ostatnio często trzymał się z takim piegusem. Kaczmarczyk mu chyba. Tak. Ireneusz Kaczmarczyk. Byli u mnie ze trzy tygodnie temu. Ten chłopak mieszka gdzieś za Arką w okolicach Fatimskiej. Gdybyś do niego dotarła, to kto wie? Może dowiedziałabyś się, co z Wieśkiem?

– Może – chlipnęła i pociągnęła nosem, aż zabulgotało. Wygrzebała chustkę, doprowadziła się do ładu. – Pochodzę, popytam – oznajmiła.

– Ja też pójdę z dzieciakami na Fatimską. Choćbyśmy mieli gonić od chałupy do chałupy, zdobędę adres Irka. A wiesz? Może dostali obaj po dupach od zomowców i postanowili lizać rany u niego? Bo skoro tamten mieszka blisko Arki, to do niego mogli się najszybciej dowlec. Polecimy tam jutro, przed południem. O tej porze nie ma co łązić i straszyć ludzi stukaniem do drzwi – ocenił, spoglądając na zmierzch za oknem.



Następnego dnia Karol zaraz z rana zadzwonił do matki i przeprosił ją, że raczej nie dotrze z dziećmi na tradycyjny niedzielny obiad. Szybko wyjaśnił sytuację i nakreślił plan działania. Mieli udać się na mszę do Arki. Po nabożeństwie spotkają się z Łucją i w piątkę pójdą rozpytywać wśród okolicznych mieszkańców o Kaczmarczyka – jedyny ślad, jaki przychodził mu na myśl. Kalitowa zdążyła już bowiem oblecieć wszystkich innych kolegów męża, solidnie ich przemaglowała, pozyskała inne adresy, pod którymi także niewiele zdołała wskórać. Został tylko piegus, z którym Wiesiek znał się od niedawna.



– W razie czego będę miała dla was obiad, więc koniecznie przyjdźcie. Bez względu na porę dnia. Muszę wiedzieć, czy coś ustalicie – powiedziała strapiona Julia.

Parę godzin później udało im się zdobyć adres tego człowieka. Niestety od kilku dni nikt nie widział go w miejscu zamieszkania. Gospodyni, u której wynajmował izbę, wzruszyła ramionami i burknęła, że pewnikiem zapił i leży gdzieś pod płotem. Albo wyniósł się w inne miejsce, by tam robić nowe długi. Bo u niej od dawna zalega z czynszem i ona już nie ma siły do tego, by się z nim użerać. Rzeczy co prawda nie zabrał, ale co on tam miał, gołodupiec jeden? Parę portek na tyłku i kilka koszul na grzbiet. I nie, nie widziała, by plątał się po obejściu człowiek, którego zdjęcie pokazała jej Łucja.



Paweł z przygnębieniem spoglądał na rozbitą witrynę sklepu i doszczętnie zdewastowane wnętrze. Nic nie ocalało po zamieszkach. Cała jego krwawica obróciła się w perzynę. Został z długami za towar, którego już nigdy nie sprzeda.

– Ja pierdolę. No ja pierdolę! – Miotał się jak oszalały, szukając choćby jednego drobiazgu, który przetrwałby pogrom, to znowuż stając bezsilnie nad skotłowanymi śmieciami.

Pod jego stopami chrzęściło szkło z okna wystawowego. Spomiędzy gruzu sterczały pręty krat. Między połamanymi wieszakami i rozwaloną ladą wałały się podarte szmaty.

Andzia siedziała na tym rumowisku, płacząc wniebogłoso.

– Dziadami nas zrobili! Dziadami!

– Nic nie zostało. Kurwa jego mać!

– I na co nam przyszło? Tyle roboty, tyle zachodu! Wszystko na marne!

– Co teraz pocniemy? Trza mi chyba będzie wrócić do huty.

Podniósł kawałek stłuczonego flakonu perfum. Przez chwilę ważył go w dłoni, a potem z wściekłością cisnął nim o ścianę.

– Zachciało im się, kurwa, rewolucji! Zadymiarze jebani!

To nie była jego wojna. On chciał żyć spokojnie. Zarabiał pieniądze w sposób, który uznał za najbardziej dogodny. Nie był stworzony do mozolnej roboty w kombinacie. Miał dość wypełniania cudzych rozkazów. Starczyły mu dwa lata, które Ludowe Wojsko Polskie wyrwało z jego życiorysu. To właśnie w jednostce poprzysiął sobie, że będzie panem swojego losu. Krótko wytrzymał w rozpalonych trzewiach huty. Szczęście dawało mu prowadzenie tego sklepiku, choć dosyć musiał się naużerać z ludźmi. Ale przynajmniej był na swoim i nikt nie mówił mu, jak ma żyć.



Przez następne dni w Nowej Hucie nie cichły głosy demonstrantów. Na ulicach wciąż trwały walki. Ludzie bili się w proteście przeciwko juncie Jaruzelskiego, narzucanym ograniczeniom, stanowi wojennemu, a przede wszystkim, by wyrazić gniew wywołany śmiercią Bogdana Włosika, który zmarł na stole operacyjnym szpitala wojskowego przy ulicy Wrocławskiej. Dramatyczne wydarzenia trwały aż do jego pogrzebu, który przerodził się w gigantyczną manifestację, przyciągając około dwudziestu tysięcy osób.

1983

## Rozdział 7



### *Umierające nadzieje*

Rozpoczął się drugi rok stanu wojennego. Ludzie z wolna przyzwyczajali się do funkcjonowania w absurdalnej rzeczywistości. Już wiedzieli, że lepiej jest przestrzegać godziny milicyjnej – nikt nie chciał podzielić losu Andrzeja Szewczyka. Nie oznaczało to jednak, że zwiesili głowy i spuścili z tonu. Na murach miasta nieustannie pojawiały się hasła namalowane farbą. „Wrona skona”, „Jaruzelski zdrajca”, „Precz z komuną”. Teczki na biurku Grucy pękały od przechwyconych paszkwili.

– „Co to jest pała ZOMO-wca? To bijące serce partii”, „Wstąp do ZOMO, zanim ZOMO wstąpi do ciebie”, „Jakie bakterie powodują sińce? Pałeczki ZOMO”, „Ani IXI, ani OMO nie wypierze tak jak ZOMO” – odczytywał monotonnym głosem kolejne slogany. Nie było mu do śmiechu. Roboty miał teraz tyle, że nie wiedział, co w rękę wsadzić. Gdyby chciał aresztować każdego, kto opowiadał kawały polityczne, to zabrakłoby mu chyba więzień w całym kraju.

– Jeszcze im do śmiechu, dowcipnisiom? – utyskiwał Wołodjew, nie mniej zapracowany.

Obydwaj stąpali po kruchym lodzie. Wśród mieszkańców

Nowej Huty od dawna dominowały wrogie nastroje społeczne. I nie na wiele zdało się utworzenie Obywatelskich Komitetów Ocalenia Narodowego, z którymi sympatyzowały niektóre środowiska katolickie. Element wywrotowy wciąż szumiał, wszczynając uliczne bójki.

– Czasami mam wrażenie, że ta swołocz lubuje się w prysznicach, jakie im fundujemy. A gaz łzawiący zamiast szczypać w oczy w rzeczywistości ich rozśmiesza.

– Chojrakują – odparł pogardliwie Gruca.

– Ale śruby nie da im się mocniej przykręcić. Władza za bardzo się z nimi cacka. W tym roku znowu będziemy mieli zabawę w pilnowanie pielgrzymów. Ich pastuszek przyjeżdża z Watykanu – powiedział pogardliwie Wołodjew – to już pewne. Mam tu nawet – przerzucił papiery na swoim biurku – oficjalny komunikat w tej sprawie. „Władze państwowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w poczuciu ciężącej na nich odpowiedzialności, rozpatrzyły problemy z tym związane. Potwierdzają one swe niezmiennie stanowisko, że papież Polak będzie serdecznie witany gościem na ojczystej ziemi”[\[18\]](#). No to znowu będziemy mieli powtórkę z rozrywki.

– Za dobrze mają, barany. Za dobrze. W dupach im się przewraca od tego dobrobytu – burknął Gruca, niepomny tego, że z dobrobytu tak naprawdę niewiele osób korzystało. On mógł kupować w Peweksie upominki dla żony – bez stania w kolejkach. W kantine nabywał mięso, egzotyczne owoce i słodycze. Obdarowywał nimi hojnie i Natalkę, i Bożenę, i Mariolkę – córkę tej prostytutki, którą dla świętego spokoju wysłał do szkoły z internatem w stolicy.

Morkówna nie chciała się zgodzić na rozłąkę, ale od czego jest siła perswazji, jaką dysponował? Szybko przekonał kochanicę, że tak będzie lepiej dla dziecka. I moralniej. Bo smarkata skończyła niedawno trzynaście lat i szkoda byłoby, gdyby poszła w ślady swojej mamusi. Lepiej więc niech nie patrzy od

małego, nie słucha, a przede wszystkim niech nie kłuje w oczy *wujków* odwiedzających Bożenę. Jego również, bo w swe ojcostwo jakoś nigdy nie uwierzył, wszak nie miał dzieci z Natalią, choć bardzo się o to starali – przynajmniej ona, jemu zależało na tym znacznie mniej. Nie spłodził ich też z żadną inną kobietą.

A Mariolka prezentowała światu zgrabną dupeczkę i apetycznie pączkujące piersiątko. Od dłuższego czasu Zygmunt gustował w takich młódkach. Nieprawdopodobnie go kręciły swoją pozorną niewinnością, za którą często kryło się zwykłe kurewstwo. Tak, bo wszystkie wodziły go na pokuszenie: spódniczkami mini, rozkwitającą kobiecością, jędrnymi policzkami. Ach, ta młoda krew! Ileż miał przyjemności, gdy mógł przesłuchiwać jakąś smarkulę! Jak one się wiły, gdy im się bluzkę rozdarło i podszczypało tu i ówdzie.

Tak naprawdę w całym życiu spotkał tylko dwie prawdziwie porządne kobiety: pierwszą z nich była jego matka, drugą żona. Natalia była uosobieniem niewinności. Zawsze posłusznie wykonywała jego wolę. Nie epatowała wyuzdanym erotyzmem, a mimo to zawsze była dlań ponętna. Nie potrzebowała koronek, przezroczystych szmatek, minispódniczek – była kobietą z klasą. Ubóstwiał ją – w jej ramionach znajdował ukojenie po całym brudzie, który go otaczał.



Karol wracał z rodzicami do ich mieszkania po premierze sztuki *Hiob*, na którą wybrali się w trójkę do Teatru Ludowego. Dzieciaki czekały na niego u dziadków, miały pod nieobecność dorosłych grzecznie się bawić: Wiola z Tuptusiem, chłopcy na tę okoliczność wzięli z domu warcaby.

Do ostatniej chwili Pawłowscy nie dowierzali, że spektakl się

odbędzie, bowiem autorem sztuki był sam Karol Wojtyła. Cud więc, że przedstawienie otrzymało zielone światło od cenzury.

Powiewał marcowy wiatr, niosąc ze sobą nadzieję. Bo skoro obejrzeliby dramat, to może była to zapowiedź jakiejś odwilży politycznej? Wszak już niedługo miał znowu odwiedzić ich papież. Wśród wiernych rozprawiono wejściówki na spotkanie z Ojcem Świętym w mistrzejowickiej parafii, gdzie miał dokonać uroczystego konsekrowania nowej świątyni.

Cóż, gdy w Polsce wciąż obowiązywał stan wojenny? W obozach internowania przebywały tysiące osób. Kolejki przed sklepami wydłużały się w nieskończoność, a półki świeciły pustkami. Dzieciaki bawiące się na podwórkach powtarzały wyliczankę, nawiązującą do dobrobytu sprzed dekady: „Chcesz cukierka? Idź do Gierka! Gierek ma, to ci da – kopa w dupę i pa, pa!”.

Wiolka też dobrze ją znała.

Westchnął na myśl o córce. Dziewięciolatka bez wątpienia potrzebowała matki, która byłaby dla niej wzorem, utuliłaby smutki, a nade wszystko rozmawiała o tych dziewczynskich sprawach, które dla niego pozostawały abstrakcją.

Smutny jest los samotnego wdowca z trójką dzieci.

Wciąż jeszcze tęsknił za Gabriellą, choć żałoby już nie nosił. Minęło piętnaście miesięcy, a to wystarczająco dużo czasu, aby oswoić się z tragicznym odejściem żony. Zaglądał na cmentarz, składał kwiaty na jej grobie. Ale usunął już z mieszkania większość rzeczy, które do niej należały. Część ubrań zabrała matka, tłumacząc, że co tylko zdoła, przerobi, by pasowało na Wiołę. W dobie szalejącego kryzysu każda sukienka była cenna. I każdy płaszcz, i spódnica. Bo można było z tych rzeczy wykroić fatałaszki dla małej. Z poprutyh swetrów wydziergać nowe, o modnym fasonie z rękawami w nietoperza. Do tego getry, szale i opaski. Niech się bidulka ucieszy choć tym, bo w domu się nie przelewało i stroje nie należały do priorytetów.

Wiola uwielbiała te przerabiane rzeczy. Przypominały jej o mamusi, a jednocześnie były nowe: modnie uszyte, gdyż babcia miała dryg do przeróbek. Miała też zaprzyjaźnioną krawcową, która za niewielką opłatą potrafiła czynić cuda.

Ale to wszystko nie zmniejszało poczucia pustki, które doskwierało dziewczynce. Nawet Karol – wiecznie bujający w obłokach – dostrzegał to smutne osamotnienie. Do Wioli rzadko przychodziły koleżanki. Czasami wychodziła przed blok, aby zagrać w gumę, pofikać na trzepaku lub pobawić się w podchody z kolegami braci, ale nad zabawy na świeżym powietrzu przedkładała czytanie.

No i jeszcze miała na głowie tyle obowiązków domowych! To było nie do pomyślenia, aby dziewczynka tak ciężko pracowała. Matka nieustannie napominała Karola, że nie można oczekiwać, by Wiola sama robiła wszystko. Skruszony ojciec zaganiał do pracy synów, sam też zakasywał rękawy. I coraz częściej przyznawał, że kiepsko sobie radzi. Dopiero teraz doceniał cały wysiłek, który Gabrysia wkładała w funkcjonowanie rodziny.

Tęsknił za kobietą.

Nie tylko w roli pani domu, chodziło mu przede wszystkim o towarzyszkę życia. O kogoś, do kogo mógłby odezwać się po powrocie z uczelni, porozmawiać o poważnych kwestiach, zrzucić z ramion ciężar trosk. O kojącą obecność osoby, którą mógłby przytulić i kochać, lecz nie po ojcowsku, ale fizycznie. Z pasją, emocjami, przyspieszonym oddechem, kroplami potu na ciele rozgrzanym od wysiłku. Z dotykiem drżących dłoni.

Umawianie się na randki wychodziło mu kiepsko.

*Urodą kaszy nie okrasisz* – przypomniał sobie powiedzenie babci Władysławy. Kiedyś myślał, że chodzi w tym tylko o dziewczyny. To miała być przestroga, by nie szukał ślicznotki, która nie ma do zaoferowania nic poza dobrym wyglądem. Teraz stwierdził, że może rozciągnąć je również na siebie. Bo cóż

z tego, że był przystojnym wdowcem, skoro miał trójkę dzieci, a wypłaty ledwo wystarczało mu od pierwszego do pierwszego. Nie, nie krzywdował siebie, że ma Wiołkę, Adriana i Marka! Trzymał się dzięki tej gromadce i miał powód, by każdego poranka otwierać oczy, wstawać z łóżka i jakoś funkcjonować. Nadawali sens jego życiu.

Ale nie byli w stanie wypełnić pustki, jaką zostawiła Gabrysia.

Już nie pamiętał o tych strasznych chwilach, gdy podejrzewał żonę o niewierność. Nie myślał o tym, jak bardzo się od siebie oddalili w ostatnim roku małżeństwa. Spychał w niepamięć wszystkie myśli o Bożenie, które nawiedzały go w minionym czasie – ciche, niefizyczne zdrady, jakich dopuszczał się, marząc o jej ponętnych kształtach.

Jego osamotnienie pogłębiło się, gdy zaginął Wiesiek. Póki miał krewnego pod ręką, było z kim pogwarzyć. W tamtych czasach Łucja często zaglądała do niego z córkami. Na wszelkie sposoby usiłowały rozweselić Wiołę. Życzliwa ciotka umyła okna, wyprała wszystkie zasłony i firany. Wytrzepała koce i dywan. Wyczyściła meblościanki z pierzyny kurzu zalegającej na samej górze. Przyniosła trzykrotkę i begonię w miejsce zasuszonego na amen bluszczu.

Po zniknięciu męża wpadła w marazm i z energicznej kobiety przedzierzgnęła się w osowiałą trzydziestoczwolatkę. Na początku jakoś sobie radziła: biegała po mieście, rozpytywała wśród krewnych, znajomych i nawet bardzo dalekich kolegów, czy nie widzieli Kality. Była w zakładach tytoniowych, aby rozmówić się z jego majstrem. Poruszyła niebo i ziemię. Zajrzała do każdego szpitala. Wielokrotnie odwiedziła posterunek milicji i nawet oficjalnie zgłosiła zaginięcie męża.

Kilka tygodni później z bajora przy Kaczeńcowej wyłowiono jakieś zwłoki. Została wezwana na identyfikację. Pojechali we dwoje: ona i Karol. Dla obydwójga był to prawdziwy wstrząs – ciało było w stanie daleko posuniętego rozkładu i właściwie



trudno byłoby się wyznać laikom, czy należy do kobiety czy do mężczyzny. Za życia ta osoba musiała być drobnej postury. Nie mógł więc to być Wiesiek. Karol był wściekły, że zdruzgotana kobieta została narażona na oglądanie czegoś tak makabrycznego. Denat nie miał przy sobie dokumentów ani żadnych charakterystycznych przedmiotów. Jego odzież – wysuszona i zamknięta w osobnym pojemniku – była bardzo zniszczona, podobnie jak obuwie. Mimo wszystko, oglądając te rzeczy, Łucja mogła z całą stanowczością stwierdzić, że zwłoki nie należą do jej męża.

– Był znacznie wyższy i nosił większe buty. Gdy zaginał, miał na sobie trampki z kółeczkiem na kostce. Pamiętam, jaki był szczęśliwy, gdy wystąpił dla niego w kolejce! Czasami zachowywał się jak jakiś studenciak – powiedziała.

Z ulgą wyszli na ulicę, choć lało wówczas jak z cebra, a wiatr niemiłosiernie szarpał połami ich kurtek. Wciąż jeszcze czuli odór rozkładu. Ten smród wniknął w ich ubrania i włosy. Przez następne dni odnosili wrażenie, że nigdy się go nie pozbędą.

– Poszedł na zamieszki. Pewnie go aresztowali – wzdychała, oszukując samą siebie.

Dobrze wiedziała, że gdyby do tego doszło, to już by ją o tym ktoś poinformował.

Zmierzali na przystanek tramwajowy. Nagle kobieta zatrzymała się, odwróciła do zdziwionego Karola i uderzyła czołem w jego klatkę piersiową.

– Pokazują mi zwłoki, bo on już nie żyje. Zamordowali go, tak jak Szewczyka, a potem Włosika. Ino że zrobili to cichcem, bez świadków. Przecież śmierć twojego wuja też została zakłamana.

– Ledwo panowała nad szlochem. – Wiesiek opowiadał mi o tym, jak go ciotka chowała skoro świt, bez rodziny, w atmosferze strachu. I że sfałszowali jego akt zgonu, że niby wypadek i że miesiąc wcześniej. Ja też pewnie się dowiem o wszystkim z dużym opóźnieniem i kłamstwem.

Karol zwiesił głowę. Pogłaskał kobietę po ramieniu.

– Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro – powiedział.

Gdy Karol wchodził w dorosłość, traktował Wieśka jak jeden ze swoich autorytetów. Kalita był mu wyjątkowo bliski. Był wojownikiem, człowiekiem czynu. A on chciał go naśladować.

To wydarzenie załamało Łucję. Jej bliscy także uważali, że Wiesiek nie żyje. Nikt nie próbował pocieszyć strapionej kobiety i szukać usprawiedliwień dla jego nieobecności, ponieważ nawet gdy coś broił, to zawsze opowiadał o wszystkim żonie.



– Ludwiś, Ludwiś. Jak dobrze, że jesteś, syneczku.

Krystyna była mocno podchmielona. Trafił, zdaje się, na jakąś gorszą chwilę. Przyszedł niezapowiedziany, a zwykle starał się uprzedzać ciotkę o swoich wizytach. Wówczas zastawał ją w znacznie lepszej kondycji.

– Nie powinnaś tyle pić – skarcił ją łagodnym głosem.

Weszli razem do pokoju. Odmówił, gdy zaproponowała herbatę. Siedzieli w milczeniu, rozmowa się nie kleiła. Patrzył, jak drżą dłonie Krystyny, gdy skubała frędzle zniszczonego obrusu.

– Dlaczego? – zapytał.

Podniosła na niego wzrok. Zrozumiała pytanie.

– Z rozpaczy.

– Po wuju? Ciociu, tak nie można – tłumaczył. – On patrzy na ciebie z nieba i załamuje ręce. Tak cię kochał. Na pewno serce mu pęka, gdy widzi, w jakim jesteś stanie.

– Nie chodzi tylko o Janka – chlipnęła żałośnie. – Ale również o innych umarłych. O taką małą iskierkę, której nie dałam życia. I o kogoś, kto tę iskierkę wzniecił.

Ludwik dobrze wiedział, co ma na myśli. Kiedyś, dawno temu,

usłyszał rozmowę swoich rodziców z ciotką Julką. Wspominali jakiegoś drania, który nastreczył ich rodzinie mnóstwa problemów i uczynił im wiele krzywd. Zdążył się zorientować, że to była miłość życia Krystyny oraz że ta miłość zaowocowała, lecz nie wydała plonu. Gdy Pawłowska wyszła, wprost zapytał tatę, o co chodzi. A on mu opowiedział o Bartku Marczyku i swoich siostrach.

*Jak to możliwe, że nawet teraz, po tylu latach, ciocia płacze nad dzieckiem, którego wówczas nie urodziła? Czy aż tak bardzo kochała tamtego człowieka? Czy to uczucie nigdy z niej nie wyparowało?*

Siedzieli w milczeniu, aż na zewnątrz zapadł zmierzch. Wówczas Ludwik wstał. Objął ciotkę ramieniem i pocałował jej szorstki, pomarszczony policzek. Cuchnęła nieprzetrawionym alkoholem i tanimi papierosami.

– Nie pij, ciociu – poprosił na odchodnym.

Odprowadziła go do drzwi, a potem nasłuchiwała jego kroków na schodach.

– Idź, synusiu, idź. Stara matka zawsze na ciebie będzie czekać – wymamrotała. – I Bartek, twój tato.



W maju opinią publiczną wstrząsnęła informacja o śmierci maturzysty Grzegorza Przemyka. Chłopak został zamęczony podczas przesłuchania w warszawskim komisariacie na Starym Mieście.

Podczas niedzielnego obiadu u Pawłowskich nie dało się pominąć tego tematu. Skończyli posiłek, lecz dorośli jeszcze siedzieli przy stole.

– Kolejna bezsensowna ofiara. Ile jeszcze ich będzie? Jaka cenę musimy zapłacić za to, by ruscy przestali nas ciemnić? –

pytał Karol ojca.

Bo choć Grzegorza zabili Polacy, nie ulegało wątpliwości, że gdyby nie ustrój polityczny narzucony przez Związek Radziecki, to nie dochodziłoby do takich wydarzeń.

– Płacimy wysoką cenę za zwyczajne pragnienia – westchnął ojciec. – Kiedy byliśmy w wieku tego chłopaka, też walczyliśmy z władzą. Padały strzały. Lała się krew. Nikt nie zliczy, ile osób katowano w więzieniach. Ilu ludzi zniknęło po cichu. Ilu pochowano gdzieś w sekrecie.

– A jeżeli Wiesiek też przepadł w taki sposób?

– Strach pomyśleć.

– Historia to kiedyś rozliczy! – powiedziała wzburzona Julia. – Tylko że nim nadejdzie ten czas, tysiące matek będzie musiało opłakać swoje dzieci. Ach, Karolu! Gdy zostałeś internowany, a my nie mieliśmy pojęcia, co się z tobą dzieje, wyobrażałam sobie wszystko, co najgorsze. – Jej głos przeszedł w szloch.

– Już dobrze, mamó. To już nie wróci. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Teraz bardzo uważam na swoje poczynania. Choć korci mnie, żeby pójść na zadymy, obrzucić zomowców kamieniami i sprać choć jednego esbeka po gębie, siedzę spokojnie na tyłku. Ojczyzna jest bardzo ważna i bliska mojemu sercu, ale teraz muszę myśleć przede wszystkim o nich. – Wskazał ruchem głowy dzieci leżące na brzuchach na dywanie i oglądające telewizję. – Skoczę do Beckera – oznajmił, wstając od stołu. – Dawno go nie widziałem, a wciąż sobie obiecuję, że go odwiedzę.

– No to leć. A ja pozmywam i zabierzemy z ojcem dzieciaki na spacer. Trzeba się trochę dotlenić. Jakbyś nas po powrocie nie zastał, to będziemy w parku Ratuszowym koło ryby.

– Oczywiście. Do zobaczenia później. – Nachylił się i cmoknął matkę w skroń. – Pa, dzieciaki! Tylko mi nie dokazywać! – Pogroził im palcem. – I nie naciągać babci na lody ani wodę z saturatora. – Puścił do nich oko, dobrze wiedząc, że nie

obejdzie się bez przynajmniej jednej spośród tych atrakcji.

– A dziadka możemy? – zapytał Adrian, robiąc szelmowską minę.

– Jak wam pozwoli.



Dzień był piękny i słoneczny. Karol dziarsko ruszył na przystanek tramwajowy. Wprawdzie mógłby zrobić sobie spacer – kolega mieszkał aktualnie na osiedlu Hutniczym, czyli nie tak znowu daleko, ale rozleniwienie po sutym posiłku wzięło górę. Mężczyzna z lubością wspominał rosół z domowym makaronem posypany natką pietruszki oraz prawdziwy specjał, który matka cudem gdzieś nabyła: pieczeń ze schabu. Udusiła ją z suszonymi śliwkami. Palce lizać! Mężczyzna odmówił nawet następnego rarytasu – filiżanki kawy, bo żał mu było utracić smak, który pozostał w jego ustach po obiedzie.

Na przystanek podjechała szesnastka. Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym trzaskiem. Karol wsiadł do pojazdu, skasował bilet i rozejrzał się za wolnym miejscem, a tych nie brakowało. Nie usiadł jednak, gdyż jego uwagę przykuła znajoma twarz okolona miękkimi pasmami w kolorze blond.

– Bożena? – wyraził zdziwienie.

– Karol! – Kobieta ucieszyła się na jego widok.

Przez chwilę stali, wpatrując się w siebie nawzajem.

– Pięknie wyglądasz – stwierdził. – Do twarzy ci z jasnymi włosami.

Pamiętał tę ciemną perukę, którą nosiła parę lat temu.

– Wiesz, dzisiaj mam wolne, więc mundurek nie obowiązuje. – Puściła do niego oko. – Dokąd się wybierasz? – zagadnęła.

– A jadę do... eee... Miałem ochotę wyrwać się z domu. – W porę ugryzł się w język. Przywoływanie Beckera wydało mu

się niezręcznością.

– Ach! A może skoczysz ze mną nad zalew? – zagadnęła.

Nie wahał się ani chwili. Potrzebował rozrywki – relaksu w miłym towarzystwie. Zapomnienia, choć na moment, o troskach dnia codziennego.

Wysiedli na przystanku przy osiedlu Szkolnym i ruszyli wolnym krokiem wzdłuż alei Lenina. Nie zauważyli, że w ślad za nimi idzie jakiś człowiek. Utrzymywał wprawdzie dystans kilkunastu metrów, lecz oni byli tak zaaferowani pogawędką, że nie zwróciliby na niego uwagi nawet wtedy, gdyby szedł z nimi ramię w ramię.



– No jak, Wiolka? Powiesz, co porabialiście, jak mnie nie było?

Karol wrócił do rodziców pod wieczór. Dobrze wiedział, że o tej porze nie ma po co wędrować do parku i raczej zastanie dzieciaki pałaszujące kolację lub oglądające wieczorynkę niż goniące alejkami.

– Grałam w gumę w jakimiś dziewczynkami. Nie znałam ich, ale pozwoliły mi się przyłączyć. I było fajnie, choć rozbiłam kolano. – Uniosła skraj falbaniastej sukienki i pokazała ojcu nogę zawiniętą w bandaż, na którym zakrzepła krew. – Dobrze, że byłam w podkolanówkach, a nie rajtkach, bo byłby płacz – oznajmiła. – A babcia i tak śmiała się ze mnie, że jestem taka sama fajtłapa jak ciocia Zocha. Bo ona, jak była dziewczynką, to ciągle łapała zajaca przy grze w klasy. A my nie gramy w klasy, bo wolimy gumę – paplała, nie zwracając uwagi na to, że ojciec niezbyt pilnie jej słucha.

– A my graliśmy w zbijanego – wtrącił Adrian. – Chcieliśmy w podchody, ale babcia nie pozwoliła nam odchodzić nigdzie dalej, żebyśmy się nie zawieruszyli tak jak ostatnio –

przypomniał wydarzenie sprzed kilku tygodni, kiedy to z podobnej zabawy wrócili długo po zapadnięciu zmierzchu.

– No to świetnie. W takim razie idziemy do domu.

– Jeszcze chwilkę, tatku! – zaprotestowała córka, która właśnie ogrywała rodzeństwo i dziadka w chińczyka.

– O nie, nie! Nic z tego, młoda damo. Jak wrócimy późno, to się nie wyśpisz do szkoły. A poza tym ja muszę jeszcze przygotować materiały na jutrzejszy wykład.



Nocą, gdy leżał już w łóżku, długo nie mógł zasnąć. Przypominał sobie chwila po chwili czas spędzony nad zalewem. To był tylko niewinny spacer ze znajomą z przeszłości. Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Karol dowiedział się, że córka Bożeny uczy się w Warszawie i tam mieszka na stacji opłacanej przez jej znajomego. Wspominał o tym, że owdowiał, lecz zmienił temat tak szybko, że jego towarzyszka nie zdążyła o nic zapytać.

Pomijali milczeniem wspólnie spędzoną noc sprzed kilku lat – tak, jakby się bali, że pryśnie wówczas cała magia.

Nie prowadził więc pod rękę kobiety tysiąca mężczyzn, lecz zwyczajną dziewczynę, która z pogodą ducha opowiadała o spektaklu obejrzanym ostatnio w Teatrze Ludowym, sąsiadce, która niemalże każdego dnia przychodzi, aby grzecznościowo skorzystać z aparatu telefonicznego, a przy okazji rozejrzeć się po mieszkaniu, albo o wakacjach, które chciałyby spędzić z córką nad morzem.

Ona nie szła u boku zubożalego wdowca, przytłoczonego trudami codziennego życia, lecz z chłopakiem, który kiedyś najlepiej ze wszystkich kolegów grał w piłkę nożną i bez wprawy całował ją na klatce schodowej.

Nagle Karol zamarzył o tym, aby znowu spotkać się z Bożeną. Zaprosić ją do kina albo na kawę. Spędzić miło trochę czasu. Tak jak ostatniego popołudnia. Nareszcie miał do czynienia z kobietą, której nie przerażała myśl o jego niezbyt wysokiej pensji, trójce dzieciaków i esbekach mających go na oku. Wiedział, że odkąd wrócił z Jaworza, wciąż płaczą się w pobliżu.

Nie znał jej numeru, ale pomyślał, że sprawdzi, czy jest w książce telefonicznej. Zda się na ślepy los: jeśli go znajdzie – zaprosi Bożenę na kolejny spacer. Jeśli nie, to da sobie spokój.



Los zdecydował, że znowu się spotkali.



Nowa Huta wciąż rosła w potęgę: przybywało ludności, powstawały nowe osiedla. Budowano szkoły, sklepy i ośrodki zdrowia, by zaspokoić potrzeby dzielnicy. Władza ludowa ostatecznie poddała się i przestała robić z jej mieszkańców przymusowych ateistów. Już dawno podzielono parafię w Bieńczycach. Wznoszone były kościoły i pojawiały się perspektywy na budowę kolejnych. Tego żywiołu nic nie mogło powstrzymać, czego wyrazem było nabożeństwo odprawione przez Jana Pawła II w nowo konsekrowanym kościele św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach. Uroczystość przyciągnęła ponad trzysta tysięcy wiernych. Modlono się wówczas o pokój dla ojczyzny.

Miesiąc później, w Narodowe Święto Odrodzenia Polski, Rada Państwa zniosła stan wojenny. Dzień wcześniej rozwiązano WRON.

Ludzie odetchnęli z ulgą, choć kryzys wciąż szalał. Ale można



było w końcu swobodniej poruszać się po kraju. Obywatele przestali drżeć z obawy przed oddziałami ZOMO, godziną milicyjną i innymi restrykcjami. Cieszono się namiastką wolności.

Cóż, kiedy dla Pawła było już za późno.

– Nie mogli, skurwysyny, znieść stanu wojennego przed rokiem? – burczał gniewnie, pomny tego, jak w ciągu paru godzin zdiadział, gdy podczas zamieszek zniszczono jego sklepik.

Jakże on nienawidził pracy w kombinacie! Tego niekończącego się mozółu w pocie czoła. Ciągłych zmian wynikających z systemu czterobrygadowego. Podporządkowania przełożonym! Och, gdyby tak na powrót mógł być *sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem* – marzył poetycko, to znowu kłął jak szewc – pogrążony w bezsilnej rozpacz.

Nie miał energii i funduszy, by jeszcze raz podjąć ryzyko. Wciąż spłacał długi po tamtym butik. Dostał nawet lanie za to od jakiegoś mętnego typka, z którym robił interesy. Leżał wtedy przez tydzień i lizał rany. Jakby nie ciotka Boguśka, pewnie wywaliliby go z roboty, bo urlop mu się nie należał, a ona wystarała się o zwolnienie chorobowe od lekarza.

Musiał robić, gdyż utrzymywał żonę oraz trzyletnią Małgosię. Potrzeby miał więc duże, a połowica na razie siedziała w domu, zajmując się dzieckiem. Przewornie nie rzuciła pracy, gdy otwierali swój sklepik. Była wtedy w ciąży, więc zamiast odchodzić z przyzakładowej stołówki, opłaciła sownie ginekologa, aby jej wypisał L-4. Potem miała urlop macierzyński i wychowawczy.

Żeby więc wyjść jako tako na swoje, kombinował biedaczysko ile wlezie. Ryzykował handel nielegalnym bimbrem, papierosami opuszczającymi cichcem linię produkcyjną w zakładach tytoniowych. Pośredniczył w upłynnianiu towarów pochodzących z zagranicznych paczek. Nie pogardził też

zbieraniem butelek czy złomu. Byle urwać choć parę groszy, byle zarobić!



Kolejka pod sklepem GS-u składała się głównie z dzieciarni i starszych kobiet. Młodszych mieszkańców Pawlic zajmowały żniwa. W pełni sezonu prac rolniczych liczyły się każde ręce. Ale trzeba też było zrobić sprawunki, aby było co do gara włożyć i opędzić największe potrzeby. Sklep zaopatrywano nader słabo. Raz na kilka dni przyjeżdżał samochód dostawczy, którego kierowca wydawał sklepowej kilka koszy różnych produktów.

Właściwie nigdy nie wiadomo było, co przyjedzie rozklekotanym żukiem. Czy będą to przybory szkolne dla dzieciaków? Tych wiecznie brakowało, więc jak ktoś miał rodzinę w mieście, to słał listy z prośbami o dokonanie zakupu, choć i tam trudno było je nabyć. Rajtuzy? Dyć to produkt odświętny albo przeznaczony na zimę! Jak się kupiło choćby parę, to należało pilnować jak oka w głowie, by dzieciska nie powydzierały. Cerować, przekazywać ze starszego na młodsze. Proszek do prania i mydło – żeby można było uprać choć niedzielne łachy i pieluszki dzieciakom, a nie ciaprać je tylko w siedmiu wodach jak inne rzeczy. Kawa, herbata, cukier? Odrobina kiełbasy krakowskiej? Świeczki, zapałki, nafta do lamp – produkty wciąż pożądane, gdyż ciągle były przerwy w dostawach energii elektrycznej.

Odkąd nastąpiła spółdzielnia i ludzie przekazali grunty do wspólnego zarządu, mało kto był samowystarczalny jak niegdyś. Dawniej jechało się na targ po buty, przyodziewek i jakieś klamoty do domu. Mąkę każdy miał swoją, więc baby same miesiły chleb. Mleko było, to i ser odstał, i śmietanę się

zebrało, i masło ubiło. Każdy miał drób, więc była odrobina mięsa i jajka. I świnka chrumkała w niejednym chlewiku. I ziemniaki były swoje, i kapusta. Teraz zostali jedynie z małymi przydomowymi ogródkami, gdzie wyrosnie tyle, co na bieżące potrzeby. A przecież wiadomo, że samą jarzyną człowiek nie wyżyje. Chłop nie krowa, by pożarł se trawy i miał z tego siłę do roboty.

Stały więc stare bojcore pod sklepem, rajcując o wiejskich nowinkach. Obśmiały już starego Macherka, któremu portki na dupie trzasnęły, gdy klękał w niedzielę przed komunią. Zdażyły szeroko omówić problem sołtysa, którego córka dorobiła się nieślubnego brzucha – nie wiadomo z kim. I Weronkę od Marczykowej, która wróciła ze Śląska z podbitym okiem, rozkrwawioną wargą i dwójką drobiazgu.

– Ni mo somsiadka szczęścia do chłopów – uzaliła się nad nią Czopikowa. Raz po raz drapała się to po brzuchu, to po grzbiecie, gdyż w starej podomce z dederonu, która już od dawna nie miała kontaktu z wodą i proszkiem do prania, było jej dość gorąco. A kiedy Jaśka się pociła, to na ciele wyskakiwały jej krosty.

– A dyć to taka sama hadra jak jej matula. Jeno wilkiem patrzy – zauważyła Gienka Goliszanka, szczerząc się w niemalże bezzębny uśmiech. W młodości zjadła zęby na dzieciach, bo każda ciąża powodowała rażące ubytki w szczęce. Teraz, gdy już nikt nie interesował się jej wdziękami, nagle zrobiła się porządnicą w myśl porzekadła: nie pamięta wół, jak cielęciem był.

– Prawdę gadacie. Jak się Tereska obejrzy, to aż ciarki po grzbiecie człekowi łażo. Taki to ma wzrok nieprzyjazny – mieliła ozorem Macherkowa, rówieśnica Gienki, nie mniej niż ona sponiewierana przez upływ czasu.

Kumochy obsiadły ławkę i kamienny murek przed sklepem. Kolejkę wyznaczały koszyki albo siatki ustawione w rządku.

Dzieciakom też nie chciało się stać, wołały grać w berka albo ciuciubabkę. Co rusz dobiegały z ich strony wesołe pokrzykiwania.

– O, samolot leci! – zauważył jakiś wyrostek.

– Pewnie z opryskami – domyśliła się ruda pieguska, nadzwyczaj podobna do obgadywanej wcześniej Weroniki od Marczykowej.

Swoją drogą, że też nikt jeszcze nie wybadał, jak franca ma teraz na nazwisko, szeptały między sobą kумы. Pewnie wypytałyby smarkulę, ale ta w ogóle nie chciała gadać ze starymi, przestawała tylko z dzieciakami.

Już po chwili cała zgraja zadzierała głowy, wrzeszcząc zgodnie:

– Pa-nie pi-lo-cie, bo dziu-ra w sa-mo-lo-cie!

Dorota także przycupnęła na ławce, starając się nie oddychać zbyt głęboko, gdyż jej towarzyszki, delikatnie mówiąc, niezbyt świeżo pachniały. Z ich dawno niepranych podomek unosiła się mieszanka woni: czuć było i oborę, i kuchnię, i spocone w upale ciała. Kobieta zamierzała usiąść na murku, ale jak tylko przyszła pod sklep i zajęła kolejkę, baby przesunęły się na ławce – toć nie godziło się, by wdowa po naczelniku siedziała na betonie. Jeszcze by wilka dostała, i tyle by se sprawiła kłopotu!

– A co tam słyhać w Nowej Hucie, pani Olszańska? – zapytała Macherkowa, by zagaic pogawędkę.

Mało którą wiejską kobietę tytułowano panią. Tak się już przyjęło, że albo były „kумы”, albo „somsiadki”, albo wołano się imionami po ślubnym – „Wojciechowa”, „Władka”, „Jaścyna”. Właściwe nazwiska były używane nader rzadko, a już imiona prawie nigdy, chyba że odświętnie.

– Ano jakoś się pcha pomału i do przodu. Tylko patrzeć, jak zjadą tutaj Broniek i Julka z rodzinami na Matki Boskiej Zielnej. Specjalniem przyszła zrobić jakieś większe sprawunki, żeby było czym ich ugościć. A tu, masz ci los, czeka człowiek na

dostawę i ani widu, ani słychu – westchnęła.

– A Krysia nie przyjedzie? I Leszek? I bratowa po Jędrusiu?

– Bratowa to już w ogóle do nas nie zagląda, zresztą i u miastowych też się nie pokazuje. Krysia się z domu nie wyrwie. Jakoś tak okrzepła w mieście, że nie chce jej się ruszyć na wieś. Lesiu ciągle narzeka na głowę. Dla niego taka podróż to męczarnia, bo w autobusie ciągnie go na wymioty.

– Musi do Harrisa – podsunęła Jakubowa, odsłaniając prawie bezzębną szczękę, w której sterczały pociemniałe, żółte resztki.  
– Ludzie gadają, że on każdemu pomoże.

Dorotka machnęła tylko ręką. Nie wierzyła w takie bajanie. Od Julki wiedziała, że Wawrzek był już u jakiegoś uzdrowiciela ze swoim przestrelonym ramieniem. Ten dłonie na niego kładł niby Jezus Chrystus, mamrotał pod nosem jakieś zaklęcia, a potem za swoje cuda czynione niby bioprądami wziął pokaźną kwotę. Pieniądze poszły, zdrowie nie wróciło. Tylko siostra denerwowała się listownie, że cały dzień zmitrężyli na tę wyprawę, bo takie tłumy czekały na widzenie w szarlatanem, że coś niebywałego! Koczowali w kolejce jak jacyś oberwańcy.

*Starzejemy się, zwykła kolej rzeczy – pomyślała Dorota. Odzywają się stare urazy i przychodzą nowe choróbska. Mnie też w krzyżach łupie, jak przed laty mateczkę. Nie ma dnia, by mnie coś nie strzykało czy to w boku, czy w plecach. Starość nadchodzi, niechybnie.*

## **Rok 1984**

– *Witajcie w naszej bajce, słoń zagra na fujarce / Pinokio nam zaśpiewa, zatańczą wkoło drzewa / Tu wszystko jest możliwe, zwierzęta są szczęśliwe / A dzieci, wiem coś o tym, latają samolotem* – nuciła Wiola, wracając z seansu w kinie.

To już trzeci raz, jak widziała *Akademii pana Kleksa*. Za

pierwszym razem na film zabrał ją tato. Poszli go obejrzeć we czwórkę. Kilka dni później niespodziankę chcieli im zrobić dziadkowie, którzy kupili bilety dla wnuków. A dzisiaj odwiedzili Świt całą klasą. I za każdym razem projekcja wzbudzała w niej taki sam zachwyty.

Ach, jakże marzyła, aby trafić do takiej akademii! Mogliby tam nawet być sami chłopcy, bo w gruncie rzeczy z nimi łatwiej było się dogadać niż z koleżankami. Gdyby jednak pozwolono Wioli przeżyć choć jedną z tych wspaniałych przygód, to chciałyby pójść w odwiedziny do bajki o Śpiącej Królewnie.

Podeksytowana wbiegła do mieszkania. Zzuła w przedpokoju mokre relaksy i ciepłą kurtkę. Umyła ręce, a potem od razu poszła do pokoju, aby nakarmić Tuptusia. Biedaczek ostatnio zrobił się jakiś ospały i leniwy. Nie chciało mu się kręcić w karuzeli, więcej czasu spędzał na drzemkach. Nawet gdy wyjmowała go z akwarium, by się z nim pobawić, często kończyło się to tym, że zwijał się w malutki, puchaty kłębuszek i zasypiał na jej podołku.

Nasypała mu ziarenek i włożyła świeży patyczek przyniesiony z podwórka. Chomik nawet nie drgnął, choć zwykle, gdy słyszał chrobot, podnosił pyszczek i węszył. Dziewczynka pogłaskała go palcem wskazującym, lecz i wtedy nie zareagował.

– Tuptuś? – zapytała z lękiem w głosie. – Tuptusiu, co ci jest?

A potem zrozumiała, że maleńki przyjaciel nie żyje.

Wyjęła zeszywniałą kulkę z akwarium. Usiadła na swoim tapczaniku i wybuchła nieutulonym płaczem. Po jej policzkach płynęły łzy wielkości ziaren grochu, kiedy tuliła martwe zwierzątko i wspominała wszystkie wspaniałe chwile, gdy mogła się z nim bawić.

Raz tato przyprowadził do mieszkania jakieś obce babsko. Zapowiedział jej oraz chłopcom tę wizytę, zaklinając ich, żeby byli grzeczni, bo bardzo mu na tym zależy. Chciał, by się jej spodobali. Sęk w tym, że ona w ogóle im nie przypadła do

gustu. Jej włosy były bardzo mocno natapirowane i stroszyły się niczym strzecha. Miała całkiem wyskubane brwi, a w ich miejsce namalowane ołówkiem kreski. Pociągnięte jaskrawoniebieskim cieniem powieki błyszcząły jak paski na rybkach neonkach, które lubili oglądać w sklepie zoologicznym. A gdy uśmiechnęła się na powitanie, Wiolka zobaczyła, że kredka do ust ubabrała jej zęby. Jakby tego było mało, obca była tak mocno wyperfumowana, że aż świdrowało w nosie.

Dziewczynka obserwowała spode łba rozświergotaną kobietę, która najwyraźniej chciała się wydać za męża za tatusia.

*O nie!* – pomyślała wówczas buntowniczo. *Ona wygląda jak macocha Kopciuszka albo Królowy Śnieżki! Niech sobie ten babsztyl nie myśli, że wkręci się na miejsce mamusi!*

Pod pierwszym pretekstem wymknęła się do pokoju i wyjęła chomika z akwarium.

– Masz do wypełnienia tajną misję – szepnęła do zwieraczka.  
– Musisz wystraszyć babę-jagę!

Z Tuptusiem w kieszonce spódniczki wróciła do pokoju taty. Usiadła przy stole, robiąc niewinną minkę. Czuła, jak gryzoń zaczyna wędrówkę po jej brzuchu do góry. To była jedna z ich zabaw – kładła go sobie na kolanach, a on wspinał się i wspinał, aż wlaź na jej ramię. Tam zwykle przysiadł i z wyżyn obserwował świat.

– Ot, zmyślna bestia – śmiał się nieraz dziadek Wawrzek. – Musi widzieć, co się dzieje naokoło.

– A jak toto mądrze spogląda – mawiała babcia, która jako jedyna kobieta w rodzinie nie brzydziła się wziąć Tuptusia na rękę. Wszystkie inne mówiły, że to okropny gryzoń, a ciotka Kazia to nawet zaczęła raz piszczeć na jego widok, gdy Wiolka zrobiła jej taki sam kawał, jak kandydatce na macochę.

Czupiradło z mocnym tapirem zareagowało prawidłowo. W mieszkaniu rozległ się wrzask, a gdy już rzecz się wyjaśniła – że to tylko maleńki zwieraczek Wioletty – damulka bardzo

szybko zadeklarowała chęć powrotu do domu. No i oczywiście przez cały ten czas siedziała jak na rozżarzonych węglach. A gdy wychodziła, upewniła się kilkakrotnie, że mysior nie wlaź jej do kieszeni albo pod kołnierz płaszcza.

Tatko nie był zły o aferę z Tuptusiem. Widać jemu też nie spodobała się szminka na zębach i niebieskie powieki, bo jakiś czas później przyprowadził do domu ciocię Bożenkę. A ta nie dość, że ładnie wyglądała, to jeszcze miała miły uśmiech, który wyczarowywał na jej twarzy urocze dołeczki. Na dodatek ubierała się normalnie i przyjemnie pachniała. Nie jak tamta, że świdrowało w nosie i ciężko było oddychać, lecz tak, jakby człowiek znalazł się na łące wśród kwiatów.

A teraz Tuptuś leżał sztywny w garści Wioletty i nie oddychał. Maleńkie łapeczki z ostrymi pazurkami nie poniosą go już na wspinaczkę po jej swetrze. Nie pokręci się w karuzeli i nie napędzi stracha żadnej rozczochranej czarownicy.



Tej wiosny Karol odzyskał dobry humor i z upodobaniem zaczął nucić pod nosem: *Powiedz, mała, gdybym chciał / z tobą wpaść w tak zwany szal, / mógłbym liczyć?*<sup>[19]</sup>. Czas z Bożeną zawsze mijał przyjemnie. Spotykali się co najmniej raz w tygodniu. Koleżanka z dzieciństwa i lat nastoletnich zdawała się stanowić antidotum na jego bolączki. Rozjaśniła mrok szarej egzystencji. I choć mu się nie przelewało, zabierał ją to na kawę, to na jakiś interesujący seans do kina. Obejrzelili razem *Seksmisję*, *Lata dwudzieste*, *lata trzydzieste* i jeszcze parę innych produkcji.

Czasami na czole Pawłowskiego pojawiała się chmura. Działo się tak wtedy, gdy przypomniawszy sobie o profesji przyjaciółki. Czuł wtedy podpełzającą zdradziecką żmiję zazdrości, która dławiała jego gardło. Zaraz jednak przychodziło opamiętanie: nie



byli narzeczeństwem, przyjaźnili się tylko. Spędzali razem trochę czasu, za który nie musiał jej płacić. Nie sypiali ze sobą, choć niekiedy Karola nawiedzało wspomnienie tamtej kwietniowej nocy.

Pomny doświadczeń z jedyną kobietą, jaką do tej pory udało mu się przyprowadzić do domu, zaprosił pewnego dnia Bożenę do siebie, nadmieniając jednakże, że nie ręczy za reakcje dzieciaków. Ku jego zaskoczeniu obyło się bez pisków i obydwie strony szybko znalazły wspólny język. A to spowodowało, że w jego głowie powstała myśl, którą początkowo usiłował wypierać.

Mógłby ożenić się z Bożeną. Gdyby tylko zechciała porzucić swój niechlubny zawód.

Czasami, gdy na nią patrzył i kiedy słuchał jej nielicznych zwierzeń, wyczuwał tęsknotę za normalnym życiem i prawdziwą rodziną. Brakowało jej córki, pragnęła mieć ją w domu na co dzień. Miała dość niekończącej się defilady kochanków, czy może raczej klientów.

Tylko czy zechce zamienić swoje luksusy na skromne dwupokojowe mieszkanie i życie od pierwszego do pierwszego?

Mimo wszystko postanowił podjąć ryzyko. Dał nawet anons do prasy, że poszukuje większego lokum. Uznał bowiem, że bez względu na to, czy jego plan wypali, trójce nastolatków należy się więcej przestrzeni. A kto wie? Może za jakiś czas do tej gromadki dołączy jeszcze jedna dorastająca pannica?

Na razie nie myślał o konsekwencjach. O tym, co będzie, gdy idąc ulicą, spotkają jakiegoś klienta Bożeny. Albo jak na ich związek zareagowałby Jane. Do tej pory nie miał jakoś okazji wyznać przyjacielowi z dzieciństwa (a teraz to już raczej koledze lub nawet znajomemu, gdyż rzadko go spotykał), o tym, że widuje się z Morkówną. Zakładał, że to będzie trudna rozmowa.



Bronek nigdy nie kupował „Trybuny Ludu” – nie uznawał tej gazety za wiarygodną. Wiedzę o sytuacji w kraju i ważnych wydarzeniach wciąż wolał czerpać z Radia Wolna Europa. Zdziwił się więc pewnego dnia, widząc, że córka przyniosła do domu olbrzymią płachtę gęsto zadrukowanego papieru.

– Zobacz, tatku – powiedziała, rozkładając ją przed nim na stole – tutaj jest napisane, że księdza Popiełuszkę oskarża się o działalność antypaństwową. Będzie miał sprawę w sądzie.

– Co ty mówisz, dziewczyno? Musiało ci się chyba coś pomylić. Czemu mieliby to robić? Teraz, po zniesieniu stanu wojennego? Toć gdyby mieli zamknąć mu usta, podjęliby kroki już ze dwa lata temu!

– Nic nie poplątałam. Sam przeczytaj. – Wskazała artykuł na temat kapłana.

Sięgnął po dziennik. Rzeczywiście, Agnieszka mówiła prawdę. Przeciwno wikaremu z Żoliborza wniesiono akt oskarżenia.

– Aresztowali go? – zapytał.

– Nie wiem. Chyba nie – odparła córka.

– Dzięki Bogu. Ale boję się, że coś wykombinują. Cholerni esbecy niejednego potrafili złamać.

– Będziemy się za niego modlić. Nic innego nie pozostało. A zresztą naród za nim stanie – stwierdziła nagle z błyskiem ożywienia w oczach. – Pomyśl tylko, tato, co by to było, gdyby milicjanci go aresztowali! Cała Warszawa wyległaby na ulice.

– Masz rację, córciu. Doszłoby do zamieszek. Ludzie siłą odbiliby go z aresztu. Jest nas dość, by ruszyć mu z pomocą. Taka Federacja Młodzieży Walczącej, chociażby. Dopiero ją powołali do życia, a już redaktorzy w Radiu Wolna Europa entuzjastycznie wypowiadają się na ten temat – zniżył nieco głos. – Dobrze pokierowaliśmy naszymi dziećmi. Nie daliście

sobie zamydlić oczu propagandą, jaką wtlaczali wam w szkołach w głowy. A co do Popiełuszki... Gdyby przyszło co do czego, sam bym pojechał do stolicy walczyć w tej sprawie – zaperzył się, choć miał świadomość, że w jego wieku takie eskapady nie są wskazane.

Niby dobiegał dopiero sześćdziesiątki, lecz lata ciężkiej pracy zrobiły swoje. Już nie miał tych sił witalnych, którymi tryskał jeszcze parę lat wstecz. Teraz szybciej się męczył. Wchodząc po schodach, dostawał zadyszki, więc radykalnie ograniczył palenie. Nie miał też takiej krzepy. Cieszył się, że w Pawlicach gospodaruje Kacper, ponieważ on już nie poradziłby sobie ze wszystkim. Jak wyszedł ubiegłego roku, by dla rozrywki i relaksu na świeżym powietrzu skosić małą łączkę, to wrócił taki zziajany, jakby zaorał całe pegeerowskie pole. Bogusia, słodki anioł, co nigdy nie podnosi głosu, nakrzyczała wtedy na niego ile wlezie. Ponoć oczy tak mu podbiegły krwią i taki był czerwony na twarzy, że wyglądał, jakby miał paść na zawał.

Nie uczestniczył w zadymach stanu wojennego. Po pacyfikacji kombinatu uznał, że jego czas już przemija. Gdyby wtedy doszło do starć z oddziałami ZOMO, nie miałby najmniejszych szans. Spraliby go jak kundla, bo ani mu się bić, ani uciekać.

I choć żywo interesowało go wszystko, co dzieje się na mieście, pozostawał jedynie obserwatorem. Nie próbował natomiast odwozić od udziału w zamieszkach Ludwika. Nie na to go chował, by wyrósł na tchórza. Za każdym razem napominał syna, by na siebie uważał, miał oczy dookoła głowy, nie dawał się otoczyć na niewielkiej przestrzeni i unikał pomieszczeń, z których jest trudna ucieczka. Miał w tych kwestiach wystarczające doświadczenie.

Rzucił gazetę na stół. Dość przeczytał, nie zamierzał mącić sobie umysłu propagandą. Reszty dowie się z radia. Może usłyszy coś więcej i z wiarygodnymi szczegółami.

– A co tam w pracy, Agnieszko? – zagadnął córkę.

– Dobrze, tato, lepiej sobie radzę niż w biurze kombinatu.

Nie zaaklimatyzowała się w Centrum Administracyjnym. Przerzucanie papierów na biurku ją nużyło, a i satysfakcji z tego nie czerpała. Potrzebowała kontaktu z ludźmi, więc po zrobieniu kilku wymaganych szkoleń podjęła zatrudnienie jako pracownica socjalna przy Polskim Komitecie Pomocy Społecznej. Dopiero to zajęcie pozwoliło jej rozwinąć skrzydła. Mimo wszystkich nieszczyć, z jakimi spotykała się na co dzień, miała poczucie, że robi coś naprawdę wartościowego. Bo choć zazwyczaj była spokojna i wyciszona, w razie konieczności umiała pokazać pazury.

Zobaczyła także, jak wielka jest skala dramatów ludzkich rozgrywających się tuż obok. Życie codzienne wyglądało zupełnie inaczej, niż przedstawiała to propaganda sukcesu ukazywana przez media.

Nie, ślepa nie była. Wszak już wcześniej widziała ciotkę alkoholicką. Znała historię Sabiny i jej walki o przetrwanie. Wiedziała, jak tato jest dyskryminowany w pracy za działalność opozycyjną. A przede wszystkim myślała o Ewie, która napytała sobie biedy lekkomyślnym zawarciem małżeństwa. I to właśnie jej starała się pomóc w pierwszej kolejności. Przekonała kuzynkę, że ma dzieci wystarczająco duże, by nie musiała ich niańczyć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I że Robert także przeżyje bez jej ciągłej obecności w domu. Że nie może całkowicie uzależniać się od tego tyrana i w tak trudnych czasach dodatkowa pensja na pewno bardzo się przyda. Chłopcy rośli, mieli coraz większe potrzeby. No i oczywiście jej także należało się coś od życia: własne pieniądze na drobne wydatki. By nie musiała żebrać od Roberta każdej złotówki na repasację rajstop, krem do twarzy czy wizytę u fryzjera. A ta ostania była, zdaniem Agnieszki, bezwzględnie potrzebna kuzynce.

Podbudowana jej życzliwością i wsparciem moralnym Ewa

przekonała męża, że więcej pożytku z niej będzie, jeśli pójdzie do pracy. O dziwo, wyraził łaskawą zgodę, nadmieniając jednakże, że to nie zwalnia jej z wykonywania dotychczasowych obowiązków domowych. Bo on wraca z huty zmordowany i potrzebuje do szczęścia trzech rzeczy: solidnego posiłku, wypoczynku i świętego spokoju. A nie żeby jeszcze miał się uganiać po jakichś wywiadówkach, lekarzach, kolejkach za mięsem lub innymi towarami.

Kilka dni później Ewa otrzymała połowę etatu referentki w biurze Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. W końcu udało jej się odżyć, choć jeszcze do niedawna odnosiła wrażenie, że nic dobrego już na nią nie czeka. A przecież miała dopiero dwadzieścia pięć lat! Nie powinna więc czuć się jak ktoś, kto jest u kresu życia i nie liczy na żadne odmiany losu.



Co zrobić z tak dziwaczną znajomością?

Karol niemalże każdego dnia stawiał sobie to pytanie i wciąż nie potrafił znaleźć na nie rozsądnej odpowiedzi. W Bożenie odpowiadało mu prawie wszystko: była pogodna, dowcipna, elokwentna i odczytana. Choć nie zdała matury – siłą rzeczy nie miała kiedy tego zrobić – w czasie rozmowy nie odczuwało się braków w jej wykształceniu. Bystry umysł niczym gąbka chłonał wiedzę z otoczenia. Miała doskonałe podejście do dzieci – bardzo ją polubiły i nawet jeśli wycinały jakieś numery, wszystko obracane było w żart. Nie wystraszył jej Tuptuś ani ostra rockowa muzyka, którą kiedyś puścił zbyt głośno Marek. Udawała, że nie widzi, jak na początku całe rodzeństwo spogląda na nią wilkiem. Karol nawet nie zauważył, kiedy nastąpiła zmiana ich nastawienia do jego... hm... znajomej, i nagle zrozumiał, że Morkówna stanowi ważną postać w ich

życiu.

Skłamałby, mówiąc, że jej uroda jest dla niego bez znaczenia. Bożena mocno oddziaływała na jego zmysły, choć wciąż zachowywali dystans stosowny dla przyjaciół. Pozwalali sobie na krótkiego całusa, muśnięcie dłonią. Absolutnie nic więcej.

On nie mógłby znieść myśli, że jest jednym z wielu.

Ona nie chciała, aby zrównał się z innymi mężczyznami.

I to była jedyna rzecz, która nie odpowiadała mu w tym wszystkim. Spychana w głąb świadomości, wypływała na powierzchnię, przypominając o sobie mocnymi ukłuciami powodowanymi zazdrością.

Pawłowski wiedział, że Bożena bardzo tęskni za swoją córką. Chciała mieć ją z powrotem w domu, wychowywać i patrzeć na nią. Mimo wszystko zdawała sobie sprawę, że bezpieczniej jest, gdy nastolatka przebywa z dala od niej. Nie narażało to Marioli na zaczepki ze strony jej klientów. Morkówna za nic w świecie nie dopuściłaby do tego, by dziecko podzieliło jej los. Wolała więc zrezygnować z bliskości i zmagać się z nieprawdopodobną tęsknotą niż podejmować ryzyko, że jej protektor wyciągnie ręce po dorastającą dziewczynę.

Gruca był zdolny do wszystkiego. Nawet do zdeprawowania kogoś, kto teoretycznie mógł być jego córką. Choć Bożena nalegała, nigdy nie wyraził zgody na przeprowadzenie badań potwierdzających bądź wykluczających jego ojcostwo. Kiedy Jane wyrzucił Morkównę na bruk, Zygmunt ulokował ją przejściowo w jakiejś kwaterze. Potem przeprowadziła się do aktualnie zajmowanego mieszkania. Próbowала wtedy uporządkować swoje sprawy. Kilka miesięcy po rozstaniu Becker zażądał, by zostało przeprowadzone badanie krwi. Odgrażał się, że jeżeli jest ojcem Marioli, to odbierze Bożenie dziecko, by nie wychowywało się przy prostytutce, i złoży wniosek o pozbawienie jej praw rodzicielskich.

Wyniki wykluczyły pokrewieństwo pomiędzy Jane i Mariolą.

Mężczyzna przyjął to z ogromną ulgą, ale i z gniewem, gdyż przywiązał się do dziewczynki. Przez kilka tygodni zalewał robaka, by zapomnieć o całej sprawie. W tym czasie Karol podnosił go na duchu jak tylko mógł.

Bożena także odetchnęła, ale pozostał problem: kto faktycznie spłodził dziecko. Gruca czy ktoś inny? Zanim odkryła, że jest w ciąży, zdążyła przespać się z kilkoma mężczyznami. Gnała ją ku temu ciekawość. Ponadto oni wciąż ją kusili, oferując kosztowne prezenty, a ona miała wówczas słabą wolę. Dopiero co odkryła, jaką władzę nad nimi daje jej młode ciało i, co tu dużo mówić, trochę się tym zachłysnęła.

Później po wielokroć żałowała swej ciekawości.

Marzyła o tym, by uwolnić się od Zygmunta. Zdjąć z twarzy maskę kobiety, która odnajduje szczęście w sypianiu z różnymi facetami. Przestać się kłamliwie uśmiechać i udawać, że wszystko jest jak należy.

W końcu nadszedł czas na to, aby zmierzyć się z problemem. Pewnego dnia Karol zaprosił Bożenę na długi spacer. Rozmawiali o różnych sprawach, potem mężczyzna delikatnie skierował rozmowę na temat dzieci. Uznał, że gdy stawką będzie tęsknota Bożeny za Mariolą, to łatwiej mu przyjdzie nakreślenie wizji wspólnej przyszłości. Odnosił bowiem wrażenie, że Morkówna tkwi w tym miejscu, w którym się znalazła, z braku alternatyw.

– Rzuciłabyś to, gdybyś miała inną możliwość? – zapytał w końcu.

Podniosła na niego wielkie niebieskie oczy, w których zalśniły łzy – jakże niepasujące do pięknego, październikowego popołudnia. Wolnym krokiem spacerowali aleją Róż, zostawiając za plecami plac Centralny i znieawidzony postument. Drzewa w parku Ratuszowym ciągle jeszcze zieleniały listowiem, poprzetykanym gdzieniegdzie żółcią lub odcieniami czerwieni. Słońce chyliło się ku zachodowi,

rozlewając krwawą smugę na ciemniejącym niebie.

– Tak. Bez wahania. Ostatnio wciąż o tym rozmyślam. Mogłabym podjąć pracę w fabryce. Niekoniecznie tutaj, w Nowej Hucie. Przeniosłabym się na przykład do Bronowic. Albo za miasto. Przecież безпеca nie może mnie zmuszać do nierządu.

– Zniżyła głos do ledwo słyszalnego szeptu. Po raz pierwszy w obecności Karola nazwała rzecz tak dobitnie. – Dowiedziałam się, kto jest przełożonym mojego opiekuna. Pójdę do tego człowieka i wytłumaczę, że chcę z tym skończyć. Niech sobie zabiorą mieszkanie. Jeśli zajdzie potrzeba, podpiszę jakiś papier, w którym zobliguję się do zachowania dyskrecji. Coraz częściej myślę o tym, jak mi jest teraz źle. Pragnę normalnego życia. Takiego, jakie mają inne kobiety. Tych samych kłopotów i trosk, ale i tych samych radości. Mogę stać godzinami w kolejce przed sklepem. Kupować tylko tyle, na ile wystarczy mi kartek. Nie potrzebuję luksusów. To wszystko już dawno mi obmierzło. Mam trochę oszczędności, więc na początek będę miała za co się utrzymać – mówiła coraz bardziej gorączkowo.

– A gdybym i ja przeprowadził się do Bronowic? Albo za miasto? – zagadnął Pawłowski.

Zatrzymała się gwałtownie i ze zdziwieniem spojrzała na niego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała głosem przepełnionym emocjami.

– Że zapomniałbym o tym, co było. Kochałbym cię i szanował tak, jak mężczyzna winien szanować swoją żonę.

Dostrzegła niezwykłą powagę malującą się na jego twarzy.

– Karolu! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

– Oczywiście. – Ujął jej dłoń.

– Nie mogę się zgodzić na takie poświęcenie z twojej strony! Wiem, jak trudno byłoby ci z tym żyć. Bo nie byłbyś w stanie wyrwać ze świadomości myśli o tych wszystkich mężczyznach, z którymi sypiałam. I o tym, że gdy ty walczyłeś z władzą, ja



stałam po drugiej stronie barykady. I właściwie nadal tam stoję, skoro wciąż figuruję na liście płac bezpieczeństwa.

Mówiła tak cicho, że ledwo słyszał jej głos.

Objął i mocno przytulił kobietę. Wszeptał jej na ucho:

– Ostatnio wciąż o tym myślę. Moje słowa nie padły pod wpływem impulsu, bądź tego pewna. Przecież chodzi o dobro naszych dzieci. Chciałbym opuścić Nową Hutę i zacząć wszystko w innym miejscu. Tam, gdzie nikt nas nie zna. Jeśli tylko zdołasz wywikłać się ze współpracy z bezpieczeńką, to jestem przekonany, że nam się uda.

– Naprawdę? – Odchyliła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Byłaś moją pierwszą miłością. Kocham cię – powiedział.

Po jej twarzy płynęły łzy. Bez słowa przywarła do mężczyzny. Wtuliła twarz w jego ramię. Równie bezpieczna i spokojna nie czuła się od wielu lat.

– Porozmawiam z Wołodjewem tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Najpierw jednak muszę znaleźć jakiś tymczasowy kąt i sensowne zajęcie.

– A ja zacznę szukać innego mieszkania. Wszystko będzie dobrze, maleńka. Poradzimy sobie – odparł z głębokim przekonaniem.



– Trzeba znaleźć kogoś na miejsce twojej pupilki – powiedział Wołodjew, wypuszczając nosem i ustami kłęby papierosowego dymu.

– O czym mówicie? – zdziwił się Gruca.

– A o tym, że wasza pieszczoszka już dla nas nie pracuje.

– Jak to? – Funkcjonariusz nagle pobladł, a w jego oczach pojawiła się wściekłość. – Zwolniliście ją, towarzyszu?

– Nie, choć pożytku było z niej tyle, co nic. Dawno mnie już

korciło, aby ją odprawić, ale trzymałem ją ze względu na was. Bo jak widzę, to wasza słabostka – dodał, zwiężając oczy tak, że powieki utworzyły dwie szparki. – Oficer nie powinien mieć słabostek – wysyczał ostrzegawczo. – A wasza panienska sama podziękowała za służbę. Była u mnie na rozmowie dziś rano. Zapewne teraz pakuje manatki przed opuszczeniem służbowego mieszkania.

– Pozwoliliście jej odejść? – ryknął Zygmunt, zrywając się z krzesła. Odsunięty gwałtownie mebel z hukiem upadł na posadzkę.

– Towarzyszu, opamiętajcie się. – Głos Wołodjewa był cichy, spokojny, lecz zarazem złowrogi. – Jeśli narobicie głupstw, nie będę w stanie wam pomóc. Macie ładną, młodą żonę, a gonicie za starą kurwą. Na co wam kłopoty? – Daremnie próbował ostudzić zapał kolegi, ponieważ po Grucy zostało tylko przewrócone krzesło i otwarte drzwi na korytarz.

Wołodjew wrócił do przerwanej pracy. Ostatnio sen z powiek spędzała mu Federacja Młodzieży Walczącej – nowa gangrena tocząca organizm społeczeństwa. Byli niczym szybko rozprzestrzeniająca się zaraza. Zaczęło się od warszawskiej Pragi. Ledwo minęło parę miesięcy, gdy do tamtego grona krzykaczy dołączyli gówniarze z całego kraju. Szybko zaczęli wydawać swoją prasę i agitować nowych członków. W Krakowie było jeszcze w miarę spokojnie, ale pracownicy Służby Bezpieczeństwa już mieli oko na młode pokolenie opozycjonistów. Takie ruchy należało tłamsić w zarodku i wszelkimi możliwymi sposobami. Dokładnie tak, jak przed laty powiedział Zenon Kliszko: „Z kontrrewolucją się nie rozmawia, do kontrrewolucji się strzela”.

– Jak zajdzie konieczność, będziemy strzelać – burknął pod nosem, przeglądając podziemne pismo „Bunt”, które onegdaj skonfiskowano jakiemuś gnojkwowi wracającemu ze stolicy. – Dawnośmy nie mieli w użyciu gazu łzawiącego i armatek

wodnych. Dobrze czasami przewietrzyć sprzęt.



Julia wiedziała, że Karol spotyka się z jakąś kobietą. Nie od razu chciał zdradzić szczegóły, a ona nie naciskała na syna. Zauważyła bowiem, że ten związek jest dla niego dość trudny i nastrocza mu wątpliwości. To od Wioletty pierwszy raz usłyszała imię jego wybranki i od razu nasunęło jej się skojarzenie z pierwszą miłością Karola. Kilka dni później sam wspomniał, że spotyka się z Morkówną.

Była zaskoczona, że chodzi akurat o nią. Wszak z jej powodu cierpiała cała paczka przyjaciół. Dała się jednak przekonać, że Bożena wyciągnęła wnioski z błędów popełnionych w młodości. Zastanawiało ją tylko, jak Karol załatwi tę kwestię z Jane – wszak niewiele brakowało, by Becker wziął z nią ślub. Choć trudno byłoby nazwać ich przyjaciółmi, mężczyźni nadal się widywali. Była także kwestia tajemniczego pochodzenia jej córki.

Temat nabrał znaczenia, gdy jakiś czas później Karol wspomniał matce o swoich planach matrymonialnych.

- Zakładam, że gruntownie to przemyślałeś – stwierdziła.
- Bardzo. Przecież chodzi nie tylko o mnie, ale również o nasze dzieciaki.
- Wiola bardzo lubi Bożenę. Wciąż o niej opowiada.
- Zżyły się ze sobą w ciągu kilku ostatnich tygodni.
- Zdajesz sobie sprawę z tego, na co się porywasz?
- Tak, mamo. Nim przyprowadziłem Bożenę do domu, dobrze się nad tym zastanowiłem. I zapewniam cię, że gdyby dzieci okazały jej wrogość, nie snułbym planów na przyszłość. Mam już na oku ładne mieszkanie w Bronowicach. Jest znacznie większe od naszego. Będę potrzebował trochę pieniędzy, ale

wierzę, że sobie poradzę. Moje pociechy podrosły, więc mogę wziąć dodatkowe godziny na uczelni.

– A tak właściwie to czym ona się zajmuje?

– Jest urzędniczką. Dojeżdża do Krakowa – skłamał.

Przecież nie mógł powiedzieć matce, że planuje ślub z prostytutką. Na domiar złego powiązaną z SB. To ostatnie było wprowadzie do odkręcenia, ale wymazanie przeszłości stanowiło mrzonkę. Mogli jedynie spróbować uciec przed nią na przeciwległy kraniec miasta, gdzie zaczną wszystko od nowa. Musieli zachować maksimum ostrożności. Problemem mogli być nawet koledzy ojca – Bożena spotykała się wyłącznie z osobami z elit. Karol i narzeczona omówili to wszystko gruntownie i stwierdzili, że powinni zachować sprawę w sekrecie. Wziąć cichy ślub, co w ich przypadku było w pełni zrozumiałe – nie mieli dwudziestu lat i każde miało już za sobą jakąś przeszłość. Przeprowadzka była sprawą bezdyskusyjną. A potem powinni raczej unikać zbyt częstych wizyt w Nowej Hucie.

– No dobrze. To kiedy ją do nas przyprowadzisz? – zagadnęła syna Julia z łagodnym uśmiechem. – Nie widziałam jej całe lata. Chętnie odświeżę tę znajomość.

– Za kilka dni. Obiecuję. Pa, mamó! – Cmoknął ją w policzek.

– Już uciekasz? Tato zaraz powinien wrócić z posiedzenia.

– Spotkam się z nim innym razem. Teraz muszę lecieć.

Umówił się z Bożeną i właściwie już był spóźniony. Miał pomóc jej w przeprowadzce – na razie do wynajętej kawalerki. Liczył, że niebawem na własne śmieci.



– Dokąd to się wybierasz?

Bożena skoczyła jak oparzona, słysząc głos Zygmunta. Tak

bardzo pochłoneńo ją pakowanie, że nawet nie zwróciła uwagi na zgrzytnięcie zamka w drzwiach i kroki. Te ostatnie stłumił dywan.

Mężczyzna musiał być już chwilę w jej mieszkaniu, gdyż nie miał na sobie płaszcza ani nakrycia głowy. Na zewnątrz było zdecydowanie zbyt zimno, by paradować po ulicy w samej koszuli i cieniutkim blezerze.

– Wołodjew nic ci nie powiedział? – zapytała z przestraczem.

– Owszem, powiedział – warknął mężczyzna.

Na jego twarzy malowała się wściekłość. Bożena przewidziała, że Gruca może tak zareagować, i dlatego zamiast rozmawiać na ten temat z nim, od razu wybrała się do przełożonego.

– Pozwolił mi odejść. Wyprowadzam się właśnie – oznajmiła.

– Nigdzie nie pójdziesz – wysyczał.

– Nie?

– Nie!

– Nie masz nic do gadania. Bawi cię rola alfonsa? Nie możesz mnie zmuszać do prostytucji. Na to, zdaje się, są paragrafy.

Podszedł bliżej i złapał ją całą garścią za włosy. Pisnęła i upuściła stertę ubrań, którą zamierzała włożyć do walizki.

– Puść mnie! – zażądała.

– Nic z tego! Nigdzie nie pójdziesz!

– Nie masz prawa mnie zatrzymywać!

– To ja jestem prawem!

Bała się szaleństwa, którym błyszcząły jego oczy, ale nie zamierzała ustępować. Dostała od losu drugą szansę i tej nie wolno jej było zaprzepaścić. Jedną już pogrzebała tego dnia, gdy ponownie wpuściła Zygmunta do swojego świata, choć planowali z Jane ślub. Gdyby nie tamta lekkomyślność, dzisiaj byłaby zapewne stateczną mężatką. Wiodłaby spokojne życie, ciesząc się szacunkiem otoczenia.

Karol chciał jej to umożliwić. Nie okazywał wzdargy, mimo że wiedział o wszystkim. I choć Bożena czuła, że nie zasługuje na

miłość, pragnęła zamieszkać razem z nim i jego rodziną. Nieważne, jak skromne byłoby ich wspólne życie. Byle razem. Byle odzyskać godność.

Dlatego teraz, nie bacząc na to, ile włosów zostanie w garści Zygmunta, zwinnie wywinęła się z uścisku. Mężczyzna spojrzał na pięść, w której faktycznie zostały złociste kosmyki. Morkówna odskoczyła jak najdalej od niego. Chciała dostać się do aparatu telefonicznego, lecz esbek był od niej szybszy. Jednym pociągnięciem wyrwał wtyczkę z gniazdka.

– Wynoś się, bo zacznę krzyczeć. Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! Milicja! – Nie czekając na jego dalsze poczynania, podniosła wrzask.

Wiedziała, że stoi twarzą w twarz z nieobliczalnym człowiekiem. Z dwojga złego wolała się tłumaczyć przed milicjantami, gdyby ktoś usłyszał krzyk i ich wezwał, niż zaryzykować, że Zygmunt wyrządzi jej jakąś krzywdę.

Dopał ją jednym susem. Nawet nie zdążyła pisnąć, gdy oddany z niezwykłym impetem cios powalił ją na dywan. Miękkie kudły zamortyzowały upadek, który w innych okolicznościach byłby zapewne bolesny. Nim zdążyła zareagować, Gruca znowu złapał ją za włosy. Zacisnął pięść i uniósł kobietę do pozycji siedzącej. A potem kolejny raz wziął zamach. Trzask pękającej chrząstki nosowej zbiegł się z przerażającym wyciem. Twarz Bożeny zalała purpurowa krew.

– Chcesz zwać z kochasiem? – ryczał mężczyzna, wymierzając cios za ciosem. – Proszę bardzo! Zrobię ci na randkę taki makijaż, że do końca życia popamiętasz!

Próbowała się bronić, zasłaniać. Wierzgała jak szalona, usiłując go z siebie zepchnąć, gdyż okrakiem przyciskał ją do podłogi. Rozpaczliwie krzyczała, aż jedno z uderzeń pozbawiło ją przytomności. Nawet to nie powstrzymało esbeka. Masakrował twarz Bożeny pięściami, aż zmienił ją w pozbawioną zębów krwawą miazgę. Ze wszystkich sił uderzał

głową kobiety o podłogę. Nieprzyjemnie trzasnęły kości w odcinku szyjnym kręgosłupa. A on wciąż wyładowywał w dzikiej furii swoją wściekłość.

Nagle oprzytomniał. Puścił bezwładne ciało w kałużę krwi. Zaciśniętą pięścią dotknął własnych ust.

– Co ja narobiłem? Co ja narobiłem? Bożena! Bożena! – powtarzał chaotycznie, macając tętnicę szyjną, lecz kobieta już od kilku minut nie żyła.

Odsunął się i spojrzał po sobie. Miał odzież schlapaną rozbryzgami krwi. Jego ręce były poranione zębami wybitymi martwej kochance – dopiero teraz poczuł ból.

Wyprostował się i cofnął parę kroków na chwiejnych nogach.

*Będzie na tego gnyba, z którym chciała uciec – pomyślał. Bez problemu przypiszę mu tę zbrodnię, a potem pošlę go na stryczek.*

Dobrze wiedział, z kim spotykała się ta mała dziwka. Nie wziął jednak pod uwagę, że kochaś do tego stopnia zawróci jej w głowie. Przez cały czas przymykał oko na wspólne spacerki, rodzinne obiady i inne przyjemności. Od dawna miał baczenie na Pawłowskiego, więc nawet mu odpowiadało, że Bożena się z nim prowadzi.

Poszedł do łazienki. Starannie umył ręce. Wziął ręcznik i wytarł kłamkę z jednej i drugiej strony. Podobnie uczynił z drzwiami wejściowymi. Wiedział, że w mieszkaniu roi się od jego odcisków palców, ale to było normalne, skoro często tutaj bywał. Z tego łatwo się wykpi. Teraz myślał tylko o tym, by niepostrzeżenie dostać się do samochodu. Miał nadzieję, że krzyki Bożeny przeszły bez echa i nikt z sąsiadów nie wykazał się nadgorliwością. Zresztą gdyby teraz go tutaj przyłapali, to zawsze może powiedzieć, że przyszedł do niej, by zdała mu sprawozdanie z pracy. Wchodząc na górę, minął uciekającego wysokiego szczupłego mężczyznę, a ją zastał leżącą w kałuży krwi. I tak, potrafi opisać zbiega, co więcej – zna nawet jego

tożsamość.

Narzucił płaszcz pozostawiony wcześniej w przedpokoju. Pogratulował sobie w duchu tej przezorności, bowiem teraz okrycie wierzchnie zasłaniało spodnie, które mocno zbroczone były krwią.

Uchylił drzwi na klatkę schodową. Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego niepokojącego. Podniósł kołnierz jesionki i głębiej wsunął kapelusz, by zasłonić twarz. Chyłkiem zbiegł po schodach, licząc na to, że nie natknie się na milicję, lecz w razie czego już miał przygotowaną wymówkę, że szedł, by ich wezwać.

Nie spotkał nikogo. Spokojnie podszedł do samochodu. Uruchomił silnik i bez większego pośpiechu ruszył przed siebie. Dojeżdżał do końca ulicy, gdy minął go radiowóz pędzący na sygnale. Odetchnął z ulgą.

– Zdążyłem.



– Zygmun, to ty? – zapytała Natalia, słysząc trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Siedziała w fotelu ze stopami podwiniętymi pod siebie i ze znużoną miną przeglądała najnowszy katalog jakiejś zachodniej firmy wysyłkowej, który kilka dni wcześniej przyniósł jej mąż. Miała upatrzeć sobie jakąś ładną sukienkę do odszycia przez krawcową, lecz dobrze wiedziała, że cokolwiek by jej się spodobało, to i tak on wybierze inaczej. Nadal nie uznawał krótkich spódnic i głębszych dekoltów. Czasami złościła się, że każe jej nosić stroje odpowiednie dla małej dziewczynki – pozbawione choćby grama seksapilu. Próżno jednak próbowała się buntować – Zygmunt był nieugięty.

Nikt nie odpowiedział, więc odłożyła żurnal na ławę. Opuściła



nogi na podłogę, wygładziła nieistniejącą fałdkę na bluzce i weszła do przedpokoju. Mąż odwieszał właśnie płaszcz.

– Zygmunt, co się stało? – zapytała z lękiem, widząc, że jego ubranie obficie zbryzgane jest krwią.

Nigdy wcześniej nie wracał do domu w takim stanie, choć zdarzało się, że wśród rzeczy, które dawał jej do prania, znajdowała się poplamiona odzież. „Taka praca” – tłumaczył krótko i patrzył jej w oczy na tyle wymownie, by nie drażyła tematu.

Podniósł wzrok na żonę. Dostrzegła jego niezwykle bladą twarz. Bez słowa podszedł i złapał ją w objęcia. Pocałował ją z takim żarem, jak jeszcze nigdy. Język mężczyzny wił się niecierpliwie w jej ustach. Czuła jego zęby na swoich wargach, to znowu ssał je aż do granicy bólu. Niecierpliwymi dłońmi zakasał spódnicę i zsunął Natalce majtki. Następnie rozpiął guziki na przodzie bluzki. Zadarł w górę biustonosz i łapczywie przywarł do jej piersi.

Kobieta stała niczym bezwolna kukła, dziwiąc się jego poczynaniom. Nigdy się tak nie zachowywał. Nie obnażał jej poza łóżkiem. Zresztą na ogół nawet w pościeli ograniczał się do tego, że unosił wyłącznie krawędź bawełnianej koszuli nocnej i kilkoma ruchami spełniał akt miłosny.

Niekiedy zastanawiała się, czy to wszystko, na co go stać. W ich pożyciu nie było pasji, szaleństwa, namiętności. Zawsze robili *to* w taki sam sposób. Ale z drugiej strony nie mogła mówić o impotencji męża czy choćby oziębłości, gdyż współżył z nią niemalże każdej nocy, czasami po kilka razy. Poza sypialnią był bardzo czuły, opiekuńczy i troskliwy.

Teraz było zupełnie inaczej, jakby miała do czynienia z kimś innym. Wziął ją na stojąco, w przedpokoju, z szaleńczym impetem.

Podobało jej się, że w końcu nie jest taki przesadnie ugrzeczniony. Oplotła go udami, a on trzymał ją za pośladki.

W taki sposób dotarli do łóżka, gdzie bezceremonialnie rzucił żonę na pościel. Wchodził w nią, jakby nagle pękła tama, która blokowała namiętność przez wszystkie lata trwania ich związku. Natalia jęczała w ekstazie, szarpiąc go za modnie ostrzyżone włosy. Zygmunt sprawiał jej ból, a ona z tego bólu czerpała przyjemność, jakiej nie zaznała w całym swoim życiu. Była szczęśliwa, że w miejsce powściągliwego kochanka pojawiło się nagle dzikie zwierzę – inne porównanie nie przychodziło jej do głowy.

Dreszcz rozkoszy wstrząsnął ich wyczerpanymi ciałami.



Zygmunt wydał z siebie ostatni jęk, a potem spojrzał na leżącą pod nim żonę.

– Natalia – szepnął, głaszcząc dłonią policzek kobiety. – Moja idealna. Taka czysta i niewinna. Mój Kitek.

Wciąż miał na twarzy kilka kropel krwi, której nie zmył u Bożeny.

Przeniósł spojrzenie na rękaw swojej koszuli. Nie rozebrał się w tym pośpiechu, szal namiętności pozwolił tylko na to, by rozpiął i zsunął spodnie oraz bokserki. Dopiero teraz zobaczył zaschnięte plamy.

*Muszę szybko coś z tym zrobić – przemknęło mu przez myśl.*

Delikatnie ucałował usta żony. Ona chciała więcej i z taką sama pasją jak przed chwilą, lecz on już wrócił do swej poprzedniej skóry. Palcami oddzielił wargi Natalii od swoich. Potem uniósł się, poprawił ubranie i wyszedł do łazienki.

*Trzeba natychmiast posprzątać ten burdel, którego dzisiaj narobiłem.*

Spojrzał w lustro. Dostrzegł poszarzałą twarz z podkrążonymi oczami. Tego dnia wyglądał wyjątkowo niekorzystnie – mimo

modnej, młodzieżowej koszuli i fryzury, za którą już kilkakrotnie dostał burę od Wołodjewa.

– Ależ jestem stary – westchnął.

Na chwilę przysiadł na krawędzi wanny. Niczym spienione fale morza powracały do niego wspomnienia sprzed godziny. Widział swą dłoń, wyjmującą wtyczkę od telefonu – w tamtej chwili jeszcze nie myślał o tym, że zabije Bożenę, choć zamierzał wymierzyć jej karę, gdyby odmówiła wypełnienia rozkazu. Zapamiętał strach, który pojawił się w oczach prostytutki, kiedy zauważyła, że wszedł do jej mieszkania. I późniejszą zadziorność, z jaką mu się sprzeciwiła. Pogardę w jej oczach.

Z chwilą, gdy Wołodjew pozwolił jej zakończyć współpracę, Zygmunt stał się dla niej nikim.

Nikim, choć to jemu zawdzięczała absolutnie wszystko: mieszkanie, pieniądze, wygodne życie!

*Podła dziwka. Jak śmiała puścić mnie kantem? Zastużyła na śmierć! Zastużyła.*

Ukrył twarz w dłoniach. Przed oczami mignęła mu bezkształtna masa otoczona zlepionymi w strączki włosami w kałużę krwi.

*Jak ja mam teraz dalej żyć? Bez niej już nic nie będzie takie samo.*



Rozmarzona Natalia zamknęła powieki. Na jej ustach zajaśniał uśmiech szczęścia. Jeszcze nigdy nie była równie spełniona – mała księżniczka, w której obudziły się zmysły.

*Niech on już zawsze będzie taki* – westchnęła marzycielsko, przesuwając opuszkami po gładkiej skórze swych piersi.

Nagle usłyszała huk wystrzału.

W ułamku sekundy zerwała się ze skotłowanej pościeli

i wybiegła do łazienki za mężem.

– Zygmus! Zygmus! Ktoś strzela! – krzyczała w popłochu. – Ja się boję!

Otworzyła drzwi i zastygła niczym mityczna żona Lota.

Już wiedziała, kto pociągnął za spust.

Padła na wyłożoną terakotą posadzkę, gdzie w szybko powiększającej się kałuży krwi leżało bezwładne ciało męża. Delikatnie uniosła jego głowę i spojrzała w szkliste, nieruchome tęczówki.

– Zygmus! Zygmus – załkała. – Nie patrz tak na mnie, proszę! Nie gniewaj się na swojego Kitka!



Wołodjew przechadzał się nerwowym krokiem po gabinecie. W dłoniach trzymał otwartą teczkę z dokumentami. Ostatnio wszystko mu się sypało w drobny mak. Zaczęło się od tej małej kurwy, Bożeny Morek, a skończyło na samobójstwie najlepszego współpracownika.

Wina Grucy była bezsprzeczna. Po przesłuchaniu sąsiadów Bożeny okazało się, że byli świadkowie, którzy słyszeli krzyki dobiegające z jej mieszkania, a jakiś czas później ktoś widział wybiegającego stamtąd Zygmunta. Według zeznań miał krew na ubraniu, rozglądał się nerwowo, a potem wsiadł do samochodu i uciekł. Milicjanci, którzy przybyli na miejsce zbrodni, zastali jeszcze ciepłe ciało. Zebrano tam dość dużo różnych odcisków palców. Znaczna część należała do Grucy i, co chyba najważniejsze, to ślady jego linii papilarnych znajdowały się na wtyczce aparatu telefonicznego.

*Nie mógł sobie, kurwa, wybrać gorszego czasu!* – utyskiwał w myślach Wołodjew.

Dzień wcześniej opinią publiczną wstrząsnęła informacja

o śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Teraz były więc potrzebne każde ręce do zamykania ust reakcjonistom. Przez naród rozlała się fala zbiorowej hysterii. Wszędzie huczało od komentarzy, spekulacji i plotek na ten temat. Ludzie modlili się i płakali, ale padały też dosadne słowa, które niewiele miały wspólnego z chrześcijańskim miłosierdziem. Zygmunt dobrze sprawdzał się w takich przypadkach. Miał nosa do wyłapywania opozycjonistów. A teraz Wołodjew będzie sobie musiał radzić bez niego.

– Tak się kończą słabostki – burczał z niezadowoleniem, przeglądając skoroszyt z aktami. – Uprzedzałem go! Uprzedzałem! Jak można tak zdurnieć dla jednej cipki? Żonkę miał ładną, miłą i posłuszną, a rozum stracił z powodu kurwy.

[18] Za: *Pielgrzym w ojczyźnie. Jan Paweł II* – G. Piotrowicz, J. S. Kowalski, Kraków-Bochnia 2005 r., str. 73.

[19] Fragment tekstu piosenki *To trzeba umieć* z filmu *Lata dwudzieste, lata trzydzieste*, wyk. Piotr Fronczewski i Ewa Kuklińska, 1983 r.

1986

## Rozdział 8



### *Cierpienie aniołów*

Cmentarz w Grębałowie świecił pustkami. Nic dziwnego, skoro był zwyczajny dzień gdzieś pomiędzy poniedziałkiem a piątkiem. Wiał nieprzyjemny, porywisty wiatr, a z nieba siąpił drobny, uporczywy deszcz, który wbijał się w policzki zimnymi igielkami. Choć śnieg już stopniał, zalegając gdzieniegdzie brudną breją pokrytą czarnym pyłem, w powietrzu jeszcze nie wyczuwało się wiosny.

Ten marazm w przyrodzie udzielał się także ludziom, którzy, o ile nie musieli wychodzić do pracy lub sklepu po sprawunki, zostawali w niedogrzanych mieszkaniach. Karol też może nie opuszczałby czterech ścian, gdyż tego dnia wyjątkowo nie miał zajęć na uczelni, lecz coś gnało go, by wyjść na miasto.

Rano rzucił okiem na kalendarz i zobaczył, że właśnie wypadają imieniny Bożeny. Z miejsca zalała go fala przygnębiających wspomnień. Jego myśli nadal wracały do okropnego momentu sprzed półtora roku, gdy pełen optymizmu wędrował do lokalu, który miała opuścić. Obiecał jej pomoc w zabraniu rzeczy. Chciała wziąć tylko ubrania i przedmioty osobiste. Mówiła, że nie ma tego wiele i cały dobytek zmieści się

w dwóch walizkach i kilku niewielkich pakunkach. Przy odrobinie szczęścia zabiorą wszystko na raz. Nie miał samochodu – spieniżył go dawno temu. Musieli więc radzić sobie własnymi siłami. Karol myślał, że pożyczy auto od ojca, ale niestety Wawrzyńcowi wypadło wtedy jakieś ważne posiedzenie w biurze i, jak nigdy, pojechał do pracy polonezem.

Tamtego dnia Karola zaskoczył niefortunny splot zdarzeń.

Później po wielokroć dręczył go problem, czy zdołałby ocalić Bożenę, gdyby nie zagadał się z matką, licząc na to, że ojciec zaraz wróci. Może zdążyłby zjawić się na miejscu, zanim dotarł tam morderca? Albo nim zadał jej śmiertelny cios.

Późniejsze wydarzenia zachowały się w jego pamięci wyrywkami wspomnień – niczym niekompletne slajdy.

Pamiętał światła milicyjnego radiowozu stojącego przed jej klatką schodową. Niepokój, jaki czuł, wbiegając po schodach. Pamiętał nawet twarz funkcjonariusza, który zastąpił mu drogę do jej mieszkania. I kałużę krwi, a w niej jasne pasma włosów – tylko tyle dostrzegł przez szczelinę pomiędzy futryną a uchylonymi drzwiami. Nie pamiętał, o czym rozmawiał z milicjantami ani jak doszło do tego, że został aresztowany pod zarzutem morderstwa na prostytutce. Zwolniono go po czterdziestu ośmiu godzinach, gdy okazało się, że prawdziwy sprawca popełnił samobójstwo. W łazience mordercy zabezpieczono pokrwawioną odzież. To jednak wystarczyło, by wśród Pawłowskich i Szymczaków powstał ferment. Krewni mieli mu za złe, że zbratał się z *taką* kobietą. Na dodatek uwikłaną w jakieś mętne sprawy ze Służbą Bezpieczeństwa. Jego osobista strata i ból spowodowany śmiercią przyjaciółki zeszły na bok. Liczyła się wyłącznie współpraca Bożeny z bezpieką.

Na pogrzeb przyszły tylko mama z Martą. Ojciec nie dotarł. Po fakcie wyraził ubolewanie, że Karol znowu przysporzył trosk rodzinie. Oględnie wyraził swoje współczucie, lecz gdy minęło

kilka tygodni, niespodziewanie poruszył ten temat w rozmowie i zapytał syna, jak wyobrażał sobie związek z kimś takim jak ona. Czy wziął pod uwagę, ile jego bliscy, a szczególnie wuj Broniek, wycierpieli z rąk aparatu bezpieczeństwa. Przecież nie jest smarkaczem, który ma mleko pod nosem i ulega miłośnikom. Powinien był zachować więcej racjonalizmu w swym postępowaniu. Myśleć nie tylko o sobie, ale również o innych.

Znowu zobaczył błysk zawodu w jego oczach.

Cierpiał podwójnie, gdyż tym razem nie mógł mu odmówić racji. Związek z Bożeną od samego początku był niczym taniec na cienkim lodzie. Powinien był przewidzieć, że bezpieka nie wypuści jej ze swojego gniazda, choć nie pojmował, dlaczego odbyło się to w taki sposób. Słyszał o ludziach, którzy w tajemniczych okolicznościach ginęli bez śladu, więc tym bardziej dziwiło go, że esbecy nie załatwili tego dyskretnie.

*Kochałem ją* – pomyślał, kładąc drżącą z zimna dłońią kwiaty na kopczyku ziemi, pod którym spoczywała Bożena. Nie przestał jej kochać nawet wtedy, gdy był z Weroniką, a później z Gabrysią, choć robił wszystko, co mógł, aby wyrwać ją ze swojej pamięci. Tak jak Becker, próbował ją znienawidzić. Lżył ją w myślach nawet po tym, jak uratowała go po próbie wysadzenia pomnika. A potem, gdy spotkał ją w tramwaju, wszystko się zmieniło. Zobaczył w niej człowieka. Wymarzoną kobietę.

Naszła go smutna refleksja, że oto jego życie miłosne zostało w ten sposób spięte w kłamrę. Pierwsza miłość okazała się ostatnią. Za każdym razem, gdy kochał, kończyło się to dramatycznie. Nim ponownie spotkał Bożenę, próbował znaleźć za wszelką cenę kogoś, kto sprawi, że przestanie mu doskwierać brak towarzystwa. Teraz stojąc nad grobem ukochanej, uznał, że takie widocznie jest jego przeznaczenie – miał iść przez życie samotnie.





– Znowu podróżowało jedzenie! – westchnęła Ewa. – Toć żyć nam nie dadzą w tym kraju!

Połowa marca przyniosła nie tylko podwyżki cen żywności, ale również zapowiedź dalszego ich wzrostu. Wbrew optymistycznym wypowiedziom polityków zamiast łatwiej, żyło się coraz trudniej. Udręczone kobiety wystawały w długasnych kolejkach przed sklepami, nierzadko oglądając puste półki, gdy już udało się dotrzeć do lady. Nawet posiadanie kartek nie gwarantowało dokonania zakupów. Choć na tle całego kraju zaopatrzenie nowohuckich sklepów wyglądało nieźle, to i tak od dawna brakowało wielu towarów.

Czasami Ewa zachodziła w głowę, jak też radzili sobie z Robertem, nim Agnieszka wlała w nią optymizm i pomogła w znalezieniu pracy. Była wtedy taka zahukana! Tak bardzo bała się tego, co powie mąż. Właściwie nadal wzbudzał w niej bliżej nieokreślony lęk, mimo że nigdy nie podniósł na nią ręki. Ale wystarczyło tylko, że popatrzył w odpowiedni sposób, a ją już dopadał dygot. Nie mówiąc o tym, jak potrafił jej dogryzać. Jak ujadał na wszystko, co mu się nie spodobało. Mógł w nieskończoność wałkować byle bzdurę i rozdmuchiwać ją do gigantycznych rozmiarów. Ewa nigdy nie wiedziała, czym mu podpadnie. Czasami urządzał awanturę, gdy bez pytania o jego zgodę kupiła sobie jakąś nową rzecz. Kiedy indziej potrafił zrobić piekło za to, że zamiast oddać rajstopy do repasacji samodzielnie podnosi oczka lub zszywa je beżową nitką, przez co wygląda jak ostatnia dziadówka. A on musi się za nią wstydzić. Był nieobliczalny, uparty w gniewie i zawzięty.

Robert rzucił na stół gazetę z nowym cennikiem.

– Nie wydawaj tyle pieniędzy na głupoty, to nie zabraknie ci na jedzenie – burknął.

Ziewnął przeciągle, zerkając na zegar.

– Obudź mnie za dwie godziny. Idę na noc do pracy – oznajmił.

– Na noc? – zdziwiła się. – Przecież wróciłeś z dniówki.

– Idę na nadliczbowy dyżur. Ktoś musi tyrać na utrzymanie rodziny – powiedział, układając się na złożonej wersalce. Wyjął z niej tylko poduszkę, a na ramiona i nogi naciągnął koc. – Zgaś światło – dodał.

To oznaczało mniej więcej tyle, że Ewa ma siedzieć jak mysz pod miotłą, nie włączając telewizora ani radia, ani nawet lampki nocnej. Westchnęła, naciskając wyłącznik. Miała nadzieję, że uprasuje stertę prania, która od dwóch dni zalegała na krześle, ale w tej sytuacji nie mogło być o tym mowy. Ani w kuchni, ani u chłopców nie było na to dość miejsca. Zresztą kuchnię od pokoju dzieliły tylko drzwi i światło bijące zza nich na pewno przeszkadzałoby Robertowi. Czekala ją wymuszona bezczynność, a później prasowanie do późnej nocy. Przypuszczała bowiem, że Robert zostanie jeszcze na dniówkę, która wypadła mu według grafiku, a gdy wróci, będzie tak zmordowany robotą, że zje obiad i znowu pójdzie spać. Nie mogła więc pozwolić sobie na luksus odłożenia pracy na następny dzień. Zwłaszcza że wśród wypranych rzeczy znajdowała się koszula, która na pewno będzie mu potrzebna. Już i tak zmył jej głowę, że nie uprzątnęła tego bałaganu wcześniej.

Nie mogła się na niego boczyć. Przecież ciężko pracował. Przynajmniej raz w tygodniu brał nadliczbowki, by mogli związać koniec z końcem. Jej praca przynosiła mizerny dochód i to Robert był głównym żywicielem rodziny. A było co żywić: ich dwaj synowie zdawali się mieć żołądki bez dna.



Sabina oparła się wygodniej o fotel. Zmęczone całodziennym dreptaniem nogi ułożyła na krześle. Ostatnio wciąż dokuczały jej żyłaki, więc często do pracy owijała łydki bandażem elastycznym. To przynosiło krótkotrwałą ulgę, lecz w mieszkaniu zdejmowała uciskającą tkaninę, by zapewnić odpoczynek spuchniętym kostkom i stopom. Potrzebowała chwili wytchnienia. Obiecała bowiem Pawłowi, że zajrzy do niego pod wieczór. Sześć lat temu synowa powiła Małgosię i właśnie tego dnia wyprawiali jej urodziny.

Pierwsza wnuczka była jej oczkiem w głowie i powodem do dumy. Miała nadzieję, że niebawem Paweł postara się o jeszcze jedno dziecko, bo jakże tak chować jedynaczkę? Przydałby się braciszek do towarzystwa małej, rozpieszczonej królewnie. Sabina dała radę dwójce, i to bez niczyjej pomocy, więc czemu Andzia nie miałyby sobie poradzić? Nie powinna się aż tak bardzo nad sobą roztkliwiać i zarzekać, że nigdy więcej nie zajdzie w ciążę. Zwłaszcza że od porodu wciąż siedzi w domu, zajmując się dzieckiem. Skoro nie chce się wziąć do pracy i żeruje na biednym Pawełku, to niech przynajmniej robi to, co do niej należy. Kto to widział, wygadywać takie bzdury? – rozmyślała, niepomna tego, jak bardzo sama nie chciała mieć drugiego potomka. Kto to widział, żeby młoda baba nie ruszyła się do roboty! Przecież Gośka nie wymaga już niańczenia przez cały dzień. Można ją spokojnie posłać do przedszkola.

*Ot, kawał leniwej mendy z tej Andzi! Nic nie robi, upała się jak świnia i całymi dniami wylegiwałaby się do góry dupą!*

– Szkoda, żeś ty się sfrajerowała – utyskiwała czasami do Danki. – Żeby tak się dać wystrychnąć na dudka!

Półtora roku wcześniej córka wyszła za mąż za kolegę z pracy. Nie było to jakieś wielkie uczucie, ale gdy przyłapała męża na zdradzie, wpadła w czarną rozpacz. Nie mieli dzieci, nie była także w ciąży. A tamta spodziewała się przychówku za dwa

miesiące. Łukasz nie robił z tego tajemnicy. Po prostu wyrzucił to z siebie pomiędzy zupą pomidorową a sznyclem. A potem oznajmił, że w tej sytuacji powinni wziąć rozwód. Jeszcze tego samego dnia spakował manatki i opuścił mieszkanie teściowej. Tak się bowiem złożyło, że z braku laku młodzi pozostali u Sabiny. Były jednakże perspektywy na dwupokojowy lokal służbowy w nowo wybudowanym hotelu robotniczym. Zaledwie dwa dni dzieliły ich od terminu, w którym mieli odebrać klucze. Tak czy siak zięć poszedł w diabły, a właściwie zakwaterował się na dwie nocki u kumpla, a następnie wsadził tyłek do nowego mieszkania razem z zaciążoną kochanicą. Aktualnie małżonkowie byli w trakcie postępowania rozwodowego.

– Pierwszy rozwód w rodzinie – komentowała z przekąsem ciotka Krystyna, którą z rzadka widywali na jakichś rodzinnych imprezach.

Zazwyczaj przy takich okazjach tęgo popijała. A gdy nie trzymała w ręce kieliszka, to sarkała na wszystkich i na wszystko. Jednemu Ludkowi szczeniła jadowitych przytyków, temu dla odmiany „synusiowała”. Był chyba jedynym członkiem rodziny, który nigdy nie usłyszał od niej złego słowa i z którego zdaniem się liczyła. Na pozostałych wyżywała się ile wlezie, a odkąd usłyszała, że mąż puścił kantem Dankę, upodobała ją sobie szczególnie.

Sabina byłaby może całkowicie zerwała kontakty z tym cholernym klanem Szymczaków, lecz na wszelkiego rodzaju spędy rodzinne gnały ją trzy sprawy: siła przyzwyczajenia, ciekawość i śladowe tęsknoty za poczuciem przynależności. Bo choć w Nowej Hucie mieszkała już dobrze ponad trzydzieści lat, prócz nich nie znała niemalże nikogo. Koleżankami z obecnej pracy pogardzała – mimo wszystko uważała się za kogoś lepszego niż zwykłe kuchty, jak określała je w myślach. Niczym ognia unikała spotkań ze znajomymi z czasów teatralnych – to nadal przysparzało jej cierpienia. Nie miała w mieście żadnej

rodziny ani przyjaciół. Kiedy więc czuła potrzebę, by ponarzekać na ciężkie życie, kolejki za mięsem, wyśrubowane ceny w sklepach czy podłość doczesnego żywota, dreptała do Julki lub Boguśki, choć raczej wołała tę drugą. Pawłowskiej zazdrościła atrakcyjnego wyglądu – jak na pięćdziesięciopięcioletnią babę franca trzymała się zdecydowanie zbyt dobrze – dostatniego życia i męża, który nie schamiał w robotniczej dzielnicy. Boguśka była zdecydowanie bardziej swojska, bo i starsza od Julki, i bardziej sterana życiem, i nie obnosiła się przed ludźmi ładnymi sukienkami. Kaźmierki i Krystyny nie lubiła. Te dwie jadowite żmije wołała omijać szerokim łukiem.

O ile córka przysparzała Sabinie zgryzot, o tyle Paweł w pełni rekompensował matce życiową nieudolność swojej siostry. Nie załamał się, jak mu podczas zamieszek zniszczono butik. I choć wylądował wtedy na ulicy ze sporymi długami, szybko się otrząsnął. Wprawdzie sytuacja zmusiła go, by wrócił do pracy w kombinacie, ale nie poprzestawał na niej. Dogadał się z właścicielem wynajmowanego mieszkania, że ten poczeka trochę na zaległy czynsz, a w pierwszej kolejności zajął się zwracaniem pieniędzy ludziom, którzy powierzyli mu towar. Z każdym potrafił się dogadać. Niektórzy z nich nadal podrzucali mu to i owo na sprzedaż, a on, choć nie miał już sklepiku, dawał sobie z tym radę. Poznał wszystkie place w Krakowie, na których można było coś upłynnić. Jeździł i na „żyda”, i na Imbramowski, i handlował pod Arką Pana.

Andzia trochę mu w tym pomagała, sprzedając koleżankom fatałaszkę, torebki czy inne kosztowne bzdurki. Jakoś wyszli z długów. Trochę w końcu odetchnęli, a Paweł i tak nadal kombinował jak tylko mógł, by się nie napracować, a dorobić coś do wypłaty. Z huty nie chciał się zwalniać, bo to gwarantowało mu święty spokój. Dzielnicowy się go nie czepiał, nikt mu nie zarzucał, że jest bumelantem. A że sporo czasu

przebywał na zwolnieniach chorobowych? Co zrobić, takie życie. Raz na czas zanosił zaprzyjaźnionemu lekarzowi to paczkę papierosów Marlboro, to jakieś ładnie pachnące mydełko dla żony, a ten bez mrugnięcia powieką wypisywał zaświadczenie o chorobie. Oczywiście *pacjent* zamiast leczyć przewlekłe anginy, przeziębienia czy inne niedomagania, uskuteczniał w tym czasie swoje interesy.

– Lepsze kilo handlu niż gram roboty – powtarzał swoje motto.

*Zaradne chłopaczysko* – myślała z dumą Sabina. *Poradził sobie znacznie lepiej niż wszystkie Szymczaki razem wzięte. I to sam jeden, bez pomocy baby!* Bo może i Wawrzek wykierował Karola na naukowca, ale cóż z tego, gdy doktoraty i docentury nie przysporzyły mu pieniędzy? Kokosów nie zarabiał, samotnie wychowywał trójkę dzieci, a jak już chciał się ponownie żenić, to zechciała go tylko jakaś wyjątkowa desperatka o fatalnej reputacji.

Ludwik Bronków ożenił się trzy lata temu. Dalej tyrał w kombinacie, a jego żona Justyna pracowała w biurze mleczarni, więc szалу też nie było. Gdzież mu tam do zaradności Pawełka?

Leszkowe chłopaki też niby takie cwane i pyskate jak Paweł, ale na co im przyszło? Melchior nadal siedział za rozbój i tym razem zapowiadało się, że odsiedzi wyrok w całości – co do dnia, traktowano go bowiem jak recydywistę. *Gamoń! To już chyba czwarty wyrok. Skoro szuka łatwego sposobu na życie, to mógłby przynajmniej albo rozważnie dobierać sobie kompanów, by go nie sypali przed milicjantami i sądem, albo nauczyłby się w końcu, jak zrobić swoje i nie wpaść* – rozmyślała bezdusznie. Kacper, który osiadł na wsi, nie imponował Sabinie. Co z tego, że trząśł PGR-em, skoro spółdzielnia cienko przędła? Widać kiepski był z niego gospodarz. Darek najał się w kombinacie, a po robocie wracał do swej żony Magdy, którą od czasu do czasu prał po gębie. Szczególnie wyrywny był do bicia, jak

popił. Czasami znikał z domu na kilka dni i włóczył się nie wiadomo z kim i gdzie. Ponoć brał narkotyki. Z ojcem w ogóle nie gadał i miał go za nic, na każdym kroku wyśmiewał jego dewocję. Smarkaty Tadek mało interesował Sabinę w tych porównaniach. Ledwo toto zdało maturę, a zaraz zgarnęło go Ludowe Wojsko Polskie. *Niech swoje odstąpi, jak i Pawełek służył.*

Najważniejsze było, że jej synuś wyszedł na ludzi, choć chowała go sama – bez męskiej ręki. A może przyjdą jeszcze kiedyś łaskawsze czasy, żeby biedaczek nie musiał w ogóle tkwić w hucie? On się nie nadawał do harówki, stworzony był do wyższych celów.

Sabina z ulgą myślała o tym, że Paweł miał dość zdrowego rozsądku, by nie wikłać się w politykę. Nie ciągnęło go w stronę opozycji, z partią też szczególnie się nie bratał. Na Federację Młodzieży Walczącej nie zwracał uwagi, mówił, że to dobre dla smarkaczy. Niech inni gonią po mieście i smarują na murach buntownicze hasła. On płynął z prądem, skupiając się na zarabianiu pieniędzy.

## **Rok 1988**

Upływ czasu przynosił Polakom następne zmiany. Można już było swobodnie słuchać Radia Wolna Europa, bowiem skończyło się zagłuszanie audycji. Władze państwa i tak były bezsilne w tym przypadku, bowiem ludzie pozyskiwali informacje z kraju i ze świata różnymi innymi drogami. Żadna cenzura nie była w stanie tego powstrzymać. Terror i inwigilacja okazały się nieskutecznymi narzędziami w walce z opozycją. Polityka propagandy sukcesu także nie przynosiła skutków. Już nikt nie był w stanie uwierzyć, że Polska należy do grona największych światowych potęg gospodarczych, skoro

obywatele nauczyli się odmieniać przez wszystkie przypadki słowo inflacja. Ceny rosły w zastraszająco szybkim tempie.

– Ależ to wszystko drogie – westchnęła Justyna Szymczak, kładąc na kuchennym stole żyłkową siatkę w niedużymi sprawunkami. – Kupiłam bochenek chleba, mleko, ser na pierogi i odrobinę solonego masła. Udało mi się też dostać kilo cukru i kawałek krakowskiej. Wydałam fortunę, a to tylko parę drobiazgów.

– Jednak będziemy strajkować – oznajmił mąż, szykując się do pracy.

– Boję się, Ludwiś – odparła.

– Bez obaw. Wrócę – zapewnił, przytulając ją do siebie. Stali przez chwilę, ciesząc się swoją obecnością. W końcu mężczyzna odsunął się i powiedział: – Czas na mnie.

– Już lecisz? Strasznie długo mi zeszło z zakupami, a tyś pewnie głodny – zafrasowała się żona. – Zjadłeś coś?

– Zagrzałem sobie wczorajszy krupnik.

– To poczekaj, zrobię ci jeszcze kanapki z krakowską.

– Dziękuję. Zrób trochę więcej, bo nie wiem, kiedy wrócę. Jeśli zacznie się zapowiadany strajk, to może mnie nie być przez kilka dni. Poradzisz sobie beze mnie? – upewnił się mąż.

Przytaknęła ruchem głowy. Wiedziała, że robotnicy planują protesty. Zamierzali żądać podwyżek wynagrodzeń nie tylko dla siebie, ale również dla innych grup zawodowych. Próbowali załatwić to w pokojowy sposób, lecz dyrektor naczelny kombinatu, Eugeniusz Pustówka, nie był skory do ustępstw. Tłumaczył robotnikom, że huta przynosi straty. Cóż z tego, że w ubiegłym roku wyprodukowano stumilionową tonę surówki, skoro zakład nie był rentowny i wymagał nieustannych dotacji z budżetu państwa? Wuj Wawrzyniec ostatnio też wciąż o tym mówił. Chodził zafrasowany i opowiadał, że szukają sposobu na wyjście z impasu. Być może ratunkiem dla pogrążającego się molocha byłoby podpisanie porozumienia pomiędzy hutą



a Fabryką Samochodów Osobowych lub Fabryką Samochodów Małolitrażowych na jakąś konkretną wspólną inwestycję? Ostatnio wspominał, że współpracuje z kolegami nad projektem linii do ocynkowania elektrolitycznego blach karoseryjnych. Dla Justyny było to dość skomplikowane, ale żywo interesowała się szczegółami. Bo jeżeli kombinat zacznie przynosić oczekiwane zyski, to byt robotników ulegnie poprawie.

– Zajrzę do Oli – oznajmił Ludwik. – Pewnie jeszcze śpi, maleństwo.

Córcia była jego oczkiem w głowie. Nie krył dumy z narodzin pierworodnego synka, ale mała księżniczka, jak określał Aleksandrę, bez reszty go zawojowała.

Żona pokiwała głową i zajęła się krojeniem chleba oraz wędliny.

Często myślała o tym, że z takim mężem życie jest łatwiejsze niż ze ślubnymi jej koleżanek. Niejedna narzekała na swojego chłopa, zwłaszcza na regularne pijaństwo. Niekiedy same szukały dla nich usprawiedliwień: tłumaczyły, że robota wykańczająca, życie nie pieści, a czasy ciężkie, więc z rozpaczy człowiek zagląda do kieliszka. Może i coś w tym było? Zaraz jednak przeważył głos rozsądku – to były kiepskie argumenty.

Mało komu było teraz łatwo. O ile w poprzednich latach ceny rosły w dość równomiernym tempie, to teraz zaczynały po prostu szaleć. Narodowy Bank Polski wciąż wypuszczał większe nominały banknotów.

– Jeszcze trochę, a wszyscy będziemy milionerami – śmiał się Ludwik, odbierając ostatnią wypłatę, lecz jakże gorzki był ten śmiech.

Justyna na razie nie pracowała. Wzięła urlop wychowawczy na dzieci. Gdyby nie Ludwisiowa pensja z kombinatu, byłoby ciężko. Dobrze, że mąż był brygadzystą, więc jakoś sobie radzili. Ale mieli też na utrzymaniu dwójkę maluszków: dwuletniego Jacusia oraz trzymiesięczną Oleńkę. Na szczęście solidarność

rodzinna sprawiała, że nie dotyczyło jej wiele problemów, z którymi borykały się inne młode mamy. Wśród kuzynek i szwagierek krążyły dziecięce ciuszki, pieluchy, wózek, łóżeczko i wanienka. Dzieliły się ze sobą wszystkim, co udało się wystać w kolejkach. Szanowały każdą rzecz, by jak najdłużej mogła służyć w rodzinie.

Będąc jeszcze w ciąży z Olą, Justyna wybrała się do Krakowa. Miała nadzieję, że tamtejsze sklepy będą lepiej zaopatrzone. Jakże się wtedy zdziwiła! W porównaniu z tym, co zastała w Śródmieściu, Nowa Huta jawiła się niemalże jak Eldorado. Może i trzeba było odstać swoje, ale szanse na nabycie jakiegoś dobra były znacznie większe.

Jak w domu towarowym Wanda rzucili dziecięce kombinezony, to Szymczakowa nawet się nie zastanawiała, czy brać, choć ubranka były przewidziane na dzieci powyżej piątego roku życia, a ona przyszła do sklepu w nadziei, że nabędzie kilka dodatkowych par śpioszków i kaftaniki. Kupiła, co było, z myślą o tym, że na razie wypożyczy swój nabytek Marcie, Zośce lub Andzi, a jak jej dzieciaki dorosną, to wtedy zdąży odzyskać ten skarb. Bardzo często tak postępowała, a one rewanzowały jej się podobnymi przysługami. Bo choć aktualnie żadna nie miała niemowlęcia, to kto wie, czy niebawem nie postarają się o dodatkowy przychówek.

Z zadumy wyrwały ją kroki Ludwika i jego cichutkie gruchanie do dziewczynki. Odwróciła się i zobaczyła, że mąż niesie na ręce wyspaną córeczkę.

– Zobacz, mamusia, co my tutaj mamy – powiedział. – Pannica już wypoczęta. Zmieniłem jej pieluchę, bo było mokro. A teraz naprawdę muszę już zmykać.

Oddał dziewczynkę Justynie. Potem pochylił się i ucałował czoło kruszyny, a następnie wycisnął szybkiego całusa na ustach żony.

– Uważaj na siebie, Ludwiś – poprosiła.

– Oczywiście – zapewnił, choć wiedział, że może mieć poważny problem z wywiązaniem się z obietnicy.

Pamiętał, że z ojcem było podobnie. On też dawał mamie słowo, że będzie ostrożny i wróci bezpiecznie do domu. Nie zawsze udawało mu się go dotrzymać. Teraz Ludwik podążał tą samą drogą.



W Hucie imienia Lenina już utworzono komitet strajkowy. Na jego czele stanął Andrzej Szewczuwianiec. Robotnicy rozpoczęli pertraktacje w sprawie podniesienia wynagrodzeń. Przez kilka następnych dni trwały rozmowy, w które włączył się również Episkopat Polski. Dyrektor Pustówka nie był chętny do ustępstw, lecz protestujący nie dawali za wygraną. Wieczorem czwartego maja po wielogodzinnych pertraktacjach Szewczuwianiec, Pustówka i Andrzej Stelmachowski ustalili, że zrobią przerwę w rozmowach.

– Spotkamy się jutro o ósmej rano w budynku administracyjnym walcowni drobnej – oznajmił Andrzej kolegom czekającym na wieści.

– Coście ustalili?

– Na razie jeszcze niewiele. Ale jest szansa, bo chcą z nami gadać. Nie możemy odpuścić, jak w stanie wojennym.

– To już za daleko zaszło – stwierdził Ludwik. – Coś musi się w końcu zmienić.

– Nie odejdziemy stąd, póki nie dadzą nam podwyżek – zaszemrali robotnicy.

Zmęczeni ludzie pozostali na terenie kombinatu, przebywając głównie w okolicy walcowni zgniatacza, gdzie ulokował się Komitet Strajkowy.

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy ktoś przyniósł Andrzejowi

wiadomość, że pod bramami kombinatu koncentrują się siły milicyjne.

– Nie ma się czym frasować – stwierdził. – Za kilka godzin wracamy do rozmów. Gliny pewnie nie chcą dopuścić, by przybywało nas na terenie huty. Spokojnie, panowie.

– Racja. Nie ma powodu do strachu. Jakby nie chcieli z nami gadać, milicja już dawno by tu była. Nie powtórzą błędów z Pomorza i Śląska. Nie mogą sobie pozwolić na to, by strzelać do nowohuckich robotników. Całe miasto zwróciłoby się wówczas przeciwko rządowi.

Ludwik kręcił się pod rozgwieżdżonym niebem. Zakurzył papierosa, pogadał z kolegami. A później wszedł na halę walcowni karoseryjnej i przycupnął na posadzce koło wejścia, by złapać choć chwilę snu. Trochę żałował, że nie udało mu się dołączyć do Komitetu Strajkowego. Zawsze rozpierała go niezwykła energia. Potrzebował działań. Musiał coś zrobić. Walczyć ze znienawidzonym systemem. Myśleć o przyszłości dzieciaków. Dla nich trzeba było zbudować nową Polskę. Lepszą – z mądrą i sprawiedliwą władzą. By jego syn nie dowiedział się, jak bolą ciosy milicyjnych pał opadających na ramiona i plecy. By córka nie lała łez, zastanawiając się, czy jej ukochany wróci bezpiecznie do domu. To się należało również pamięci Andrzeja i Janka. Za krzywdy wyrządzone ojcu, wujom i Karolowi.

Rozmyślał o tym wszystkim, z wolna się wyciszając. Powieki zaczynały mu opadać, potrzeba snu wzięła górę.

*Trza się zdrzemnąć* – pomyślał, moszcząc się wygodniej na roboczej bluzie, którą wyścielił posadzkę.

Do rana było daleko. Na rozmowy Komitetu Strajkowego z komisją ekspertów i tak nie miał szansy się dostać. Nim cokolwiek będzie wiadomo, minie zapewne ładnych parę godzin. A potem to się dopiero okaże, co dalej: czy w końcu powrócą do domów, czy nadal będą strajkować. Lepiej więc oszczędzać siły

na potem.

Parę minut później Ludwika zmorzył głęboki sen – mimo niewygód.

Zasnął tak mocno, że do rzeczywistości przywrócił go dopiero ogłuszający huk, który rozległ się tuż obok niego. Przestraszony drgnął i zerknął w lewą stronę, ku źródłu owego hałasu. W świetle żarówek dostrzegł ostrze siekiery. Ktoś najpierw wbił je w blaszane drzwi hali, a teraz próbował wyszarpać. Minęło twarz mężczyzny zaledwie o kilka centymetrów. Zerwał się jak oparzony. Wokół panował chaos. Ludzie krzyczeli, próbując zabezpieczyć bramę, na którą nacierali milicjanci, inni kręcili się chaotycznie, szukając ukrycia bądź drogi ucieczki.

Szymczak, wytrącony z mocnego snu, spoglądał bezradnie na cały ten rozgardiasz. Zaraz jednak oprzytomniał. Uskoczył w bok, by nie oberwać siekierą. Nagle brama stanęła otworem i wdarli się przez nią funkcjonariusze Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. Uzbrojeni w pały i pistolety, zabezpieczeni tarczami oraz hełmami, niczym szarańcza rozbiegli się po walcowni, tłukąc bez litości i opamiętania każdego złapanego robotnika. Do tych, którzy zdołali uciec, strzelali petardami.

Zaskoczony przy bramie Ludwik poczuł bolesne razy na plecach, ramionach i siedzeniu. Kolejny, wymierzony w głowę, którą rozpaczliwie próbował osłonić rękami, powalił go na kolana. Kilka kopniaków sprowadziło mężczyznę na poziom posadzki. Zdołał jedynie zwinąć się w kłębek i osłonić głowę dłońmi. Kopali go ciężkimi buciorami. Na oślep: po plecach, pośladkach, w brzuch. Po jego dłoniach ściekała krew, być może oprawcy pogruchotali mu kilka kości, ponieważ odczuwał nieprawdopodobny ból. Mimo to nie zabierał rąk, by choć na chwilę im ulżyć – instynkt samozachowawczy nakazywał chronienie głowy. Nie miał możliwości, aby walczyć, ani nawet skutecznie się bronić. Mógł się jedynie osłaniać. Musiał przeżyć

– dla Justynki i dzieci. Dla rodziców.

Nagle ból minął jak ręką odjął i pochłonęła go ciemność.



– Co wy robicie, panowie! – protestowała Justyna, widząc, jak funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej wygarniają starannie poskładane rzeczy z szaf i pawlaczy.

– Zamknijcie się, obywatelko. Mamy nakaz przeszukania! – warknął jeden z nich, zapewne wyższy rangą.

– Ale czego wy tutaj szukacie? Ludzie! Toć to tylko ubrania i bielizna!

– Macie chłopca w opozycji? Macie! No to co się głupio pytacie?  
– Odepchnął ją na bok, gdy stanęła mu na drodze.

W mieszkaniu panował przeraźliwy rozgardiasz. Większość schowków została już opróżniona. Podłogę mieszkania zaścielały porozrzucane rzeczy, a oni deptali po tym wszystkim ciężkimi buciorami, nie zważając na dokonywane przez siebie zniszczenia. Z kuchni dobiegał brzęk naczyń i tłuczonego szkła. Szymczakowa chciała tam pójść, by zapobiec kolejnym stratom, lecz milicjant zatrzymał ją w pokoju. Ze zgrozą spoglądała więc na skorupy porcelanowej wazy, którą dostali w prezencie „na nowe mieszkanie” od cioci Julii. Na sponiewierane i rozdeptane paprotki, gdyż w swej skrupulatności policjanci zaglądali również na dno doniczek. Przyciskała do boku przestraszonego Jacka i delikatnie kołysała Olę, która wierciła się niespokojnie na jej rękach. Justyna była przerażona, choć wierzyła, że Ludwik nie ryzykowałby przechowywaniem w mieszkaniu niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia władzy. Przecież nie narażałby jej i dzieci! Czy tak trudno to zrozumieć tym okropnym ludziom?

– Dobra, czysto – stwierdził w końcu jakiś milicjant, gdy

mieszkanie wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan.

Nie oszczędzili niczego, odstawili nawet meble od ścian.

– A na waszego to wy dzisiaj nie czekajcie z obiadem – rzucił na odchodnym dowódca trzyosobowej grupy. – Trafił na dołek. Trochę sobie u nas pogości – oznajmił.

– Potwory!

– Nie drzyjcie gęby. Cieszcie się, zem was poinformowałem i nie musicie latać po mieście, żeby go znaleźć.

– Co on wam zawinił? – wykrzyknęła zdruzgotana kobieta, nie bacząc na to, że wystraszone dzieci uderzyły w płacz.

– Strajków mu się zachciało. To warchoł i wichrzyciel. Mało wam? – burknął.

– Jak miał nie strajkować, skoro życie coraz droższe, a pieniędzy tyle, co kot napłakał? Za tą mozolną robotę, za te trudy! – rozpaczała, lecz oni już tego nie słyszeli, gdyż zdążyli opuścić mieszkanie.

Tymczasem w kobiecie pękła tama, która do tej pory trzymała w ryzach lament i łzy. Zdruzgotana Justyna zgarnęła z wersalki jakieś rupiecie i położyła na niej dziecko. Potem klapnęła ciężko na stołek. Przez długi czas dawała upust żalowi. Płakała nad losem swego męża, stawiając sobie pytania o to, co się teraz z nim dzieje. Czy pobili go podczas aresztowania? Był już przesłuchiwany? Jak się czuje?

W końcu do rzeczywistości przywróciło ją kwilenie głodnej córeczki. Wzięła małą, by dać jej pierś. Ze smętną miną spojrzała na otaczające ją pobojuwisko.

– Jak ja mam to wszystko uprzątnąć? – jęknęła. – Bez Ludwisia nie poradzę sobie z powywracanymi gratami!



Bronek przechadzał się niespiesznie po osiedlu Wandy. Od

czasu do czasu przystawał w jakimś miejscu, zadzierał głowę i spoglądał do góry. Nie patrzył jednak w niebo spowite sinym dymem napływającym znad kombinatu, lecz na pierwsze bloki, które zostały wybudowane w Nowej Hucie.

*Przy którym to z nich ktoś podrzucił cegłę Piotrkowi? – Usiłował przenieść się wspomnieniami o czterdzieści lat wstecz. Matuchno, jak ten czas szybko zleciał! Z jego piersi wydobyło się ciężkie westchnienie. Gdzieżeśmy zgubili naszą młodość? Gdzie ten czas durny i chmurny, gdy mieliśmy dość sił, by budować parszywy komunizm i jednocześnie walczyć z nim na wszelkie możliwe sposoby? Kiedy to wszystko się skończy? Cały ten absurd, w którym utkwiliśmy po pachy tak mocno, jak kiedyś tkwiłem w bagnie z Marczykiem?*

Tysiące niespokojnych myśli kołatało mu w głowie. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku – czas przepłynął nieubłaganie, zabierając zdrowie i młodość, nadzieję na lepsze jutro, entuzjazm i gorącą krew. W zamian za to pozostały siwe włosy i pomarszczona twarz. Spracowane ręce, ramiona obwisłe od mozolnej pracy. Wystudzony zapach.

A ile nerwów kosztowało go aresztowanie Ludwika?

Ile łez przelało się znowu z wypłowiiałych oczu Bogusi?

*Toć biedactwo nie ma już ani jednego czarnego włosa. Posiwiata mi, bidula, do ostatniej nitki – uzalił się nad żoną.*

Piątego maja późnym popołudniem przyleciała do nich zapłakana Justyna. Zostawiła na chwilę dzieci u sąsiadki. Wśród łez i szlochania opowiedziała o bałaganie, jakiego narobili jej w domu esbecy, i o tym, że na ostatek dowiedziała się o zatrzymaniu męża. Co było począć? Akurat wszyscy troje byli w domu, wziął więc żonę oraz córkę i razem pojechali na Wzgórza Krzesławickie, by pomóc synowej w uporządkowaniu mieszkania. Chaos, który tam zastali, przyprawił ich o konsternację. Wiele rzeczy zostało nieodwracalnie zniszczonych, gdyż milicjanci szukający materiałów



wywrotowych nie oszczędzili nawet tapicerki w meblach. Przez kilka następnych dni naprawiali uszkodzenia i porządkowali bałagan, pomagając także Justynie w doglądaniu dzieci oraz poobijanego Ludwika, który po czterdziestu ośmiu godzinach został zwolniony z aresztu, lecz wrócił do domu w tak opłakanym stanie, że blisko tydzień przeleżał w łóżku.

Syn nie chciał przy kobietach opowiadać o tym, co przeżył w minionych kilku dniach. Jedynie ojcu w sekrecie wyznał, jak niewiele brakło, by podczas szturmów zomowcy rozłupali mu głowę siekierą. A potem pobili go tak dotkliwie, że w końcu padł bez czucia i nie odzyskał przytomności nawet wtedy, gdy wlekli go do samochodu niczym worek ziemniaków. W areszcie też nikt się z nim nie cackał. Podczas gościny wybili mu ząb, a trzy inne ledwo się trzymały.

– Niech no się tylko wylizę – szeptał gorączkowo. – Ja im jeszcze pokażę. Nie dałem się złamać! Nigdy się nie dam. Takich jak ja są tysiące. Jak będziemy musieli, znowu wyjdziemy na ulicę.

Zaciskał obdarte aż do kości pięści i wygrażał niewidzialnemu przeciwnikowi.

*I pomyśleć, Piotрку, jak ty ślepo wierzyłeś władzy!* – westchnął Broniek, wspominając dawnego kompana. Rozmyślał o tym, jak razem w pocie czoła i znoju budowali nową Polskę. Tymczasem nowa Polska odpłacała im krwią i bólem. Rekordy poszły w niepamięć. Zniknęły plakaty z podobiznami stachanowców. A gdy przyszło do konfrontacji, milicjanci, zomowcy i żołnierze nie zawahali się, by wymierzyć w niegdysiejszych przodowników pracy armatki wodne, obrzucić ich petardami z gazem łzawiącym, sprać pałkami, a nawet użyć broni.

Zmęczony upałem Broniek przycupnął na ławce w cieniu rozłożystego klonu. Powachlował się dłonią.

*Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie* – odmówił w myślach pacierz za duszę kolegi, który zmarł dwa dni

wcześniej.



Julia chętnie przyglądała się zmianom zachodzącym w otoczeniu i porównywała obecne czasy z własnym dzieciństwem lub okresem dorastania jej dzieci. Teraz dziewczynki namiętnie grywały w gumę na zacienionych bujną zielenią podwórkach. Chłopcy coraz chętniej zastępowali grę w zośkę podchodami, wyścigami rowerowymi, a szczęśliwcy jeździli nawet na deskorolkach. Zachłannie spoglądano na zachodnie samochody, które ostatnio jakby nieco częściej pojawiały się na ulicach miasta. Nikt nie chciał jeździć syrenką, bo jazda „skarpetą” stała się obciachem. Modne i pożądane były zakupy w Peweksie lub sklepie Baltony, choć oficjalnie nikt nie posiadał dewiz. Żuło się gumy Donald, popijało pepsi-colę, marzeniem były żelki-misie. Zatroskane mamusie wystawały w długich kolejkach, by kupić bladolicym dzieciakom bobofruty i vibovit. Odliczały skrzętnie każdy grosz, a kryzys szalał, że aż strach!

Z otwartych na oścież okien letnim popołudniem dobiegały przeboje zachodnich zespołów muzycznych. Kasety nagrywane przez Aerosmith, Modern Talking czy młodziutką Kylie Minogue trafiały do polskiej młodzieży w paczkach słanych z zagranicy przez ciotki, wujków, babcie i dziadków, którym udało się uciec do lepszego świata.

Na ścianach w pokoju wnuków pojawiały się plakaty idoli wyjmowane z zachodniemieckiego czasopisma „Bravo” – skarbu dostępnego jedynie dla nielicznych szczęściarzy. Kolorowe czasopismo budziło w nich marzenia o innym, atrakcyjniejszym życiu – takim jak to, które wзираło z jego stron. Czasami Julia dawała Wioli lub bliźniakom pieniądze na

upragnione ilustrowane magazyny.



Nastolatkwowie coraz chętniej słuchali buntowniczych piosenek nagrywanych przez polskie zespoły rockowe. Bez strachu, lecz z rosnącym gniewem coraz głośniej śpiewali piosenkę Jacka Kaczmarskiego sprzed dekady, która nie straciła nic na aktualności: *Wyrwij murom zęby krat! / Zerwij kajdany, połam bat! / A mury runą, runą, runą / I pogrzebią stary świat!*<sup>[20]</sup>. W tym czasie Wiolka coraz częściej zauważała wyryty na szkolnych ławkach skrót FMW. Wiedziała, czym jest ta organizacja. Jej bracia już od dawna szeptali na ten temat. Gonili po mieście, kreśląc na murach koślawe litery buntowniczych haseł. Chciała biegać razem z nimi, lecz nigdy się na to nie zgadzali.

- Za smarkata jesteś, żeby zajmować się polityką!
- Jeszcze stanie ci się krzywda – słyszała od chłopaków.

Bracia chronili ją, jak tylko potrafili najlepiej. Dziadkowie wyrobili w nich przekonanie, że o tę małą kobietkę trzeba się troszczyć i we wszystkim jej pomagać. A oni parasol ochronny rozciągnęli nie tylko na sprawy domowe, ale również na jej otoczenie. Nieważne, że owa kobietka miała już piętnaście lat i nagle wystrzeliła w górę niczym młoda brzoźka. Że kilka lat wcześniej pracowicie, ramię w ramię z braćmi, pomagała w układaniu cegieł przywożonych na budowę kolejnego nowohuckiego kościoła w parafii pod wezwaniem błogosławionego Brata Alberta Chmielowskiego<sup>[21]</sup>. Nie marudziła, że jest jej ciężko i wolałaby pobawić się z koleżankami albo posiedzieć na stercie desek i popatrzeć, jak pracują dorośli. Nawet nie oczekiwała na pochwały proboszcza Jana Bielańskiego, który pewnego dnia zaczął Karola

pomagającego w prostych pracach budowlanych i wyraził zachwyt nad pracowitością jego córki.

Od tamtej pory minęło ładnych parę lat. Z cegieł układanych wysiłkiem dziewczynki wybudowano nową świątynię. Teraz Wiola biegała tam na spotkania oazowe, by śpiewać piosenki i spędzać czas z koleżankami. Czasami przynosiła do domu nowe numery gazety parafialnej „Brat”, a tato czytał je od deski do deski i wspominał, jak to jeszcze nie tak dawno ludzie nie mieli dostępu do powielaczy i było nie do pomyślenia, by w kościele publikowano taki periodyk.

Czas mijał, a mimo to Wiolka dla Marka i Adriana wciąż pozostawała małą siostrzyczką. Uważali, że to do nich należy zapewnienie jej bezpieczeństwa oraz walka o to, by zmienić otaczającą ich szarą i pełną beznadziei rzeczywistość w bajkowy świat rodem z za żelaznej kurtyny.

Kurtyny, w której pojawiało się coraz więcej prześwitów.



Młodzi narwańcy żyli nadziejami na lepsze jutro, tymczasem na twarzach pierwszych nowohuckich robotników czas rzeźbił coraz głębsze piętno. Ilu z nich zdążyło już spocząć na okolicznych cmentarzach – zbyt wcześnie i młodo?

Kiedyś aleją Róż spacerowali przede wszystkim ludzie o jędrnych, rumianych twarzach. Popychali wózki z małymi dziećmi, pilnowali nieco starszych pociech. Teraz coraz częściej widać było tę samą dziatwę – już wyrosniętą i posiwiałą, jak popycha przed sobą wózek ze zniedołężniałym ojcem lub schorowaną matulą. Synowie i córki Nowej Huty prowadzili pod rękę rodziców.

W najmłodszej dzielnicy Krakowa – niegdyś tętniącej młodzieńczym wigorem, widać było coraz więcej ludzi steranych

życiem. Do tej pory priorytetem były miejsca pracy, żłobki, przedszkola i szkoły. Teraz równie ważne było zapewnienie opieki starzejącemu się pokoleniu junaków i budowniczych miasta. Z myślą o tych ludziach na osiedlu Sportowym otwarto pierwszy dom spokojnej starości.

– Nie myślałaś, aby umieścić tam mamę? – zagadnęła Agnieszka Ewę pewnego letniego popołudnia, gdy razem stały w ogonku przed sklepem mięsnym, żywiąc nadzieję, że zdołają zrealizować kartki.

W takich chwilach Szymczakówna przypominała sobie *Psalm stojących w kolejce* i miała szczerą chęć, by wyjść przed szereg i zaśpiewać na całe gardło: *Za czym kolejka ta stoi? / Po szarość, po szarość, po szarość / Na co w kolejce tej czekasz? / Na starość, na starość, na starość*<sup>[22]</sup>. Na razie jednak jej uwagę pochłaniała kuzynka, która ostatnio dość często skarżyła się na problemy związane z pielęgnowaniem całkowicie nieodpowiedzialnej matki.

– Co też ci przyszło do głowy? – oburzyła się Ewa. – Miałabym ją oddać do przytułku?

– To nie jest przytułek, lecz dom opieki. Byłoby jej tam dobrze, ale musiałaby zaprzestać picia.

– Wiesz, że to niemożliwe. Próbowалаm już chyba wszystkiego prócz odwyku, bo na to nie wyraziła zgody. Nie ubezwłasnowolnię mamy – westchnęła – to byłoby nieludzkie. Ona trzeźwieje tylko wtedy, gdy ma do niej zajrzeć Ludwik. Bardzo lubi jego wizyty.

– Tak, wiem. Może on by ją przekonał, że to byłoby słuszne?

– Nic z tego. Mama nie przestanie, choćby nie wiem jak ją do tego namawiał. To jest silniejsze od niej. A nawet gdyby, to i tak za nic w świecie bym jej nie oddała. Bardzo ją kocham. Taką, jaka jest. Kiedyś, gdy byłam głupiutką nastolatką, miałam do niej żal za to picie. Wydawało mi się, że ona niszczy mój świat. Ale teraz rozumiem jej rozpacz i niemoc. Była zdruzgotana po

śmierci taty i chyba nadal jest. Zawsze zmagala się z wieloma trudnościami. Nie miała łatwego życia. Wybaczyłam jej alkoholizm, bo zawsze była obok. Nigdy nie zrobiła mi krzywdy. W naszym domu nie było krzyków, wyzwisk, nie byłam nigdy bita. Mama zawsze powtarzała, że to z mojego powodu wstaje z łóżka każdego dnia. Nawet jeśli z tego wstawania nie wynika nic, albo prawie nic. To najbliższa osoba, jaką mam. Dzieci kiedyś dorosną i odejdą z domu. Na Roberta też nie zawsze mogę liczyć, ma trudny charakter. Dla niej jestem najważniejsza. Ona kochała mnie bezwarunkowo i bezgranicznie. Nie oddam jej – powtórzyła. – Czy ty oddałabyś swoich rodziców do domu starców? – zapytała ze łzami w oczach.

Agnieszka objęła ją i przytuliła.

– Przepraszam, myszko. Nie powinnam była w ogóle o tym wspominać. Chciałam dobrze.

– Wiem. – Ewa pociągnęła nosem.

– Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane – skwitowała kuzynka. – Oj... Chyba rzucili jakąś dostawę do sklepu! – stwierdziła podekscytowana, bo nagle w kolejce zrobił się ruch.

– Ja to mam ochotę na kotleta – westchnęła Kowalikowa. – Choćby i mielonego. Byle mieć na talerzu kawałek mięsa. Ostatnio wciąż jadamy tylko pierogi, naleśniki albo placki ziemniaczane. Robert się już złości, że karmię go, jakby był babą, a on tak ciężko pracuje i potrzebuje zjeść.

## **Rok 1989**

Tego dnia Agnieszka odnosiła wrażenie, że wszystkie kuzynki i przyjaciółki postanowiły złożyć na jej wątłe ramiona ciężar swych trosk. Ledwo wróciła z pracy, a już rozdzwonił się telefon. Najpierw rozmawiała z koleżanką z czasów licealnych, która chciała trochę ponarzekać na ciężkie życie i drożyznę

w sklepach. Później wpadła do niej Madzia, by pożyczyć choć parę złotych, bo znowu braknie jej do pierwszego, a ten drań Darek nie przejmuje się, że dziecko trzeba jakoś wyżywić, tylko co weźmie do łapy, zaraz musi stracić na prochy lub wódkę. Przy okazji zaprezentowała Agnieszce okazały siniec pod okiem, którego nie zamaskowała nawet gruba warstwa pudru. Nie zdążyły spokojnie pogadać, gdyż Magda spieszyła się do siebie. Ledwo jednak wyszła, a zadzwoniła Danusia z płaczem, że właśnie został orzeczony jej rozwód. Aga pocieszyła więc kuzynkę, że może to i lepiej, bo pozbyła się wiarołomnego chłopa, z którego w przyszłości i tak nie miałyby pożytku. Bo jak taki już raz zaczął zdradzać, to pewnie nigdy by nie przestał. A co by było, gdyby urodziła mu dzieci? Maluchy patrzyłyby wówczas na jej niedolę i same też by pewnie cierpiały. A i ciężko by jej pewnie było, gdyby on płacił alimenty na potomstwo z innych związków. W odpowiedzi usłyszała kilka ciężkich westchnień i utyskiwania, że zmarnował jej życie.

– Teraz żaden porządny mężczyzna mnie nie zechce – łkała Danka w słuchawkę, a Agnieszka robiła, co mogła, aby ją jakoś pocieszyć. W końcu kuzynka pożegnała się i rozłączyła.

Szymczakówna z poczuciem ulgi wstała z fotela, na którym, z krótkimi przerwami, tkwiła już od dłuższego czasu.

*Nigdy w życiu nie wyjdę za mąż* – powtórzyła niczym mantrę myśl, która dawno temu wykiełkowała w jej głowie.

Poszła do kuchni, aby zaparzyć sobie herbatę, gdy z pokoju rodziców znowu dobiegło ją brzęczenie telefonu. A ponieważ mama i tato byli w pracy, rada nierada wróciła, by odebrać połączenie.

– Agusia? Masz chwilę czasu? – Tym razem to Kowalikowa jęknęła żałośnie do aparatu.

– Co się stało, Ewuniu?!

Najpierw odpowiedziała jej seria chlipnięć i pociągnięć nosem. Później z drugiej strony zapanowała cisza i gdyby nie szmer

oddechu, Agnieszka pomyślałaby, że kuzynka po prostu odłożyła słuchawkę.

– Ewciu, jesteś tam?

– Mogłybyśmy się spotkać? To nie nadaje się na rozmowę telefoniczną.

Szymczakówna zerknęła na zegarek i oceniła, że zdążyłaby obrócić do kuzynki, nim w telewizji zacznie się kolejny odcinek *Królewskich snów*.

– Tak, jasne. Mam do ciebie przyjechać czy ty wolisz wpaść do mnie?

– Przyjadę. Mogę teraz?

– Oczywiście.

Ewa zjawiła się pół godziny później. Wyglądała jak prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Nawet nie próbowała udawać, że wszystko jest w porządku. Pod czerwonymi od łez oczami widniały czarne smugi – pozostałość po nałożonym rano tuszu. Agnieszka bez słowa rozłożyła ramiona i z całych sił przytuliła zrozpaczoną kobietę. Później zaprowadziła ją do kuchni, gdzie zaparzyła dwie szklanki herbaty.

– Co się stało, myszko? Jakies problemy ze zdrowiem? Coś w domu? Dzieci? Mąż?

– Mąż – wykrztusiła Kowalikowa, tłumiąc szloch wstrząsający jej ciałem. – Zdradza mnie, drań jeden. W ogóle się z tym nie kryje, a ja, głupia, nie mam wyjścia, muszę się na to godzić.

– Co ty wygadujesz, Ewcia? Jak to: musisz?

– Muszę – chlipnęła. – Nie mam wyjścia – powtórzyła.

– Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście.

– Z mojej nie. Posłuchaj! Jestem skończoną idiotką i sama jestem temu winna. Gdzie ja miałam mózg, gdy wychodziłam za mąż? Wszyscy mi to odradzali: wujowie, ciotki, kuzynki i przyjaciółki! Marta pukała się w czoło, słysząc, że zaraz po maturze zamierzam wziąć ślub! Mówiła mi, żebym poczekała, a ja, ślepa i głucha, puszczałam to mimo uszu. Większy był



wstyd, że urodzę nieślubne dziecko. Pamiętam, jak raz wyciągnęła mnie na kawę i przez ładnych parę godzin usiłowała wybić mi z głowy małżeństwo. Perswadowała, że za wcześnie, powinnam go lepiej poznać i w ogóle. Ciotka Julka mówiła to samo. Oburzało ją to, jak on mnie traktuje albo jak ja pozwalam się traktować. Twierdziła, że on ma na mnie za duży wpływ i nie powinnam być do jego dyspozycji na każdy kaprys. Tłumaczyła, że ciąża to nie koniec świata i mogę oddać dziecko do żłobka. Prosiła, żebym poszła na studia i się usamodzielniała. A ja byłam uparta jak osioł, żal mi było na nie czasu. Robert twierdził, że i tak nie będą mi potrzebne. „Będziesz miała przy mnie jak u Pana Boga za piecem”, powtarzał. A ja wierzyłam. I tak sobie myślałam, że faktycznie dalsza nauka nie jest mi potrzebna. Bałam się, że życie za szybko przecieknie mi przez palce. Myślałam tylko o tym, że gdy skończę, będę miała dwadzieścia sześć lat. Wtedy wydawało mi się, że to starość. A gdzie przestrzeń na dom, rodzinę, na miłość i na dzieci?

– Popęłniłaś błąd – stwierdziła Agnieszka. – Nawet ucząc się, wygospodarowałabyś czas na miłość i dzieci. Wiele młodych kobiet tak robi i jakoś sobie radzą.

W głębi duszy Szymczakówna uważała, że gdyby kuzynka rozpoczęła studia, to z całą pewnością przejrzałaby na oczy i zerwała z Robertem. Na pewno spotkałaby na uczelni kogoś wartościowszego i wrażliwego. Aga już dawno doszła do wniosku, że Kowalik celowo uniemożliwił Ewie studia – bał się odtrącenia.

– Otóż to. Gdybym zaczęła naukę, to pewnie bym ją skończyła. Może nie wpakowałabym się zaraz w drugie pieluchy. Miałabym konkretny zawód i dobrze płatną posadę. Gdybym zarabiała więcej, to nie musiałabym żebrać u Roberta o pieniądze na każdą bzdurę.

– O czym ty mówisz? – zdziwiła się kuzynka. – Przecież chodzisz do pracy!

– Na pół etatu. I zarabiam jakieś marne grosze, więc głównym żywicielem rodziny nadal jest mąż. To on decyduje o domowych wydatkach i jak chcę sobie coś kupić, cokolwiek, to muszę go pytać, czy mi wolno.

Urwała. Nigdy wcześniej nie żaliła się nikomu ze swoich problemów.

Agnieszka pokiwała głową ze zrozumieniem. Po części sama domyśliła się tego dawno temu. Nie była wszak ani ślepa, ani głucha. Choć Ewa uparcie nadrabiała miną i udawała, że wszystko jest w porządku, każdy członek rodziny wiedział swoje. Szymczakówna nie ponaglała kuzynki do dalszych zwierzeń. Pozwalała jej spokojnie zebrać myśli.

– Potrzebuję to w końcu z siebie wyrzucić – załkała Ewa. – Bo inaczej się uduszę. Przepraszam, że zawracam głowę akurat tobie, ale nie miałam do kogo pójść. Z Zośką nigdy nie byłam zbyt blisko, Danuśka ma dość własnych problemów, a Marta... Marta by mnie wyśmiała! Mogę sobie wyobrazić te jej wszystkie: „A nie mówiłam?”.

– Nie płacz, Ewcia. Wiesz, że ja zawsze cię wysłucham i nigdy nie potępię.

– Wiem. Jeszcze raz przepraszam. Na pewno masz dość takich historii w pracy.

– Do historii z pracy już dawno nabrałam dystansu, choć współczuję tym wszystkim bidulom. A teraz widzę, że mojej kuzynce dzieje się krzywda. Myślę, że potrzebujesz się wygadać, to na ogół przynosi ukojenie.

– Czuję się skołowana. Robert to świnią. Albo pies goniący za babami – załkała.

– Powiesz mi, co takiego się stało? Masz podejrzenia czy dowody?

Ewa upiła łyk herbaty.

– Dowody. Zaczęło się od majtek. Poszliśmy razem na imieniny do jego kolegi. Było tam mnóstwo osób, których

wcześniej nie znałam. Dużo atrakcyjnych kobiet – skorygowała rozgoryczonym tonem. – Szczególnie jedna, taka blondynka na oko trzydziestoletnia. Miała na sobie kusą mini. Robert był wyjątkowo spięty, gdy ta baba przebywała w pobliżu. W pewnej chwili nachyliła się, żeby po coś sięgnąć. I wtedy zadarła jej się spódnica, i pokazała fragment fikuśnej bielizny oraz, co tu dużo mówić, kawał dupy.

– Fuj! – Agnieszka skrzywiła się z niesmakiem. – Ale gafa! To obrzydliwe! Imprezowicze pewnie nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy!

– Taa... Prawidłowość niedotycząca mężczyzn. A przynajmniej mojego. Wyobraź sobie, że ten drań gapił się jak sroka w gnat na tę koronkę i na to, czego nie zasłaniała. Sęk w tym, że to nie było takie zwykłe spoglądanie. Nie było też lubieżne. On patrzył z uczuciem. Widziałam to po jego minie. Nie ślinił się jak inni panowie, ale miał w spojrzeniu coś bardzo dziwnego. Nie da się tego opisać, sama musiałabyś zobaczyć. Tamtego dnia tknęło mnie jakieś nieprzyjemne przeczucie. I na moje nieszczęście bardzo szybko znalazłam potwierdzenie. Wiem, że to niehonorowe, ale zaczęłam grzebać po kieszeniach Roberta. On szedł do łazienki, a ja w tym czasie sprawdzałam, czy nie ma w nich jakichś liścików, damskich chusteczek lub innych drobiazgów.

– Nie powinnaś tego robić – skarciła ją łagodnie Agnieszka. – To nieuczciwe.

– A uczciwe jest to, że on mnie zdradza? Proszę... Nie potępiaj mnie.

– Co odkryłaś?

– Długi miłosny list, który chyba zaczął do niej pisać, ale nie skończył. Z jego wyznaniem. Z przywoływaniem wspomnień o wspólnie spędzonych momentach. Z dosadnymi opisami tego, co chciałby z nią zrobić albo co już zrobił. Bydlak – załkała. – Wiesz, co on do niej wypisywał na mój temat? Jak wyśmiewał

mój zaniedbany wygląd? Jak nazywał mnie zapyziałą kurą domową? Nieatrakcyjną mamuszką?! A przecież to, kim jestem, zawdzięczać również jemu, bo dusigrosz żałuje mi każdej złotówki!

Agnieszka pomyślała, że kuzynka popełniła błąd na samym początku, gdy dopuściła do tego, by mąż kontrolował wszystkie wydatki i sam utrzymywał rodzinę.

– Szkoda, że nie poszłaś do pracy po urodzeniu Michałka.

– Szkoda. To największy z moich błędów, ale nie jedyny. Podporządkowałam Robertowi absolutnie wszystko. Staralam się być jak najlepszą żoną i matką. Byłam pełna poświęcenia, odmawiałam sobie wielu przyjemności. A on tak mi odpłacił! Och... Gdybym mogła chociaż od niego odejść! Ale jak to zrobić, skoro łączy nas coś trwalszego niż jego złamana przysięga o dochowaniu uczciwości małżeńskiej: dzieci, dom, wiecznie jakieś raty do spłacenia!

– Ewciu! Nie mów takich niedorzeczności! – Agnieszka chciała coś dodać, lecz kuzynka gwałtownie jej przerwała.

– Niedorzeczności? To on jest głównym żywicielem rodziny. Jak mu wykrzyczałam w twarz, że ma się wynosić z mojego życia, to zapytał mnie zimnym, cynicznym tonem, jak ja to sobie wyobrażam. Powiedział... – chlipnęła. – Powiedział... żebym dobrze rozważyła, dokąd zamierzam pójść, bo mieszkanie jest jego. I żebym wybiła sobie z głowy, że odda mi dzieci, abym je wzięła na poniewierkę do matki pijaczki, i że będzie na nie płacił alimenty. I żebym się zastanowiła, co będę robić na starość. Kazał mi spojrzeć w lustro i obejrzeć sobie moją zmęczoną twarz i skołtunione włosy z pierwszymi pasmami siwizny.

– Co za drań! – oburzyła się Agnieszka. – Niech on lepiej spojrzy na swoje zmarszczki i siwe kołtuny!

– A widzisz, moja droga. I tutaj nie masz racji – westchnęła Ewa. – Pod tym względem świat jest wyjątkowo podły! Bo niby

dlaczego u mężczyzny zmarszczki są atutem dodającym męskiego, dojrzałego uroku, a te same zmarszczki u kobiety są kwintesencją starości i przemijania?



*Zadziwiająco, jak wiele rzeczy dzieje się przez przypadek – pomyślała Agnieszka, widząc, jak Karol pochyła się nad łóżkiem w domu pomocy społecznej.*

Wczoraj trafiła w to miejsce właśnie przez zaskakujące zrządzenie losu. Pomagała bowiem jednej ze swoich podopiecznych w umieszczeniu niedołęźnego ojca w zakładzie opiekuńczym. Zwykle w takiej sytuacji skupiona była na kwestiach formalnych – całej papierkowej procedurze do załatwienia. Tym razem na prośbę zainteresowanej poszła z nią, by zobaczyć warunki, w jakich przebywają pensjonariusze. A że pani dyrektor była wyjątkowo przychylnie nastawiona, oprowadziła obydwie panie po całym domu, łącznie z salami dla leżących podopiecznych, z którymi nie było kontaktu.

Agnieszka patrzyła ze smutkiem na pozbawione emocji twarze śpiących ludzi bądź w przepełnione cierpieniem oczy sparaliżowanych. Dumiała o tym, jak to przed laty wuj Leszek też był w równie trudnej sytuacji – zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią. Była wtedy tak zamyślona, że gdy nagle jej wzrok padł na jednego z owych uśpionych, aż zamarła ze zdumienia. Miała bowiem nieodparte wrażenie, jakby nagle przeniosła się w czasie i stanęła nad łóżkiem krewnego. Ta mocno zarysowana żuchwa, cień zarostu na pociągłej twarzy, wystająca grdyka, czupryna ciemnych, niemalże granatowych włosów! Nie zgadzały się tylko wybladłe nitki blizn przecinające jego twarz w kilku miejscach. Poza tym podopieczny placówki wyglądał kubek w kubek jak wszyscy męscy członkowie rodziny ze

strony jej ojca.

– Kim jest ten pacjent? – zagadnęła dyrektorę.

Kobieta uniosła zawieszoną na łóżku ramkę, w której tkwiły dane pensjonariusza.

– Ireneusz Kaczmarczyk. Trafił do nas jesienią osiemdziesiątego drugiego. To było po tych strasznych zamieszkach w Nowej Hucie. Czy to pani znajomy?

– Ireneusz Kaczmarczyk... – powtórzyła Agnieszka imię i nazwisko, zerkając z niedowierzaniem na kobietę. – Nie. Nic mi to nie mówi. Ale na pewno tak się nazywa?

– No cóż, za to nie mogę zaręczyć. Gdy go znaleziono, w kieszeni jego kurtki były dokumenty na takie nazwisko. Kiedy został tutaj przewieziony ze szpitala, ciągle jeszcze miał zmasakrowaną twarz. Do tej pory zostały mu blizny po ciosach, jakie prawdopodobnie dostał od milicji lub ZOMO. Kobieta, od której wynajmował pokój na ulicy Kaczeńcowej, stwierdziła, że nie ma pewności, ale to może być jej lokator. Szukaliśmy jego krewnych, lecz nikogo nie znaleźliśmy. To wychowanek domu dziecka. Prawdopodobnie sierota.

– Jest bardzo podobny do mojego brata i kuzynów, choć nieco starszy od nich. Ale pamiętam, że w czasie stanu wojennego zaginął jeden z moich krewnych! – wykrzyknęła nagle, przypominając sobie o Wieśku Kalicie. – Dobry Boże... – Pochyliła się nad łóżkiem, by uważniej przyjrzeć się leżącemu na nim mężczyźnie. – Czyżby to był on?

– Czy ktoś z pani rodziny mógłby to potwierdzić? – zapytała dyrektor. – Wydaje mi się, że to dość ważne również dla państwa. Bo jeżeli to jest wasz krewny, to pewnie nie raz zastanawialiście się, gdzie przepadł. Może udałoby się jakoś wyjaśnić sprawę jego nazwiska?

– Oczywiście – odparła zaaferowana Agnieszka. – Postaram się jutro przyprowadzić tutaj kogoś, kto pomoże w identyfikacji. Nie powiem mu, o co chodzi, bo myślę, że w tym przypadku

najważniejszy jest element zaskoczenia.

– Słusznie. W takim razie zapraszam jutro.

– O ile mój kuzyn zdoła się wyrwać. Jest dość zajęтым człowiekiem. Ale dam słowo, że wrócę tu razem z nim w najbliższym czasie – odparła asekuracyjnie Szymczakówna.

Stali teraz we dwójkę nad łóżkiem, w którym leżał tajemniczy mężczyzna. Dyrektorka zatrzymała się parę kroków dalej, nie chciała im przeszkadzać.

– Dobry Boże! Toż to jest Wiesiek Kalita! – stwierdził Karol. – Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ta szrama na jego ręce to pamiątka po zamieszkach wiosną siedemdziesiątego roku! – Wskazał nieładną bliznę na nieruchomej dłoni pensjonariusza.

– U nas w dokumentach figuruje jako Ireneusz Kaczmarczyk.

– Ireneusz Kaczmarczyk... – powtórzył za nią Karol. – Ależ to wszystko jasne! Tak nazywał się kolega Wieśka. Poznałem go przelotnie. Ach... To pewnie jego ciało wyłowiono wtedy z bajora przy ulicy Kaczeńcowej! Niesamowite! Ciocia Zosia w końcu odetchnie z ulgą. Tyle lat czekała na jego powrót! Ani przez moment nie zwątpiła, że Wiesiek żyje. Muszę też koniecznie powiadomić Łucję. Ona na pewno potwierdzi tożsamość tego biedaka. Łucja to jego żona – wyjaśnił kobiecie.



– Mój syn! – wykrzyknęła Zofia, gdy tylko spojrzała na pensjonariusza domu opieki.

Nie miała najmniejszych wątpliwości. Nie musiała spoglądać mu w oczy, szukać na jego kolanach blizn po upadku z klaczy, a na kciuku śladu po tym, jak zaciął się kozikiem. Matczyne serce wiedziało.

– Synusiu, mój synusiu – zawodziła nad jego łóżkiem. – A cóż oni z tobą zrobili, moje dziecko?

– Już dobrze, ciociu, nie płaczcie – powiedziała Julia, gładząc drżącą z emocji staruszkę po ramieniu.

– Tyle lat czekałam na jakieś wieści od niego. Co się stało z moim chłopcem? – rzucała pytania bez odpowiedzi, głaszcząc policzek mężczyzny. – Dobrze, żeś się odnalazł, Wiesiu. A da Bóg, może przeckniesz się z tego snu jak Leszek.

Oderwała się na moment od syna i spojrzała na towarzyszącą jej córkę chrzestną z mężem.

– Dziękuję, żeście mi go przywrócili.

– To zasługa Agnieszki – powiedziała Julia. – A ona tylko cudem go tutaj odnalazła.

– Palec Boży – uzupełnił Wawrzyniec.

– Dobrze prawisz, synu.

Zofia przeniosła wzrok na Pawłowskiego. Miała zmęczone oczy o wyblakłych jasnoniebieskich tęczęwkach. Kiedyś były o wiele ciemniejsze, lecz ludzie mawiali, że wypłakała je sobie z żalu. Życie ledwo się w niej telepało.

– Teraz, gdy wiem, że on żyje i jest pod dobrą opieką, mogę spokojnie umrzeć. A jak już będę się widziała ze świętym Piotrem, to go uproszę, by wstawił się za Wieśkiem u Najwyższego. Da Bóg, a on jeszcze ozdrowieje.

– Co też mówicie, cioteczko? – obruszyła się Julka. – Gdzie wam umierać?

– Władzia młodsza była, gdy ją Pan powołał.

– Nigdy nie wiadomo, komu pierwszemu pisane. Macie teraz dla kogo żyć. Macie za kogo odmawiać pacierze – protestowała z żarem chrześciana, lecz ciotka tylko pogłaskała ją po przywiedłym policzku. – Dobra z ciebie dziewczyna, ale mnie już pilno tam. – Uniosła wymownie oczy. – A wy dajcież choć raz na mszę za moją duszyczkę. I za zdrowie Wiesia. A do Łucji też jedźcie. Niech i ona się dowie, i dzieciaki. Bo choć to wszystko już powyrastało, to pewnikiem też chcieliby wiedzieć, co z ojcem.



– Kiedy nikt z nas nie wie, gdzie jej szukać – westchnął Wawrzyniec. – Odcięła się po zaginięciu męża. Zabrała córki i wyjechała z Nowej Huty.

– Mam jej adres. Wnusię do mnie piszą od czasu do czasu. Ino po Łucję też trza będzie ruszyć autem, bo coś mi mówi, że nie będzie chciała się tutaj pofatygować. Jak jej pošlecie depeszę, że się ślubny znalazł, to nie da temu wiary. Tyle w niej zawziętości. Dawno go pochowała w sercu.



Staruszka miała rację. Gdy Pawłowscy przywieźli Łucję do domu opieki, obrzuciła pacjenta krótkim, niechętnym spojrzeniem.

– To nie on – powiedziała, zachowując opanowanie i kamienny wyraz twarzy.

A potem wyprostowała się i odwróciła. Chciała odejść, lecz Julia złapała ją za rękaw płaszcza.

– To jest Wiesiek – powiedziała łagodnym tonem. – Wiem, że jesteś zaskoczona. Każdego zaszokowałyby takie wieści. Nie cieszysz się?

– To nie on – powtórzyła z uporem kobieta. – Nie będę zajmowała się obcym.

Nie chciała o tym mówić, by ciotka nie skoczyła jej do oczu, ale choć historię Leszka znała wyłącznie z opowieści, nie wyobrażała sobie, by teraz ona, jak przed laty Kaźmierka, miała czekać, aż śpiący królewicz raczy się przebudzić.

Nie pomogły tłumaczenia, że nikt od niej niczego nie oczekuje. Zawzięła się tak bardzo, że nie byli w stanie jej przekonać. Nawet nie chciała skorzystać z gościny Pawłowskich i zostać u nich na noc, lecz jeszcze tego samego dnia wróciła pokaesem w rodzinne strony, dokąd wyprowadziła się po zaginięciu

Wieśka. Na ostatek dobitnie powiedziała Julce i Wawrzкови, aby dali jej święty spokój. Bo ona już dawno pogrzebała męża w swoim sercu. Córki także uważają, że on nie żyje. Po co więc mieszać im w głowach? Nie zdarzają się dwa takie same cuda z rzędu, więc ten niby odnaleziony Wiesiek na pewno zawsze już pozostanie warzywem.

Cóż mogli jeszcze zrobić? Jaki był sens w spieraniu się z zawziętą kobietą? Julia poniekąd rozumiała jej rozgoryczenie i niechęć – z tego, co słyszała od cioci Zosi, Łucja w minionych latach zaznała prawdziwej nędzy. Nic więc dziwnego, że nie szukała sobie kłopotu w postaci kolejnego ciężaru, który musiałaby wziąć na swe wychudłe ramiona.



Ewa czuła, że opada z sił – nie tych witalnych, które pozwalały na wykonywanie prostych, życiowych czynności, lecz z energii wewnętrznej napędzającej człowieka do działania.

Ileż można znosić upokorzenia?

Kilka minut wcześniej, przygotowując rzeczy przed włożeniem do pralki, sprawdziła kieszenie spodni Roberta. Znalazła w nich zmięty paragon ze sklepu jubilerskiego. Datowany był trzy dni temu.

Nigdy w życiu nie otrzymała od męża złotej bransoletki.

Akurat trzy dni wcześniej powiedziała Michałowi, że nie może go wysłać na zimowe rekolekcje oazowe, choć były stosunkowo tanie, gdyż taki wydatek wykracza poza możliwości domowego budżetu. Ceny jedzenia znowu poszły w górę i państwo Kowalikowie ledwo wiązali koniec z końcem.

Kobieta siedziała teraz na posadzce w łazience i szlochała z twarzą ukrytą w dłoniach.

Pal licha, że od lat chodziła w tych samych rzeczach i nie

kupiła sobie nic nowego. Mniejsza o to, że musiała na wszystkim oszczędzać. Ale dlaczego miała odmawiać swoim dzieciom drobnych przyjemności, podczas gdy jej mąż hojnym gestem wydawał pieniądze na obce baby?!

Przelała się czara goryczy!

*Nie możesz tak tego zostawić!* – dopingowała w myślach samą siebie.

Ba! Żeby to było takie proste!

Lata uległości, potulnego dostosowywania się do jego widzimisię i drżenia przed awanturami odebrały jej całą odwagę.

Ewa usiłowała przypomnieć sobie chwilę, gdy po raz pierwszy zrezygnowała z własnych pragnień, aby sprawić przyjemność Robertowi. Czy było to tego dnia, gdy zaniedbała naukę, bo zabierała jej zbyt wiele czasu i nie pozwalała zbyt często spotykać się z ukochanym? Czy wtedy, gdy zrezygnowała z marzeń o pracy zawodowej, aby zajmować się domem? Czy może wtedy, gdy czekała na powrót męża, a on już od progu burczał, że dzieci są zbyt hałaśliwe, dom nieposprzątny, a obiad do kitu?

Kuliła się, gdy grzebał w talerzu, utyskując:

– Znowu kluchy? A gdzie kotlet?  
– Schab jest bardzo drogi – próbowała się bronić.  
– Daję ci wystarczająco dużo pieniędzy, żeby było na porządne jedzenie! Naucz się nimi lepiej gospodarować, zamiast trwonić na głupoty!

Niepodzielny pan i władca domowego budżetu – wyliczał każdą złotówkę, którą dawał jej do ręki. Miała tak wszystko planować, żeby na nic nie zabrakło. Oszczędzała więc, ile mogła – przede wszystkim na sobie. Ona nie musiała jadać mięsa, byle tylko Robert i chłopcy nie chodzili głodni.

Prawdziwa rewolucja w jej życiu nastąpiła, dopiero gdy dzięki uprzejmości Agnieszki znalazła pracę w biurze. Mogła trochę

odżyć: nie musiała spędzać całych dni na domowych obowiązkach – jakoś zdołała pogodzić je z etatem, chociaż wcześniej wydawało jej się to niemożliwe. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów miała własne pieniądze, choć niemal w całości pochłaniały je domowe potrzeby.

A teraz przyszedł czas na kolejną rewolucję. Musiała znaleźć w sobie dość siły, aby raz na zawsze położyć kres tyranii Roberta. Nie była jego własnością, nie mogła w nieskończoność biernie podporządkowywać się jego zachciankom. Miała prawo do tego, aby ją szanował, liczył się z jej zdaniem, a przede wszystkim z uczuciami.

*Najlepszą obroną jest atak!* – powtarzała w myślach swoją nową mantrę. To Agnieszka poleciła jej, aby wbiła sobie te słowa do głowy i zaczęła je stosować w codziennym życiu.

Zachrobotał zamek w drzwiach wejściowych. Robert wrócił z pracy. A może od kochanki? Na pewno nie byli to chłopcy. Kobieta otarła łzy i wstała. Z paragonem w zaciśniętej pięści wyszła na spotkanie z niewiernym mężem.

– Ty draniu! – wykrzyknęła, nim zdążył powiedzieć cokolwiek.  
– Ty śmieciu! Ty odrażający skurwysynu!

W pierwszej chwili Robert zamarł, zaskoczony jej gwałtownym atakiem. Sama była zdziwiona, że znalazła w sobie siłę na krzyk. Nigdy wcześniej nie zdobyła się na aż taką brawurę. Mężczyzna oprzytomniał i spojrzał na nią złowrogo.

– O co ci chodzi?

– O to! – Rzuciła mu w twarz paragon od jubilera. – To ja oszczędzam na czym tylko się da, odmawiam rodzonemu dziecku wyjazdu na ferie, a ty trwonisz pieniądze na prezenty dla jakiejś dziwki? Jak możesz! – Jej głos nieznacznie zadrżał.

Robert z miejsca wykorzystał sytuację. Podszedł bliżej, zacisnął w garści bluzkę nad piersiami żony i jednym gwałtownym ruchem odwrócił kobietę w stronę lustra.

– Jeszcze się pytasz? Spójrz na siebie, kopciuchu. No! Patrz!

Co widzisz? Zanedbaną chudą jędrę z rozczochranymi kudłami! Popatrz tylko, jak ty wyglądasz! I co? Podoba ci się to co widzisz?

– Robert, przestań! – krzyknęła łamiącym się głosem. – Nie masz prawa tak mnie traktować! Jestem twoją żoną!

– Żoną, powiadasz?! A pamiętasz, kiedy po raz ostatni ze mną spałaś i nie bolał cię łeb? Albo nie miałaś okresu? Jeszcze się dziwisz, że chodzę do innej kobiety?

Ewa przygryzła dolną wargę. To co mówił, nie rozmijało się z prawdą, ale...

– A jak mam z tobą sypiać, skoro na każdym kroku zdradzasz mnie i poniżasz?

– Jesteś żałosna – powiedział z pogardą i rozluźnił palce. Nie musiał nic dodawać. Obrzucił ją nieprzyjemnym spojrzeniem. – Zrób coś w końcu ze sobą, idiotko! Jesteś nikiem. – Ostatnie, cicho wypowiedziane słowa zabolowały ją najbardziej.

To prawda, że była nikiem: zależna od niego i słaba – tak właśnie się czuła. Zniknęła cała pewność siebie, którą Ewa miała przez jeden krótki moment. A jednak zdobyła się na odwagę, by powiedzieć:

– Spierdalaj z mojego życia. Żądam rozwodu z orzeczeniem o twojej winie. Każdy sędzia stanie po mojej stronie.

Mężczyzna roześmiał się nieprzyjemnie.

– Tak? – Uniósł brwi.

– Tak!

– Wiesz co? Ty mnie lepiej nie wkurwiał! Bo jak nie – zacisnął dłoń i nim kobieta zdążyła choćby pisnąć, uderzył pięścią w szafkę, mijając dosłownie o włos głowę żony – to najpierw pokażę ci, gdzie twoje miejsce, a potem wywalę cię stąd na zbity pysk. Zapomnij o tym, że oddam ci mieszkanie albo dzieci. Mieszkanie jest moje. To ja otrzymałem przydział. Gdy ja tyrałem jak wół, ty gniłaś całymi dniami w łóżku i niczym się nie przejmowałaś! I co: dokąd pójdziesz? Pod most czy do

prztyłku? Bo chyba nie do swojej wiecznie zapijaczonej matki!

Nie mogła tego słuchać. Znała na pamięć te wszystkie przytyki, on wciąż je powtarzał! Odkąd dostał upragniony przydział na dwupokojowe mieszkanie, Robert zrobił się wprost nieznośny. Zasłoniła sobie uszy dłońmi. Bezsilność przytłoczyła ją tak bardzo, że osunęła się plecami po ścianie i usiadła na chłodnej podłodze przedpokoju.

Robert bez słowa ominął żonę i poszedł do kuchni. Przez chwilę tłukł się garnkami, w końcu, prócz hałasu, usłyszała jego pełen pretensji krzyk:

– Może ruszysz wreszcie tyłek i podasz mi obiad, co?!

Ewa po raz kolejny przekonała się, że nigdy nie wygra z mężem. Nie miała dokąd pójść i wciąż była za słaba na to, aby podjąć walkę o godne życie. Przegrała ją już tego dnia, gdy poświęciła własne priorytety dla człowieka, w którym zakochała się pierwszą, zaślepioną miłością.

W bodajże najtrudniejszym momencie nie było przy niej nikogo, kto mógłby ją przytulić i zapewnić, że jutro będzie lepiej.

Tylko czy w ogóle istniało jeszcze jakieś jutro? Czy każdy następny dzień nie miał być kalką tej chwili?

[20] Fragment tekstu piosenki *Mury*. Słowa, wykonanie: Jacek Kaczmarski, muzyka: Lluís Llach, 1978 r.

[21] Obecnie jest to parafia pod wezwaniem św. Brata Alberta.

[22] Tekst: Ernest Bryll, kompozytor: Wojciech Trzciniński, wykonanie: Krystyna Prońko, 1980 r.

## Rozdział 9



### *Zakończony spacer*

**P**od koniec stycznia, gdy z nieba spadały miękko białe płatki śnieżnego puchu, zmęczone płuca Krystyny wydały ostatnie tchnienie.

Nieliczni żałobnicy dygotali z zimna na cmentarzu w Grębałowie, kiedy zamarznęte grudy ciemnej, nowohuckiej ziemi uderzały głucho o wieko trumny. Później udali się do Arkadii na skromną stypę.

– Ubywa nas – załkała Julia, gdy już wracali do domu.  
– Taka kolej rzeczy, Julisiu – westchnął Wawrzyniec.  
– Szkoda, że Dorotka nie dała rady przyjechać. Martwię się, czy i ona nie podupadła na zdrowiu. Niby tłumaczyła przez telefon, że zmogło ją przeziębienie, ale coś mi się nie chce wierzyć.

– Miejmy nadzieję, że faktycznie chodzi tylko o przeziębienie. Zresztą jakże podróżować pekaesem na ten ziąb, gdy wszystko boli, w kościach strzyka, a z nosa kapie? Miałaby jeszcze wystać swoje na cmentarzu, domarznąć i pochorować się na dobre? Lepiej, że została w domu.

– Tak, to prawda. Nie ma sensu narażać się na powikłania.

Starzejemy się, Wawrzuś – westchnęła. – Kiedyś człowiek miał więcej energii. Teraz byle bzdura potrafi dokuczyć.

– Ach, gdyby tak czas dał się cofnąć choć o dziesięć lat – odparł mężczyzna.

W zadumie potarł się po lewym barku. Tego dnia szczególnie mocno doskwierał mu ból. Niedawno odwiedził z tego powodu lekarza. Zastanawiał się bowiem, czy nie ma w tym miejscu zmian nowotworowych, lecz ku jego uldze doktor wykluczył raka, stwierdzając, że za dyskomfort odpowiadają źle zrosnięte tkanki. Trochę go to uspokoiło, gdyż nie spieszył się w zaświaty. Zamierzał dopracować do emerytury, a potem choć trochę nacieszyć się życiem, które tak szybko przeciekało mu przez palce.

Ostatnio żyło im się jakby nieco spokojniej. Dzieci dawno dorosły. Ba, dzieci! Wnuki, którymi obdarzył ich Karol, miały po osiemnaście lat! Zocha od dawna mieszkała na swoim, skrzecząc Adamowi za uszami ile wlezie. Taką już bowiem miała naturę, że do każdej sprawy musiała dorzucić komentarz. Marta i Krzysiek nie myśleli o przeprowadzce. Mieszkali u nich, wychowując dwójkę dzieci. Najmłodsza córka Julii i Wawrzyńca zawsze była najmniej kłopotliwa, więc żyli sobie spokojnie, cicho i bez większych wstrząsów. Młodzi zajmowali dwa pomieszczenia, rodzice trzecie. Czwarte pełniło funkcję bawialni i pokoju gościnnego zarazem. Nie było im więc źle. Ludzie żyli w większej ciasnocie, jak choćby Karol z dziećmi czy przed laty Kazia i Leszek.

Szymczakom teraz znacznie się w domu rozluźniło. Trzej starsi synowie poszli w świat, Tadek jeszcze służył w wojsku. W końcu mieli więc dość miejsca dla siebie i nieraz Leszek marudził, że dla odmiany objają się po pustych kątach. Wspominał czasy, gdy w sześć osób gnieździli się w dwupokojowym mieszkanku i, jak mawiał – wystarczyło przetrwać najtrudniejszy okres, a na co im na starość więcej



przeestrzeni?

Starość... Straszne słowo, które coraz częściej pojawiało się w rozmowach Szymczaków i Pawłowskich.

– Co o tym myślisz, Wawrzuś?

Z zadumy wyrwał go głos Julii. Zerknął na żonę. Oczekiwała odpowiedzi na postawione przed momentem pytanie. Właśnie dotarli do swojego bloku. Pawłowski otworzył przed żoną drzwi do klatki schodowej.

– Przepraszam, Julisiu. Tak bardzo się zamyśliłem nad naszą przemijalnością, że nie usłyszałem, o co pytałaś.

Niespiesznie wspinali się po schodach na piętro.

– Chodzi mi o Ewę. Nie uważasz, że teraz, gdy już nie ma Krysi, powinniśmy powiedzieć jej o adopcji?

Mężczyzna wygrzebał klucze z kieszeni. Odryglował zamki. Weszli do mieszkania. W przedpokoju odebrał kozuszek żony i schował go do szafy. W ślad za okryciem Julii poszła jego jesionka.

Julia z miejsca weszła do kuchni, by zaparzyć herbatę. Wawrzyniec stanął w progu.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł – stwierdził sceptycznie.

– Minęło już wiele lat od adopcji. Myślisz, że warto burzyć cały świat Ewy?

– Znasz moją opinię na ten temat.

– Tak. I rozumiem twoje stanowisko.

– Bronisz też jest tego zdania.

– W takim razie zróbcie to, co uważacie za słuszne. Choć według mnie czasami lepiej przemilczeć pewne sprawy.

– I kto to mówi? – zapytała z przekąsem.

– Po prostu szkoda mi nieszczęśnicy. Jakoś tak niefortunnie ułożyła sobie życie. Po co jej dokładać zmartwień?

– Skąd wiesz, że to będzie zmartwienie? A może dopatrzy się w tym czegoś pozytywnego? Choćby tego, że nie była skazana na dom dziecka...

- Tylko na matkę alkoholickę – wszedł jej w słowo.
- Może ma jakichś krewnych, których warto byłoby odnaleźć?
- Bądź pewna, Julisiu, że gdyby tak było i gdyby to byli wartościowi ludzie, to Ewa nie trafiłaby do sierocińca.



W tym samym czasie, gdy Julia przerzucała się z mężem argumentami, Ewa zegnała ostatnich uczestników pogrzebu, którzy opuszczali restaurację po stypie. Chwilę dłużej przystanęła z Ludwikiem.

- Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś dla mojej mamy – powiedziała cicho, spoglądając kuzynowi w oczy. - Wiem, że byłeś jej wyjątkowo bliski.

- To nic wielkiego.

- Przeciwnie. Odwiedzałeś ją wtedy, gdy inni nie mieli już sił, żeby ją znosić. Była okropna. Wciąż piła, wszystko zaniedbywała. Nie chciała z nikim gadać. A ty traktowałeś ją normalnie. Nie próbowałeś jej pouczać. Po prostu spędzałeś z nią trochę czasu. Mama bardzo cię lubiła i wyczekiwała na twoje wizyty.

Chciała jeszcze dodać, że zawsze, gdy matka spodziewała się, że przyjdzie Ludwik, prosiła ją o staranniejse posprzątanie mieszkania, przygotowanie lepszej odzieży, zakupienie herbatników na poczęstunek. Starła się wtedy mniej pić, przeglądała jakieś gazety i książki, była znacznie pogodniejsza.

- Pewnego dnia zaszedłem tam przez przypadek. Zrobiło mi się jej żal, gdyż sprawiała wrażenie samotnej. Ja też ją lubiłem.

Nie chciał mówić Ewie o tym, że czasami wydawało mu się, jakby ciotka pragnęła, aby był jej synem. Tym, którego nie urodziła przed laty, ponieważ zdecydowała się na spędzenie płodu. Tylko po co było rozdzierać stare blizny?

– Dziękuję ci, Ludwik. Ja wiem, że nie byłam najlepszą córką.  
– W jej oczach zalśniły łzy. Mówiła cicho, niemalże szeptem, zerkając nerwowo na stojącego w pobliżu męża, który gawędził z Pawłem. – Nie miałam dla niej wystarczająco dużo czasu, bo wciąż pochłaniały mnie dzieci, praca i własny dom. Mamie na pewno było przykro z tego powodu, więc jestem ci niezwykle wdzięczna za każdą poświęconą jej chwilę.



Skołowana Ewa przed momentem zamknęła drzwi za niespodziewanymi gośćmi. Zajrzała do pokoju obok. Synowie zajęci byli odrabianiem lekcji, więc wycofała się do siebie, dziękując w głębi duszy Julce i Bronkowi, że przyszli z nią porozmawiać pod nieobecność Roberta. Miała przynajmniej odrobinę spokoju, by to wszystko przemyśleć i choć trochę ochłonać.

*Czy moje życie ułożyłoby się inaczej, gdybym wcześniej dowiedziała się, że byłam adoptowana?*

Przepełniał ją gniew, że powiedzieli o tym akurat teraz. Wyjaśnili wprawdzie, dlaczego tak późno zdecydowali się na ten krok, ale dla niej było to mało przekonujące. Nie wierzyła, by matka faktycznie zamierzała popełnić samobójstwo z takiego powodu.

A może była do tego zdolna?

Zapewne przypuszczała, że gdy Ewa pozna prawdę, to się od niej odwróci. Kto wie, czy nie stałoby się tak w przeszłości, kiedy górę brała młodzieńcza porywczosć? Po kilku latach przepracowanych w sekretariacie opieki społecznej dobrze wiedziała, jak dramatycznie mogą się plątać ludzkie losy. Usłyszała dość historii o różnych nieszczęściach. Wiedziała też jedno: dziecko nigdy nie trafiało do sierocińca bez istotnych

powodów. Zwykle przyczyną była śmierć rodziców lub zjawiska patologiczne.

Przez całe popołudnie automatycznie wypełniała wszystkie obowiązki domowe, lecz jej myśli skoncentrowane były na jednym temacie. Wciąż się zastanawiała, czy jest sens w poszukiwaniu krewnych. Ciotka i wujek zapewniali ją bardzo żarliwie, że bez względu na to, jaką podejmie decyzję, oni zawsze będą ją wspierali. Jest częścią ich rodziny i nic tego nie zmieni. I tak jak do tej pory, tak i w przyszłości temat jej adopcji nie będzie poruszany na forum.

Powoli zdążyła ochłonać. Uznała, że nie chce znać prawdy o swoim pochodzeniu. Sama nie wiedziała, co bolałoby bardziej: myśl, że jej rodzicielka nie żyje, czy świadomość, że została przez nią porzucona.

Uznała, że nic nie powie Robertowi. Po tym, jak ją potraktował kilka dni wcześniej, wiedza o adopcji nie była mu do niczego potrzebna. Ewa za nic w świecie nie chciałaby kiedyś usłyszeć, że jest niewiadomego pochodzenia bękartem. Aby mąż pluł jej w twarz domniemaniami o patologicznych przodkach.

*Moimi rodzicami byli Krystyna i Jan Kulkowie. Zawdzięczam im dach nad głową i szczęśliwe dzieciństwo. Wiem też, że mama nie przestała mnie kochać nawet przez chwilę. Była zazdrosna o moją uwagę. Bała się, że zniknę z jej życia.*

Robert wrócił z pracy głodny, ale w dość dobrym humorze. Nawet nie naburczał na Ewę, że nie zdążyła z obiadem, choć normalnie na pewno by to zrobił. Widać było jednak, że jest czymś mocno zaaferowany, bo aż mu oczy błyszczały z ekscytacji. Na razie nie mówił nic. Nauczona doświadczeniem żona nie próbowała go wypytywać, ponieważ dobrze wiedziała, że mija się to z celem. Jego ożywienie mogło mieć związek z tą blond francją, z którą bezczelnie romansował. Od jakiegoś czasu jego dobry humor wprawiał ją w podły nastrój, i odwrotnie: gdy Robert chodził naburmuszony, ona w głębi duszy odczuwała

satysfakcję, bo to oznaczało, że coś nie poszło po myśli tego drania.

Zamiast warczeć na guzdrałę, zajrzał do pokoju chłopaków i zapytał o lekcje. Gadał o czymś z dziećmiakami, podczas gdy Ewa w pośpiechu dogotowywała kopytka, ciągle jeszcze rozmyślając o rewelacjach wyznanych przez ciotkę. Ku jej zaskoczeniu, nawet gdy zawołała rodzinę na obiad i postawiła przed mężem talerz z daniem bezmięsnym, ten się nie skrzywił, jak miał to w zwyczaju, lecz oznajmił zaskakująco pogodnym tonem:

– Koniec z kopytkami. Nigdy więcej nie będzie nam brakowało na życie.

Ewa miała na końcu języka pytanie, czy to oznacza, że zaprzestanie trwonić forszę na kochanki, lecz nie miała siły na wszczynanie awantury. W kłótniach z Robertem zawsze stała na przegranej pozycji. Siedziała więc, dłubiąc widelcem w talerzu, gdy on, niezwykle zadowolony z siebie, zdecydował, że podzieli się z nią swoim pomysłem.

– Jutro masz jechać do mieszkania matki. Trzeba je uporządkować, wypierniczyć wszystkie klamoty, sprawdzić papiery, no i w ogóle. Wciąż jesteś tam zameldowana – przypomniał – więc nie można dopuścić do tego, żeby przepadło. Wynajmiemy je komuś i będę miał pieniądze.

Zirytowało ją stwierdzenie „będę miał”. Spojrzała na Roberta i nie pierwszy raz w życiu zaczęła się zastanawiać, co takiego widziała w tym podłym egoiście przed ślubem.

*Ależ byłam zaślepiona* – westchnęła, uświadamiając sobie, że miłość do męża uleciała niczym jesienne liście targane porywami wiatru.

Wiedziała jednak, że ślubny ma rację: szkoda byłoby stracić mieszkanie, które w przyszłości mogło się przydać dla któregoś z chłopców.

– Oczywiście – wymamrotała. – To dobry pomysł.

– Ino nie znoś mi tutaj żadnych dziadów. Wszystko, co niepotrzebne, ma wylecieć do śmietnika. Zostaw tylko meble, ale porządnie je wypucuj.



Od dłuższego czasu sytuacja w państwie przedstawiała się dramatycznie. Wyraźnie widać było nieudolność władzy ludowej. Dla wszystkich stało się jasne, że w końcu musi dojść do przełomowych zmian. Rządząca partia już dawno utraciła większość członków. Ludzie coraz śmielej rozmawiali o Solidarności. Jednoczyli się pod sztandarami z biało-czerwonym napisem. Wznosili dłonie i rozkładali palce w literę V – *victoria*, zwycięstwo! Pokładali nadzieję w Lechu Wałęsie, który przed laty zasłynął podczas strajków na Wybrzeżu. Już nie odczuwali strachu, byli coraz silniejsi.

Nareszcie przyszedł czas na to, by przedstawiciele władzy i opozycji zasiedli do wspólnych rozmów. Obrady okrągłego stołu przyniosły zasadnicze zmiany, dające nadzieję wielu Polakom, że rządy terroru dobiegły końca. Władzę oddano w ręce demokratycznie wybieranego sejmu i senatu. Sejm uchwalił zmianę nazwy państwa oraz przywrócił koronę orłu w polskim godle. W radio i telewizji pojawiły się nowe programy, a w kioskach niezależne tytuły prasowe. Zmieniano nazwy ulic. Pojawiły się pierwsze kantory wymiany walut i wolny handel.

– Nareszcie człowiek odżyje. – Paweł zacierał ręce z radości. – W końcu przyszły dla mnie wymarzone czasy.

O ile już wcześniej zdarzało się, że robił sobie w pracy urlop i wyjeżdżał na „wycieczki” do Bułgarii, Jugosławii czy innych krajów w celach handlowych, to teraz mógł spokojnie zostawić mozolną robotę w kombinacie i rzucić się w wir interesów.

Czym to on nie handlował!

Kryształy, bursztyn, dewizy. Jeszcze przed dziesięcioma laty woził do Bułgarii zakupione w Sukiennicach kapy na łożka. Teraz postawił na jeansy, kosmetyki i słodycze. Jak mu się kolega pochwalił, że zarobił dobrze na spirytusie, to sam zaczął nim handlować. Potem przerzucił się na kasety magnetofonowe i elektronikę.

Opływał we wszystkie dostatki jak jeszcze nigdy w życiu.

Córci kupił marmurkowe jeansy, Andzię wystroił w turecki kozuch. Chodzili ubrani jak się patrzy. Gdy tylko pojawiała się jakaś modna nowinka, żona i córka od razu ją podłapywały. Pierwsi w rodzinie nabyli odtwarzacz kaset VHS oraz telewizor na pilota. Ach! Co to była za radość, jacy byli zadowoleni z siebie!

Nie potrzebowali gonić na plac Centralny, by obrzucać kamieniami znienawidzony pomnik Lenina. Zmiany nazw ulic? Zbędne zamieszanie. Jakies wybory, głosowania? Kto by se tam zaprzętał głowę polityką, skoro władza spuściła z tonu i można było robić interesy do woli!



Tego dnia Robert wrócił do domu nadzwyczaj poirytowany. Od razu nawrzeszczał na żonę, gdy ta znowu spóźniła się z obiadem.

Paradoksalnie Ewa nie przejęła się szczególnie jego krzykami. W głębi duszy zaczęła rozważać, co też go tak wkurzyło. *Czyżby kochanica kopnęła go w dupę?* – zastanawiała się, polewając śmietaną pierogi z truskawkami. Zakładała, że skromny posiłek jeszcze mocniej popsuje nastrój gburowi, lecz w ogóle się tym nie przejmowała.

Rzeczywiście Kowalik z miejsca okazał niezadowolenie. Rzucił talerz z zawartością na podłogę.

– A gdzie mięso? – burknął. – Musisz mnie karmić jak jakąś cholerną babę?

– Jedzenie znowu podrożało. Nie wystarczyło mi na zakupy – tłumaczyła Ewa. – A skoro wywaliłeś obiad, to wbij teraz zęby w ścianę, bo nic innego nie ma – burknęła, usiłując zignorować bałagan, którego narobił.

– Jak to: nie wystarczyło na zakupy? – ryknął złowieszczo. Jego oczy zwężyły się w dwie szparki.

Kobieta zadygotała, a jej dobry humor prysł. W jego miejsce pojawił się strach, że tym razem nie skończy się na drobnych utarczkach, lecz na gigantycznej awanturze, po której przez kilka dni sąsiadki będą patrzyły na Ewę jakoś dziwnie – jakby z politowaniem.

Chłopcy siedzący z nimi przy stole też zadrżeli ze strachu. Bali się, że gniew ojca przeniesie się z matki na nich, a stąd już bliska droga do tego, by stary wyjął ze spodni pasek i sprzął ich za byle bzdurę.

– Mało masz pieniędzy, niedojdo? Ile bym ci nie dał do łapy, wszystko musisz przepierdolić?

– Jest inflacja – tłumaczyła spokojnie kobieta. – Jedzenie wciąż drożeje. Nic na to nie poradzimy.

– Bo jesteś głupia! Dawno mogliśmy zacząć zarabiać na mieszkaniu po twojej starej. Wystarczyło wyjechać z niego cały ten śmietnik. Tyle nie potrafisz zrobić? Miałaś tylko pozbyć się starych dziadów, wyszorować okna, podłogi i ogarnąć co się da! Z czym masz problem?

– Nie mogę ot tak wszystkiego powyrzucać! Na litość boską! To są rzeczy moich rodziców. Muszę je spokojnie przejrzeć i odłożyć to, co ważne.

– Rupiecie starej pijaczki, chciałaś powiedzieć! – zrzędził.

– Nie mów tak! – zaprotestowała. – Może nie była idealna, ale to moja mama!

– Będę mówił to, co chcę! Wszystkie baby są durnymi



krowami – zwrócił się do synów. – Zapamiętajcie sobie na zawsze.

Ewa z zażenowaniem spojrzała na chłopców.

– Michaś, Sławek, idźcie do swojego pokoju – poleciła spokojnym tonem. – A ty zastanów się, co wygadujesz! – Popatrzyła z wyrzutem na męża, który tego dnia wyraźnie szukał zwady.

– Gdzie ich przeganasz? Niech słuchają i się uczą. A z tobą – pogroził żonie palcem – to ja się jeszcze porachuję! W dupie ci się poprzewracało! Za dobrze ze mną miałaś od samego początku!

– Przestań! – nie wytrzymała, bo ileż można znosić upokorzenia w obecności dzieciaków. – Mam już tego dość! Twojego chamstwa, krzyków i wiecznych pretensji! Jak tak można? Dzieci to widzą i słyszą!

Zaszurało odsunięte gwałtownie krzesło. Robert zerwał się i złapał żonę za łokieć. Ścisnął go z całej siły i zmusił Ewę, by wstała.

– Nie będziesz mi tu pyszczyć i podważać mojego autorytetu! – warknął.

– Puszczaj mnie! To boli – krzyknęła.

– Boleć dopiero będzie, jak cię nauczę szacunku, ty debilko!

Nawet nie zdążyła mrugnąć powieką, gdy zdzielił ją w twarz otwartą dłonią. Potem puścił osłupiałą kobietę. Do tej pory nie zdarzyło się bowiem, aby ją uderzył. Owszem, czasami szarpał Ewę tak, jak przed momentem, ale nigdy nie posuwał się do rękoczynów. Wychodząc z pokoju, Robert kopnął stojące mu na drodze krzesło, aż z hukiem upadło na podłogę. Zdeptał rozrzucone pierogi. Chwilę później cała trójka usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych.

– Mamo! – Sławek z płaczem rzucił się w jej objęcia. – Mamo, ja się boję!

– Nie bój się syneczku. – Pogłaskała chłopca. – Już nic się nie

dzieje. Tato wyszedł, a jak wróci, to na pewno będzie miał lepszy humor.

Piekł ją policzek. Odczuwała także palący wstyd przed dziećmi. Michał spoglądał na nią jakoś tak dziwnie, spode łba.

– Długo jeszcze będziesz pozwalala, żeby nas bił, a ciebie tak traktował? – zapytał z zaciętą miną. – Kiedyś mu oddam za wszystko! Za każdy siniak na mojej dupie! Jak będę taki duży jak on, to go zabiję – oświadczył stanowczo z groźnym błyskiem w oczach.

– Nie mów tak, dziecko! To twój ojciec.

– W dupie mam takiego ojca. Zabiję tego skurwysyna – powtórzył zaciekle.

Ewa poczuła, że jej płucom zaczyna brakować tchu. Przecież to niemożliwe, aby jej jedenastoletni synek wygadywał takie potworności. Wybuchła niepohamowanym płaczem.

– Boże, mój Boże – jęknęła. – Ja już nie mam siły! Nie daję rady!

– Nie płacz, mamu – usłyszała głos Michała. – Musisz coś zrobić, zanim ojciec nas pozabija. Ucieknijmy stąd.

– Nie mamy dokąd pójść... – zaczęła, lecz nagle uświadomiła sobie, że wygaduje bzdury. Zawsze istniała alternatywa, to Robert wmówił jej, że jest inaczej, i robił wszystko, by poróżnić ją z mamą. Teraz mamy już nie miała, ale było przynajmniej miejsce, do którego mogła uciec przed tym potworem.

Spojrzała na przerażone dzieci. Powinna zrobić coś, aby zaoszczędzić im bicia i wiecznych awantur. Mąż nigdy nie żałował synom pasa. Niejeden raz próbowała ich bronić, lecz on ją zawsze odpychał, twierdząc, że jak któryś zasługuje na karę, to musi ją ponieść. A ona patrzyła na to z bezsilnością, łykając gorzkie łzy.

Dobrze pamiętała słowa, które Agnieszka powtarzała kobietom szukającym pomocy w ośrodku:

– Jeżeli mężczyzna raz podniesie rękę na żonę lub dziecko, już

zawsze będzie to robił. I choćby klął się na Boga i na wszystkie świętości przysięgał, że to się więcej nie powtórzy, nie wolno mu wierzyć pod żadnym pozorem. Dość się napatrzyłam na naiwne bidule, które dawały wiarę obietnicom, a potem wracały tutaj zapłakane i pobite.

Ewa poczuła, że właśnie przelała się czara goryczy. Teraz pozostały już tylko dwie możliwości: mogła pozwolić, aby ich życie ostatecznie zamieniło się w piekło, albo mogła odejść, zabierając ze sobą dzieci – niewinne ofiary tego brutala.

– Idziemy się spakować – oznajmiła stanowczo. – Przeprowadzimy się do mieszkania po babci. A jutro pójdę do prawnika, żeby mi pomógł wnieść pozew o rozwód.



Po powrocie z wojska Tadek Szymczak z miejsca podjął pracę w hucie. Dość się napatrzył na wysoki dwóch starszych braci, Melka i Darka, by wiedzieć, że lepiej siedzieć na dupie jak Kacper i żyć spokojnie z dnia na dzień. Co za przyjemność gnić za kratami? Co za przyjemność faszrować się jakimś świństwem, po którym człowiek niby sprawia wrażenie rozluźnionego i szczęśliwego, ale w rzeczywistości wygląda jak wrak: pożółkły, zarzygany, niewiedzący o bożym świecie? Jakie życie miała Magda z takim drabem? Nie mógł się nadziwić bratowej, że to wszystko znosiła. Kilka lat wcześniej Darek zmajstrował jej dziecko. Dziewczyna wykorzystała pierwszą sposobność, by zawlec go do urzędu. Wzięli ślub, zamieszkali w hotelu robotniczym przy zakładach tytoniowych, w których pracowała na linii produkcyjnej. Liczyła chyba na to, że utemperuje męża, lecz okazało się, że to on skutecznie zaczął ją temperować. Gdy bywał w domu, nie żałował żonie swoich pięści. Często znikał na całe dni, zabierając forszę, na którą

ona ciężko pracowała. Wracał brudny i pijany bądź pod wpływem narkotyków. Co to za życie?

Czy nie lepiej pójść z dziewczyną do kina na *Piłkarski poker* albo na lody, albo na spacer aleją Róż? Założyć normalną rodzinę, zasłużyć na uznanie ojca i matki...

Mało to się Tadek nasłuchał ich wyrzekań na Melka i Darka? Mama przeklinała na czym świat stoi, że wychowała niedobrych ancykrysów, a tato załamywał ręce i latał do kościoła, by modlić się o ich opamiętanie. A ile razy przyprawili biedaka o ból głowy tak silny, że aż wywołujący mdłości?

Był czas, że i Tadek tak szumiał. Szybko posmakował papierosów i alkoholu. Lubił dobrą zabawę i ryzyko. Miał paczkę kumpli, z którymi dokazywał w mieście. Nim poszedł do wojska, zaliczył wiele imprez. Poznawał łatwe dziewczyny. Przespał się z tą czy tamtą, nic sobie nie robiąc z możliwych konsekwencji.

Ale już wtedy bywały w jego życiu takie dni, gdy odczuwał zmęczenie nadmiarem mocnych wrażeń. Myślał wtedy o Karolinie, która mieszkała w bloku naprzeciwko. Od zawsze mu się podobała. Miała ładną twarz ze zgrabnym noskiem. Ciemne włosy spinała w koński ogon, majtający się do połowy pleców. Brązowe oczy patrzyły na świat bardzo poważnie, ale gdy już się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się rozkoszne dołeczki. Wśród młodzieży z Centrum B, z którą przestawał Tadek, uchodziła za nieprzystępną żołądzadzierającą nosa. *Ciotka-cnotka* – mawiały o niej pogardliwie bardziej rozrywkowe dziewczyny z osiedla. Nie chodziła na imprezy ani nawet na szkolne potańcówki. Nie umawiała się na randki. Ba! Nigdy nie widziano, by rozmawiała z jakimś chłopakiem. Ciągłe natomiast goniła do biblioteki lub domu kultury. Dla wesołej paczki była przymuloną kujonką. Nuda!

A on widział coś więcej niż nudę: ta dziewczyna sprawiała wrażenie zadowolonej z życia i szczęśliwej. Bił od niej

wewnętrzny spokój. Nie była zblazowana i zepsuta jak jego koleżanki.

Jego kontakty z Karoliną kończyły się wyłącznie na zerkaniu i fantazjach. Bo niby o czym miałyby zagadać do tak inteligentnej dziewczyny, żeby nie zrobić z siebie idioty?

Zapewne nic by się nie zmieniło, gdyby nie pewien przypadek.

Z braku lepszego miejsca, grupka przyjaciół Tadeusza często imprezowała w parku Ratuszowym. Akurat było to zimą, panował nielichy mróz. Kiedy skończył się alkohol, młodzi ludzie uradzili, że trzeba iść po kolejną flaszkę na melinę do Grubego. A najlepiej wleźć w jakąś bramę, ponieważ na ławce jest zdecydowanie zbyt zimno. Co prawda wciąż przeganiano ich z klatek schodowych, strasząc milicją lub szczuciem psami, lecz postanowili, że zachowają ciszę. Powędrowali w stronę bloków. Nikt nie zauważył, że na ławce został Tadek, któremu zwyczajnie się zasnęło. Było już bardzo późno, dochodziła dwudziesta trzecia. Mało kto kręcił się ulicami miasta. Jeśli zachodziła konieczność, ludzie woleli przejść jasno oświetlonymi chodnikami wzdłuż głównych arterii niż wędrować tonącym w mroku parkiem, w którym po zapadnięciu mroku prym wiedli chuligani. Śpiący chłopak został więc na łasce i niełasce mrozu.

Miał niebywałe szczęście, że właśnie tamtędy skróciła sobie drogę Karolina wracająca od cioci. Dziewczyna do późna doglądała kuzynów, których rodzice świętowali w kawiarni dziesiątą rocznicę ślubu. Przyszli do mieszkania tuż po północy i właściwie chcieli zatrzymać siostrzenicę u siebie, lecz ona zadecydowała, że pójdzie do domu. I nie zgodziła się, by wujek ją odprowadzić. Uznała, że nie ma potrzeby, gdyż o tej porze i przy takim zimnie chuligani nie kręcą się po mieście.

Szła wyludnionymi alejkami parku Ratuszowego. Mijając pomnik z rybą, dostrzegła człowieka leżącego na pobliskiej ławce. Choć domyślała się, że to jakiś pijak, żal jej się zrobiło

biedaka, który mógł zamarznąć na siarczystym mrozie. Niewiele myśląc, zaczęła go tarmosić, by wstał i poszedł do domu. Ktoś na pewno na niego czekał. Jakież było jej zdziwienie, gdy rozpoznała przystojnego chłopaka z naprzeciwka. Był mocno zamroczony alkoholem i przemarznięty do szpiku kości. Odprowadziła Szymczaka pod jego blok i upewniła się, że wszedł do klatki schodowej.

Następnego dnia Tadek kupił w kwiaciarni na placu Centralnym różę i poszedł do Karoliny. Chciał podziękować dziewczynie za to, że nie zostawiła go na pastwę zimna. Bo jego kumple jakoś w ogóle się nim nie przejęli. Gdyby nie jej dobre serce, pewnie już nigdy by się nie obudził.

Spotykali się przez następne pół roku. Zerwał z paczką dotychczasowych znajomych – nie byli jego przyjaciółmi, skoro tak postąpili. Później upomniała się o niego armia. Odsłużył swoje, pisząc długie listy do ukochanej i wyczekując odpowiedzi. A gdy wrócił, zaczął poważnie myśleć o tym, aby ustatkować się z Karoliną u boku. Miał zdaną maturę, ona rozpoczęła studia zaoczne związane z literaturą. Jego nie pociągała dalsza nauka, z egzaminem dojrzałości ledwo sobie dał radę, więc poszedł do pracy. Złapał etat w kombinacie, a jego dziewczyna w bibliotece.

Ojciec był z niego dumny i cieszył się, że wybrał sobie taką miłą pannę.



Pod koniec lipca sąd orzekł rozwiązanie związku małżeńskiego zawartego przez Kowalików. Co do orzeczenia, kto jest winowajcą, nie było najmniejszych wątpliwości. Dzięki życzliwemu wsparciu Agnieszki oraz koleżanek z pracy Ewa gładko uporała się z całą procedurą. Przełamała wstyd i poszła

do lekarza po wyniki z obdukcji jej oraz chłopców. O ile ona miała tylko siniaki po kilku wcześniejszych szarpaninach z mężem, to pośladki Michała i Sławka przedstawiały obraz nędzy i rozpaczy.

Oczywiście Robert nie chciał łatwo odpuścić. Przez kilka miesięcy nachodził żonę w mieszkaniu po matce, bowiem od razu domyślił się, dokąd uciekła. Prosił, groził, robił dzikie awantury, podczas których niejedną raz interweniowali milicjanci. Próbował też złapać dzieci pod szkołą i zabrać je do domu, lecz chłopcy zostali pouczeni, że nie powinni z nim odchodzić. Zresztą żaden z nich nie chciał słyszeć o powrocie do ojca tyrana.

Po kilku miesiącach mężczyzna odpuścił i zostawił ich w spokoju. Koleżanka Ewy zobaczyła go na mieście z jakąś kobietą. Bezzwłocznie pospieszyła, aby donieść o tym zainteresowanej. Kandydatka na rozwódkę odetchnęła wtedy z ulgą – skoro mąż zajął się inną, to znaczyło, że ona zyska święty spokój – uczucie, które tak właściwie było jej całkowicie obce.

W czasach, gdy ludzie drżeli przed utratą pracy, Ewa zdołała uprosić przełożonych o zmianę wymiaru godzin na pełny etat. Sama dawała sobie radę ze wszystkim. Robert nie był jej do niczego potrzebny. Poczowała się silna, niezależna i nareszcie szczęśliwa.

*Nadeszły nowe, lepsze czasy – myślała z nadzieją.*



Czas mijał. Ustalenia okrągłego stołu wchodziły w życie, a w alei Róż wciąż straszył znienawidzony pomnik wodza rewolucji.

– Trzeba zrobić coś z tym fantem – szeptali między sobą

mieszkańcy dzielnicy.

– Komuchy już nie rządzą. Mamy demokrację. Czas, by i on sobie stąd poszedł.

Jesienią cierpliwość ludzi była już na wyczerpaniu. Coraz gwałtowniej zaczęto się domagać usunięcia reliktu minionej epoki z najpiękniejszej arterii Nowej Huty. Na murach pojawiały się hasła „Lenin won za Don”, „Lenin na żyletki”, „Lenin precz”. Malowali je buntownicy zrzeszeni w Federacji Młodzieży Walczącej.

Gonili wieczorami po mieście także bliźniacy Pawłowscy, by za pomocą farb wyrażać swoją opinię na temat kolosa.

– Przecież żyjemy już w wolnej Polsce! – Marek buntowniczo potrząsał długą czupryną. – Trzeba się go pozbyć!

– Pewnie! Skoro ojcu się nie udało, to może my damy mu radę? Legalnie, bez dynamitu – zaśmiał się cicho Adrian, zasłaniając brata kreślącego po ścianie bloku.

Kilka dni wcześniej Karol opowiedział im o nieudanej próbie wysadzenia figury stojącej obok Baru pod Kuternogą. Prosił ich, by zachowali to w sekrecie – mimo wszystko. Spoglądali na niego z podziwem, jak zawsze zresztą. Dla nich był bohaterem, i to nie tylko dlatego, że należał do opozycji i przez niemalże całe życie walczył o prawdziwie niepodległą Polskę, cierpiąc z powodu represji.

Był też wspaniałym tatą – najlepszym, o jakim mogli marzyć. Samodzielnie wychowywał ich przez osiem lat. Nie poumierali w tym czasie z głodu. Nie obrośli brudem. Nie odczuwali nędzy, choć żyli raczej skromnie. Szaleli ze strachu, gdy został zatrzymany w związku ze śmiercią Bożeny. W tamtych przerażających dniach całą trójką modlili się, by odnaleziono prawdziwego winowajcę, a ojca oczyszczono z zarzutów. Gdy wrócił do domu, odetchnęli z ulgą. Widzieli cierpienie taty. Słyszeli wujów i ciotki, którzy nie szczędzili mu gorzkich słów za bratanie się z agentką bezpieki. Niejeden raz stawali w jego



obronie, choć wcześniej to on był tarczą chroniącą ich przed całym złem otaczającego świata. Żałoba nie odizolowała go od bliskich. Pozostawał oddany i opiekuńczy wobec dzieci. Jedyne, na co zabrakło mu wówczas energii, to przeprowadzka do Bronowic – wolał zostać bliżej rodziców.

A teraz mogli mu się odwdzięczyć za to, że po powrocie z obozu internowania zastąpił im nieżyjącą matkę. A także za to, że doczekali upragnionej demokracji dzięki ludziom takim jak on.



Późną jesienią młodzież – rozdrażniona brakiem reakcji na postulaty o usunięciu pomnika – zaczęła podejmować radykalne kroki. W każdą środę w alei Róż, u stóp znienawidzonego monumentu gromadzili się członkowie Federacji oraz osoby, którym przeszkadzał. Dwudziestego drugiego listopada mieszkańcy Nowej Huty zostali zaproszeni plakatami do centrum dzielnicy, by wziąć udział w happeningu pod hasłem „Pędzle w ręce mas”.

Niestraszny był chłód jesiennego popołudnia, gdy bracia Pawłowscy spieszyli na wezwanie organizacji młodzieżowej.

– Zrobimy makijaż Leninowi – kpił Adrian, niosąc słoik żółtej farby olejnej.

– Jeszcze jaki! – cieszył się Marek. On w przeciwieństwie do brata niósł czarną emulsję, ponieważ to był jego ulubiony kolor. Uważał zresztą, że czerń doskonale oddaje emocje, jakie wzbudza znienawidzony wódz rewolucji.

W alei Róż zgromadziło się kilkaset osób.

– Jesteśmy tutaj po to – krzyczał młody mężczyzna stojący na cokole – by pokazać, że jesteśmy u siebie gospodarzami. I nie chcemy tego pomnika. – Wskazał dłonią za siebie. – Skoro

żyjemy w wolnej Polsce, to niech zostanie spełniona wola obywateli, którzy domagają się usunięcia symbolu zniewolenia komunistycznego!

Zeskoczył z zajmowanego miejsca. Chwilę później w stronę postumentu poleciał grad pocisków, którymi były pojemniki z różnokolorowymi farbami. Figura Lenina spłynęła wszystkimi kolorami tęczy.

– Trzeba poprawić podpis na cokole! – ryknął ktoś w tłumie.

Młodzi mężczyźni z zapalem rzucili się, by wyrwać zamocowaną na jego froncie tablicę informacyjną.

– Brudas! Precz z brudasem! – krzyknął Adrian.

– Won z Nowej Huty! – zawtórował mu bliźniak.

Wspólnym wysiłkiem usunięto napis z cokołu. Zaraz pojawili się chętni do tego, by uzupełnić ten brak czymś innym.

– Brudas! – zawołał Marek. – Napiszcie, że to brudas!

Ktoś podłapał jego słowa, więc zaraz pojawił się stosowny napis. A tuż obok nagryzmołono: „Tu był happening”.

– To tak dla jasności sytuacji – zaśmiał się twórca nowego hasła. – Bo jak już się tutaj dostaną milicjanci, to lepiej, żeby nie mieli wątpliwości, o co chodzi.

Kilkadziesiąt metrów dalej płonąła budka, którą ustawiono po zamachu na figurę Lenina sprzed kilkunastu lat, by nigdy więcej nikt nie zagroził dziełu. Dzień i noc dyżurował tam milicjant, lecz teraz gdzieś przepadł.

Kilku mężczyzn wspięło się na cokół. Postawili między nogami Lenina muszlę klozetową – dar od nowohuckiej młodzieży.

– Cały lud czeka na wzwód! Napiszcie tak na cokole! – odpowiedział jakiś dowcipniś.

– Wrócimy tutaj za tydzień! A jak zajdzie potrzeba, to będziemy wracali do skutku! – planowali młodzi ludzie, rozchodząc się z wolna do domów.



– A ciebie dokąd znowu niesie? – zapytała Kazimiera, widząc syna szykującego się do wyjścia.

Chyba wszystkim mieszkańcom dzielnicy było wiadomo, że nowohucka młodzież ponownie skrzyknęła się w alei Róż. Kobieta żywiła obawy, że i syn tam pójdzie, by żądać usunięcia pomnika.

Rządząca partia rozczarowała ją srodze, przegrywając wybory latem bieżącego roku i okazując swoją niemoc. Z perspektywy czasu Kazia musiała przyznać, że postawiła na niewłaściwego konia. Nie zyskała absolutnie nic na przynależności do PZPR. Przez te wszystkie lata narażała się na docinki ze strony rodziny i wciąż była wyobcowana spośród Szymczaków.

Nachodziły ją też smutne refleksje, że rację mieli ci, co psioczyli na taką władzę. Czy to mało się wycierpieli? Te wszystkie szykany, aresztowania, internowanie Karola. Dziesiątki siniaków na grzbiecie niemalże każdego mężczyzny w rodzinie. Chyba nie było wśród nich osoby, która nie ucierpiałaby z rąk ZOMO lub milicjantów. A Lesiu, biedaczysko? Wszak do tej pory nieszczęśnik skarży się na nawracające bóle głowy.

Tylko czy nowa władza będzie lepsza? Czy zaprowadzone przez nich porządki uczynią coś dobrego dla szarych obywateli? A jeżeli nic się nie zmieni i niezadowoleni ludzie nadal będą tłuczeni pałami i katowani w aresztach? Co z tego, że Broniek i Wawrzek z entuzjazmem mówią o zachodzących zmianach? Kazimiera nie potrafiła wyzbyć się strachu.

– Lecę do Karoliny! – odparł syn na odchodnym. Wcisnął czapkę na głowę i tyle go widzieli.

– Uważaj na siebie – nadaremnie przestrzegła go matka, gdyż zdążył już wyjść.

Kazia została sama ze swoimi ponurymi myślami. Leszek był jeszcze w pracy, tego dnia miał drugą zmianę. Od kilku miesięcy nieustannie narzekał już nie tyle na bóle głowy, ile na ostre migreny i bardzo często brał zwolnienia chorobowe. Rozważał nawet, czy nie powinien przejść na rentę, co wciąż doradzali mu Boguśka z Bronkiem. Twierdzili, że zdrowie jest ważniejsze od pieniędzy, ale Kazia miała wątpliwości, czy to dobry pomysł. Bała się, że sobie nie poradzą.

Ona też ledwo już zipsała – dokuczał jej kręgosłup i żyłaki. Coraz trudniej było utrzymać ręce uniesione nad głowami klientek. Sama chętnie rzuciłaby pracę, gdyby nie to, że chciała jeszcze trochę pomóc chłopakom. Melka wyciągnąć z pudła. Darkowi zapewnić choć miskę gorącej zupy, gdy raz na parę tygodni zagląda do domu: zabiedzony, chudziutki, niepodobny do siebie. Skarży się bidulek na ciężki żywot i niewdzięczne babsko, które wciąż wyciąga ręce po pieniądze, a on nie może nadażyć z zarabianiem. Źle mu na świecie, więc z tej rozpacz szuka zapomnienia w wódce lub prochach.

Zwykle podczas wizyt Darek błagał matkę o pieniądze na jakieś pilne wydatki. Jeśli odmawiała, wpadał w gniew. Kiedyś nie dała mu nic, a po jego odwiedzinach zauważyła brak złotego pierścionka. Drobiazg nie mógł tak po prostu zginąć, gdyż nie nosiła go od bardzo dawna – miała spuchnięte palce. Trzymała cacko na zaręczyny Tadka z Karoliną. Od tamtej pory zawsze starała się odłożyć jakiś grosz dla syna, gdy znowu przyjdzie. Najgorsze jednak było to, że hiperinflacja pożerała wszystkie pieniądze, jakie człowiek dostawał do ręki.



Tadek pobiegł do bloku naprzeciwko. Po dwa stopnie naraz wbiegł na drugie piętro i zastukał do drzwi. Karolina była już

gotowa. Miała na sobie modne marmurkowe jeansy i luźną kolorową kurtkę, zapewne dosyć drogą, kupioną w sklepie Baltony albo pochodzącą z butiku na placu w Bieńczykach.

– Podoba ci się? – zapytała zalotnie strojnisia, obracając się na wszystkie strony. – Tato mi kupił z okazji urodzin.

– Ślicznie wyglądasz. – Cmoknął ją w policzek. – Lecimy?

– Lecimy! – odparła, sprawdzając, czy pod rękawiczką ma zaręczynowy pierścionek, który kilka dni wcześniej dostała od ukochanego.

Nie lubiła rozstawać się ze złotym drobiazgiem, choć wiedziała, że zabieranie go ze sobą tego popołudnia jest dość ryzykowne. Wybierali się bowiem na aleję Róż. Wprawdzie rodzice krzywo patrzyli na to, co młodzież wyczynia w centrum dzielnicy, lecz ona była już dorosła. Nie mogli jej zabraniać wyrażania poglądów. Zresztą cóż takiego mogło się wydarzyć? Nastawa wyczekiwana demokracja – przecież nikt nie będzie do nich strzelał.

Na miejsce dotarli dość późno, więc trafili na moment, gdy nastroje osiągały temperaturę bliską wrzeniu. Ludzie wykrzykiwali różne hasła. Wszedł do nich jakiś mądrała, przedstawił się jako poseł i zaczął zapewniać, że poruszy ten temat w rozmowach z premierem Mazowieckim. A potem odszedł, zostawiając niezadowolonych buntowników.

Oni nie chcieli obietnic, lecz czynów!

– Gliniarze! – krzyknął chłopak stojący obok Tadka i Karoliny.

– Ludzie! Przysłali tutaj milicję!

– Nie do wiary! W demokratycznym państwie? – zdziwiła się dziewczyna, spoglądając dookoła. – Przywidziało ci się chyba!

A jednak nieznajomy dobrze widział. U wylotu alei Róż stały milicyjne wozy bojowe. Z armatkami wodnymi wycelowanymi w ludzi. Na demonstrantów już napierali mundurowi, usiłując zmusić młodzież do opuszczenia placu. Mocny strumień wody zahaczył o Karolinę i Tadka. Przestraszona dziewczyna zaczęła

piszczeć.

– A! Jaka zimna!

– Na ciepłą kąpiel raczej nie ma co liczyć – zauważył Tadeusz.

Złapał ją za rękę i razem rzucili się do ucieczki, co wcale nie było takie proste, gdyż zewsząd napierali ludzie.

– Moja nowa kurtka – jęczała uszkodzona. – Cała mokra! I jakoś dziwnie pachnie. Czym oni leją?

– Nie czas na uzalanie się nad kurtką – zauważył przestraszony Szymczak, gdy nagle usłyszał tuż obok huk petardy. – Trzeba wiać, bo tutaj robi się gorąco.

Przez chwilę usiłowali wydostać się z tłumu. Nagle Tadek dostrzegł kątem oka lecący w ich stronę przedmiot. Instynktownie zasłonił narzeczoną. Na nic więcej nie było czasu. Rozległ się ogłuszający huk z jednoczesnym rozbłyskiem. A potem wszystko zgasło i umilkło.



Było dobrze po dwudziestej drugiej. Leszek wrócił już z pracy. Przyniósł z miasta wieści, które i Kazia zdążyła wcześniej usłyszeć.

– Niespokojnie dzisiaj na alei Róż – oznajmił.

– Tak. Wiem, że małolaty tłuką się z milicją – odparła żona. – Masz tę swoją demokrację – dodała zgryźliwie. – Każda władza ma takie same metody działania.

– Gadasz głupoty! – fuknął mąż. – Nie wierzę, by ktokolwiek miał strzelać do dzieciaków. A gdzie Tadek?

– Poleciał na randkę z Karolinką.

– Ach, to dobrze. Byle nie do Baru pod Kuternogą.

Zmartwił się, czy czasami chłopak nie poszedł na zamieszki. Bo choć on także uważał, że pomnik należy usunąć, bał się o najmłodszego syna i wolałby, aby Tadek nie podejmował

ryzykownych kroków. Wszak na własnej skórze przekonał się, czym jest uczestnictwo w demonstracji.

Włączył telewizor, by sprawdzić, czy nie będzie jakichś ciekawych wiadomości. Zjadł późną kolację. Właściwie mógłby położyć się spać, lecz odczuwał bliżej nieokreślone zdenerwowanie. Wewnętrzne podszepty nie pozwalały mu usiedzieć choć chwilę, więc krążył nerwowo, ignorując ćmienie w głowie, które znowu się nasiliło. Chodził od okna do okna, wyglądał na zewnątrz. Jego mieszkanie znajdowało się w głębi osiedla, miał więc tylko widok na wyludnione alejki.

Kazia także nie spała. Wędrowała z miejsca na miejsce, udzieliło jej się zdenerwowanie męża.

– Słuchaj... A może wyjdę na plac Centralny i popatrzę, czy nie ma gdzieś Tadka? – zagadnął Leszek, choć właściwie nie było powodów do niepokoju. Często zdarzało się, że syn i narzeczona zabalowali nieco dłużej i nikt nie robił z tego problemu.

– A jest to sens, byś gonił po nocy? – zapytała kobieta. – Młodzi są, potrzebują się zabawić – dodała bez przekonania.

Nagle ktoś załomotał do drzwi. Zważywszy na późną porę, wzbudziło to ich strach. Leszek rzucił się, by otworzyć.

– Władek? – wyraził zdziwienie Szymczak, widząc ojca Karoliny.

– Nie ma u was mojej córki? – zapytał przybysz. – Martwię się o nią. Już prawie północ, a na alei Róż doszło ponoć do paskudnych zamieszek.

## **Wcześniej**

Ogłuszona eksplozją Karolina złapała się za głowę. Przez chwilę nie słyszała wrzawy panującej naokoło, a obraz przed jej oczami falował. Potem jednak wróciła naturalna ostrość wzroku, a do

jej uszu dobiegały mocno stłumione krzyki i jęki bólu. Czuła się tak, jakby spowijały ją kłęby waty.

– Tadek? Gdzie jesteś? – krzyknęła wystraszona, gdyż nie dostrzegła obok siebie narzeczonego. Jeszcze przed momentem szła za nim, a on próbował utorować dla nich przejście. W ułamku sekundy rozdzielił ich napierający chaotycznie tłum ludzi, którzy uciekali przed zimnymi strumieniami chłoszczącymi ich z armatek wodnych. Rozejrzała się i w końcu dostrzegła Tadeusza klęczącego parę kroków dalej.

W chwili wybuchu petardy Szymczak osunął się na kolana, później odruchowo dotknął twarzy, gdyż ta zdawała się płonąć żywym ogniem. Ból był wręcz nieludzki. Mężczyzna poczuł lepkość i ciepło na dłoni. Miał wrażenie, że nagle zgasły wszystkie światła, pogrążając miasto w ciemności i głuchej ciszy. Z jego gardła dobył się rozpaczliwy krzyk przerażenia.

Karolina zaczęła przepychać się do narzeczonego.

– Tadek! Tadek! Rany boskie, co z tobą? – zapytała, szarpiąc go za rękę.

Nie słyszał nawet szmeru, lecz odgadł, że dłoń zaciskająca się na jego ramieniu należy do ukochanej. Instynktownie odwrócił się w stronę dziewczyny.

– Jesteś tutaj, Karola? Jesteś? – dopytywał gorączkowo. – Nic ci się nie stało?

– Wszystko w porządku – odparła, lecz on jakby tego nie słyszał. Wymachiwał na oślep rękami, jakby chciał ją odnaleźć, więc pochyliła się i złapała go za dłonie. – Jestem tutaj.

Czuł dotyk jej rąk, ale przed oczami miał jedynie ciemność. Dopiero teraz zaczynał słyszeć dziwnie stłumiony zgiew demonstrantów. Wyczuwał panujący wokół chaos, potracali go przeciskający się ludzie. Odczuwał upiorny ból i pieczenie, jak gdyby trafił wprost pomiędzy języki ognia, ale nie widział łuny pożaru i nie słyszał skwierczenia iskier. Czuł jedynie nieprzyjemny swąd, drażniący nozdrza.



– Pomóż mi, błagam – wyjącał. – Nic nie widzę! Jestem ślepy!  
Jego twarz spływała krwią. Karolina chciała mu jakoś pomóc,  
lecz nie wiedziała, co robić. Nigdy w życiu nie czuła się równie  
bezzadna. W końcu oprzytomniała na tyle, aby krzyknąć:  
– Ratunku! Tutaj jest ranny! Niech nam ktoś pomoże!



Jeszcze dobrze nie wybrzmiały słowa Władysława, gdy na  
klatce rozległy się czyjeś pospieszne kroki. Mężczyźni obrócili  
się ku schodom.

– Karolina? – wykrzyknęli obydwaj jednocześnie. Jeden z ulgą,  
drugi z wyraźnym przestraczeniem.

– Na litość boską, dziewczyno! Jakże ty wyglądasz? – fuknął  
na nią ojciec, obrzucając spojrzeniem jej potargane włosy  
i nową kurtkę, którą uszargała jakaś brunatna maź. Córka nie  
zwróciła jednak na niego uwagi, spojrzała na przyszłego teścia,  
który pobladł i zapytał:

– A gdzie jest Tadek?

– Panie Leszku – załkała – nieszczęście!

– Co się stało? No, mów, dziewczyno – ponaglił ją, widząc, że  
nie jest w stanie wydobyć głosu.

Nagle puściła tama, która do tej pory trzymała na uwięzi  
emocje młodej kobiety.

– Wracam z Żeromskiego... Dostał petardą... ranny... – dało  
się słyszeć wśród płaczu.

Leszek złapał ją za ramiona i lekko potrząsnął.

– Co z moim synem? – ponowił pytanie.

Dał jej chwilę na ochłonięcie. W tym czasie w przedpokoju  
pojawiła się zwabiona hałasem Kazia. Obrzuciła szybkim  
spojrzeniem stojących ludzi.

– Gdzie jest Tadzik? – zapytała piskliwie z dzikim błyskiem

w oku.

Karolina zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Jest w Żeromskim. Pogotowie go zabrało. Obok nas wybuchła petarda. Tadek ma poranioną twarz i... o Boże! Chyba coś mu się stało z oczami!

Leszek poczuł nieprzyjemne pulsowanie w skroniach, które szybko zaczęło narastać do nieprawdopodobnego bólu. Zdążył tylko złapać się za głowę i jęknąć żałośnie, a następnie bez czucia padł na zimną posadzkę.



Julia z lubością wciągnęła nosem aksamitny aromat świeżo zaparzonej kawy. Liczyła na spokojny dzień w biurze. Nocą wydzwaniała kilkakrotnie do Karola, by zapytać o swoje wnuki. Siłą rzeczy wiedziała o zamieszkach, do jakich doszło w alei Róż. Słyszała o próbie podpalenia pomnika Lenina obrzuconego butelkami z benzyną. Widziała z okien wozy milicyjne z armatkami wodnymi i milicjantów rozpędzających młodzież. Domyślała się, że gdzieś w tym tłumie są chłopcy i Wiolka. Drżała z niepokoju o ich bezpieczeństwo. Na szczęście okazało się, że cała trójka wróciła szczęśliwie do domu.

Zamknęła oczy i z błogą miną pociągnęła łyk z filiżanki.

*Ach, jak mi dobrze. Jaka ulga, gdy wiem, że wszyscy są bezpieczni* – pomyślała.

Mimo wczorajszych zamieszek była spokojna. Wierzyła, że to już ostatnie takie drastyczne wydarzenia w Nowej Hucie. To, co zaszło poprzedniego dnia, było jeszcze echem władzy, jaką przez blisko pół wieku sprawowali komuniści. Społeczeństwo i rządzący muszą po prostu nauczyć się zasad demokracji. Czas przemian będzie zapewne trudny, ale czyż wolność nie jest tego warta?

Od kilku miesięcy w domach Szymczaków i Pawłowskich często rozmawiało się o tym, że trzeba będzie trzymać rękę na pulsie, by w razie czego odzyskać zagrabione po wojnie majątki. Jeśli nie dla siebie, to dla następnych pokoleń. Julka już snuła plany na przyszłość. Wawrzek nadal miał niezłe zarobki, a do emerytury zostały mu zaledwie dwa lata. W tym czasie powinni odzyskać utracone dziedzictwo. Brat i siostra Wawrzyńca uznali zgodnie, że nie chcą zaprzętać sobie głów tym tematem. Nie interesował ich ani powrót do Pawlic, ani tym bardziej ładowanie olbrzymich pieniędzy w naprawę podupadłych zabudowań. Miał pisemne oświadczenia rodzeństwa potwierdzone u notariusza, że zrzekają się na jego rzecz ewentualnych roszczeń majątkowych. Może ona i Wawrzek zdołają choć trochę odrestaurować dwór? Cudownie byłoby zamieszkać tam na stare lata. Wnuki miałyby dokąd jeździć na wakacje...

Z zadumy wyrwało ją natarczywe dzwonięcie. Odłożyła szklankę w metalowym koszyczku i wyciągnęła rękę w stronę aparatu telefonicznego.

– Halo? – zapytała pogodnym tonem. – Pawłowska z tej strony.

Wysłuchiwała wiadomości, zadała kilka pytań. Drżącą dłonią odłożyła słuchawkę. A potem poczuła, jak ciemnieje jej w oczach.

– Dobry Boże! Czy ty nie masz dla nas litości? – jęknęła.

Do szpitala pojechała razem z mężem. Obydwoje zwolnili się z pracy na resztę dnia. Ze ściśniętymi przygnębieniem sercami pochylili się nad łóżkiem, w którym spoczywał Leszek. Doktor nie pozostawił im złudzeń: wylew był rozległy i bardzo obfity, należy przygotować się na najgorsze, gdyż stan chorego jest krytyczny.

– Lesiu, Lesiu – zapłakała Julia, widząc jego nieruchomą twarz.

Usiadła na taborecie i ujęła spracowaną dłoń brata.

Pogładziła szorstką skórę. Rozmyślała o jego życiu. O wspólnym dzieciństwie na wsi, a później o latach spędzonych w mieście.

– Już raz uszedłeś z rąk kostuchy. Walcz – poprosiła. – Jesteś bardzo potrzebny Kazi i Tadekowi. I nam, bo cię kochamy.

Jeszcze nie była u bratanka. Najpierw pospieszyła do Leszka – jakby przeczuwała, że to może być pożegnanie, na które nie wolno jej się spóźnić. Wiedziała, że Tadeusz został poparzony wybuchającą petardą. Stracił jedno oko, nie wiadomo, czy będzie widział na drugie. Na razie leżał otumaniony morfiną, a lekarze robili, co mogli, by choć trochę ulżyć jego cierpieniu. Na wieść o tym ojciec chłopaka dostał udaru.



Pół godziny po przyjeździe siostry do szpitala Leszek Szymczak wyruszył na spacer ku wieczności.



– Połowy nas już nie ma, Broniś – załkała Julia, stojąc u boku Bronka na cmentarzu w Grębałowie. Ten pogłaskał ją po ramieniu i mocno przytulił. Przed paroma minutami złożyli w grobie brata.

– Leszek i tak oszukał kostuchę. Pomyśl o tym, że umknął przeznaczeniu i zyskał dodatkowe dwadzieścia lat. Widział, jak dorastają jego synowie, spłodził jeszcze jednego, doczekał się wnuków od Kacpra. Los nie szczędził mu trosk, ale też przyniósł wiele szczęśliwych momentów.

– Biedna Kazia. Co ona teraz zrobi? Z dnia na dzień straciła męża, a syn został kaleką. Co za straszny cios!

Podeszli do bratowej, którą otaczała gromadka żałobników składających kondolencje. Zafrasowany Kacper trzymał ją pod

ramię. Widać było, że kobieta słała się na nogach z bólu i rozpacz. Obok nich stał także Melchior – przygnębiony stosownie do okoliczności. To kolejny pogrzeb, na który dostał warunkową przepustkę z zakładu karnego. Zbolała matka nawet nie chciała na niego popatrzeć, gdy podszedł, by się przywitać. Sprawił jej już zbyt wiele bólu. Na pogrzebie nie pojawił się Darek, powsinoga. Nikt nie wiedział, gdzie można by go szukać. Wprawdzie krewni przepytali wszystkich wspólnych znajomych, ale przepadł łobuz bez wieści. Przy okazji wyszło na jaw, że kłamczuch już dawno został wyrzucony z pracy za liczne nieobecności. Tadek także nie mógł pożegnać ojca, gdyż przebywał w szpitalu i nie zanosilo się na jego rychły powrót do domu. Miał na twarzy oraz głowie poparzenia drugiego i trzeciego stopnia. Dotkliwie cierpiał. Na domiar złego rokowania co do uszkodzonego oka były raczej niepomyślne.



Tymczasem w centrum dzielnicy znowu doszło do starć pomiędzy demonstrantami. Dwa dni wcześniej do Krakowa przyjechał minister Aleksander Hall, który próbował przemówić młodzieży do rozsądku. Prosił o niezadrażnianie napiętych stosunków z Moskwą, lecz jego apel pozostał bez echa. W kierunku pomnika znów poleciały słoiki oraz butelki z farbą. Potem wybuchły zamieszki, które dotarły przed komendę Milicji Obywatelskiej na osiedlu Zgody. Choć protestujących rozpędzono, aktywiści z Federacji Młodzieży Walczącej zapowiedzieli, że to jeszcze nie koniec, i już zaplanowali kolejną demonstrację na trzynasty dzień grudnia. Ta data – jakże symboliczna dla Polaków – wzbudziła respekt władz miasta.

By nie doszło do eskalacji zdarzeń, w niedzielę późnym wieczorem został zdemontowany kolos, który przez szesnaście

lat spoglądał na ludzi przechadzających się aleją Róż. Pierwotnie planowano oddanie pomnika do renowacji, lecz ostatecznie został przewieziony na teren fortu we Wróblowicach.

Spacer Włodzimierza Lenina nowohucką aleją Róż dobiegł końca.

1990

## Rozdział 10



### *Ostatni gasi światło*

Początek roku przyniósł ludziom kolejne zmiany. Z pierwszym dniem stycznia wszedł w życie pakiet ustaw przygotowanych przez nowego wicepremiera Leszka Balcerowicza. Ich celem było wyhamowanie szalejącej inflacji, a także dostosowanie gospodarki nakazowo-rozdzielczej do warunków wolnego rynku.

Dla wielu Polaków, którzy już wcześniej liczyli każdą ciężko zarobioną złotówkę, wprowadzenie reform oznaczało drastyczne zaciskanie pasa. Nierentowne zakłady zaczęły zmieniać politykę zatrudnienia i w rozmowach prowadzonych przez szarych obywateli pojawiło się nowe, do tej pory niemalże nieużywane słowo: bezrobocie.

Pojawiły się także inne nowości. Gdzie popadło zakładano bazy będące podwaliną handlu wolnorynkowego. Drobni sprzedawcy upatrywali sobie skwery i place. Rozkładali łóżka polowe lub stoliki turystyczne, na których wystawiali oferowany przez siebie towar. W starych walizkach można było znaleźć dziesiątki kaset VHS z kiepskiej jakości nagraniami filmowymi, przeznaczonych na wymianę. Z przenośnych dwukasetowych

magnetofonów rozlegała się rubaszna lub rzewna muzyka chodnikowa, wypierająca powoli modne do niedawna italo-disco. To znowuż można było słyszeć skoczne dźwięki *Lambady*, w rytm której podrygiwały dziewczęta ubrane w skąpe, kolorowe bluzeczki i rozkloszowane spódnice.

– *Bliska moim myślom / Pragnę ci powiedzieć / Że doprawdy wszystko mam / Wszystko oprócz ciebie*<sup>[23]</sup>... – Paweł Szymczak nucił pod nosem największy szlagier zespołu Top One, układając pudełka z kasetami magnetofonowymi na rozkładanym stoliku. Obok miał jeszcze jeden, na którym oferował sprzęt do odtwarzania muzyki: niezwykle modne walkmany i absolutny hit sprowadzany wprost z Berlina Zachodniego – radiomagnetofon dwukasetowy International, zwany popularnie jamnikiem. Ten sprzęt ratował mu życie! Zarobek był na nim wyśmienity, mógł tego sprzedać każdą ilość. Jamniki były bowiem bezkonkurencyjne cenowo w stosunku do podobnych urządzeń oferowanych w Baltonie lub Peweksie. Ostatnio Paweł wciąż rozmyślał o zakupie samochodu dostawczego i osobistym przywożeniu towaru z zagranicy. Wyszedłby na tym zdecydowanie lepiej niż na braniu magnetofonów od pośredników. Dodatkowym plusem byłaby łatwiejsza do upilnowania sprzedaż. Kasety magnetofonowe nagminnie mu kradziono. Wystarczyło, że tylko na moment spuścił z oka któreś pudełko, a zaraz znalazł się amator darmochoy. Czasami podstawieni klienci celowo odwracali jego uwagę, a w tym czasie ktoś inny okradał mu stoisko.

*Tak dalej nie będzie!* – myślał z wściekłością. *Potrzebny mi ktoś zaufany do pilnowania interesu.*

Tylko komu mógłby powierzyć towar? Przez moment myślał o Tadku Szymczaku, ale ten gamoń polazł jak idiota pomiędzy demonstrujących smarkaczy i dostał w ryja petardą, nim kuzyn zdążył złożyć mu propozycję. I o co tyle zamieszania? O jakiś



zakichany pomnik? Czy to było warte poparzenia gęby?

*Nic, nic... Może wezmę tę ofertę, gdy go wyleczą. Nie będzie przecież zdychał w nieskończoność. Jak już się wylize, przekonam go, że w kombinacie dorobi się jedynie garbu, a u mnie będzie miał pracę czystą, lekką, łatwą i przyjemną. Na dodatek jeszcze na świeżym powietrzu, więc zdrowiej niż przy wielkich piecach.*

Brał pod uwagę także Karola, ale gdzie tam doktorzyna czy jakiś inny docent stanie z towarem na placu? Ujma na honorze dla kształconego pana pokalać się uczciwym handlem.

Pozostali mu jeszcze na podorędziu Marek i Adrian, choć ci mu się widzieli za smarkaci. Jeszcze by ich kto oszukał! I pewnie dawaliby się naciągać przez atrakcyjne panny, aby obniżyć cenę albo do kupna magnetofonu dorzucić kasetę za darmo. Co to, to nie!



– A gdyby tak jeszcze raz pogadać z Ludkiem? – zastanawiał się po powrocie do domu. – Przecież zazdrość musi go skręcać, że tak dobrze nam się wiedzie. Dałbym mu dobrze zarobić, byle mnie nie okradał.

– To spróbuj, na co czekasz? – odparła żona, stawiając przed nim talerz z kotлетem schabowym. – Ja ci nie pomogę, wiesz że mam huk zajęcia w szwalni. Muszę pilnować, żeby te tłumoki nie naszyły dziadostwa, bo nie sprzedam.

Andzia to dopiero wyrosła na businesswoman! Ho, ho! Pęczniał z dumy na samą myśl o jej przedsiębiorczości. Zawsze była na bieżąco z modą, pomagała mu przecież przed laty prowadzić butik na bieńczyckim placyku. Jak nastąpiła *Lambada*, zaradna małżonka szybko podłapała, że szycie kolorowych spódniczek z taniej bawełny może przynieść niezły

profit. Sama wprawdzie nie potrafiła przyszyć nawet guzika, ale od czego są inni? Kupiła dwie maszyny, kilka bel materiału i jakieś dodatki. Zatrudniła na czarno uczennice z odzieżówki i zleciła im robotę. Panny szyły po lekcjach: zwykle popołudniami i wieczorami. Za dnia Andzia sprzedawała fatałaszkę. Początkowo robiła to „z ręki” na bazarze, potem sprawiła sobie łóżko polowe. Ostatecznie uznała, że najlepszy byłby jakiś sklepik. No i właśnie ugadywała się na wynajem skrawka powierzchni w domu towarowym Wanda. A co!

Z tego wszystkiego ciągle brakowało jej czasu na zajmowanie się domem, więc często przynosiła rodzinie obiady z restauracji. A córki doglądała babcia, bo bardziej się kalkulowało, żeby siedziała w domu na rencie, niż tyrała za marne grosze w barze mlecznym. Nie chcieli puszczać dziesięciolatki samopas. Pызata jedynaczka była ich oczkiem w głowie i Andzia bardzo się nad nią trzęsła. Wolała więc dać parę złotych teściowej, by ta miała baczenie na jej kruszynkę w drodze do i ze szkoły, odrabiała wraz z nią lekcje i pilnowała, aby jakieś wstrętne bachory z podwórka nie zabierały dziecince zabawek.

Ostatnio Szymczakowie uradzili, że dla ochrony swoich biznesów i majątku powinni wziąć rozwód i pozostać jedynie na ślubie kościelnym. Zawsze to mniejsze ryzyko. Podzieliliby oficjalnie posiadane dobra pomiędzy siebie. Bo gdyby jedno plajtowało, to nie tracą wszystkiego. Zaczęli nawet czynić stosowne kroki w tym kierunku.



Rany na twarzy Tadka goiły się nieznośnie długo.

Niemal każdego poranka młody mężczyzna budził się z koszmarnych snów do życia w bolesnej rzeczywistości. Leżał jak warzywo całymi godzinami. Gdyby nie krzątanina wokół

niego, szmer rozmów i hałasy dobiegające z innych łóżek, nie odróżniałby dnia od nocy, gdyż na oczach miał opatrunki. Lekarze i pielęgniarki surowo zabronili mu macania po nich dłonią, by nie podrażniał newralgicznych miejsc. Mimo otumanienia morfiną, którą regularnie wstrzykiwano w jego udręczone ciało, wciąż odczuwał dotkliwy ból. Nie był w stanie nawet mówić, gdyż skutecznie utrudniały to regularnie zmieniane bandaże. Owijano mu twarz tak dokładnie, że musiał wyglądać jak egipska mumia. Prześwitem w okolicach nosa wypuszczano jedynie sondę, która służyła do karmienia pacjenta. Nawet usta miał zasłonięte. Leżał nieruchomo, wsłuchując się w szpitalne odgłosy. Przyzwyczyił się już do cuchnącego lizolu, który dawniej przyprawiał go o mdłości.

Czasami przychodziły pielęgniarki, by zmienić opatrunki. To było straszne, choć zawsze otrzymywał z tej okazji zwiększoną dawkę morfiny. Niby był nią otumaniony i ból zdawał się nieporównywalnie mniejszy, lecz jego podświadomość wyła.

– Nie będzie bolało – słyszał obietnicę złożoną słodkim głosem.  
– Namoczę teraz bandaż solą fizjologiczną, dzięki temu ładnie odejdzie od skóry. Zdejmę go bardzo delikatnie, proszę się nie niecierpliwić. Doktor nie pozwala otwierać oczu, więc niech pan nawet nie próbuje tego robić. Mógłby pan oślepnąć od światła – kłamała pielęgniarka z wdziękiem, gdyż tak naprawdę została mu tylko jedna gałka oczna. – Nie ruszamy też ustami – napomniała Szymczaka. – Basiu, przysuń mi bliżej puszkę – zwróciła się do jednej z towarzyszących jej koleżanek.

Sterylną pęsetą kawałek po kawałeczku usuwała kolejne gaziki.

– Dobra, ja już skończyłam. Ładnie się pan goi – powiedziała do pacjenta. – Teraz oddam pana w ręce mojej koleżanki. Beatka nałoży panu świeże opatrunki i bandaże. No i jak? Nie bolało aż tak bardzo, prawda? – zagadnęła, chociaż jemu nie wolno było mówić.

Mężczyzna na oślep uniósł dłoń w jej kierunku.

– Proszę się nie ruszać – skarciła go łagodnie, choć on tylko chciał uścisnąć jej dłoń. – No już dobrze, dobrze. Dzielny chłopak.

Dziewczyna, która ją zmieniała, była mniej gadatliwa. Przede wszystkim zwracała się do koleżanek.

– Balsam peruwiański – powiedziała, a on prócz jej głosu usłyszał odgłos ciapciania jakiegoś mazidla. Poczował przyjemnie chłodny dotyk na twarzy.

Leżący na sąsiednim łóżku starszy człowiek, który już niejedno widział w życiu, ze współczuciem zerkał na zabieg. Podziwiał zręczne dłonie pielęgniarek uwijających się przy pacjencie. Jaki hart ducha musiały mieć te młodziutki dziewczyny, że nie uciekały w popłochu na widok tych przerażających poparzeń!

Pielęgniarka z czerwonym paskiem na czepku sprawnie nasączała kolejne gaziki i układała je na twarzy Tadeusza.

– Jutro można byłoby zmienić maść na Dermazin. Za godzinkę przyjdiesz tutaj, Aniu, żeby pana odwrócić na bok – wydała polecenie młodszej dziewczynie. Ta nosiła czeppek z trzema pionowymi paskami. Mężczyzna był już na tyle długo w szpitalu, by orientować się, że to uczennica na praktykach zawodowych. – Trzeba będzie oklepać plecy. Wiesz jak?

– Oczywiście. Dłonią złożoną w łódeczkę.

– Bardzo dobrze. I posmarujesz panu plecy spirytusem. Za trzy godziny to samo, lecz zamiast spirytusu będzie talk. Nie potrzebujemy, żeby pacjent nabawił nam się odleżyn albo zapalenia płuc.

Zabieg dobiegł końca. Do Szymczaka ostatnie słowa pielęgniarki dobiegły jakby ciszej, ale to dlatego, że słyszał je przez warstwę bandażu.

– Zuch chłopak! – pochwaliła go na odchodnym kobieta, która zdejmowała zużyte opatrunki. – Proszę wypoczywać.

Spokojnego wieczoru.

Znowu został sam ze swoimi ponurymi myślami i koszmarami, które prześladowały go w snach.



Szczęściem były chwile, gdy Tadeusza odwiedzał ktoś bliski. Szybko zaczął rozróżniać poszczególne głosy, choć na początku czuł się skołowany, gdy mówiło do niego kilka osób naraz. Chciał zapytać kogoś z nich o ojca, gdyż krewni powiedzieli mu, że miał wylew i nie może przyjść w odwiedzin. Drżał ze strachu o niego, lecz jak na złość nikt nic nie mówił. Wyczekiwał więc na moment, w którym pośród gwaru usłyszy jego głos. Mijały jednak tygodnie dłużące się w nieskończoność, a tato nadal nie przychodził.

*Czy jego stan jest aż tak ciężki?* – zamartwiał się nieustannie.

Drugim powodem strapienia była Karolina. Zaglądała do niego raz na kilka dni – tak przynajmniej wydawało mu się na podstawie szmeru dolatujących rozmów. Siadała na stołku obok, brała Tadeusza za rękę. Czuł, jak dotyka wargami jego skóry. Czasami chyba płakała. Próbowwała mu czytać, kiedy indziej plotła jakieś androny. Jej obecność sprawiała mu ból i jednocześnie go koła.

Szymczak drżał na myśl, że pewnego dnia ukochana odejdzie, ponieważ nie będzie chciała oszpeconego mężczyzny. Żadne z nich nie miało pojęcia o tym, że blizny, które pozostaną na jego twarzy, są znacznie mniejszym problemem niż groźba całkowitej utraty wzroku. Wprawdzie Karolina czegoś tam zaczynała się domyślać – wszak bardzo długo nosił opatrunki na oczach, ale na razie nie poruszała tego tematu. Oficjalną informację lekarz przekazał tylko jego matce, by nie stresować pacjenta. Kazia w chwili bólu zwierzyła się z tego Julce. Tak

więc o największej niedoli chłopaka wiedzieli na razie tylko nieliczni.

Jego twarz, głowa i szyja powoli zaczynały się goić. Dostawał znacznie mniejsze dawki morfiny, więc nie był tak otumaniony jak na początku. Już nie zawijano mu szczelnie całej głowy, pozostawiając opatrunek wyłącznie na oczach. Nareszcie mógł jadać normalne posiłki. Wprawdzie w porównaniu z domowymi pozbawione były smaku, ale przynajmniej nie była to papka pompowana przez rurkę sondy. Karmiono go łyżeczką, jak niemowlaka. Na razie nie był w stanie otworzyć ust zbyt szeroko, lecz to i tak był znaczący postęp. Nadal odczuwał ból, ale teraz nieco innego rodzaju. Nieprzyjemnie ciągnęła go skóra. Wolno mu było ostrożnie siadać na łóżku, czasami nawet przechodził parę kroków, podtrzymywany przez czyjeś silne ramię. Pielęgniarka oddziałowa już nie martwiła się o odleżyny i możliwe zapalenie płuc.

W końcu zaczął mówić. Niewiele, ponieważ i to sprawiało mu trudność. Przede wszystkim wypytywał o ojca.

– Nadal źle się czuje – odpowiadała matka, która przychodziła do niego codziennie.

– Jeszcze trochę cierpliwości, Tadziu. To był rozległy wylew. – Ciocia Julia ścisnęła jego dłoń. – Wszystko będzie dobrze. Teraz najważniejsze jest, abyś jak najszybciej wyzdrowiał.

Zaglądała do niego także Karolina. Był wdzięczny losowi za to, że nie musiał widzieć pierwszej reakcji narzeczonej na swój odmieniony wygląd.

Czy się wystraszyła?

Czy uciekła bez słowa w popłochu?

Wodził opuszkami po bliznach. Musiał prezentować się upiornie, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Te wszystkie zrosty, zgrubienia! Nawet w dotyku było to nieprzyjemne!

– Wyglądam strasznie, prawda? – pytał czasami.

– To się jeszcze zasklepi, Tadziu. Dla mnie wygląd nie ma znaczenia – zapewniała drżącym z emocji głosem.



Nareszcie nadszedł upragniony dzień, gdy zapowiedziano Tadekowi ostateczne zdjęcie opatrunków z oczu. Do tej pory były tylko bardzo ostrożnie zmieniane. Dzień wcześniej lekarz rozmawiał z nim na ten temat i bez ogródek oznajmił młodemu mężczyźnie, że jedno oko stracił, a na drugie może teraz widzieć znacznie gorzej. Szymczak bardzo denerwował się z tego powodu, więc pielęgniarka podała mu łagodny środek uspokajający.

– Można podnieść powieki – oznajmił lekarz, gdy zdjął opatrunki. – No, odważnie! Może pana lekko porazić światło, choć w pomieszczeniu panuje mrok, więc proszę się na początku nie wystraszyć i nie zdenerwować. Po kilku minutach oko przyzwyczai się i będzie lepiej.

Tadeusz skupił się na wykonaniu polecenia. Podniósł powieki. Nieprzyjemnie poraził go blask. Odczuwał ból. Miał mocno ograniczone pole widzenia, jakby otaczający go świat został drastycznie zwężony.

– No i jak? – zapytał doktor.

– Nie... Nie wiem. Widzę jasność, ale nic poza tym. Tylko jaśniejącą przede mną plamę. I trochę z boku, z prawej strony.

– To zrozumiałe. Zostało panu prawe oko. Na pewno będzie pan teraz widział zupełnie inaczej. W węższym zakresie.

– Ale ja nie widzę nic, poza jasną plamą – odparł zaniepokojony mężczyzna.

– Spokojnie. Będzie lepiej. Proszę się nie martwić.

Doktor poklepał go po ramieniu. Dał jakieś wytyczne pielęgniarce, na korytarzu zamienił kilka słów z Kazimierą.

Potem odszedł do swojego gabinetu.

Nazajutrz nie było ani trochę lepiej. Tadek podejmował rozpaczliwe próby wyostżenia wzroku, lecz nie rozróżniał absolutnie żadnych kształtów. Przez sobą miał tylko jasne i ciemne plamy. Nadal mógł polegać wyłącznie na słuchu. Leżał więc i nasłuchiwał kroków oraz głosu Karoliny, lecz ona nie przyszła. Zjawiała się matka, dziwnie milcząca i przygnębiona.

– Mamo. – Po omacku złapał ją za rękę. – Mamo, czy tato leży w tym szpitalu? Możesz mnie do niego zaprowadzić? Lekarz pozwolił mi chodzić dalej niż tylko po tej sali. Będę ostrożny – zapewnił. – Tylko poprowadź mnie, żebym nie wpadł na kogoś albo nie zleciał ze schodów.

Odpowiedziało mu pociąganie nosem.

– Mamo? Co się stało? Mamo?

– Tadzik, syneczku... On nie żyje – wyszlochała kobieta.



Po odejściu matki leżał w łóżku na wznak. Przed jego prawym okiem majaczyła jasna płaszczyzna sufitu. A przynajmniej odgadywał, że to może być sufit. Cóż innego mógłby mieć nad głową?

Ma chropowatą czy gładką strukturę? Jest popękany i brudny, jak wszystko na tym świecie? Czy oblepiają go zakurzone pajęczyny? Czy łuszczy się farba, pozostawiając plamy? Czy został upstrzony przez muchy? Czy w jego rogach zakwitają szare wyłogi pleśni?

Usiłował skupić myśli na jakiejś błahostce, lecz już po chwili wracało jedyne pytanie, na które naprawdę chciał znać odpowiedź: *Boże... Dlaczego zabrałeś ojca akurat teraz?*

Pacjent leżący na łóżku obok niego próbował coś zagadywać. Tadeusz wiedział, że to sympatyczny starszy pan. Najpierw



odgadł to po głosie, później usłyszał od niego kilka barwnych opowieści z czasów wojny. Mężczyzna starał się umilać towarzyszom niedoli czas spędzony na oddziale. Tym razem Szymczak zignorował jego delikatne zaczepki. W końcu staruszek się poddał.



Paweł wsiadł za kierownicę volkswagena golfa. To był jego nowy nabytek. Ulubione cacuszko, które zawdzięczał swej przedsiębiorczości. Nie ciężkiej pracy, bo ta jest dla niewolników. *Ten, kto dużo pracuje, nie ma czasu na zarabianie pieniędzy* – pomyślał z satysfakcją.

Włączył się do ruchu i skierował w stronę Wzgórz Krzesławickich. Miał nadzieję, że zastanie Ludwika w mieszkaniu, na gwałt potrzebował się z nim rozmówić.

Szczęście mu sprzyjało.

– Chodźże, Ludek, coś ci pokażę – powiedział.

Wyszli z kuzynem przed klatkę schodową. Paweł odblokował alarm w samochodzie.

– Ożeż kurczę blade! – Kuzyn zagwizdał z podziwem. – Kupiłeś?

Szczęśliwy posiadacz przytaknął i zapytał:

– Ile lat musisz przerobić w kombinacie, żeby sobie takiego sprawić?

– Pewnie sporo... – Ludwik poczochnął się po głowie.

– A u mnie zarobiłbyś na takiego w dwa, no może trzy lata – stwierdził biznesmen.

Ludwik spojrzał na niego z powątpiewaniem. Nie miał przekonania, czy interesy prowadzone przez kuzyna nie przysporzą mu kiedyś kłopotów. Paweł był chciwy jak mały kto. Ani grosza nikomu nie popuszczał. Nie było, że rodzina. Od

swoich brał tyle samo, co od obcych, może nawet więcej. Już mu się obilo o uszy, jak dusigrosz sprzedał używany odtwarzacz VHS Adrianowi!

Chłopak uciułał trochę pieniędzy na różnych pracach dorywczych i napalił się na odkupienie sprzętu od wujka, który nabył od znajomka magnetowid, czyli sprzęt o wiele praktyczniejszy i nowocześniejszy, ponieważ dający możliwość nagrywania filmów na kasetach. No i policzył, cholerny liczykrupa, smarkaczowi za starego grata jak za woły. A potem jeszcze na bezczelnego zażądał dopłaty, bo powiedziało, że jak się ugadywali na transakcję, to ceny były znacznie niższe, ale inflacja zrobiła swoje. W gruncie rzeczy jak już zakończyli interes, to Ludkowi wyszło, że Adek mógłby sobie sprawić za te pieniądze porządny magnetowid. Nowy!

To zraziło go do kuzyna, gdyż nie uznawał zerowania na rodzinie. Zresztą Andzia nie była lepsza od ślubnego i „lambadówki” szyte przez swoje robotnice też sprzedawała wśród krewnych męża tak, jakby handlowała z obcymi. A przecież mogłaby opuścić choć parę złotych, nie zbiedniałaby z tego powodu.

No i jeszcze ta śmierdząca sprawa z ich małżeństwem! Kto to widział, by brać rozwód dla mamony? Twierdzili, że to dla bezpieczeństwa finansowego nie tyle ich, co córki, ale on tam swoje wiedział. Jak się kocha kobietę, to na dobre i złe, w szczęściu oraz niedoli, w zdrowiu i chorobie, a nie tak, jak podpowiadają biznesy. Ludwik nie chciał być kasandrą, ale nie dowierzał Andzi, bo ta nie dość, że zezowata, to jeszcze jakoś źle jej z oczu patrzyło. Chytry babsztyl! Jak przyjdzie co do czego i Pawłowi powinie się noga, to franca puści go boso.

Domyślił się, że kuzyn przyjechał, by znowu judzić go wspólnymi interesami. Kiedyś jak się przyplątał, to zapytał Ludwika wprost, ile ma odłożone, bo potrzebuje współnika z gotówką. Oczywiście czasy były takie, że mało komu się

przelewało, a oszczędności były pojęciem abstrakcyjnym, więc Paweł nic nie wskórał.

Tym razem już nie chodziło o spółkę, gdyż czego jak czego, ale forsy biznesmenowi nie brakowało. Wciąż przechwalał się, że nadwyżki finansowe lokuje w Bezpiecznej Kasie Oszczędności Grobelnego na bardzo wysoki procent. Dzięki temu za kilka lat nie będzie musiał w ogóle pracować, ponieważ będzie żył wyłącznie z odsetek od mądrze ulokowanego kapitału. Nie potrzebował więc współnika, lecz kogoś zaufanego do odwalania roboty, bowiem nie zamierzał się z nikim dzielić zyskami fifty-fifty.

Zdaniem Ludwika po prostu szukał frajera, który bez względu na stan pogody będzie stał na bazarze i pilnował łóżka polowego ze sprzedawanym barachłem.

*Taa... Już lecę – zżymał się w duchu. Z jednej strony będą mi brzęczały Majteczki w kropeczki, z drugiej strony bąkane półgębkiem „spirytus, spirytus”. Na łeb będzie się lało albo sypało. W lecie słońce spali mi skórę. A ten francowaty dusigrosz gównu mi da zarobić.*

– Nie, Paweł – oświadczył stanowczym tonem. – Nie rzucę pewnej i dobrze płatnej roboty dla biznesu, który dzisiaj jest, a jutro może go nie być.



Następnego dnia znowu przyszła Kazimiera. Odwiedzała syna codziennie, rezygnując ze świadczenia usług fryzjerskich poza normalnymi godzinami pracy. I tak nie miała już na nie siły, zresztą czy pieniądze były teraz aż takie ważne? Przycupnęła na stołku i wzięła Tadeusza za rękę.

– Jak się czujesz, synku? – zapytała, siląc się na spokój, lecz on potrafił wyłapywać z jej głosu nienaturalny ton.

– Co się stało? Masz zmieniony głos. Jesteś zdenerwowana, prawda?

Poczuł, jak mama wciska mu coś do wolnej dłoni spoczywającej na pościeli, jednocześnie usłyszał pociągnięcie nosem. To był chłodny w dotyku, twardy drobiazg. Ostrożnie przesunął go palcami.

*To nie może być prawda – pomyślał. Przecież mówiła, że wygląd nie ma znaczenia.*

– Karolina... Karolina prosiła, by ci to zwrócić – powiedziała matka. – Bardzo mi przykro, Tadziu.

– Wiedziałem, że tak będzie – wyszeptał. – Idź do domu, mamó. Chcę zostać sam – zażądał stanowczo.

Ból rozsadał mu klatkę piersiową. Mężczyzna bał się, że jedno nieopatrnie wypowiedziane słowo doprowadzi go do rozpacz.

– Tadziu...

Serce jej pękało, gdy patrzyła na łzę wypływającą z ocalałego oka i toczącą się meandrami po zabliznionym policzku syna.

– Idź! Proszę!

– Zostanę z tobą, dziecko. Nie wyganiaj mnie. Nie jesteś sam. Masz mnie i całą rodzinę. Zawsze możesz na nas liczyć. Zawsze!

– Mamó! Błagam. Jutro porozmawiamy – dodał łagodniej. – A teraz zostaw mnie samego.

Usłyszał jej westchnienie. Poczuł ciepły oddech na skórze, gdy nachyliła się, by ucałować jego policzek.

– Kocham cię, synku. Nie zapominaj o tym – szepnęła mu na ucho, a potem odeszła.

Został sam z jasną plamą przed ocalałym okiem.

Po prawym policzku spływała mu kolejna łza. Chciał ją zetrzeć. Uniesiona lekko dłoń opadła jednak bezwładnie na łóżko. Nie miał siły nawet na nieznaczny ruch.



Dorota Olszańska w zamyśleniu miętoszyła list, który godzinę wcześniej przyniósł Mateusz – miejscowy listonosz. Z Nowej Huty ostatnio przychodziły same przygnębiające wiadomości. Najpierw śmierć Leszka, później informacja o kalectwie jego syna. Biedak niemalże całkowicie utracił wzrok, a jakby tego było mało, na zawsze zostaną mu potworne blizny na twarzy, głowie i szyi. Wybuch petardy nie tylko go osmalił, ale sprawił także, że szalik i czapka z włókien syntetycznych, które wówczas miał na sobie, uległy stopieniu i one także dotkliwie go poparzyły. Chłopak był załamany, a odejście narzeczonej wpędziło go w rozpacz i pozbawiło chęci do życia. Kazimiera drętwiała ze strachu na myśl o tym, że najmłodszy syn może popełnić samobójstwo. Prawie z nikim nie rozmawiał, niemalże nic nie jadł.

– Ach... Boże! Jakie to życie jest trudne. Tyle trosk i nieszczęść... Jak pomóc temu nieborakowi?

Nie mogła usiedzieć w izbie, więc włożyła wiosenny płaszcz. Zawiązała chustkę pod brodą i wsunęła stopy w gumki.

– Idę na spacer, Elżuniu – rzuciła w uchylone drzwi kuchni, po której kręciła się młoda gospodyni, podśpiewując radośnie pod nosem.

– Dobrze, ciociu. Uważajcie na siebie, byście się nie przeziębili. Dość mocno wieje – usłyszała w odpowiedzi.

Miała sercu była troska ulubienicy, lecz tego dnia zaaferowana Dorota na nic nie zwracała uwagi. Szła przed siebie, bez celu i bez pośpiechu, rozmyślając nad niedolą bratanka. Kazimiera nigdy nie wyrywała się do pisania listów, więc fakt, że powierzyła ciężar trosk szwagierce, był nowością.

*Może wstydy się rozmawiać z Julią lub Bogusią, choć one na pewno nie uczyniłyby jej żadnej przykrości. Swego czasu często*

się z nimi ścierała, pewnie teraz głupio jej z tego powodu – westchnęła Olszańska.

– Ten list to jak wołanie o pomoc – olśniło ją nagle. – Pewnie bidulka nie jest w stanie udźwignąć samotnie całego nieszczęścia.

Wędrowała, rozważając w myślach treść korespondencji. Nawet nie zauważyła, kiedy dotarła do dworu w Piotrowicach, który przez parę lat był jej domem. Teraz urzędował tam Kacper. Zapewne siedział w biurze i planował pracę na najbliższy czas. Zaczynały się właśnie wiosenne zasiewy.

To była dodatkowa zgrzyzota, gdyż PGR był deficytowy. Zapaść zaczęła się długo wcześniej, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Najpierw Ksawery robił, co mógł, by ratować sytuację, teraz męczył się Szymczak. Bez dotacji z budżetu państwa nie daliby sobie rady. I choć była to prawidłowość dotycząca absolutnie wszystkich spółdzielni, obydwaj nad tym głęboko ubolewali. Nie mogli jednak zarządzać inaczej niż według wytycznych z ministerstwa.

Kacper zajęty był dokumentami. Gdy usłyszał, że przyszła, od razu kazał prosić ją do gabinetu. Domyślał się, że chodzi o jakąś sprawę niecierpiącą zwłoki – ciotka nie zawracałaby mu głowy bez istotnego powodu. Nigdy też nie mówiła do niego nic w sekrecie przed Elżbietą, chyba że chodziło o jakąś niespodziankę, którą chciała z nim skonsultować. Tym razem nie był to jednak czas imienin czy urodzin żony.

– Coś się stało, ciociu? – zapytał z niepokojem.

– Twoja mama przysłała do mnie list.

– Do was? – wyraził zdziwienie, gdyż rzadko pisywała nawet do niego, a o korespondowaniu z Dorotą nigdy nie słyszał. Jeszcze jak mieszkał z rodzicami, nieraz słyszał narzekania mamy, gdy przyszło jej skreślić parę zdań do swych rodziców lub krewnych. Nie znosiła tego robić. Wolą opłacić rozmowę zamiejscową na poczcie lub grzecznościowo skorzystać

z telefonu sąsiadów. – Jakieś złe wieści? – zapytał z lękiem, lecz od razu zdał sobie sprawę, że w takim przypadku z Huty przyszedłby telegram.

– Nie. Myślę, że Kazia potrzebowała zrzucić z ramion przytłaczający ją ciężar. Los obarczył ją brzemieniem, którego nie jest w stanie udźwignąć.

Krótko streściła zawartość korespondencji. Kacper pokiwał głową. Sam też nad tym ubolewał.

– Nie mam pojęcia, jak im pomóc. Myślałem, czyby nie jechać choć na parę dni do Huty. Porozmawiałbym z Tadkiem, podtrzymałbym mamę na duchu.

– Niezły pomysł. Ale zastanawiałam się, czy nie lepiej byłoby, aby oni przyjechali tutaj na dłużej. Kilka tygodni, a nawet miesięcy. Dom jest duży, bez trudu się pomieścimy. Kazia mogłaby odetchnąć, a i on nabrałby może chęci do życia, gdyby zmienił otoczenie.

– To jest myśl! – ucieszył się Kacper. – Trzeba jeszcze dzisiaj napisać do mamy. Albo lepiej zadzwonię do cioci Julii i poproszę, aby przekazała jej naszą propozycję.

– A Elżunia? Powinniśmy to z nią uzgodnić. Teraz ona jest gospodynią.

– Tak, macie rację, ciociu. Jestem jednak pewien, że nie będzie miała nic przeciwko temu. Wszak chodzi o moją mamę i brata.



Kilka dni później Wawrzyniec przywiózł do Pawlic mocno wyczekiwanych gości. Kacper z ciężkim sercem spoglądał na Tadeusza, gdy ten wysiadał z poloneza. Choć nosił ciemne okulary w dość dużych oprawkach, nie był w stanie zasłonić nimi rozległych oparzeń. Poruszał się niepewnie, badając teren

długą, białą laską. Był wyraźnie spięty, przyjmując pomoc wuja.

Gospodarz wyszedł mu naprzeciw.

– Tadek! Jak dobrze, że przyjechałeś! – wykrzyknął i wziął go w ramiona. Poklepał młodego po wychudłych plecach. – Będzie dobrze. Będzie dobrze... – Nie był w stanie powiedzieć nic mądrzejszego, ponieważ ogrom współczucia zdławił jego gardło.

Odwiedził Tadek na szpitalnym oddziale, gdy pojechał do Nowej Huty na pogrzeb ojca. Lekarz pozwolił mu wejść tylko na kilka minut. To było tuż po wypadku i biedak był tak otumaniony morfiną, że ciągle spał. Teraz, gdy już rany się wygoiły i zdjęto mu opatrunki, widać było ogrom cierpienia, jakie musiało być udziałem brata.



O ile Adrian wciąż nie mógł strawić tego, jak naciął się na kupnie odtwarzacza VHS od wujka Pawła, i nawet nie chciał słyszeć o tym, aby odpuścić sobie naukę na rzecz wspólnych interesów, to Marek stwierdził, że w gruncie rzeczy nie ma nic do stracenia. Nie ryzykował swoich pieniędzy.

Wiosną, gdy jego koledzy pilnie się uczyli, by zdać maturę, on stał na bazarze Tomex, sprzedając kasety. Z upodobaniem wystawiał twarz do ciepłych promieni słońca, włączając bardzo głośno swoje ulubione piosenki, bowiem szybko odkrył, że gdy puszcza dobrą muzykę, to zaraz wzrasta mu sprzedaż, a wówczas Paweł jest zadowolony. Był z nim po imieniu – wujek sam mu to zaproponował. A on czuł się dumny i bardzo dorosły. Co tam nauka! Co tam gładzenie taty, że powinien przynajmniej pomyśleć o ukończeniu liceum.

*Na co komu nauka? Teraz liczy się łeb do interesów, a nie papierek z pieczątką. Komuna już nie wróci, nastąpiła złota era*



*dla przedsiębiorców takich jak my – rozmyślał.*

Na odczepnego obiecał tacie, że podejdzie do matury i spróbuje ją zdać. Wszak egzaminowi nie dawały rady tylko największe gamonie. Paweł mu obiecał, że przymknie oko, jak na kilka dni zawiesi handel.

– *Ciao, ciao Italia, ciao arrivederci*[\[24\]](#)... – ryczał Paweł Kucharski z kasety skopiowanej w prowizorycznym studio nagrań.



Trudno było radzić sobie z kalectwem. Tadek nie miał wątpliwości, że jego wzrok już się nie poprawi. Od wyjścia ze szpitala minęły cztery miesiące, a on widział tylko jasne i ciemne plamy. Nawet gdy matka nachylała się nad jego twarzą, nie był w stanie rozróżnić szczegółów.

Przez kilka tygodni przebywał u brata w Pawlicach, tam czuł się lepiej niż w Nowej Hucie. Później musiał wrócić na kontrolę u lekarza oraz po to, by z pomocą matki załatwić kilka ważnych spraw urzędowych. Ze względu na swoją niepełnosprawność otrzymał niewielką rentę z ZUS-u, która ledwo wystarczała na opędzenie najpilniejszych potrzeb. Potem stwierdził, że właściwie nie ma nic do roboty w mieście. Był tylko ciężarem u szyi dla biednej matki. Choć nigdy się nie skarżyła i za dnia starała się nie okazywać bólu, niejednym razem słyszał jej płacz w środku nocy. Myślała pewnie, że on śpi, lecz jego dręczyła bezsenność wywołana nudą i brakiem zmęczenia.

Z nastaniem poranka matka odzyskiwała energię. Przygotowywała śniadanie, napominała syna, by na siebie uważał, i wychodziła do pracy, zostawiając go samego na długie godziny. Czasami po powrocie włączała telewizor i prosiła Tadeusza, aby usiadł przed ekranem, choć nie mógł nic na nim

dostrzec. Wierzyła jednak, że wystarczy sama obecność, bez kontaktu wzrokowego, słynnego na cały kraj uzdrowiciela, który za pomocą nowoczesnej technologii hipnotyzował i uzdrowiał ludzi.

– Adin, dwa, tri – odliczał pomału Anatolij Kaszpirowski spokojnym głosem.

Na Tadeuszu jego słowa nie robiły najmniejszego wrażenia. Nie wierzył w czary-mary! Wszak nie odrośnie mu utracone oko, a to, które ocalili lekarze, nigdy nie wróci do sprawności. Gdy opuszczał szpital, doktor powiedział mu, że i tak ma dużo szczęścia, bo może odróżniać dzień od nocy i zauważać większe przedmioty mające przed nim. I powinien cieszyć się, że żyje, bo z nie takimi cierpieniami muszą się ludzie zmagać.

W Nowej Hucie czuł się niezdolny do niczego, a już na pewno nie do pracy. Nie miał pojęcia, co ze sobą zrobić. Dlatego jak tylko nadarzyła się ku temu okazja, ponownie przyjął zaproszenie brata i wyjechał do Pawlic. Jeszcze raz skorzystał z uprzejmości Wawrzyńca, wybierającego się pod koniec czerwca na wieś. Tym razem kaleki chłopak zamierzał zostać tam znacznie dłużej.

Dobrze mu było w gnieździe rodzinnym. Tam czuł, jak zaczyna wracać do siebie i nabierać chęci do życia. Zupełnie jakby przebywanie na ziemi przodków przywracało mu siły vitalne.

Nauczył się poruszać omackiem po obejściu. Często pomocą służyli mu bratankowie: Jola i Miruś. Prowadzili go pod rękę, objaśniając, gdzie może trafić na jakieś przeszkody.

Trochę zdążył ochłonać, lecz ból po odejściu Karoliny nie malał. Za sprawą ciotki nauczył się jednak mówić o tym, co go dręczy.

– Nawet nie miała dość odwagi, żeby osobiście zwrócić mi pierścionek. Przecież nie błagałbym, by ze mną została. Zdaję sobie sprawę z tego, jak przerażająco muszę wyglądać. Może był

w tym jakiś palec boży, że przez tę petardę straciłem również wzrok i nie muszę codziennie oglądać mojej parszywej gęby?

– Nie gadajże głupot, Tadzik – ofuknęła go Dorota raz a porządnie, gdy wysłuchiwała jego zwierzeń.

Zabrała bratanka na spacer w stronę lasu, ponieważ tam spodziewała się najmniejszego ruchu – ludzie zajęci byli pieleniem i innymi pracami rolniczymi. Las o tej porze roku nie stanowił dla nich większej atrakcji. Grzyby jeszcze nie wysypały, a pierwsze owoce leśne dopiero zaczynały dojrzewać. Wygodnie było wędrować opustoszałym gościńcem, na którym parę lat temu położono asfalt. Kilka razy dziennie kursował tędy pekaes, wożąc ludzi do Limanowej. Poza tym przejeżdżało niewiele samochodów.

Weszli w cień lasu. Ogarnęło ich chłodne, balsamiczne powietrze przesycone zapachem żywicy i ziół.

– Ach, jak tu pięknie pachnie – westchnął Tadeusz, jakby nie dosłyszał wcześniejszej połajanki od cioci. – W Hucie duszą nas tylko smrody.

– Nie ma jak na wsi, co?

– Ano tak. Tutaj wszystko jest inne niż w mieście. Jak Kacper powiedział, że będzie się przeprowadzał do Pawlic, to ojciec z matką pukali się w czoło. Melek się śmiał, Darek nazwał go głupkiem. Nie, nie pamiętam tego – uprzedził pytanie Doroty. – Kacper mi o tym powiedział parę dni temu, gdy zapytałem, co go skłoniło, żeby sprowadzić się na wieś. No i usłyszałem, że tutaj naprawdę poczuł, że żyje. Bo tam nie był szczęśliwy. Miał wrażenie, że we wszystkim się pogubił. I nie chciał iść w ślady chłopaków. Mówił, że wieś go uratowała, bo inaczej na pewno poszedłby na zatracenie, tak jak tamci dwaj.

– Ty też tutaj odżyłeś – zauważyła Dorota.

– Nie przeczę. Ale kiedyś będę musiał wrócić do Nowej Huty, bo tak naprawdę tam jest mój dom. Wystawię moją sparszywiałą gębę na widok publiczny. Na szczęście nie zobaczą

odraży w oczach ludzi, ot, taki kaprys losu – dodał z goryczą.

– Poczekaj.

Dorota złapała go za łokieć, aby się zatrzymał. Stanął więc posłusznie.

– Daj rękę – powiedziała, ujmując jego dłoń. Rozprostowała palce zaciśnięte w pełnym bezsilności gniewie i ułożyła je sobie na twarzy. Delikatnie powiodła nimi w górę i w dół oraz na boki.

– Czujesz to, Tadek?

Bez słowa pokiwał głową. Nim stracił wzrok, dość się napatrzył na jej okaleczenia. Jako dziecko odczuwał paniczny strach na myśl, że i jego mógłby ktoś tak załatwić, lecz ojciec cierpliwie mu tłumaczył, że ciocię poranili radzieccy żołnierze w czasie wojny.

Domyślał się, ile Dorotę kosztowało codzienne wychodzenie z domu. Nigdy o tym nie mówiła, lecz pewnie bolało ją, kiedy ziomkowie odwracali od niej spojrzenia lub cofali się ze wstrętem.

– Jak ty to zniosłaś, ciociu? – zapytał. – Nie chodzi mi o tamte wydarzenia, ale o ludzi – uzupełnił nieprecyzyjnie postawione pytanie.

– Nie było łatwo – odparła. – Ale słusznie się mawia, że czas jest najlepszym z lekarzy. Ksawery bardzo dużo dla mnie zrobił. Zanim poprosił mnie o rękę – wyjaśniła – dał mi pracę w bibliotece, zmuszając tym samym, abym wyszła z domu. Czasy były wtedy bardzo trudne. Straciliśmy grunt, a trzeba było z czegoś żyć. Nie mogłam odmówić. Musiałam przełamać skrupowanie. A później... później okazało się, że nawet taką szkaradę jak ja można pokochać całym sercem. Bo on kochał mnie prawdziwie. Jak nikogo na świecie. I chciał być ze mną do końca życia. Rozumiesz, synu? Blizny nie mają znaczenia, gdy ktoś patrzy w głąb ciebie, a nie na to, co wszyscy potrafią zobaczyć.

– Łatwo ci mówić, ciociu – odparł ze smutkiem. – Nie jesteś bezużyteczną kaleką.

– Ty też nie musisz być bezużyteczny. Niewidomi także mogą pracować, wykonywać jakieś czynności, przy których liczą się sprawne dłonie lub pomysłupek. Weź się w garść, chłopie! Masz przed sobą całe życie. Długie i, w co wierzę, szczęśliwe. Jeszcze przyjdzie czas na wszystko: na pracę i na miłość. Skoro mnie pokochał sam naczelnik spółdzielni – powiedziała lekkim, żartobliwym tonem – to i ciebie ktoś pokocha. Widać tamta panna nie była warta uczucia. Gdyby miała dość przyzwoitości, to przyjechałaby na ostatnią rozmowę do ciebie, jak to już słusznie zauważyłeś. Głowa do góry, chłopaku.

– Kiedy słucham twoich słów, wszystko wydaje się prostsze – powiedział z niepewnością.

Czuł na skórze delikatny powiew ciepłego wiatru. Ogarnął go zadziwiający spokój.

Czy właśnie tak miało odtąd wyglądać szczęście?

– Bo tak jest, Tadziu. Moja świętej pamięci matula często powtarzała, że zawsze jest jakieś jutro, na które warto czekać. Powinniśmy uznać te słowa za naszą rodzinną dewizę. Pomagały nam w najtrudniejszych chwilach i dodawały otuchy.



– Możesz mi dzisiaj wypłacić forszę? – zapytał Marek Pawła po zakończonej dniówce.

Od półtora miesiąca nie dostał ani grosza, choć stał na Tomeksie świętek piątek – bez względu na stan pogody. Sprzedał w tym czasie mnóstwo kaset. Wujek wciąż dowoził nowe, choć początkowo zarzekał się, że jak opchnie większość starego towaru, to pozwoli mu handlować sprzętem grającym.

Ostatnio Paweł chodził jakiś nieswój. Stracił dobry humor,

stał się mrukliwy i nieprzystępny. Widać było, że jest czymś bardzo zaaferowany.

– Przykro mi – usłyszał chłopak w odpowiedzi – nie dam rady dzisiaj.

– No to kiedy? Miałeś mi płacić tygodniówki, a wciąż mnie zwodzisz. Przecież interes dobrze idzie, zarobiłem dla ciebie kupę forsy – zbuntował się. – Kurwa, jakbym wiedział, że tak będzie, to nie oddałbym ci utargu!

– To byłaby kradzież – burknął biznesmen.

– A jak mi nie płacisz, to jest uczciwe?

– Kurwa, no nie dam rady. Muszę najpierw spłacić inne zobowiązania. Wytrzymaj jeszcze trochę. – Spuścił nieco z tonu i poklepał chłopaka po plecach. – Wtopiłem kasę w dupiany interes i teraz muszę to sobie powetować, bo nie mam na nowy towar. A jak nie będzie towaru, nie będzie handlu i dopływu pieniędzy, kumasz?

– Kumam – odpowiedział Marek, gotując się wewnętrznie ze złości. – Na czym tak się przewiozłeś? – zapytał.

– Ten chuj, Grobelny, zwinął mamonę i spierdolił za granicę. Trzymałem w jego kasie wszystkie oszczędności. Lokowałem na wysoki procent. Każdy wolny grosz dokładałem do lokat, bo to mi się opłacało. Nie zostało mi absolutnie nic, kurwa jego mać! Mam nadzieję, że Interpol dorwie skurwysyna i wycisną z niego forszę. Tylko wiesz: to tak między nami, młody. Nie opowiadaj nikomu, jak żem się przewiózł, bo za kilka tygodni odrobimy straty, jasne?

– Jasne. – Marek pokiwał głową.

Chociaż był wściekły, bo nie miał już grosza przy duszy, nie mógł odmówić racji Pawłowi. Jeżeli teraz przeznaczą wszystkie utargi na kupno towaru, to dadzą sobie radę. Trzeba iść do przodu, takie życie, ot co!

– Dałbyś choć na fajki i piwo – spróbował po raz ostatni. – Przecież nie mogę sępić od Adka, bo mnie wyśmieje, żem rzucił

szkołę po to, by zebrać.

*Ten to się, kurwa, ustawił* – przemknęło mu przez myśl.

Brat zdał egzaminy maturalne i złożył papiery na studia. Oczywiście postanowił kultywować tradycję rodzinną i wybrał Akademię Górniczo-Hutniczą. Na czas wakacji najął się jako DJ w dyskotecie. Siedział sobie spokojnie i puszczał ludziom najmodniejsze szlagiery. Nie lało mu się na grzbiet, nie prażyło go słońce, a w laskach przebierał jak w ulęgałkach.

*Ech... Taki to ma życie!*

Wiolka, cwaniara, też sobie nieźle radziła, bo jak tylko Adek dostał się do klubu, to załatwił jej na wakacje posadę kelnerki. Umowę zlecenie spisali na niego, bo siostra była jeszcze niepełnoletnia – ledwo miało toto siedemnaście lat. Początkowo właściciel kręcił nosem, że jest smarkata, więc pewnie da sobie wleźć na głowę. Szybko się przekonał, że nie miał racji. Dziewczyna wychowywała się wśród mężczyzn, miała też więcej kolegów niż koleżanek, bo przyjaźnili się z nią chyba wszyscy kumple bliźniaków, więc bez problemu sobie radziła z każdym namolnym klientem. Jęzor miała tak cięty, że przy niej nawet zagraniczne żyłki były tępe. A że była ładna, bez wysiłku i kokieterii dostawała nieźle napiwki.

## **Rok 1991**

Andzia długo nie mogła darować mężowi, że stracił tyle pieniędzy w kasie Grobelnego. Wpakował tam absolutnie wszystko, co mieli: zarówno jej, jak i własne pieniądze. Co więcej, po fakcie dowiedziała się, że pożyczył trochę forsy od znajomych i rodziny, by ulokować ją na wysoki procent. Z dnia na dzień stali się nędzarami, bo co to za majątek: mieszkanie, samochód i dwie używane maszyny do szycia? Na domiar złego nie wypłacał ludziom za wzięty na handel towar. Pewnego

dnia Marek, zniecierpliwiony brakiem pieniędzy, powiedział, że koniec tyrania za darmość. Jako zaległe wynagrodzenie zabrał sobie wszystkie niesprzedane kasety i zaczął handlować nimi na własny rachunek. Ponoć to i tak nie zrekompensowało mu utraconych zarobków. Karol do tej pory wściekał się na kuzyna za męczenie w głowie chłopakowi, który powinien był dawno temu zdać maturę i rozpocząć studia. Adrian już uczył się do sesji egzaminacyjnej, a Marek został z nieskończonym liceum.

Wstyd, ciężki wstyd!

Jak tu teraz spojrzeć w oczy krewnym i znajomym?

Zakład krawiecki też ostatnio ledwo wyrabiał. Lambadówki opatrzyły się już nowohuckim modnisiom, a nowość, którą Andzia próbowała upchnąć w ich miejsce, nie spotkała się z większym zainteresowaniem. Teraz na topie były spódnice ze ściągacza i szyte na jego bazie sukienki. Szymczakowa chciała trochę zaoszczędzić na tkaninach i dość niefrasobliwie kupiła kilka bel materiału kiepskiej jakości. Nie dość, że bardzo źle się z niego szło – dziewczyny notorycznie łamały igły, to jeszcze były duże straty, bo dziadostwo wyjątkowo się zaciągało i zaraz leciały oczka. Owerlok kiepsko sobie radził z obrębianiem krawędzi, które po przeszyciu wywijają się niczym fale Dunaju. Kreacje wychodziły więc dość żałośnie. Kilka bardziej dożartych klientek wyklóciło się o zwrot pieniędzy za felerny towar. No i co Andzia miała zrobić? Musiała przyjąć niedoróbki, bo inaczej nikt by już niczego od niej nie kupił. Ostatnio z trudem opłacała miejsce w domu towarowym Wanda i handlującą tam dziewczynę. Jak tak dalej pójdzie, to będzie zmuszona osobiście stanąć za ladą albo zwinąć kulejący interes, by do niego nie dokładać. Bo co to za biznes, gdy korzystają na nim tylko pracownicy, a właścicielka nic z tego nie ma?

Tarapaty finansowe psuły humory małżonkom. Po dwóch latach dobrej passy znowu musieli wrócić do oszczędnego trybu życia. Nic więc dziwnego, że żarli się między sobą, obwiniając



wzajemnie o niepowodzenia. Nie było kapitału do zainwestowania, a tyle ciekawych działalności można byłoby teraz rozkręcić! Otworzyć chociażby wypożyczalnię kaset wideo – taką z prawdziwego zdarzenia, bo te „walizkowe” budziły coraz większą nieufność, skoro oferowały filmy wyjątkowo kiepskiej jakości. Albo przetrząsnąć się na handel artykułami spożywczymi, które nie ulegały modzie, no i wiadomo: na jedzeniu nie da się stracić, ponieważ ludzie zawsze będą musieli je nabywać.

Paweł, który na bieżąco śledził wszelkiego rodzaju nowinki techniczne, żałował, że nie ma większej gotówki do zainwestowania w absolutną nowość rynkową, czyli pagery, które od marca miały być obsługiwane w kilku największych miastach w Polsce. Andzia, mniej obeznana z tematem, za nic w świecie nie potrafiła pojąć, że pager (a co za idiota wymyślił taką nazwę – toć to nie do zapamiętania!) służy do bezprzewodowego odbierania różnych informacji.

Ponieważ jednak obydwójce stracili sporo w ostatnich kilku miesiącach, solidarnie zaciskali zęby, udając przed wszystkimi krewnymi, że jest dobrze. A Marek? Oj tam! Przecież odbił sobie straty, sprzedając zarekwirowane Pawłowi kasety.

– Znowu pierogi z serem? – kręcił Szymczak nosem, zaglądając w gary.

– Nie ma forszy na schab – burknęła małżonka, zła, że mąż nie docenia jej starań. Poświęciła niemalże trzy godziny swego cennego czasu, aby ulepić ponad setkę pierogów, których według jej obliczeń powinno starczyć na dwa dni. Od dawna stawiała na głowie, by wyżywić rodzinę tanim kosztem i nie dać krewnym poznać, że tak cienko przędą. Oszczędzała na czym tylko mogła. A on śmie wybrzydzać! Niedoczekanie!

– Pierogi to żeśmy żarli jako dzieci, bo w domu bieda aż piszczala i nie było pieniędzy na nic – burknął nieuprzejmie. – Obetnij pensje swoim krawcowym, to wystarczy na mięso.

– Sam sobie obetnij! – Nie pozostała mu dłużna. – Interes! –

dodała roztropnie, gdyż po dezercji Marka Paweł nikogo nie zatrudniał, lecz sam stał na placu z ostatnimi sztukami magnetofonów i walkmanów.



Z końcem marca Rada Miasta Krakowa podjęła uchwałę o nowym podziale na dzielnice. Z Nowej Huty wykrojono pięć mniejszych części. I tak oto Ludwik stał się mieszkańcem Wzgórz Krzesławickich, a Karol Bieńczyc. W Czyżynach wylądowała Agnieszka, która niedawno przeprowadziła się do własnej kawalerki. Paweł został mieszkańcem Mistrzejowic. Ewa oraz pierwsze miastowe pokolenie Szymczaków i Pawłowskich pozostali nadal w Nowej Hucie.

Zasadniczo dla mieszkańców nie miało to szczególnego znaczenia. Nawet ci, którzy zasiedlali nowsze osiedla, wciąż siłą przyzwyczajenia zwali się nowohucianami i jeździli na wycieczki do Krakowa, nie zagłębiając się w szczegóły z podziałem na dzielnice.



W przeciwieństwie do Pawła, Marek nieźle radził sobie z handlem kasetami. Lubił to zajęcie, choć niejedną raz dokuczyły mu zmienne warunki atmosferyczne. Nie żałował porzuconej szkoły – dobrze zarabiał na pracy na własny rachunek.

A matura, o którą ojciec wciąż wiercił mu dziurę w brzuchu? Cóż... Może kiedyś pokusi się o to, by ją zdać.

*– Coście skurwysyny uczynili z tą krainą? / Czas idzie, od wieków płynie i nie zatrzymasz go siłą / Głupia duma narodowa i kompleksy od stuleci / Brudne twarze z wąsikami,*

ci agresywni frustraci[25]... – ryczał Kazik Staszewski ze swej pierwszej solowej płyty.

– Panie! Wyłącz pan ten jazgot! – zażądała piskliwie stojąca opodal przekupka, która oferowała swoim klientom zagraniczne słodczyce. – Uszy puchną!

– *Na plandekach i gazetach leży ścierwo zabrudzone / A na stołach czekolada razem z piwem przywieziona* – zanucił Marek do wtóru Staszewskiemu, spoglądając zuchwale na kobietę. – Wolny rynek jest, szanowna pani. Trzeba reklamować swój towar, żeby dobrze schodził!

– Lepiej przycisz, Marku – usłyszał odpowiedź z drugiej strony. Odwrócił się i dostrzegł wujka Bronka, który stał już chyba od dłuższego czasu przy jego kramie, słuchając uważnie tekstu piosenki. – To takie ordynarne i krzywdzące.

Jak na złość Kazik okazał się w tym momencie niezawodny:

– *Starszy człowiek w barze mlecznym je kartofle z ogórkami / Całe życie tyrał w hucie, a do huty dokładali / Cała jego ciężka praca, wszystko było chuja warte / Gdyby leżał całe życie, mniejszą czyniłby on stratę...* – Marek dźgnął palcem w radiomagnetofon i wyłączył piosenkę, lecz straszne słowa już zdążyły wybrzmieć i sprawić przykrość wujkowi.

– A więc wy, młodzi ludzie, uważacie, że cały mój wysiłek był nic niewart? – powiedział Broniek z goryczą. A potem odwrócił się i odszedł.

Marek z przygnębieniem spoglądał na pochylone plecy wuja, który od blisko roku przebywał na ciężko zapracowanej emeryturze, pobierając nędzne grosze. Chciał pobiec za nim, by przeprosić za tę piosenkę i wytłumaczyć, że on tak nie myśli, lecz nie mógł zostawić kramu bez opieki.



Czasami jakiś ponury żartowniś śmiał się, że teraz wszystko ulega rozdrobnieniu: począwszy od miast, a skończywszy na wielkich zakładach pracy. Z miejsca podłapali to Broniek z Wawrzyńcem i ochoczo omawiali temat przy każdej nadarzającej się sposobności.

Ciepłym, letnim popołudniem siedzieli we dwóch w parku Ratuszowym na ławce ustawionej przy pomniku z rybą. Wokół nich rozkwitały setki róż, przesycając powietrze upojnym, słodkim aromatem. Nad kwiatami pracowicie uwijały się pszczoły i trzepotały skrzydłami wielobarwne motyle krakowiaki.

Jak zwykle rozmowę szwagrów zdominowała polityka i gospodarka. Mogli spokojnie dyskutować, gdyż ich żony w tym czasie wybrały się do fryzjera. Dopiero później miały do nich dołączyć.

– Prywatyzują wszystko na potęgę – komentował Szymczak wieści napływające z całego kraju. – A czego nie sprzedadzą w całości, to dzielą na drobne spółki, żeby łatwiej było opchnąć za parę groszy.

– Ech, żebyś wiedział. Wszystkiego muszą wyzbyć się za bezcen. Kombinat też będą dzielić. Już zaczynamy to pomału planować. Szkoda gadać. Polecą pewnie zwolnienia, bo zakład jest nierentowny i przynosi gigantyczne straty.

Broniek przypomniał sobie fragment piosenki zasłyszany na Tomeksie, gdy przechodził koło stoiska, na którym handlował Marek.

*Może faktycznie jest tak, jak śpiewał tamten czort: że cała moja praca okazała się nic niewarta?*

– A nie wiesz ty, Wawrzek, czy Marek handluje jeszcze taśmami? Nie widziałem go już na Tomeksie ze dwa miesiące, więc nie wiem, co porabia.

Szwagier, zdziwiony nagłą zmianą tematu, pokiwał głową.

– Pewnie, tylko przeniósł się z Tomexu pod Arkę, bo tam lepiej

mu handel idzie. Chciałeś coś kupić, żeby posłuchać z Bogusią? – zagadnął.

– Nie z Bogusią. Sam – odparł. A widząc niebotyczne zdumienie Pawłowskiego, uzupełnił: – Nie... No spokojnie, nie rozstajemy się z żoną. My nie z tych! Ale jak żem kiedyś był na placu, to wpadła mi w ucho jedna piosenka, która teraz mi nie daje spokoju. I nie żeby była taka ładna! Skądże znowu! Tam leciały okropne wulgaryzmy. Ale była też mowa o tej naszej cudacznej rzeczywistości, która zamiast cieszyć, przysparza tylko trosk.

– Ano przysparza. Człowiek czekał na wolność jak na jakieś zbawienie. I na co to przyszło? Na razie mamy bezrobocie, inflację i prywatyzację. Ta ostatnia, choć potrzebna, przeprowadzana jest po wariacku i w zupełnie nieracjonalny sposób. To oczywiste, że prywatny właściciel lepiej będzie zarządzał swoim majątkiem, ale terapia szokowa, którą stosuje się na ludziach, jest dramatyczna. Mamy grubo ponad milion bezrobotnych! Kto to widział? Za sanacji nie było takiej biedy z nędzą.

– Zauważyłem, że z tą prywatyzacją to jakaś grubsza afera – zmartwił się Bronek. – Wiesz... Ja mam koszmarną teorię spiskową – zniżył nieco głos, jakby nie chciał, by usłyszał go ktoś postronny. Widać jeszcze nie zdążył przywyknąć do funkcjonowania w nowej rzeczywistości.

Wawrzyniec nachylił się z zainteresowaniem. Ufał ocenom i intuicji szwagra. Jego poglądy zawsze były mu bliskie, choć sam nie miał aż tyle odwagi w głoszeniu tego, o czym Bronek mówił otwarcie.

– Co ci przyszło na myśl?

– To wielkie bezrobocie, dzielenie dużych zakładów, prywatyzacja przeprowadzana na chybcika... To wszystko nie jest robione ot tak sobie. I nie są to doświadczenia na żywym organizmie, lecz celowe działanie. Pamiętasz, kto za komuny

najczęściej stawał do strajków?

Wawrzyniec zmarszczył brwi.

– Robotnicy, to przecież oczywiste. Oni byli najbardziej ukrzywdzeni przez rząd, co to niby miał ich reprezentować.

– Otóż to. Ale nie byle jacy robotnicy. Huta Lenina, Zakłady Hipolita Cegielskiego, stocznie, kopalnie... Same molochy! Olbrzymie przedsiębiorstwa, w których zatrudnienie liczyło się tysiącami lub nawet dziesiątkami tysięcy!

– Tłum łatwiej może się zorganizować, jeśli znajdzie swojego przywódcę!

– A widzisz! W kupie siła! A jak ludzie zostaną rozproszeni po mniejszych zakładach, to nie są w stanie zorganizować strajku. Rząd chce to wszystko rozpieprzyć, żebyśmy przestali się buntować, jak na ten przykład zrobili to zimą w hucie szkła w Wołominie. Ja się boję, Wawrzek, że nowa władza nie będzie wiele lepsza od poprzedniej – stwierdził z goryczą.

– Ale przecież nie jest tak źle. Wprawdzie mamy bezrobocie, ale jest wolny rynek. Każdy może prowadzić działalność gospodarczą...

– Z jakim skutkiem? – Bronek wszedł w słowo szwagrowi. – Paweł cienko śpiewa. Ostatnio słyszałem, że będzie szukał pracy na etacie, bo go nerwy szarpią, jak sam musi się użerać ze wszystkim. Zwłaszcza teraz, gdy sejm uchwalił nową ustawę o podatkach. Boi się, że nie wyjdzie na swoje.

– Nie ma cenzury – argumentował Wawrzyniec.

– I co z tego? Ludzie mogą czekać do woli, ale nic im to nie daje. Ile się dzieciaki nawrzeszczały o wypierniczenie pomnika z alei Róż? Dopiero jak doszło do kilku solidnych zadym, to władza poszła na ustępstwa. W rzeczywistości chcieli nam tutaj zostawić tego skurwysyna, by nie zadrażniać napiętych stosunków z Moskwą. Biedny Tadek do końca życia będzie nosił na sobie pamiątki po tamtych rozróbach. Kalekę zrobili ze zdrowego chłopaka! Od czego zaczęły się nowe porządki? Od

starych metod rozmawiania z ludźmi – skwitował.

– W sumie masz sporo racji – przyznał szwagier.

– Nie przekonałem cię?

– Poniekąd tak. Rozpieprzanie zakładów po to, by ludzie się nie buntowali, ma logiczne uzasadnienie. Ale wobec ruskich rząd nie jest aż tak uległy. Wszak zaczęło się wycofywanie wojsk radzieckich z Polski.

– Przykro mi, szwagier, ale ja za grosz nie wierzę nowej władzy.

– A co musiałyby się stać, żebyś im uwierzył?

– Musiałbym odzyskać to, co moje. A i to jeszcze byłoby mało. Dam im wiarę dopiero wtedy, gdy zatrzyma się inflacja i zmaleje bezrobocie, a ludzie zaczną godnie żyć.

– Wiesz, ja myślę, że teraz jest szansa, byśmy dostali z powrotem nasze majątki. Trzeba czekać, aż sąd rozstrzygnie złożony przez nas wniosek reprivatyzacyjny.

– Daj Boże, byśmy doczekali. To już nie dla nas, tylko dla dzieciaków i wnuków. – Szymczak pokiwał głową. A potem zmienił temat rozmowy: – Jak ci się podoba nowy model poloneza? Będziesz kupował?

– Ee... Chyba nie. Caro jest zdecydowanie za drogi. Nie powiem, ładny, ale szkoda mi pieniędzy na fanaberie. Młodym muszę pomagać. Adam stracił pracę pół roku temu, Zochę też chyba zwolnią, wspomniała o tym wczoraj. Ciężko im się żyje.

– Ano. Dobrze być na emeryturze. Może i jest to jałmużna za lata harówki, ale przynajmniej pewna. Człowiek wie, że zawsze przyjdzie listonosz z pieniędzmi. A ty kiedy przechodzisz?

– Finiszuję, szwagier. W piątek odbieram papiery z zakładu. W sobotę będę chciał uczcić również tę okoliczność. I wiesz co? Już się cieszę, bo jak patrzę na to wszystko, to mi się nie chce jeździć do biura. Nie chciałbym być świadkiem tego, jak ten kolos padnie, odbierając chleb tysiącom ludzi. O, nasze damy nadchodzą – zauważył Wawrzyniec i wyraźnie się ożywił. –

Dajmy spokój ponurym rozważaniom. Weźmy lepiej kobitki na kawę i lody, bo już widzę, że obydwie wyszykowały się że ho, ho!



Nazajutrz Broniek wybrał się z żoną na zakupy. Za kilka dni wypadała trzydziesta czwarta rocznica ślubu Pawłowskich. Niby nie była to okrągła data, ale Wawrzyniec postanowił połączyć ją ze swoim przejściem na emeryturę i zorganizować z tej okazji niewielkie przyjęcie. Zarezerwował kilka stolików w Stylowej, by jak za starych, dobrych czasów zgromadzić rodzinę na wspólnej biesiadzie. Stwierdził, że nie chce obarczać żony stanem przy garach, bo mają obydwój świętować. Bogusia z miejsca stwierdziła, że przydałaby jej się nowa sukienka, ponieważ od bardzo dawna niczego sobie nie sprawiła. Wprawdzie żyli wyjątkowo oszczędnie i liczyli się z każdą złotówką, ale czasami udawało się odłożyć pieniądze na jakąś drobną przyjemność.

Żona przechadzała się pomiędzy kramami na Tomeksie, poszukując kreacji, która później mogłaby posłużyć na inne okazje. Zachwyciły ją kwieciste tkaniny – miękkie i miłe w dotyku.

– Ach! Że też za mojej młodości nie było takiego wyboru – wzdychała, przypominając sobie, jak niejedną raz na własną rękę przerabiała fatałaszkę nabyte w domu towarowym. Nie miała pieniędzy, by kupować „na żydzie”, ale czasami udawało jej się pięknie poprawić rzeczy pochodzące z masowej produkcji. Tu doszyła koronkę, tam odpruła falbankę. Zmieniała guziczki, zwęzała, zdobiła frywolitkami. – Teraz to nic, tylko przymierzać i kupować!

– No to na co czekasz? Przymierz – zachęcił ją mąż.

W czasie gdy żona schowała się za prowizorycznym



parawanem ze starej zasłony, by włożyć wybraną przez siebie kreację, on podszedł do najbliższego stoiska z kasetami i dopytał o piosenkę, która tak mocno utkwiała mu w głowie, że nie mógł się oprzeć pokusie, by jeszcze raz jej posłuchać. Wytłumaczył handlującemu tam mężczyźnie, o co mu chodzi. Ten na szczęście szybko odgadł i zapytał, czy ma mu włączyć taśmę.

– O nie, nie! Nie trzeba. Jest pan pewien, że to Kazik Staszewski?

– Oczywiście. Piosenka *Jeszcze Polska*.

– Kazik Staszewski. Brzmi jak swój chłop. – Broniek pokręcił głową. – Dobra, kupuję – odpowiedział i bez namysłu sięgnął po portfel. A potem wcisnął nabytek do noszonej na pasku saszetki „nerki”, którą dostał na ubiegłoroczne imieniny od Pawła.

W międzyczasie Bogusia zdążyła przymierzyć kolejną sukienkę i teraz potrzebowała pilnie konsultacji męża. Wyłoniła się więc zza zasłony w granatowej kreacji w białe groszki.

– No i jak, Bronku?

Spojrzał na żonę i zamarł z zachwytem.

– Pięknie wyglądasz – powiedział zdławionym głosem.

– Ale te groszki... Czy to nie jest zbyt odważne jak dla takiej starej baby? – wyraziła wątpliwość, lecz on nie dostrzegając siwych kosmyków falujących w lekkich podmuchach wiatru ani zmarszczek w kącikach oczu i pionowej bruzdy na czole. Nie widział żyłaków na zmęczonych nogach i plam wątrobowych pstrzących skórę. Widział tamtą dziewczynę, którą ujrzał tuż po przebudzeniu na szpitalnym oddziale – swego niebieskookiego anioła o łagodnej twarzy.

– Kupujemy – wykrztusił.



Kasetę odsłuchał nazajutrz, gdy Bogusia wyszła na spacer z Norką – malutką suczką, którą przygarnęli krótko po tym, jak Agnieszka przeprowadziła się do własnej kawalerki. Psinka była poczciwa – swoich broniłaby do upadłego, choć nawet nie sięgało toto do kolan. Robiła w mieszkaniu przyjemny ruch i była nieustannie hołubiona przez Oleńkę i Jacka.

Broniek włączył magnetofon. Włożył kasetę do kieszeni i uruchomił odtwarzanie. Pierwsza piosenka nie była tą, o którą mu chodziło. Przypomniawszy sobie tytuł wspomniany przez handlarza. Przesunął taśmę do przodu. Po kilku próbach trafił na to, co go interesowało. Usiadł wygodnie w fotelu i wsłuchał się uważnie w tekst. Gdy utwór dobiegł końca, ponownie przewinął taśmę. Zrobił to jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem chłonąc zachłannie słowa wokalisty.

A potem oparł łokcie o uda, ukrył twarz w dłoniach i powiedział sam do siebie:

*– Coście skurwysyny uczynili z tą krainą? / Czas idzie, od wieków płynie i nie zatrzymasz go siłą. No coś takiego! Ileż racji ma ten człowiek! Całe życie dręczyło mnie poczucie, że moja praca nic nie jest warta, że to, co robię, to jakiś absurd, nieporozumienie. I te rządy, co jedne po drugich tylko psuły resztki tego, czego nie zniszczyła hitlerowska zaraza, i nadal psują... Wszystko na tym świecie zdaje się stać na głowie.*



– Coś mi się wydaje, że nasz ulubiony lokal zaczyna podupadać – zauważył szeptem Wawrzyniec, gdy późnym popołudniem weszli do Stylowej.

Na zewnątrz kropił ciepły letni deszcz, lecz pogoda nie była na tyle paskudna, by odstraszyć potencjalnych konsumentów.

Julia rozejrzała się i z przygnębieniem stwierdziła, że mąż ma rację: mimo sobotniego wieczoru lokal świecił pustkami, choć jeszcze do niedawna zdarzało się klientom dość długie oczekiwanie na wolny stolik.

– Nowa Huta ubożeje – westchnęła. – Nie dość, że się starzejemy i tak za bardzo nie ma komu balować, to jeszcze młode pokolenie cierpi z powodu braku pracy i pieniędzy.

– To cena wolności – stwierdził Pawłowski, a potem, by odwrócić uwagę żony od smutnych spraw, zaczął opowiadać o uroczystym pożegnaniu, jakie zgotowali mu współpracownicy z huty już nie imienia Lenina, ale mniej więcej od roku Tadeusza Sendzimira.

Przyszli z Julią do lokalu chwilę przed wyznaczonym czasem, więc teraz czekali na zaproszonych gości.

Pierwszy dotarł Karol z gromadką swoich pociech. Młodzi właśnie wrócili z Jasnej Góry, dokąd poszli z pieszą pielgrzymką odbywającą się z okazji Świątowych Dni Młodzieży. Zaczęli na przemian trajkotać o wędrowce Jurą Krakowsko-Częstochowską, spotkaniu z Janem Pawłem II i trudnych warunkach zakwaterowania.

– Spaliśmy pod gołym niebem – opowiadał z przejęciem Adrian.

– Ale jakże to? Nie w szkołach? Zabrakło miejsca?

– Nie było szansy, żeby dopchać się gdziekolwiek! Takie tłumy!

– Kogo tam nie było! Babciu! Ludzie zjechali się chyba z całego świata! Jak żeśmy dotarli do Częstochowy, to nasza grupa się rozproszyła. Każdy szukał choćby skrawka trawnika, żeby rozłożyć karimatę i śpiwór.

– Ojej! – przejęła się babcia. – Obyście tylko tego nie odchorowali.

– Babciu! No co ty? Nic nam nie będzie.

Zaraz za Pawłowskimi nadeszła Ewa – pogodna i zadowolona z życia – prowadząc ze sobą Sławka i Michała. Chłopcy,

podeksycytowani perspektywą uczestnictwa w „dorosłym” przyjęciu w lokalu, wyglądali na nader onieśmielonych, lecz Julia z miejsca zajęła ich pogawędką.

*Ach, jakże ona kocha dzieci* – pomyślał z rozczuleniem Wawrzyniec, spoglądając na kobietę, z którą przeżył tak wiele szczęśliwych lat.

Ostatnio Ewa zaczynała przebąkiwać, że zamierza poszukać korzeni. Chciała poznać prawdę o swoim pochodzeniu, bez względu na to, jaka była. Szymczakowie i Pawłowscy nie próbowali jej tego odradzać, doskonale rozumieli jej ciekawość.

Już po chwili w restauracji zrobiło się gwarnie i wesoło, a to za sprawą Ludwika i Bronka z rodzinami. Nieco sztywniejsi byli Paweł z Andzią, być może posprzeczali się o coś przed wyjściem z domu, bo jedno na drugie patrzyło wilkiem. Gosia z nadąsaną miną zasiadła przy stole i z nikim nie miała ochoty gadać. Złościła się na matkę, ponieważ nie wyprosiła u niej zakupu nowych sandałków z „żarówiastych” gumek – ostatniego krzyku mody. A tak chciała pochwalić się nimi przed kuzynkami!

Kazia przydreptała samotnie, ponieważ Tadeusz przebywał na turnusie rehabilitacyjnym. Trafiła się okazja, więc pojechał, przepraszając kilkakrotnie ciocię Julię i wujka za to, że nie dotrze na ich przyjęcie.

Zaskoczeniem wieczoru była Agnieszka, która przyjechała nie dość, że spóźniona, to jeszcze z osobą towarzyszącą.

– Roman Chmielowiec, mój kolega z pracy – zaprezentowała go z leciutkim rumieńcem na policzkach.

Wawrzyniec już wcześniej uzgodnił menu z obsługą restauracji, więc teraz przy stolikach uwijali się kelnerzy, obsługujący gości.

– Najmocniej pana przepaszam. – Karol poczuł nieprzyjemne szarpnięcie, jakby coś zaczepiło o jego krzesło, i jednocześnie usłyszał miły damski głos.

Pawłowski poderwał się z miejsca, by pomóc przechodzącej

kobiecie odczepić frędzle torebki, które zahaczyły o mebel. Podniósł wzrok na sprawczynię zamieszania i zamarł w bezruchu. Spoglądał w brązowe oczy, w których migotały ciepłe, wesołe iskierki. Ona także znieruchomiała. Zauważył, że kobieta na chwilę wstrzymuje oddech.

Nie zauważył natomiast, że w tym samym momencie Wioletta i Adrian szturchają się łokciami, spoglądając na siebie porozumiewawczo.

Pomógł nieznajomej, a potem odprowadził ją wzrokiem ku toalecie. Siedział jak na szpilkach, nie wsłuchując się w rozmowy. Wyczekiwał na moment, gdy piękna nieznajoma ponownie przejdzie obok jego krzesła. Interesowało go, czy na jej serdecznym palcu znajduje się obrączka.

Przy zestawionych razem stolikach toczyły się zwyczajne pogawędki – jak to na rodzinnych biesiadach. Sabina z rozrzewnieniem stwierdziła, że ma ochotę pójść do teatru na jakąś dobrą sztukę. Bogusia opowiadała przejęta, że budowa nowohuckiego hospicjum w końcu ruszyła do przodu, a ona chciałaby jeszcze choć trochę przysłużyć się cierpiącym i nieść im pomoc poprzez wolontariat w tej placówce. Kazia napomknęła, że Tadzik znalazł wreszcie pracę. Będzie chałupniczo składał jakieś zabawki z drobnych elementów. I tak, jest w stanie zrobić to po omacku, bo to dziecinnie proste, choć bardzo monotonne. Ale cieszy się, biedaczysko, że może dorobić choć parę złotych do swojej skromnej renciny.

I tak płynęły pogaduszki, przerywane to jakimś żartem i wybuchem śmiechu, to krótką chwilą milczenia, gdy wspomniano o Krysi, Leszku, Andrzeju lub Janku.

– Zamówiliśmy w końcu nową tabliczkę na nagrobek Jędrka – oznajmiła Julia. – Długo zeszło, powinniśmy byli pomyśleć o tym ze dwa lata temu.

– Lepiej późno niż wcale – odparł Bronek, zezując w stronę Pawła i Danki. Przemknęło mu przez myśl, że to dzieciaki

powinny naprawić błąd na grobie ojca, ale nie chciał psuć wieczoru kwasami. Bo pewnie zaraz wywiązałyby się jakaś nieprzyjemna dyskusja, że bawidamek, który zdradzał ciężarną żonę, nie zasługuje na żadne względy.

Karol słuchał tego wszystkiego nader nieuważnie. Jego wzrok wciąż podążał w stronę pięknej nieznajomej, na oko trzydziestoparolatki. Zajmowała z trzema koleżankami stolik w rogu. Wszystkie wyglądały na kobiety z klasą – zadbane, eleganckie, miały na sobie ładne sukienki. Widać było, że bawią się doskonale. Prawdopodobnie celebrowały urodziny którejs z nich. Zauważył już, że prócz pierścionka na neutralnym palcu oraz zegarka, interesująca go brunetka nie nosi absolutnie żadnej biżuterii. Od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały i w takich chwilach odczuwał zadziwiającą ekscytację, gdyż jego wytrwałość wynagradzały czarujące uśmiechy.

[23] Fragment tekstu piosenki *Bliska moim myślom* – muzyka i tekst: twórcy ludowi.

[24] Fragment tekstu piosenki *Ciao Italia* z płyty *No disco*, Polmark 1990, muz. Paweł Kucharski, śł. Jan Krynicz, Maciej Jamroz.

[25] Fragment tekstu piosenki *Jeszcze Polska* z płyty *Spalam się*, Zic-Zac 1991, słowa: Kazik Staszewski.



## Epilog

Słaba poświata księżyca przedzierała się przez chmury, oświetlając najszerszą część alei Róż, po której jeszcze nie tak dawno kroczył z dumnie podniesioną głową odlany z brązu towarzysz Lenin. Po postumencie nie został nawet ślad, zachowały się wyłącznie klomby dorodnych kwiatów. Wieczorna wilgoć podkreśliła ich słodki aromat. Powiewy ciepłego wiatru delikatnie kołysały koronami drzew i rozpędzały obłoki sunące po niebie, torując drogę blaskowi księżyca, który coraz odważniej oświetlał centrum Nowej Huty.

Julia z Wawrzyńcem oraz Broniek z Bogusią opuścili przed momentem Stylową. Ta czwórka została najdłużej – pozostali uczestnicy jubileuszowego przyjęcia opuścili już lokal. Szymczakowie i Pawłowscy też zamierzali się pożegnać, lecz nagle świeżo upieczony emeryt zmienił zdanie.

– Wieczór dość ciepły jak na połowę sierpnia – zauważył. – Żal wracać do domu. Spójrzcie na niebo: zaczyna się wytopadzać. Może pójdziemy jeszcze na małą przechadzkę?

Spojrzeli po sobie i zgodnie pokiwali głowami.

– Masz rację, szwagierku. Przyjemnie będzie dotlenić się przed

snem. I spalić trochę tych pyszności, cośmy je dzisiaj zjedli. Zawsze to lżej położyć się później do łóżka.

– Kto mówi o spaniu? – zachichotał Wawrzyniec, zerkając na Julię. – Jeszcześmy za młodzi na to, by pójść grzecznie spać...

– I za starzy na to, by grzeszyć... – dokończył Bronek.

– He, he, he! Mów za siebie. Życie trzeba smakować co dzień, bo człowiek nie wie, ile mu go jeszcze zostało.

– Konsument się znalazł! – zachichotała żona, przywierając do jego boku.

– Ach, jak mi dobrze! – Pawłowski odetchnął pełną piersią i przytulił Julię.

– A dobrze, dobrze – odparł Szymczak.

Czegóż więcej potrzebowali do szczęścia? Żyli spokojnie z ukochanymi kobietami w otoczeniu rodziny. Dzieci jakoś radziły sobie w nowej rzeczywistości. Wczoraj on i Wawrzyniec otrzymali wezwania z sądu do stawienia na rozprawę dotyczącą złożonego przez nich wspólnie wniosku o zwrot nieruchomości, które weszły w skład PGR-u utworzonego na gruntach Pawlic, Piotrowic oraz kilku sąsiadujących wiosek. W ich sercach pojawiła się więc nadzieja, że na stare lata odzyskają swoje ojcowizny – choćby dla potomnych.

Julia uśmiechnęła się sama do siebie, przypominając sobie zalotne spojrzenia eleganckiej brunetki rzucające Karolowi i kawałek papieru, który dyskretnie jej podał przy wyjściu z restauracji. Tak się bowiem złożyło, że opuszczali lokal niemalże jednocześnie. Wcześniej zauważyła, jak pod blatem stolika syn zapisuje na serwetce rozłożonej na kolanie swój numer telefonu i kilka dodatkowych słów. Miała nader przyjemne przeczucie, że tego wieczora zaczęło się coś niezwykłego. Znała tę kobietę z widzenia, wiedziała, że jest lekarką i od niedawna pracuje w przychodni rejonowej.

– No, to dokąd idziemy? – zagadnęła Bogumiła, wsuwając rękę pod ramię ukochanego męża.



– Jak to: dokąd? Na spacer aleją Róż – odparł Bronek.

**Koniec**

*Podtęże k/Niepołomic, maj 2016 – styczeń 2018*



## *Od autorki*

**T**o już koniec spaceru nowohucką aleją Róż. Mam nadzieję, że mieszkańcy tej zadziwiającej i niezwyklej dzielnicy wybaczą mi, że tak bezpośrednio wplątałam fikcyjną postać Karola Pawłowskiego w sytuację związaną z zamachem na pomnik Lenina. Pozwoliłam sobie wykorzystać fakt, że ta sprawa nigdy nie została do końca wyjaśniona, i wmieszać w nią mojego bohatera.

Niektórzy z czytelników mogą poczuć niedosyt, ponieważ nie wszystkie ważne dla dzielnicy wydarzenia, postaci i miejsca przewinęły się w mojej powieści. Było jednak całkowicie niemożliwe aż tak precyzyjne opisanie burzliwej nowohuckiej historii. Podobną niemożliwością byłoby wspomnianie o wszystkim, czym żyli i otoczeni byli obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Serdecznie pozdrawiam wszystkie osoby, które wspierały mnie podczas pracy nad niniejszą sagą. Mam tutaj na myśli właścicieli, pracowników oraz podwykonawców Wydawnictwa Replika. Instytucje, autorki oraz blogerki zaangażowane

w promocję mojej twórczości. Wspaniałych czytelników, którzy z zapałem sięgali po kolejne tomy sagi, dopominając się o kontynuację, dodając mi skrzydeł i entuzjastycznie dzieląc się ze mną wrażeniami po lekturze. A wreszcie moją wspaniałą rodzinę i bliskich, którzy w minionych dwóch latach cierpliwie znosili mój nieustanny brak czasu. Nie sposób wymienić każdego z Was osobno, więc by niechcący kogoś nie pominąć, ograniczę się do jednego zbiorowego: dziękuję!

Edyta Świątek